

W czerwonej Hiszpanii





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

W czerwonej Hiszpanii

*Poświęcam tę pracę
śp. Eugeniuszowi Malaczewskiemu,
autorowi Konia na wzgórzu,
człowiekowi, który zrozumiał
wojnę, rewolucję i Rosję
i który najlepiej z nas wszystkich
zrozumiałby dziś Hiszpanię.*

DROGA NA MADRYT

„*Arriba, parias de la tierra!*”

Pociąg przebija się przez jeszcze jeden tunel, znowu na moment słońce, góry i morze. Na francuskich winnicach zaczyna się właśnie winobranie, przecież to wrzesień. Stajemy na dużej stacji małej miejsciny pogranicznej. Władze celne, bezpieczeństwa, polityczne wyciągnęły się długim szeregiem wzdłuż peronu. Z pociągu wysiadają dwie osoby. Cały luksus celników, policji, milicji, cały sztab badaczy dokumentów i paszportów — taki sam jak na każdej zresztą granicy — rzuca się na tę skromną zdobycz, jaką dziś pograniczna stacja francuska przekazała hiszpańskiemu już Portbou¹.

Młodziutka Hiszpanka, która przez Paryż wracała z kursów wakacyjnych w Exeter, w Anglii, idzie pierwsza. Otwieranie walizek, oglądania paszportu i wizy, koniec. Teraz otwierają moją walizkę, badają wszystko uważnie i wprawnie, zostawiając rzeczy w największym porządku. Wzorowa celnicza robota. Biorą paszport, przeglądają wizy, wznowienia ważności, ważą jak gdyby w rękę.

— *Un instant, s'il vous plait*².

Paszport dokądś powędrował przez boczne drzwi, a opuszczone przezeń ciało sterczy smętnie na komorze celnej. Komora jest wielką salą, zupełnie pustą. Na ścianie wielkie, czerwono-czarne odezwy i dwa graficznie doskonale plakaty. Na jednym z nich śmiejący się żołnierz, bez szlif, w mundurze polowym, pociąga za sznurek pajaca, w szamerowanym mundurze oficerskim, z huzarskimi wąsami, niczym jeszcze jedną oznaką władzy, z olbrzymim szablikiem na sutych rapciach³. Pajac-oficer tańczy rzeško w rękę żołnierza Papitu. Drugi plakat nie jest, jak ten, na wesoło, ale na groźno, czy raczej na potworno. Brzuchata, koszmarna bestia, z wylupiastymi oczami żaby, przykłada małpią łapę do olbrzymiego ucha. Bestia ma brunatną skórę barwy habitu, ma krzyż zwisający na różańcu na szyi, ma wreszcie koronę królewską — małą jak u żaby z naszych reklam pasty „Erdal” — na głowie. Tak w grafice rewolucyjnej wyraziła się przestroga, że wróg ma wszędzie swe tajemnicze macki, wszędzie swych szpiegów, wszędzie podsłuchujące uszy i podpatrujące oczy.

— *Suivez moi, s'il vous plait*⁴.

Oto mój paszport wrócił ze swej tajemniczej wędrówki, ale jego rozłąka z duszą i ciałem, których jest policyjnym przedłużeniem, trwa nadal. Urzędnik nie oddał mi go jeszcze, prowadzi mnie tylko na peron. Peron jest długi, idziemy, milcząc, mam ochotę pogadać. Spod dachu hali widać góry, całe w ogrodach oliwnych i w słońcu. Mówię, że cieszę się na poznanie tego nowego kraju. Urzędnik odpowiada chłodno: „Pan myśli, że go pan pozna?” i patrzy na mnie jakbym był jednym z macek, uch czy wcieleń brunatnej bestii z plakatu. Nieprzyjemnie.

Teraz jest mały biurowy pokój, za biurkiem siedzi pan i mówi, że nikogo do Hiszpanii się nie wpuszcza, a już tym bardziej dziennikarzy. Ten, który zabrał mój paszport, stoi za mną, przy drzwiach. Ale obok biurka siedzi jeszcze jeden pan, który śmiało mógłby powędrować na plakat, a na małej kanapce ulokował się trzeci z tej trójcy, i ten trzeci wygląda tak, że można by go umieścić na sztychu z rewolucji francuskiej. Mimo całego zgrzytania granicznego biurokratyzmu, należy się tym ludziom przypatrzeć. To także Hiszpania. Więc oto ów siedzący obok biurka jest wojskowy, wysoki, czarny i śniady, ale wojskowy dziwnego autoramentu. Ma na sobie bryczesy, jakąś półwojskową kurtkę, karabin oparł spokojnie o biurko cywilnego urzędnika. (O, zawsze te same czasy narodzin nowych państw i nowych ustrojów, nim jeszcze wszystko nie ostygnie, nie zawrze się w formularze, nie okłapnie!). Na głowie ma coś, co należałoby sfotografować, bo w Polsce nie uwierzą. To coś to rodzaj furażerki wojskowej, nad jednym uchem czarnej, nad drugim czerwonej. Po każdej stronie biegną trzy wielkie litery, na czerwonym tle czarne,

¹Portbou — nadmorska miejscowość w Katalonii, w płn. Hiszpanii, tuż przy granicy z Francją. [przypis edytorski]

²*Un instant, s'il vous plait* (fr.) — Proszę chwilę poczekać. [przypis edytorski]

³rapcie — paski do podwieszania szabli u pasa. [przypis edytorski]

⁴*Suivez moi, s'il vous plait* (fr.) — Proszę za mną. [przypis edytorski]

Wróg, Sztuka

Państwo, Urzędnik

na czarnym czerwone: FAI. Karnawał, powiecie? O, nie. Ten człowiek z pewnością nie wygląda na arlekina.

Żołnierz rewolucji, milicjant z katalońskiej Iberyjskiej Federacji Anarchistycznej, zabiera głos w mojej sprawie. Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówi, ale mam wrażenie, że opowiada się raczej po mojej stronie. Zwraca się nie tyle do owego urzędnika za biurkiem, co do owego pana rozpartego na kanapie. Ten jego kolega z kanapy to również postać niezwyklej, ale już odmiennej fotogeniczności. Ma na sobie ni to jakiś surdut⁵, ni tużurek⁶, taki strój trochę zeszlowieczny, jaki czasem noszą emeryci w prowincjonalnych miasteczkach. Ale z tego wyszłego ciała w czarnym surducie sterczy na turzym karku (kark okręcony jest fularem o barwach czarno-czerwonych, znowu barwach potężnej w Katalonii FAI) olbrzymia głowa, wielka mięsista twarz, z muskularnym nosem i stosunkowo umiarkowanych rozmiarów oczkami, wyzierającymi spod fałdów pomarszczonej już wiekiem skóry. Nad tym wszystkim rozwiewa się jednak niespodzianie bujna i czarna czupryna, wielka zmierzwiona masa włosów, zwichrzonych jak u Beethovena. Ale nie. Jest to Marat⁷, najklasycyniejszy groźny Marat francuskiego Konwentu⁸. Czuję instynktownie, że tego właśnie człowieka trzeba tu przekonać.

W małym pokoju rozgrywa się teraz wielka bitwa, mająca sforsować Porbou dla polskiego dziennikarza. W bitwie tej przeciwnikiem jest ów pan za biurkiem, bez czerwono-czarnej furażerki, bez czerwono-czarnego szalika, w cywilu, z jakąś mizerną odrobiną czerwienizny w klapie ubrania. Pan zza biurka żąda dowodów, że jestem dziennikarzem. Daję mu moje legitymacje zawodowe, krajową i zagraniczną. Pan zza biurka nie bardzo się orientuje, ale tu zaczyna coś mówić, i to raczej pojednawczo, Marat. Pan zza biurka jest nierad, znowu bierze paszport i po chwili odkrywa w nim wizę niemiecką. Co robiłem w Niemczech? Teraz ja biorę paszport do ręki, wskazuje, że była tranzytowa. Obliczamy czas, jaki upłynął między stemplami zagranicznymi, i obliczenia wypadają na korzyść mojej tezy. Z kolei przystępuję do ataku: wydobywam jako ciężkie działo odrzucony poprzednio bez przejrzania list polecający ambasadora Hiszpanii w Paryżu, Luisa Araquistaina. Milicjant w furażerce upewnia się jeszcze, czy jest to aby na pewno nowy, niedawno zamianowany ambasador, ale Marat uspokaja wszystkie obawy pod tym względem. Na polu walki zapanował duch pokoju. Obu anarchistów mam już w każdym razie po mojej stronie. Cywil, dla zachowania pozorów i wyjścia z honorem z przegranej, żąda tylko, aby ów list ambasadora został przy nich. Jest to niewygodne, ale cóż robić. Wymieniam tedy⁹ list ambasadora na trzy okrągłe pieczęcie w paszporcie. Pan, który mnie tu przyprowadził i który tak słabe nadzieje robił na mój pobyt w Hiszpanii, odprowadza mnie z powrotem. W drzwiach żegnają mnie ze strony niedawnych inkwizytorów trzy podniesione pięści.

Do pociągu na Barcelonę jest jeszcze dużo czasu. W wielkiej poczekalni dworcowej jest dziewięciu kelnerów do obsłużenia młodej Hiszpanki i mnie. Panuje nastrój rewolucyjno-rodzinny. Plakaty rewolucyjne kapią barwami ze ścian, czerwone sztandary w oknach, na bufecie małe dziecko bufetowej bawi się puszką homara. Miasteczko leży poniżej dworca. Spada amfiteatralnie do małego, rybackiego portu. Kościół jest zamknięty, nie znać na nim żadnych śladów zniszczenia, tylko na drzwiach widnieje plakat wskazujący, że został „inkautowany”, tj. przejęty na własność przez władze milicji i Frontu Ludowego¹⁰. Wreszcie na peron wtacza się pociąg, który zabierze nas do Barcelony: wszystkie wagony są pomalowane w hasła i plakaty rewolucyjne. Ładuję się do dużego

⁵*surdut* — długa, obcisła, dwurzędowa marynarka, noszona jako wizytowy ubiór męski w XIX i na początku XX w. [przypis edytorski]

⁶*tużurek* (z fr.) — surdut codziennego użytku, popularny na przełomie XIX i XX w., pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda; w latach 30. XX w. uważany był już za ubiór staroświecki. [przypis edytorski]

⁷*Marat, Jean-Paul* (1743–1793) — francuski polityk i dziennikarz okresu Rewolucji Francuskiej, bliski współpracownik Robespierre’a i Saint-Justa, jakobin; zabity przez Charlotte Corday z obozu żyrondistów. [przypis edytorski]

⁸*Konwent* — Konwent Narodowy, rewolucyjne przedstawicielstwo ludu francuskiego po obaleniu monarchii w latach 1792–1795. [przypis edytorski]

⁹*tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

¹⁰*Front Ludowy* — porozumienia partii i organizacji lewicowych i centrolewicowych zawiązywane w latach 1935–1938 w reakcji na ekspansję ruchów faszystowskich w Europie i przejście władzy w Niemczech przez NSDAP; koalicyjne rządy Frontu Ludowego powstały we Francji i Hiszpanii. [przypis edytorski]

wagonu, który na swych ścianach aktualizuje w rewolucyjny sposób literaturę i religię, znaną powieść Blasco Ibaneza¹¹ i wielkie dzieło św. Jana, przedstawiające Czterech Jeźdźców Apokalipsy. W wagonie samym nie czuć ani rewolucją, ani Apokalipsą. Czterech robotniczy, nie czekając na odjazd pociągu, zasiadło sobie do jakiegoś bezika¹².

Pociąg wreszcie rusza, przewiercając tunele swymi wymalowanymi wagonami, wylatując co chwila nad sam brzeg morza, przelatując nad gajami oliwek i uprawnymi polami. Migają białe wsie, całe z kamienia, pola na stokach gór grodzone kamieniami, ciche dworce kolejowe, ogłoszenia Schellów i Dunlopów. Pracujący w polu podnoszą ku nam na powitanie ręce ściśnięte w kulak¹³. Powoli jednak wszystko staje się nużące. Szachownice pól i winnic swym rozdrobnieniem i widoczną starannością przypominają jakieś Niemcy czy Poznańskie, które zamiast rozpostrzeć się wzdłuż, sfaldowałyby się w teren górzysty, pomarszczyły w nawiezione ziemią tarasy. Jedyny egzotyzm to wozy, wysokie, na olbrzymich kołach, dwukołowe, ciągnięte przez muły i osły. Człowiek nabiera sceptycyzmu wobec tej rewolucji, która w Portbou witała go tak barwnie, groźnie i hucznie, a tu panuje nad krajem pracowitych mrówek, pszczół czy termitów. Zasypiam, budzą mnie do kontroli paszportu, bardzo zresztą uprzejmej, zasypiam znowu, wreszcie Barcelona.

Jest dopiero ósma wieczór, ale już zapadła czarna, atramentowa noc, jakie bywają na południu. Na dworcu tłum milicjantów i robotników. Czerwone strzały wskazują miejsce zbiórki dla cudzoziemskich ochotników jadących walczyć za rewolucję. Jadę dorożką przez miasto wielkie, źle oświetlone i pełne ludzi. Hotel, do którego właściciela mam polecenie, nie został na szczęście „zainkautowany”, jak kościół w Portbou, i jak wiele barcelońskich hoteli. Dostaję malutki spokojny pokój na jednym z najwyższych pięter, niemniej jednak z oknem wprost na szarą ścianę innego drapacza. Jestem zmęczony drogą, kładę się wcześniej spać. Naraz przez półsen zaczyna mi krzyżeć do ucha jakiś głos, ogromny, maszynowy, nieludzki. Wyrzuca słowa i całe zdania w tempie karabinu maszynowego. Głos jakby przenikał mury, zagłuszył zupełnie daleki szum wielkiego miasta, wypełnia mój mały pokój po wszystkie kąty, przelewa się jak woda z przepelnianej wanny. Megafon radiowy ustaje wreszcie na moment, potem znów, nieco inną tonacją głosu, zaczyna wyrzucać nowy potop dźwięków. Tam, na czarnej ulicy Barcelony, ludzie gromadzą się przed głośnikami, aby wysłuchać ostatnich wiadomości z frontu. Ale teraz to chyba nie są komunikaty. Jedne po drugich huczą jakieś przemówienia, zaklinania, orędzia. Miękka, sprężysta jak stal mowa hiszpańska nabiera przez głośnik ołowianej, koturnowej ciężkości. Słowa lecą przez powietrze ciężko jak żelazne blaty strącone z drapaczy chmur na kamienny bruk. Nie rozumiem z tego prawie nic i to może zwiększa jeszcze niesamowitość wrażenia. Przez czarną noc z mroku nieznanego mi mowy wyłaniają się tylko niekiedy dźwiękowe kontury słów nieobcych: rewolucja, proletariat, *Espania*, *el pueblo*, *fascismo*, *muerte*¹⁴. Czasem, bardzo rzadko, uda się powiązać jeden kontur zimnym, nadpływającym zaraz po nim z niewidzialnego głośnika, czasem uda się szczepić je razem niedostrzegalnym łącznikiem sensu. Ale zdarza się to bardzo rzadko. Jestem zmęczony, po prostu leżę na łóżku w jakimś pokoju hotelowym, w obcym mieście i w nocy, przez okno zagląda niezwykle ciemna, południowa noc i wlewa się wraz z nią fala obcych chrapiących dźwięków. Wreszcie znużenie staje się silniejsze niż owa fala. Zasypiam, kołysany jeszcze echem jej słownych gromów, zasypiam w tym potrójnym wrażeniu: czysto fizycznego zmęczenia, ciemności wokoło niego i ogarniającej mnie, tak samo jak te ciemności, powodzi cudzej mowy, wzburzonej w orkan, fali, która z wolna przenika, otacza i wciąga jak ogromna, niezgruntowana głęb. To jedno wiem już przynajmniej z Hiszpanii rewolucyjnej, że samotny nie będę tu ani na chwilę, że wszędzie dogna mnie tu światło czy mrok, dościgną apele i wołanie, że zawsze i wszędzie przelewać się tu będzie aż poprzez mnie, obcego, to wezbrane olbrzymie morze, które zalało tu wszystko.

*

¹¹Blasco Ibañez, Vicente (1867–1928) — hiszpański pisarz i publicysta, republikanin; kilkakrotnie więziony za działalność republikańską, od 1909 poza krajem; autor m.in. słynnej powieści wojennej *Czterech jeźdźców Apokalipsy* (1916). [przypis edytorski]

¹²bezik — dawna gra w karty. [przypis edytorski]

¹³kulak — pięść. [przypis edytorski]

¹⁴*Espania*, *el pueblo*, *fascismo*, *muerte* (hiszp.) — Hiszpania, lud, faszyzm, śmierć. [przypis edytorski]

Cały następny dzień spędzam w największym mieście rewolucyjnej Hiszpanii, mieście, gdzie ta rewolucja była najbardziej krwawa, okrutna, ale i heroiczna, w mieście, gdzie anarchizm nie przestał być wspomnieniem odległej dla nas przeszłości, współczesnej młodości Sienkiewicza, współczesnej wiekowi dojrzałemu Prusa. Jest to wielkie i piękne miasto, bogate w dodatku, i oto wszystko to stało się teraz tłem dla nowej rzeczywistości. Plakaty z komory celnej w Portbou rozmnożyły się tu w tysiące barwnych plam lśniących w wielkim słońcu na murach. Samochody śmigają z wielkimi sztandarami, wymalowane białą farbą w hasła i godła, w skróty literowe dwóch wielkich związków zawodowych, partii politycznych i instytucji rewolucyjnych, na których rzecz zostały „zainkautowane”. W samochodach siedzą milicjanci w granatowych „mono”, zresztą i w jakichś innych „mundurach w stanie tworzenia się”, wreszcie w kurtkach wojskowych. Nad wszystkim góruje „mono”. W bramach domów, zwłaszcza w bramach wielkich banków, poczty, gmachów rządowych, wysiaduje po kilku członków milicji ludowej przy karabinach i w „mono”. „Mono” awansowało do godności munduru, „mono” zdetronizowało mundur. „Mono” to po prostu robotniczy kombinezon używany do pracy, ten sam, który poza robotnikami mają jeszcze i lotnicy. Teraz „mono” wyszło z fabryk i hangarów. Stało się takim samym akcesorium władzy jak niegdyś epolety.

Jest niedziela i na ulicy tłum wyległ większy niż zawsze. Wyobraźmy sobie, że któregoś dnia całe Powiśle, cała robotnicza Praga, cała czerwona Wola wyjdzie w Aleje Ujazdowskie. Tak samo z dalekich przedmieść, z dzielnicy portowej, wreszcie ze starej Barcelony o ciasnych ulicach tłum wyległ na bulwary Rambli, na szerokie chodniki Paralelo, na plac Katalonii, przed pałace wystawowe. Jest to tłum uzbrojony. Trudno sobie wyobrazić większą ilość ludzi z karabinami spacerującą po ulicach wielkiego miasta. Trudno sobie wyobrazić zupełniejszą mobilizację samochodów przez klasę robotniczą. Hiszpania jest krajem największych samochodów, ojczyzną magnackiej Hispano-Suizy¹⁵. Teraz widzę dziesiątki hispano-suiz, wspaniałych limuzyn udekorowanych godłami sowieckimi, sierpami i młotami, rysowanymi jeszcze niezgrabnie i niewprawnie na czarnym lakiery karoserii. U stóp pomnika Kolumba worki z piaskiem ułożono w barykadę. Cztery karabiny maszynowe patrzą w cztery ulice. Ale tłum tych ulic defiluje pod czarno-czerwonymi sztandarami Iberyjskiej Federacji Anarchistycznej, pod czerwonymi z sierpem i młotem trockistowskiego „Partido Obrero de Unificación Marxista”¹⁶. Z okien hotelu „Colon”, gdzie bronili się i poddali wojskowi, zwisają afisze zjednoczonych partii socjalistycznej i komunistycznej. Na murach wielkiego hotelu znać ślady kul, ale jest ich bardzo niewiele. Nie można tego porównać z główną pocztą we Lwowie w roku 1918, z ministerstwem wojny w Warszawie w roku 1926¹⁷. Ci ludzie, z których codziennie nową transzę wysyłają na rozstrzelanie wyroki trybunałów ludowych, ci ludzie więzieni na pokładzie „Urugwaju”, białego statku widzianego w porcie, nie stawiali długiego oporu.

Tłum robotniczy przelewa się przez ulice, świadomy swego zwycięstwa, pełen poczucia swej władzy. Plakaty naśmiewają się z oficerów, a pisma codzienne donoszą o nowych wyrokach trybunałów robotniczych. Na kościołach uchowanych przed spalaniem wiszą napisy: *patrimonio del pueblo* (własność, dziedzictwo ludu). Pałace armatorów wielkiego handlowego portu są „inkautowane”, obsadzone przez organizacje robotnicze. Ilustrowana „Ahora” przynosi fotografię robociarza-milicjanta śpiącego w łóżku królewskim pałacu Pedrales. Przed pałacem katalońskiego magnata prasowego, obdarzonego tytułem *conde*¹⁸, stoi pięć packardów¹⁹. To nie dlatego, że jest to pałac magnata, ale dlatego że tu jest siedziba związku metalowców. W dużym „inkautowanym” gmachu mieszka szef armii

¹⁵*Hispano-Suiza* — przedsiębiorstwo działające w branży lotniczej i motoryzacyjnej, znany przedwojenny producent silników i luksusowych samochodów. [przypis edytorski]

¹⁶*Partido Obrero de Unificación Marxista* — popr.: *Partido Obrero de Unificación Marxista*, Partia Robotnicza Zjednoczenia Marksistowskiego, hiszpańska komunistyczna partia polityczna utworzona w czasie Drugiej Republiki Hiszpańskiej, najbardziej aktywna w czasie wojny domowej; powstała z połączenia trockistowskiej Komunistycznej Lewicy Hiszpanii oraz Bloku Pracowników i Chłopów. [przypis edytorski]

¹⁷*z główną pocztą we Lwowie w roku 1918, z ministerstwem wojny w Warszawie w roku 1926* — podczas bitwy o Lwów, w natarciu 9 listopada 1918 oddziały polskie zajęły budynek Poczty Głównej, jeden ze strategicznych celów; podczas przewrotu majowego, 13 maja 1926 wojska strony rządowej przypuściły zwycięski atak na gmach Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie zajęty przez oddziały Piłsudskiego. [przypis edytorski]

¹⁸*conde* (hiszp.) — hrabia. [przypis edytorski]

¹⁹*packard* — luksusowy samochód produkowany w latach 1899–1958 przez amerykańskie przedsiębiorstwo Packard. [przypis edytorski]

Strój, Rewolucja, Robotnik

Lud, Rewolucja, Własność,
Śpiew, Zabawa

plk. Sandino. Mimo woli przypomina się Petersburg wiosny 1917 roku, Petersburg marynarzy kronsztackich rozjeżdżających w limuzynach dworu, Petersburg „inkautowanego” przez komunistów pałacu Krzesińskiej. Z głośników rozwieszonych nad ulicą płynie *Międzynarodówka*. Tłum wita ją podniesieniem pięści, pieśń spadająca z góry podchwytuje i znów do góry ponad ulicę podnosi rozbitny chór głosów. Ten schyłek września pachnie rosyjską wiosną.

Spośród plakatów wygląda naraz coś bardzo hiszpańskiego. Jest to także plakat, ale plakat ogłaszający na dziś walkę byków. Rewolucja w niczym nie zmąciła tradycyjnej rozrywki. Owszem, w dwóch rzeczach: na plakacie jest mowa, że byki dzisiejszej corridy pochodzą ze stajni *eksmarquesów*²⁰ i *eksconde’ów*. To rewolucja, ostatnia, prawdziwa rewolucja, dodała to „eks”. To także rewolucja dodała w plakacie zdanie, że corrida odbędzie się w porozumieniu z milicją ludową. Tank²¹, który zgruchotał kościoły, zatrzymał się na progu areny. Trzeba to zobaczyć.

Na corridę spóźniam się o moment, przebiegam przez wielkie luki krużganków, wpaadam schodami na widownię i wdrapuję się, stopień po stopniu, poprzez tłum wypełniający amfiteatr. Cały tłum wstaje, podnosi pięści. Oglądam się. Przede mną jest arena, żółta, piaszczysta arena, półkole pełne ludzi, z góry zwisają portrety torreadorów²². Orkiestra wojskowa wybija nad areną walki byków potężny hymn proletariackiej rewolucji:

*Arriba, parias de la tierra,
En pie, famelica legion,
Atruená la razán en marcha
Es el fin de la opresión.*²³

Międzynarodówka, jak tam, na ulicy, obiega kolisko amfiteatru. Tłum na corridzie podnosi ją z zapalem. Pięści sterczą w powietrzu. Aż popod wiszące u góry portrety sławnych torreadorów wznosi się śpiew:

*Agrupemonos todos
en la lucha final;
el genero humano
es la International!*²⁴

I tu staje się rzecz, która przypadkowo miesza jeszcze bardziej, jeszcze silniej łączy hiszpańskie igrzysko i proletariacką rewolucję. Widocznie myślano, że orkiestra przestanie grać, bo oto na arenę wypada duży byk. Publiczność coś krzyczy. Jedni siadają, inni dalej trzymają pięści w powietrzu. Dwóch czerwonych banderillerów²⁵ zbliża się do byka, który stoi jak ogłuszony i oślepiiony. Tymczasem ludzie wokoło mnie śpiewają dalej, dalej podnoszą śpiewem echa orkiestry:

*En dioses, reyes ni tribunes
no es el nuestro salvador:
nosotros mismos realicemos
el esfuerze redentor.*²⁶

Pięści jednak opuszczają się, pieśń gaśnie, stapia się z gwarem corridy. Wszystkie

Zwierzę, Kondycja ludzka,
Krew, Morderstwo,
Obrzędy, Teatr, Walka

²⁰ *marqués* (hiszp.) — markiz. [przypis edytorski]

²¹ *tank* (daw.) — czołg. [przypis edytorski]

²² *torreador* — każdy uczestnik corridy (pikador, matador, banderillero lub kapeador); tu i poniżej w znaczeniu: *matador*, czyli główny uczestnik tego widowiska, zadający bykowi ostatni cios szpadą. [przypis edytorski]

²³ *Arriba, parias de la tierra...* (hiszp.) — Wyklęty powstań, ludu ziemi,/ Powstańcie, których dręczy głód./ Myśl nowa blaski promiennymi/ Dziś wiedzie nas na bój, na trud (pierwsze wersy *Międzynarodówki*, rewolucyjnej pieśni proletariatu, w przekładzie Marii Markowskiej). [przypis edytorski]

²⁴ *Agrupemonos todos en la lucha final...* (hiszp.) — refren *Międzynarodówki*: Bój to będzie ostatni,/ Krwawy skończy się trud,/ Gdy związek nasz bratni/ Ogarnie ludzki ród. [przypis edytorski]

²⁵ *banderillero* — uczestnik corridy wbijający w kark byka banderillę, dzirynt z chorągiewką. [przypis edytorski]

²⁶ *En dioses, reyes ni tribunes...* (hiszp.) — początek drugiej zwrotki *Międzynarodówki*: Nie nam wyglądać zmiłowania/ Z wyroków bożych, z pańskich praw./ Z własnego prawa bierz nadania/ I z własnej woli sam się zbaw! [przypis edytorski]

oczy spoczęły teraz na arenie, z której szuka daremno wyjścia młody byk. Jest najwyraźniej przerażony, onieśmielony. Niemal nie dostrzega banderillera. Banderillierów jest czterech, w papuzich strojach, z długimi na metr prętami, zakończonymi ostrym drutem. Trzeba to wbić w kark. Byk patrzy się nieufnie, ale jakby ze zdziwieniem na podchodzącego banderillera. Chłopak krótkim, nagłym ruchem wbija zwierzęciu ponad karkiem oba pręty, biegnie za parapet areny. Byk ryknął, chwycił ogromną głowę, banderille tkwią zwycięsko w karku. Banderille mają czerwono-żółto-fioletowe barwy republiki. Byk podbiegł, uciekając, do parapetu. Chłopak roznoszący słodycze chwytą go z góry za banderillę, tarmosi. Byk szarpie się i ryczy, uskakuje na środek areny. Wszyscy wokół mnie zanoszą się szerokim, gorączkowym śmiechem. Śmiech i krzyk kilku tysięcy ludzi spada stopniami na arenę. Banderillero znowu wbił, tym razem jedną tylko, strzałę bykowi. Zwierzę biegnie za nim, chłopak ucieka, tłum wyje. Chłopak jakby się zachwiał, byk go dopada. Lewy róg wjeżdża ostro w biodro. Wszyscy wstają. Na arenie już trzech inni banderilleros podskoczyli z czerwonymi płachtami. Byk traci orientację, leci za nimi. Czwarta strzała naraz wbija się w grzbiet. Byk ucieka wzdłuż areny wolnym truchtem, tłum ryczy. Gdy byk jest blisko, widać, że sierść na karku z czarnej stała się czerwono-ruda i lepka. Krew z czterech ran spływa cienkim strumykiem. Rannego banderillera już zastąpili zgrabniejszym. Zaczyna się poważna gra. Na arenę wyszedł torreador w szamowanym złotem fraczku, z długą szpadą i czerwoną płachtą. Ludzie w amfiteatrze wysunęli się naprzód, aby nic nie stracić z widoku. Kilka tysięcy ludzi czai się na śmierć.

Zbiera mnie zupełne, głębokie obrzydzenie. Są tu szpady, lśniące stroje, chorągiewki, cały rytuał rycerski, ale pachnie tu przede wszystkim rzezią podniesioną do godności sztuki i obrzędu. Nie mogę patrzeć. Jakiś milicjant klepie mnie po ramieniu, życzliwie, opiekuńczo. Inni oglądają się kpiąco. Ale trwa to krótko, bo nie ma nikogo, kto by chciał uronić jeden moment z tej krwawej walki, stracić jedno cenne pchnięcie, jedno uderzenie rogiem. Uderzenia rogiem są rzadko tragiczne: byk leci zawsze za rozwianą przed nim czerwoną płachtą, nie umie skręcać za uciekającym, nie ściga go wytrwale, odbiega, czasem przeleci ponad upadłym, w pogoni za czerwoną chorągiewką. To właśnie podkreśla moment rzezi w tym wszystkim, to właśnie tak drażni, że ten byk, młody, silny, potężny, jednak zawsze ulegnie w walce, której ani na moment, nawet jeszcze teraz, nie chciał.

Ludzie wokół mnie krzyczą i doprawdy, że w czasie tego widowiska nie można milczeć. Sam zaczynam nerwowo coś nucić, włożywszy pół garści w usta. To odrywa od widowiska, ułatwia patrzenie. Nie można tu być biernym widzem. Uświadamiam sobie naraz to, co grano przed pół godziną. *Arriba, parias de la tierra...* Prawda, na arenie występują może byki eksmarkizów, ale corrida odbywa się ze współudziałem milicji Frontu Ludowego. Na arenie byk znowu pokiereszował rogiem jakiegoś banderillera. „To nic, to pierś” — tłumaczy mój sąsiad, milicjant. Wiem, że naprawdę wspaniale jest wtedy, gdy wylecą bebechy. Ale podniecenie widzów zdołało już urosnąć na drożdżach tych dwóch wypadków. Teraz torreador zwodzi byka płachtą, zza płachty błyska szpada, która ma wrazić się w kark zwierzęcia. I wreszcie! Byk dostał raz, niemieje, staje. Cały amfiteatr też wstał, ryczał głośno. Czarny, młody zwierz sztywnieje, widać, jak nogi się łamią, obala się całym cielskiem, pełnym młodej, jurnej energii, na ziemię. Torreador zadaje mu jeszcze jeden silny cios. Amfiteatr faluje od barw, oczy ludzi płoną zachwytem. Naraz poprzez szum przemyka się nuta, która go przebija i ścisza, a potem wlewa w siebie, pęcznieje nim i podnosi się znowu, ponad arenę z portretami wybitnych torreadorów, ponad czerwony sztandar nad arenę. Czwórka białych koni wyciąga martwe ciało byka. Hymn rewolucji spływa po raz wtóry na skrwawiony corridą piasek.

Grano *Międzynarodówkę*, bo w przerwie przed nową corridą wjechał na arenę oddział armii ochotniczej konno, w mundurach wzorowanych na kozackich, i przedefilował wśród entuzjazmu widzów. Druga i trzecia corrida już działa inaczej. Obcy widz nasiąkł tym podnieceniem, które tu drga w powietrzu, zapach krwi nie uderza weń niemęskimi mdłościami, ale jakby rozdyma nozdrza. Z pierwszych wrażeń pozostaje tylko uporczywa świadomość, niedająca się zagłuszyć i przyćmić, że radość, którą się odczuwa, zainteresowanie nieznanne dotąd, które się zrodziło, które wyorało bardzo głęboko ukryte pokłady, nazywa się przecież rozbestwieniem. Trzeba było wysiedzieć tu do końca, żeby się coś

takiego mogło odezwać. Trzeba było wiele razy przymuszać siebie, nie schylać głowy, a przeciwnie, patrzeć — jak wszyscy — w arenę, gdy tłum szalał od okrzyków, żeby się wreszcie do owych pokładów dodrażyć. Mnie jednemu zresztą było to potrzebne: dla tych mas naokoło pokłady leżały tuż pod powierzchnią. W ciągu wieków nie przysypało ich niczym, i tak, zdaje się, jest i teraz.

A jednak nie są to rzeczy, które można zamknąć w szufladach folkloru czy obyczaju, wytłumaczyć południowością i temperamentem, wyczerpać określeniem sportu. Przez całe wieki wielkie święta katolickie obchodzono w tym kraju uroczystymi *corridami*, dni kanonizacji świętych poprzedzano kilkudniową *corridą*. Do niedawna dzieci przystępujące po raz pierwszy do komunii szły tegoż dnia popołudniu po raz pierwszy na walkę byków. W tym kraju wspaniałych świętyń, św. Teresy²⁷ i Ignacego Loyoli²⁸, katolicyzm przeszliżgnął się bez śladu ponad walką byków, omotał w nią swe święta. Można było oczekiwać czegoś innego po wierze, która sama przeszła przez ludzkie *corridy* i objawiła się światu z koliska aren, będących wzorem tych aren. Można było oczekiwać czegoś więcej po wierze, której święci do wilka mówili: „bracie”. *Corrida*, uszanowana przez katolicyzm, *corrida*, poczęta gdzieś w pogaństwie Iberów²⁹, utrzymana w rzymskiej prowincji, rozpowszechniona za Maurów³⁰, przetrwała wszystko. Tank historii, który teraz pomiażdżył portale świętyń, zatrzymał się przed wejściem do areny. Będziemy mieli *corridy* na pierwszego maja i na święto październikowe, i na święto Lenina, Róży Luksemburg³¹, Liebknechta³², jak je mieliśmy na Boże Ciało. Z kolei „Wyklęty powstań ludu ziemi!...” będzie otwierało walkę byków.

Niemniej i w tym wypadku stosunek do *corridy* stanie się sprawdzianem, czy nowy plug i nowa orka przeorywają tu ziemię głębiej niż poprzednio. *Corrida* nie jest tylko zwyczajem ludowym, sportem, częścią folkloru czy rodzajem zabawy. Z *corridą* łączą się zawiłe problemy gospodarcze, problemy społeczne. Instytut Reformy Agrarnej mówi od dwóch lat, że w kraju, gdzie hoduje się najlepsze byki na rzeź igrzyskową, rasa bydła upada. Wszyscy wiedzą, że po to, aby mogły odbywać się walki byków na arenach Madrytu, Barcelony, Sewilli, dwudziestu większych, kilkuset małych *puebli*³³, muszą się te byki wypasać na stepowych lątkach Estramadury i Andaluzji, wszyscy wiedzą, że dopiero w otwartym jak pampasy polu wyhodowuje się zwierzę godny walki, że istnienie obecnego ustroju agrarnego, ustroju wielkich, na pastwiska oddanych obszarów, związane jest z istnieniem walki byków. Przecież nazwiska *eksconde’ów* i *eksmarquesów* wymieniane dziś jeszcze na afiszach *corrid*, oznaczają po prostu w skrócie: te byki zostały wyhodowane na obszarach wielkości 100 000, 120 000 hektarów. Nazwiska *conde’ów* tkwią na afiszu obok patronatu milicji ludowej, każda walka byków oznacza, że trwa i działa ustrój rolny uważany za nieszczęście Hiszpanii. Tank, który go obali, traktor, który go przeorze, narzędzie geometrii, które te obszary podzieli — wszystko to będzie musiało uderzyć w mury aren. Na razie *Międzynarodówka* powiewa nad *corridą*, jak powiewały, rozgrzeszając ją, inne sztandary. „*Arriba, parias de la tierra...*” przepływa kolejno nad tą samą zawsze areną, jak nowa fala wieków, jak jeszcze jedna zima czy wiosna, która spadnie na stary ląd Iberów,

²⁷ Teresa z Ávili, właśc. Teresa Sánchez de Cepeda y Abumada (1515–1582) — hiszpańska karmelitanka, znana z doświadczenia stanów mistycznych połączonych z ekstazą; reformatorka zakonu karmelitańskiego; kanonizowana w 1622. [przypis edytorski]

²⁸ Loyola, Ignacy (1491–1556) — hiszpański ksiądz, założyciel zakonu jezuitów; kanonizowany w 1622. [przypis edytorski]

²⁹ Iberowie — nieznanego pochodzenia lud, zamieszkujący w starożytności południowe i wschodnie wybrzeże Półwyspu Iberyjskiego; w III w. p.n.e. podbici na krótko przez Kartagińczyków, następnie przez Rzymian. [przypis edytorski]

³⁰ Maurowie (hist.) — od średniowiecza do pocz. XIX w.: europejska nazwa na określenie muzułmańskich mieszkańców Płw. Iberyjskiego i płn.-zach. Afryki, z pochodzenia w większości Berberów (rdzennych mieszkańców Afryki Płn.). [przypis edytorski]

³¹ Luksemburg, Róża (1870–1919) — działaczka i ideolog polskiej i niemieckiej socjaldemokracji; współzałożycielka rewolucyjnego Związku Spartakusa i Komunistycznej Partii Niemiec; zamordowana przez członków niemieckiej nacjonalistycznej formacji paramilitarnej. [przypis edytorski]

³² Liebknecht, Karl (1871–1919) — niemiecki polityk i teoretyk socjalizmu; czołowy działacz Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD); współzałożyciel rewolucyjnego Związku Spartakusa i Komunistycznej Partii Niemiec; zamordowany przez członków niemieckiej nacjonalistycznej formacji paramilitarnej. [przypis edytorski]

³³ *pueblo* (hiszp.) — niewielka miejscowość, miasteczko, wioska. [przypis edytorski]

spłucze go jeszcze jednym deszczem, ostrzela jeszcze jednymi błyskawicami gromów, nie wdrążając się lemieszem w zbyt twardy, skalisty grunt.

*

Wieczorem jem obiad w restauracji mego hotelu. W drzwiach sali kelner rozmawia z dwoma milicjantami, którzy przyszli i jakby pytali się o mnie. Wszyscy trzej stoją w drzwiach. Po chwili widzę, że jeszcze w nich tkwią. Jem owoce, składam serwetę, wstaję. Trójka podchodzi do mnie. Czekali — z hiszpańską uprzejmością — aż skończę.

— *La documentación?*³⁴

Podaję mój paszport, ale nie przeglądają go wcale. Wzywają mnie, abym szedł z nimi. Na dworze jest już noc. Kelner przez chwilę coś tłumaczy, wreszcie oni się zgadzają:

— Niech pan zajdzie do siebie — mówi kelner — i weźmie ze sobą *en tout cas*³⁵, co pan potrzebuje.

Robię zdziwione oczy:

— Niech pan w każdym razie weźmie ciepły pled — nalega kelner.

Winda wjeżdża do góry, za chwilę zjeżdża na dół. Ciężko przemierza się kilka kroków przez hall hotelowy. Jesteśmy już za drzwiami. Mam ciepły pled na ramieniu.

NIŻEJ HISTORII

Róża leży ociężale na białawym piasku i rozkoszuje się nie tylko słońcem i morzem, jasnym i modrym morzem Barcelony, ale jeszcze i tym, że dzień po dniu korzysta z tej plaży hiszpańskich paniczów i dostojnych seniorit³⁶, że jej tu wejść wolno, że nie ośmieli się jej wypędzić, jak wypędza się dziewczki uliczne z szanujących się kawiarni, żaden kelner i żaden garson³⁷. Róża zrobiła się już tak wielka pani, że nie reaguje tu zupełnie na trywialne i obcesowe żarty, jakimi przechodzący mężczyźni zaczepiają dziewczynę, że nawet zapragnęła zwolnić tempa, że tak powiemy, w swym ponurym zawodzie, że coraz więcej nocy przesypia sama.

Myślę o tym, dlaczego spotykam tę dziewczynę, skoro nie łączy mnie z nią nic z tego, co przelotnie łączy innych mężczyzn z „takimi”, i żeby to samemu sobie dopowiedzieć, wracam myślą do owej nocy gdy z milicjantami i tajniakiem powędrowałem do jednej z barcelońskich izb „inwestycji” i kolejno przechodziłem z jednego badania do drugiego. Tamto wszystko maści się zupełnie, rozkłada na fragmenty i fragmenciki. Wypuszczony, znalazłszy się na ulicy, zobaczyłem, że jest już prawie zupełnie jasno i że idę przez bulwar pełen świergotu budzących się ptaków. Dopiero wróciwszy do hotelu, zauważyłem, że służba, obcy mi ludzie, poklepują mnie, ściskają za rękę, uśmiechają się życzliwie i radośnie, gremialnie odprowadzają do pokoju, choć obudzeni o tej porze, powinni by raczej przeklinać. Mówili coś po hiszpańsku, czego nawet nie próbowałem rozumieć, czułem się zmęczony, położyłem się spać. Ale słońce wchodziło już przez szpary stor. Wtedy sennie i leniwie pomyślałem jeszcze o przebiegu całej tej śledczej nocy, pomyślałem o tym pledzie, który mi w hotelu dano na drogę, pomyślałem o tej radości, z jaką mnie niespodzianie powitano teraz, i wreszcie sformułowałem sobie zdanie, które mi bardzo dosłownie powtórzył późniejszy znajomy, zdanie — że widocznie tej nocy wróciłem jednak z daleka.

De Vergnolles, ów nieco śmieszny, z lekka hochsztaplerowaty, młody człowiek lat trzydziestu kilku, którego właśnie nazajutrz poznałem przy lunchu w hotelu, był właściwie człowiekiem, który zajął się mną najskuteczniej, wtedy gdy trzeba to było zrobić. To, że nic nie wiedziałem o tym, czym jest rewolucja hiszpańska, że nie znałem słowa *passeito*, że nie dawałem wiary ogromowi conocnych samosądów i temu, jak bardzo podejrzewany jest tu dzisiaj — nieraz słusznie, niestety — cudzoziemiec, to wszystko ułatwiło mi utrzymanie spokoju podczas owej nocy badań. Ale potem napłynęło to, czego nie było przedtem, rozprężyły się nerwy, zelżało skupienie woli. De Vergnolles to zrozumiał, sam

³⁴*La documentación?* (hiszp.) — Dokumenty? [przypis edytorski]

³⁵*en tout cas* (fr.) — na wszelki wypadek. [przypis edytorski]

³⁶*senorita* (hiszp.) — panna. [przypis edytorski]

³⁷*garson* (z fr.) — kelner, boy hotelowy lub młodzieniec na posyłki. [przypis edytorski]

to przeszedł, zawiózł mnie swoim samochodem na spacer — jako obywatel kubański, choć w Hiszpanii urodzony i zamieszkały, posiada nadal swój samochód — pokazał mi stoki Tibidabo³⁸, gdzie u stóp pinii znajduje się zwłoki ofiar samosądowych *passaitów*, dalekie szczyty Monsalvatu³⁹. De Vergnolles zabrał mnie wieczorem do teatrzyku, zapoznał z wylakierowaną jak lalka swoją przyjaciółką-statystką, rano zabrał mnie na plażę. Chodzę codziennie na plażę barcelońską, żeby leżeć tak w słońcu i nie myśleć, żeby wszystko to widzieć z dystansu. Jest wielu ludzi, którzy tak bytują. Vergnolles nie mieszka w domu swej matki, która wyjechała zresztą na wieś. W hotelu jest pewniejszy, choć Vergnolles nie jest przemysłowcem, nie naraził się politycznie i zawinił tylko grzechem posiadania willi, samochodu i bogatej żony, z którą zresztą nie żyje. Od apelów, wiadomości z gazet, plotek z frontu, wyroków trybunału ludowego *passaitów* ucieka wielu ludzi do pozorów zabawy, pozorów plażowania, pozorów wysiadania w kawiarniach, wszelkich pozorów zabijania czasu w sposób możliwie nierzucający się w oczy. Tak po rewolucji hitlerowskiej wielu ludzi w Niemczech chciało wobec siebie i innych udawać, że nic się w ich życiu nie zmieniło, że wysiłek utrzymania się w normalnym torze życia nie jest niemożliwością. De Vergnolles jeździ do teatrzyku, jak jeździł dawniej, i jeździ na plażę rano, jak jeździł dawniej. Na plaży nie ma dawnych seniorit i dawnych paniczów. De Vergnolles przeżywa moment dumy: najniezawodniej był on małą figurą, gdy *conde'owie* i synowie przemysłowców zajmowali tu pierwsze miejsca, a dziś jest jedyny, który przetrwał *ancien régime*⁴⁰, i króluje na plaży, co prawda pełnej prostytutek udających damy i milicjantów zastępujących oficerów. Ale też ten Vergnolles wymieni w każdej chwili dwadzieścia, trzydzieści nazwisk swych osobistych znajomych, których ciała z kulką w plecach czy w tyle czaszki znaleziono dotąd na drogach pod Barceloną. Wymieniać te nazwiska, zamiast żeby samemu być przez kogoś innego wymienionym, to także coś znaczy. Można wtedy przestać wzdychać do dawnych czasów i przebaczyć nowej towarzysze plaży, że jest po prostu zwykłą dziewczką. De Vergnolles przebacza.

Ja nie mam nic do przebaczenia, a za to powoli dziewczyna uliczna Róża staje się szkłem, przez które widzę Hiszpanię, rewolucję, tamto wszystko. Nie znaczy to wcale, żeby spojrzenie Róży na świat było szczególnie mądre czy wnikliwe. Znaczy, że jest zupełnie inne od wszystkich. Inne od spojrzenia Companysa, który jest prezydentem Katalonii, Nina, który był sekretarzem Trockiego⁴¹, mówi ze mną po rosyjsku, a zostanie w najbliższym czasie komunistycznym ministrem sprawiedliwości, Gassola, poety i ministra oświaty Katalonii. Takich Róż było w jednej Barcelonie kilkanaście tysięcy, w Hiszpanii zapewne więcej niż sto tysięcy. Jeśli się weźmie pod uwagę, że ten zawód niszczy szybko, a kobiety na południu starzeją się i tak szybciej, przyjdziemy do wniosku, że przez domy publiczne, bardzo swobodnie i bodaj oficjalnie prosperujące w Hiszpanii, przepływa w ciągu paru lat ogromny odsetek kobiet hiszpańskich, nie mówiąc już o tych, które od razu wędrują do podobnych zakładów Ameryki Południowej. W oczach Róży nie ma w tym nic nadzwyczajnego, nic zastanawiającego, nawet rozmiary, jakie to zjawisko przybiera, jest dla niej zupełnie normalne. Nie razi jej to wszystko w kraju ultrakatolickim, nie dziwi jej, że lupanar⁴² zdobył sobie tak wielkie miejsce w kraju kościołów i klasztorów.

Pozycja społeczna,
Rewolucja, Zabawa

Seks, Handel, Kobieta,
Kobieta "upadła", Religia,
Pozycja społeczna

³⁸Tibidabo — najwyższe wzgórze w Barcelonie (512 m n.p.m.). [przypis edytorski]

³⁹Monsalvat — góra, na której miał się znajdować zamek świętego Graala (kielicha, z którego Chrystus pił podczas ostatniej wieczerzy) występujący się w legendach arturiańskich oraz w dramacie muzycznym Richarda Wagnera *Pierścień Nibelunga*; utożsamiana z górą Montserrat w Katalonii (1237 m n.p.m.), ok. 35 km na płn-zach. od Barcelony. [przypis edytorski]

⁴⁰*ancien régime* (fr.) — dawny system rządów; określenie systemu polityczno-społecznego Francji funkcjonującego przed rewolucją 1789, wprowadzone podczas tej rewolucji. [przypis edytorski]

⁴¹Trocki, Lew Dawidowicz, właśc. *Lejba Dawidowicz Bronsztejn* (1879–1940) — rosyjski rewolucjonista i ideolog ruchu komunistycznego, współtwórca teorii permanentnej rewolucji; kierował przejściem władzy przez bolszewików w Piotrogradzie (listopad 1917), należał do kierownictwa partii bolszewickiej; pretendent do władzy po śmierci Lenina, przywódca opozycji wewnątrzpartyjnej, toczył spór z Józefem Stalinem o dalsze kierunki rozwoju państwa; stopniowo usuwany ze stanowisk politycznych, w 1927 usunięty z partii bolszewickiej, w 1929 pozbawiony obywatelstwa ZSRR i deportowany z kraju. [przypis edytorski]

⁴²*lupanar* (daw., z łac.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

Róża pochodzi z rodziny, która czternaścioro dzieci ulokowała wszędzie: w klasztorze i w lupanarze, w seminarium duchownym i w kredensie⁴³, w milicji robotniczej i w „Tercio”, słynnej legii cudzoziemskiej Maroka, gdzie zresztą służą przeważnie Hiszpanie i która jest dziś strażą pretoriańską⁴⁴ gen. Franco⁴⁵. Gdybym nie był napisał, kim jest Róża, gdybym tylko powiedział, że poznałem w Hiszpanii rodzinę, która swych członków rozlokowała wszędzie, na lewicy i na prawicy, u Franca i u Caballera⁴⁶, w klasztorach i w damach magnackich, w przemyśle i w Meksyku, powiedzielibyście: cóż to za rodzinna mafia. Ale rodzina Róży nie była mafią, choć trzeba było nie lada przemyślności, żeby tak rozlokować czternaście osób. Rodzina Róży nie była mafią, bo jej brat z „Tercia” nie jest nawet kapralem, a jej brat z przemysłu zarabia cztery pesety⁴⁷, a jej brat mający do czynienia z magnaterią jest do pomocy w kredensie pewnego *conde*. Rodzina Róży pochodzi z Murcji, kraju minifundiów⁴⁸, hiszpańskiego Rzeszowskiego, spotęgowanego, a raczej spierwiastkowanego do płachetków gruntu. Murcji, gdzie najczęściej rodzi się dzieci i najczęściej dzieci umiera, Murcji, która dostarcza Hiszpanii dziewczek ulicznych i lokai, jak Andaluźja dostarcza byków, a północna Galicja zaopatruje możliwe domy Madrytu w mamki i *nurse’y*⁴⁹. Motorem, który pchnął całe pokolenie Róży do „Tercia”, do klasztoru, do domu publicznego, do milicji ludowej i do pałacu magnata, był właśnie ów stosunek liczbowy 14 dzieci do 1 1/2 morgi. Motorem, który prowadził ekspansję całej Hiszpanii za morza, który zaludnił trzynaście republik Ameryki Południowej, cały kontynent, całą część świata, ludźmi krwi iberyjskiej, były wielkie rodziny małorolnych. Rodzina Róży nie zdobyła dla siebie nic. Ani tytułów, ani godności, ani pieniędzy. Z trudem zdobywa chleb. Siostra Róży, posługująca w klasztorze, żeby zdobyć ten chleb, musiała wyrzec się najprostszego ludzkiego szczęścia; Róża, żeby go zdobyć, musiała wyrzec się go także, ale w zgoła odmienny sposób, musiała stać się wszystkich, jak tamta była niczyja. Ale niemniej potok takich jak Róża rodzin, potok spadający na równiny ze wzgórz najwyższej nędzy, bardziej niż Kolumb i trwalej niż Cortez⁵⁰ zdobył dla Hiszpanii i utrzymał dla hiszpańskości światy równe tylko koloniom Wielkiej Brytanii. Potęga „infrahistoryczna” Hiszpanii. Myślałem o niej, czytając słowa o takich właśnie ludziach, pisane w *El torno al casticismo* przez Miguela Unamuno⁵¹:

Bieda, Dziecko, Państwo,
Kolonializm

„Fale historii z całym swym szumem, ze swą pianą mieniącą się w blaskach słońca przelewają się jedynie nad morzem samym, olbrzymim i głębokim, którego dna nigdy nie musnęło słońce. Wszystko, co nam codziennie przynoszą dzienniki, gdy mówią o »obecnym historycznym momencie«, jest tylko powierzchnią, która krystalizuje się i krzepnie w książkach i archiwach, pozostając bez znaczenia dla tego życia infrahistorycznego, które pod nią wrzało, podobnie jak ziemia, którą depczemy, jest tylko osłoną olbrzymiego gorejącego ogniska, które sobą zasłania. Nic nam nie mówią dzienniki o milczącym życiu milionów ludzi bez historii, którzy o każdej godzinie dnia i w każdym kraju globu ziemskiego wstają do pracy, sięją i orzą, podobni owym koralowcom na dnie oceanów, które przecież na barkach swej mrówczej twórczości wynoszą nad powierzchnię wód wyspy dziejów. To na tle tego milczenia milionów głos innych nabiera życia i echa. To na

Historia, Milczenie, Pozycja
społeczna, Lud

⁴³*kredens* (daw.) — służba stołowa, pełnienie obowiązków związanych z podawaniem do stołu w pałacach i dworach. [przypis edytorski]

⁴⁴*pretorianie* — straż przyboczna cesarza rzymskiego. [przypis edytorski]

⁴⁵*Franco, Francisco* (1892–1975) — hiszpański generał i polityk, współorganizator buntu wojskowego i przywódca nacjonalistów w czasie hiszpańskiej wojny domowej (1936–1939), *caudillo* (wódz) Falangi Hiszpańskiej; po zwycięstwie dyktator wojskowy, premier rządu, naczelny dowódca sił zbrojnych. [przypis edytorski]

⁴⁶*Caballero, Francisco Largo* (1869–1946) — hiszpański działacz związkowy i polityk, od września 1936 do maja 1937 premier rządu republikańskiego. [przypis edytorski]

⁴⁷*peseta* — dawna waluta hiszpańska; w 2002 zastąpiona przez euro. [przypis edytorski]

⁴⁸*minifundium* (z łac.; hiszp. *minifundio*) — małe gospodarstwo rolne; w przeciwieństwie do *latyfundiów*, ogromnej posiadłości ziemskiej należącej do jednej osoby lub organizacji i stanowiącej podstawę bogactwa i znaczenia politycznego jej właściciela. [przypis edytorski]

⁴⁹*nurse* (ang.) — niania, piastunka. [przypis edytorski]

⁵⁰*Cortez*, właśc. *Hernán Cortés* (ok. 1485–1547) — hiszpański konkwistador, zdobywca Meksyku. [przypis edytorski]

⁵¹*Unamuno y Jugo, Miguel de* (1864–1936) — hiszpański pisarz, dramaturg i filozof, należący do tzw. pokolenia 1898. [przypis edytorski]

głowach olbrzymiej społeczności milczących stoją ci, co robią hałas w historii. A jednak to życie podhistoryczne, milczące i zwarte jak głębiny morza, jest istotnym twórczym postępu, tradycją prawdziwą i wieczną, inną niż kłamiwa tradycja szukana przez nas w księgach i archiwach, kamieniach i pomnikach...”

Tak, niezawodnie, oto jest potęgą infrahistoryczna. Światy poniżej historii. Róże i jej rodzeństwo nie obchodzi nic nie tylko klasyfikatorów dobrych i żadnych rodzin, nie obchodzą nic historyka, który się do nich nie dogrzebie swym skalpelem, uwięzłym w pergaminach kanclerskich i w sekcji tajemnic buduarów rokoka. Promień legendy nie przeniknie do tych warstw głębinowych, w których zamiast rekinów i wielorybów odnajdzie świat na poły mięczakowy, na poły roślinny, imponujący jedynie swym ogromem, bezkształtny i bezkostny. Milczy o nim przeszłość. Akta klasztoru w Monsalvat mówią, że w roku 1193 Ataulf i Blanca, małżonkowie, ofiarowali klasztorowi swą służkę, Serenę, „wraz z jej potomstwem”. Oto w takich wypadkach, takimi ubocznymi, inwentarzewo-porządkowymi zapiskami podpływają ku naszej pamięci dowody, że w świecie, który miał błędnych rycerzy, gdzie modliły się w chórach klasztornych córki Piastów, Arpadów i Lancastrow, gdzie w dziedzińcach klasztorów dyskutowali scholastycy i święci, były jeszcze warstwy podgłębinowej ludzkości, żyli, obok naszych, przodkowie Róży. Ale nie da się przecież zaprzeczyć, że te warstwy podgłębinowe parły na historię swą mięczakową, bezimienną masą, że to ich parcia silniej niż ambicje ministrów wyniosły Hiszpanię, że to ich pochód trwalszy niż ekspansja misjonarska zdobył i utrzyma olbrzymi, niezgruntowany dziś jeszcze, kontynent. Co będzie, jeśli jutro zwyciężą ci, których „Tercio” jest kolumną czołową? Co będzie, jeśli pojutrze zwyciężą inni, których taranem jest milicja ludowa, milicja ludowa innego z braci Róży? Czy znowu tylko jeden strzęp z tego kolektywu mięczaków historii oderwie się, wejdzie w ten krąg życia, gdzie ciała stają się twarde, nabierają osobowości, dźwigają się na poziomy dostępny sondzie historii? Czy trzynastoro pozostałego rodzeństwa będzie dalej tylko trwało, rozmnażało się, odnawiało, czy też samo wejdzie całą masą w orbitę nowego istnienia?

Z tej pozycji pozahistorycznej, innej niż pozycja tysięcy walczących i wierzących, widziała Róża historię. Róża nie zastanowiła się nad tym, że przebiegając przez plac Katalonii w dzień walki o hotel Colón, można było dostać kulą naraz z paru stron: Róża знаła nikłą wartość, jaką posiada jej życie. Róża widziała więc wszystko. Widziała rzeczy najgorsze i widziała heroizm. Róża widziała, jak ginęły zakonnice, widziała, jak robotnicy brali szturmem karabiny maszynowe regularnej armii. Z bocznej ulicy wypadł naraz sznur wozów ciężarowych, sprzęgniętych jeden z drugim, i walił całym pędem na ustawiony za schronem karabin maszynowy. Nie było już dlań ratunku, bo za zestrzeloną załogą pierwszego samochodu ukazywała się załoga drugiego i trzeciego i w pełnym tempie waliła prosto na nich. Tym łatwym sposobem strategii walk ulicznych zduszono powstanie barcelońskie⁵². Róża była wszędzie. Widziała, jak żołnierze zrzucali kurtki mundurowe, przyłączając się do ludu. Widziała, jak z płonących klasztorów wychodzili księża z krzyżem w ręku i jak nad nimi zakotłował tłum. Róża jadła z milicjantami w pałacach i na srebrze, dostała trzy szyldkretowe⁵³ wachlarze. Potem rewolucja zwycięska przewaliła się przez Różę dziesiątkami nowych przelotnych kochanków. Ładna dziewczyna pieściła milicjantów i twórców szturmówek, młody legion bohaterów rewolucji i nową szlachtę Hiszpanii, gięła się pod naporem nowego dla niej człowieka, twardszego, łapczywszego, ciężej ciosanego niż ten, który był przedtem. Orkan rewolucji przechodził w pewien sposób i ponad nią, i ludzie ci brali ją tak samo, jak brali piękne pokoje, miękkie łoża, srebra stołowe i miejsca w najlepszych kawiarniach, jak z twardego bruku przedmieść zeszedli na miękkie, grube dywany bogatych domów mieszkalnych. Rewolucja bardziej jeszcze Różę wzięła, niż wyzwoliła czy podniosła. Róża pozostała Różą. Przetrwała rewolucję proletar-

⁵²powstanie barcelońskie — zapewne mowa o ulicznych starciach między siłami rządowymi (Gwardia Szturmowa) a milicjami anarchosyndykalistów, które miały miejsce w Barcelonie między 3 a 8 maja 1937, w czasie wojny domowej w Hiszpanii; przybycie posiłków Gwardii z Walencji doprowadziło do zawieszenia broni i zaprzestania walk; tzw. dni majowe w Barcelonie stanowiły kulminacyjny epizod konfliktu między przedwojenną prawowitą władzą republikańską a nurtem rewolucji hiszpańskiej. [przypis edytorski]

⁵³szyldekret a. szylkret — tworzywo otrzymywane z pancerza żółwi morskich, używane do wyrobu drobnych przedmiotów. [przypis edytorski]

Historia, Lud

Rewolucja, Kobieta,
Kobieta "upadła", Ciało,
Handel, Obraz świata

riacką, jak przetrwała monarchię i republikę mieszczańską, przetrwała to wszystko, czego nie przetrwały w tym kraju klasztory, a co przetrwała, na przykład, *corrida*. Byki dalej krwawią się na arenach, dziewczyny dalej uśmiechają się w cieniu latarni. Róża się temu nie dziwi, nie pragnie, żeby było inaczej. Więcej. Róża nie sądzi, żeby inaczej być mogło. Róża kłopotczy się raczej, że na jesieni będzie nowy plon konkurencji świeżej i młodej, że przyjdą inne dziewczyny, tak jak dwa lata temu Róża z głębokiej Murcji, wtedy gdy roboty rolne się skończą, winogrona się zbierze w polu. Zbiór winogron wymaga wiele uwagi, więc i wiele rąk do pracy, dziewczyn wówczas się nie puszcza. Gdy *la cosecha*⁵⁴ jest skończona, ręce stają się zbędne, a jedne więcej usta umniejszać będą codzienną zawartość misy. Róże idą do miasta, przeważnie wiedząc po co. W tym kraju, gdzie słońce wyzłaca nędzę i kurz, na ulicach zamienia w jakiś złoty pył, jakiś promyk ozłocenia pada na dziewczyny uliczne i zamienia je w *Carmeny*⁵⁵ z oper. Na targach, na jarmarkach, na jesiennych odpustach umawia się dziewczyny, przedsiębiorca wypłaca rodzicom cenę, zajmuje się ulokowaniem dziewczyny. Róża była ładna i miała szczęście. Przedsiębiorca cenil sobie dobrze tę dziewczynę krzepką i uśmiechającą się bez przymusu, ulokował ją możliwie korzystnie. W ten sposób segreguje się coroczny zbiór winogron, przeznaczając je na wino, na eksport, na konsumpcję w kraju i rodziny. W podobny sposób, z tą różnicą, że nie na jesieni, lecz na wiosnę, inni przedsiębiorcy taksują młode byki z wielkich hodowli w Andaluzji i Estramadurze. Które do Barcelony i Madrytu, które do Sewilli i Kordoby, które wreszcie do Almerii, które do małych, czwartorzędnych miasteczek i aren. W tym roku nic się nie zmienia, wszystko będzie jak zawsze. Potrzeba może więcej dziewczyn niż zwykle.

Róża wyjaśnia mi to bez cienia ironii, z fachowością, z jaką robotnik fabryki tytoniu objaśnia mnie, że w tym roku trzeba będzie wzmóc tempo produkcji, choć sam nie jest przecie tym, który na wzmożeniu tempa najwięcej zarobi. Rewolucja obok oblicza grozy i heroizmu ma oblicze swobody, użycia, nieskrępowania. Tłum, który zawsze lubił wydawać, wydaje więcej niż zawsze. Olbrzymia masa milicji ludowej, gdzie każdy dostaje dziesięć peset dziennie, stwarza nową klasę średniozamożnych, o mało zróżnicowanych sposobach użycia, nielicznych rodzajach rozrywki, klasę, u której uciechy płciowe nie są dystansowane innego rodzaju radościami. Tylu ludzi wydzwignęło się z nicości, tyle mienia zmieniło posiadaczy, tyle pieniędzy łatwo nabytych sprawia szczególniejsze ożywienie. Łatwo to sobie dopowiedzieć. Tu zmieniło się wiele, wiele bogactw runęło w Madrycie i Barcelonie, wiele nowych potęg i nowych potentatów urosło na cokole dymiących barykad. Na wsi zaś nie zmieniło się nic, czy niewiele. Po dawnemu Murcja jest prowincją minifundiów, nie dorosło tam morgów⁵⁶, zapewne tylko przybyło dzieci. Jak przed wiekami czynna jest dynamika poczęć i rodzeń, która całymi falami emigracji zalewała niegdyś pampasy⁵⁷ Amazonki, produkuje proletariat fabryczny Barcelony, górniczy czarnej Asturii, a Hiszpanię srogich obyczajów, cnotliwych panienek i narzeczonych, świętych zakonnicy i wiernych małżonek, nasycy corocznie odnawianym żniwem łatwych kobiet. W tym dziwnym kraju, gdzie przekleństwa łączą w sposób u nas nieznaną religię z nierządem, świętość z rynsztokiem.

Róża przeciąga się dalej, obok nas, na piasku wytwornej plaży. Ta plaża, trzy szyldkretowe wachlarze, zmiana klienteli, noce przespane w panińskich pokojach wypłoszonych rewolucją hrabianek — oto zdobycz społeczna Róży. Róża postąpiła w drabinie społecznej, na którą wstąpiła w dniu, gdy wysoki autobus wywiózł ją z parafialnej mieściny, w dzień odpustu. Ale drabina pozostała drabiną i to, gdzie teraz jest Róża, to jedynie wyższy nieco szczebel w hierarchii, która zna wytworne kurtyzany i chustkowe czy rogówki. Róża należy dalej do tych warstw infrahistorycznych, do owej ludzkości głębinowej Unamuna, której nie sonduje myśl historyka, której nie portretuje Velazquez⁵⁸,

⁵⁴*cosecha* (hiszp., r.ż.) — zbiór, żniwa. [przypis edytorski]

⁵⁵*Carmen* — tytułowa postać opery Georges'a Bizeta 1875, kobieta często zmieniająca kochanków, niezdolna do stałego uczucia. [przypis edytorski]

⁵⁶*morga* a. *mórg* — dawna miara powierzchni gruntu, nieco ponad 0,5 ha. [przypis edytorski]

⁵⁷*pampasy* — południowoamerykańskie stepy. [przypis edytorski]

⁵⁸*Velazquez, Diego* (1599–1660) — hiszpański malarz barokowy, związany z dworem Filipa IV; znany portrecista. [przypis edytorski]

a nawet Goya⁵⁹. Burza, która grzmi tam w górze, przewala się masami wód, miazdzy i zaptapia, otwiera przepaście i podnosi bałwany, przewala się mimo wszystko wysoko ponad nią. Nie mąci, nie zatrważa i nie zmienia mięczakowatej roślinności tej bezosobowej masy płynących poprzez czas milionów, które niezdolne kierować swym losem, zmieniają swym naporem historię.

POGROM I ODNOWA

W szerokim korytarzu muzeum jest tak tłoczno od postaci, że musimy iść teraz jeden za drugim. Nigdy nie widziałem większego nieładu arcydzieł i bohomazów, dzieł sztuki i tandety. Wszystkie świątki przydrożnych kapliczek podhalańskich, wszyscy święci i apostołowie mariackiego Wita Stwosza zesłi chyba do korytarza muzealnego, wyglądającego jak krypta, jak schron przeciwlotniczy, do którego schroniono się w popłochu i skamieniano w trwodze. Ma twarz doprawdy frasobliwą ów Chrystus w długiej szacie, zastygł wielki, matczyń ból na łzawej twarzy drewnianej Mater Dolorosy⁶⁰, Andaluzyjki z epoki gotyku. Wiemy, co oznacza ta grupa Świętej Rodziny, uciekającej ku palmom Egiptu, wiemy, przed jaką grozą i przed jakim Herodem. Ale nade wszystko jest tu wielki, olbrzymi krucyfiks. Wylamano go z jakiejś kaplicy wielkopiątkowej klasztoru w Monserrat, średniowiecznego Monsalvatu, św. Graala i Richarda Wagnera. Tkwił tam w mroku, w pustelni górskiej, klęczały przed nim pokolenia, krwawiły pod razami biczowań plecy, słały się kadzidla i myśli ludzkie, a teraz uniesiono go, rzucono na ciężarówkę, przewieziono po asfaltowanych drogach i ustawiono w korytarzu muzeum, lamusa rzeczy i czasów, które przeszły. Niegdyś nie śmiano podnieść ku niemu oczu, a oto my patrzymy prosto w twarz, oglądamy, jak ogląda się rzeczy z muzeów, wyprężone przez rzeźbę ścięgna rąk i nóg, ugięcie złamanych gołeni, żebrowania piersi wypięte łukiem nad wklęsłą zapadłością brzucha. Młodzi milicjanci, którzy przed chwilą podrzinali z peruki jakiejś biednej wiejskiej Madonny, przyprowadzanych włosów i nakładanych na rzeźbę sukienek, patrzają teraz niemo na tę twarz wyciągającą się ku górze ostatnim wysiłkiem zmartwiałej na krzyżu szyi, z ostatnim rozchyłającym wargi jękiem. Ci ludzie musieli widzieć śmierć, musieli ją zadawać. Być może, że rozstrzelali z wyroku sądu, być może, że nocą chwyтали podejrzanych, wywozili ich za miasto i strzałem w plecy czy głowę upraszczali procedurę rewolucji. Musieli wpadać do klasztorów i powtarzać w nich sceny z Żeromskiego⁶¹, palić i zabijać. Teraz, w biały dzień, w muzeum i na spokojno, widzą obraz śmierci. Ten obraz dopiero przeraża. Chrystus z Monserrat, Chrystus z legendarnej świątyni Graala zza siedmiu gór i mórz, i rzek, zszedł na rozkaz rewolucji z czterech ścian swej kaplicy. Ciężki samochód odstawił go do wielkiego, nowoczesnego miasta, w którym spalano kilkadziesiąt kościołów, klasztorów i kaplic, a żadnego z nich nie pozostawiano religii. Najmłodsze pokolenie przyszło go oglądać jako dzieło sztuki i eksponat muzealny — i oto patrzy nań teraz inaczej, niż się patrzy na dzieło sztuki i eksponat muzealny.

W wielkich kościołach Hiszpanii było pusto, z roku na rok stawało się coraz puściej, choć król na podmadryckim Cerro de los Angeles⁶², w geograficznym środku Hiszpanii, odczytał akt oddający ten kraj pod szczególną opiekę Sercu Jezusowemu, choć stanął tam pomnik Ukrzyżowanego, z ramionami rozpostartymi nad miasto, choć nie zmniejszyła się liczba kardynałów, choć na znaczkach pocztowych umieszczano wizerunek papieża. Obok setek ludzi, którzy biczowali się w klasztorach, spali na kamiennych posadzkach i nosili włosiennice, były miliony, które o mszy świętej nie miały, po prawdzie, żadnego wyobrażenia. Wyrastało całe młode pokolenie wielkich miast, proletariackie i walczące. Obchodziło z daleka kościoły hiszpańskie, ze szlacheckimi herbami swych fundatorów

⁵⁹ Goya, właśc. *Francisco José Goya y Lucientes* (1746–1828) — hiszpański malarz, grafik i rysownik; nadworny malarz królów Hiszpanii: Karola III Burbona, Karola IV Burbona i Ferdynanda VII Burbona. [przypis edytorski]

⁶⁰ *Mater Dolorosa* (łac.) — Matka Bolejąca; w dziełach plastycznych i muzycznych: przedstawienie Marii jako matki cierpiącej po ukrzyżowaniu Jezusa. [przypis edytorski]

⁶¹ *Musieli wpadać do klasztorów i powtarzać w nich sceny z Żeromskiego* — odniesienie do powieści *Popioły* Stefana Żeromskiego, w której zawarte są sceny walk armii polskiej walczącej u boku Napoleona w Hiszpanii. [przypis edytorski]

⁶² *Cerro de los Angeles* (hiszp.: Wzgórze Aniołów) — wzgórze w Hiszpanii, w mieście Getafe, ok. 10 km na płd. od Madrytu, stanowiące geograficzny środek Półwyspu Iberyjskiego; na szczycie znajduje się XIV-wieczny klasztor oraz Pomnik Najświętszego Serca Jezusowego, wybudowany w 1919 przez króla Alfonsa XIII. [przypis edytorski]

na frontonie, zbyt podobnymi do godel na karetach diuków i na guzikach liberii mar-
kizów. Zachowało, muśnięte czasem poprzez innych, w bardzo wczesnym dzieciństwie,
wspomnienie jakichś sodalicji⁶³ czy kongregacji⁶⁴, zbiórek i bractw, tanich karmelków,
którymi częstował *el señor cura*⁶⁵, do których mieszał się zapach mdlącego kadzidla — ca-
łości czczej, nieprzekonywającej co do celowości swych praktyk i wreszcie dosyć nudnej.
Ponad to wszystko stawała później groźba religijnych zakazów, widmo grzechu i potę-
pienia wiecznego, zbyt słabe, żeby od uciechy powstrzymać, dość silne, żeby niejedną
z nich, przynajmniej zrazu, zamącić trwogą. Wreszcie jeszcze potem, już znacznie póź-
niej, *señor cura*, kościół, krzyż i religia — wszystko to stawało, czy zdawało się stawać, na
drodze, którą wytyczano przyszłość, utożsamiało się ze wszystkimi wrogami, znajdowano
to wszystko w poprzek strajków, prac związkowych, żądań i postulatów.

Religia stała się wtedy nie tylko czymś czczym, ale i szkodliwym. Formą, która nie
tylko nie posiadała już treści, ale posiadała ją wrogą. Materiał palny był odtąd zebrany do
syta. Wystarczyło iskry, żeby padła i żeby swym ogniem spaliła tysiące kościołów Hisz-
panii. Wystarczyło strzałów, żeby powiał wiatr, który wydarł ze świątyń i przeniósł do
muzeum szczątki i strzępy arcydzieł. Milicjanci patrzą na Chrystusa z krzyża nie tylko jako
na swoją własność — przecież należy już teraz do *patrimonio del pueblo* — ale także jako
na swoją zdobycz, swój własny wojenny łup. Po wielu latach, a może po raz pierwszy, na
to zdarte z wzniosłości ołtarzy patrzy jako na rzecz i własność, nie jako na Boga i Pana. To
czym zaślaniano się przed nimi, ich ojcami i ich klasą, czym zażegnawano tyle wysiłków,
tyle podmuchów buntu, zostało rozbrojone z potęgi wierzących mas, armii sutann, pie-
niądza i aparatu, jest tylko muzealnym eksponatem, nagim, zwlęczonym ze wszystkiego,
jak ów skazaniec, którego mękę przedstawia. I niewątpliwie po raz pierwszy, tu i teraz
właśnie, poczyna do nich wyrazem swej męki przemawiać. Milicjanci milczą „Wspaniałe
dzieło, co?” — przerywa kłopotliwe milczenie mój *cicerone*⁶⁶. Milicjanci nie odpowiadają
mu nic, tak jakby myśleli właśnie o czymś, co się nie mieści w żadnym pojęciu sztuki
i wartości.

Muzea hiszpańskie są czymś zupełnie odrębnym wśród wszystkich muzeów świata,
a ich twórcy byli niewątpliwie najlepszymi organizatorami muzeów. Madryckie Prado,
dziesięciokrotnie mniejsze od galerii Luwru czy londyńskich, jest skarbcem najpiękniej-
szych arcydzieł, doborem klejnotów najpierwszego blasku. Muzea sowieckie rządzą się
doktrynerstwem, wyliczają, ile korcy⁶⁷ żyta kosztowała ta a ta monstancja, jaki jest pro-
cent arystokratów, wojskowych, duchownych, a jaki chłopów i robotników wśród świę-
tych wymalowanych w kijowskim soborze Włodzimierza. Już dawno barcelońskie mu-
zeum wylawiało każdą kafelkę⁶⁸ mozaiki rzymskiej, każdy architrav⁶⁹, każdą kolumnienkę
z wirydarzy⁷⁰ zniszczonych romańskich klasztorów i wszystko to umieszczało z powro-
tem w ramach, które odtwarzają otoczenie, wmurowywało w sklepienia jak z warownych
kościółów, w łuki i absydy⁷¹, umieszczało w świetle czy mroku, w blasku świec wosko-
wych czy w brzasku padającym przez małe szybki gotyckie wtapiane w ołów. Jest sala
w tym muzeum, gdzie na kolumnach poszczerbionych stuleciami, pozbieranych ze świą-
tyń, po których już dawno nie ma śladu, a pięknych i smukłych, stanęły, pozbierane jak
one, Madonny, otulone w swe kamienne fałdy gotyckich szat, z twarzami dzieci i dziew-
czyn, z uśmiechami matek nad niemowlęciem. Rząd Madonn kamiennych, niesionych
na głowicach kapiteli⁷², idzie ku nam, a dla tych milicjantów, z których każdy przeszedł

Religia, Rewolucja

Matka Boska, Sztuka

⁶³sodalicja — katolickie stowarzyszenie religijne skupiające osoby świeckie. [przypis edytorski]

⁶⁴kongregacja — rodzaj katolickiego zgromadzenia zakonnego, w którym składane są jedynie proste śluby. [przypis edytorski]

⁶⁵*el señor cura* (hiszp.) — ksiądz. [przypis edytorski]

⁶⁶*cicerone* (wł.) — przewodnik. [przypis edytorski]

⁶⁷korzec — dawna jednostka objętości ciał sypkich. [przypis edytorski]

⁶⁸kafelkę (B. lp r.ż.) — dziś popr.: kafelek (B. lp r.m.). [przypis edytorski]

⁶⁹architrav — w budowlach antycznych belka leżąca bezpośrednio na górnej części kolumny. [przypis edytorski]

⁷⁰wirydarz — wewnętrzny dziedziniec, otoczony krużgankami (długimi gankami), często z ogrodem lub studnią. [przypis edytorski]

⁷¹absyda a. *apsyda* — półkoliste lub wieloboczne pomieszczenie dostawione do bryły świątyni i otwarte do jej wnętrza, zwykle zamykające prezbiterium, niekiedy nawę. [przypis edytorski]

⁷²kapitel — głowica, najwyższa część kolumny, łącząca ją z belkowaniem, zwykle ozdobiona rzeźbą. [przypis edytorski]

kurs bezbożniczy, oto przecież dziś tylko jedna postać więcej z owej „szkodliwej legendy”, naiwna historia dziewicy-matki, człowieka-syna-Boga, wątek, który uczeni odnajdą w wielu religiach przeszłości, dla ludzi z ulicy prozaiczne, zgoła nie cudem tłumaczone wydarzenie. Ciśnie się tak na usta uśmiech, który będzie bluźnierczy, i zamiera w połowie drogi.

Z każdej z siedemnastu Madonn gotyckich i romańskich, renesansowych i najprostszych idzie przez salę najprawdziwsze, utajone w spuszczonej oczach, w zgięciu rąk, w fałdach szaty, religijne piękno. To piękno ma w sobie coś, co nakazuje szacunek i co swym irracjonalizmem przerywa wszystkie bezbożnicze tłumaczenia boskiego pochodzenia Chrystusa. Jest coś z tego w Madonnach najstarszych, ociosanych zaledwie z grubsza, gdzie całe piękno kryje się wkoło oczu i ust, w schyleniu głowy, w zamyśleniu czoła. Oto te wszystkie Madonny ustawiono tutaj, dawno przed rewolucją, tylko jako cenne rzeźby, tylko i wyłącznie jako dzieła sztuki, i oto wszystkie one przeczą wyraźnie temu, że są tylko dziełami sztuki, tylko odmienną od antycznej inkarnacją⁷³ kobiecego piękna. Nie można obronić się przed myślą, że były dziełem natchnienia innego niż zachwyt nad pięknem cielesnym, innego niż ten, jaki odczuwał Fidiasz wobec Aspazji⁷⁴, Canova wobec Pauliny Bonaparte⁷⁵. Uczono młodych żołnierzy milicji ludowej, że nie ma natchnienia bożego w Piśmie Świętym, w Ewangeliach i Apokalipsie, dziełach, o których uczy kościół, że są z natchnienia Bożego — a teraz zapada w ich dusze myśl, że te pomniki niewiadomych artystów, artystów prostych i małych, których nazwiska zagubiła historia, mogły powstać przecież jedynie jako owoc najgłębszego natchnienia, łaski dającej odczuć niepojęte, uduchowienia pozwalającego oddać niematerialne. W innych salach przejdziemy wkoło porąbanych rzymskich Wenus⁷⁶, wydobytych z zawałonych świątyń, wkoło odkopanych bogiń o zapomnianych imionach, ujrzemy ślad piękna ludzkiego wyrwywający się z potraskanych brył marmuru, — ale tylko tutaj, u Madonn zeszytych z ołtarzy świątyń, znajdziemy coś, co jest wizerunkiem nie piękna ludzkiego już, nie rasy i ziemi, ale boskości.

*

Przynoszono tu srebrne, kute w rzeźby płyty z ołtarzy, tryptyki wyrwane z płonących kościołów, odrzwia i części ambon, tabernacula⁷⁷ i monstrancje. Rzucano to w nieładzie, pomieszanym z kapami i stulami, ze srebrami stołowymi i porcelaną, z tandetą i z skarbami, jakich nie ma w naszych klasztorach Północy. W jednym dniu kościół został złupiony ze wszystkich dzieł, jakie poprzez sztukę niesło mu religijne natchnienie całych wieków. Muzeum chroni te resztki — bo niewątpliwie to tylko resztki — których nie pochłonęła rewolucja, których nie rozdrapały chciwe ręce, nie rozdarło i nie rzuciło w ogień zniszczenie. Dlaczego niszczone tak zajadle, z taką wściekłością, z taką pasją?

Nie ma, niestety, żadnej odpowiedzi, która by zadowalała, jest wiele, które wręcz kłamią. Przede wszystkim teza, że kościoły i klasztory były twierdzami, z których strzelano do tłumu. Otóż, jeśli chodzi o Barcelonę, gdzie rewolucja 19 lipca miała przebieg najkrwawszy, oskarżenie wymienia tylko trzy klasztory, przy czym sprawdzalność tego oskarżenia mogłaby jeszcze podlegać dyskusji. Jak wytłumaczyć tutaj spalenie pozostałych trzydziestu dwóch, którym podobnego zarzutu nie wytaczano? Ale i zarzut strzelania

⁷³inkarnacja — wcielenie. [przypis edytorski]

⁷⁴Fidiasz wobec Aspazji — Fidiasz (490–430 p.n.e.): najwybitniejszy rzeźbiarz grecki okresu klasycznego; autor m.in. posągów Ateny Promachos i Ateny Partenos na ateńskim Akropolu oraz posągu Zeusa w Olimpi, zaliczanego do siedmiu cudów świata starożytnego; Aspazja z Miletu (ok. 470–ok. 400 p.n.e.): wpływową kochanką (później zapewne żoną) ateńskiego przywódcy Peryklesa; słynęła z urody, wykształcenia i inteligencji, jej dom stanowił intelektualne centrum Aten, gdzie spotykali się najznakomitsi pisarze i myśliciele. [przypis edytorski]

⁷⁵Canova wobec Pauliny Bonaparte — Antonio Canova (1757–1822): włoski rzeźbiarz, malarz i architekt, czołowy przedstawiciel klasycyzmu, autor m.in. wykonanej na zamówienie rzeźby *Paulina Borghese jako zwycięzca Wenus* (1804–09), ukazującej półnagą piękność na wysokim szeszlangu; *Paulina Maria Bonaparte* (1780–1825): ulubiona siostra cesarza Napoleona, przez krótki czas żona włoskiego księcia Camillo Borghese. [przypis edytorski]

⁷⁶Wenus (mit. rzym.) — bogini miłości i piękna, odpowiednik greckiej Afrodyty. [przypis edytorski]

⁷⁷tabernaculum (łac., lm. *tabernacula*), pol. *tabernakulum* — szafka służąca do przechowywania hostii. [przypis edytorski]

z trzech pozostałych jest dosyć złudny. Przede wszystkim głównymi punktami powstania wojskowego wcale nie były kościoły, ale hotel Colón i dwa gmachy wojskowe w porcie. Hotel Colón nie został spalony, choć był centralą gen. Godeda⁷⁸, choć stąd najęśniej i najcelniej strzelano do ludu, gmachy w porcie nie uległy zniszczeniu. Z domów w mieście, z których strzelano do milicji, również żaden nie został spalony, chyba w walce wręcz. Natomiast kościoły padły prawie wszystkie, z wyjątkiem katedry, pastwą ognia i zniszczenia. Kierownicy powstania, oficerowie i generałowie, zostali uwięzieni, oddani pod sąd. Księżę i zakonnic nie sądzono. Zabijano na miejscu.

Można by to wszystko rozszerzyć, można wyjść poza Barcelonę. W Barcelonie byli księża, były zakonnice, którzy zdołali ująć, schronić się i ukryć. Barcelona jest miastem wielkim jak Warszawa. Ale jest jeszcze prowincja, a na prowincji zabito wszystkich księży. W Tarragonie, katalońskim Gnieźnie, pełnym kościołów i klasztorów, urządzono szczególnie krwawą masakrę. Cała wieś hiszpańska, dokąd tylko sięgnęła rewolucja, zastała pozbawiona księży. Step kastylski i naga sierra, skaliste wzgórza, gdzie wszystko widać z daleka, nie są dobrym miejscem ukrycia. Biskupi, z których wielu było właśnie w Rzymie lub korzystając z lata, znajdowało się w San Sebastian, letniej stolicy Hiszpanii, zdołali na ogół ująć. Ale niższy kler jednego z najbardziej katolickich krajów zostali zlikwidowani w tempie gwałtowniejszym niż to uczyniono w Meksyku, znacznie, bez porównania gwałtowniejszym niż to zrobiono w Rosji. W skutkach powstania wojskowego bardziej ucierpiał ołtarz niż koszary. Nawet rewolucjoniści nie twierdzą, że w dn. 19 lipca wszyscy proboszczowie ze wszystkich dzwonnicy na wsi strzelali do ludu czy milicji. Wymordowani zostali wszyscy. Pierwszą hekatombą ofiar rewolucji francuskiej byli arystokraci i dworacy, rosyjskiej — właściciele ziemscy. Hiszpańskiej byli księża. Można mówić o rozpolitykowaniu, ale ostatecznie trudno się dziwić, że kler hiszpański mało żywił sympatii do anarchistów czy komunistów, i trudno mieć o to pretensję. Można mówić o rozpuszczeniu, która jest tu niesłychanie często stawianym zarzutem, ale jeśli i ten zarzut przyjmujemy na wiarę, wszystko to razem wzięte jeszcze nie uzasadnia masakry. A powiedziałem, że wedle tego, co mi mówili tak wiarogodni ludzie jak Ventura Gassol, kataloński minister oświecenia, jak Miravilles, młody szef milicji Barcelony, zwycięzca w walkach ulicznych, wypadki zbrojnego współdziałania z powstaniem były nieliczne, nie odegrały żadnej roli, a wreszcie zakonnicy jednego z obsadzonych przez wojsko klasztorów mogli zawinąć tam akurat tyle, co właściciele zajętego w ten sam sposób, jako baza przyszłych operacji wojennych, hotelu Colón.

A jednak ośmieliłbym się być zdania, że rewolucja ludowa rządziła się trafnym swych interesów instynktem, gdy całą moc swego ciosu skierowała nie przeciw armii, nie przeciw bankierom, nie przeciw młodej Hiszpanii falangistów⁷⁹, lecz przeciw kościołom i klasztorom. Trafnym instynktem w tym znaczeniu, że uderzyła w to, co było największą siłą moralną stojącą jej na drodze. Wszystko, co było starą Hiszpanią, dawną Hiszpanią, stało kościołem w tym kraju, gdzie królowie porzucali trony, żeby się zamknąć w klasztorze, gdzie budowali swe pałace i klasztory. Nigdzie tak jak na tym pograniczu niebezpieczeństwa mużułmańskiego, feudalizm i duch feudalizmu nie zespolił się z katolicyzmem, nie stworzył z nim razem wielkiej budowy nowoczesnego państwa Karola⁸⁰ i Filipa⁸¹ ze zlepku górskich królestw⁸². Ale cele, jakie sobie stawiano, rozpoczynając tę budowę, zreali-

⁷⁸ *Goded, Manuel* (1882–1936) — hiszpański generał, jedna z kluczowych postaci w lipcowej rebelii przeciwko Drugiej Republice Hiszpańskiej; dowodził powstaniem wojskowym w Barcelonie; schwytyany i stracony przez rząd republikański. [przypis edytorski]

⁷⁹ *falangista* — członek Falangi Hiszpańskiej, faszystowskiego ugrupowania, założonego w 1933; podczas wojny domowej w armii prawicowych rebeliantów przeciwko siłom rządowym służyło 150 tys. falangistów, którzy tworzyli zmilitaryzowane oddziały. [przypis edytorski]

⁸⁰ *Karol V Habsburg* (1500–1558) — syn Filipa I Pięknego i Joanny Szalonej (córci Ferdynanda II Aragońskiego i Izabeli I Kastylijskiej); w 1516 jako Karol I został królem jednocześnie Kastylii i Aragonii, co uznaje się za moment powstania Królestwa Hiszpanii; od 1519 nosił tytuł cesarza rzymsko-niemieckiego jako Karol V; abdykował w 1556. [przypis edytorski]

⁸¹ *Filip II Habsburg* (1527–1598) — syn i następca Karola V Habsburga, król Neapolu i Sycylii, Hiszpanii i Portugalii, władca Niderlandów; za jego panowania Hiszpania osiągnęła szczyt potęgi: stanowiła supermocarstwo obejmujące dużą część Europy, kolonie w Ameryce, na wybrzeżach Afryki, Indii i Azji Płd.-Wsch. [przypis edytorski]

⁸² *państwa Karola i Filipa ze zlepku górskich królestw* — Hiszpania powstała przez zjednoczenie drobnych państw chrześcijańskich pod wodzą dwóch najsilniejszych królestw: Kastylii i Aragonii. [przypis edytorski]

zowano już dawno, przed wiekami. Budowa dalej stała, więzy karność dalej były więzami karność, *grand*⁸³ nadal był *grandem*, oficer był nadal rycerzem. Zadanie, jakie wykonać miała cała ta machina, zostało osiągnięte, nowego sobie nie znaleziono. Wysilek ciężący na masach pozostał wysiłkiem. Żyły dalej w cieniu kościoła i cieniu zamku, chciano, żeby żyły tak samo w cieniu fabryki i sztolni. Siłą, która mogła żądać od ludzi takiego życia, mogła być tylko idea, był nią więc kościół. Kościół hiszpański na przełomie wieków nie znalazł nowych *Ximenesów*⁸⁴, którzy by wskazali sobie nowe, współczesne cele i do ich wykonania zaprzęgli cały zapas swych sił, całą moc swej moralnej potęgi. Potrafił wznieść się tylko ku patronowaniu akcji wyborczej *Gil-Roblesa*⁸⁵. Tak jak *régime* monarchistyczny w Hiszpanii sądził, że wykaże swą rację bytu, asfaltując gorliwie szosy. A to jednak, jak na kościół katolicki i jak na dziedziców Karola V, było nieco za mało. Tym, tylko tym, trudno było uzasadnić prawo do władzy i rządu dusz! Ruszywszy w bój, znaleźszy w stanowisku obu wielkich sił Hiszpanii swego wroga, masy rewolucyjnie uderzyły weń najsilniej. Był to trafny instynkt walki, gdy palono najpiękniejsze kościoły, niszczone najpiękniejsze arcydzieła — hołdy, jakie Hiszpania składała kościołowi swym talentem. Było to cofnięcie się i przegrana, gdy tłum stanął przed portalem gotyckim katedry, zatrzymał się przed obrazem *El Greca*⁸⁶, przed krucyfiksem średniowiecznym.

Było to cofnięciem się i przegrana, ale było to także momentem, gdy nóż sekcyjny doktryny napotkał na opór najtwardszy. Odtąd musiał kruszyć nie tylko narzędzia, którymi kościół może jeszcze odnieść zwycięstwa, ale musiał ciąć poprzez wszystko najbardziej hiszpańskie, najbardziej własne. Tych krucyfiksów, których realizm jest straszliwy, tych *El Greców* o nadludzkim wyrazie, tych *Madonn* poczętych w natchnieniu rzeźbiarza, portali z kamiennych litanii, nie sposób oddzielić od katolicyzmu i nie sposób oddzielić od hiszpańskości. Rozdział kościoła od państwa wobec obrazu *Murilla*⁸⁷ lub *Zdjęcie z krzyża*⁸⁸, oddzielenie w nim tego, co jest katolickie, od tego, co jest hiszpańskie, możliwe jest tylko przez zniszczenie. Szwy sztuki, głębokie szwy idei, która dawała niesłychane głębie natchnienia, łączą niewzruszenie katolicyzm i hiszpańskość, pomimo milicji ludowych i złych księży, pomimo *Queipy de Llano*⁸⁹ i *Pasionarii*⁹⁰, niezależnie od tego, kto jutro, a kto za lat sto będzie panem Madrytu. Można by przenieść dzieła kościołów hiszpańskich do Watykanu, do Polski, do Kochinchiny⁹¹, ale Chrystusy i *Madonny* rozniosą tylko po kościołach Rzymu i Krakowa wielkość sztuki hiszpańskiej. Można wszystkie *El Greci* i *Murille* osadzić w muzeach bezbożniczych i przyszłe pokolenia, niewiedzące nic

⁸³*grand* — arystokratyczny tytuł hiszpański. [przypis edytorski]

⁸⁴*Jiménez de Cisneros, Francisco* (1436–1517), w ówczesnej pisowni hiszp.: *Ximenes*, czyt.: *himenes* — hiszpański duchowny i mąż stanu, franciszkanin; spowiednik Izabeli I Katolickiej (od 1492), arcybiskup Toledo (od 1495), kardynał i wielki inkwizytor Kastylii (od 1507), forsował konwersję podbitych muzułmanów na katolicyzm, przeprowadził reformę Kościoła katolickiego w Kastylii, zwiększającą dyscyplinę wśród duchowieństwa; założył uniwersytet w Alcalá de Henares, utrzymał liturgię gocką (mozarabską) w katedrze toledońskiej, wydając mszał i brewiarz w tym rycie; zorganizował pierwsze wydanie drukiem pełnego tekstu Biblii w językach oryginalnych z łacińskim przekładem (*Biblia Poliglotta*); zdobył Oran (1509) w Afryce Płn., był jednym z regentów Kastylii, później regentem Hiszpanii. [przypis edytorski]

⁸⁵*Gil-Robles y Quiñones, José María* (1898–1980) — polityk hiszpański, zwolennik państwa korporacyjnego, członek organizacji katolickich; współzałożyciel (1933) i przywódca Hiszpańskiej Konfederacji Prawicy Autonomicznej (CEDA), federacji partii prawicowych zmierzającej do wprowadzenia ustroju autorytarnego, głoszącej obronę religii i tradycyjnego porządku; w wyborach w 1936 CEDA poniosła klęskę; partie lewicowe utworzyły Front Ludowy dysponujący ponad 60% głosów w parlamencie; po wyborach *Gil-Robles* został szefem opozycji parlamentarnej, podczas wojny domowej polecił swoim zwolennikom poprzeć generała *Francisco Franco*. [przypis edytorski]

⁸⁶*El Greco*, właśc. *Domenikos Theotokopulos* (1541–1614) — hiszpański malarz, rzeźbiarz i architekt pochodzenia greckiego, w 1577 zamieszkał w Toledo w Hiszpanii. [przypis edytorski]

⁸⁷*Murillo, Bartolomé Esteban* (1617–1682) — hiszpański malarz barokowy. [przypis edytorski]

⁸⁸*Zdjęcie z krzyża* — tytuł wielu dzieł sztuki ukazujących moment zdjęcia Chrystusa z krzyża; tu zapewne: późnogotyckiego obrazu Rogiera van der Weydena, znajdującego się w muzeum Prado w Madrycie. [przypis edytorski]

⁸⁹*Queipo de Llano, Gonzalo* (1875–1951) — hiszpański generał, uczestnik hiszpańskiej wojny domowej po stronie nacjonalistów. [przypis edytorski]

⁹⁰*La Pasionaria* (pseud.), właśc. *Ibárruri Gómez, Dolores* (1895–1989) — hiszpańska działaczka komunistyczna, współorganizatorka i członkini władz Komunistycznej Partii Hiszpanii; parlamentarzystka; znana z pełnych pasji wystąpień w obronie republiki w okresie wojny domowej; autorka używanego przez antyfaszystów zawołania: „*No pasarán!*” (Nie przejdą), użytego przez nią na jednym z wieców w Madrycie. [przypis edytorski]

⁹¹*Kochinchina* (hist.) — dawna nazwa Wietnamu lub jego pld. części (od 1862 do 1945 stanowiącej część francuskiej kolonii Indochin). [przypis edytorski]

o papieżach, spowiedzi, mszy i różańcu, powiedziałyby jeszcze, że żadna religia, żadna idea, nie wyraziła się w sztuce takim przeblyskiem ponadludzkiego piękna.

Pozostawało spalić, pozostawało zniszczyć, i istotnie tłum wiedziony instynktem niszczył tam, gdzie nie chcieliby niszczyć przywódcy, niszczył po to, aby już nigdy ze zgrozy nad tym Chrystusem, z zachwytu nad tą słodką Madonną nie powstały na tej ziemi kościoły i kler, majątki kościelne i feudalizm, przerzucony, jak mumia wyschła, aż w XX wiek. Ale żeby zniszczyć to najgłębsze w salach muzeum Barcelony, miasta czerwonych sztandarów i pomordowanych księży, do milicji ludowych i bojowców barykad, do socjalistów i anarchistów przemawia religia poprzez piękno poczęte z ich krwi, z ducha ich narodu i rasy. Powoli sale muzeum zamieniają się w kościół. Konający Chrystus z Monserratu sam jest dla siebie ołtarzem.

Nie można, nie można tego oddzielić. Można to było zniszczyć, zniszczono wiele, ale to, co zostało, rzuca dalej swój czar na naród, jeden z najbardziej podatnych wrażeniom sztuki. Nie można oddzielić dzieła sztuki od religii, religii od narodu, który właśnie swą wiarę w sztuce wyraził. Ale wtedy, w takim muzeum, rozumie się ów szal niszczepnia, którym był owładnięty tłum hiszpański, szal, którego wszyscy się tu wstydzą, nikt wytłumaczyć nie umie. Jest w *Orlątku*⁹² Edmonda Rostanda scena, gdy Metternich tłumaczy księciu Reichstadtowi, że to nie krew Cezara odezwała się w jego żyłach, że to nie rysy Korsykańina znaczą w jego twarzy, że to po matce cała przeklęta, niezdolna do czynu przeszłość habsbursko-makabryczna, austriacko-kastylska wzięła w nim górę:

*Peux-tu te regarder, la nuit, dans cette glace,
Sans voir, derrière toi, monter toute ta race?
— Vois, c'est Jeanne la Folle, au fond, cette vaporeur!
Et ce qui, sous la vitre, arrive, avec lenteur,
C'est la pâleur du roi dans son cercueil de verre!...*

I syn Napoleona tłucze, przerażony, lustro, w którym mu pokazano jego nienawistne, a niewątpliwie filiacje⁹³, chce zapomnieć o tym wszystkim, co jest jego przeszłością i zmorą. Ale jest to tylko stłuczenie lustra, i nic więcej. Dalej błąka się blady cień Joanny Szalonej⁹⁴, dalej ma w oczach trwożne spojrzenie Don Carlosa⁹⁵. Przeszłość tragedii i degeneracji wlecze się... jego śladem. U stóp niejednego z hiszpańskich portali, niejednego El Greca i niejednego Chrystusa załamał się w ludzie instynkt rewolucji, zupełnego, na wieki wieków zerwania z przeszłością. Cokolwiek by się stało, powlecze się ona teraz jego śladem, spojrzysz w oczy, zapadnie w serce. Prędzej czy później wszędzie nowa ruń wiary, zakrzepłej w tym pięknie ludzkim natchnieniami czasów świętej Teresy i Jana od Krzyża⁹⁶, zachowanej w tym skrzepnieniu aż po nasze czasy. Najlepszym, najgłębiej czującym, najszerze zakresy świata ogarniającym — objawi się najsamprzód⁹⁷. Roznieci w nich na nowo tęsknotę do tego poza nami, czego nie obejmą kolchozy, nie wyczerpią wysiłki piatiletek⁹⁸, podniesienia dobrobytu, radiogłośnik, urlop pracowniczy i ford. Nie wiedzieć

⁹²*Orlątko* — sztuka francuskiego dramaturga Edmonda Rostanda (1868–1918) o synu Napoleona I, księciu Reichstadtowi, zwanym Orlątkiem (fr. *L'Aiglon*). [przypis edytorski]

⁹³*filiacja* (z łac. *filiatio*: synostwo) — powiązanie pomiędzy osobami oparte na pochodzeniu. [przypis edytorski]

⁹⁴*Joanna Szalona* (1479–1555) — córka Izabeli I Katolickiej i Ferdynanda II Katolickiego, nominalna królowa Kastylii (od 1504) i Aragonii (od 1516); zdradzała objawy niezrównoważenia psychicznego; po śmierci jej męża, Filipa I Pięknego z rodu Habsburgów, została odsunięta od władzy i uwięziona, rządy w jej imieniu sprawował ojciec, następnie syn. [przypis edytorski]

⁹⁵*Don Carlos* (1545–1568) — odsunięty od władzy syn króla Hiszpanii Filipa II Habsburga; przez część historiografii przedstawiany jako chory umysłowo i zdeformowany; według legendy miał być szaleńczo zakochany w swej macosze, a Filipa II, który uwięził Don Carlosa, udaremniając próbę jego ucieczki z kraju, podejrzewano o zabicie syna (przez zagłodzenie); romantyczną interpretację losu królewicza hiszpańskiego stworzył Fryderyk Schiller (1759–1805) w dramacie *Don Karlos*, na podstawie którego powstała opera Giuseppe Verdiego (1813–1901) pod tym samym tytułem. [przypis edytorski]

⁹⁶*Jan od Krzyża*, hiszp. *Juan de la Cruz*, właśc. *Juan de Yepes y Alvarez* (1542–1591) — hiszpański zakonnik, teolog, autor poezji i pism mistycznych, reformator zakonu karmelitów; kanonizowany w 1726. [przypis edytorski]

⁹⁷*najsamprzód* a. *nasamprzód* (daw.) — najpierw; przede wszystkim. [przypis edytorski]

⁹⁸*piatiletka* (z ros.: pięcioletka) — pięcioletni plan rozwoju gospodarki narodowej ZSRR. Od 1928 przyjmowano kolejne takie plany: pierwszy z nich, na lata 1928–1932, zakładał zlikwidowanie prywatnej własności

nawet kiedy zegniesz im kolana i złożysz, jak zapomnianym już dziadom, ręce, nie wiedzieć kiedy wyrwie im z piersi okrzyk tęsknoty i podziękuję — pacierz codzienny.

*Finis Cataloniae?*⁹⁹

W trzy dni po moim przyjeździe do Barcelony oddałem listy polecające do dwóch dygnitarzy: Ventury Gassol, poety, katalońskiego ministra oświecenia i Jaime'a Miravilles, niegdyś wykładowcy w robotniczej szkole technicznej, dziś szefa katalońskich milicji ludowych, zwycięzcy w walkach ulicznych. Poza nader uprzejmym przyjęciem uzyskałem od władz nowy glejt bezpieczeństwa, opatrzony mnogością pieczęci i podpisów. Naza jutrz zgłosiłem zapotrzebowanie na przydzielenie mi i zarekwirowanie dla mych celów zawodowych rzeczy dla dziennikarzy tak oczywiście niezbędnej jak samochód, i ta nader naturalna prośba została przychylnie załatwiona w błyskawicznie krótkim przeciągu czasu — niecałej półgodziny. Maszyna biurokracji rewolucyjnej, powolna i ociężała, gdy chodziło o sprawy paszportowe, wykazała, widocznie nabytą przez praktykę pierwszych tygodni przewrotu, zadziwiająco sprawność. Odchodząc, myślałem tylko, że w tym pięknym kraju łatwiej o cudzy samochód niż o własny paszport.

Muszę zedrzeć jednak maskę i powiedzieć, że ów piękny plan nie wyszedł ode mnie. Obmyślił go po prostu sam właściciel zarekwirowanego samochodu, mój nowy znajomy, ów Vergnolles, którego myśli krążyły ustawicznie wokół najlepszego sposobu zabezpieczenia swego wozu przed losem wszystkich samochodów hiszpańskich. Vergnolles doszedł do wniosku, że na zarazę „inkautacji” nie ma lepszej ochrony niż nieszkodliwa szczepionka pozorowanej czy polubownej rekwizycji. Na jego to prośbę udałem się do odpowiednich czynników, wymieniałem cel mego przybycia, wskazałem upatrzony już numer samochodu, załatwiłem parę innych szczegółów. Wyszedłem stąd z odpowiednim pismem, a Vergnolles dopełnił reszty operacji, uzyskując zaświadczenie, że jest szoferem przydzielonym do obsługi wozu. Jako szofer uzyskał legitymację zawodową i prawo poruszania się „po całym terytorium antyfaszystowskim”. Oto jak z tępionego burżuazja można się stać uprzywilejowanym, obdarzonym zaufaniem proletariuszem, a w dodatku zabezpieczyć sobie swą własność. Za kilka dni przez Walencję i La Manczę ruszamy do Madrytu. Przejedziemy samochodem pół Hiszpanii, ogarniętej ogniem rewolucyjnym jak Ukraina w 1918 roku, przenikniemy przez płonący kraj Don Kichota. Bardzo jest nieprzyjemny ten Vergnolles, ze swoim dość podejrzaną autentycznością „de”, z tymi sposobami na uchronienie samochodu i wykiwanie rewolucji. Ale projektowana wyprawa ma też swoją wymowę, zwłaszcza w takiej chwili, i dlatego kapituluję ostatecznie.

A jednak nie dla wszystkich problem chwili obecnej zamknął się wokół zagadnienia, jak uchronić swe życie i co można ze swej własności. Vergnolles powtarza bez zrozumienia wielkie słowa o rewolucji proletariackiej: jej sens zwięża mu się w istocie do willi na Paralelo i limuzyny. Podobnie niejedni milicjanci, niejedna dziewczyna, niejedni autentyczni rewolucjonista i proletariusz ogarnia całość najbliższej przyszłości. Jest pijany swym wydzwignięciem się ponad całą, zdruzgotaną przezeń, drabinę społeczną, swym zwycięstwem nad oficerami, bankierami i księżmi, kadzeniem mu inteligentów z radia i prasy, buńczuczными wiadomościami z frontu. Trudno i jemu ogarnąć całość wszystkich dokonań, skutków i następstw tego, co zaszło. Tylko że jeszcze są ludzie w Katalonii, którym jeden samochód i willa nie zakryją całego świata i których głęboka ludzka wiedza, mądrość połączona z wykształceniem, pozwala dojrzeć to, czego nie widzą tamci.

Drugi z kolei mój znajomy należy — na swe nieszczęście — do takich. Jego niewątpliwe ludzkie nieszczęście jest nieszczęściem niejako nieosobistym, oderwanym od tego rodzaju nieszczęść co utrata życia czy majątku, co nawet strata ukochanych osób; unosi się ono w stratosferze przerastającej rozmiary nieszczęść, jakie mogą dotknąć Vergnollesów. Jest to nieszczęście inteligenta-ideowca. Jest to nieszczęście postępowca, socjalisty nawet, i Katalończyka.

Rewolucja, Naród,
Nacjonalizm, Mieszczanin,
Robotnik, Historia

środków produkcji, rozwój rolnictwa i przemysłu ciężkiego; drugi, na lata 1933–1937, przewidywał likwidację resztek kapitalizmu i podziałów klasowych, zaprowadzenie socjalistycznego sposobu produkcji jako jedyne go w państwie oraz dalszą szybką przebudowę przemysłu. Ostatnia, trzynasta pięcioletka (1991–1996) została przerwana z powodu rozpadu Związku Radzieckiego. [przypis edytorski]

⁹⁹*Finis Cataloniae?* (łac.) — Koniec Katalonii? [przypis edytorski]

Jest to najpierw nieszczęście ideowe Katalończyka wobec tej rewolucji. W pałacu dawnej rady barcelońskiej, weneckiego senatu tej hiszpańskiej królowej mórz, rezyduje nowy rząd kataloński. Jest autonomiczna republika, cel marzeń całych pokoleń Katalończyków. Ale mój przyjaciel wie, że to jest pozór tylko, że mającą przez wiek w oddali samoistność Katalonii stoczy się teraz do rzędu takich samoistości jak Ukraina czy Gruzja, zamiast wynieść się do rzędu Litwy czy Łotwy¹⁰⁰. Kwestia katalońska, która odzywała się tak silnie w ostatnich kilkudziesięciu latach, zamiast rozwiązania doczekała się obecnie przekreślenia. Cóż to była bowiem kwestia katalońska? Silna warstwa mieszczańska i drobnomieszczańska, wyrosła szybciej, niż to się stało w reszcie Hiszpanii, nasiąkłej ideami z Europy, gdy Kastylija broniła się przed nimi zawzięcie — liberalizmem, niechęcią do supremacji wojskowo-szlachecko-klerykalnej, antagonizmem w stosunku do centralistycznej stolicy — oto były jej podstawy. Walka o język w szkole i urzędzie, własna literatura, odgrzebywanie w historii własnych bohaterów narodowych, szukanie w nich antenatów¹⁰¹ walki z Madrytem — to wszystko było tylko nadbudową owego społecznego podglebia. Po rewolucji 20 lipca nadbudowa ta jeszcze istnieje. Jej podstawa społeczna runęła za to w otchłań. Kwestii katalońskiej dziś już nie ma. Nie wie o tym Vergnolles, nie wiedzą milicjanci, może nie wie Companys, pochłonięty walkami dnia. Mój przyjaciel wie o tym dobrze.

Kwestii katalońskiej dziś już nie ma, bo nowoczesne mieszczaństwo, które tę sprawę podjęło i wyniosło, nie zdołało jej zapewnić zwycięstwa w erze liberalizmu, w erze rozkwitu wszelkiego mieszczaństwa, bo obalenie monarchii i autonomia katalońska przyszły jako późny jesienny owoc, owoc drzewa, które przestało już rodzić, zdobycz warstwy, która politycznie odchodzi już w przeszłość. Kwestii katalońskiej nie ma, bo nowa warstwa robotnicza, która nadeszła, właściwie nic o tej sprawie nie wie. Złożyło się na to wiele czynników, ale u ich podłoża stało przede wszystkim uprzemysłowienie Katalonii. Było niezwykle silne. Ludność przemysłowej Barcelony to połowa mieszkańców Katalonii. Taka proporcja sił mówi za siebie. Proletariat robotniczy Barcelony ulegał od lat wpływowi anarchosyndykalizmu głoszącego federację całej Hiszpanii, bez specjalnego wyodrębnienia Katalonii. Proletariat ten, jak wiele innych proletariatów, mało okazywał zainteresowania sprawami językowo-narodowościowymi. Wreszcie uległ on niezwykle silnej infiltracji żywiołów z rdzennej Hiszpanii, z Kastylii, z Andaluzji, z Murcji. Czwarćta część mieszkańców Katalonii urodziła się poza jej granicami. Walka 20 lipca odbyła się pod sztandarami socjalizmu i komunizmu, anarchizmu i syndykalizmu, trockistów i stalinowców, ale w tej powodzi czerwieni jedno zeszło do roli pustej dekoracji — barwy katalońskie. Jako burżuazyjne zamknięte zostały liczne dzienniki katalońskie, rozbite partie katalońskie, organizacje. Lewica katalońska gra coraz mniejszą rolę w rządzie, gdzie przychodzą ministrowie coraz bardziej czerwoni. Nie dlatego że katalońska, dlatego że nieproletariacka. Ciosy wymierzone w pozycje społeczne podważają zarazem narodowy stan posiadania. Monarchia hiszpańska nigdy nie byłaby w stanie dokonać podobnej unifikacji tego kraju, jakiego dokona tutaj rewolucja proletariacka.

Nie można powiedzieć jeszcze, co przyjdzie, ale jeśli zwycięży rewolucja, nastaną rządy mniej lub więcej podobne do sowieckich, może z większymi wpływami kapitału zagranicznego, może mniej w stylu Rosji, bardziej w stylu Meksyku. Jeśli zwyciężą wojskowi, nadejdzie zapewne okres srogiej reakcji: Queipo de Llano, generał-histrion¹⁰², który codziennie wymyśla i zlorzeczy przez radio sewilskie, nie mówi o Katalończykach inaczej niż „te psy katalońskie”. Tak czy inaczej, losy kwestii katalońskiej wydają się przesądzone. Odejdzie ona do archiwów historii, tak samo jak warstwa, z której rozkwitem pojawiła się na widowni, ale od której nigdy odłączyć się nie mogła.

Rozwój, rozwój przemysłowy. Jeszcze kilkanaście lat przed wojną przemysł tutejszy nie był skoncentrowany, rozbity na małe warsztaty, licznych przedsiębiorców, nielicznych robotników. Lata wojny i dostaw wojennych unowocześniły go, pomnożyły jego

¹⁰⁰takich samoistości jak Ukraina czy Gruzja, zamiast wynieść się do rzędu Litwy czy Łotwy — w okresie międzywojennym Ukraina i Gruzja wchodziły w skład ZSRR jako republiki związkowe, tj. utworzone na podstawie etnicznej jednostki podziału administracyjnego, podporządkowane władzom centralnym, natomiast Litwa i Łotwa były niepodległymi państwami. [przypis edytorski]

¹⁰¹antenat (z łac.) — przodek. [przypis edytorski]

¹⁰²histrion (z łac.; daw.) — podrzędny aktor, błazen, komediant. [przypis edytorski]

proletariat w setki tysięcy, stworzyły z tego proletariatu wielką klasę społeczną. Ale znowu postulat taniej pracy kazał przedsiębiorcom sięgać po robotnika z ubogiej Kastylii, z podzielonej na płachetki Murcji. Chłop kataloński był oświecony i zamożny, miał dużo gruntu, mało dzieci. Kwestii rolnej w Katalonii nie było. To kwestia rolna minifundiów murcyjskich, latyfundiów andaluzyjskich, podmywała swym tańszym robotnikiem narodowe podstawy katalonizmu. Róże, bracia Róży.

Nie można wtedy właśnie o nich nie myśleć. Cała ta wojna przetoczy się po ich życiach i ciałach. To z nich wyszły zakonnice mordowane po klasztorach, z nich wyszli robotnicy-milicjanci ginący na frontach, z nich żołnierz z „Tertia”, którego rozstrzelują rządowi. Milczący i bezimienni, przesuwają się poniżej tego, co się nazywa historią. Nie rozumieją nawet swej roli, nie wiedzą, czego dokonał ich napływ coroczny i ogromny do fabryk Barcelony. Zdziwiliby się, gdyby im powiedzieć, że przesądziły losy jeszcze jednej kwestii narodowościowej w Europie, że działali tu to, czego w Poznańskim nie dokonał Bismarck¹⁰³. Nie wiedzieli nawet o istnieniu tego, co unicestwili. A jednak to naprawdę ta masa infrahistoryczna, swym ciśnieniem nędzy i pracy, zwielokrotnionej w miliony, wynosząc na swych barkach uświadomiony proletariat, tworzyła tu historię. To ona dokańcza dzieła unifikacji tego kraju z Hiszpanią, jego kastylizacji. W tym dziele — dziwnym przypadkiem losu — jest kontynuatorem polityki pierwszego Burbona na tronie Hiszpanii: to Filip V¹⁰⁴, wnuk Króla-Słońca, miażdżył początki katalońskiego separatyzmu. — Jak niespodziani następcy dokończą dziś, sami o tym nie wiedząc, jego dzieła!

„A WTENCZAS DON KISZOT...”

Pędzimy szosą do Walencji, między górami z prawej, morzem z lewej strony, wśród skał i sadów oliwnych zamożnej wsi katalońskiej. Ale przed każdym *peublo* — wsią, miasteczkiem czy miastem — czeka nas, niczym za czasów średniowiecza, zbrojna warta. Tam, gdzie dochowały się resztki baszt miejskich, przypomina to naprawdę dawne wieki. Zwłaszcza że ta warta nie ma najczęściej karabinów: jest to jakieś pospolite ruszenie broni cywilnej wszelkiego rodzaju i wszystkich roczników. Są tu pukawki stróżów nocnych, są angielskie sztucery myśliwskie, są wreszcie fuzje, z których strzelano zapewne do szwoleżerów¹⁰⁵ cesarza Napoleona. Wartownikami nie są wojskowi, tym mniej policja, są to miejscowi chłopcy, od piętnastoletnich wyrostków do sześćdziesięcioletnich staruchów. Na widok samochodu zrywa się ich kilku z jakiejś ławy i podnosząc broń do góry, zagradza sobą szosę:

— *Alto!*

Wóz staje, a siedzący przy kierownicy Vergnolles podaje pierwszemu z brzoza nasz list żelazny¹⁰⁶. Chłop bierze i zaczyna go powoli oglądać. Reszta patrzy mu przez ramię. Trwa to długo, bardzo długo, i nigdy nie jesteśmy pewni, czy aby nie jest to udawanie lektury. Gdy lektura się przedłuży, Vergnolles dorzuca czasem, jakby od niechcenia, jakiś komentarz. Ludzie wtedy mówią z pośpiechem jakieś hiszpańskie „aha, aha”, jakby właśnie to samo, co im mówi Vergnolles, wyczytali w dokumencie i dobrze o tym wiedzieli. Niekiedy jeszcze o coś pytają. Wtedy Vergnolles — niezależnie od tego, o co pytają — wydobywa drugi dokument — ów akt „inkautacji” jego samochodu i przydzielenia go do moich usług — i pakuje go pod nos czeredy. Zwykle w takich momentach

¹⁰³Bismarck, Otto von (1815–1898) — niemiecki polityk konserwatywny, jako premier Prus doprowadził do zjednoczenia państw niemieckich (1871), w powstałej Drugiej Rzeszy pełnił funkcję kanclerza; prowadził pozabawioną sentymentów politykę z pozycji siły, zyskując miano Żelaznego Kanclerza; zwalczał ruch socjalistyczny, w zaborze pruskim prowadził intensywną germanizację ludności polskiej. [przypis edytorski]

¹⁰⁴Filip V Hiszpański (1683–1746) — król Hiszpanii z dynastii Burbonów (od 1724), wnuk króla Francji Ludwika XIV, zwanego Królem-Słońce, i Marii Teresy Habsburg, córki króla Hiszpanii Filipa IV; podczas wojny o sukcesję hiszpańską Aragonia, Katalonia, Walencja i Murcja uznały za swego króla ostatniego męskiego przedstawiciela Habsburgów, Karola III; w wydanych przez Filipa Dekretach de Nueva Planta (1707–1716) zlikwidowano dotychczasową odrębność instytucji i systemów prawnych królestw wchodzących w skład Hiszpanii, w szczególności zniesiono aragońskie i katalońskie Kortezy (zgromadzenia przedstawicielskie), wprowadzono jednolite kastylijskie prawa i język kastylijski jako język urzędowy. [przypis edytorski]

¹⁰⁵szwoleżer — żołnierz lekkiej kawalerii. [przypis edytorski]

¹⁰⁶list żelazny a. *glejt* — dokument wystawiony przez władze, zezwalający posiadaczowi na przejazd przez podległe im terytorium i zapewniający mu bezpieczeństwo osobiste. [przypis edytorski]

ja wyciągam jeszcze mój osobisty glejt i trzymam go w gotowości, dwaj zaś milicjanci, którzy siedzą wewnątrz wozu, poruszają się trochę niecierpliwie. Są to młodzi chłopcy, zaręczeni z dwiema siostrami, milicjanci, którzy kwaterowali w naszym hotelu i mieli się udać do Madrytu. Jadą z nami niby eskorta. Ich granatowe milicyjne mona, karabiny i proletariacki wygląd robią wrażenie:

— *Passa!*

Ale u wyjścia z puebla jest to samo, nowa warta, nowa indagacja¹⁰⁷. Znowu twarze chłopskie, srogie, nieufne, w miarę tępe, nachylają się nad szybami. Owszem, może to być nieznośne, zwłaszcza że powtarza się co dwadzieścia kilometrów, że nigdy nie wiadomo, czy taki człowiek nie weźmie którego z nas za przemykającego się cichaczem gen. Franco, że nie ma tutaj puebla, a wśród inwigilantów niewielu jest takich, którzy nie byłiby poznaczeni przelaną krwią. Tylko że w zamian za to osiągnęliśmy rzecz dla automobilistów hiszpańskich bezcenną: oto przez całą drogę z Barcelony do Walencji żaden kamień nie śmignął za naszym samochodem, i takiego bezpieczeństwa już bardzo dawno nie było. Jedziemy spokojni, że przy postoju nikt nam nożem nie przekroi opon, nikt nam nie ściągnie walizy, cóż dopiero mówić o podpaleniu — a jakże często to się zdarzało niegdyś — samego wozu. Bunt zawiści, bunt, który wybuchał sporadycznie za przejazdem lśniących limuzyn, przerósł teraz samego siebie. Rewolucja stała się władzą, zatrzymuje nasze samochody, każe nam stawać, pokazywać papiery, wyjaśniać cel jazdy. Musimy to robić w każdym pueblo, musimy to robić wobec chłopca, który nie umie czytać, wobec parobka (jakby u nas powiedziano: „od wideł”), niemal (jakby znowu u nas powiedziano) „wobec dziewczki od krów”. Oni mogą nas, inteligentów, właścicieli samochodów, dziennikarzy zagranicznych, kto tam nas wie, zatrzymać, mogą zrewidować, mogą uzależnić od swego uznania, czy możemy jechać dalej czy nie. Ale to wszystko nie wyczerpuje ich roli, określa tylko ich władzę. Ich rola to baczenie, aby nie przekradł się nikt podejrzany, aby na ich małym odcinku nie złała się rewolucja, która składa się właśnie z szeregu zwycięstw w takich małych, opuszczonych zakątkach. Jest to walka, w której czują swoją nierówność. Ten chłop, który zaledwie umie czytać, jakżeż rozezna się w dokumentach, pieczęciach i podpisach, zwłaszcza gdy mu taki Vergnolles podsuwa je jedno po drugim? Ten chłop wie, że ma do czynienia z inteligentem, że ten go wciąga na pole, na którym odniesie nad nim łatwe zwycięstwo, że walka toczona w tych warunkach jest mimo tych flint¹⁰⁸ i dubeltówek warty zgoła nierówna, oka sieci bardzo szerokie. I dlatego stara się wygrać, jak wygrał w walkach ulicznych — liczbą. Nie poprzestaje na jednej indagacji, na jednej warcie. Ustawił warty wszędzie, niemal na rozdrożach, przy wjazdach i wyjazdach. Być może, że ryba, która się przemknęła przez dziesięć oczek, zapłacze się w jedenastym, dwunastym, trzydziestym, więc właśnie dlatego, że każde z tych oczek jest w gruncie rzeczy wiązane źle, niewprawne, trzeba, żeby ich było możliwie dużo. Człowiek „od wideł i gnoju”, rozumie — och, jak dobrze i jak boleśnie! — swoją w tym dziele niewprawność.

Biurokracja rewolucyjna wyrasta właśnie z tych dwóch rzeczy: ciemnoty i rewolucji. Rewolucji, która tym ludziom oddała rządy, lokalne przynajmniej, do ręki, ciemnoty — która utrudnia im wykonywanie rządzenia. Piętrzy się ona na drogach Hiszpanii zwałami utrudnień nużących a niezdarnych. Sądzę, że sprytny szpieg przemknie się, niestety, przez nie, bez najmniejszych trudności, a człowiek najbardziej niewinny, ale o trochę słabych nerwach zapłacze się bardzo łatwo. Wobec podstępów nowoczesnego szpiegostwa ludzie ci są uzbrojeni równie nędźnie jak ich towarzysze, ci z flintami napoleońskimi, strzelbami wojen karlistowskich¹⁰⁹. Tylko że jest tutaj coś bardziej istotnego od tego wszystkiego: poczucie odpowiedzialności. Ci ludzie rozumieją dobrze, że są odpowiedzialni za rewolucję i republikę, postawieni na straży, że właśnie im powierzono jej losy w jakiejś Casa de la Montana, w jakimś Barnabo Viejas, w jakiejś Villanueva. Dzieje wielkiej przemiana-

¹⁰⁷ *indagacja* (z łac.) — wypytywanie, przepytanie. [przypis edytorski]

¹⁰⁸ *flinta* — strzelba z zamkiem skałkowym, broń palna używana przez piechotę w XVIII w. [przypis edytorski]

¹⁰⁹ *karliści* — konserwatywni zwolennicy Karola Burbona, hrabiego Moliny; po śmierci swego brata, króla Hiszpanii Ferdynanda VI, który na następcę wyznaczył kobietę, swoją niepełnoletnią córkę Izabelę, uznał on decyzję poprzednika za złamanie tradycyjnych praw dziedziczenia i ogłosił swoje wstąpienie na tron jako Karol V (stąd nazwa ruchu); wywołało to I wojnę karlistowską (1833–1839); mimo brutalnego spacyfikowania ruchu karlistowskiego zwolennicy Karola oraz jego potomków nie ustawali w dążeniach do przejęcia władzy siłą, organizując próby zamachów stanu i powstań w latach 1846, 1855, 1860, 1870, 1872–1876 i 1900. [przypis edytorski]

ny, jej losy i przyszłość, wszystko to rozkłada się obecnie na barki setek tysięcy takich ludzi od Morza Kantabryjskiego¹¹⁰ do Gibraltaru. Dawniej mogli żyć bez tej troski, nie odczuwano potrzeby wykształcenia i książki, rodzice równie niechętnie, jak u nas czasem chłopci, posyłali swe dzieci, przydatne do wypasania bydła, do szkoły. Teraz oświata stała się koniecznością, warunkiem dźwignięcia się i wyzwolenia, utrzymania zdobytych pozycji. Teraz człowiek, który bezradnie obraca niezrozumiałą dokument w swym ręku, będzie wiedział, że aby móc coś stanowić w tym kraju, musi przedrzeć tę tajemniczość, jaka leży między jego oczami a treścią owego glejtu.

Mijamy jakieś wille nad morzem samym, ogrodzone i puste, jakieś domy spalone. W Tarragonie wszystkie kościoły — Tarragona była miastem klasztorów i kościołów, ale także fabryk i dzielnic robotniczych — zostały spalone. Jest wreszcie wieczór, zachód kładzie się nad morzem, gdy dojeżdżamy do Walencji. Znowu jak w Barcelonie wielkie bulwary, pełne ludzi, tłumy robotnicze z karabinami, na spacerze. Hotele są zsekwestrowane¹¹¹. Idziemy do lokalu miejscowego Frontu Ludowego, z prośbą o przydział noclegu. Natrafiamy właśnie na obiad. Panuje atmosfera popisowo serdeczna. Tu już daje się odczuć pewna dbałość o to, jakie wrażenie wywiezie dziennikarz cudzoziemski z Walencji. Rozmowa, zasilana przez gadatliwego Vergnollesa, toczy się szybko. Po kolacji dwaj dygnitarze rewolucyjni obiecują nam pokazać nocne życie Walencji. Jedziemy samochodem do jakiegoś teatrzyku, nieprawdopodobnie obdartego i brudnego, o tandetnych dekoracjach. Cała sala do ostatniego miejsca jest zajęta przez milicjantów. Są to czarne, ogorzone i niegolone od tygodni typy, wrócili z frontu aragońskiego na urlop i przedstawienie jest dla nich. Dostyc wątpliwej wartości komedyjkę przeplatają występy baletu, rzeczywiście doskonałego, poza tym rozebranego powyżej — czy może poniżej — wszystkich granic przyzwoitości. Żołnierze patrzą jak urzeczeni, jakby nigdy nie widzieli dotąd zgrabnych kobiet, a tylko jakieś kulfonowate poczwary. Przez salę faluje ciepło tych wygłodniałych zachwyków. Mój towarzysz z lewej pokazuje szerokim gestem salę i tłumaczy po francusku: „*C'est la révolution qui a donné à ces gens tout cela*”¹¹². W hallu wisi stary afisz jeszcze sprzed rewolucji. Istotnie, chociażby wysoka cena miejsc czyniła już z tego teatru zamknięty sezam.

Uprzejmość i kokieteria rewolucyjna Walencji sięga jednak dalej. Odwożą nas do naszego nowego mieszkania. Nie jest to już zwykły pokój w hotelu. Jedziemy pięknym bulwarem, pustym i ciemnym, aż wreszcie wjeżdżamy w cienisty ogród jakiejś willi. Jest to dom bogatego handlowca, który został rozstrzelany z rozkazu trybunału ludowego, lub może bez rozkazu. Willa stoi pusta, niezajęta, ale mebli jeszcze nie wywieziono. Podczas przedstawienia w teatrze sprowadzono tu brakującą pościel i przygotowano wannę, proponują wybranie pokoi. Nasi możni towarzysze pożegnali nas, życząc dobrej nocy, a milicjanci, odkomenderowani do tego wszystkiego, oprowadzają nas po pokojach porzuconych najwidoczniej w popłochu. Wszędzie walają się jakieś papiery, na stole otwarte książki. Jest mimo wszystko jakoś nieswojo buszować tak po nocy w cudzym domu. Zresztą jestem w tym uczuciu najzupełniej odosobniony: Vergnolles obwąchuje bez żenady wszystkie kąty, taksuje bogactwa rozstrzelanego wroga ludu i kto wie, czyby nie zabrał do kieszeni srebrnej cukierniczki, gdyby jeszcze była. Sympatyczniejsi są już młodzi milicjanci, którzy z nami jadą. Ci tylko najskwapliwiej wleźli do białego panieńskiego pokoju i ulokowali się, nie pytając, w pościelach białych, wąskich łóżek. Na dobranoc powiedzieli mi wesoło jakiś komentarz, zdaje się wyrażający żal, że dawne mieszkanki tego pokoju nie będą im dotrzymywały towarzystwa. Chłopaki zdają się przeżywać pewną szczególną rozkosz z wygniatania swymi proletariackimi ciałami miękkich poduszek seniorit. Vergnolles nie postąpił inaczej. On z kolei ulokował się w łóżu samego właściciela domu, w wielkiej pseudośredniowiecznej budowli, z kolumnami podtrzymującymi nad łóżem olbrzymi baldachim, i także zdaje się przeżywać jakąś szczególną radość z tego snu w takim właśnie łóżu.

¹¹⁰*Morze Kantabryjskie* — używana w Hiszpanii nazwa południowej części Zatoki Biskajskiej, położonej pomiędzy płn. wybrzeżem Płw. Iberyjskiego a płd.-zach. wybrzeżem Francji. [przypis edytorski]

¹¹¹*sekwestr* — zajęcie majątku na rzecz państwa. [przypis edytorski]

¹¹²*C'est la révolution qui a donné à ces gens tout cela* (fr.) — To rewolucja dała tym ludziom to wszystko. [przypis edytorski]

Nazajutrz rano wstajemy dość późno, wyjeżdżamy jeszcze później. Okazuje się, że miał z nami jechać innym samochodem jeden z wczorajszych gospodarzy z Frontu Ludowego, który jedzie jak my na Aranjuez¹¹³. Gdy nie zjawia się, jedziemy sami. Jesteśmy na naszym dwóchsetnym kilometrze, gdy napotykamy samochód bez benzyny. Takie nieszczęścia, przy obecnych niewykwalifikowanych szoferach, zdarzają się dość często. Odstępujemy im nieco naszej, ale że benzynę jest trudno dostać, przeto¹¹⁴ jedziemy z nimi w bok drogi ku *cortijo*¹¹⁵, dawnemu dworowi, w którym obecnie zrobiono *dépôt*¹¹⁶ samochodowe. Droga staje się nieco gorsza, pełnie od głównego szlaku przez wzgórza obsadzone oliwkami. Wreszcie zajeżdżamy przed ów pierwszy dla mnie hiszpański dwór wiejski. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej różnego od polskich. W polu, czy raczej w olbrzymim, ale rzadko rozsadzonym sadzie oliwnym, grupa kilku niewyróżniających się jeden od drugiego budynków, skupionych w czworobok. Skąpy kawałek ogrodu warzywnego i duże podwórze, będące czymś pośrednim między dziedzińcem starożytnego zamku a podwórzem folwarcznym.

Dostajemy benzynę, a zaproszeni, czekamy i na obiad, który się spóźnia, co, jak się okazuje, jest wynikiem wadliwego przebiegu rewolucji. Dzieje *cortija* są ściśle związane z tym opóźnieniem obiadu, które dla wielu spraw może być dość charakterystyczne. *Cortijo* należało do jakiejś „markizy-wdowy” („*marquesa-viuda*” — tak nam o niej mówią), która mieszkała w Madrycie. Nie było zbyt wielkie, lecz jeszcze na parę tygodni przed przewrotem zostało opanowane przez robotników-fornali. Nim wdał się w to rząd, wybuchła rewolucja. Majątek został ograbiony doszczętnie, kilka osób z dawnej służby rozstrzelano. Komitet lokalny uważał jednak dotąd wszystko za swoją wyłączną własność i nie chciał poddać się autorytetowi syndykatu¹¹⁷ robotników rolnych, który dąży do przejęcia na swoje imię całej wielkiej własności. Okupanci *cortija* byli temu przeciwni, tłumacząc, że rewolucyjne ustawy dotyczące socjalizacji odnoszą się do majątków, które w chwili ich wydania były własnością panów; ich zaś *cortijo* stanowiło już w tym momencie własność ludową. Syndykat nie chciał czy nie mógł użyć siły, użył tedy podstępny: w *cortijo* osadzono oddział milicji i urządzono, dość niepraktyczne zresztą, *dépôt* samochodowe. Nieznacznie, zabudowanie po zabudowaniu, nowi goście zaczęli wypierać pierwszych okupantów. W obecnej chwili stosunki wzajemne były jak najgorsze. Fornale odmówili milicji prawa korzystania z kuchni *cortija* i przygotowanie obiadu odbywało się w sposób dość obozowo prymitywny — na dziedzińcu.

Nieco zmęczeni ruszyliśmy z powrotem na szosę. Droga zaczęła się ścielić równiną, wjeżdżaliśmy w La Mancę, pokazały się pierwsze olbrzymie, do zamków i baszt podobne, z ciężkimi płatami swych skrzydeł, wiatraki. Z góry zjechaliśmy ku większemu nieco miastu. Obliczaliśmy właśnie, że najpóźniej na ósmą będziemy w Madrycie, kiedy na drodze pojawiła się zwykła straż. Vergnolles zwolnił biegu, zatrzymał samochód i zaczął wydobywać dokumenty, gdy naraz kazano nam wysiąść. Mój towarzysz chciał o coś zapytać, ale w tej chwili podniosły się ku nam wszystkie strzelby i rewolwery. Jeszcze szybciej znaleźliśmy się nie wobec straży kilku ludzi, ale niemal w tłumie kilkudziesięciu. Zaczęto nas, nie patrząc na dokumenty, przetrząsać, obmacując dokładnie kieszenie, szwy ubrania. Za nami z nie mniejszą dokładnością przetrząsano samochód. Wszystko to trwało prawie pół godziny i odbywało się z niespotykaną dotąd surowością, powtarzaniem tych samych zabiegów przez coraz to innych ludzi. Vergnolles, miętoszony przez dwóch krzepkich milicjantów, zaczął wreszcie pisać o naszym cudzoziemskim pochodzeniu. Niestety, okazało się, że o to chodzi. Ostatecznie wróciliśmy do samochodu, ale nie sami. Przy kierownicy posadzono przygodnego szofera, który zaczął nas wieźć wolno do środka miasta. Tłum zaglądał przez szyby, wygrażając i szydząc. Po chwili wprowadzono nas do dawnych koszar policyjnych i zaprezentowano całej ławie dygnitarzy ludowych siedzących za stołem jak za trybunałem. Zauważyłem, że przedstawiono nas jako cenną zdobycz i że Vergnolles był zupełnie błądy.

¹¹³Aranjuez — miasto w środkowej Hiszpanii, nad rz. Tag, na pld. od Madrytu; letnia rezydencja królów hiszpańskich ze wspaniałym pałacem i ogrodami. [przypis edytorski]

¹¹⁴przeto (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

¹¹⁵cortijo (hiszp.) — wiejski dwór, posiadłość z domem i zabudowaniami gospodarczymi. [przypis edytorski]

¹¹⁶dépôt (fr.) — zajezdnia, miejsce, do którego zjeżdżają na postój pojazdy; skład, magazyn. [przypis edytorski]

¹¹⁷syndykat — związek zawodowy we Francji, Hiszpanii i niektórych innych krajach. [przypis edytorski]

Jakiś dość uprzejmy dygnitarz zapytał nas o nasze narodowości. Wymieniłem polską, Vergnolles — kubańską. Polska wywołała jakby pewne zdziwienie, ale kubańska ściągnęła na Vergnollesa gromy podejrzeń. Zaczęto go długo wypytywać, badać jego papiery, pytać na nowo. Niski i tak, kurczył się jeszcze we dwoje. Wreszcie zrozumiałem, że mówią coś o Włoszech czy o jakimś Włochu. Zrozumiałem też, że Vergnolles zaczyna czemuś gwałtownie zaprzeczać, przysięga, a jednocześnie zwraca się ku mnie i mówi coś o mnie. Za jego słowami oczy inkwizytorów skierowały się na mnie. Zadano mi pytania, których nie rozumiałem. Vergnolles podjął się roli tłumacza. Pierwszym pytaniem po paru najprostszycy było, dlaczego mój paszport nie nosi wizy włoskiej. Powiedziałem, że we Włoszech nie byłem. Po przetłumaczeniu mojej odpowiedzi pojawiły się jakieś szydercze uśmiechy. Zauważyłem, że Vergnolles uśmiechnął się także, i naraz nabrałem przekonania, że gra jakąś dla mnie jeszcze niezrozumiałą, ale dwulicową grę. Miałem wrażenie, że moje zeznania tłumaczy nieściśle. Zapytano o kartę dziennikarską i starano się wytłumaczyć, że nosi jakąś pieczętę włoską. O porozumienie było coraz trudniej. Naraz wszedł do sali nowy inkwizytor, sprowadzony, jak się okazało, specjalnie. Wyglądał roztropnie i mówił dość dobrze po francusku. Po kilku zapytaniach powiedział:

— Tu są poszlaki, że jeden z panów jest szpiegiem włoskim, który, jak nam jest wiadomo, posiada wszystkie papiery w porządku i przekrada się do Madrytu. Towarzysz pana twierdzi, że pana zna od tygodnia i nic o panu nie wie, że pan włada paroma obcymi językami i nie jest mu wiadome, czy pan nie jest Włochem. —

Vergnolles zmieszał się i chciał przerwać. Ale już mu nie dano. Sytuacja była jasna. Odpowiedziałem, że moje papiery są w porządku: paszport, dokumenty dziennikarskie, przepustka. Że nie znam języka i trudno mi się bronić. Że zresztą mogę wyglądać na cudzoziemca, jak to „od razu poznano”, ale w każdym razie z nas dwóch, to na pewno nie ja wyglądam na Włocha... Zaczęłam skarżyć się na posądzenia, żądać wypuszczenia. Ale w tej chwili wszedł jeszcze nowy jeden przybysz, z którym Vergnolles powitał się jak ze zbawcą i który do mnie wyciągnął przyjaźnie rękę. Trybunał ruszył się ze swych miejsc i nie było już mowy o trybunale. Tajemniczy zwrot potem się wyjaśnił. Okazało się, że nadjechał ów dygnitarz walencjański, który miał jechać z nami rano i spóźnił się. Na rogatek powiadomiono go o schwytaniu szpiegów włoskich, a że pełnił właśnie kontrolę policyjną prowincji, więc pojechał jeńców obejrzeć. Już przed koszarami poznał nasz samochód i domyślił się wszystkiego.

Za chwilę byliśmy przy samochodzie, ale okazało się, że nasze rzeczy stały się już własnością milicjantów, którzy dokonali dzieła schwytania niebezpiecznych agentów obcego mocarstwa. Opieka lotnego inspicjenta policji rewolucyjnej przydała się jednak: wszystko wróciło do prawych właścicieli. W pół godziny później ładowaliśmy się z powrotem do wozu. Siadając koło Vergnollesa, zobaczyłem, że jest zmieszany i nic nie mówi, bada dziwnie długo mapę. Przypomniałem sobie jego grę, głupią, bo czyniła z niego w każdym razie pomocnika szpiega, skoro los nas dwóch przed tym trybunałem był niewątpliwie ściśle z sobą związany, tchórzliwą, wywołaną straszaniem rewolwerami i flintami, krzykami tłumu, których ja nie rozumiałem, ale on na pewno dobrze rozumiał, indagacją komunistyczno-anarchistycznego trybunału, ale z tym wszystkim i w miarę nikczemną. Po chwili Vergnolles zaczął szybko tłumaczyć, że o ile pamięta, chciałem zwiedzić po drodze Toboso¹¹⁸. Do Madrytu zajechalibyśmy na noc. Teraz niebezpiecznie. Pokaże mi Toboso. Przenocujemy w Toboso.

Miasto — zdaje się było to Albacete — znikło nareszcie za nami, samochód na nowo toczył się naprzód przez step manczęski¹¹⁹. Na rozdrożu przed Quintanar de la Orden wysiedliśmy przed starą hiszpańską gospodą o mozaikach przedstawiających smętne przygody Rycerza o Smutnym Obliczu¹²⁰ i jego wiernego giermka. Doskonała szosa zawiodła

Więś

¹¹⁸*El Toboso* — niewielkie miasteczko w środkowej Hiszpanii, w prowincji Toledo; znane z powieści *Don Kichot*, jako miejsce, w którym mieszkała ukochana głównego bohatera. [przypis edytorski]

¹¹⁹*manczęski* (neol.) — przym. od La Mancha (wym.: mancza), region historyczno-geograficzny w Hiszpanii. [przypis edytorski]

¹²⁰*Rycerz o Smutnym Obliczu* a. *Rycerz Posępnego Oblicza* — przydomek przybrany przez Don Kichota z La Manchy, tytułowego bohatera powieści Miguela de Cervantesa (1547–1616), szlachcica, który pod wpływem romansów o czynach rycerskich postanawia ruszyć w świat i wcielać w życie średniowieczny ideał rycerski, jest jednak pozbawiony poczucia rzeczywistości, przez co często naraża się na śmieszność; jego giermkim zostaje prostoduszny i przyziemny chłop, Sancho Pansa. [przypis edytorski]

nas aż do Toboso, już w mroku. Małe miasteczko układało się do snu. Zajechaliliśmy do gospody, niemal takiej samej jak ta na szlaku. Samochód przejechał przez wysoki próg, wtoczył się na dziedziniec, gdzie pod strzechą drzemały cztery olbrzymie, mogące swobodnie zmieścić człowieka, amfory na wino. W dużej sali palił się ogień i przepraszano nas za niewygodę i niewybredne jadło. Odzwyczajano się już od cudzoziemców. Piękny, nowoczesny gmach Patronatu Turystycznego, jeszcze jeden spadek po Primo de Riverze¹²¹, stał od dawna pusty. Toboso, położone na boku wielkich dróg i wielkich wydarzeń, przeżuwało sennie swe codzienne, pół rolnicze, pół pasterskie wydarzenia. Wszystko było naraz cofnięte w przeszłość, nieokreśloną co do wieku, ale równie dobrze wczorajszą, jak przedburbońską. Sto i trzysta lat temu tak samo pachniało — może nawet w tej jeszcze sali — świeżo wygarbowanymi skórami, którymi okryto ławy, tak samo przy ogniu siedzieli ludzie, tak samo rozsychały się amfory gliniane z moszczem, tak samo stały uwiązane osły u drzwi gospody. Jeszcze godzinę temu byliśmy przed trybunałem rewolucyjnym jako faszystowscy szpiedzy, jeszcze pół godziny temu jechaliśmy drogą, którą na Madryt odchodziły transporty, karawany samochodowe pełne broni i ludzi. Tu gwarzono o zbiorach, o dziewczynach i sąsiadach. Nie dał się żaden głośnik radiowy, nie wołał ze ściany żaden plakat. Za chwilę może w tej oberży zjawią się dawni goście: błędny Rycerz o Smutnym Obliczu i Sancho Pansa. W swych dziwnych strojach mniej pewno zdziwią tych ludzie niż my, teraz o tej porze, z naszym buickiem¹²².

Sprowadzony przez gospodarzy, przyszedł miejscowy nauczyciel, skromny, starszy już człowiek. Mówił nieco po francusku, miał miły, cichy *timbre*¹²³ głosu, harmonizował dobrze z tym spokojnym schyłkiem dnia w zagubionym kącie La Manczy. Dziwiłem się spokojowi. Jego zdaniem, nie było w tym nic dziwnego. Wojna to są miasta, wielkie drogi, ważne szlaki wojskowe. Toboso żyło dla siebie. Miało wino swych winnic i chleb swych pól, miało wełnę swych owiec i oliwę oliwek. Sprowadzało z zewnątrz mało, bardzo mało. Cóż ludziom Tobosa po Madrycie? Analfabetów? Nie, w miasteczku jest ich bardzo niewiele. Książek?... Chce się pan przejść trochę?

Vergnolles, cały czas skonfundowany¹²⁴, poszedł spać, myśmy wyszli na pueblo. Wzeszła właśnie najpiękniejsza pełnia księżyca nad krajem, w którym żyła kiedyś Aldonsa Lorenzo, w świecie znana bardziej pod mianem Dulciney z Toboso¹²⁵. Światła lampek błyszcząły przez małe szybki. Pod oknami uzbrojonymi w kute i rzeźbione kraty — jak piszą o tym w Baedekerze¹²⁶, jak to się dzieje w *sketchu*¹²⁷ i rewii — *caballerzy*¹²⁸ wioski rozmawiali szeptem z ukrytymi za kratą dziewczynami. Nad drzwiami paru domów nauczyciel pokazał mi wielki krwawy znak, jakby ktoś miotłą umaczał we krwi, a potem chlasnął o nią o mur: krwawy znak oznaczał, że o pannę, która mieszka w tym domu, już się ktoś stara i że jest przyjęty. Ty więc zejdź mu lepiej z drogi, przechodniu.

Nauczyciel dreptał drobnym krokiem, prowadząc mnie za miasto. Mówił, że wielu chłopaków pociągnęło na wojnę. Po czyjej stronie? O, to ma mniejsze znaczenie: na wojnę. I oto jeszcze przyczyna tego spokoju, który widzę. Ci, co byli sercem z walką, która tam się toczy, ze sprawami świata i Madrytu, odeszli. W miasteczku zostali ci, co żyją tylko życiem Tobosa. Weszliśmy w boczną uliczkę i jeszcze dalej, aż przeszliśmy próg jeszcze innego podwórza. Ogień palił się tu pod niebem, konie, osły i barany stały pod ścianą, przed ogniem siedziała grupa młodych i starszych chłopów. Jeden z nich, i to wcale nie stary, opowiadał coś po kastylsku. Wszyscy właśnie się śmieli głośno z jego

Kobieta, Mężczyzna,
Obyczaj

Książka, Lud, Literat

¹²¹Primo de Rivera, Miguel (1870–1930) — hiszpański generał i polityk; ojciec José Antonia; po dokonanym bezkrwawym zamachu stanu dyktator Hiszpanii w latach 1923–1930; walczył z bezrobociem, wprowadził szeroko zakrojony program gospodarczy, obejmujący roboty publiczne i elementy planowania ekonomicznego; z powodu gwałtownego wzrostu inflacji, załamania się gospodarki oraz konfliktów z opozycją ustąpił ze stanowiska i wyjechał do Paryża. [przypis edytorski]

¹²²buick — marka amerykańskich samochodów osobowych. [przypis edytorski]

¹²³timbre (fr.) — barwa, brzmienie dźwięku, głosu. [przypis edytorski]

¹²⁴skonfundowany (daw., z łac.) — zmieszany, zakłopotany; zawstydzony. [przypis edytorski]

¹²⁵Dulcinea z Toboso — ukochana Don Kichota, wyimaginowana księżniczka, w rzeczywistości wiejska dziewczyna o imieniu Aldona Lorenzo. [przypis edytorski]

¹²⁶Baedeker — renomowane wydawnictwo niemieckie, założone przez Karla Baedekera (1801–1859), które jako pierwsze oferowało nowoczesne przewodniki turystyczne; jako rzeczownik polszycy: przewodnik turystyczny. [przypis edytorski]

¹²⁷sketch (fr., ang.) — szkic, scenka komiczna. [przypis edytorski]

¹²⁸caballero (hiszp.) — kawaler; szlachcic. [przypis edytorski]

faceji¹²⁹ i nie zauważyli naszego wejścia. Słuchaliśmy dalej. Nie wiedziałem, czemu każe mi słuchać, skoro nie rozumiem po hiszpańsku. Naraz wyłowilem słowa:

...y entonces Don Quijote...

Znaczyło to:

...a wówczas Don Kichot...

Stare oczy nauczyciela zajaśniały radośnie, gdy zobaczył, że rozumiałem. Odpowiedział na moje pytanie. Pokazał, czym żyją umysły ludu z La Manczy. Istotnie, rozumiałem. Oto wieczorami wśród pastuchów z La Manczy, a może i nie tylko z La Manczy, ciągnie ktoś przy ogniu starą opowieść o cudacznych przygodach Don Kichota i jego przekornego sługi. Ożywa ona co wieczoru, jak co wieczoru rozpalamy na kominie ogień. Taka to literatura, która zaspokaja potrzeby intelektualne może tysięcy zapirenejskich Tobosów. Oto zjawisko niemal odwrotne od tego, jakie mieliśmy u narodzin literatury: tutaj to nie pisarz zbiera klechdy, opowiadane sobie przez pasterzy Argos czy Beocji¹³⁰, i z nich tworzy eposy iliadzkie. To odwrotnie, książka literata, pisarza, poety, przemienia się z kolei w opowiadanie u ogniska, w bajkę pasterskich Sabalów¹³¹, pojawia się w relacji ustnej, w dziesiątkach takich relacji i wariantów, wraca jak rzeka do źródła. Któż zbada, jakim upiększeniem i zeszcpeceniem uległ w ciągu wieków takiej relacji Cervantesowski wątek? Ileż zmian, jak szczap drzewnych, dorzucono do starego ogniska? Któż opracuje tego ludowego Don Kichota, który powstał z literatury tak samo jak *Iliada* powstała z bajki ludowej? Pastuchy porozpierali się po ziemi, rozłożyli wygodniej. Zrobiono nam miejsce przy ogniu, który gasł i rozpałał się kolejno. Za naszymi plecami konie grzebały nogą w klepisku, noc srebrzyła się jasno, drzemało Toboso. Gdy wracaliśmy przez uśpio-
ne małe uliczki, nie było już amantów wiejskich u krat miradorów¹³², krok dzwonił na kamieniach bruku, może wdychały Dulcinee w panieńskich pokojach. Myślałem o tym jednym jedynym pisarzu na świecie tak *par excellence*¹³³ rycerskim i szlacheckim treścią swego dzieła, który dostąpił zaszczytu obcego poetom, marzącym o trafieniu ich książek „pod strzechy”. Czyż chłopci spod Nowogródka gwarzą o Stolniku i Telimienie? — Don Miguel Cervantes Saavedra uczynił lepiej. Jego opowieść, sentymentalna i rubaszna, jakby na pół z Reja, na pół ze Słowackiego, odczepiła się od książek, małych znaczków zwanych literami, kart papieru i czcionek z ołowiu, rozsiała się po stepie manczegskim od Argamasilli do Siguenzy, jak jesienią rozsiewa się z rozeschłych latem bodziaków¹³⁴ lotne nasienie ziela. Wiatry rzucają je dalej pod stopy starych wiatraków i pod mury dawno wymarłych zamków, roznoszą w grządki winniczne dobrze uprawne, przerzucają na drogi, które wyasfaltowała epoka. Białe puchy nasion wędrują po stepie, czepiają się ziemi i ludzi, nie chcą umrzeć. Obok literackiego, którego każdy zwykle cytuje, ale po prawdzie nikt naprawdę nie czyta, rośnie gdzieś w takiej La Manczy inny, ludowy Cervantes. O jego bohaterach mówi się wciąż jeszcze wieczorami przy ogniu, na tej wsi głuchej, choć tam na świecie jest wojna i rewolucja, chodzi o naród i proletariatus, choć o kilkadziesiąt kilometrów stąd, w tę samą jasną noc, dudnią ciężkie samochody wojskowe na szosie do Madrytu.

W MADRYCIE

Pełną jednak sielanekę, oazę na Saharze wojny, lamus, którego nie przewiał wiatr żadnej rewolucji, miałem odnaleźć nie w zagubionym na stepie Toboso, ale nazajutrz, w samo południe, w centrum czerwonego Madrytu. Oaza była obwarowana przywilejem dyplomatycznej nietykalności, a zwała się poselstwem Rzeczypospolitej Polskiej w Hiszpanii. Po cóż zaraz po przyjeździe zgłosiłem się do poselstwa? Nie miałem żadnej konkretnej potrzeby, a nie przeczuałem jeszcze, jak ostrymi konturami odrysuje się polska oaza na

¹²⁹faceja — żart, dowcip, anegdota. [przypis edytorski]

¹³⁰Argos, Beocja — krainy historyczne w Grecji. [przypis edytorski]

¹³¹Sabala, właśc. Jan Krzeptowski (1809–1894) — góral podhalański, znany przewodnik tatrzański, myśliwy, gawędziarz i muzykant. [przypis edytorski]

¹³²mirador (hiszp.) — wykusz, element architektoniczny w postaci poszerzającego przylegające pomieszczenie, nakrytego osobnym daszkiem balkonu z oknami, który wystaje ze ściany budynku na pewnej wysokości nad ziemią, dzięki czemu można lepiej obserwować, co dzieje się na ulicy poniżej. [przypis edytorski]

¹³³par excellence (fr.) — w całym znaczeniu tego słowa, w najwyższym stopniu. [przypis edytorski]

¹³⁴bodziak a. bodiak (reg.) — oset; niekiedy także: rzepy, tj. suche, kłujące i czepliwe owoce ostu, ostroźnia lub łopianu. [przypis edytorski]

wielkim tle tego kraju. Było to jakieś poczucie, że będąc polskim dziennikarzem, trzeba swym władzom zameldować o przybyciu. Było może jakieś spodziewanie, że poruszając się swobodniej od nich po kraju, mogę im być pomocny choćby drobną informacją w ich pracy, mogę także otrzymać wiele ciekawych i wszechstronnych objaśnień, wokoło których obrośnie tym lepiej moja własna wiedza o Hiszpanii. Dyplomatyczną oazę stanowił niewielki pałacyk obstawiony sowicie milicjantami strzegącymi bezpieczeństwa. Było to po owych dość niewyjaśnionych właściwie strzałach do auta poselstwa, których śladu co prawda nigdzie nie dało się odnaleźć. Ale za murem tej groźnej warty odzyskiwała swoje prawa polska, wiejska cisza, cisza z rzadka przewietrzanych pokoi, okurzonych tomów wydawnictwa Ligi Morskiej i Kolonialnej¹³⁵, urok wylegujących się na meblach Rzplitej rasowych piesków. Po chwili przedelfowała przez tę ciszę rosła dziewczoja, która swój strój panny służącej przyozdobiła u piersi piękną czerwoną gwiazdą z sierpem i młotem, rozmiarami dorównywującą tym gwiazdom, które połyskują w dniu uroczyste na frakowych piersiach dyplomatów. Promyk rewolucyjnej pożogi przedostawał się więc jakoś przez zapuszczone rolety! Tylko młody woźny urzędował w mundurze i uprzejmie. Po chwili stanąłem przed obliczem młodego attaché¹³⁶. Paszport i legitymacje wprowadziły mnie nawet w pewien stopień zaufania. Zapytano, kiedy zamierzam wracać. Powiedziałem, że ledwo przyjechałem, więc chyba nie prędko. „Bo mogą odciąć Madryt”. — „Niech ode-tną”. — „Mogą odciąć lada dzień”. — „Dobrze”. — „Wejść tu powstańcy”. — „Niech wejść — powiedziałem — nie jestem komunistą, czegoż mam się bać?”

Młody attaché popatrzył na mnie zdziwiony i zaczął tłumaczyć. Jego zdaniem nie mogę zostać w Madrycie. Muszę stąd zaraz, jak najprędzej wyjechać. Lada dzień przetną drogi. Muszę wyjechać. —

— Ale dlaczego? —

Attaché zniecierpliwiał się. Czy ja nie czytałem gazet? Czy nie wiem, co się dzieje tutaj? — Wiem: ale jestem dziennikarzem. Myślę, że jest tu wielu dziennikarzy, jak wszędzie, gdzie coś się dzieje, i nikt ich nie zastrzelił, są pod opieką. —

— Oczywiście, może pan robić, co pan chce. My tylko panu radzimy. — (Słowo „radzimy” wypowiedziane było z tym dobrym, mocnym naciskiem, z jakim umieją je wymawiać dygnitarze od VI kategorii służbowej). — Ale *my* nie odpowiadamy. *My* nie gwarantujemy. *My* dla pana nic nie możemy zrobić. I z naszej strony pan na nic liczyć nie może. —

Wyjaśniłem, że o nic nie proszę, że pragnę na razie poznać tylko pannę Jeziorańską, korespondentkę PAT-a¹³⁷, która z największą odwagą, jak już o tym z Barcelony wiedziałem, chodziła po mieście w dniach walki i jeździła teraz na fronty. Tymczasem wszedł inny przedstawiciel Rzplitej. — Czy to ja pisałem dawniej w „Gazecie Polskiej”¹³⁸? — Nie, to nie ja. To Kazimierz Proszyński. — A może jestem z „IKC”¹³⁹? — Nie? Aa... Ale może znam Drymmera? — Nie wiem, czy czytelnikom jest znana ta półhistoryczna postać: kapitan Drymmer, odznaczony w kampanii 1920 roku, jest uważany za szarą eminencję spraw personalnych MSZ-etu. Otóż znałem Drymmera. Moje akcje, stojące u tych panów raczej niewysoko, drgnęły jakby w górę. Spojrzano po sobie i po chwili zapytano z zabawną atencją¹⁴⁰, czy dawno widziałem Drymmera? Chochlik przypadku chciał, że widziałem go w przeddzień odjazdu z Warszawy. Powiedziałem więc to. Teraz akcje poszły w górę jeszcze wyraźniej. Zaczynało to być krępujące i przypomniałem sobie, jak wielkim postrachem placówek jest kontrolna działalność wydziału personalnego. Można było dalej brnąć w tę niewyraźną, ale bardzo wygodną sytuację, i wyzyskać utylitarnie to,

¹³⁵*Liga Morska i Kolonialna* — polska organizacja społeczna, do 1930 nosząca nazwę Liga Morska i Rzeczna, stawiająca sobie za cel propagowanie zagadnień morskich wśród społeczeństwa, a także pozyskanie dla Polski kolonii zamorskich; wydawała miesięcznik „Morze” i kwartalnik „Sprawy Morskie i Kolonialne”. [przypis edytorski]

¹³⁶*attaché* (fr.) — przedstawiciel dyplomatyczny niskiego stopnia. [przypis edytorski]

¹³⁷*Polska Agencja Telegraficzna (PAT)* — polska rządowa agencja prasowa, działająca w okresie międzywojennym. [przypis edytorski]

¹³⁸„*Gazeta Polska*” — dziennik informacyjno-polityczny o orientacji prostanacyjnej, wydawany w latach 1929–1939 w Warszawie. [przypis edytorski]

¹³⁹„*Ilustrowany Kurier Codzienny*” (*IKC*) — wysokonakładowy dziennik informacyjny wydawany w Krakowie w latach 1910–1939; pierwszy dziennik ogólnopolski; po przewrocie majowym w 1926 prorządowy. [przypis edytorski]

¹⁴⁰*atencja* (przestarz., z łac.) — poważanie, szacunek, względy. [przypis edytorski]

Polak, Obyczaje, Urzędnik,
Polityka, Historia, Kobieta,
Mężczyzna, Służalność,
Władza, Praca

co literacko wyzyskał autor *Rewizora z Petersburga*¹⁴¹. Ale wolałem dodać, że jeśli istotnie widziałem Drymmera, to siedzącego w kawiarni, że znam go zaledwie przelotnie. Wody wezbranej przed chwilą, grożącej powodzią serdeczności atencji odpłynęły w błyskawicznym tempie w głąb urzędniczych piersi. Byłem już otaksowany w całości: nie jest z „Gazety Polskiej”, nie pisuje w „IKC”, znajomości z władzami — słabe. —

W tej właśnie chwili weszła panna Jeziorańska i nie trzeba było być Sherlockiem Holmesem, żeby się domyślić, że żaden z tych panów nie posądza jej o cień nawet stosunków z ludźmi w skali Drymmera. Zygmunt Nowakowski napisał kiedyś, że podczas grudniowego pobytu w Moskwie raz jeden tylko odmroził sobie rękę: podawszy ją polskiemu dyplomacie. Pannie Jeziorańskiej nie groziła ta perspektywa z tej tylko racji, że nasi dygnitarze nie podają zazwyczaj ręki „stenotypistkom¹⁴² i tym podobnym”: co najwyżej mogła się była na odległość nabawić lekkiego zapalenia płuc, ale widać posiadała już długoletni trening. Miejsce przedstawienia mnie zajęło coś, co było raczej przydzieleniem jej do moich usług, nieomal że personalnych. Nie miało to oczywiście znaczyć, że jestem możliwym paszą¹⁴³ z Lechistanu¹⁴⁴, zasługującym na tak cenny dar; znaczyło po prostu, że młoda panna bez pieniędzy, bez protekcji i pracująca sama na siebie, bez zaskarbiań się u szefów jest najlepszym obiektem na odczepne. Ów przydzielony obiekt stał właśnie przede mną. Miał ładnego buziaka, delikatne rysy, coś godnego i pewnego siebie, ale zarazem widocznie zbiedzonego i zahukanego. Dużo później miałem się dowiedzieć, że panienkę istotnie przydzielano jako pilota do przeróżnych naszych osobistości zawadzających o Madryt. Ta nikła, nieważna osóbką, miała tak sposobność poznać z najprawdźniejszej strony naszych panów. Chciałbym tu zanotować, że najmniej sympatyczne wrażenie, dość przypominające niestety wersalizm¹⁴⁵ rosyjskiego majora Płuta z *Pana Tadeusza* pozostawił pewien grafoman w mundurze, najsympatyczniejsze, najprostsze, koleżeńskie, ułożone w ramy gentlemena, który nie rozróżnia pań ministrowych i pańien „od maszyny”, tylko zna kobietę, zostawił Konrad Wrzos.

Wszystko to, co piszę, jest niezawodnym odbieganiem od tematu. Jest schodzeniem na ogromny, polski temat stosunku mężczyzny, gdy staje się „szefem”, do panny pracującej w biurze. Czytelnik musi mi przebaczyć te dywagacje, bo oto ulica, na którą patrzałem z okien poselstwa, była, co tu mówić, ulicą dziejowych może wydarzeń. Krajem, który już Lelewel¹⁴⁶ uważał za tak podobny naszemu, wstrząsała burza wielkości tej chyba, co obalila carat, a przez owe okna i przez tych ludzi w poselstwie miała oficjalna Polska oglądać to wszystko jak przez szyby. Niestety, co tu gadać, szyby były mocno niedomyte, niezlane potokiem świeższej wody, nieutarte dobrą ścierką pouczenia, popstrzone za to tęgo przez muchy chandr i kaprysów, małości, *kleinigkeit*¹⁴⁷ zagadnionek, Drymmer nie Drymmer, ma stosunki z urzędowym piśmem i w ogóle, ważny on czy nie warto z nim gadać? Za biurami poselstwa, za tą malutką enklawą neutralności, dokąd czerwona gwiazda wślizgiwała się jedynie na piersiach pokojówek, jakieś światy waliły się i powstawały. Huk wydarzeń materializował się w huk armat, a tu były drzwi szczelnie od Europy zamknięte hałasów. W ramach jakiegoś Soplicowa trwał stan rzeczy nic z Soplicowem ani dawną Polską wspólnego niemający. Jakiś polski *nouveau regime*¹⁴⁸, może nie stary, ale na pewno przestarzały. Człowiek dla takich ludzi zaczyna się od urzędnika V kategorii służbowej, zmiany w świecie redukują się do przesunięć służbowych, postęp jest równoznaczny z awansem, katastrofami kosmicznymi — przeniesienia w stan spoczynku, wydarzeniem dziejowym staje się nominacja. A kobieta w tym świecie? Może być kosmosem, jeśli jest panią ministrową. Może być atomem i mikroblem u stóp tytana-szefa,

¹⁴¹*Rewizor* — komedia Nikołaja Gogola z 1836, w której główny bohater, zwykły człowiek, zostaje w prowincjonalnym miasteczku omyłkowo wzięty za wysokiego rangą urzędnika przybyłego ze stolicy na kontrolę. [przypis edytorski]

¹⁴²*stenotypistka* — maszynistka korzystająca ze stenografii, tj. kobieta zajmująca się zawodowo pisanem na maszynie stenograficznej lub przepisująca na maszynie do pisania tekst z notatek stenograficznych; dawniej także ogólnie: maszynistka. [przypis edytorski]

¹⁴³*pasza* a. *basza* (z tur.) — wysoki urzędnik turecki; pan. [przypis edytorski]

¹⁴⁴*Lechistan* (tur.) — Polska. [przypis edytorski]

¹⁴⁵*wersalizm* (neol.) — wersalskość (rzad.), odznaczanie się wytwornymi, dworskimi manierami; tu ironicznie, gdyż major Płut był aroganckim snobem. [przypis edytorski]

¹⁴⁶*Lelewel, Joachim* (1786–1861) — historyk i polityk polski; od 1831 działacz emigracyjny. [przypis edytorski]

¹⁴⁷*Kleinigkeit* (niem.) — drobiaz, błahostka. [przypis edytorski]

¹⁴⁸*nouveau regime* (fr.) — nowy system rządów. [przypis edytorski]

jeśli jest panną z biura. Swój stosunek do kobiety ułożył ów dawny świat w olbrzymią gamę rozróżnień. Może to być stosunek Antoniusza do Kleopatry¹⁴⁹ i stosunek wodza Buszmenów do swej domowej siły roboczej.

Rozeszliśmy się z tym, że ja o nic nie proszę i na nic „liczyć” nie będę, a ci panowie niczym mi nie służą. Istotnie, nie mogli mi też służyć niczym. Mogłem się od nich, owszem, i to były rzeczy cenne, dowiedzieć o warunki eksportu jaj i importu pomarańcz, mogłem dowiedzieć się pełnego składu madryckiego Korpusu Dyplomatycznego, jak są z domu żony ambasadorów i ministrów pełnomocnych, jakich marek miewają samochody, dokąd jeżdżą na golfa. Tego, co mnie interesowało, mogłem dowiedzieć się za to od niepozornej panienci, na której ramiona (trudno powiedzieć tu: barki) spadało i urządzenie wystaw sztuki polskiej, i kontakty z prasą, i jakaś akcja propagandy kulturalnej polskiej, może małej, może robionej w sposób niefachowy, może nieumyślonej się do tego, co tu robili choćby Czesi, ze swymi docentami i attachés kulturalnymi, z ludźmi o odpowiednim przygotowaniu, ale akcji, która bądź co bądź była tu robiona przez tę jedną, pozbawioną rang czynowniczych¹⁵⁰ osobę.

Wieczorem tegoż dnia byłem z panną Jeziorańską u szefa prasowego hiszpańskiego ministerstwa spraw zagranicznych: nie, tu już było inaczej. Jeszcze później, prawie nocą, poszliśmy po przepustki na front, do gmachu olbrzymiego ministerstwa wojny. Snuły się warty, biegano po korytarzach z papierami, ludzie w rozmamranych kurtkach urzędowali za biurkami: nie. Może tu były sowiety, a może dyktatura, nie wiem, ale tamten duch małych papierowych ludzi skończył się był¹⁵¹ już tutaj na długo. W październiku 1936 roku Madryt jest bardziej rewolucyjny niż Moskwa, bardziej fanatyczny niż Mekka, żyje tempem intensywniejszym niż Nowy York. Tylko eksterytorialne urzędnicze Soplicowo jest tu szczątkiem „cichej wsi litewskiej, kiedy reszta świata we łzach i krwi tonęła”¹⁵². Tylko tam świat i ważność rzeczy mierzy się kanonami, które o krok za bramą nie istnieją już więcej.

Rewolucja, Polska

*

Są jeszcze jedne oczy polskie, które tu w Madrycie śledzą, obok nas, po swojemu, nurt dziejowych wydarzeń. Wolno im patrzeć poprzez kurz wieków, bo widziały zbyt wiele. O ich istnieniu nic nie wie polskie poselstwo, choć to by może i należało do jego działalności kulturalnej: nic nie wie nasza dyplomacja, choć osoby to były nie lada, uksiążęczone poniekąd, a gdyby kiedyś jeszcze repatriowano je do Polski, to tylko między dwoma apartamentami wahały się dla nich wybór: Wawelem i Zamkiem Warszawskim. Są to oczy małej trzyletniej infantki¹⁵³, w koafiurze¹⁵⁴ z wielkimi perłami na dziecinnej główce, bladobłękitne, słowiańskie może, nordyckie. Są to oczy drugiego zbłąkanego tu polskiego dziecka, którego nim portretował Rembrandt¹⁵⁵, malowano dla dworu madryckiego. Istnieje tak druga polska oaza Madrytu, starsza od tamtej o trzy wieki. Parę miesięcy temu przestała być eksterytorialna, nietykalna, i może dzięki temu mogę tu wejść teraz. Jeden z arystokratycznych klasztorów żeńskich Madrytu. Długa sala, cała w mroku, spływającym z grubych murów klasztoru, z ciemnych kasetonów sufitu. Nazywała się przez całe wieki „królewską”, i wyżej od królewiczów wiszą tu tylko królowie, infanci i książęta. Patrzy Karol V, w którego państwie nie zachodziło słońce, patrzy

¹⁴⁹stosunek Antoniusza do Kleopatry — *Kleopatra VII Filopator* (69–30 p.n.e.), ostatnia królowa Egiptu, słynna z urody i uroku osobistego, była kochanką rzymskiego polityka i wodza Gajusza Juliusza Cezara (100–44 p.n.e.), a po jego śmierci kochanką jego bliskiego współpracownika *Marka Antoniusza* (83–30 p.n.e.). [przypis edytorski]

¹⁵⁰ranga czynownicza — oficjalna ranga oficerów i urzędników państwowych w carskiej Rosji, ujęta w tabeli rang, przewidującej 14 stopni; z ros. чин: ranga, oficjalna pozycja osoby, stąd *czynownik*: urzędnik państwowy. [przypis edytorski]

¹⁵¹skończył się był (daw.) — forma czasu zaprzeczonego; znaczenie: skończył się wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

¹⁵²cichej wsi litewskiej, kiedy reszta świata we łzach i krwi tonęła — Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, ks. I. [przypis edytorski]

¹⁵³infantka (z hiszp.) — tytuł przysługujący córkom królów Hiszpanii i Portugalii. [przypis edytorski]

¹⁵⁴koafiura (z fr., daw.) — uczesanie, fryzura; szczególnie: wyszukana, elegancka fryzura. [przypis edytorski]

¹⁵⁵Rembrandt, właśc. *Rembrandt Harmenszoon van Rijn* (1606–1669) — malarz i grafik holenderski okresu baroku, mistrz światłocienia. [przypis edytorski]

podejrzliwy i drobiazgowy, okrutny i pobożny Filip II, nieszczęśliwy Don Carlos, zwycięzca spod Lepantu¹⁵⁶ i bastard habsburski, Don Juan d'Austria¹⁵⁷, patrzy jego siostra, jak on nieślubne dziecko cesarza, księżniczka i ksieni¹⁵⁸. Dwoje dziecięcych portretów zablakanych w tej galerii królów, gdzie szereg numerowanych Filipów i Karolów gubi się w ludzkiej pamięci, wyszło dzisiaj na plan pierwszy, bo nie byli to infanci Hiszpanii. Te dzieci, małe Anna Maria i niewiele od niej większy Władysław, to *principes Poloniae et Suaeeciae*¹⁵⁹, dzieci Zygmunta Wazy. Jak do klasztoru ksieni Juany d'Austria¹⁶⁰ zawędrowały portreciki polskich królewiczów? Może posłał jej w darze Filipowi II, którego tak bardzo przypominał, może tymi dwoma portrecikami sygnalizowały sobie dwa królewskie dwory przyszłe możliwości matrymonialne i potem, gdy z możliwości tych nic nie wyszło, a portreciki obcych infantów niewielką artystycznie przedstawiały wartość na dworze, gdzie malował Velazquez, odstawiono je w kącie, do lamusa i rupieciarni, jak odkładamy w kącie fotografie staroświeckie, które nie znaczą nic dla nas, choć mogły znaczyć wiele dla pokolenia naszych dziadków.

„Sala królewska” klasztoru *de las Descalzas Reales*¹⁶¹, klarysek zwanych tu „bosymi królewskimi”, była przez stulecia idealnym lamusem. Prawie nie zaglądało do niej słońce, z obcych ludzi nie zaglądał nikt. Dwadzieścia pięć zakonnic żyjących wedle najsurowszej reguły żeńskiej średniowiecza, pochodzących z największych rodzin Hiszpanii, starzało się i marło, dwadzieścia pięć kapliczek wokoło wirydarza zmieniało kolejno swe służki, coraz nowa cela podziemna otwierała swe kamienne podłogi zwłokom „bosych królewskich”, dwór, pod którego bezpośrednią opieką pozostawały, przysyłał nowe portrety dobroczyńców i pomazańców, w małym ogródku rosło wino i rzodkiewki, i wszystko tu było jak w czasach, gdy Święte Officium¹⁶² paliło swe ofiary, a z nielicznych okien klasztoru widać było wokoło płowe pola Kastylii. Spokoju nie burzyło tu nic. Rewolucje XIX w. przeszły obok, zamachy dynamitardów¹⁶³ nie wysadziły w powietrze małych i grubych szybek wtłoczonych w ołowiane oprawy, republika 14 kwietnia 1931 roku¹⁶⁴ zapomniała o małym klasztorze. Dziś, gdy pierwsi mężczyźni chodzą po nim i pierwsi obcy oglądają jego kaplice i portrety, wydaje się dziwne, że o kilkadziesiąt kroków jest ludna Puerta del Sol, jest Gran Via drapaczy nieba, są wielkie kina i w najbliższym idzie rewolucyjny film sowiecki *Marynarze Kronstadtu*. Krok milicjantów dzwoni po pustych korytarzach, po schodach znoszą do tego bezpiecznego schronu cenne rzeczy uniesione z innych kościołów, klasztorów i pałaców, saskie markizy w dworskim ukłonie i z wpułodsłoniętymi pierścieniami stawia się obok drewnianych Matek Bolesławskich gotyku i żółtych, na krzyżach rozpostartych, Chrystusów. Nowi gospodarze oczyścili i pomalowali wapnem brudne korytarze, strzepali kurz, jednego tylko tknąć nie mogli — milczenia. Można by pomyśleć, że nagromadziło się ono podczas wieków szeptów i modlitw tak grubą warstwą, że wy-

¹⁵⁶bitwa pod Lepanto (7 października 1571) — wielka bitwa morska, w której hiszpańsko-włoska flota Ligi Świętej rozgromiła flotę turecką; jedna z najkrwawszych bitew morskich w historii. [przypis edytorski]

¹⁵⁷Juan de Austria, don (1547–1578) — hiszpański wódz, nieślubny syn cesarza Karola V Habsburga i Barbary Blomberg; od 1568 dowódca floty hiszpańskiej na Morzu Śródziemnym; w 1569 krwawo stłumił bunt ludności muzułmańskiej w Grenadzie; w 1571 dowodził flotą Ligi Świętej w wielkiej bitwie pod Lepanto; jako dowódca floty w 1573 zdobył Tunis. [przypis edytorski]

¹⁵⁸ksieni — przełożona klasztoru, przeorysza. [przypis edytorski]

¹⁵⁹*principes Poloniae et Suaeeciae* (łac.) — księżta Polski i Szwecji. [przypis edytorski]

¹⁶⁰Juana de Austria (1523–1530) — nieślubna córka cesarza Karola V Habsburga i Cataliny de Rebolledo. [przypis edytorski]

¹⁶¹*de las Descalzas Reales* (hiszp.) — dosł.: Bosych Królewskich, część hiszpańskiej nazwy królewskiego klasztoru klarysek w Madrycie, *El Monasterio de las Descalzas Reales*. [przypis edytorski]

¹⁶²Święte Officium (zapis polsko-łaciński, pol. *Święte Oficjum*) — tu: *Tribunal del Santo Oficio de la Inquisición*, hiszpańska inkwizycja, instytucja kościelna powołana do strzeżenia katolickiej prawowierności mieszkańców Hiszpanii i jej kolonii; ustanowiona w 1478, zniesiona w 1808 po zajęciu Madrytu przez wojska napoleońskie oraz w 1813 przez opozycyjne wobec Francuzów kortezy w Kadyksie; przywrócona w 1814 przez króla Ferdynanda VII Burbona, zniesiona ostatecznie w 1834 przez Marię Crystinę de Borbón, liberalną regentkę Izabeli II. [przypis edytorski]

¹⁶³dynamitard — rewolucjonista dokonujący zamachów za pomocą materiałów wybuchowych (dynamitu); określenie powstałe w 2. poł. w XIX w., kiedy pojawił się tego rodzaju terrorizm polityczny. [przypis edytorski]

¹⁶⁴republika 14 kwietnia 1931 roku — Druga Republika Hiszpańska, proklamowana 14 kwietnia 1931, kiedy po sukcesie republikanów i porażce monarchistycznej prawicy w wyborach samorządowych z 12 kwietnia król Alfons XIII opuścił Madryt, a następnie Hiszpanię; istniejąca do 1 kwietnia 1939, kiedy ostatnie wojska wiernie Republice poddały się nacjonalistom. [przypis edytorski]

mieść go nie była w stanie nawet taka rewolucja. I raz jeszcze się nie wierzy, że obok stąd jest ulica tak nowoczesna i europejska, jak największe ulice Paryża, że płynie tą ulicą lawa rewolucyjna taka sama jak w październikowym Petersburgu, że o kilkadziesiąt kilometrów przed miastem są już pierwsze linie bojowe, baterie armat podnoszą słupy kurzu, ziemi i gruzu, karabiny maszynowe terkoczą wśród nieskopanych w popłochu kartoflisk.

Pierwszy raz widziałem Madryt w takie dni właśnie. Przyjechałem z Walencji, od strony południowej, Tobosa i Aranjuezu, przejechałem przez przedmieścia brudne, nędzne, zakurzone, jeszcze gorsze od warszawskich, i wjechałem niemal bezpośrednio na wielką ulicę, taką jak paryskie, błyszczącą marmurami odrzwi swych domów, odurzającym przepychem. Gran Via jest chronologicznie ostatnim dziełem, jakie wzniesiono w rozkochanej w budownictwie Hiszpanii, jest tym, co Hiszpania zbudowała, w najprostszym sensie budynku, w XX w., jak w w. XI zbudowała katedrę w Toledo¹⁶⁵ a w w. XIV grenadzką Alhambrę¹⁶⁶. Gran Via budowano rewolucyjnie. Żeby mieć wielką nowoczesną ulicę, choćby tak krótką jak ta, Madryt musiał zburzyć całą gęstwinę wyrosłych tu przed wiekami niewysokich, ciasnych, skupionych jak owcze stada kamienic, pokroić wąskie i łamiące się ulice, wytyczać wśród gruzów prostą linię szerokiej arterii, wdążyć w grunt, gdzie tkwiły resztki tych zeszlówiecznych fundamentów, bloki zdolne utrzymać szesnaście i dwadzieścia pięter nowojorskiego Madrytu XX w. Gdy stanęły, kilka najbliższych kościołów zniknęło — w Hiszpanii po raz pierwszy — w cieniu czegoś niezmiernie od nich potężniejszego. Gmachy banków, przedsiębiorstw przemysłowych, świątynie potasu i ropy, węgla i rud, zmierzyły swą młodą energię z przeszłością wieku. Pod niebo wyrosły ściany z wykrojonymi w nich oknami, a ludzie z tych okien po raz pierwszy w Hiszpanii zaczęli patrzeć, patrząc na wieże kościołów, nie ku niebu, a ku ziemi. Chłopi kastylscy, chłopcy z dalekich prowincji zobaczyli, przebywając tutaj, że są rzeczy na świecie wyższe nad szczyt kościelnej wieży.

Gran Via przepruła dla swych drapaczy drogę przez odmet małych domów, nędznego i starego Madrytu, weszła na wzgórze, stanęła nad miastem nędznych przedmieść, zawiąanych kurzem lecącym od pól na południu, rozejrzała się szczytami swych gmachów przez kraj, płaską płytę wydzwigniętą wysoko nad poziom morza, pod mróz długiej zimy i upał krótkiego lata, w półkole stokroć od niej potężniejszych łańcuchów dalekiej Guadarramy¹⁶⁷. Tęgo Madrytu, w którego cieniu zdołały przetrwać klasztory „bosych królewskich” i świat, już nie królewskich, nędzarzy. Tej Hiszpanii, którą tu przyniósł wiek XX, Gran Via, jak katedry gotyckie średniowiecza, jest najlepszym, najwierniejszym obrazem. Wiek XX nigdzie tak bardzo jak tutaj, w kraju Toledo i Alhambry, nie czuł się w swym budownictwie zmuszony do dorównania poprzedniej wielkości. Tędy na szczyty drapaczy chmur wydrapały się złocone orły, rzymskie kwadrygi, lwy czy niedźwiedzie, geniusze, dźwigając globy ziemskie, obeliski azteckie, nagie kobiety ujeżdżające mustangi, cała mitologia i zoologia dobrze znana z zeszlówiecznych przycisków na biurka, pretensjonalnych brzązdek i kałamarzy. Cały brak smaku schyłku XIX w. przystroił siłą się na amerykańizm drapacze madryckiej nowoczesności. Pod niebo sterczy to teraz równie czcze i bez sensu jak turze głowy, zbroje średniowieczne, przyłbice i gotyckie iglice tynkowych frontów niejednej kamienicy warszawskiej. Tylko że w kraju wielokrotnie od naszego bogatszym zamiast gipsu był marmur, zamiast kamieniczki — drapacz, wszystko było kilkakrotnie droższe, większe i bogatsze, i jednocześnie tym silniej podkreślało swoją bogatą szpetotę, niecelowość swej architektury, zbytek budowli nieuzasadniony żadną architektoniczną potrzebą, rażący. Fontanny Alhambry i pilastry¹⁶⁸ klasztorów gotyckich, wszystko to miało — może kiedyś — swój sens, swój cel, wszystko to podtrzymywało coś czy podpierało, utrzymywało chłód czy dawało cień, wszystko to miało jakieś uzasadnienie, wszystko czemuś służyło. Te orły formatu biurkowych przycisków, kałamarzowe kwadrygi i aztec-

¹⁶⁵ *Toledo* — miasto w środkowej Hiszpanii, nad rz. Tag, stolica prowincji o tej samej nazwie; do 1561 stolica Królestwa Kastylii; jeden z największych zespołów zabytkowych Hiszpanii (m.in. gotycka Katedra Najświętszej Marii Panny, budowana w latach 1227–1493). [przypis edytorski]

¹⁶⁶ *Alhambra* (od arab. *al hamra*: czerwona) — obronny zespół pałacowy, zbudowany jako siedziba emirów w XIII–XIV w. na wzgórzu nad Grenadą; arcydzieło architektury muzułmańskiej w Hiszpanii. [przypis edytorski]

¹⁶⁷ *Guadarrama, Sierra de* — pasmo górskie we wsch. części Gór Kastylijskich w centralnej Hiszpanii. [przypis edytorski]

¹⁶⁸ *pilaster* — dekoracyjny płaski filar połączony ze ścianą. [przypis edytorski]

kie uwieńczenia banków nie służą niczemu, i co jeszcze gorsza, nie służyły niczemu. Ten świat, który to wszystko w ostatnich dziesiątkach lat wznosił i zbudował, świat kuponów akcyjnych, wielkich przedsiębiorstw i Napoleonów giełdy, którego dziełem jest Gran Via, jak dziełem kalifów była Kordoba¹⁶⁹, zawalił się w naszych oczach bez krzyku naszego protestu. Świat drgnie, gdy kule armatnie strzaskają dom Cervantesa, zapisze każdy zniszczony obraz klasztorów sprzed lat trzystu, schyli czoła przed uchronieniem każdego obrazu Goi, każdego szkicu Velazqueza, każdej Madonny, każdego krucyfiksu. Jeśli jutro bomby zwałą dwudziestodwupiętrowy gmach na Gran Via, mieszczący najwspanialsze kino i najpiękniejszą restaurację i nazywający się Capitołem, któż zarejestruje ów wypadek na świecie poza fotografią reportera i poza właścicielem *buldingu*¹⁷⁰?

*

Trzeba było dopiero wielkiego wstrząsu, żeby jednak i przez ten kanion wielkich gmachów przepłynął potężniejszy od niej nurt życia, nurt, który nadał niespodzianie piętrzącym się zbyt dumnie budowłom jakiś cel inny poza dumą. To z wysokich pięter tych domów karabiny maszynowe mogły 19 lipca nakazać milczenie wojskowym z Cuartel de la Montana¹⁷¹. To wielkie lokale gmachów na Gran Via pomieściły biura kwaterunkowe, aprowizacyjne, organizacyjne, jakie naraz stały się potrzebne rewolucji. To wreszcie z tarasów tych dachów, spod owych kwadryg, orłów, uskrzydłonych kobiet i azteckich obelisków, artyleria przeciwlotnicza mogła prażyć z powodzeniem i odpędzać z powrotem za Guadarramę samoloty nieprzyjacielskie. W te dni dopiero, w innym niż giełdowe i towarzyskie znaczeniu, Gran Via stała się centrum Madrytu.

Pochody idą miastem, rozwleczone, olbrzymie, z mnóstwem czerwonych transparentów, z mnóstwem czerwonych sztandarów. Pochodów jest za dużo i w pochodach przez miasto jest za dużo ludzi młodych. Coraz głośniej grzmą przeciwko temu dzienniki, coraz więcej odzywa się przeciw temu głosów. Za dużo, nawet jak na lud, jest tu potrzeby wykrzyczenia się, za dużo, nawet jak na lud południowy, jest tu potrzeby gestu i teatru. Pod plakatami *los fusiles para el frente* („karabiny na front”), przedstawiającymi milicjantów, którzy z karabinem beztrudno zasiadają w kawiarni, widać czasem obrazek będący dokładną repetycją¹⁷² piętnowanej sytuacji z plakatu. Zbyt wiele walki o nią. Dwa wielkie związki zawodowe, grupujące w sobie po parę milionów mas robotniczych w Hiszpanii — jeden socjalistyczno-komunistyczny „Unión General de Trabajadores”, drugi syndykalistyczno-anarchistyczny „Confederación Nacional del Trabajo” — wciąż ścierają z sobą. Trwa targ o teki „rewolucji proletariackiej nr 2”, targ o teki, jakby nic się nie zmieniło od czasów kortezów¹⁷³ Romanones¹⁷⁴ i Dato¹⁷⁵, kulis parlamentarnych i partii, targ o teki, jakby o kilkadziesiąt kilometrów i bliżej nie było tanków, samolotów, żołnierzy z „Tertio” i Maurów¹⁷⁶ gen. Franco.

Niezmiernie, niezmiernie trudno. Olbrzymie są trudności kierujących tą ludzką lawą, którą wylały kratery robotniczych przedmieść, drzemiące przez wieki i naraz, jak wulkany, zbudzone, suchotnicze puebla. Ta lawa w swym pierwszym dniu stworzenia

Lud, Żywioły

¹⁶⁹Kordoba — miasto w Andaluzji, w płd. Hiszpanii, stolica prowincji o tej samej nazwie; w średniowieczu (756–1031) stolica muzułmańskiego emiratu i kalifatu pod panowaniem dynastii Umajjadów, stanowiła największe miasto Europy, ważny ośrodek nauki, kultury i sztuki; jeden z najcenniejszych zespołów zabytkowych świata, ze wspaniałymi dziełami architektury mauretańskiej. [przypis edytorski]

¹⁷⁰*bulding* (z ang.) — budynek. [przypis edytorski]

¹⁷¹*Cuartel de la Montana* — dawny budynek koszar w Madrycie; 19 lipca 1936, po wybuchu buntu wojskowego w innych częściach Hiszpanii, generał Fanjul pojawił się w garnizonie, ogłosił stan wojenny i czekał z 1500 swoich ludzi na przybycie posiłków, aby przejąć kontrolę nad miastem; koszary zostały otoczone przez wojska lojalne wobec rządu Republiki, podczas ostrzału i szturm budynek uległ zniszczeniu; po zdobyciu koszar większość buntowników zabito, oficerowie zostali schwytani, osądzeni i straceni. [przypis edytorski]

¹⁷²*repetycja* — powtórzenie. [przypis edytorski]

¹⁷³*kortezy* — zgromadzenie przedstawicieli stanów w państwach Półwyspu Iberyjskiego; od XIX w.: nazwa parlamentu w Hiszpanii. [przypis edytorski]

¹⁷⁴*Romanones*, *brabia*, właśc. *Alvaro Figueroa y Torres* (1863–1950) — hiszpański polityk liberalny, przedsiębiorca; trzykrotny premier Hiszpanii (1912–1913, 1915–1917 i 1918–1919). [przypis edytorski]

¹⁷⁵*Dato e Iradier*, *Eduardo* (1856–1921) — hiszpański polityk i prawnik, trzykrotny premier Hiszpanii (1913–1915, 1917 i 1920–1921). [przypis edytorski]

¹⁷⁶*Maurowie* — tu: dowodzeni przez gen. Franco żołnierze z Maroka Hiszpańskiego (tzw. Armia Afrykańska), przetrzuceni do Hiszpanii. [przypis edytorski]

załaza, to prawda, wszystko. Niemal gołymi pięściami opanowała warowny Cuartel de la Montana, zgniotła powstanie w Barcelonie, rozbroiła gwardię cywilną, doborowe kadry policyjne, uwięziła oficerów, wcieliła w swe szeregi żołnierzy, zdobyła całą broń, wszystkie karabiny i bagnety arsenałów Hiszpanii. Przeląła się całymi tygodniami zgrozy, zemsty, zniszczenia, niekierowana niczym prócz instynktu, przez wszystko i wszystkich w tym kraju. Sprawiała, że pucz wojskowy, który miał za sobą olbrzymią większość korpusu oficerskiego, w tym kraju *pronunciamentów*¹⁷⁷ musiał się załamać, że zamiast obsadzenia banków, poczty, stacji radiowych i ministerstw, musiał pójść do normalnych okopów, zdobywać kraj tak, jak zdobywa się obcy kraj w zwykłej wojennej kampanii. Ale teraz właśnie przyszła ta zwykła kampania wojenna i stamtąd, gdzie zdołał się utrzymać, to jest najpierw w Maroku, kraju, gdzie społeczeństwo jest jeszcze niczym, dalej z tych placówek, które żyją po dziś dzień życiem dawnej Hiszpanii zamków i kościołów, wreszcie z tych może nielicznych, ale ruchliwych placówek kielkującego w Hiszpanii nacjonalizmu o faszystowskim zacięciu, ruszył bunt naprzód. Zdobył bardzo znaczną część Hiszpanii, dokonywał swych postępów planowo, zagraża stolicy. Trzeci miesiąc trwa drugi akt zapasów, z których pierwszy zakończył się wspaniałym zwycięstwem ulicy nad szeregiem, ludu nad wojskiem, robotniczego mona nad oficerskim mundurem, ale jeszcze entuzjazmu nad rutyną, porywu nad planem, improwizacji nad metodą. Jak zakończy się akt drugi, który jest zupełnie inny, gdzie jednej metodzie trzeba przeciwstawić inną metodyczność, jednemu planowi inny, rutynie rutynę, technice coś więcej niż nagie pięści? Jak sprawić, aby rewolucjonista nie czuł się w okopie tak nieswojo, jak czuł się wojskowy w walce barykad? Oto wielkie obecnie zadanie.

Wielki rewolucjonista, najpierwszy z nich wszystkich, b. robotnik i związkowiec, rozwiązał dla siebie ów problem. Largo Caballero, trzeci premier od zamachu stanu, b. przywódca robotniczy i b. więzień stanu, stał się z kolei organizatorem i jako organizator ma przeciw sobie opozycję, często nieświadomą swego charakteru opozycyjnego, musi ją łagodzić i zwalczać, łamać i pokonywać. Ma przeciw sobie armię gen. Franco, ale ma przeciw sobie i ministerialne, tekowe żądania anarchistycznej CNT, jej lekką, ale szkodliwą frondę¹⁷⁸, ma przeciw sobie każdy brak koordynacji, każdy brak dyscypliny. Nigdzie w prasie żadnego z państw najbardziej uznających prymat wodzostwa nie woła się tak o dyscyplinę, nigdy w Hiszpanii absolutyzmu nie wołano tak o dyscyplinę, karność, posłuch, jak teraz. O dyscyplinę woła się więcej niż o samoloty, niż o tanki, niż o amunicję. Co rano i co wieczór powtarza się to wołanie ze szpalt prasy, jak krzyk muezzina¹⁷⁹, jak *Anioł Pański*¹⁸⁰. Oto właśnie jest walka, jest praca nad przemianą rewolucjonisty w żołnierza, masy — w karny szereg, entuzjazmu — w system. Oto właśnie dokonywała się chemiczna próba jak najszybszego skrzepienia tej lawy w twardy gład bazaltu. W chemii proces takiej przemiany wymaga przede wszystkim ostudzenia. Niebezpieczny proces, gdy nie ma nań czasu.

*

Trzeba walczyć ze wszystkim. Z biurokracizmem pieczęci, stempli, bumag¹⁸¹ i bumażek, przepustek, bonów rekwizycyjnych, kwitów i zezwoleń kilku komitetowych instancji, jaki rozwielmożnia się widać nieuchronnie podczas każdej rewolucji. Trzeba walczyć z tymi, którzy, młodzi i silni, będą maszerowali przez ulice, śpiewali *Międzynarodówkę* wymachiwali przed oczami biletami partyjnymi, z tymi, co wpadną do kawiarni wypędzać popijających kawę, nawet kobiety, bo „historyczna godzina nie może nas zastać w kinie, kawiarni czy domu”. Jakieś pismo zauważyło spokojnie, że najważniejsze jest dziś, żeby miasto miało wygląd możliwie normalny, a nie niespokojny i wojenny: „Paryż podczas

¹⁷⁷*pronunciamento* (hiszp. dosł.: oświadczenie) — rodzaj wojskowego buntu a. zamachu stanu, który zaczyna się od publicznej deklaracji wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi dokonanej przez grupę spiskowców oczekujących następnie na poparcie reszty sił zbrojnych; *pronunciamento* było charakterystyczne dla Hiszpanii, Portugalii i krajów Ameryki Łacińskiej, szczególnie w XIX w. [przypis edytorski]

¹⁷⁸*fronda* — opozycja wewnątrz grupy, partii albo wobec państwa. [przypis edytorski]

¹⁷⁹*muezzin* — muzułmanin wzywający z minaretu wiernych do modlitwy. [przypis edytorski]

¹⁸⁰*Anioł Pański* — modlitwa maryjna, odmawiana rano, w południe i wieczorem, o której dawniej przypominano wiernym, bijąc w dzwony kościelne. [przypis edytorski]

¹⁸¹*bumaga* (z ros.) — papier. [przypis edytorski]

pochołu Niemców nie zamykał swych kawiarni, nie wysiłał się na teatralne pomysły, ale posłał wszystkich swych ludzi na front”. Dziś miasto objeżdżają ciężarówki zamienione na lotną scenę propagandową, z dialogami wyszydającymi takie „metody” „bronienia” Madrytu.

Miasto, trzeba to przyznać, jest niezwykle spokojne. Naród, który żył w cieniu Calderona¹⁸² i Goi, który darmo w bohaterach *pronunciamentówszukał* nowych Albów¹⁸³, znajdując tylko nowych Pansów, naród, który się nudził lat temu trzydzieści i jak wyznawało pokolenie Unamuny, Azanii, Costy¹⁸⁴, sądził, że historia skończyła się już dla Hiszpanii, teraz ujrzał, że wreszcie tragedia zstąpiła z desek sceny, a groza wyszła z sal goyowskich muzeum Prado. Nad miastem prawie co dzień przelatują samoloty, prawie co dzień spadają bomby. Jest potem świeży ślad na ulicy, zasypywany piaskiem, tak samo jak zasypuje się krew na arenach corridy, są szyby wybite, mur rozłupany, strzępy ludzkiego mięsa rozniesione, przylepione siłą wybuchu do ścian, wyrzucone aż na druty telegraficzne. Otworzyła się dziura w wielkim mrowisku, zapełniła szmatami trupiarnia, i nic więcej. Ludzkie mrówki nałazą tam znowu, znowu jest rojno, i życie wre dalej, w klinikach matki rodzą dzieci, jak je rodziły w podziemiach bombardowanego Alkazaru¹⁸⁵, sklepy wstawiają szyby, ludzie nie przestają się zbierać. Tak samo wypadek samochodowy ginie w kronice wielkiego miasta. Przyzwyczajono się już, że tak jest co dzień czy co dni parę, że tak musi być, że to należy do życia. Nie wiem, czy wiele miast potrafiłoby się do tej rzeczywistości przyuczyc tak szybko, tak bez hysterii, jak Madryt. Nie wiem, czy wiele miast z tych bomb rzucanych spod nieba, gdzie samolotów nie dosięgnie pocisk armatni, z tego codziennego bombardowania uczyniłoby sobie to, co Madryt: rodzaj zastrzyku bezbolesnego, zastrzyku morfiny czy kokainy, która z wolna znieczula organizm na coś groźniejszego jeszcze, która odwraca jego uwagę od rzeczywistości, od tego, co się zacznie dopiero za chwilę, na białym stole operacyjnym. My, niemal co dzień jeżdżąc na ten front, bliższy niż warszawski Radzymin, niż krakowskie Przegorzały, niż poznańskie Puszczykowo, zobaczymy to niebawem: jak bardzo się zatarła teraz granica między frontem a niefrontem.

Taki jest Madryt owej rewolucyjnej i wojennej jesieni 1936 roku, taką roztacza panoramę. Może to być panorama krwawa, może to być nowoczesne Koloseum, Odessa osiemnastego roku, Paryż terroru. To wszystko jest prawdą i to wszystko nie zmienia, a raczej uzasadnia konieczność, byśmy to wszyscy widzieli oczyma najbardziej widzącymi, najszerzej rozwartymi na świat. Jest tu powódź cudzoziemskich dziennikarzy i niedziennikarzy: socjologów pisarzy, eseistów, naukowców. Tylko nie ma polskich. Są zdwojone sztaby obserwatorów z placówek oficjalnych i zredukowana do dwóch osób — nasza. A jednak jest w tym mieście dalekim i południowym coś, co dziwnie właśnie Polski się czepia. Są na transparentach hasła, które mogłyby w Polsce wypłynąć, i są ulice dziś jeszcze jak po wypadkach lwowskich zeszłego roku¹⁸⁶, jest ta sama bieda pylnych ulic

¹⁸² *Calderon de la Barca, Pedro* (1600–1681) — dramaturg i poeta hiszpański, klasyk europejskiego baroku; autor m.in. tragedii scenicznych *Życie snem* i *Księżę niezłomny*. [przypis edytorski]

¹⁸³ *Alba*, właśc. *Ferdynand Álvarez de Toledo, trzeci książę Alba* (1507–1582) — hiszpański wódz i polityk; doradca Karola V, następnie Filipa II; skuteczny dowódca: zdobył Tunis, dowodził zwycięską armią cesarską w Niemczech, następnie we Włoszech; jako namiestnik Hiszpanii w Niderlandach zasłynął z okrucieństwa, usiłując stłumić powstanie antyhiszpańskie; dowodził armią zajmującą Portugalię. [przypis edytorski]

¹⁸⁴ *Unamuno, Azania, Costa* — pisarze i myśliciele hiszpańscy tzw. pokolenia 1898, połączeni doświadczeniem hiszpańskiej klęski w wojnie z USA i utraty hiszpańskich kolonii: *Miguel de Unamuno y Jugo* (1864–1936), filozof, pisarz, dramaturg i poeta; *Manuel Azaña y Diaz* (1880–1940), polityk, dramaturg i pisarz, drugi i ostatni prezydent (1936–1939) Drugiej Republiki Hiszpańskiej; *Joaquín Costa* (1846–1911), polityk, prawnik i historyk. [przypis edytorski]

¹⁸⁵ *alkazar* (z arab.) — warowny pałac mauretański w Hiszpanii; najważniejsze alkazary znajdują się w Toledo, Segowii, Sewilli i Kordobie; w Toledo próba przewrotu wojskowego w 1936 nie udała się, więc wycofujący się rebelianci zajęli Alkazar, chroniąc się w nim z kobietami, dziećmi i cywilnymi zakładnikami; podczas oblężenia (18 lipca do 28 września 1936) twierdza była wielokrotnie bombardowana przez siły republikańskie, ale obrońcom udało się wytrwać do nadejścia odsieczy. [przypis edytorski]

¹⁸⁶ *wypadkach lwowskich zeszłego roku* — mowa o krwawo stłumionych zamieszkach antyrządowych we Lwowie w kwietniu 1936, mających początek w spacyfikowaniu przez policję demonstracji bezrobotnych i śmierci jednego z nich; podczas gwałtownych starć dwa dni później, w dniu pogrzebu jednej z ofiar, policja używała szabel i broni palnej, spokój zaprowadzono dopiero po wprowadzeniu na ulice wojska; zginęły dziesiątki ludzi, setki aresztowano; doniesienia prasowe ze Lwowa na temat tych zdarzeń podlegały ścisłej cenzurze rządowej. [przypis edytorski]

przedmieścia, nędza olbrzymiego szmatu stolicy. Gdzieś się ta wspólnota polsko-hispańska rozpocząć musiała dawno skoro jest tak silna, skoro o niej wiersze pisał Słowacki, a rozprawy Joachim Lelewel. Coś tu jest, co nas zbliża aż po samą nędzę, aż po podobność dróg i bezdroży historycznych. Aż po ową kryzę¹⁸⁷ hiszpańsko-habsburską, jaką już przy swej sukience dziecka nosi najbardziej sarmacki z naszych Wazów. Aż po ową suknię ze sztywnej lamy¹⁸⁸, ów kwef¹⁸⁹ z pereł i ową minkę dziecięco-monarszą, która sprawia, że polska królewna Anna-Maria zaczyna mi naraz stawać się obca zupełnie i przypomina tylko swoje małe, zapomniane kuzynki — owe hiszpańskie infantki Velazqueza.

Ierma

Bardzo rano przyjeżdża auto ministerstwa wojny, z dwoma milicjantami na przedzie. Bierzemy jakieś ciepłe rzeczy, coś do jedzenia, ruszamy. Naraz biały królewski pałac, potem ogrody piękne, staranne. Tu zamiast nędzy, jak od strony Vallecás¹⁹⁰, dostaje się w centrum miasta zieleń parków. Lśni w jasnym dniu asfaltowa szosa, nawet warty stają się częścią krajobrazu. Za murem jeden z królewskich ogrodów Casa de Moro. Panna Jeziorańska zniża głos: tu codziennie, w nocy lub nad ranem, rozstrzeliwują setkami. Dawniej ogłaszano nazwiska. „Rozstrzelani zostali jako wrogowie ludu tacy to, a tacy to”. Teraz wprowadzono trybunały ludowe, ale i obecnie rozstrzeliwuje się bez sądu, wywiózłszy za miasto, strzałem w tył głowy. Dużo jest samosądów między zwalczającymi się frakcjami robotników. Automobil tymczasem wjeżdża na szosę równą linią biegnącą pod górę. W lewo od drogi jakieś duże, pustawe przestrzenie. Pagórki, płowa wysoka trawa, chaszczcze czasem i rzadkie drzewa. „To Casa del Campo” — mówi znowu Panna Jeziorańska. Nie wiem jeszcze, co to „Casa del Campo”. Patrę się chwilę obojętnie na tę pustkę, która monotonicznie biegnie po lewej stronie naszej drogi, a moja towarzysząca mówi mi jeszcze, że przed rewolucją w każdą niedzielę wybierano się tu z Madrytu na wypoczynek, jak u nas na majówkę. Był to taki park podmiejski, pozostawiony dziko. Teraz tu nic nie będzie, nim się nie skończy ta wojna...

Casa del Campo...

Ostrza Guadarramy stają się bliższe, jakieś samochody leżą rozbite po rowach, ogłoszenia koniaków i hoteli krańcziej sztyldami, wreszcie nowe warty i Eskurial¹⁹¹. Szare kwadraty gmachu, kute z granitu, szarzeją wśród rdzawych jesienią ogrodów: śpią w tej kamiennej głębi rzędy trumien królewskich i czeka jedno jedyne wolne jeszcze miejsce, w którym pewno nie spocznie Alfons XIII¹⁹². — Auto bierze silnie pod górę, staje się chłodno, choć jest słońce. Drogowskazy mówią, że do Avila jest już tylko 43 kilometry. W Avila są „tamci”. Spadamy w dużą dolinę i oto pueblo. Nazywa się Navas del Marques. Tłum milicjantów maszeruje w różnych kierunkach. Linie bojowe są o pół kilometra. Naszą uwagę zwraca stary zamek. Jest zrujnowany i z towarzyszącymi nam milicjantami gramolimy się z trudem przez zwały granitu. Był opuszczony od dawna, może od czasów Maurów, gdy Kastylia nie sięgała jeszcze po Madryt. Teraz walczyli w nim narodowcy, faszyci, ale zostali pokonani. Zginęło ich tu 500. Oprowadza nas niemłody sierżant wsparty o kulę i syna, młodego żołnierza w milicjanckim mono: był wzięty do niewoli przez „tamtych” i ranny umieszczony w szpitalu. W nocy zeskoczył przez okno, wykręcił nogę, ale udało mu się uciec. Mijamy jakiś spalony kościół, jakieś napisy komunistyczne i plakaty. Trzeba jechać dalej, do Navalperal, gdzie jest kwatera odcinka frontu, kwatera „kolumny Mangada¹⁹³”. Może zobaczymy samego Mangadę.

¹⁸⁷kryza — kolisty marszczony kołnierz, noszony w XVI–XVII w. [przypis edytorski]

¹⁸⁸lama — tkanina jedwabna przetykana złotymi lub srebrnymi nitkami. [przypis edytorski]

¹⁸⁹kwef (daw.) — kobiece nakrycie głowy. [przypis edytorski]

¹⁹⁰Vallecás — dawna miejscowość w pobliżu Madrytu, na południe od miasta; od 1950 włączona do tej metropolii. [przypis edytorski]

¹⁹¹Eskurial a. Escorial (hiszp.) — wielki renesansowy zespół pałacowo-klasztorno-biblioteczny położony 45 km od Madrytu. [przypis edytorski]

¹⁹²Alfons XIII (1886–1941) — król Hiszpanii z dynastii Burbonów, panował formalnie od urodzenia do ustanowienia Drugiej Republiki Hiszpańskiej w 1931. [przypis edytorski]

¹⁹³Mangada, Julio (1877–1946) — wybitny oficer hiszpańskiej armii republikańskiej; na początku wojny domowej dowodził grupą wojskową znaną jako „Kolumna Mangada”, która wygrała kilka ważnych bitew pod Madrytem. [przypis edytorski]

Ale bohater pierwszych walk tej wojny był w Madrycie i przyjęto nas tylko w sztabie, gdzie p. Jeziorańska znała już parę osób. Zasiadliśmy do obiadu w zarekwirowanej, bardzo mieszczańskiej willi, razem z oficerami i jakąś parą dziennikarzy północnoamerykańskich, z którą porozumiewaliśmy się za pomocą uśmiechów. Obiad był niestaranny może, ale obfity. Przez otwarte, opięte bluszczem okna dolatywały dalekie odgłosy strzałów i bliższe, obozowych połajanek. Po obiedzie gruby major obiecał nas poprowadzić na front. Przesiedliśmy się do wojskowego auta i drogą niedawno utartą podjechaliśmy pod górę. Trzeba było wsiąść niebawem i iść pieszo, wyschłym, połyskującym płowem grzbietem. Przypomina to zbocza jakichś Czerwonych Wierchów w Tatrach. Oficer pokazuje nam miejsce całe spalone, jak od ogniska: „Tu — mówi — temu tydzień, po wielkim ataku „tamtych”, ściągnęliśmy zwłoki Maurów leżące tuż przed okopami i spaliliśmy”. Na mój odruch dodaje: „Trudno tu okop wygrzebać, cóż dopiero grób, a w tym skwarze byłyby się zaśmierdziały i zaraza gotowa!” — Nic nie znac na tym miejscu: można by pomyśleć, że paliła się tu trawa, a to spopielaly się ciała ludzkie. Pytam, jak to się dzieje, że zwłoki tak płoną łatwo, a oficer odpowiada, że przecież polano je benzyną. Ciało, objaśnia, byle zaczęło się palić, pali się już potem dobrze. — Idziemy jakoś w milczeniu, które znowu przerywa oficer. Okazuje się, że zna Polaków. Tu nawet walczy jeden Polak, ochotnik. Uciekł z poselstwa polskiego gdzie był kamerdynerem czy szoferem... Będzie nawet w okopach. —

Panna Jeziorańska stropiła się nieco: ja dowiedziałam się w ten przypadkowy sposób, że jednak nie wszystkim ludziom wystarczała już drzemka madryckiego Soplicowa. Ale szofera nie było na linii. Zeszedł był właśnie na dół, mijając nas na zboczu. Okopy były sklecone naprędce, ciągnęły się garbem. Było trudno kopać w skalistej ziemi. Wykuto więc tylko jakieś duże schrony przeciwko nalotom junkersów¹⁹⁴, wydziobano oskardami rów i podwyższono go murem. Przez peryskop oglądało się świat przed nami — tamtą stronę. Rozróżnialiśmy na wzgórzu, o kilkaset metrów, kształty nowych pozycji, bliźniaczo podobnych do tych.

— Nic dziwnego: ziemia tam taka sama — powiedział oficer.

Ziemia była istotnie taka sama, długie, sfalowane zbocza, o trawach wyschłych, o płaskich plamach kamieni. „Maliniak” Guadarramy jak w Tatrach. Tylko ani trochę zieleni. Nisko za nami pinie czerniejące w dolinie były jedynym jej śladem. Przed nami była ta płowa pustka górską Kastylia. Jakiś strzał się odezwał. Żołnierz przy nas odwrócił się z kolei, nachylił nad karabinem, wymierzył. Nie wiedzieć po co mierzył. Nie widziało się nic. Po chwili mierzenia wypuścił strzał głośny i krótki. Huk potoczył się jakby po kamieniach i znowu była cisza, gorące południowe słońce, blade bezchmurne niebo i płowość wzgórz. Strzelec odłożył karabin, popatrzył na nas, na pole, w niebo, sparł się o parapet i dalej wylegiwał się w słońcu.

Ludzie przy nas ziewali. Tu teren uniemożliwia przeprowadzenie bliżej linii bojowych. Przed Navas del Marques są tak blisko, że ludzie nocyma¹⁹⁵ krzyczą do siebie. Już się znają. Przeklinają jedni drugich. Czasem podają sobie wiadomości. Bo przeważnie są tam z tej samej wsi. Tych samych okolic...

— Jak to!

— O tak. I z Navalperal tak samo. Co państwo myślą? Albo we wsiach mało jeszcze zostało faszystów? W Navas del Marques będzie z dwustu chłopaków, którzy gdybyśmy w czas nie zajęli wioski, pewno by do tamtych zwiali. Myśli pan, że to nie rozgorycza milicjanta, jak sam walczy, a taki zdrowy chłopak siedzi sobie w cieniu pod chatą?

Schodziliśmy na dół, dokąd właśnie podjechało nasze auto, pożegnaliśmy oficera. Na wzgórzach, z których zeszliliśmy tylko co, panowała dalej ta sama cisza. Pierwszy raz byłem na froncie: taka niespodziewana nuda. Auto popędziło szybko stokami Guadarramy, robiąc szeroką pętlę: wyjechawszy z Madrytu drogą na północ-zachód mieliśmy wrócić niemal od południa, od Toledo. Panna Jeziorańska była jeszcze temu tydzień przed Toledo. Miasto już było w ręku „tamtych”, ale w sztabie mówiono tylko tyle, że wobec walki w mieście nie wolno jechać dalej dziennikarzom. Teraz front posuwa się wzdłuż tej linii.

¹⁹⁴*junkers* — niemiecki samolot bombowy produkowany przez przedsiębiorstwo założone przez inżyniera Hugona Junkersa (1859–1935), po jego śmierci przejęte przez Ministerstwo Lotnictwa Rzeszy. [przypis edytorski]

¹⁹⁵*nocyma* — dziś popr. forma: nocami. [przypis edytorski]

Przed zachodem zjechaliśmy nad wielkie sztuczne jezioro ocembrowane olbrzymią tamą, jak u nas na Sole. Wody były spuszczone celem zalania doliny, w której znajdowali się już faszyści. Echa strzałów dobiegały nas wyraźniej. Jechaliśmy pueblami cichymi, skupionymi w jedną masę, o domach pozlepianych jedno w drugie jak gniazda jaskółcze, ciasno przy sobie. Z osmalonych kościołów powiewały czerwone sztandary. Księża byli wymordowani wszędzie. Ale latyfundiów nie było. Za to wzgórze prawie aż po szczyty były poprzegradzane kamieniami. To, co u nas jest miedzą polną, niskim nadkopem, tu było wysokim na metr ogrodzeniem. Cienie już się wydłużały na polach i podkreślały jeszcze ową szachownicę. Gdzież ta wielka własność Hiszpanii?

— Tu jej nie ma i nie było nawet — mówiła panna Jeziorańska. To jeszcze Kastylia i północ. To są góralskie strony. Wszystko jest rozdzielone takimi miedzami. Tylko puebla z tymi domami pozlepianymi to jakiś kolektyw pszczół czy termitów. Gdzie się kończy puebla, a zaczyna sierra, jest zaraz inaczej. —

Tymczasem jednak spadał szybki górski mrok. W San Martin towarzysza kazała stanąć: chciała tu kupić trochę mięsa dla siebie na dzień następny, a w Madrycie mięso podróżowało już znacznie. Idąc, opowiadała, jak tu kiedyś widziała dziecko bawiące się na ulicy starym szyszakiem¹⁹⁶ rycerskim. Wiele rzeczy takich kryje się po górskich wsiach. Jechaliśmy dalej: panna opowiadała o swoich wrażeniach. Okazało się, że była na Kaukazie, w Niemczech. Wszystko, co mówiła, było ciekawe, instruktywne, mówiło o kraju. W Hiszpanii jest od lat kilku, zna dobrze język. Kraju jeszcze nie zna. Jak to? O, znać naprawdę Hiszpanię, to bardzo trudna rzecz! Ta prawdziwa Hiszpania rozpina się między siecią owych kilkunastu samochodowych szlaków, które przeprowadził przez kraj Primo de Rivera, między oczkami kilkudziesięciu brukowanych szos. Można dziś przejechać kraj wzdłuż i wszerz i myśleć, że się zna Hiszpanię. Ale poza wielkimi szlakami, poza drogami drugiej klasy rozpoczyna się świat starych puebli, złych dróg, przez które nie przechodzi autobus, do których nic nie dotarło. Jeszcze dalej siedzą istne mateczniki ludzkie, górami odcięte od świata, o sobie wzajem niewiedzące. Czasami docierali tam fotoreporterzy, nierzadko uczeni. Jest wieś w górach, gdzie większość mieszkańców rodzi się z szóstym palcem u ręki lub nogi i ten fenomen stał się prawie regułą: nakręcono stamtąd bardzo ciekawy film. A jakie twarze tych ludzi, w półdegenerowanych ciągłym krzyżowaniem się wpośród siebie, jakie dziwne, przejmujące twarze... Są okolice, gdzie wierzy się, że krew niewinnej istoty ratuje suchotników. Zdarzały się mordy na ten temat. Ciągłe się zdarzają. Są wierzenia, obyczaje...

Panna się trochę zawahała.

— Jakie obyczaje?

— Dobrze, opowiem panu. Nie pamiętam tylko, czy chodzi tu o Nawarę czy północ Aragonu. Badali to tutejsi socjologowie. Otóż są okolice, gdzie panuje ów dziwny obyczaj, urządzenie. Polega to na tym, że co roku na wiosnę cała młodzież, dziewczyny i chłopcy, jeszcze zupełnie młokosowaci, ruszają wspólnie na wysokie połoniny¹⁹⁷, żyją tam gromadnie, razem. Wracają potem na jesieni wraz z bydłem pognanym na pastwiska, no i... Czasem jednego roku nic, drugiego nic, na trzeci dwunastoletnia dziewczyna wraca z przychówkiem. Karmi go zimą w domu, na wiosnę znów rusza w góry. Jeśli jest zdrowa, to potem nowy dzieciak się nadarzy. Tak będzie przez kilka lat. Podobno jest to przeżytek dawnych form społecznych, jeszcze z czasów hord pasterskich, owa *promiscuitas*¹⁹⁸, wspólne pożycie raz z tym, raz z tym. Ale wreszcie dziewczyna zmężnieje i podrośnie, przychodzi czas normalnego wyjścia za mąż. I wtedy najbardziej ceniona jest ta dziewczyna, która ze sobą najwięcej dzieci przyprowadzi. Cóż? Połoniny duże, stad nie braknie, a ludzi do pracy tam trzeba, cudzych się nie podnajmie. Zresztą fatalna higiena reguluje jak w dawnych czasach nadmierny przyrost ludności...

— Dziwny zwyczaj. —

— Tu wszystko jest bardzo odmienne. W tej całej Hiszpanii, z daleka od miast i szos, na wysokich górach, w sierze, to właśnie nie nadmiar dzieci, ale bezdzietność jest klątwą.

Obyczaje, Kobieta, Dziecko,
Seks, Wiś, Natura

¹⁹⁶szyszak — rodzaj stożkowatego hełmu bez przyłbicy. [przypis edytorski]

¹⁹⁷połonina — tu ogólnie: górskie łąki, pastwisko w górach. [przypis edytorski]

¹⁹⁸*promiscuitas* (łac.) — promiskuitizm, brak reguł współżycia seksualnego, częste kontakty seksualne z różnymi partnerami bez zawierania związków czy głębszych relacji; wg dawnych hipotez typowy dla społeczeństw pierwotnych, poprzedzający wszelkie formy małżeństwa. [przypis edytorski]

Była tu wystawiana taka sztuka wielkiego dramaturga Garcii Lorca¹⁹⁹. Sztuka nazywała się *Ierma*, co znaczy tyle co „Jalowa”. Jest tam tragedia kobiety bezpłodnej. Wytykają jej ową hańbę. Modli się i rozpacza. Wreszcie ulega staremu zwyczajom, który pozwala w dzień święta miejscowego patrona, gdy wiele obcych ludzi przychodzi — może na dzień tego zwyczaju kryła się i troska o odświeżenie krwi? — oddać się takiemu właśnie obcemu... żeby mieć dziecko. Bardzo być może, że Garcia Lorca osnuł swoją rzecz na tle istniejącego naprawdę obyczaju ludowego. Biedny Garcia Lorca: podobno rozstrzelali go tamci! Nawet nie wiem, czy brał udział w polityce. Ale tylu rozstrzeliwano...

— Naprawdę tak bardzo wielu?

Panna Jeziorańska potrząsnęła silnie głową, jakby chcąc coś od siebie odpędzić narętnego. Potem rzekła:

— Dużo, ogromnie dużo. Pan nie wie, dopiero jak pan tu pobędzie, zrozumie pan jak wielu. Rozstrzeliwali wszyscy i masowo. Tu się to nie liczy. Ludzie tu chcą, żeby rozstrzeliwano. Należałam do związku dziennikarzy. Mogę od razu wyliczyć dziesiątki ludzi, których dobrze znałam, którzy jeszcze w lipcu byli zdrowi, dziś ich nie ma. Chodziłam na sesję parlamentu. Pamiętam wszystkich polityków: Calva Sotelo²⁰⁰, Gil-Roblesa, Lerroux²⁰¹, posłów. Moc tych ludzi nie żyje. A jak postrzelali się anarchiści i komuniści. Mało o tym wiemy, bo nie znamy środowiska robotniczego, ale ci najkrwawiej regulowali swe porachunki. A jak powymordowywano się na wsi. A ilu ginie teraz na froncie. Jaka masa ludzi, młodych ludzi. —

Minęliśmy Illescas, już na drodze Madryt-Toledo, już na wielkiej asfaltowej szosie. Teraz nie jechaliśmy samotnie. Mijały nas jakieś auto wojskowe, ciężkie wozy pełne rozkrzyczanych ludzi. Światła latarni połyskiwały szosą. Przed nami zaczął przyświecać bardzo już bliski Madryt. Jego latarnie były zresztą przygaszone z obawy ataków lotniczych. Jechaliśmy w milczeniu. Aż o jedno jeszcze spytałem moją towarzyszkę:

— Nie wiem, jakie są pani przekonania. Kogo pani najwięcej żał w tym wszystkim, przynajmniej? —

Paniuszka siedziała chwilę z zamrużowanymi jakby oczyma, pewno myślała. A potem powiedziała po prostu:

— Mnie właściwie nie żał ani jednych, ani drugich. Ci, co chcieli wojny, mają ją. Każda strona przygotowywała tu zarazem własny zamach stanu i zabezpieczała się przed zamachem przeciwnika. Ale kogo mi za to bardzo, bardzo żał, to tych wszystkich dziewczyn, prawie dzieci jeszcze teraz, dla których za lat kilka, gdy podrosną, nie będzie chłopców, narzeczonych, mężów. Ogromnie dużo dziewczyn będzie *ierma* w Hiszpanii. —

¹⁹⁹ *García Lorca, Federico* (1898–1936) — wybitny hiszpański poeta i dramaturg; zamordowany przez bojówkę nacjonalistów na początku hiszpańskiej wojny domowej. [przypis edytorski]

²⁰⁰ *Calvo Sotelo, José* (1893–1936) — przywódca hiszpańskiej prawicowej opozycji parlamentarnej w 1936; 13 lipca 1936, dzień po zamordowaniu przez prawicową bojówkę Falangi członka Gwardii Szturmowej i Partii Socjalistycznej, Joségo Castillo, Calvo Sotelo został wprowadzony i zamordowany przez grupę policjantów Gwardii Szturmowej; jego śmierć stała się zapalnikiem wybuchu wojskowego zamachu stanu planowanego od lutego 1936, którego częściowa porażka oznaczała początek hiszpańskiej wojny domowej. [przypis edytorski]

²⁰¹ *Lerroux García, Alejandro* (1864–1949) — polityk hiszpański, trzykrotny premier Drugiej Republiki Hiszpańskiej w latach 1933–1935. [przypis edytorski]

KRWAWA SIERRA

ZAKONNICA Z MONTORO

Samochód nasz jest dużą wygodną limuzyną, jedną z dziesięciu oddanych do usług dziennikarzom zagranicznym. Musiała być skonfiskowana jakimś średniozamożnym, ale przecież lubiącym dalekie podróże samochodem ludziom. Panna Jeziorańska, korespondentka PAT-u i „Polski Zbrojnej”, która mogłaby o sprawach hiszpańskich napisać solidną i pasjonującą książkę, ja i dwóch milicjantów z ministerstwa wojny, ci z karnetami²⁰² partii komunistycznej, stanowimy obsadę wozu. Nasi towarzysze z podróży do Madrytu były to młode, nieopierzone chłopaki, które przed groźną inkwizycją w Albacete nawet nie rozdziawiły gęby. Tym dwóm nowym towarzyszom trzeba się przypatrzeć. Spędzimy z nimi prawie dwa tygodnie w rozjazdach przez step i przez sierrę, są to ludzie już po trzydziestce, a w Hiszpanii człowiek szybko dojrzewa, są to robotnicy, milicjanci, jeśli nie z pierwszej, to w każdym razie i nie z czwartej brygady. Rewolucja zrobiła z nich kohortę²⁰³ pretoriańską ministerstwa wojny, gdzie nie bardzo ufano wojskowym. Ciekawy, pozytywny i sympatyczny jest ich widoczny wysiłek postawienia się na wysokości zadania, nie tylko zadania prowadzenia samochodu i rokowań z wartami rozsianymi po drogach Hiszpanii, ale także oceniania i rozumienia zjawisk, tak jak w ich pojęciu jest to obowiązkiem uświadomionego proletariusza, członka partii, doborowego milicjanta. Ci ludzie podciągają się do zadań nowych, do nowej pozycji społecznej. Nie zdążono ich przygotować do tego podciągania, podciągają się sami, wiedzeni instynktem. To także jest ciekawe. Może dlatego właśnie nie widać w nich niestety śladów poczucia, że inni ludzie w polu i w miasteczku, spotykani przez nas w drodze, są także, jak oni, proletariatem. Tym ludziom oni rozkazują, obwieszczają, tym ludziom nie doradzają i nie tłumaczą. Każdy z nich zresztą inaczej reaguje, inaczej się podciąga.

Więc najpierw niski, zabawny Pedro. Jest to nasz „eskortujący milicjant”. Rewolucja w oczach Pedry przedstawia się dość uproszczenie. Dawniej oficerami była szlachta, panicze, burżuje, synowie adwokatów. Teraz oficerem będzie Pedro, robotnik z branży torebek damskich. Po drodze Pedro musi wchłonąć pewną dozę mądrości, rozjaśniającej i porządkującej dalekie mu dawniej, z horyzontów fabryki torebek damskich niedostrzegane zjawiska. Dyskusja z Pedrem nie jest trudna, ale też nie jest ciekawa. Pedro reaguje na zjawiska dalekiego świata szablonami trzydziestu paru ustalonych powiedzeń. Powiedzenia przypominają aforyzmy, a zaczerpnięte zostały zapewne przy najrozmaitszych okazjach z artykułów w prasie socjalistycznej. Jak reakcje i ruchy motoru są przy wszelkich kombinacjach ograniczone, tak i sterowanie Pedra poprzez zjawiska życia jest dosyć automatyczne. Przy pierwszej z nami rozmowie zadeklarował swe poglądy polityczne, a zarazem odciął się od anarchizmu. „Anarchiści to najbardziej zacofane elementy z masy proletariackiej” — wyrecytował pięknie. Ale okazało się później, że tym jednym zdaniem reguluje wszystko, cokolwiek by się kiedykolwiek o anarchistach mogło powiedzieć. W kilka dni potem w Guadiksie²⁰⁴ opowiadano nam o zaciekłym i naprawdę heroicznym oporze stawianym wojsku właśnie przez miejscowych anarchistów: Pedro wysłuchał opowieści o tym męstwie i z głębokim przekonaniem wypowiedział tłumacząco swoją wieczną w sprawach anarchizmu uwagę: „Tak, tak, anarchiści to najbardziej zacofane elementy z masy proletariackiej”.

Rosłego, ciężkiej budowy Modesta cechuje inny stosunek do świata: głęboka i powszechna nieufność. Czuje się wydzwignięty, wyniesiony, czuje, że jego pozycja socjalna polepszyła się znacznie, że może się jeszcze polepszyć. Wydzwignięcie było może rekompensatą za poprzedni los, ale warunkami obiektywnymi nie wydaje mu się uzasadnione. Do tego wydzwignięcia i wyniesienia, do jego podstawy i trwałości zwraca się właśnie milcząca nieufność Modesta. Wszystko obserwuje, nic nie mówi. Najchętniej nadmienia o rzeczach zupełnie obojętnych: pogodzie, jedzeniu, winie. Nawet tu jest ostrożny. Modesto nie zacytuje żadnego cudzego twierdzenia, nie powie niczego słowami z „Claridad”

²⁰²karnet — tu: legitymacja partyjna. [przypis edytorski]

²⁰³kohorta — jednostka taktyczna w wojsku starożytnego Rzymu, dziesiąta część legionu. [przypis edytorski]

²⁰⁴Guadix — miasto w Andaluzji, w pld. Hiszpanii, na pln.-wsch. od Grenady. [przypis edytorski]

czy „Mundo Oberero”²⁰⁵. Ma się wrażenie, że ten człowiek chce wszystko skontrolować: i pannę Jeziorańską, i Marksa²⁰⁶. Wczesnym rankiem wyjechaliśmy z Madrytu na Aranjuez, potem w bok drogą do Kordoby, ciągle na południo-zachód. Jedliśmy we czworo nasz pierwszy popasowy²⁰⁷ obiad w Valdepenas, słynnym ze swego dobrego ludowego wina. Nasi towarzysze jedli w sposób dość niedbały, na który oczywiście staraliśmy się nie zwracać uwagi. Już jednak przy następnym posiłku zauważyliśmy, że milczący Modesto przyswoił sobie sztukę używania serwety zamiast obrusa do obcierania rąk i ust po jedzeniu. Modesto zada sobie jeszcze w życiu trud czytania arcydzieł literatury, uczęszczania do szkoły dokształcającej, sięgnie do Engelsa²⁰⁸, kto wie, może zastanowi się nad sztuką dobrania krawatu do niedzielnego ubrania. Dla Modesta żadna rzecz nie będzie zbyt mała czy godna pogardy, przyswoi sobie wszystkie. Stosunek Pedra do spraw obrusa i serwety pozostanie na zawsze taki sam niedbały jak do różnych objawów anarchizmu.

Po obu stronach drogi winnice, winnice, winnice. Wsiadamy z Pedrem po winogrona. Nieznacznie²⁰⁹ zza jakichś opłotków wysunęli się uzbrojeni w fuzje chłopci. Nieprzyjemnie tak buszować w cudzych winnicach, ale Pedro mnie uspokaja, że teraz jest wszystko wspólne. Chłopi po przejrzeniu naszych dokumentów nie mają żadnych uprzedzeń. Rozmawiamy. Do kogo należy ta ziemia?

— Do panów (*senores*).

— Co się stało z panami?

Okazuje się, że trochę uciekło, koło czterdziestu wymordowano, trzydziestu siedzi w więzieniu. Pracują pod strażą.

— Kiedy ich zatłuczecie? — pyta Pedro.

— Mamy czas, niech popracują do żniw. Teraz jeszcze potrzebne w polu siły robocze.

Nas uderza inny, interesujący szczegół. Czterdziestu plus trzydziestu i jeszcze kilku... Dużo było tych panów w jednej okolicy! Dopytujemy się o ilość ziemi, jaką posiadali. Okazuje się, że byli to właściciele *fink* od dwudziestu do dwustu hektarów, że byli wśród nich i poniżej dwudziestu. Pytamy, czy wszyscy powyżej dwudziestu hektarów zostali wymordowani lub wywłaszczeni. Okazuje się, że nie. Chłopi spokojnie tłumaczą, że zabijano wielkich gospodarzy, ale takich, którzy głosowali przeciwko Frontowi Ludowemu. Kryterium była nie tyle sama zamożność, co względna nawet zamożność, ale w połączeniu z przekonaniem politycznymi.

Step zaczyna przegradzać rosnąca przed nami zaporą gór — Sierra Morena²¹⁰. Samochód jedzie drogą zupełnie pustą. Czasami rozbite samochody — jest ich moc²¹¹ — znaczą drogę. Moją towarzyszkę zaczyna naraz boleć chory ząb. Jest już popołudniu, jedziemy przez okolice La Caroliny, prawie pustynne. W La Carolinie nie ma dentysty, jedziemy dalej. Znowu w innym pueblo nie ma, szukamy jeszcze. To tylko samochód i świetne szosy pozwalają przesuwać się tak po kraju. Jest wieczór, gdy z naszego szlaku zjeżdżamy na boczną drogę, poprzez wydmy i szyby kopalń rudy ołowianej, opuszczone lub nieczynne od czasu rewolucji, sterczące wśród mieniących się błękitnawo usypowisk. Dobrze zmierzcha, gdy dojeżdżamy do niewielkiego miasta Linares, centrum zagłębia górniczego. Pytamy wartę o lekarza. Wywołuje to zakłopotanie. Będzie trudno o denty-

stę...

— Jak to, w Linares?

— Tak — mówi milicjant — istotnie. Jak pamiętam, było dwóch. Ale byli to ludzie Gil-Roblesa. Zabiliśmy ich pierwszego dnia.

²⁰⁵ „Claridad” czy „Mundo Oberero” — lewicowe gazety hiszpańskie, wydawane w Madrycie: socjalistyczny „Claridad” (1935–1939) oraz komunistyczny „Mundo Oberero” (zał. 1931). [przypis edytorski]

²⁰⁶ Marks, Karol (1818–1883) — niemiecki filozof i działacz polityczny, współzałożyciel I Międzynarodówki, twórca marksizmu, światopoglądu głoszącego materialistyczny i rewolucyjny pogląd na świat; w 1848 napisał razem z Engelsem *Manifest partii komunistycznej*; jego najważniejsze dzieło to *Kapitał: krytyka ekonomii politycznej* (t. 1 1867, t. 2–3 1885–94). [przypis edytorski]

²⁰⁷ *popasowy* — przym. od *popas*: postój w czasie podróży w celu nakarmienia koni i odpoczynku. [przypis edytorski]

²⁰⁸ Engels, Friedrich (1820–1895) — filozof i socjolog niemiecki, ideolog socjalizmu, współpracownik Karola Marksa, jeden z twórców i przywódców I i II Międzynarodówki. [przypis edytorski]

²⁰⁹ *nieznacznie* — niezauważalnie, niepostrzeżenie. [przypis edytorski]

²¹⁰ *Sierra Morena* — łańcuch górski w Hiszpanii, rozciągający się wzdłuż południowego skraju płaskowyżu Mesety Iberyjskiej. [przypis edytorski]

²¹¹ *moc* — tu: mnóstwo, bardzo dużo. [przypis edytorski]

Szczęściem w Linares był jeszcze jeden dentysta, który widocznie nie był zwolennikiem Gil-Roblesa i pozostał przy życiu, zdobywszy klientelę dwóch swych kolegów-dentystów i bodaj dwóch innych, również straconych, lekarzy. Robił wrażenie mocno wystraszonego i niepewnego. Linares, jak dowiedzieliśmy się później, było lokalnym centrum rewolucji, dzięki wielkiej ilości górników, może zaś jeszcze bardziej dzięki ciężkim warunkom panującym wśród pracujących zagłębia. Nikt nas nie niepokoił. Być może, że podróż samochodem ministerstwa wojny, z eskortą milicji i dokumentami, zapewniła ten spokój, być może, że zawdzięczaliśmy go i temu, że większość górników poszła już na front do Kordoby.

Nazajutrz rano pojechaliśmy dalej, bardziej na zachód, poprzez teren górzysty i pokryty wielkimi gajami oliwnymi, coraz widoczniejszy kraj latyfundiów. Byliśmy o jakie pięćset kilometrów od Madrytu. Nie było już tu jednak tak martwo, jak pod La Caroliną. Mijały nas samochody wojskowe witające nasz podniesieniem ściśniętych pięści. Minęliśmy Bailen, słynne z kapitulacji wojsk Napoleona. Za Bailen dał się słyszeć metaliczny zgłuszony warkot. Modesto zatrzymał maszynę. Duży samolot krążył nad doliną.

— *Son ellos o nuestros?*²¹²

Samolot zniżył się jeszcze bardziej i leciał nad naszą drogą. Nikt z nas nie mógł sobie odpowiedzieć na niespokojne pytanie Pedra: „nasz” czy nie „nasz”? Ale samolot odpłynął po chwili ku Kordobie. Pedro odetchnął (jak zresztą, po prawdzie, i my) i poinformował z namaszczeniem i ulgą:

— *Es un nuestro?*²¹³

Sztuka rozpoznawania samolotów może się przydać w Hiszpanii. Pytamy Pedra, jak doszedł do swego wniosku. Było to bardzo proste.

— Gdyby był ich — odpowiada — byłby nas ostrzelał. A jeśli nie strzelał, to nasz.

Przed dwunastą dojeżdżamy do Montoro, skalistego gniazda pod urwiskiem rzeki, siedziby sztabu operacyjnego przeciw powstańczej Kordobie. Jest już coś arabskiego w tym mieście. Przez wąskie uliczki wpadamy na rynek pełen starych domów z herbami u attyk²¹⁴, z pięknym kościołem. Postaci świętych w portalu są poutrącane: sądząc po reszcie, mogły przedstawiać dużą wartość. Jedziemy do sztabu, zakwaterowanego tuż obok w jakimś prywatnym domu. Wita nas paru oficerów, ubranych nieco jak się da, z widoczną niedbałością dla szlif²¹⁵ i przepisów. Przychodzi wysoki, przystojny wojskowy, który jak się okazuje, jest znajomym mojej towarzyszki: to deputowany socjalistyczny do kortezów, p. B... Mówi doskonale po francusku, co dla mnie, przebijającego się z trudem przez hiszpański, stanowi ogromne ułatwienie. Jest niezmiernie gościnny i uczynny. Sprawuje tu funkcje komisarza uzgadniającego zarządzenia wojskowych, milicji i władz cywilnych rewolucji. Zaprasza nas na obiad do mesy oficerskiej, ale obiad będzie za godzinę. Po południu zawiezie nas na linie, do El Carpio.

Przez tę godzinę czasu obchodzimy miasto. Burza rewolucji już przeszła, ale ślady jej potoków pozostały widoczne. Przez kilka ulic, którymi idziemy, widać domy, nie to ludzi zamożnych, ale najwidoczniej nieco zamożniejszych, zupełnie splądrowane i okupowane. W kościele bawią się dzieci i pali się ogień na *braserze*, mosiężnej misie, w której w Hiszpanii utrzymuje się żarzący węgiel z ogniska. Ołtarz i chór, które zresztą nie posiadały wartości artystycznej, są porąbane z jakąś przykrą zaciętością. Pergaminowe arkusze, wyrwane zapewne z mszału, walają się na ziemi. Wrażenie zniszczenia, ponurej, zimnej zaciekłości, jest przygnębiające. Ze szczytu wieży ogarnia się widok daleki, aż pod Kordobę. Z ruszowań dzwonu zwisa wielki czerwony sztandar, i czuwa warta.

Przechodzimy jeszcze kilka ulic, aż nadarza się młody człowiek z milicji ludowej, który zaczyna nas oprowadzać. Jeszcze jeden kościół, ten przynajmniej zamknięty. Młody człowiek opowiada nam bez skrępowań o tym, jak „skończono z księżmi”. Z pięciu trzech zabito. Dwóch nie zabito, nie. Zostali i teraz są bez sutann, normalnie, jak żyć trzeba, pracują w kancelarii miejskiej. Był jeszcze jeden ksiądz: ale ten już na ziemię nie wróci.

Ksiądz, Rewolucja

Choroba, Obcy, Wygnanie

²¹²*Son ellos o nuestros?* (hiszp.) — To tamci czy nasi? [przypis edytorski]

²¹³*Es un nuestro* (hiszp.) — To nasz. [przypis edytorski]

²¹⁴*attyka* — dekoracyjne zwieńczenie elewacji budynku w postaci ścianki lub balustrady osłaniającej dach. [przypis edytorski]

²¹⁵*szlif* — naramiennik; pasek materiału naszyty na ramieniu kurtki mundurowej z umieszczoną na nim odznaką stopnia wojskowego. [przypis edytorski]

— Określenie było zastanawiające, poprosiłem o wytłumaczenie. Milicjant odpowiedział: — Tu za Montoro zaraz są góry, a w górach, o kilkanaście kilometrów stąd, są trzy wsie trędowate. Tak, jest tu trąd. Jeszcze z dawnych lat. Wsie te są na ziemiach wielkich panów, ukryte w wąwozach. Nikt do nich nie chodzi, nikt z nich nie może wyjść. Raz pastuch się zabląkał: nie pozwoliliśmy mu już wrócić. Teraz ten ksiądz, na którego miano oko, poszedł w góry. Straże widziały go z daleka, poznały, strzelano. W górach teraz są mgły, ciężko trafić. Ksiądz uciekł do pierwszej z tych wsi. No i dobrze: już po nim. Choćby Gil-Robles wrócił, choćby sam król wrócił, jemu już stamtąd wrócić nie wolno. Takie prawo było i będzie. On już z tamtymi umrze...

Nigdy, nigdzie nie słyszałem o tym, żeby wśród wiosok andaluzyjskich sierry krył się trąd. Ale są wioski w Rumunii, gdzie jest trąd. Może i to jest prawda? Milicjant rozważał dalej:

— Może jemu lepiej, może gorzej. Dla nas lepiej, bo nie mamy kłopotu, a on już tam pozostanie, trędowaty...

— Doprawdy, tam trąd?

— Niech państwo spytają doktora, o tam w szpitalu. On tutejszy.

Zaciekawiliśmy nas szpital. Lekarza zastaliśmy w przedsionku. Już słyszał o naszym przybyciu. Może wyobrażał sobie, że jesteśmy towarzyszami politycznymi, może był z natury uprzejmy, dość że nawet w warunkach hiszpańskich uprzejmość jego była niezwykła. Objąśniał nam, tłumaczył. Potwierdził wersję o trądzie. Poprowadził do swoich chorych. Szpital był dawną fundacją klasztorną z 1620 roku. Miał być przytułkiem dla starych i chorych Montora. Miał sto łóżek.

— Tak, sto łóżek — powiedział lekarz — to na wiek siedemnasty było bardzo dużo. Montoro wtedy było małe. Szpital wyposażono w ziemie, które wówczas przynosiły niewiele. Teraz jednak Montoro się rozrosło, przybyło chorych i nędzy, a szpital pozostał taki, jaki był w siedemnastym wieku.

W pierwszej sali ujrzelśmy przy jednym z łóżek starszą już, nieco ociężałą pielęgniarkę w białym kornecie²¹⁶. Z początku nie zwróciłem na to uwagi: świeckie pielęgniarki nieraz noszą coś podobnego. Moja towarzyszka była uważniejsza, zapytała, wychodząc z sali, lekarza. Lekarz wydawał się niezadowolony z naszego odkrycia. Tłumaczył się mocno. Okazało się, że tak. W szpitalu pozostały zakonnice. Opiekują się dalej chorymi, a teraz i rannymi. Rannych nie jest w tej chwili dużo, bo zwykle odsyła ich się dalej: ten szpital nie ma dość łóżek.

— Cóż było robić? — tłumaczył się lekarz. — Trzeba było kogoś do opieki nad chorymi, nie mieliśmy naszych pielęgniarek. Te zakonnice poza tym, że były zakonnice, nic nikomu złego nie zrobiły. Biedne dziewczyny. Chciano nawet, żeby zrzuciły habit, pewno, że to byłoby najlepiej, ja gorąco doradzałem. Cóż ja jestem winien?

Był bardzo zakłopotany, choć uznawał, że właściwie nic nie zawiniły te kobiety. Przepraszał i tłumaczył się. Przepraszał, że dał im żyć, że dał im zachować strój, jaki chciały nosić, że dał im wolność wyznania i wolność pielęgnowania chorych. Z tego wszystkiego tłumaczył się długo i szybko. Z tym tłumaczeniem byliśmy u dna tego straszliwego ostracyzmu, nietolerancji, jaką niosła z sobą rewolucja.

Przeszliśmy jeszcze jedną salę i drugą. Wchodząc do niej, miałem wrażenie, że lekarz drgnął nieprzyjemnie. Istotnie, przy stole zawałonym bandażami z krwią czy rudą ropą z ran stała jak na złość jeszcze jedna zakonnica, zwrócona do nas. Musielibyśmy przejść koło niej. Tak, to była niewątpliwie zakonnica katolicka. Na białym kołnierzu podchodzącym pod szyję wisiał dość duży — w tych warunkach ogromny — metalowy krzyż. Szliśmy na wprost niej: lekarz, my dwoje wyglądający od razu na gości cudzoziemskich — niemało komunistów zagranicznych przewinęło się przez Montoro — za nami milicjant. Milicjanta może siostra знаła z... niedawnych wydarzeń. Najwidoczniej przestała na nasz widok pracować, zwróciła się zupełnie ku nam, trzymając brudne szarpie w rękę, i patrzała. W tym spojrzeniu było wyczekiwanie, był spokój, ale był też i nietłumiony, wyraźny lęk. Zakonnica patrzała nam prosto w oczy. Wydało mi się, że lekarz i milicjant wodzą oczami po sali, po chorych, że jakby unikają tych oczu. Może to się tylko

²¹⁶kornet (z fr.) — tu: sztywny, biały czepiec na głowie zakonnicy. [przypis edytorski]

tak wydawało. Przechodziliśmy wolno, nikt nic nie powiedział, byliśmy już przy siostrze miłosierdzia. Była to młoda, zupełnie młoda dziewczyna. Miała smutne, spokojne oczy, oczy bardzo poważne. Była ładna, może nawet piękna. Mogło mieć wiele powab i wiele pokus opuszczenia tej sali cuchnącej szpitalem, opuszczenie wymagających chorych i niechętnych przełożonych, wyjście w świat, który jej otwierała — bez jej winy przecież — rewolucja, gdzie jako „nawróconą” przyjęto by z radością, jako zdobycz, jako zwycięstwo. A jednak pozostawała dalej w tym szpitalu, który ją ledwie tolerował, przewijała rany milicjantów, słuchała przekleństw i bluźnierstw, wiedziała, że lekarz tłumaczy się i usprawiedliwia wobec obcych dziennikarzy, iż pozwala jej żyć i pracować. Może zobaczyła, że patrzę na nią zbyt uważnie, że przystanęliśmy przy niej. Miała ręce pełne brudnych, obrzydliwych szarpi, ludzkiego brudu, ociekające wydzielinami ropy. Tani krzyżyk — jedyny krzyż w Montoro, może jedyny na setki kilometrów wokoło Montora — błyszczał z bliska jeszcze wyraźniej na sukni, wyraźniej niż ten czerwony sztandar na wieży kościelnej nad miastem.

Staliśmy oto niezawodnie na ruinach najbardziej katolickiego państwa, jakie wydała historia: nie było już króla, który nosił tytuł katolickiego, nie było żadnego z dwóch prymasów Hiszpanii — arcybiskupa Toledo i arcybiskupa Tarragony, nie było ani książąt kościoła, ani kościołów, nic nie pozostało z wielkich mistrzów zakonu rycerskiego św. Jakuba z Compostelli, bajlifów²¹⁷ zakonu Calatravy, rycerzy Avis, synów św. Wincentego Ferrera i św. Ignacego Loyoli, puścizny św. Teresy i potęgi wielkich inkwizytorów. Po jedenastu wiekach purpury i władzy kościół cofnął się do czasów Saula, biskupa Kordoby, i Eulogiusza²¹⁸, biskupa Toledo, tropionych i zamęczonych na stokach alkazarów arabskich: młoda siostra zakonna, która stała przede mną w białej chuście na głowie, była jedynym przedstawicielem kościoła.

Wszystko to trwało i mogło trwać zaledwie moment. Woleliśmy nic nie powiedzieć. Odchodząc i przechodząc koło tej dziewczyny, skłoniłem się tylko głową, nisko, bardzo nisko. Tak nisko — że to jednak zauważyli, choć nic nie rzekli, moi towarzysze montorscy, że zrozumiała to zakonnica: popatrzyła naraz tak, jakby kogoś jej najbliższego, dobrze znajomego, o kim nie wiedziała, czy jeszcze żyje, zobaczyła nagle przy sobie. Tak nisko się nie skłoniłem — a pewno i nie skłonię — przed żadnym człowiekiem w życiu.

EL CARPIO

Do obiadu w oficerskiej mesie zasiedliśmy pospołu²¹⁹ z deputowanym B... i trzema oficerami, w kurtkach skórzanych, bez szlif, jedynie z jakimiś nowymi oznakami na rękawach. Przy mnie zajął miejsce oficer dosyć młody, milczący. Podczas rozmowy dowiedziałem się, że pochodzi ze znanej ze swych lewicowych sympatii rodziny kordobańskiej i że dwóch jego braci zostało niedawno rozstrzelanych, a reszta rodziny jest w więzieniu. Mówiło się o tym tak spokojnie i niemal obojętnie, że na chwilę przyszło mi nawet na myśl (bardzo się tego wstydzę), że jest to rodzaj zmyślonej propagandy. Spotykałem się potem z propagandą bardzo celowo montującą wiele rzeczy, ale dziś nie mam wrażenia, aby ów oficer z Montoro mówił nieprawdę: to tylko reakcje tych ludzi w Hiszpanii są inne, może właśnie boleśniejsze, niż byłyby u nas. Mówiono przy obiedzie o tym, że nie bierze się jeńców. Widziałem, że niestety rozstrzeliwuje się po obu stronach z największą gotowością, ale myślałem, że trzeba ten zapal, o ile to jest w naszej mocy, studzić. Powiedziałem, że o ile wiem, wojska rządowe nie zabijają wziętych do niewoli, że to właśnie jest należyście oceniane w reszcie świata i dobrze służy ich sprawie. Ale moja pochwała spotkała się ze złą oceną wojskowych montorskich: pewien oficer wręcz oświadczył, że przeciwnie, niech tylko którego z tych drabów weźmie do niewoli, już go się nie wypuści! B... inaczej

²¹⁷bajlif — średniowieczny tytuł urzędników o różnej randze i uprawnieniach: w dobrach królewskich, kościelnych lub wasalnych, także w zakonach rycerskich. [przypis edytorski]

²¹⁸Eulogiusz z Kordoby (zm. 859) — duchowny chrześcijański, męczennik i święty Kościoła katolickiego; zachęcił kilkudziesięciu chrześcijan do dobrowolnego męczeństwa: udania się do miejscowych władz muzułmańskich w celu znieważania islamu oraz proroka Mahometa, co prawo karało śmiercią; uwięziony przez władze wraz z biskupem Kordoby Saulem; po zwolnieniu wybrany na arcybiskupa Toledo, powtórnie uwięziony i ścięty przed święceniami biskupimi; ówczesne miejscowe władze kościelne odmówiły przyznania statusu męczenników Eulogiuszowi i osobom zachęconym przez niego, ponieważ nie były ofiarami prześladowań. [przypis edytorski]

²¹⁹pospołu (daw.) — wspólnie, razem. [przypis edytorski]

zareagował. Powiedział, że istotnie zdeklarowanych przeciwników politycznych się traci, lecz w innych wypadkach republika jest wyrozumiała i humanitarna. Najlepszy dowód możemy ujrzyć po obiedzie, w postaci młodego Maura, schwytanego w nocy i przypro-
wadzonego do komendy. Wprawdzie ów oficer, który tak się srożył poprzednio, mruknął i teraz coś, co oznaczało mniej więcej: „No, musimy go przecież wybadać”, ale wolałem wziąć słowa B... za dobrą monetę. Razem z moją towarzyszką komplementowaliśmy ich więc długo i dobitnie za ów niewątpliwy dowód humanitaryzmu, w myśli, że jeśli tym ludziom zależy na opinii zagranicy, może zechcą wstrzymać choć w wypadku jeńców rzeź wojenną.

Pannę Jeziorańską zainteresowały natomiast inne rzeczy, o których mówił deputowany B... Wiedząc, że Kordoba zachowała po swych wsiach jeszcze wiele wyrobów z najlepszej szkoły arabskiej średniowiecza, pytała już po drodze w jednej ze wsi o rodzaj łyżników, kutych misternie, najprostszej rzeczy na świecie, ale też znajdującej się dziś tylko po chatach, w odległych wsiach. Jest to jakby krata, wyginana i cyzelowana, którą wieszają się na ścianie przy kominie i na której wiszą wszystkie łyżki i chochle. Łyżniki takie są poszukiwane przez cudzoziemców, a w niejednym bogatym domu hiszpańskim wiszą po dawnemu, już jako czysty motyw dekoracyjny. Czy w tych okolicach, tak bliskich kalfackiej Kordoby, nie można tego dostać? B... ożywił się znacznie. On właśnie sam jest zbieraczem takich rzeczy. Niedawno kwaterował w jakimś *cortijo* szlacheckim, gdzie było moc starych mis mosiężnych, kutych łyżników i lamp oliwnych z miedzi. Taka szkoda, że musieli się stamtąd dość szybko wycofać i nie zdążył tego zabrać! Już ma dość ładne zbiory. Byliśmy oboje bardzo zażenowani na takie *dictum*²²⁰. Jak to określić? Łupy wojenne? Hm, być może. Można skądinąd i naszą wyprawę wiedeńską, która tyle rzeczy tureckich nawiozła do dworów szlachty, uważać po trosze za kolidującą z prawem własności, i można z drugiej strony powiedzieć, że deputowany B..., który dzięki wojnie i rewolucji proletariackiej w tani sposób powiększa swe zbiory antyków, jest tylko jednym więcej zbieraczem trofeów i łupów, poprzez Aleksandra Wielkiego i rycerzy krzyżowych, aż do Jana III i Napoleona. Miałem sposobność słyszeć później w Walencji ciekawe wywody na ten temat i nie jestem w stanie ocenić czynu B... ani nie mam na to ochoty. Piszę, jak było, i notuję, że naszym pierwszym uczuciem było jednak zażenowanie. Całe szczęście, że B... pochłonięty był swoją myślą i mówił, nie zatrzymując się wcale. W El Carpio, z którego nas poprowadzą do linii, jest również wiele pięknych rzeczy. Jest to bardzo stare, a odległe od dróg pueblo. Było markizatem — pan na El Carpio miał tytuł markiza — i należało do księcia Alby. Jest tam również jego pałac. B... da polecenie do miejscowego komitetu Frontu Ludowego.

Do Carpio było już tylko kilka kilometrów pierwszymi naprawdę złymi drogami, jakimi jechałem w Hiszpanii. Mijaliśmy samochody wojskowe i posterunki, czuć było frontem. W miasteczku, położonym na cyplu wzgórza i stłoczonemu jakby żaden dom nie mógł zdecydować się na zejście o kilkanaście kroków dalej, gdzie zaczynało się wolne pole, zameldowaliśmy się w komendzie odcinka, która już była powiadomiona telefonicznie. Dano nam przewodnika i ruszyliśmy naprzód. O kilometr dalej pozostał nasz samochód, a my sami przeszliśmy polem, świeżym zupełnie ścierniskiem, do niewielkiego sadu oliwnego, gdzie pomiędzy drzewami poprzeciągano druty kolczaste i wykopano rowy strzeleckie. W niewielkim domku stróża polowego palił się ogień — dzień był bardzo słotny — przyjął nas kapitan, szef odcinka. Objął nas pokrótce sytuację. Znajdujemy się na wzgórzu, które dominuje nad dwiema sąsiednimi dolinami, będącymi już w zasięgu powstańców. Na wprost naszego wzgórza, na przeciwnym zboczu, znajdują się pozycje nieprzyjacielskie, za tym zaś wzgórzem widzi się już Kordobę. Pozycje te zajmują rządowcy od dawna: od sierpnia. Prawie codziennie jest wymiana strzałów artylerii z El Carpio, i zza Villafranca, czasem nadlatują ich samoloty, często ostrzeliwuje się wojska w pasie neutralnym. Wyszliśmy z domu ku liniom. Niedaleko stamtąd żołnierze ćwiczyli rzut granatem.

Linia była o kilkadziesiąt zaledwie metrów. Stanowiły ją najpierw ziemianki, pokryte słomą i ziemią, nieco niżej, u skłonu wzgórza, ciągnął się płytki, zygzakami schodzący okop. Deszcz siąpał i żołnierze najwidoczniej nudzili się na potęgę. Po drugiej stronie nie

Własność, Wojna,
Rewolucja

Wojna, Chłop, Praca

²²⁰*dictum* (łac., r.n.) — stwierdzenie, wypowiedź. [przypis edytorski]

było nic. Nie wychodziliśmy przez okop tylko w obawie zdemaskowania pozycji, choć najprawdopodobniej po tak długim okresie bojów była już ona tamtej stronie dość dobrze znana. Przez peryskop, opatrzony w szkła powiększające, można było widzieć całą dolinę. Były to rozległe pola i ścierniska. W pewnym miejscu pokazano nam poruszające się punkciki. Po chwili dostrzeżliśmy, że to ludzie, najwidoczniej chłopci, krzątają się przy zwózce ostatnich kopic zboża. Widać było konie, dwukołowe wozy hiszpańskie, szerokie kapelusze *campesinów*²²¹. Musieli być już pod obstrzałem tej i tamtej strony, zwłaszcza zaś powstańców. To prawdopodobnie ich domy znajdowały się na samym dnie szerokiej i płytkiej doliny, która oddzielała szerokością może dwóch kilometrów pozycje nieprzyjacielskie. Wojna zatrzymała się tak nad nimi i chłopci nie słuchali jej praw. Istniało dla nich prawo zbiorów i żniwa, obostrzone tylko rygiem nadchodzących deszczów. Zdawało się także, że ludzie w dolinie nie uznają praw wojny.

Wczesny zmierzch zapadł, gdyśmy byli z powrotem w El Carpio. Teraz przyjął nas młody, sympatycznie wyglądający robotnik, który mówił do nas: „towarzysze”, był sekretarzem Frontu Ludowego i otrzymał co do nas polecenia od B... Pytaliśmy się dalej o sławne łyżniki, ale on nie bardzo wiedział, o co chodzi. Natomiast obiecał nam najchętniej pokazać El Carpio, które Bogiem a prawdą niewiele nas interesowało poza starą wieżą-czatnią, na szczycie wzgórza. Zaprowadził nas najpierw do *palacio* księcia Alby. *Palacio* było dużym domem, o wysokich sklepieniach, i lepiej pobielanym od innych. Prawie wszystkie pokoje były po prostu mieszkaniem rządcy tej części dóbr i przedstawiały obraz zupełnego nieładu. Na podłodze wały się książki, szmaty, rozbita porcelana. Było też kilka dużych mosiężnych mis. Częstowano nas nimi jako prezentem i to chodzenie po cudzym domu, najwidoczniej dobrze już splądrowanym, stawało się przez te ciągłe częstowania coraz przykrzejsze. Okazało się też, że nasze zwiedzanie miało w ich pojęciu swój główny cel właśnie w owych „darach”. Zabraliśmy się do wyjścia, ale nasi gospodarze byli tym nie tylko zasmuceni, ale jakby przygnębieni i nastraszeni. Bali się po prostu, że nam nic nie odpowiada. Może się bali tych z Montoro? Widzieliśmy, że wysilają się uporczywie, żeby nas ulagodzić i przejednać, że na nasze podziękowania za odprowadzenie odpowiadają jak na bardzo zdawkowy i nieprawdziwy komplement. Zaczęli nas namawiać do obejrzenia innego „domu faszystów” i znowu zaczęli nas usilnie częstować. Sytuacja było zupełnie kłopotliwa i niewyraźna. Nasze zakłopotanie było przez tych ludzi tłumaczone, zdaje się, jako widoczne niezadowolenie z ich darów. Moja towarzyszka coś jeszcze bąknęła o „własności ludu”, ale to już najmniej przemówiło do przekonania. Powiedziano nam, że oni właśnie są ludem i że obdarowują obcych przyjaciół.

Nasz główny cicerone, ów tak sympatycznie wyglądający robotnik, powiedział wreszcie, że jest jeszcze jeden dom, gdzie mieszkają „faszyści”, którzy nie uciekli na wieść o rewolucji. To było coś, co mogło nas zająć. Poszliśmy tam. Po drodze opowiedziano nam, że z pięciu księży, którzy byli El Carpio, trzech uciekło na czas do Kordoby, dwóch zabito. Jeden z nich był kapłanem wojskowym i zabił w starciu dwóch górników. Kazano mu się pomodlić nad ich zwłokami i zastrzelono go przed kościołem.

Dom, przed którym stanęliśmy, był zupełnie niezamożny. Wewnątrz sieni wisiały nieładne kolorowe lampki, tania miejska rupieciarnia. W drugim pokoju, do którego pobięła otwierająca nam drzwi dziewczyna, słychać było szmery i szepty. Nasz oprowadzający wszedł tam zaraz i wyprowadził wszystkich. Stanęły tak przed nami dwie młode dziewczyny, mała dziewczynka i mały, może jedenastoletni chłopiec. Między nimi stała starsza, otyła kobieta o wylężnionych, pokornie patrzących oczach. Trzeba było coś powiedzieć. Udaliśmy, że nic nie wiemy, że jesteśmy zagraniczni dziennikarze, którzy poszukują starych kowanych łyżników. Starsza kobieta, kłaniając się, odpowiedziała, że nie ma. Na to nasz towarzysz rzekł po hiszpańsku: „No prędej stara, to nasi towarzysze, trzeba im dać, co tylko masz”. Nie zrozumiałem tych słów, odczułem tylko ostrość tonu i zobaczyłem silny odruch mojej, dobrze znającej hiszpański, towarzyszki. Ale jednocześnie kobieta zaczęła się energicznie krzątać. Było przykro patrzeć, jak, otyła i ociężała, rusza się szybko, nie wiedząc jeszcze, za co chwycić, jak najprędzej usłużyć i dogodzić. Dzieci patrzyły na nas znieruchomiałymi martwymi oczami.

²²¹ *campesino* (hiszp.) — wieśniak, chłop, rolnik. [przypis edytorski]

Stara kobieta wydobyła mosiężny garneczek, biedny i zabrudzony, i zaczęła go jednocześnie wręczać nam i ocierać. Jej pośpiech i uniżoność, nieludzka, psia, uniżoność zwierzęcia, które bito, musiano bić, była czymś okropnie przykrym. Zaczęliśmy szybko mówić, że nam nie o to chodziło, ale gdy pomyśleliśmy, że dalej zaczną cały dom przewracać, powiedzieliśmy szybko, że musimy zdążyć na czas do deputowanego B... Formuła okazała się zrozumiała i skuteczna. Po chwili byliśmy już na dworze. Mielimy ochotę uciec z tego domu. Tymczasem nasz towarzysz powiedział nieco obrażony:

— Nie wiem, czemuście się tak cackali, to znani faszyci. Myśmy tu dwóch synów tej tam rozstrzelali...

— Jej dwóch synów? — spyaliśmy.

Ale to już nie było niespodzianką.

— Za co? Falangiści?

— Nie: tak w ogóle faszyci. Mieli po dwadzieścia trzy i osiemnaście lat. Na pewno byliby z tamtymi. Znani faszyci. Ten mały tam pozostał: on ma tylko dziesięć lat. Pozbrywamy się tylko tych, co mogą z nami walczyć.

Robotnik przejrzał wreszcie przyczyny naszego skrzępowania. Odtąd był chyba pewny, że my się jednak — kto tam przedtem ich wiedział — nie poskarżymy B..., iż nam nic w Carpio nie dano, i na pewno zaczął odczuwać pewną wyższość nad słabo nerwowymi inteligentami z zagranicy. Odzyskał wobec nas autorytet. Umyślnie popisywał się surowością: rewolucję trzeba robić dokładnie, towarzysze, po chłopsku. Zaprosił nas do siebie. Nie mogliśmy odmówić, ale byliśmy tu jak bezwolni. W mieszkaniu, które nie było wcale uboższe od tego, gdzieśmy byli przed chwilą, wyciągnął z dumą butelkę francuskiego szampana — z piwnicy administratora księcia Alby — i nalał nam do szklanek. Piliśmy z przykrym wrażeniem, że mimo wszystko bierzemy w tym, co się dzieje, udział. A także — żeby o tym nie myśleć. Robotnik wznosił toasty i uśmiechał się do małego synka. Ścisnął nam mocno ręce i przeproszał, że nie umiał dogodzić, ale że on wszystko szczerze, z serca. Było ciemno na dworze, na pewnym odcinku drogi ze względu na bliskość frontu musiano pogasić światła, mżył deszcz. Przy kolacji deputowany B... pytał się, czy znaleźliśmy, cośmy chcieli, i bardzo się dziwił, że wracamy z niczym.

Byłoby nieściśle powiedzieć, że z Carpio wracaliśmy z niczym. Wspomnienie tego dnia bardzo długo kazało nam o sobie myśleć. Najgorzej, że nie układało się w żadne proste szablony, że nie dzieliło wyraźnie na winnych i niewinnych, zbawionych i potępionych. Najgorzej, że człowiek, który nachodził mieszkanie swych ofiar („Ja stąd coraz to coś sobie biorę na gospodarstwo” — powiedział nam nawet), miał ujmujący uśmiech, gościł nas jak braci i głaskał po głowie małego synka. Najgorzej właśnie, że ten człowiek nie był ani degeneratem, ani okrutnikiem czy sadystą, że takich ludzi jak on musi być w tym kraju setki tysięcy i że niestety, poprzez takich ludzi najzwyczajniejszych, najspokojniejszych, rozlewa się tu co dnia męka i śmierć. I nie wiedzieć, gdyby przyszło takich ludzi sądzić, gdzie szukać przyczyn tej zbrodni, która dla nich nawet nie istnieje: we krwi, w jakimś okrucieństwie rasy, przemawiającym dziś poprzez stulecia pozornego uspienia, w ciemnocie, która ich trzymała w biedzie, w pożądaniu, czy wreszcie w nauce, która zakreśliła granice klas i programów i powiedziała: „Wstań, idź, zabijaj”.

CERRO MURIANO

Następnego dnia odbyliśmy dosyć daleką wycieczkę na inny odcinek frontu. Kordoba znajdowała się wówczas jeszcze w uścisku bardzo bliskich pozycji czerwonych, obejmujących ją z trzech stron. Montoro panowało nad ramieniem obcęgów zaciskających się koło miasta z jednej strony, Cerro Muriano²²² z drugiej. Stąd podróż tam i z powrotem zajęła cały dzień. Mżył deszcz wczorajszy, tylko jeszcze gęstszy i przykrzejszy. Jedliśmy obiad w gospodzie większego puebla, gdzie jak nam opowiadano, wymordowano przeszło pięćset zebranych z całej okolicy faszystów. Być może zresztą opowiadający przesadzali, ale to właśnie chępczenie się i prześciganie i tak dość krwawej rzeczywistości mówiło już wiele. Ludzie pomordowani nie byli oczywiście żadną magnaterią, jak nie byli nimi ani uwięzieni pod Valdepenas, ani ludzie z El Carpio. Parę razy wspomniano nam o pewnych

Wróg, Morderstwo,
Polityka

²²²Cerro Muriano — wioska w Hiszpanii, w pobliżu Kordoby; miejsce bitwy (5–6 września 1936) podczas wojny domowej. [przypis edytorski]

rodzinach jako „faszystowskich”. Słowo „fasyzm” powtarzano ze szczególną lubością: trochę tak jak jakieś bardzo miejskie słowa, jakieś „ewentualnie” czy „absolutnie”, u nas na wsi. Może przyjmowało się jeszcze i dlatego, że zwalniało w sposób magiczny od wszelkich wyjaśnień i usprawiedliwień. Myślę, że bardzo często ludzie zabici za swój fasyzm i ludzie zabijający innych za ich fasyzm nie potrafiliby pod grozą śmierci i wszelkich możliwych kar wytłumaczyć, czym jest ów fasyzm naprawdę. Słowo to przypominało tu wspólny dół, do którego pospołu i po prostu wrzuca się ciała wszystkich rozstrzelanych. Niestety, czuło się na każdym kroku, że ten dół posiada otchłanie większe od przepaści Sierry Moreny. Bez trudu mogliśmy sobie wyobrazić, że po drugiej stronie linii bojowej jest drugi taki dół wspólny, o dnie i sensie równie ciemnym dla tych, co weń padają, i tych, którzy weń wtrącają, że tamten dół z kolei nazywa się komunizmem, tak samo jest jedyną rzeczą wspólną wszystkich, których się weń wtrąca, i wreszcie tak samo przerasta przepaście.

Kilkugodzinna jazda samochodem, w dzień monotony i słotny, po serpentynach drogi poprzez zupełnie puste wzgórze, pomagała w porządkowaniu wrażeń. Nie było najmniejszej wątpliwości, że wina i zbrodnia szczepiły się tu w jakiś gordyjski węzeł²²³, że ogarnęły całą ludność wszystkich puebli, że wszędzie mordowano się wzajemnie, a także, że wszędzie krewni ofiar czekali chwili swej pomsty. W Barcelonie w ramy politycznej manifestacji nowego ładu wtłaczano walkę byków. W olbrzymich prowincjach Hiszpanii, gdzie procent analfabetów przerasta 90, na tym skłonie Europy bliższym Saharze niż Sekwanie, wyrosłym na tradycji najkrwawszych w Europie, poza Turcją i może Moskwą, rządów islamu, skanalizowano w nią walkę klasową, której sens nie był w całości zrozumiały, wtłoczono wszystkie zawiści, rozgrywki, wszystkie piniaczenia się góralskich rodów, wszystkie vendetty²²⁴ i walki o dziewczyny czy winnice. W każdym pueblo opowiadano nam o tym bez żenady. Modesto raczej milczał, ale Pedro wypytywał i zachęcał. Tłumaczył nam, że musi być tak jak w Rosji. Krwawość rewolucji rosyjskiej, która była raczej cechą odrażającą w oczach narodów europejskich, tu wyrastała na zasługę, na coś najbardziej przemawiającego za pożytkiem i trwałością dzieła przewrotu.

W dolinie, na zjeździe ku Cerro Muriano, ukazał się samolot. Musieliśmy stanąć. Samolot był niewątpliwie powstańczy, zlustrował jednak tylko dolinę i odleciał ku drodze na Bailen. Wkrótce potem zjechaliśmy na równinę. Oliwki rosły tu niewstrzymanym, choć zawsze rzadkim gajem. W domu dawnego dróżnika — jest ich wiele na szosach hiszpańskich — czekano już w sztabie na nasze przybycie. Zaproponowano nam z ironicznymi nieco uśmieszkami pozostanie tu na noc, a najsamprzód wycieczkę na front. „*Un pequenio passeio*”²²⁵ — powiedział oficer, a czytelnicy wiedzą już, że *passeito* ma w Hiszpanii dość specjalne znaczenie. Wyszliśmy na dwór.

Ale na dworze Pedro rozpoczął od wysuwania jakichś ważkich i urzędowych obiekcji: on w każdym razie na front pojechać nie może. Nie może ryzykować samochodu. Nie żeby się o niego bał: nie może ręczyć za siebie, jeśli zobaczy faszystę. Ale znalazł się inny samochód. Po chwili jechaliśmy drogą, już niemal przez równinę, wśród oliwek. Po obu jej stronach pod rozłożystymi drzewami, przykryte naciętymi gałęziami stały różnych rozmiarów samochody. Drogę przegrodził zasiek. Zjechaliśmy między drzewa, o parę metrów niżej. Tamten odcinek był już pod obstrzałem.

O kilkanaście metrów dalej wysiedliśmy, samochód zjechał pod drzewa, nas z dwoma wojskowymi zameldowano szefowi odcinka. Stał przy schronie, cofniętym za pozycje, i stąd zapoznał nas z położeniem. Pozycje rządowe, wysunięte z gór na równinę, broniły dostępu do pasma górskiego, którym przybyliśmy tutaj. Pozycje przechodziły przez olbrzymi obszar pól oliwnych należących do hr. Romanonesa. Drzewa rosły rzadko, ale były tak rozłożyste, że trudno było rozeznaczyć w tym gąszczu jakiejkolwiek pozycje. Rozumiałem już, dlaczego to tak często samochody obu stron myliły drogi i wpadały na teren

²²³*gordyjski węzeł* — przen. skomplikowany problem, trudna do rozwiązania sprawa; bardzo splątany węzeł zawiązany przez mitycznego króla Gordiosa w świątyni Zeusa w mieście Gordion w Azji Mniejszej, łączący jarzmo ofiarne wozu z dyszlem; przepowiednia głosiła, że człowiek, któremu uda się rozwiązać węzeł, zostanie władcą całej Azji; Aleksander Macedoński przeciął węzeł mieczem. [przypis edytorski]

²²⁴*vendetta* (wł.), pol. *wendeta* — krwawa zemsta za zabójstwo krewnego. [przypis edytorski]

²²⁵*un pequenio passeio* (hiszp.) — mały spacer. [przypis edytorski]

nieprzyjaciela. Z gąszczu przed nami, o trzysta metrów, wyrastał biały dom. Był to dom folwarczny Romanonesa, a teraz siedziba potężnego gniazda karabinów maszynowych.

— Chcą państwo także na linię?

Oczywiście, że chcemy na linię. Jednocześnie przypominam sobie, że już raz, przy tym zjeździe z drogi, pytano nas, czy aby nie dosyć. Teraz rozumiemy kpiny. Chodźmy na linię!

— Pomalutku — woła za nami jeden z oficerów. — Tutaj...

Karabin maszynowy przed nami zaczyna sucho i bardzo głośno terkotać. Koło uszu raz za razem wziu... wziu... wziu... Kicamy na ziemię. Jesteśmy akurat w wolnym miejscu, między szeroko rozsadzonymi oliwkami, na nieco w dodatku podniesionej polance. Karabin maszynowy stanął, my podrywamy się do biegu. Ale oficerowie, dwóch żołnierzy, szofer samochodu idą spokojnie. Jeden z oficerów coś mówi do mnie, ale jeszcze za mało rozumiem. Widzę, że umyślnie mówi spokojnie. Kule zaczynają gwizdać. Mój towarzysz się nie chroni. Strzelanina się wzmacza: ale to nic. Jesteśmy już przy okopie: w okopie widać drgającą w nagłych podrzutach ciężką lufę rozpartego w ziemi cekaemu²²⁶. To z tej strony pada odpowiedź. Karabiny maszynowe rozmawiają ze sobą tak głośno, że trudno się nam dogadać. Jeszcze gdzieś z boku dołącza się nowe terkotanie. Oficer żartuje z panny Jeziorańskiej, no i ze mnie.

— Aleście padali ładnie — mówi.

Jesteśmy źli na siebie. Rzeczywiście, padalem za każdym strzałem.

Żołnierze są lepsi, częstują nas koniakiem i mówią, że i tak jesteśmy pierwszymi dziennikarzami, których widzą na linii. Co prawda, nie było tu jeszcze dziennikarzy lewicowych. Kto był odważny, jest dzisiaj w szeregach.

— Nie trzeba bać się kuli, która gwizdże — powiadają — taka już przeszła, już niegroźna. Macie tu jedno szczęście: naprzeciwko nas nie ma Maurów i żołnierzy, tylko formacje falangistów. Ci strzelają niezbyt celnie.

Strzelanina urywa się chwilami i potem znowu rozgrzewa. Biały dom jest niedaleko: okna ma do połowy wysokości zakryte ciemnymi workami. Właśnie z za nich prażą falangiści. Zwłaszcza nocą ogień nie ustaje. Trafiały się wycieczki ku okopom: tam w rowie przed nami leżą ciała ciemniejszą, zlewającą się z ziemią plamą. Podobno, gdy wiatr dmie stamtąd, czuć rozkład. Trzeba by je podlać benzyną i podpalić, ale trudno wyjść w dzień, a nocą ognisko zwróci uwagę.

Po półgodzinie wracamy. Po chwili kule znowu zaczynają bzykać nad głową. To zwykle ostrzeliwa się wszystkich idących lub wracających z okopu. Moja towarzyszką idzie z piękną odwagą, ani głową nie ruszy. Przed nami żołnierze przy schronie patrzą. Trzeba się wziąć w garść. Idę tak wolno jak mogę, oglądam się, rozmawiamy. Jak dziwnie można zagadać nerwy! Jeszcze dziesięć, jeszcze pięć kroków. Oglądamy się za siebie, żegnamy podniesieniem pięści żołnierzy, którzy patrzą za nami z okopu. Patrę jeszcze na biały dom, z którego pojedynczo idą strzały. Byłoby jednak głupio od nich oberwać. Oficerowie ściskają nam życzliwie dłonie. W sztabie u dróżnika nikt nie uśmiecha się złośliwie i nikt nie proponuje zostania na noc. A nuż przyjmą?

Potem Pedro znad kierownicy opowiadał, że ulubioną rozrywką kapitana jest wprowadzić dziennikarzy na dobry ogień i patrzeć, jak zwiewają z powrotem, i że pytano się o nas przez telefon do schronu, ale powiedziano, że nie. Słuchaliśmy opowiadania, byliśmy jednak bardzo radzi, że jesteśmy znowu w samochodzie, w drodze do Montoro. Wieczorem dano mi gościnę w innym niż poprzednio domu, ale takim samym jak ten, w którym przespałem moją pierwszą noc w tym miasteczku zajęтым po wygnanych czy zabitych „faszystach”. Tak samo były tu meble i obrazy w najtandetniejszym, drobno-mieszkańskim stylu niemieckim. Moim towarzyszem przygodnym był młody dziennikarz madrycki, raczej jednak mała rybka niż wybitna persona. Przy tej okazji miałem sposobność zauważyć, że on również powiększał przy okazji zasób swej kolekcji rzeczy cudzych, aczkolwiek w odróżnieniu od p. B... interesowały go głównie nie tyle dzieła sztuki przeszłych wieków, co przedmioty bardziej współczesnej użyteczności. Znowuż chciałbym, aby czytelnicy wzięli pod uwagę, że w pojęciach kraju i wydarzeń wojennych układało się to, przynajmniej w pewien sposób, w kategorii łupu. Cieszę się, że

²²⁶ cekaem — ciężki karabin maszynowy. [przypis edytorski]

w niedalekiej stamtąd miejscowości, niejaki Marmolejo, opowiedziano nam, że domy rozstrzelanych „faszystów” zostały zamknięte, opieczętowane i oddane pod straż milicji. Czyn władz ludowych z Marmolejo zasługuje niewątpliwie na wyróżnienie, zdaje mi się jednak, że reguła wydarzeń prowincji hiszpańskiej była przecież odmienna.

POWRÓT DO GRENADY

Montoro opuściliśmy nazajutrz, około południa, ruszając na bardziej czynne w tym czasie odcinki frontu pod Grenadą i za Malagą. Ostatnim wydarzeniem była głupia, ale w innych wypadkach może niezbyt wesoła przygoda. Przed śniadaniem poszedłem sfotografować parę rzeczy w miasteczku. Wszedłem na wieżę kościoła, skąd po zezwoleniu warty wojskowej zrobiłem kilka zdjęć, ale kiedy schodziłem, zatrzymał mnie niewysoki, krępy człowieczek z fuzją na ramieniu, milicjant służby porządkowej. Nie pomogły ani przepustki i zezwolenia, ani wstawienie się warty, lecz ponieważ wezwał mnie tylko do stawienia się u alcalda²²⁷ Montoro, więc poszedłem. Alcalde rezydował w jeszcze jednym opróżnionym z właścicieli-„faszystów” domu, ale o tak wczesnej godzinie — dziewiąta rano — spał w najlepsze. Usłyszawszy to, powiedziałem, że idę na śniadanie do sztabu wojskowego: mój człowieczek niechętnie powlókł się za mną. Pierwszy z brzoza oficer powiedział mi, że może sobie odejść do bardziej produktywnych dla republiki zajęć, a na uwagę, że moje zdjęcia z wieży mogą posiadać niebezpieczne znaczenie strategiczne, dodał jeszcze, że sąd w tej sprawie niech pozostawi bardziej kompetentnym w strategii. Gdy jednak po trzech kwadransach wyszliśmy na miasto z panną Jeziorańską, człowieczek dybał już na nas i zaprosił do alcada. Poszliśmy cierpliwie, ale alcade jeszcze i teraz nie powstał był z martwych, wobec czego wyszliśmy drugimi drzwiami. Po chwili na ulicy ujrzelśmy naszego człowieczka, który szedł za nami krok w krok. Wszystko było dobrze, pókiśmy kupowali coś w sklepach, kiedy jednak chcieliśmy skrócić ku kwaterze wojskowej, człowieczek rozsiardził się zupełnie, a na besztanie mojej towarzyszki wymierzył do niej z fuzji. Teraz już myśmy poszli do alcada, który na nasze szczęście kończył toaletę, z resztkami mydła na twarzy zapoznał się ze sprawą i oczywiście kazał utrapieńcowi oddać się właściwym zajęciom. Wszystko to było raczej niemiłe, a poza tym jeszcze i niemądre, ale dawało obraz, jak wiele przesadnej może, lecz czujnej surowości wykazali pociągnięci do odpowiedzialnej służby rewolucyjnej najprostszy i najciemniejszy.

Jechaliśmy, jak poprzednio, z powrotem przez Bailen, ale stąd rzuciliśmy się już zupełnie na południe. Od Jaen, panującego ze swych wzgórz warownych nad okolicą, rozpoczynały się prawdziwe góry: w ich wnętrzu, za tymi dolinami, które trzeba było przebywać, skrętami drogi wdzierającej się coraz wyżej, leżała historyczna Grenada. Nad wieczorem byliśmy już wysoko, panował zupełnie górski chłód, motor pracował ciężko, wciągając nas pod górę. Okazało się niemożliwe, zwłaszcza w tych dzikich okolicach i przy bliskości frontu, zrobić tego dnia więcej, zatrzymaliśmy się więc na noc w niewielkim góralskim pueblo, tyle tylko, że leżącym przy drodze kolejowej. Sterczały nad nim, jak zabytek lepszej przeszłości, potężne mury kościoła i jeszcze potężniejsze ruiny zamku. Kwaterowało tu moc wojska, odsyłanego przez ten punkt przyfrontowy z linii bojowej lub przeciwnie, dosyłanego stąd do okopów. Przypadkiem znalazła się i cała grupa hiszpańskich dziennikarzy, przeważnie młodych i dość trzeciorzędnych. Zajęli się jednak nami, zaczęli nas oprowadzać, pokazywać mizerne zresztą rezultaty lotniczego bombardowania z przedwczoraj, piorunować na faszystów. Moja towarzyszka zmęczona pozostała z nimi w prymitywnej gospodzie, ja wyszedłem jeszcze, już prawie po nocy, z jednym z nowych znajomych, który dobrze i pewnie mówił po francusku. Pamiętam, że był to Andaluzyjczyk. Odbijał od innych swym typem, zupełnie czarnym, przy południowej sności cery pozbawionej najlżejszego rumieńca. On jeden nosił też zwykły hiszpański płaszcz żołnierski, bardzo charakterystyczny: szeroki, niezapinany z przodu, ale narzucony, jak tunika rzymska, przez głowę, opadający w olbrzymich faldach.

Podeszliśmy najpierw do kościoła. W głównej nawie, wysokiej i wielkiej, paliło się pod filarami kilka dużych ognisk. Rozsiedlili się tu żołnierze, grając w karty, potłuszczone i wymięte, przyglądając się, jak inni z aluminiowego wojskowego kubka wyrzucali, także grając, duże sześciany kości. W bocznej nawie, zupełnie ciemnej — bo światła

²²⁷ *alcalde* (hiszp.) — alkad, urzędnik zarządzający miastem. [przypis edytorski]

z ognisk pełzały nisko po ziemi, ginąc w olbrzymim gmachu — tuliły się jakieś postaci. Stanęliśmy w miejscu. Od środka kościoła dolatywał gwar rozmów, przerywanych jakimś okrzykiem, trzask dopalających się polan, suchy stukot wyrzucanych na posadzkę kości. Ciemna nawa dyszała tymczasem ściszonymi szeptami ust mówiących coś wprost w inne usta i głębokim, prawie rytmicznym sapaniem zmęczonych ciężkich oddechów. Z tulących się kilkunastu par nie ruszyła się na nasz widok żadna. Odszedł mnie nawet pierwszy gwałtowny wstrząs. Widok kojarzył się dziwacznie z zapamiętanymi wrażeniami wieczorem z dużych folwarcznych obór, bydła w mroku i ciepłe przeżywającego żmudnie i głośno całodzienną strawę. Wrażenie, jakie pozostawało, było to wrażenie potrzeby, zwierzęcej i pierwotnej, wyżywającej się żywiołowo, męcząco i ciężko. Dalej nikt nie odebrał się od uścisków.

— *Elles aiment faire celà a l'église*²²⁸ — powiedział głośno, w formie uwagi, Andaluzjczyk. — Dawniej najchętniej na cmentarzu. Cóż pan chce — westchnął na mój odruch — Andaluja? Władza wojskowa? Nie sądzi pan, że ma inne kłopoty na głowie? I że wreszcie tym ludziom z frontu także się coś należy?

Ludzie z frontu istotnie brali w Iznalloz²²⁹ wszystko, co się im w ich pojęciu z życia należało. Andaluzjczyk pokazał mi z cichą radością misterne, ale i silne kraty miradorów, w jakie zaopatrzone są okna hiszpańskie, poprzez które wieczorami rozmawia wiejski adorator z ukrytą w pokoju narzeczoną. Teraz kilka tych krat było odgiętych gwałtownie na boki, jak rozchyła się szuwar czy gałęzie, wyrwanych i połamanych przez jakieś silne, śpieszące się ręce. Nikt już nie wystawał cierpliwie u wyłamanych krat miradorów. Po ulicach, jakby kołując ku kościołowi, wałęsali się za to żołnierze z dziewczynami. Po drodze minęli nas inni dziennikarze: oni także szli do owej nawy, jak na umyślnie a niecodzienne widowisko. Myśmy poszli powoli w stronę zamku. Miałem wrażenie, że Andaluzjczyk próbuje usprawiedliwić to, co widziałem, bo znów zaczął o tym mówić. Ale okazało się, że nie zamierzał się usprawiedliwiać. Słowo „Andaluja” rozgrzeszało. Więcej, słowo „Andaluja” uświęcało wszystko. Czyniło w jego pojęciu z tych rzeczy coś wielkiego, koniecznego i jakby rewolucyjnie pożądanego. Andaluzjczyk się rozpałił. Musiał być suchotnikiem, bo poprzez grube sukno żołnierskiego płaszcza czuło się w uchwycie ręce o wąskich, kościotrupich pischelach. Szliśmy do ruin, a on mówił coś, co z początku uchodziło mej uwadze, że Iznalloz był jedną z bram do królestwa mauretańskiej Grenady, eldorada²³⁰ zniszczonego przez dzikich górali kastylskich. I jeszcze coś: że ta cywilizacja nie była, jak ja się wyraziłem, ani arabska, ani hiszpańska. Cóż Arabowie? Wypędzeni z powrotem do Afryki, zmarnieli w Tangerze²³¹ czy Rifie²³². To dopiero spłyn tych ras, dopiero zapłodnienie starych szczepów iberyjskich Południa nasieniem semickich zdobywców z Afryki, czystą myślą islamu, mogło dać taki niezwykły rezultat hodowlany. Hiszpania skończyła się, a nie zaczęła, z upadkiem ostatniego kalifatu, ze zwycięstwem, wraz z myślą chrześcijańską, rasy północnej. To nie od Filipa II, to już od Izabeli i Ferdynanda²³³ rozpoczęło się dzieło trwonienia i cofania, powolne gnienie upadku.

Poprzez pozornie obiektywne słowa przeziierała taka niechęć do chrześcijaństwa, do katolicyzmu, już nie jako instytucji kościoła, złych księży czy nadużyć, ale po prostu do samej myśli chrześcijańskiej, że uderzyło mnie to właśnie najsilniej. Na moment przeszło mi przez myśl, że może mój towarzysz jest potomkiem nawróconych przemocą Żydów, maranem, i sprowadziłem rozmowę na bogatą puściznę hiszpańskiego żydostwa wieków średnich. Ale Andaluzjczyk wydał wargi, zarówno na wspomnienie tej kultury, jak ra-

²²⁸ *Elles aiment faire celà a l'église* (fr.) — Lubią to robić w kościele. [przypis edytorski]

²²⁹ *Iznalloz* — miasteczko w prowincji Grenada, w Andaluzji, ok. 35 km na północ od Grenady. [przypis edytorski]

²³⁰ *eldorado* — wymarzona, dostatnia kraina; od nazwy Eldorado: kraju złota, legendarnej krainy w Ameryce, w której istnienie wierono w XVI w. [przypis edytorski]

²³¹ *Tanger* — miasto portowe w pln. Maroku, nad Cieśniną Gibraltarską. [przypis edytorski]

²³² *Rif* — góry w Afryce, najdalej na północny zachód wysunięte pasmo łańcucha górskiego Atlas. [przypis edytorski]

²³³ *Izabela i Ferdynand* — *Izabela I Kastyljska* (1451–1504), królowa Kastylii i Leonu, oraz jej mąż *Ferdynand II Aragoński, zwany Katolickim* (1452–1516), król Sycylii i Aragonii. Małżeństwo tych dwojga władców (1469) i wspólne rządy dały początek unii Kastylii z Aragonią (1479), w której efekcie powstało nowożytnie Królestwo Hiszpanii. Po umocnieniu władzy Ferdynand i Izabela rozpoczęli w 1482 podbój emiratu Grenady, ostatniego muzułmańskiego państwa na Płw. Iberyjskim. Ostatni punkt oporu, stołeczne miasto Grenada skapitulowało w 1492. [przypis edytorski]

sy. Kultura hiszpańskiego żydostwa — aczkolwiek stawiana przez niego wyżej niż myśl chrześcijańska Północy (dziwnie łączył pojęcia geograficzne i rasowe z systematami religijno-filozoficznymi) — nie przedstawiała jego zdaniem większej wartości. Jej spekulacja myślowa degenerowała się zbyt łatwo w zawilosci kabalistyczno-talmudyczne: oczywiście, że było to lepsze od poganizującej — tak to określił — myśli chrześcijańskiej Północy, ale nie tu mogło być źródło rozwoju cywilizacji tego kraju. Tylko islam reprezentował taką myśl jasną, prostą, najidealniej monoteistyczną, religię najdoskonalej odbarwioną z personalizmu, z bogów czy świętych, najbardziej matematyczną, najbardziej chemiczną. Czy wiem, zatrzymał się i powiedział, czy zwróciłem kiedy na to uwagę, że te właśnie nauki naturalistyczne i ścisłe rozkwitły najpierw w cieniu islamu, że później właśnie w okresach takich myśli, jak deizm²³⁴ lub pozytywizm²³⁵, posuwały się naprzód? Czy sądzę, że były to tylko przypadkowe spotkania, że to nie typ owej religii lub myśli sprzyjał rozwojowi owych nauk? Otóż właśnie, islam szedł przez świat tabunem hord półdzikich, wyżywających się zwierzęco, łaknących kobiet, baranów i złota, i islam nie tylko nie stłumił tej bestii w człowieku, nie tylko nie wyrwał jej kłów i nie przyciął pazurów, ale przeciwnie, ochraniał jako cenny walor, a za to na karkach tych bestii ludzkich wsparł budowę alhambr. Chrześcijaństwo północne przeciwnie: niwelował górę i dół. Władcy górskich królestw Leonu i Nawarry pozostali niemniej nieukami o umysłowości wodzów plemiennych, niewiele różnej od prymitywizmu swych poddanych. Cóż, że ci poddani jako masa stali poniekąd cywilizacyjnie wyżej od poziomu hord berberyjskich kalifów Południa, że to „podniesienie” było celem działalności kościoła? Właśnie wielkością edukacyjną islamu była jego ogromna rozpiętość: władcóm dawał rozległą i głęboką kulturę, masie pozostawiał jej pierwotną, stanowiącą istotę jej wartości bojowej, dzikość bestii.

Wyminęliśmy dziennikarzy, którzy z drugiej strony obeszlą zamek, ale którzy źle znając francuski, nie przyłączyli się do nas. Zamek wznosił się nie to murami i basztami, ale szeregiem olbrzymich, monolitowych płaszczyzn, jakby wbitych koło siebie w ziemię na sztorc, jak cyklopiczna, niespojona budowla, ruina świadcząca o wielkości twórców. Widziane stąd Iznalloz było bezładnym, nędznym zlepiskiem jaskółczych glinianek. Jeśli by chodziło o ilustrację historiozoficzną²³⁶ andaluzyjskich wywodów entuzjasty islamu, trudno byłoby o lepszą. Ale on tymczasem mówił o marazmie. Otóż marazm miał w jego pojęciu wszystkie zalety reprezentowane tu dawniej przez islam. Tak samo dla mas myśl jasną, upraszczającą, odpersonalizowującą dzieje i sprawy, nieżądaną większego wysiłku myślowego od tych, którzy nie byli doń zdolni, tak samo wynoszącą ponad wydarzenia i ludzi, wyposażającą w ogromną moc dyspozycyjną wszystkich, których przeznaczał bieg wypadków do steru. Marazm jeden potrafił wnieść tu nowe, żelazną dłońią i świadomą swych zamierzeń wolą prowadzone społeczeństwo, postawił zapory na rzekach, przerzucił mosty nad przepaści, wydobędzie całe bogactwo rud iberyjskich, nawiąże poprzez sześć wieków do muzułmańskiej ery Hiszpanii. Jedno jest tylko zło w tym wszystkim i jednego brakuje w obrazie: ludzie z Afryki są po tamtej stronie. Po stronie gen. Franco, Północy i chrześcijaństwa, tej personalistycznej, poganizującej koncepcji religijnej. O tym nie pomyślano zawczasu.

I jakby przed jakąś myślą wzruszył ramionami:

— Moi koledzy, ci tam, co poleźli patrzeć, jak żołnierze cackają się z dziewczynami, no i wszyscy w Hiszpanii tego nie rozumieją. Maurowie, Maurowie! Jeszcze trochę, a okaże się, że rewolucja powtarza dzieło Ferdynanda i Izabelli, że wygania islam w imię „cywilizacji zachodniej”. Oni tego nie rozumieją, że Maurowie po tamtej stronie oznaczają nie tylko pewną ilość karnego żołnierza kolonialnego, którego pcha do walki nie jakiś bohaterstwo, ale rzecz realniejsza, instynkt. Oznacza to, że najbardziej pierwotne, najbardziej wartościowe i potencjonalne siły, niszczycielskie i twórcze, są nie po naszej

²³⁴deizm — pogląd, według którego istnienie Boga można wywnioskować racjonalnie z obserwacji świata naturalnego, połączony z odrzuceniem źródeł religijnych jako autorytetów; uznający, że Bóg stworzył wszechświat wraz z prawami natury, ale nie ingeruje w jego działanie; deizm upowszechnił się w Europie i w Ameryce Północnej w epoce oświecenia. [przypis edytorski]

²³⁵pozytywizm (filoz.) — kierunek filozoficzny głoszący, że jedyną pewną wiedzą jest wiedza naukowa, zdobywana tylko dzięki pozytywnej weryfikacji teorii za pomocą empirycznej metody naukowej; jeden z głównych nurtów filozofii w XIX i XX w. [przypis edytorski]

²³⁶historiozofia — filozofia historii, dziedzina całościowych rozważań nad przebiegiem, znaczeniem i sensem dziejów. [przypis edytorski]

stronie. Oznacza to, że materiał ludzki, który sam nic nie znaczy, ale którego najazd użył przed stuleciami Andaluzję, którego odpływ zdegenerował nas jako rasę i jako kulturę, jest dziś narzędziem w ręku tamtej koncepcji. Jak wiele, jak ogromnie wiele, znaczyłoby dla rewolucji, gdyby ten najazd afrykański kierowany był przez nas, nie przeciw nam! Znowuż, to nie są rzeczy, które nasi ludzie umysłem ogarną. Dla nich najgorszą myślą jest przypuszczenie, że dziki Maur będzie gwałcił hiszpańskie dziewczęta. Obawy godne spowiednika lub rasisty! A jeśli ze stanowiska, jedynie ważnego dla tych spraw, ze stanowiska biologii, wartości gatunku, dziki Maur posiada w roli reproduktora większe zalety niż indoeuropejski profesor z Madrytu?

Trzeba było schodzić i schodząc, Andaluzjczyk w swym płaszczu żołnierskim śmiał się jeszcze cichym, porozumiewawczym śmiechem. Zeszliśmy już do puebla. Naraz, jakby na wspomnienie tych Maurów, odezwała się zza węgła typowa arabska piosenka, taka najczystsza, taka sama, jakie się słyszy w Kairze i w Palestynie, w Libanie i Transjordanii²³⁷, jakie płyną monotonnie od Rio de Oro²³⁸ do Zatoki Perskiej:

— *La-i-la-laah,*
la-o-illaaa —

Piosenka była arabska swoją nutą, powracającą w te same tony jak wzór arabeskowy, gardłowością swego dźwięku, brakiem słów. Sylaby płynęły dźwięcznie. Zza uliczki wyszedł wreszcie człowiek, który śpiewał. Nie był to żaden Maur. Był to wysoki parobek wiejski, Andaluzjczyk, góral. Minął nas obojętnie i szedł wolno pod górę, śpiewając swoje muezzinowskie „lailahania”. To było właśnie tak. Pieśnią Andaluzji, jedynym typem ludowej piosenki południa Hiszpanii, pozostała pieśń arabska, niemal bez słów, niemal z samych dźwięków. W górach i na stepie, wśród *huerty*²³⁹ i *vegi*²⁴⁰, śpiewa się dziś tak samo, jak śpiewało się tu przed Kolumbem, tak samo jak śpiewa się wieczorem w Maroku, Syrii i Barce. Nawet cyklopiczny²⁴¹ zamek nad Iznalloz rozpękł się w ciągu wieków, sterczy ogromem oddzielonych od siebie ścian, ale w pieśni nic się nie rozpękło. Może jutro wieczór poprzez linie bojowe za Colomerą przypelźnie ku stadom na hali młody Maur i słysząc śpiew andaluzijski, donuci koniec śpiewki w swoim narzeczu. Nikt go wtedy nie rozpozna. Nawet czujne góralskie owczarki, które jeżą się na obcych, warczą na żołnierzy z Madrytu, przywarują spokojnie, jakby to odezwał się zza hali juhas sąsiednich połonin, *muchacho*²⁴² z tej samej wsi. Maur będzie mógł sięść przy ognisku, zrozumie mowę i sprawy tych ludzi, jego śniadość zdziwi tu mniej niż nasze twarze. Będzie mógł, jeśli to będzie noc ciemna, wkraść się przez kraty wyrwanego miradoru do pokoju dziewczyny, i dziewczyna andaluzijska przyjmie go po ruchach jak swego, wiedziona nieomylnym instynktem zwierząt i leśnych ludzi, którzy zawsze wywęszą istotę swej krwi. Zewrze się z nią uściskiem pewniejszym niż ci obcy żołnierze, naszli²⁴³ z doliny, tak jakby odszedł od niej na chwilę, dopiero co, a teraz do swego powracał. Będzie mocą swych sił młodych odnawiał w niej wszystko, czym ta ziemia burzyła się przez wieki, do czego przez wieki tęskniła, całe wnętrze zmysłowości i okrucieństwa, dzikości i chęci niszczenia, wszystko, co w tej rewolucji ostatniej widziało nowe dla siebie wylewy. Znużonemu przy niej, przypomną mu się stare kroniki Ibn Adhari²⁴⁴, sławiące ów utracony raj grenadzki, kraj najśodszych winnic i najpiękniejszych dziewcząt. Będzie to jego powrót do zamków, jakie

Zwierzę, Krew

²³⁷ *Transjordania* — dosł.: „kraj za Jordanem”; emirat utworzony w 1921 we wsch. części terytorium mandatu Palestyny na Bliskim Wschodzie; terytorium to pozostawało pod administracją Wielkiej Brytanii do 1946, kiedy ogłosiło niepodległość jako Królestwo Transjordanii (od 1949 Jordańskie Królestwo Haszymidzkie). [przypis edytorski]

²³⁸ *Rio de Oro* — rzeka w płn.-wsch. Maroku. [przypis edytorski]

²³⁹ *huerta* (hiszp.) — tereny rolnicze składające się głównie z sadów i ogrodów warzywnych. [przypis edytorski]

²⁴⁰ *vega* (hiszp.) — żyzna równina; łąka. [przypis edytorski]

²⁴¹ *cyklopiczny* (o budowli lub jej części) — dziś popr.: cyklopowy, przypominający prehistoryczne konstrukcje wykonane z wielkich, jedynie powierzchniowo obrabionych kamieni, dopasowanych do siebie bez spajania zaprawą. Tego rodzaju konstrukcje kultury mykeńskiej w Grecji przypisywano Cyklopom, mitycznym olbrzymom. [przypis edytorski]

²⁴² *muchacho* (hiszp.) — chłopak; młodzieniec. [przypis edytorski]

²⁴³ *naszli* — tu: ci, którzy naszli kogoś, pojawili się niespodziewanie. [przypis edytorski]

²⁴⁴ *Ibn Adhari*, właśc. *Ibn Idhari* (XIII–XIV w.) — marokański historyk, autor dzieła *Al-Bayan al-Mughrib* (1312), kroniki muzułmańskiej Afryki Płn. i Płw. Iberyjskiego. [przypis edytorski]

tu wznosił, ogrodów, jakie tu sadił, pieśni, jakie tu pozostawił, legend, jakie się w nim baje, garnców, jakie się jego wzorami zdoła. Będzie to powrót do szczepów i pokoleń z niego poczętych. Powrót do Grenady i Andaluzji, ziemi i dziewczyny. A ona, broniąc się przed nim i opierając, będzie mu przecież rada.

BOGATY CZY BIEDNY?

Wyjechaliśmy z Iznalloz na Guadix, jeszcze jedno z feudów²⁴⁵ dawnego królestwa Grenady. Droga wiodła prawie cały czas wysokimi płaskowzgórzami, niemal zupełnie nieuprawnymi. Nie były to grunta prywatne, lecz publiczne, miejskie czy państwowe. Żeby je zamienić w rolę, trzeba było tylko jednej rzeczy: wody — ale stworzenie systemu irygacyjnego, takiego choćby, jaki istniał w Grenadzie mauretańskiego średniowiecza, wymagałoby ogromnych kosztów. Kapitału prywatnego nie kusila taka inwestycja, jak przeważnie nie kuszą go inwestycje rolnicze, amortyzujące się powoli i przynoszące mniejsze zyski od wkładów poczynionych w przedsiębiorstwach przemysłowych. Czasami widziało się opuszczone, szalasowate chaty. Jeszcze jedno uderzało po drodze. Oto nieliczna ludność bała się nas. Nie można powiedzieć, że bała się naszych milicjantów, czerwonych czy białych, że miała sympatie nacjonalistyczne, ale się bała. Czasem znowuż ludzie patrzyli najwidoczniej wilkiem i Pedro, zapytany o dokumenty, podsuwał nie tylko papiery, ale zarazem, po raz chyba pierwszy w tej podróży, dobył spod nóg karabin. Świetne szosy skończyły się dawno i mieliśmy przedsmak tego, czym jest Hiszpania, co jeszcze w sobie kryje dla tych, którzy zбочą od kilkudziesięciu lśniących asfaltem szlaków. Zjeżdżając ku dolinie Guadixu, mieliśmy również obraz potęgi wody. Były w tym kraju tylko dwa rodzaje pól: ogród, uginający się od olbrzymich słodkich winogron, porastający bananami i pomarańczą, oszołamiąją urodzajem, i obok niego, nieco dalej, a raczej nieco wyżej, górzysty, jałowy step. Wszędzie tam, gdzie staroświeckie, obracane siłą męła stąpającego w kieracie studnie zdołały rozlać wodę, był ogród; o parę metrów wyżej, tam gdzie antyczna irygacja nie mogła już sięgnąć, rozpoczynała się pustka.

To nie my, ale nasi towarzysze milicjanci nie mogli się oprzeć myśli, że jedna tama na rzece, zbiornik na wodę, jeden olbrzymi system nowoczesnej irygacji, a granica winogron i bananów podniosłaby się ku górze, ogrody podeszłyby pod szczyty, wgryzłyby się w step. Ale step trwał niezmienny w swych granicach. Spoglądał swymi płaskowyzami ku dolinom, przepnutym pasemkiem rzeki nie szerszym od białego szlaku szosy, ku chmarze nagich i nędznych dzieci, czerwonym sztandarom trzepocącym na dachach szerniałych od ognia kościołów.

*

W Guadixie, pierwszym prawdziwym mieście naszej wycieczki, jedna trzecia ludności mieszkała w glinianych pieczarach. Pokazywano nam je raczej jako osobliwość niż jako okaz zacofania. Była to ludność cygańska, *gitanes*, stojąca dziś jak wczoraj poza obrębem społeczności kraju. Stroniła od pracy w fabrykach młodego przemysłu miasta, nie brała udziału w rewolucji, pomawiano ją o najczynniejszy udział w grabieży podczas walki stoczonej o miasto między anarchistami a wojskowymi. Była traktowana nieco tak jak się w Rosji traktuje *bezprizornych*²⁴⁶, trochę tak jak marksiści traktują lumpenproletariat²⁴⁷. Piękne dziewczyny cygańskie ofiarowywały swą miłość, a sekretarz miejscowego *Frente Popular*²⁴⁸ dał mi do zrozumienia, że wieczorem, w czasie nieobecności mojej towarzyszyki, możemy z ofert korzystać. Guadix był zbombardowany. Całe domy, całe partie ulic leżały w gruzach. Rewolucja przeszła tu orkanem, a jednak patrząc na dzielnice nor cygańskich, miałem wrażenie, że jej orka przeszła tu płytko, nie dlatego, że nie zmieniła

²⁴⁵*feudum* — lenno. [przypis edytorski]

²⁴⁶*bezprizorni* (z ros. lp: *беспризорный*, *biesprizorny*) — potoczne określenie bezdomnych dzieci żyjących na ulicy w Rosji, najczęściej pozostających w konflikcie z prawem. [przypis edytorski]

²⁴⁷*lumpenproletariat* (pogardl.) — warstwa społeczna składająca się z miejskiej biedoty, ludzi trwale bezrobotnych żyjących na marginesie społeczeństwa. [przypis edytorski]

²⁴⁸*Frente Popular* (hiszp.) — Front Ludowy, koalicja hiszpańskich partii lewicowych, zawiązana w styczniu 1936, która po wygranych wyborach zawiązała rząd. [przypis edytorski]

w niczym egzystencji tych ludzi jaskiniowych, ale że nawet wśród ludzi rewolucji nie zasiała świadomości, iż trzeba położyć kres tym norom w glinie, temu życiu, tej sprzedaży dziewcząt.

Wieczorem moja towarzyszka czuła się niedobrze i poszedłem do apteki po jakiś środek. Dano mi go od razu, ale nie chciano pieniędzy. Pomyślałem, że biorą mnie za cudzoziemskiego komunistę, pracownika rewolucji, i że potrzebuję tego środka dla celów służbowych. Pokazałem więc moje dokumenty, stwierdzające dziennikarski, a więc ściśle prywatny charakter mej podróży. Ale i to nie robiło wrażenia. „*No soy compañero*”²⁴⁹ — powiedziałem wreszcie, chcąc po prostu wyraźniej podkreślić prywatność mojej osoby. Lecz to znowu wywołało niemal panikę: lekarstwo już zawinięte wciśnięto mi do ręki, mnie samego omal nie wypchnięto za drzwi. Obok był sklep z obuwiami. Chciałem sprawdzić, czy w tym zaczarowanym mieście także buty dostaje się za darmo. Wszedłem i kazałem je sobie pokazać. Okazało się, że mają numery wielkości od 48, czy coś takiego wzwyż, oraz kilka numerów na stopy zupełnie chińskie. Czterech subiektów²⁵⁰ wielkiego i pustego sklepu nudziło się za ladami i kasą naładowaną bonami rekwizycyjnymi, zwykle bez żadnych pieczęci. Można było bez wielkiego trudu stwierdzić — gdyby to stwierdzenie posiadało jakąś statystyczną wartość — jak wielkie są wahania rozmiarów stopy ludzi dorosłych — dzieci nie rekwirowały — w Guadiksie. Nie znaczy to zresztą wcale, aby Guadix był miastem pozbawionym ludzi bosych. W innym sklepie zapytałem o błony do kodaka²⁵¹, błon nie było i nie było aparatów. Właściciel czerpał za to pewien zwiększony stosunkowo dochód z wywoływania zdjęć. Ten przynajmniej, w odróżnieniu od sprzedawcy butów, miał jakąś pociechę ze swego *stocku*²⁵² kilkudziesięciu zarekwizowanych i funkcjonujących gorączkowo w ręku ludu aparatów. Noc spędziłem w lokalu *Socorro Rojo* („Czerwonej Pomocy Międzynarodowej”), mieszczącym się w domu kanoników kapitulnych²⁵³. Meble stanowiły mieszaninę starej hiszpańszczyzny i najgorszego mieszczańskiego gustu, ale nie świadczyły o bogactwie kapituły. Powiedziano mi, że w bibliotece odkryto jakieś niesłychane wydawnictwa pornograficzne, i pokazano mi bibliotekę. Znalazłem dużo książek religijnych z ub. w., jakieś podróże i historie, roczniki hiszpańskich „*Niw*” czy „*Tygodników*”, całość bardzo przeciętną, ale nie zdrożną. Zapytałem o pornografię. Nikt z mych rozmówców sam jej nie widział, nie wiedział też, gdzie się podziała. Za to z okrzykami oburzenia wyciągnięto jako nieprzyzwoitą książkę *Listy perskie* Monteskiusza i *Kandyda* Voltaire’a²⁵⁴, a gdy wyraziłem powątpiewanie, odczytali mi kilka soczystych ustępów z korespondencji haremowej Uzbeka z jego wielkim eunuchem. Biedna, stara książeczka, wciśnięta od lat w kącie biblioteki między jakieś rachunki i kancjonały²⁵⁵, pachniała mdłym zapachem świętej starzyzny. Myślałem chwilę o *regimé*’ie, którego przed wiekami podcinał ostry dowcip tej książki, a moi towarzysze widzieli w niej tylko jedno: kilkanaście pachnących ostrą zmysłowością scen, zdań, porównań, uwieńczonych, niestety, nużącym gadulstwem na tle jakichś urzędów i stosunków w dawno nieistniejącej Republice Weneckiej.

Następnego dnia przybyliśmy do Almerii, miasta portowego wielkości Częstochowy czy Przemysła, wciśniętego między masyw pustynny, górzysty i skwarny Alpuhary i morza. Na wyżynie, zwróconej już stokami na śródziemnomorskie południe, brakowało wody nie tylko dla roślin, ale dla ludzi. Przebyliśmy drogę wszyscy zmęczeni niesłychanie, choć był to najkrótszy etap i choć z początku zamierzaliśmy tegoż jeszcze dnia dojechać choćby do Malagi. Po przybyciu do Almerii moja towarzyszka dostała jednak silnej grypy. Noc w samochodzie w Iznalloz, a potem druga, niewiele łagodniejsza, w spalonym Guadiksie, nabawiła nawet naszych milicjantów lekkich przeziębień. O dalszej podróży

Książka, Plotka, Erotyzm

²⁴⁹*No soy compañero* (hiszp.) — Nie jestem towarzyszem. [przypis edytorski]

²⁵⁰*subiekt* (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

²⁵¹*błony do kodaka* — błony fotograficzne do aparatu firmy Kodak. [przypis edytorski]

²⁵²*stock* (ang.) — zapas towaru; asortyment. [przypis edytorski]

²⁵³*kanonik kapitulny* — członek kapituły, tj. rady biskupiej. [przypis edytorski]

²⁵⁴„*Listy perskie*” *Monteskiusza* i „*Kandyd*” *Voltaire’a* — XVIII-wieczne utwory francuskiego oświecenia: *Listy perskie*, powieść epistolarna Monteskiusza, satyra na system społeczny feudalnej Francji, opublikowana anonimowo w 1721, oraz *Kandyd* (1759), najgłośniejsza z satyrycznych powiastek filozoficznych Woltera, dawniej zakazana w wielu krajach, m.in. trafiła na listę ksiąg zakazanych Kościoła katolickiego, oskarżana o bluźnierstwo i podburzanie do niepokojów politycznych. [przypis edytorski]

²⁵⁵*kancjonał* — zbiór pieśni religijnych. [przypis edytorski]

nie było mowy. Po kilku dniach moja towarzyszka była jeszcze tak osłabiona, że wracać do Madrytu nie mogła, a myśmy jednak musieli samochód odesłać. Wczesnym świtem nasza eskorta i korab²⁵⁶ dróg asfaltowych odbiły ku Madrytowi. Nie mogę powiedzieć, abym nie żywił wówczas obaw o przeszłość naszego powrotu; pozbawieni samochodu ministerialnego i eskorty milicyjnej, z przepustkami, których okres ważności szybko minął, o sześćset z górą kilometrów od Madrytu, pod władzą lokalnych rewolucjonistów i niedalekiej czerwonej Malagi, przypominaliśmy sobie lipcowe opowieści turystów samochodowych, których rewolucja złapała w środku Hiszpanii i którzy miotali się później po jej drogach, uciekając raz na Irun, raz na Gibraltar, zawsze zatrzymywani, nieraz ostrzeliwani.

W naszej sytuacji nie zaszło jednak nic podobnego. Miejscowy komitet Frontu Ludowego wysłał nam lekarza i tym samym odpadła jedna z głównych obaw; pamiętaliśmy lekcję z Linares, gdzie wskutek rozstrzelania paru miejscowych lekarzy z największą trudnością znaleźliśmy dentystę. Zakwaterowano nas w hotelu w którym już stanęliśmy, skromnym, ale porządnym. Wystawiono lokalne firmy²⁵⁷ bezpieczeństwa i przestano na nas zwracać uwagę. Front był stąd daleko. Pod Colomerą czerwoni zostali pokonani, jak o tym doniosła pantoflowa poczta. Droga na Malagę, będąca już ponoć pod ostrzałem grenadzkich wojsk białych, szły z Murcji posiłki. Poza tym w Almerii panowała zupełna cisza. Wieczorami tłum wylegał na bulwary, w dzień był normalny ruch w porcie. Tylko samochody malowane w skróty słów, znamiona partii rewolucyjnych, sierpy, młoty i gwiazdy, mówiły na pierwsze spojrzenie o rewolucji. Tylko kilka kościołów spalonych i wielki posąg Chrystusa, wzniesiony nad zamkiem arabskim i radiostacją, zburzony teraz dynamitem, wskazywały przejście huraganu.

Całe dni chodziłem po ulicach, przedmieściach, wysiadywałem w porcie i nad morzem, wstępowałem do kawiarni i szynków. Do mojej towarzyszki zachodziłem na dłuższą chwilę rozmowy po godzinie siódmej, gdy wyszedł już lekarz. Ów lekarz, wydelegowany przez komitet *Frente Popular*, przychodził co dzień i przesiadywał godzinę, dwie, choć chora była już po prostu tylko bardzo osłabiona i choć sam zalecał, żeby miała jak najwięcej spokoju i żeby jej długimi rozmowami nie męczyć. Z początku myśleliśmy, że bierze nas za zamożnych cudzoziemców i że godziny rozmowy będą przeliczone na słoną taryfę wizyt lekarskich. Ale okazało się, że za leczenie nic się nie może należeć, bo wchodzi to ściśle w zakres obowiązków lekarza wobec *Frente Popular*. Pomyśleliśmy wówczas, że w zakres obowiązków lekarza wobec *Frente Popular* wchodzi może zbadanie politycznego pulsu cudzoziemskich pacjentów, i byliśmy szczególnie ostrożni w wyrażaniu naszych opinii. Ale właściwie to nie my, nawet nie panna Jeziorańska mówiąca doskonale po hiszpańsku, byliśmy stroną czynną w rozmowie. Przeciwnie, mówił, opowiadał lekarz i to, co opowiadał i co ja obserwowałem, składały się na dwie połowy dnia i dwa jego obrazy.

Ja w porcie, leżąc na plaży, widziałem kołyszący się za moim białym statkiem. Lekarz poinformował nas, że na tym statku uwięzieni są jako zakładnicy wszyscy, których nazwiska mogły coś znaczyć w tym mieście: zamożniejsi lekarze, urzędnicy, właściciele will, kupcy, restauratorzy, wojskowi, księża, że codziennie nad ranem rozstrzeliwuje się z tej paczki po kilkunastu. Przechadzając się po mieście, nie widziałem niemal śladów kul na domach ulic. Rewolucja przeszła tu bezkrwawo? Ale wieczorami przychodził lekarz i opowiadał, że wojsko na wiadomość o przewrocie w Barcelonie zamknęło się niezdeterminowanie w koszarach, że z tłumy poczęto rzucać kamienie do wartowników, że ci zaczęli strzelać, że po kilkugodzinnym oblężeniu poddało się i wojsko, i 250 ludzi licząca załoga *Guardia Civil*²⁵⁸ — i że z tej *Guardia Civil*, która poddała się tak łatwo, rozstrzelano dwustu, że wybito nie tylko oficerów, ale i podoficerów, że żołnierze odesłani zostali do Murcji, nie na front, bo są niepewni. Wracałem do hotelu dzielnicą pięknych will — lekarz mógł mi opowiedzieć krwawe i ponure historie każdej z nich. Zaszedłem do komitetu Frontu Ludowego, rozmawiałem z jego sekretarzem, z władzami: lekarz wskazywał, na którym z tych ludzi ciąży krew, na którym — pospolite szalbierstwo. Przemawiał

²⁵⁶korab (daw.) — statek, okręt. [przypis edytorski]

²⁵⁷firman — oficjalny dokument wystawiony przez sultana, w szczególności zezwolenie wydane cudzoziemcom na podróżowanie po kraju. [przypis edytorski]

²⁵⁸*Guardia Civil* (hiszp. Straż Obywatelska) — hiszpańska państwowa formacja paramilitarna; po wybuchu hiszpańskiej wojny domowej rozbiła się na dwie formacje: narodową i republikańską. [przypis edytorski]

na wiecu w porcie jakiś almerski Robespierre²⁵⁹, w czerwono-czarnej chuście. Lekarz bał się go najwięcej. Był może jedynym żyjącym człowiekiem, który pamiętał Robespierre'a Almerii na usługach królewskiej tajnej policji. Jakże odbywa się podobną drogę? Mój Boże! — mówił lekarz — to tak proste. Zobaczył w roku 1930, że w Hiszpanii nie idzie, zaczął kombinować z ludźmi siedzącymi w więzieniu, tuszował rezultaty własnej szpiclówki, chował pod sukno dowody obciążające. Zaskarbiał sobie łaski twórców republiki, nie zapomniano o nim! Cóż prostszego niż powtórzenie tego manewru w kilka lat potem, u schyłku panowania rządu Lerroux, gdy narastały szanse skrajnej lewicy? Czy teraz powtórzy się jeszcze po raz trzeci owa szpiclowska spekulacja na historię? Doktor nie był tego zdania. Nie dlatego, że byłoby to niemożliwe, po prostu dlatego, że było to już niepotrzebne. Jedyne, co pozostanie, to wyniesienie się w czas z całym nabytym dorobkiem.

Pytaliśmy się lekarza, czy wielki jest dorobek uciulany przez takich Robespierre'ów w drugorzędnym mieście hiszpańskim. Doktor potakiwał. Nie trzeba lekceważyć Almerii. Pod Almerią są czynne po dziś dzień kopalnie złota. Tędy przewozi się ołów, tu ładuje na okręty jeden z najlepszych gatunków hiszpańskich winogron. Tu wreszcie ładuje się całe masy esparty, trawy rosnącej na wzgórzach Alpuhary, cennego surowca angielskich papierni. Czyż to jest zresztą wszystko? Niech się przejdę dwiema dzielnicami domów nad morzem: w tych domach drzemało bogactwo przemysłowe, kupieckie, armatorskie trzech pokoleń. Niech się przyjrzą zarekwirovanym samochodom. W Almerii było samochodów siedem tysięcy — więcej niż na całym naszym Górnym Śląsku, więcej niż w Warszawie. Trzech lekarzy tutejszych — nie przemysłowców, bankierów, ale lekarzy — posiadało rolls-royce'y i hispano-suizy. Czy jest w Polsce lekarz właściciel royce'a? Było z czego ciuć do nocy 19 lipca. Lekarz wyliczał i obliczał. Często sam nic nie mówił. Przynosił za to gazetę. Był to „Diario de Almeria”, znajdowało się w nim niecodzienne wiadomości. Tak więc władza zapowiadała surowe kary na rozpowszechniających szczególnie złośliwe plotki. *Nieprawdą jest* mianowicie — ta formuła sprostowań jest widocznie ubezpieczona od wstrząsów społecznych — jakoby trupy po egzekucjach rzucano do źródła wody spływającej ku Almerii i że w rezultacie woda w mieście jest zepsuta i że szerzy się zaraza. Czytaliśmy dalej, żeby zobaczyć, co nastąpi po sakramentalnych słowach sprostowania: *natomiast prawdą jest*. Troskliwe władze rewolucyjne Almerii pośpieszały uspokoić ludność wiadomością, że egzekucji nocnych dokonywa się nad dużym dołem wapiennym, skąd żadne źródło wody żywej nie płynie. Że po każdej „kolejce” zasypuje się zwłoki gaszonym wapnem, że więc ludność może spokojnie pić wodę. Lekarz odkładał gazetę, a my sprostowanie. Ulice Almerii były o tej wieczornej porze najgwarniejsze. Przez mirador pokoju chorej dolatywała muzyka orkiestr. Ludzie na esplanadach²⁶⁰ czytali spokojnie „Diario de Almeria” i najwidoczniej uspokojeni życzliwym i przezornym zarządzeniem grabarskim władz, pili przez słomkę wodę sodową. Mord masowy stał się czymś spowszedniałym i potrzebnym, niczym asfaltowanie nowych nawierzchni w mieście, burzenie niebezpiecznych ruder czy przepowiedzenie kanalizacji. Lekarz w takie dni wychodził wcześniej, jakby unikając jakichś naszych, krępujących i dla niego, i dla nas, wypowiedzi, jak gdyby tego dnia powiedział nam dostatecznie wiele. Pozostawieni sobie, myśleliśmy, przerzucając się kolejno w inną skrajność, czy ten lekarz urzędowy *Frente Popular* nie jest czasem ukrytym Wallenrodem²⁶¹ prawicy, czy nie spełnia tu przy nas roli informacyjnej, służby w kontrpropagandzie białych? Ale i to nie było prawdopodobne: lekarz zbyt dokładnie opowiedział własne dzieje, zbyt to opowiadanie wyglądało niejasno, aby nie miało być prawdą.

Był synem niezamożnych rodziców. Skończył z trudem medycynę. Przypadkiem zajęł się nim zamożniejszy kolega, polecił swemu ojcu-lekarzowi, znaleziono mu posadę na prowincji. Lekarze, adwokaci w Hiszpanii uciekają od prowincji, od małego miasteczka,

²⁵⁹ Robespierre, Maximilien de (1758–1794) — jeden z przywódców Rewolucji Francuskiej, czołowa postać klubu jakobinów; Robespierre'a zwykle się uznawać za symbol krwawego terroru i dyktatury rewolucyjnej. [przypis edytorski]

²⁶⁰ esplanada — promenada; szeroka ulica z aleją spacerową; pierwotnie: pas przestrzeni ciągnący się wzdłuż fortyfikacji, najczęściej pomiędzy miastem a twierdzą. [przypis edytorski]

²⁶¹ Wallenrod — tytułowy bohater powieści poetyckiej Adama Mickiewicza *Konrad Wallenrod* (1823), człowiek, który pozornie służył swoim wrogom, żeby faktycznie im zaszkodzić. [przypis edytorski]

Władza, Słowo,
Morderstwo, Woda, Miasto

Prawda

od wsi, niczym ich polscy towarzysze. Lekarz przeszedł kolejno do Almerii. Był przekonana lewicowych, leczyl tanio chorych, byl niebogaty. Skrzyzowanie tych trzech wlasciwosci, spotegowanych przez czwartą, najsilniejszą — tę, że nie miał na lewicy osobistych wrogów — ocalilo go w potopie rewolucji, rzucilo na stanowisko lekarza Frontu Ludowego. Przez czas jakis stwierdzal po egzekucjach zgony ofiar. Przez czas jakis zarzadzal kostnicami, do których przewozono zwloki ludzi wywiezionych za miasto i zastrzelonych. Teraz byl to biedny, zastrachany czlowiek. Nie byl pewien, czy rewolucja nie zmiecie i jego. Nie mógł jej teraz, po tym wszystkim, zyczyć zwyciestwa. Widzial zreszta więcej z Almerii, niż mogłem jej widziec, bladząc z kąta w kąta w obcym mi zupełnie mieście. Nie wierzył, żeby te żywioly, które mogły uprawiac w mieście terror, były w stanie zgotować wojskom idącym z Grenady hiszpańską Valmy²⁶², hiszpański Radzymin. Sądził, że prędzej czy później skończy się to klęską. Patrzył jakby odrętwiały, jakby odrętwiałym mózgiem przyjmował myśl, że wówczas stanie i on przed sądem, jako lekarz Frontu Ludowego, zawiadowca kostnic rewolucji, lewicowiec z pierwszych lat republiki. Jakby w odrętwieniu przyjmował spokojną, chłodną myśl, że ludzie, którzy będą wtedy badali jego sprawę, potrafią w najlepszym razie sklasyfikować ją automatycznie i tępo, jakby wykonując w półobrótu prawo czy na ramię broń tempo dwa, jeśli w ogóle nie ujrzą jej poprzez wspomnienie zadanych im krzywd. Robespierre wsiaǳie na którykolwiek z tych statków w porcie, był przewidujący. Może będzie jeszcze spokojnym rentierem w tańszej miejscowości Błękitnego Brzegu²⁶³. Dokąd jednak pojedzie ten lekarz? A niestety, nie mieliśmy najmniejszych złudzeń co do losu, jaki go tu czeka.

Tak co wieczór przybywalo nowych konturów i nowych barw w obrazie Almerii krwawej, okrutnej, bogatej przedtem i moźnej. Dopełniała się statystyka dzisiejszych ofiar a wczorajszych panów, mącilo wszystko, co przez dzień zebrałem. Ale potem przychodził drugi dzień, nowe samotne spacerzy, nowe i te same spotkania. Nie, nie zawsze i nie wszęǳie widzial lekarz dobrze. Almerię stanowiły nie tylko dwie dzielnice domów przy porcie, pięknie wyrysowane bulwary will i domy w starannych ogrodach. Almerię stanowiły wielkie i rozległe dzielnice nęǳy. U stóp zburzonego pomnika na górze wznosiły się lepianki godne arabskich. Ulice, którymi śmigaly rollce’y i hispany, przytykaly do ohydnych zaułków. Na końcu plaź miejskich, pustych jak nasze plaże we wrześniu, rozpoczynaly się pola łóz i szuwaru, domy plecione z tych łóz i szuwaru niemal murzyńskie. Powtarzala się nęǳa z Guadix. Szła za nią ciemnota, analfabetyzm, fałszywa oświata. Mówilem o tym lekarzowi. Odpowiadala znouż, że istotnie, kraj jest biedny, miasto jest biedne.

Szedłem potem do portu, gdzie panował ożywiony ruch. Ładowano rudy almerijskie, miedziane, ołowiane, złote, tak jak u nas ładuje się węgiel. Ładowano wielkie zwały korkowca, skrzynie winogron. Angielskie statki przybijaly po suchą, trzeszczącą w palcach trawę-espartę.

Wszystko to dostawial do samych prawie okrętów chłop almerijski, południowy, mniej może arabski niż czlowiek spod Grenady. Był obdarty, nie umial czytać. Przyjeżdzał wozem dwukolowym, zaprzężonym w chude, ale przybrane we wzorzyste uprzące osły. U rozpełzłego sombrera nosil niewielką czerwoną szmatkę, która jednocześnie imitowala kokardę i sygnalizowala przekonania. Ten strzęp czerwonosci byl zreszta jedyną widoczną zmianą w porcie. Poza tym bylo wszystko jak dawniej. Staly statki angielskie, duńskie i norweskie. Nic się nie zmienilo w porcie, choć za mołem kołosal się statek ze straceńcami. Kraj nie przestal być ani na chwile bogaty i biedny. Najcenniejsze rudy świata, rudy miedzi i ołowiu, piaski złota, to, czego inne narody szukaly za morzami, pokarm wielkich hut, strawa fabryk, ładowaly się tu jak gruz bezuzyteczny, wyrzucony na śmietnik. Chłop niemal dziwil się, że po ten kamień ci obcy marynarze, których bogactwo przeciez bilo w oczy, fatygują się, żeby płynąć tak daleko. Horyzont portu zamykala ta sama od wieków panorama gór płowych, bezwodnych, porastających suchą włóknistą trawą, niezdatną nawet bydłu na pościółkę. Kraj był więc biedny. Ale tę samą trawę wiązaną w snopy ładowano na okręty, gdzieś daleko czekaly na nią maszyny i fabryki, jeden

²⁶²bitwa pod Valmy (20 września 1792) — stoczona podczas wojen rewolucyjnej Francji, powstrzymala ofensywę austriacko-pruską; stanowiła pierwsze wielkie zwyciestwo armii Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

²⁶³Błękitny Brzeg — dziś: Lazurowe Wybrzeże (fr. Côte d’Azur), wschodnia część wybrzeża francuskiej Prowansji, rozciągająca się od miejscowosci Cassis aż po granicę włoską. [przypis edytorski]

Interes, Handel, Bogactwo,
Bieda, Rewolucja, Chłop,
Praca, Pokora, Chciwość,
Kolonializm

z największych przemysłów papierniczych świata, wyrabiano z niej kosztowny gatunek papieru i robotnicy, którzy go wyrabiali, żyli w warunkach pracy i płacy, o jakich się nie śniło zwożącemu tę trawę z gór chłopu. Dniami i tygodniami było to samo w porcie almeryjskim. Ciągnął sznur wysokich hiszpańskich wozów, chłopci ładowali na statki o obcych flagach rudy, zwąły korkowca, snopy esparty; od czasu rewolucji zarabiali o pesetę więcej, ale od czasu rewolucji wszystko podrożało w trójnasób. Chłop brał tedy swoją pesetę więcej, wyladowywał swą espartę, cmokał na osły i odchodził. Ciężkie koła dudniły jak zawsze po kamieniach nadbrzeża. Co myślał chłop andaluzyjski, mijając tak ze swymi osiołkami i skrzypiącym, drewnianym wozem ciemne flanki wysokich parostatków? Czy zestawiał siłę narzędzia, którym wykonywa swą pracę, z siłą tych obcych? Czy zastanawiał się, jak to jest właściwie z tą biedą i z tym bogactwem, jak to jest naprawdę z Almerią, z całym jego krajem? Bogatyż on w końcu czy biedny? Byli bogaci i rządili, wyrznięto, wygnano bogatych. Zabrano im bogactwo. Dlaczegoż nie stał się on, i wszyscy, bogatszy, dlaczego nic się nie zmieniło w tej robocie, poza podniesieniem mu płacy o pesetę — i podrożeniem cen w sklepie?

I istotnie, nic się nie zmieniło. Przez ręce tego chłopca przeciekało nadal nieustannym strumieniem bogactwo ziemi hiszpańskiej, jego bogactwo. On sam, swoimi rękami, jako bezużyteczny dla niego gruz ładował na cudze statki rzecz, która w ręku innych przemieniała się w kosztowne części maszyn, w ołów pocisków, w kruszec kas bankowych, w pokrycie obiegu banknotów. On sam ścinał i wywoził bezużyteczne dlań ziele, które stawało się gdzie indziej surowcem wielkiego przemysłu. Pod jego dosłownie stopami było wszystko, z czego mógł powstać nowoczesny, potężny przemysł. Wokoło niego było bezrobocie i nędza wegetacji. Ludzie, szukając z niej wyjścia — mordowali się i walczyli. Szukając z niej wyjścia — wystrzelali jeńców z *Guardia Civil*, postawili biały statek-więzienie u wylotu portu. Szukając z niej wyjścia — zapełniali co świtu nową kołobazą straconych dół egzekucyjny, zalewany wapnem. Był więc przedsięwzięty wysiłek olbrzymi, ciężki i kosztowny. Ale mimo to nie zmieniło się nic. Obce okręty, okręty bogatych, dobrze zorganizowanych krajów, wypompowywały, jak za monarchii i jak za republiki mieszczańskiej, treść tej ziemi. Chłop, zjeżdżając po zwózce, śmigał tak samo biczyskiem po wyliniałych kłębach osiołków. Nie był on wtedy podobny ani do Maurów, którzy pozostawili swoje ślady na szlakach Iznalloz, ani do *conquistadorów*²⁶⁴ kastylskich, którzy tych Maurów wygnali, ani nawet do Murzynów afrykańskich, których przypominały szuwarowe lepianki nad morzem. A przecież przypominał kogoś dobrze znanego z kronik początku nowych wieków: przypominał tych królików karaibskich półnagich a dumnych, strojnych w pióra i bosonogich, którzy w zamian za szklane świecidełka płacili marynarzom Krzysztofa Kolumba sztabami szczerego złota. W takich chwilach przychodziło mi na myśl, że jest tragiczna Nemezis²⁶⁵ dziejowa, która rasie pierwszych kolonizatorów, dziedzicom *conquistadorskiego* wyzysku, każe po wiekach stać się ciemnymi jak tamci, wyzyskiwanymi jak tamci. Biały statek-więzienie kołysał się dalej w porcie, nędzni chłopcy i barki rybackie czerwieniały rewolucyjnym znakiem. I mimo tego statku, mimo tych flag, mimo dołu egzekucji masowych nie można było w żaden sposób o takiej godzinie, w centrum czerwonej Hiszpanii, pod bokiem Malagi²⁶⁶, tej krwawej Odessy nowego pożaru, uwierzyć i uświadomić sobie, że ten kraj naprawdę przeżywa, naprawdę przechodzi swoją wielką, potrzebną, rewolucję.

²⁶⁴*conquistador* (hiszp.), pol.: *konkwistador* — zdobywca; najczęściej odnoszone do hiszpańskich zdobywców Ameryki Południowej i Środkowej. [przypis edytorski]

²⁶⁵*Nemezis* (mit. gr.) — bogini zemsty, przeznaczenia i sprawiedliwości świata. [przypis edytorski]

²⁶⁶*Malaga* — miasto w południowej Hiszpanii; na początku hiszpańskiej wojny domowej port Malagi był bazą republikańskiej marynarki wojennej, blokującej nacjonalistyczne hiszpańskie Maroko; w lutym 1937 miasto zostało obleżone i zaatakowane z lądu, morza i powietrza przez wojska nacjonalistów, ekspedycyjny korpus faszystów włoskich i zbombardowane przez włoską i niemiecką marynarkę wojenną i lotnictwo; dziesiątki tysięcy cywilów, głównie starców, kobiet i dzieci, usiłowało uciec z miasta drogą wzdłuż wybrzeża do Almerii (201 km); w masakrze dokonanej 8 lutego przez frankistowskie lotnictwo, okręty, czołgi i artylerię zginęło ok. 5000 uciekających, republikańskie lotnictwo nie było w stanie powstrzymać ataków; osoby, które odmówiły ewakuacji z Malagi (ok. 4000 osób), były przez nacjonalistów systematycznie łapane, gwałcone i zabijane. [przypis edytorski]

WALKA O MADRYT

W PRZEDEDNIACH

Siedmusetkilometrową drogę powrotną odbyliśmy autem w ciągu jednego dnia, wyjechawszy o piątej rano z Almerii, przybywszy wieczorem do Madrytu. Lokalny Front Ludowy dał nam auto, przepustki i eskortę. Jechaliśmy na Murcję i Albacete: tu formowały się pierwsze oddziały regularne ochotników cudzoziemskich i powiedziano nam, że wśród tych ostatnich znajdują się Polacy. Ale trzeba było śpieszyć dalej, żeby zdążyć przed nocą do Madrytu. Niepokój wyczuwano wszędzie. Zbliżały się dni rozstrzygnięć. Armia gen. Franco szła z Toledo niewstrzymanym pochodem. Po naszej stronie objął władzę „hiszpański Lenin” Largo Caballero, w Madrycie zaprowadzono stan oblężenia. Mówiono nam o głodzie i nakupiliśmy po drodze, co było można. O zmierzchu przejechaliśmy przez królewskie ogrody Aranjuezu. Wojsko koczowało wzdłuż drogi i czerwone ognie od kuchni żołnierskich opętały marmur barokowych bogiń i herby burbońskie bram. Minęliśmy karawanę armat i rząd ciężkich samochodów towarowych. Zza wierzb przydrożnych wyskakiwały warty i trzeba było uważać, by nie minąć ich bez zatrzymania. Bliskość frontu i popłoch czuło się wyraźnie. Nasi milicjanci zaproponowali nam z lekką, że wsadzą nas na jakieś inne auto jadące do Madrytu, a sami wrócą. Ale przepustka opiewała, że na powrót musi być wizowana w ministerstwie wojny, chcąc nie chcąc, musieli więc jechać. Zdrzemnęliśmy się w wozie, obudziły nas wołania i jakiś płynący przez szyby mdły, ciepły i słodkawy fetor. U rogatek warty sprawdzały przepustki. Przed nami przesunęło się parę limuzyn: przewodniczący Korteżów, Martinez Barrio, wracał właśnie z objazdu frontu. Fetor dolatywał od cmentarza odległego zresztą o prawie pół kilometra. To spalano ciała rozstrzelanych.

Madryt był zmieniony w ciągu tych trzech tygodni. Na ulicy legitymowali mnie wieczorem, parokrotnie, tajniacy. W nocy pokoje mego hoteliku obesza nagła rewizja. Słyszało się z daleka, jak pukali do pokoju, jak wchodzili gromadnie, potem głośnie zapytanie: „*La documentación?*”, potem odgłosy rozmów, pytań, zaprzeczeń, dochodzące już chaotycznie, zgłuszenie. W pokoju obok mnie ktoś, oczekując swej kolejki, szurał jakimiś papierami czy szmatami, może je darł, może chował. Czynił to głupio, bo słyhać było wszystko, niemal oddechy za ścianą. Po dłuższej, dłuższej chwili drzwi się zamykały, kroki zaczynały stukać po korytarzu. Zatrzymywały się znowu przed jakimiś drzwiami. Na pukanie odpowiadał jakiś zdyszany, niby to zdziwiony głos, ale czuło się, że dobrze już wie, o co chodzi. Zdziwienie należało do konwenansu. Siedem razy usłyszałem: „*La documentación?*”. Czekałem mojej kolejki. Otóż moja kolejka nie przysłała jakoś wcale. Miałem papiery w porządku, wyrwany nagle ze snu, bronilibym się spokojnie, ale teraz takie długie czekanie, przerywane co kilka, kilkanaście minut owym „*La documentación?*” osłabiło nerwy. Leżałem jeszcze długo przed zaśnięciem na nowo. Już wołałem, żeby przyszli szybciej. Wiedziałem, co znaczą te rewizje. Oto generał Queipo de Llano, który wstawił się swymi przemówieniami przez radio, pochwelił się pewnego wieczoru informacją, że poza czterema kolumnami wojsk idących na Madryt, w samym mieście ukryta jest po domach jedna jeszcze, piąta kolumna, która w odpowiednim momencie wypadnie na tyły czerwonych. Podejrzliwości tłumu nie trzeba było aż tak bardzo podsycać. Słowa o *quinta columna* stały się sławne. Zdwojono czujność, wzmożono aresztowania i sumaryczne, masowe wyroki. Można śmiało powiedzieć, że rozstrzeliwano wtedy każdego, kogo posądzano o jakiejkolwiek prawicowe znajomości. Kto był młody i siedział w Madrycie. Dozorcy domów otrzymali szczególne zlecenia inwigilacji. Zbliżający się huk armat, dolatujący przez ciszę nocną trzask karabinów maszynowych, zdawał terror. Moc młodych ludzi zaciągnęło się wówczas do milicji, poszło na front w nadziei przedarcia się do tamtych, a uniknięcia w Madrycie śmierci. Pojechaliśmy kilka razy na linię. Pozycje oglądane przez nas przed trzema tygodniami w Guadarramie były już w rękę faszystów. Kolumna Mangady wycofała się na wzgórze Santa Maria de Alameda, wznoszące się zupełnie stromo nad opuszczonej doliną. Navas del Marques, Navalperal, gdzieśmy pierwszy raz byli na linii bojowej, San Martin i sztuczne jezioro — wszystko było utracone. W Illescas, w połowie drogi Madryt-Toledo byli już powstańcy. Szoferzy

Wróg, Zdrada

ministerstwa byli tak tchórzliwi, że stawali z autem daleko w tyle i trzeba było iść parę kilometrów, żeby dojść do jakichś pozycji. Ale teraz walka była naprawdę ostra. Przed Illescas osypano nas idących z żołnierzami, prawdziwym gradem kul, szczęściem ze zbyt znacznej odległości, żeby mierzyć celnie. Zarywały się w zorany polu małymi obłoczkami kurzawy lub świstały w powietrzu. Żeby dojść do okopów, musieliśmy przejść pole zasypane parę dni przedtem pociskami armatnimi. Co kilkadziesiąt kroków były duże leje od wybuchów. Wiele pocisków nie wybuchło wcale. Leżały groźne, połyskujące świeżym metalem. Żołnierze na linii witali nas przyjaźnie, ale nie kryli swego rozgoryczenia. Gazety piszą, że lotnictwo rządowe odnosi zwycięstwo za zwycięstwem, a gdzież je widać na froncie? Posyłają nam te gazety, ale ciepłego jedzenia tośmy już od dwóch dni nie mieli: kuchnie polowe zbyt się szanują, żeby podjeżdżać w teren obstrzału. Jeśli sanitarny ambulans szkocki, ochotniczej pomocy, nie podjedzie wziąć naszych rannych, to darmo czekać na nasze. Ambulans szkocki istotnie podjeżdżał na pierwsze linie. Młodzi, wysocy drągale, najtypowisi nordycy szli z fajeczką w zębach, podnosili rannego, tłumaczyli mu dobrodusznie, że nic mu właściwie nie jest i pakowali na wóz. Odcinali się wyraźnie od rozgadanych, patetyzujących, wylewnych Hiszpanów. Byli pierwszymi cudzoziemcami na froncie.

Za to w wielkim hotelu madryckim na Gran Via odbywało się codziennie inne zbiegowisko narodów. W książkach opisujących spotkania przedstawicieli różnych nacji zwykło się czynić z opisywanych rodzaj ludzkich karykatur, o przesadnie uwydatnionych cechach etnicznych. Opis zbiegowiska dziennikarzy zagranicznych, jakie w końcu października koczowało w kawiarni Gran Via, trudno by przesadzić. Można go tylko nie dociągnąć. Pojawiły się jakieś typy nieprawdopodobnej wieży Babel. Było najpierw paru olbrzymich, tykawatych Amerykanów, patrzących z góry i spoza olbrzymich okularów i bełkoczących ustawicznie „belo!, belo!”. Był złotorudy Angliczek ubrany ze starannością, która wśród tych kurtek i swetrów czyniła archaiczne wrażenie: brakowało mu tylko kapelusza khaki, żeby być *boy scoutem*²⁶⁷ i kraciastej spódniczki, żeby występować w szkockim balecie. Był gruby Amerykanin, przedstawiciel Hearsta²⁶⁸, którego interesowała jedna rzecz: możliwie dokładna cyfra codziennych trupów. Pisma Hearsta waliły w rząd madrycki najstraszniejszymi opowieściami, toteż gruby Amerykanin nie był w łaskach u władz. Byli Francuzi, którzy jako cel przybycia zadeklarowali ochotę opracowania, jak się odbędzie wjazd generała Franco, a tymczasem wyszukiwali w mieście ostatnie pozostałe tu dziewczynki i opowiadali wieczorem o swych wyczynach w domach publicznych. Było dwóch młodych Niemców emigrantów, wyglądających na chłopców z dobrego domu, nierozdzielnych, zawsze razem, pracujących jako fotoreporterzy „Vu”²⁶⁹. Była wysoka, ociężała Szwedka: chodziła w granatowych spodniach milicjanta i flirtowała z tłumaczem Ilji Erenburga²⁷⁰, młodym Żydem gdańskim. Był Ilja Erenburg i Michał Kolcow²⁷¹, obaj Żydzi odescy. Trzymali się dość osobno, byli bardzo ważni, wyróżniano ich też bardzo. Była wreszcie przyjaciółka panny Jeziorańskiej, popularnie zwana grubą Ilzą. (Były bowiem dwie Ilzy, choć, co prawda, obie dość okazałych średnic). Ilza gruba była energiczną, pękatą osobką, uciekinierką niemiecką — raz jako socjalistka, raz jako Żydówka — żywą, zaradną, powierzchowną, przebojową. Po Hitlerze osiadła w Madrycie i stała się korespondentką norwesko-duńsko-szwedzko-austriacko-czeską. Właśnie sięgała po zapomnianych w tej Paneuropie Flamandów²⁷², gdy natrętnie władze Gil-Roblesa odkryły, że aby dostać obywatelstwo hiszpańskie wzięła ślub z jakimś madryckim żebrakiem. Po-

²⁶⁷*boy scout* (ang.) — chłopiec-skaut, członek młodzieżowej organizacji skautowej, zapoczątkowanej przez Roberta Baden-Powella w Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

²⁶⁸*Hearst, William Randolph* (1863–1951) — amerykański magnat prasowy, jeden z największych w historii prasy: w szczytowym okresie swojej potęgi posiadał 20 gazet codziennych, 13 magazynów, dwie wytwórnie filmowe, 8 rozgłośni radiowych oraz liczne posiadłości ziemskie. [przypis edytorski]

²⁶⁹„Vu” — francuski tygodnik ilustrowany, wyd. 1928–1940; prekursor i propagator fotoreportażu. [przypis edytorski]

²⁷⁰*Erenburg, Ilja Grigorjewicz* (1891–1967) — rosyjski pisarz żydowskiego pochodzenia, publicysta, poeta; w latach 1936–1939 korespondent wojenny w Hiszpanii. [przypis edytorski]

²⁷¹*Kolcow, Michaił Jefimowicz* (1898–1940) — rosyjski publicysta, dziennikarz i pisarz; w czasie wojny domowej w Hiszpanii był korespondentem dziennika „Prawda”, zredagował cykl reportaży pt. *Dziennik hiszpański*. [przypis edytorski]

²⁷²*Flamandowie* — ludność zamieszkująca głównie belgijską część szeroko rozumianej Flandrii, mówiąca językiem niderlandzkim oraz jego odmianą określaną jako język flamandzki. [przypis edytorski]

nieważ zbyt czynnie manifestowała swój socjalizm, dostała się jeszcze do więzienia, skąd wyzwoliły ją dopiero wybory Frontu Ludowego. Ilza wyszła bohatercko z Carcel Modelo²⁷³ i wstąpiła do komunistycznego „Mundo Obrero”, ale wylano ją stamtąd w dniu zamordowania Calva Sotelo. Dlaczego wylano Ilzę, nikt nie wiedział dokładnie. Ona sama twierdziła, że komunistyczna redakcja nie mogła znieść socjalistki i że wylewając ją, łamano pakt proletariackiej jedności walki, sceptycy utrzymywali, że nadojadła²⁷⁴ intrygami. Ostatecznie w twierdzenie Ilzy uwierzyli jedynie trockiści, wszyscy inni cenili ją raczej za jej żywość, rzutkość niez mordowaną i humor. Ilza wiedziała, że nie pobije nikogo głębią swej myśli: walczyła tempem produkcji. Istotnie, do października zdążyła już napisać dla wydawnictw norwesko-flamandzkich wielkie studium o rewolucji hiszpańskiej i właśnie zabierała się do nowej książki. Mam nadzieję, że do końca wojny dorobi się dziesięciu tomów prawdziwie seryjnej produkcji.

Narodów było dużo, w tym Żydów najwięcej. Przedstawiciel Czechosłowacji nazywał się Vratislav Süßman, przedstawiciel Rumunii był z Kiszyniewa. Wśród Amerykanów znajdował się jeden zwłaszcza, chłopak o miłym, szczerym uśmiechu. Miał jeszcze więcej humoru od reszty swych rodaków, więcej beztroski, więcej także rzetelnej obserwacji pod pozorami zupełnej prostoty. Pisał do codziennego pisma komunistycznego w Stanach „Daily Worker”, był dobrze odczytany w marksizmie, choć nie uważał tej doktryny za omegę myśli ludzkiej. Nazywał się Greenspen. Nie umiem zupełnie rozróżnić Żydów od nie-Żydów. Brak tego daru niebios, tak hojnie użyzonego mym rodakom, nie jest jednak zbyt dotkliwym kalectwem. Niemniej ze zdziwieniem dowiedziałem się od Greenspena, że jest Żydem. Swoim sposobem bycia, prostym, naturalnym, niepodważającym nikogo, pewny swego, przypominał mi nie tylko innych Amerykanów, ale i chyba jednych tylko Żydów — chaluców²⁷⁵ palestyńskich. Takich Żydów nie ma ani w ZSRR, ani w Polsce, ani w Niemczech. Widać, że tacy właśnie są w Ameryce. Mały Greenspen był prawie moim współpowietnikiem. Jego ojciec pochodził z Kiszyniowa, matka z „innego miasta w Besarabii²⁷⁶”, którego nie mógł sobie dobrze przypomnieć. Greenspen wiedział, że w tym mieście jest cudowna Matka Boska, ale nie prawosławna, tylko polska. Mówiła mu to matka. Urodził się w Stanach. Potem okazało się że „inne miasto w Besarabii” było po prostu Berdyczowem. Teraz ja mówiłem Greenspenowi o Berdyczowie jego matki. Cieszyłem się, że syn pachciarza²⁷⁷ nie wyniósł stamtąd jakiej gorzkiej, świat mu jątrzącej, zawiści, niewyraźnych uprzedzeń, niedoleczonych uraz, podziwiałem wielkość amerykańskiej szkoły ludzkiej, że tamto wszystko, co u nas wloką za sobą synowie fornali²⁷⁸ i wnukowie ekonomów wygląda najistotniejszymi z wartości demokracji. Często wieczorami odprowadzaliśmy się po pustym i ciemnym mieście. Bano się zapalać światła, wobec możliwości nocnych nalotów. Greenspen mieszkał w gmachu ambasady Stanów Zjednoczonych. Był Amerykaninem w pierwszym pokoleniu, nieanglosaskiego pochodzenia, współpracownikiem komunistycznego pisma, które właśnie krytykowało ostro politykę Roosevelta. Ambasada Stanów Zjednoczonych ułatwiła mu wszystko, aż do żywności, aż do mieszkania, aż do drobiazgów. Gdy nie miał auta, attaché wojskowy jeździł z nim swoim na front. Ambasada Stanów Zjednoczonych rozumiała, że jest publicystą służącym szerokiej opinii jej kraju. Uważała, że ułatwiając mu pracę, spełnia swój prosty obowiązek.

*

Raz wracając z frontu za Getafe, jedliśmy obiad w małej restauracji, gdzie stołowało się dużo dawnej lewicowej cyganerii, która teraz zrobiła karierę. W pewnym momen-

Idealista, Kobieta,
Rewolucja

²⁷³Carcel Modelo (hiszp.: więzienie modelowe) — główne więzienie w Madrycie na przełomie XIX i XX w., zamknięte i zburzone w 1939, po tym, jak zostało uszkodzone podczas hiszpańskiej wojny domowej. [przypis edytorski]

²⁷⁴nadojęść (reg. wsch.) — dokuczyć; obrzydnąć. [przypis edytorski]

²⁷⁵chaluc — żydowski osadnik w Palestynie; członek He-Chaluc, ruchu syjonistycznego, który przygotowywał członków społeczności żydowskiej do osadnictwa w Palestynie. [przypis edytorski]

²⁷⁶Besarabia — kraina historyczna między rzekami Dniestrem a Prutem, obecnie pogranicze Moldawii i Ukrainy. [przypis edytorski]

²⁷⁷pachciarz (daw.) — dzierżawca, osoba dzierżawiąca coś od kogoś (np. karczmę); w dawnej Polsce funkcję taką sprawowali zazwyczaj Żydzi. [przypis edytorski]

²⁷⁸fornal — robotnik rolny w folwarku, zwłaszcza obsługujący konie robocze. [przypis edytorski]

cie weszła para wysoka i szczupła. Miejsca były zajęte, tak że musieli stać przez chwilę. Panna Jeziorańska poinformowała mnie, że jest to młody redaktor z „Claridadu”, organu Largo Caballero, z żoną Polką, komuniści. Miałem przed sobą jedną z takich intelektualnych, ale pracujących, młodych par komunistycznych, żyjących w biedzie, ale kupujących książki, wierzących w materializm dziejowy, ale nietroszczących się o obiad. Ci na pewno nie kompletowali sobie na froncie zbiorów starej broni. Po chwili gdyśmy mieli wychodzić, młody człowiek podszedł do mnie i spytał łamaną polszczyzną, czy jestem z Polski. Że żona zauważyła mnie z Polką i że mówię po polsku. Przedstawiłem się. Okazało się niespodzianie, że czytała moje artykuły palestyńskie w „Słowie” i o Łodzi i Częstochowie w „Wiadomościach Literackich”; знаła mnie jako prawnicowca. Nie zdziwiła się na moment nawet, że spotyka mnie w czerwonym Madrycie. Umówiliśmy się na wieczór w kawiarni. Ponieważ nie będę niczego ukrywał, powiem, że nie zdziwiłbym się bardzo, gdyby w ślad za nią zjawiała się po mnie bojówka czerwonej milicji. Niech to pójdzie na plus madryckiej dyktatury proletariatu i tej polskiej komunistki, że nie stało się to, co w podobnej sytuacji miałyby na pewno miejsce w Rosji, a zapewne i w Polsce, gdyby u nas był komunizm. Miałem znowu przed sobą tylko bladą, trochę nikłą studentkę, prócz może akcentu bardzo lwowską. Istotnie pochodziła ze Lwowa. Poza tym pochodziła jeszcze, jak to dość bezceremonialnie pośpieszyła oznajmić, „z Żydów”. Pochodzenie jest dla mnie rzeczą, która nie wystarcza na to by kogoś samo przez się wywindować na szczyty doskonałości (nawet tak dziś modne „pochodzenie proletariackie”) ani strącić w otchłań wszelkiej niecnoty. Przynosząc z sobą pewną sumę i dobrych, i złych cech, może ułatwić poznanie. W danym wypadku, jak w wielu innych zresztą, i to nawet nie zachodziło. Złe czy dobre, żydostwo Stefy R... było niezmiernie dalekie. Nie uwydatniało się nawet w rysach. Powiem, że były bardzo lwowskie. Miała dużą żywość umysłu, dużą ruchliwość myśli, miłe poczucie humoru, nieopuszczającą ją nawet wobec Marksa i trybunów ludu, dobre serce. Później dowiedziałem się, że w swym skromnym zakresie starała się zrobić wiele, aby „La traca”, ohydne pisemko walczące z religią przy pomocy najtłustszej pornografii, wycofać nareszcie z obiegu. Ale i teraz nie tała wcale, że stało się i dzieje wiele rzeczy, które są plamą, a mogą być przeszkodą. Widać, że było to dla niej głęboko przykre, i ta przykreść właśnie, to nieuciekanie się do żadnych usprawiedliwień, umniejszań, wykrętów, było szczególnie pociągające. Śpieszyła się właśnie do radia, poszedłem z nią. Przemykaliśmy się wąskimi ulicami śródmieścia, padał deszcz, miała dość tuzinkowy paltocik i idąc tak ze swym rękopisem podmakającym w kieszeni, mówiła mi jeszcze, że to, co tu zrobią po wojnie, gdy jej idea zwycięży, będzie inne, lepsze, nowsze niż to, co w Rosji, że oni się gorąco przyłożą do tego, żeby uniknąć błędów, jakie zrobili tamci. — Zobacz pan, zobaczy. Niech pan wtedy przyjedzie i zechce na to patrzeć tak, jak pan patrzył na Palestynę, otwarcie. — Nie wiem, czy to właśnie zobaczę kiedyś w Hiszpanii, jeśli kiedy będę w Hiszpanii. Ale wiedziałem, że taka przyszłość, jaką ją widzi w swej myśli ta dziewczyna, nie jest mniej prosta, jasna i dobra od najczystszych wzlotów chrześcijaństwa.

PAŹDZIERNIK

Leżę w rowie, szerokim i bardzo płytkim, tak że głowę trzeba wtulić pyskiem w kamienie, a o włosy czepiają się zeschnię bodiaki ostów. Jesień jest tu za Parlo²⁷⁹ taka sama jak gdzieś w Polsce: niebo jasne, a w polu same rżyska. Na bodiaku nad głową omotały się białe nitki „babiego lata”. Tu ludzie wytłukują się z karabinów maszynowych, a ono się rozwiesza jak zawsze. Kto by pomyślał, za Parlo... Jak to się nazywa w Hiszpanii „babie lato”?...

— Pedro?...

Milicjant mruknął i nie drgnął. Ale przekrzywił głowę i patrzy jednym okiem. Pokazuję nad głowę, na babie lato.

— *Como se llama esto?*²⁸⁰

— To w górze? *Caproni!* Leżeć, nie ruszać się!

— Leżeć, nie ruszać się — wołają z rowu. — Leżeć do chol...

²⁷⁹ Parlo — miasto w Hiszpanii, ok. 20 km na pld. od Madrytu. [przypis edytorski]

²⁸⁰ *Como se llama esto?* (hiszp.) — Jak to się nazywa? [przypis edytorski]

Klną dużo gorzej. Nie dowiem się już nigdy, jak jest po hiszpańsku babie lato. Za to wiem, że wielka czarna ważka jest *Caproni*. Wielka ważka przyleciała z Włoch. To ona dyszy metalicznym warkotem, który nam kazał zbiec w pole, wykryć tę szczelinę, przywarować. Niebo jest przejrzyste, w polu zebrano, i babie lato się rozwiesza. Gdybym podniósł głowę na lewo, zobaczyłbym Madryt, wielkie bloki, drapacze nieba, wystrzelające z płowego pola na tle tamtej sieniej Guadarramy... Guadarrama. Wczoraj znowu byłem tam z Bobem Papworthem. Pracuje dla Agencji Reuter. Szoferzy nie chcieli jechać dalej niż Santa Maria de Alameda, gdzie jest sztab Mangady. Zostawiliśmy ich i poszliśmy pieszo. Chcieliśmy skrócić drogę. Poszliśmy przez wysoki połoninowaty upłaz²⁸¹. Wysokość Kasprowego, ale mniej strome. Jak się nazywała tamta wieś z pozycjami? Peregrino? Pelegrino? Więcemy²⁸² szli do tego zupełną pustką, schodząc z góry. To ja zobaczyłem je pierwszy. Upadłem pierwszy. Upadłem na ziemię zaraz, krzyknąłem i podczołgałem się pod kosówkę²⁸³. Gdybyż jeszcze kosówka hiszpańska była taka bujna, szeroka, jak nasza! Trzeba było się dobrze kurczyć. A oto znad szczytu upłazu, na wprost nas, tak nisko, jak się czasem spuszczają nad pole, wypadły dwa, trzy olbrzymie ciężkie samoloty. Widać było wszystko. Bob twierdzi, że widział pilotów, ja nie pamiętam. Wielkie ptaki przeleciały nad nami i z hukiem zakręciły. Były tak nisko, że karabin maszynowy ustawiony na upłazie pozmiatałby je chyba. Ale go nie było. Wielkie ptaki poszybowały tu i tam, spenetrowały teren. Czy nas widziały tulących się między kamienie, czy wzgardziły nami? Po chwili spadły nad Pelegrino. Widzieliśmy z góry, jak wieś zamarała, skupiła się, jak żołnierze — cywilnych już tu nie było — rozbiegli się za opłotki. Jeden słup dymu. Drugi. Detonacja. I z daleka — bo Peregrino było jeszcze dość daleko — nikle, zajądło ujadanie: karabiny maszynowe. Czy to wieś odwróciła swe cekaemy w niebo i odgania ptaki wojenne, czy to one ściągają owe mrówki skaczące po bruzdach, w granatowych, dobrze widnych²⁸⁴ „mono”? Nowe detonacje. Nowe wysokie, ciężkie od wyrzuconej ziemi, słupy bijące pod niebo. Myśmy wyleźli zza kosówek i oparci o kamienną miedzę, rozgraniczającą półka pastwisk, patrzymy. Jesteśmy sami w pustych górach. Są płowe, wielkie falowizny Guadarramy, jest za zboczem Santa Maria de Alameda, będzie za tym schyłkiem dolina i Navas del Marque, i „tamci”. Jak na dłoni widzimy nalot bojowy najnowszej wojny. —

*

Film wczorajszy, rolka wrażeń dziś dopiero wywołana, przesuwa się w głowie, gdy tak leżę. Czy myślałem kiedy, że można myśleć tak oderwanie mając pięć — nie, tylko cztery — samoloty myszkujące nad głową? Z głową w bruzdzie rowu? Jeszcze mnie zeklną, ile razy nią poruszę. Ile to ostrzeliwań, czy przynajmniej nagłych „kryj się” przed takimi nalotami mam już w mojej służbie dziennikarskiej? Liczę je sobie: dochodzi do sześciu. To w ciągu czterech wyjazdów na front podmadrycki. Wielkie czarne ważki, *Caproni*, drżą metalicznie w powietrzu. Czasami wydałoby się, że to lokomobila huczy na sąsiednim toku. Chce się wyrzeć ponad tą nudną dziurę, spojrzeć na ów tok. Tymczasem *Caproni* zatacza łuk, zniża, zniża, zniża. (Swoją drogą, jaki on piękny ze swymi prostymi, równymi liniami; teraz jeszcze taki wyraźny!) Wiemy, po co dołuje. Przez warkot motorów zaczyna się przebijać stukot karabinu maszynowego, którym zmiata pole w ostrych rzutach. Nas czy nie nas? Dowiemy się dopiero później. Dlaczego mogę o tym tak wolno, tak spokojnie myśleć? Czy dlatego, że te strzały, gdy jesteśmy w ukryciu, rozsypiani, gdy na pierwszy daleki warkot pokładaliśmy się po rowie, słabo odznaczającym się w tym sfalowanym gruncie, są bardzo mało niebezpieczne? Czy dlatego, że wiemy, iż taki samolot sprawia przede wszystkim efekt moralny na żołnierzu, dużo większy od efektu strzałów puszczonego z dużej wysokości, w szybkim locie i na mało widoczny cel? Nie wiem. Ale istotnie, człowiek się jakoś odrywa. Może to być naprawdę koniec: najryzykowniejsza wyprawa na front kończy się świetnie, najgłupsza, poważnie. Jest jakiś Los,

Los, Wojna

²⁸¹ upłaz — stosunkowo płaski stok górski, często porośnięty trawą, oddzielający zbocza o znacznie większym nachyleniu. [przypis edytorski]

²⁸² Więcemy szli — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: więc szliśmy. [przypis edytorski]

²⁸³ kosówka — kosodrzewina, gatunek sosny karłowatej, rosnącej na terenach górskich. [przypis edytorski]

²⁸⁴ widny (daw.) — widoczny. [przypis edytorski]

jakiś Przypadek, który rządzi Wielką Przygodą frontu. Za dwa dni minę na skrócie drogi do Aranjuezu szkielet spalonego zupełnie auta: to trzy godziny przed nami dostał się pod ogień takich samych *Capronich* rozwoziciel gazet na fronty. Nie wysiadł na czas. Jego zwłoki, zwęglone od wybuchu benzyny w motorze, pokłute kulami, odciągnięto na bok, plik niedopalonych „Claridadów” pachnął²⁸⁵ jeszcze poranną farbą drukarską. To tylko traf, że nasza droga na tej szosie nie skrzyżowała się z szlakiem wywiadowczym samolotu. Ale to wystarczało. Traf na froncie to koincydencja Miejsca i Czasu. Te kule przed Illescas, gdyśmy szli na linie odkryte polem, kule, które zarywały się w bruzdy, mogły przecież i w nas trafić. Padają w miejscu, na którym byliśmy pół minuty, ćwierć minuty temu, na którym znaleźliśmy się, nim jeszcze opadł mały wyrzut ziemi. To tylko traf, ale teraz widzimy wielką potęgę trafu. Wiem też, że są miejsca, gdzie ten traf gęstnieje. To miejsca wielkiego ognia, prawdziwej bitwy. Ale bitwa to śmiesznie przestarzałe pojęcie. Czasem jeszcze są bitwy i tutaj. Najczęściej jest długa linia okopów i po drugiej stronie druga długa linia. Czasem na jednym odcinku zagęszcza się ogień karabinowy, wykrusza się nim przeciwnika, gnie się jego oporność moralną, niszczy wypoczynek. Potem rzuca się w to miejsce większe siły i wtedy to jest atak. Powiedzie się lub zawiedzie, linia bojowa wygnie się, złamie lub zostanie ta sama. Krok po kroku zdobywa się ziemię, wzgórze po wzgórze bierze się Hiszpanię. Myślę teraz, z głową przy ziemi, unieruchomiony nudnie, o tym, kto mi to wyjaśniał tak uproszczenie. To był ten, w Peregrino. Tak. Cobos Sanchez...

— *Oiga!*

Oiga to znaczy „słuchaj” po hiszpańsku. To do drugiego milicjanta, którego lekkie obuwie, ze sznurowaną, zabawną podeszwą, wjeżdża tuż przed moim nosem w krzak chwastów, ten z babim latem, owiniętym o badył. Jest mniej przezorny od Pedra. Ale on również kładzie się właśnie jeszcze płasciej o ziemię. Samoloty znowu są nad głowami. Odwracam się na wznak i patrzę; czego one tu ciągle krążą? Znowu widać Guadarramę, sine góry... Dziwnie monotonna myśl się na takim niemądrym „froncie”. Ostrzela czy nie ostrzela naszego auta na drodze? Stąd nie dojrzę, bo dobry kawał. Szoferzy nie lubią teraz, gdy front zmienia się ciągle, przejeżdżać zbyt blisko. A tamto o froncie opowiadał mi Cobos Sanchez... Tak...

I naraz myślę, że „tamto” było dużo, dużo poważniejsze od tych *Caproni* myszolów nad głową. O, niezawodnie poważniejsze. Cobos Sanchez, Cobos Sanchez — myślę długo i boleśnie. Samolot krąży, krąży. Przystaję nań patrzeć w ogóle... Cobos Sanchez... Dlaczego? Jak to się stało, żeś ty?

*

Był to już z wejrzenia najsympatyczniejszy chłopak, jakiego dotąd spotkałem na froncie. Pół-Hiszpan, bo ojciec Francuz z Prowansji, a tylko matka Hiszpanka: po niej ta druga część nazwiska — Sanchez. Ochotnik cudzoziemski poniekąd. Poznałem go właśnie wtedy, w Guadarramie w Peregrino.

Wobec braku piśmiennych w tym bardzo robotniczym oddziale służył za pisarza. Przydzielono go nam do oprowadzenia po pozycjach, jako że ja zaczynałem dopiero mówić po hiszpańsku, a on znał francuski. Tak naturalnie, jak to się dzieje w tej wojnie, byliśmy na ty. Uśmiechał się bardzo jasnym spojrzeniem, mówił o sobie i swoich wesoło i prosto. Jeszcze pięknie mówił o komunizmie, o potrzebie wielkiej przemiany. Poszliśmy na pozycje, ale przedtem siedzieliśmy chwilę w ogrodzie, czekając na obiad pułkowy. Pokazał nam swoje wiersze, które zapewne do literatury nigdy nie przejdą, pokazał fotografię brata, który padł. Mówił o tym tak prosto i jakby łatwo, jak tamten oficer z Montoro. Brat miał piękny staż partyjnej służby i bojowej także. On też, Jose, ma coś za sobą. Na froncie jest już drugi miesiąc, teraz tu się nic nie dzieje wielkiego. Ale przedtem był w Madrycie, w lotnych oddziałach.

— Jak to, rozstrzelowaliście? — spytała panna Jeziorańska. Ja nie spytałem, bo nie wiedziałem, że to właśnie robiły „lotne oddziały”.

Chłopak uśmiechnął się czarującym, najbardziej niewinnym uśmiechem. Powtarzam, że właśnie to mnie uderzyło: uśmiech był niezmaczenie niewinny:

²⁸⁵ pachnął — dziś raczej: pachniał. [przypis edytorski]

— *Mais oui, j'ai fusillé! Et comment!*²⁸⁶ I jeszcze jak! —

Szare oczy mojej towarzyszki rozszerzały się nagle coraz bardziej. Patrzałem i ja na chłopaka, który nie przestał uśmiechać się i tylko zdziwił się.

— No, więc tak, rozstrzeliwałem, co się patrzycie?

Wołano nas do stołu, aleśmy nie poszli. Ocknęło nas dopiero w chwili, gdy Cobos Sanchez podniósł łyżkę do ust i mówił:

— Czegóście wtedy tak nie rozumieli? Rozstrzeliwałem! —

Było to znowuż powiedziane z taką jasną, niezmaconą prostotą, że nasze wielkie racje pomieszały się jakoś, zaniemówiły. Panna Jeziorańska wydobyla wreszcie jakieś niezgrabne zdanie:

— Za dużo zabijano. Bez sądu. Nie trzeba zabijać.

— Bez sądu? — śmiał się jasno Cobos Sanchez. — Czemu nie jecie? Jedzcie. W Madrycie już tak dobrze nie dostaniecie jak w komendzie. — A pewno że bez sądu! Jeszcze by ich wypuścili, wykpiłiby się. Tylko bez sądu! Co by to była za rewolucja, gdyby miała nie zabijać. Bez tego nic byśmy nie zrobili. To trzeba, żeby wszystko zmienić...

Myśmy gubili się zupełnie w tych słowach, którym towarzyszył najspokojniejszy, prawie chłopięcy uśmiech:

— Co zmienić?

Nie rozumieliśmy się już zupełnie.

— Co zmienić? — pytał Cobos Sanchez. — Jak to, co zmienić? Ustrój zmienić. Żeby było dobrze na świecie, żeby było lepiej. Jasne, no?

Nie było nic jasne.

— Jakże można zabijać, zabijać — mówiła, patrząc na chłopca moja towarzyszka. — Ile macie lat, towarzyszu?

— Dziewiętnaście niedługo skończę — pił wolno Cobos. I myśmy jeść zaczęli, powoli, myśląc o czym innym. — Jestem w młodzieży komunistycznej od dwunastego. Mam przeszkolenie, mam staż partyjny. Za dwa lata przejdę do partii.

Wszędzie gdzie indziej tacy sami, mili, jasno patrzący chłopcy cieszą się, że za rok będą już na uniwersytecie. Za rok po maturze. Za rok pójdą do wojska. A Cobos Sanchez nas uspokajał:

— Czekać — mówi — myślicie, że męczyłem. Nigdy. Myśmy zawsze humanitarnie. Zobaczycie. Zajedziemy, taki to a taki to, wedle spisu, bierzemy ze sobą do wozu. Opierał się, no to trzeba było inaczej. Jak szedł po dobroci, to nic mu nie było. Brało się go do wozu. — „Gdzie mnie wieziecie?” — „Nic się nie bój — uspokajaliśmy — nic się nie bój! Jedziemy do aresztu, tam cię zbadają, jeśli nie miałeś broni, wypuszczą”. — „Ale przecież nie znaleźliście u mnie broni!” — Bo też istotnie, tacy mieszczenie nigdy nie mieli broni: po co im w mieście broń? Ale to było tak, żeby uspokoić, żeby się nie rzucał. — „No więc — powiadamy — ładnie, żeś nie miał, ale my nie policja, my nie możemy spisać protokołu z tego, jedziemy do urzędu. Potrwa może pół godziny. Trzy kwadransy najwyżej”. I czy państwo uwierzą, zawsze uspokajały typa te trzy kwadransy? Już się nie rzucał. Dopiero jak zobaczył, że za miasto, zaczynał się niepokoić. „Gdzie mnie wieziecie?” Ale wtedy już się stawało i mówiło: „Wysiądź”. On już niespokojny, wysiadał. Wtedy trach, w tył głowy, z rewolweru. *À bout portant*²⁸⁷, tuż za nim. Ten, co przy nim z lewej strony siedział, już miał brauning²⁸⁸ odbezpieczony w rękawie. Typ dostawał kulę równo w ciemność, nim się zdążył obejrzeć, zakrzyknąć. Oczywiście, że byli tacy, co się znęcali. Różne męty się przyłączyły, czasem pokrzywdzeni odplacali za swoje. Ale my nigdy. To było zupełnie humanitarnie zrobione. —

Chłopak opowiadał nam spokojnie. Zupełnie jak o partii footballu. Zupełnie jak o meczu. Nie drgnął na najmniejszy moment. Na moment nie stracił pięknej, szlachetnej jasności w twarzy. Na moment się nie powstydział. Ale przede mną, przed moją towarzyszką stawały wszystkie opowieści grozy z nocy madryckich. Cała lista zaczęta nazwiskiem porwanego w nocy pod policyjnym pozorem Calva Sotelo. Jakże różnie patrzymy na świat my i ten chłopiec:

²⁸⁶*Mais oui, j'ai fusillé! Et comment!* (fr.) — Ależ tak, rozstrzeliwałem! A jakże! [przypis edytorski]

²⁸⁷*à bout portant* (fr.) — z bliska. [przypis edytorski]

²⁸⁸*brauning* a. *browning* (daw.) — belgijska marka pistoletu, nazwana od amerykańskiego konstruktora broni Johna Mosesa Browninga (1855–1926). [przypis edytorski]

— I zabijaliście kobiety? Kobiety?

A on jakby nieco się stropił. Może że pytała go też kobieta:

— Nie — powiada. — Nam to jakoś się nie trafiło. Inni, owszem, czemużby nie? My, raz jeden, tak zeszło...

— Jak „zeszło”? —

— Ano, mieliśmy brać męża. I wzięliśmy. Rewizja nic. Tak tylko przetrząsało się zawsze na początek. A potem do starego: „Z nami”. Ale on się nie dał. Mówię wam: miarkował. Co prawda, to było już we wrześniu może, a wtedy burzuje nie byli już znowu tacy głupi, wiedzieli, że jak się po nich przyjeżdża autem w nocy, to nie na dancing. No i pewno miał sprawek wiele na sumieniu. Więc nie chciał iść. My siłą i z rewolwerami. On płacze, skamle. A ona dopada. Nie i nie. „Weźcie mnie z nim, weźcie mnie z nim!” My mówimy: „Nie ma rozkazu, mąż wróci tym samym wozem za chwilę. Możecie się nawet nie kłaść z powrotem, obywatelko, i czekać”. Ale ona popatrzyła w oczy i tylko zaraz: „Kłamiecie psy, kłamiecie!” — Psy powiedziała na nas. — My do niej, ale ona woła: „Jak jego macie zabić, to i mnie razem zabijcie!”. My znowu: „Nie ma rozkazu”. I na przedpokój z nim, już na schody. A ona wtedy na tych schodach, cała wściekła: „Zabijcie go, zabijcie, ale pamiętajcie: przyjdzie dzień, że waszą krwią będą kwiaty w ogrodzie podlewać!”. No i co mieliśmy ją tak zostawić? To niech jej tłuste ścierwo się zgnoi! Takich trzeba usuwać. Świat będzie od tego usuwania lepszy, ot. —

Odsunęliśmy wszyscy talerze. Była cisza w jasnym, jesiennym słońcu. Patrzył szczerze, uczciwie i jasno Cobos Sanchez, który zabijał. To, co inni znali przez pryzmat grozy, z relacji rodzin pomordowanych, świadków nocnych porwań z mieszkania, myśmy oglądali teraz przez spokojną opowieść młodego, miłego chłopca. Miły chłopiec. Słów tych proszę nie czytać z ironią. Jestem głęboko przekonany, że dziś jeszcze fotografia tego chłopca mogłaby się śmiać najjaśniejszym uśmiechem młodości z propagandowych fotoreportaży Walencji. Spotkawszy go na ulicy w Polsce, odwrócilibyśmy się za nim, podawszy mu rękę, uśmiechnęlibyśmy się do niego. Opowiadanie nie zmąciło pierwszego wrażenia: podkreśliło je jeszcze. Nie było dla mnie straszne, że tak zabijano. Że zabijano, wiedziałem. Straszne było, że zabijali tacy właśnie, najlepsi, szczerze patrzący chłopcy, nie tylko nie zbrodniarze, nie tylko nie ludzie zwyczajni, ale najpewniej dobrzy, idealisci, najlepsi. Straszne, właściwie najstraszniejsze było to, że istniała siła, która mogła im po tym wszystkim przywrócić tak nieskończenie niezmacony spokój. Prawie niewinność dziecka. Wiekami wysilano się, żeby człowiek był lepszy. Wszystkie moralności zdrenowały pociąg do występku nawet u najgorszych, pociągniętych lub popychanych ku złemu, a teraz mordowanie stawało się naraz tak naturalne i czyste jak dla jakichś najdzikszych plemion głębokiej Azji. Stanęły jakieś olbrzymie śluzy, które podniosły poziom wód, rozlały go szeroko, zatopiły nimi i wyrównały wszystko, a potem wygładziły się same w błękitną, jeziorną roztocz, pogodną jak spojrzenie tego chłopca. Cobos Sanchez wierzył głęboko, że zło na świecie sprowadza się do tego, że istnieje wadliwy ustrój. Zmianienie złego ustroju było dlań równoznaczne ze zwycięstwem dobra na świecie. Cobos Sanchez zmieniał zły ustrój, ale zapomniał o jednym: że tymczasem człowiek, on sam, setki tysięcy i miliony jemu podobnych, stawali się gorsi, sami o tym nieraz nie wiedząc.

*

Nie ma już samolotów. Możemy wracać z naszej polnej drogi ku głównej szosie na Madryt. Bo walka o Madryt toczy się właściwie w ramionach trzech idących od niego szos. Na Talavera, na Toledo i na Aranjeuz. Illescas, Navalcamero, Valdemoro, potem Getafe, Parlo, Pinto — to będą etapy tych dróg, kolejno zdobywane czy tracone. Przy domku dróżnika stoi ambulans szkocki, ten sam widziany przed godziną, gzi się do nas ta sama czarna i pucata milicjantka, witają niedawni znajomi z postoju. Ich także nie ostrzelały samoloty. A jak długo krążyły? Gdzieś pozostało auto — idziemy do auta. Podjedziemy na inny odcinek frontu. Mija Getafe — zajęczymy na obiad w dawnym klasztorze pijarów, lokalu *Frente Popular*. Pijarzy zostali rozstrzelani. Niepodobna dowiedzieć się ilu. Popołudniu objeźdzymy inne pozycje, wieczorem wracamy do domu.

Zło, Przemiana,
Morderstwo, Rewolucja,
Obraz świata, Wina

W kawiarni *rendez-vous*²⁸⁹ dziennikarzy, mówią nam, że *futor*²⁹⁰, gdzieś rano byli, został już zajęty. Uważamy to za plotkę. Byliśmy tam o jedenastej, dwunastej. „No, to zgadza się. Istotnie, o jedenastej, dwunastej pojawił się tam rekonesans lotniczy. O pierwszej w tym kierunku przeprowadzono atak. Linie bojowe były od tego miejsca o cztery kilometry, prawda? Ale opór nie trwał długo”. Nowe wiadomości potwierdzają relację. Wiemy teraz, za czym tak długo myszkował *Caproni*.

*

Otóż tak jest co dzień, co dzień. Nie ma nigdzie wielkich, zaciekłych walk. Jeździmy do pierwszych linii bojowych, ale prawie nie spotykamy rannych. Może przejdę tę wojnę, nie widząc prawie trupów. Przecież zapędzamy się dobrze na czoło. Jak się to dzieje? Po prostu nigdy jeszcze i z jednym może wyjątkiem nigdy w tej całej wojnie nie byłem na terenie zdobytym na nieprzyjaciela. To zawsze odstępowali albo utrzymywali się na swych pozycjach czerwoni. Plac walki zwykle był w ręku białych. Zagarniali go wraz z trupami, jakie uściślały drogę, wraz z rannymi leżącymi na polu. Widzimy kolejno, jak ufortyfikowane, omotane drutami zasieków pozycje przechodzą do nieprzyjaciela. Codziennie kurczy się zasięg naszych wycieczek. Temu trzy dni dotarliśmy pod Illescas. Dziś byliśmy od niego o osiemnaście kilometrów. Mówiło się o nowym odwrocie.

Co sprawia tę systematyczną codzienną klęskę rewolucji? To nie tylko milicjant w polu jest inny, nie umie się bić, nie umie oprzeć się na równinie. To nie tylko przewaga tamtych jest tak znaczna. Liczebnie ona nawet nie istnieje. Technicznie? O czołgach wspominają nam rzadko. Samoloty? Samolotów jest dużo, ale są i działa przeciwlotnicze, i wreszcie jest mała skuteczność tych samolotów. Co innego zbombardowane miasto, wieś, transport na szosie, co innego żołnierze w polu, zyzakowata kreska okopu. Tylko jest coś innego. Oto i my, i wszyscy inni dziennikarze, na wojnie się nieznający, odczuwają przecież zupełną po tej stronie konfuzję²⁹¹, zamieszanie, brak władzy, a jednocześnie od strony „tamtej” idą ku nam za każdym razem pchnięcia celowe, wymierzone, zamierzone. Jest jakiś rozum, jakiś plan i jakaś inicjatywa tamtych posunięć. Nie ma jej tutaj. Wraca się wieczorem przez miasto, auto jest zatrzymane jakimś pochodem, wiece i demonstracje, tłumy ludzi młodych, entuzjazm. Wszystko to kipi w mieście, ale wszystko to stygnie o kilka kilometrów stąd, w polu, w okopie.

A to pole staje się coraz bliższe.

*

Ostatniego z tych długich dziewięciu dni października wyjechałem raz jeszcze z panną Jeziorańską na front. Tym razem nie pojechaliśmy ani na Talavera, gdzie już Navalcamero było w ręku powstańców, ani na Toledo, gdzieśmy już przez dwa dni deptali na miejscu. Pojechaliśmy trzecią, najbardziej wschodnią szosą: Cerra los Angeles — małe Pinto — Valdemoro — Aranjuez. Ale z Valdemoro znowu szoferzy nie chcieli jechać dalej, zasłaniając się zakazami. Podeszliśmy o pozwolenie do kwatery dowódcy głośnego już 5. pułku Listera²⁹². Nadleciały właśnie samoloty. Schroniliśmy się do jednego z domów komendy pełnych żołnierzy. Po kilku słowach naszej rozmowy zauważyliśmy, że stojący obok człowiek w cywilnym ubraniu słucha jej i zdaje się rozumieć. Rozmawialiśmy dalej, dość obojętnie. Nieznajomy przedstawił się. Jakiś Frankowski czy Jankowski. Chciałem sprecyzować, tłumacząc, że mam znajomych jednego z tych nazwisk. — O, lepiej, że nie wymawiam dokładnie! — Nieznajomy poinformował, że jest tu jako tłumacz przy swym szefie, Rosjaninie, i w *servicios especiales*²⁹³. Służba szczególna oznaczała tyle co GPU²⁹⁴.

²⁸⁹*rendez-vous* (fr.) — spotkanie. [przypis edytorski]

²⁹⁰*futor* a. *chutor* (z ukr.) — pojedyncze gospodarstwo, oddalone od wsi; przysiółek. [przypis edytorski]

²⁹¹*konfuzja* (daw.) — zmieszanie, zakłopotanie; zamieszanie, chaos. [przypis edytorski]

²⁹²*Lister, Enrique* (1907–1994) — hiszpański polityk i wojskowy, generał, uczestnik hiszpańskiej wojny domowej walczący po stronie republikańskiej; współorganizator regularnej armii republikańskiej. [przypis edytorski]

²⁹³*servicios especiales* (hiszp.) — służby specjalne. [przypis edytorski]

²⁹⁴*Gosudarstwiennojie političeskoje upravlenije* (ros.: Państwowy Zarząd Polityczny), *GPU* — policja polityczna ZSRR, utworzona wskutek przekształcenia Czechi, działająca 1922–1923, następnie przekształcona w OGPU

Nie pytaliśmy więcej. Ale on sam mówił jakoś chętnie. Powiedział, że rozpocznie się wielka ofensywa, której się spodziewano. Podłechtaliśmy go parę razy zapewnieniami, że są to rzeczy tak tajne, że nikt tego nie wie. — „A ja wiem” — mówił chytry tajniak i łapał, ile wlaźło. Na szczęście dla swoich panów nie trafił w nas na kontrwywiad i wiedział stosunkowo mało. To, co było najważniejsze, to to, że przyjdzie wielka masa rosyjskich tanków. —

W dwa dni później, wieczorem, nasze auto przeciskało się przez ulice przedmieść, wracając z tej samej strony. Musieliśmy naraz stanąć. Przez szyby, za tłumem ludzi, nie było zrazu nic widać. Tłum krzyczał i machał rękoma. Myśleliśmy, że prowadzą jeńców. Ale nagle zza zakrętu wypadł pierwszy szarozielony tank i zaczął ze zgrzytem swych gąsienic łupać po asfalcie. To był naprawdę tank, nie opancerzony samochód, za nim jechał drugi, wysuwał się trzeci, czwarty, dziesiąty. Na widok jedenastego ludzie niemal dostali spazmów. Ulica przedmieścia madryckiego, taka jak nasza Czerniakowska, wyla z radości. Tego dnia pierwsze pociski armatnie dosięgły przedmieść; teraz tanki waliły jeden po drugim, jeden po drugim. Milicjantowi z eskorty auta rozwiązał się naraz język: powiedział, że te tanki stały od przedwczoraj przed Madrytem w polu, że nie wyprowadzono ich do miasta, by nie wpadły w oko szpiegom gen. Franco, że teraz bocznymi drogami i ulicami przeprowadza się je po nocy na tamten front, na jutro... Więc to jutro... Tanki sunęły dalej żelaznym pochodem. Powiedziałem mej towarzysze, żeby liczyła, ale jej się gdzieś na czterdziestym którymś urwała liczba. Miało się wrażenie, że ta potęga, waląca już chyba z pół godziny madryckim przedmieściem, przejeżdża po nas, nas samych przemiazdza. Miało się wrażenie jakiejś siły, wybuchłej potajemnie, której nikt się w świecie nie oprze. Jakiejś bardzo rosyjskiej, dynamicznej, pierwotnej potęgi. O takiej potędze, rozumiałem, że mogli mówić Francuzi 1914 roku *rouleau compresseur*²⁹⁵. Przed taką siłą korzyli się z samego już kultu siły ci wszyscy, którzy w sierpniu wojennym Warszawy obrzucali kwiatami konie wielkoksiażących Kozaków. — Sam Madryt tego dnia jakby właśnie przycichł, jakby przysiadł. Dziennikarze snuli się w klubie nieliczni i małowówni. Nikt nie lubił zdradzać się z tego, co wie. Przed oczyma zresztą ja sam miałem tego dnia tylko miarowo podnoszący się ruch stalowych gąsienic. W pokoju o zapuszczonych szczelnie storach czytałem do bardzo późno. Aż w zmęczeniu roztopił się ten dziwaczny, pierwszy raz zasłyszany stukot, jakby żelaznych sandałów, powoli i ciężko stawianych na bruku — łoskot stąpającej po Półwyspie Iberyjskim pierwszymi krokami swych czołgów — czerwonej interwencji.

CZERWONI WAREGOWIE

Będę zawsze żałował, że dnia 2 listopada 1936 roku o godzinie czwartej nad ranem nie znalazłem się w Hiszpanii, na dwudziątym trzecim kilometrze drogi szosowej Madryt-Murcia-Kartagena, za pueblem Valdemoro, w polu, nieco w prawo. Będę żałował, że nie należałem do tych, nielicznych zresztą, mi współczesnych, którzy tego dnia mogli widzieć, jak przed kwaterą pułku, który najlepiej moralnie przeniósł na siebie ciężką próbę sześciotygodniowego, nieustannego odwrotu, piątego pułku milicji madryckich, uformował się szyk bojowy kilkudziesięciu przybyłych tanków. Mało żołnierzy patrzących zdawało sobie może z tego sprawę, że jest to coś więcej jeszcze niż ofensywa mająca zatrzymać pochód na Madryt, rozpoczęta w niezwykle sprzyjających warunkach, choć zapewne wiedzieli o tym wszyscy, że bezpośredni obiekt porannego ataku to coś więcej niż miejscowość Sesenia²⁹⁶. Przecież musieli być i tam ludzie, którzy w owej godzinie porannej powiedzieli sobie „nareszcie”, tak samo jak powiedziano sobie „nareszcie” w niejednym ze sztabów generalnych, którym w sierpniu 1914 roku rozkaz mobilizacyjny zelżył wieloletnie napięcie nerwów, czujność wobec obcych zbrojeń, obawy, że przeciwnik wypredzi ich własne. Musieli powiedzieć to sobie ci Rosjanie siedzący za zapuszczonymi

(Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny), a w 1934 w GUGB (Główny Zarząd Bezpieczeństwa Państwowego), włączony do NKWD ZSRR. [przypis edytorski]

²⁹⁵*rouleau compresseur* (fr.) — walec drogowy. [przypis edytorski]

²⁹⁶*bitwa pod Seseñą* (29 października 1936) — stoczona podczas hiszpańskiej wojny domowej o miasto Seseña, ok. 30 km na płd. od Madrytu, znana z pierwszego użycia czołgów podczas tej wojny; po upadku Talavera de la Reina i Toledo we wrześniu 1936 wojska republikańskie, wsparte radzieckimi czołgami, usiłowały kontrofensywą na Seseñę powstrzymać ofensywę nacjonalistów, jednak poniosły klęskę. [przypis edytorski]

plytami stalowymi swych tanków, musieli to myśleć technicy włoscy z tamtej strony. Datę tego świtania, dzień 2 listopada 1936 roku, małą miejscowość Sesenia na południe od Madrytu, wśród pól i gajów oliwnych, z małym dworcem kolejowym i całą małomieszczańską prowincjonalnością, która dziś wraz z Sesenią istnieć przestała, trzeba nam sobie zapamiętać. Wtedy i tam starły się bowiem po raz pierwszy dwa współczesne antagonizmy świata: bolszewizm i faszyzm. Napięcie nagromadzonej wrogości tych dwóch światopoglądów wyładowało się po raz pierwszy — orężnie.

Żaden z dziennikarzy obcych, poza może rosyjskimi trzymającymi się na uboczu do reszty, nie był świadkiem wszczęcia kontrofensywy rządowców. Przekonani, że wyruszy ona raczej wzdłuż drogi na Talawerę, by odciąć od głównego korpusu sił Franca te, które zapędziły się były prawym skrzydłem aż pod Aranjuez, mieliśmy zrazu wyjechać tegoż dnia rano ku Navalcarnero. Dla przezorności wybraliśmy jednak drogę środkową, toledońską: można z niej było w każdej chwili zboczyć, bez nakładania drogi, na właściwy teatr wydarzeń. Już w Getafe mieliśmy pierwszą wiadomość. Ofensywa rządowa istotnie ruszyła rano i do chwili obecnej odbiła już cztery wsie: Sesenię, Torejon de Calzado, Torejon de Velasco i czwartą, niezapamiętaną. W tej chwili trwać miał atak na Illescas. Było znać widoczne podniecenie. Minęły nas także furgony rannych. Nawet szoferzy nie wzbraniali się jechać dalej. Huk strzałów dochodził prawie niewstrzymaną falą. Niemniej za Parlo musieliśmy wysiąść i podejść dalej ku Torejon de Velasco. Była to wieś leżąca na samej drodze szosowej na Illescas i Toledo, podczas gdy drugi, mniejszy Torejon, leżał nieco z boku, bliżej Sesenii, między ramionami szos na Toledo i na Murcję-Kartagenę. W pewnym momencie wśród żołnierzy na szosie spotkaliśmy Rosjanina. Był woźnym ambasady sowieckiej, bez munduru i broni. Minęliśmy grupę, niedługo jednak później powiedziano nam, że dalej nie wolno, ze względów na rozwijającą się ofensywę, następować. Podeszliśmy więc polem z boku, gdzie już nie przestrzegano tak bardzo tajności wojny. Polem szła właśnie tyraliera wysłana na mały Torejon: jak się okazało, nie był on wcale zajęty, czy raczej po chwilowym opanowaniu został odbity. Grupa armii marokańskich *Regulares*²⁹⁷ broniła się z domów wioski i wielkiej, czworograniastej wieży kościoła. Za wzgórzem mogliśmy stosunkowo z bliska, leżąc na ziemi, śledzić tę obronę. Tymczasem ponad naszymi głowami, z pozycji o kilka kilometrów wstecz, przelatowały pociski. Artyleria rządowa brała za cel Torejon mały. Osłonięte wzgórzem stały dwie kompanie gotowe do ataku. O atak ten trwały właśnie telefoniczne targi między dowództwem oddziałów a niewidzialną komendą. Zdaje się, że komenda ta kierowała jednocześnie ogniem artyleryjskim bombardującym wieś i że żądała rozpoczęcia ataku. Komenda oddziałów nie była wcale tego zdania. Odpowiadano — byłem przy tej rozmowie podobnie jak żołnierze — że obstrzał artyleryjski jest niedostateczny, przenosi lub nie donosi, że natomiast karabiny maszynowe nieprzyjaciela wytlukłyby każdy atak. Po kilku minutach telefon polowy rozdzwaniał się na nowo. Ta sama rozmowa toczyła się z tymi samymi argumentami, żądaniem i odmowami, tylko w tonie bardziej podrażnionym. Żołnierze, jak się zdaje, również nie rwali się do walki. Okazało się poza tym, że i w drugim, leżącym na szosie Torejonie, do którego nas nie dopuszczono, sytuacja jest niewyjaśniona. Tuż za wsią, albo i w niej samej, wywiązała się nowa walka.

Wróciliśmy około godziny drugiej do Getafe, zjeść jak poprzednio obiad w dawnym klasztorze pijarskim. Było pewne, że na tym przynajmniej odcinku ofensywa nie postępuje już naprzód. Wychodząc, zobaczyliśmy sunący uliczką rząd tanków. Szły one teraz powoli, eskortowane milicjantami. Stały nawet i o coś się pytano. Zatrzymałem się z aparatem i zrobiłem zdjęcie. Z tanku, który wypadł na pierwszym planie, patrzył ktoś jakby znajomym wzrokiem. Na głos mojej towarzyszkii, że mówią do siebie po rosyjsku, przyskoczyłem do tanku. Siwe oczy żołnierza patrzyły istotnie znajomo:

— *Ty ruskij?* — zapytałem. — *Zwitki?*²⁹⁸

Mimo woli przeszedłem więc na ukraiński, co okazało się szczęśliwym. Szeroka twarz słowiańska rozszerzyła się radosnym uśmiechem:

²⁹⁷ *Regulares, Grupos de Regulares* — hiszpańskie jednostki wojskowe sformowane w Afryce Północnej z miejscowej ludności i hiszpańskich oficerów. [przypis edytorski]

²⁹⁸ *Ty ruskij?* (...) *Zwitki?* (mieszanka ros. i ukr.: *звiткy, звiткi*) — Jesteś Rosjaninem? Skąd? [przypis edytorski]

— *Ja z Połtawszczyzny* — zawołał tryumfująco. — *A ty zwitki tut wziątsia?*²⁹⁹

— *Ja Paljak*³⁰⁰ — odpowiedziałem po prostu.

Twarz ścięła się jak przerażona. Ale w tej chwili opadli nas jacyś ludzie, inni ludzie, milicjanci i tankiści. Chłop o typowo wielkoruskiej twarzy rzucił się na mnie:

— *Stupaj!*³⁰¹

— *Czto ty, stupaj, czto tiebia*³⁰² — zacząłem oponować.

Ale drab łapał już za aparat panny Jeziorańskiej. Miała ona nie Kodak, ale Rolleiflex trudny do schowania i widoczny. Zaczęła się wzbraniać, że nie fotografowała. Milicjanci rozpędzali wszystkich, którzy chcieli podejść do tanków. Nie wiadomo, czym by się sprawa skończyła, gdyby naraz nad Getafe nie pokazały się samoloty. Tanki ruszyły naprzód, tankiści z nimi, milicjanci pochowali się po domach, myśmy zeszli do piwnic klasztoru, gdzie już uciekło kilkadziesiąt osób. Po półgodzinie nie było tanków. Kilka bomb spadło na ulicę. Jakies domy były rozwalone, trup konia leżał przy furgonie. Pojechaliśmy dalej, ale teraz drogą na Valdemoro. Stąd wyszła rankiem ofensywa na Sesenię. Nie było złudzeń: żołnierze tu grupami wracali szosą. Sesenia była odbita. Od obu Torejonów dochodziła zażarta strzelanina. Ulice pełne były wojska. Robiło ono wrażenie znużonego i wyczerpanego. Nie mogliśmy się dowiedzieć, co zaszło między świtem a wieczorem. Nie mogliśmy zrozumieć, jak siła kilkudziesięciu tanków, gdy po drugiej stronie były one jeszcze wówczas rzadkością, mogła przejść tak bez rezultatu.

Dopiero dużo później znalazłem na to odpowiedź. W warunkach, których dokładnie nie opiszę, mogłem rozmawiać z jednym z rosyjskich tankistów, mniej podejrzliwym, a bardziej wygadany niż ów Połtawszczyk. Opowiadanie Rosjanina ciągnęło się rozwlekle, ale barwnie. Na Sesenię poszły, wedle jego wersji, dwie fale tanków. Jedna posuwała się wzdłuż toru kolejowego, druga od szosy na Aranjuez. Bez trudu przełamano pierwsze linie obrony. Tanki były czymś, czego się tu zupełnie nie spodziewano, zwłaszcza w tej ilości. Moment zaskoczenia wybrany był więc świetnie: w dwadzieścia minut od ruszenia na wieś była ona zajęta.

— Tanki przeszły przez nią jak przez chleb — mówił z satysfakcją tankista.

— No i co stało się z chlebem? — zabawiło mnie porównanie.

— Pomalutku, brat, pomalutku. — I opowiedział, że przeszedłszy wieś, stanęli znowu w szyku. Tłumaczył mi, jak wygląda ten szyk tanków, ale nie spamiętałem. Byli gotowi ruszyć naprzód, wedle planu ofensywy. Tymczasem okazało się, że piechota milicjantów, która miała iść za tankami, nie idzie. Nie ma jej. Tank bez piechoty nic nie może zrobić trwałego — tłumaczył. Uważając, że zapewne opanowanie Sesenii zajęło milicjantom więcej czasu, ruszyli wstecz im pomóc. Tymczasem okazało się że w Sesenii zaskoczeni *Regulares* i Maurowie zorganizowali zacieklą obronę. Rosjanin opowiadał o niej szczegóły nieomal nieprawdopodobne. I tak miano wciągnąć armatki na dachy domów i *a bout portant* walić w nadchodzące tanki. Nie było co robić, kończył: trzeba było wjechać w taki dom. Naszemu nic to, wjechał. Ale hiszpańska *dierewnia*³⁰³ — opowiadał, kręcąc głową — to nie nasza ruska *dierewnia*. Ona nie z *dierewa*³⁰⁴ — konstatował swe głębokie odkrycie: po niej nie przejedziesz jak po naszej, i wzdłuż, i na *piereriez*³⁰⁵. Ona z kamienia. Ruszył nasz motorem, wwałił się na ścianę, *stiena*³⁰⁶ łopnuła, on wjechał na Maurów, zgniotł żmije. Ale tam była druga ściana — ani rusz. Chce zawracać na drogę, ale rozpędu od tej ściany wziąć nie może, gruzu ma z tyłu od tej pierwszej całą górę — nie przejedzie. A tu już Maur na tanku, z benzyną, z ogniem! Leje i zapala. Dwie nasze maszyny tak zostały. W tej wsi, cośmy wzięli w trzy migi. —

Pytałem o milicjantów. — Okazało się, że nie ruszyli. Poszli, stanęli w drodze i pełni większej ciekawości niż entuzjazmu śledzili przejście tanków przez wieś. Istotnie opór murowanego, kamiennego puebla, bronionego przez doskonałego żołnierza, a taki nie-

²⁹⁹*Ja z Połtawszczyzny (...)* *A ty zwitki tut wziątsia?* (ukr.) — Ja z Połtawszczyzny (region miasta Połtawa w środkowo-wschodniej części Ukrainy). A ty skąd się tu wziąłeś? [przypis edytorski]

³⁰⁰*Ja Paljak* (ros., ukr.) — Jestem Polakiem. [przypis edytorski]

³⁰¹*Stupaj!* (ros.) — Idź! [przypis edytorski]

³⁰²*Czto ty, stupaj, czto tiebia* (ros.) — Co ty, idź, co ci jest. [przypis edytorski]

³⁰³*dierewnia* (ros.) — wieś. [przypis edytorski]

³⁰⁴*dierewa* (ros., ukr.) — drzewa (D. lp). [przypis edytorski]

³⁰⁵*piereriez* (ros.) — przez. [przypis edytorski]

³⁰⁶*stiena* (ros.) — ściana. [przypis edytorski]

wątpliwie znajdował się tam właśnie, był groźny. Tymczasem sytuacja zaczęła stawać się krytyczna. Milicjanci nie nadchodzili, ale linie telefoniczne Sesenii zaalarmowały już cały front. Tankiści rosyjscy za późno, nieraz pod gradem kul, musieli wyskakiwać z tanków, przecinać biegnące po ziemi druty telefoniczne. Już podczas tej pracy poszybowały pierwsze pociski artyleryjskie, potem ukazały się tanki włoskie, nieliczne, ale większe. Pomoc rosyjska, a raczej współdziałanie rosyjskich tanków, z piechotą milicyjną, w tym pierwszym razie zawiodło. Znaczną przeszkodą była absolutna niemożebność dogadania się Rosjan i Hiszpanów: bodaj ów woźny na drodze wysłany był na tłumacza. Że zaś obraz kreślony przez tankistę był prawdziwy, tego dowodem były liczne, już nazajutrz, nawoływania prasy, że tank jest wprawdzie orężem zwycięstwa, ale sam, bez wsparcia piechoty, nic jeszcze nie może. „Claridad” wołało po raz pierwszy: „Mamy uzbrojenie równie dobre jak wróg, nawet lepsze, a na pewno liczniejsze. Jest nas więcej od przeciwnika, duch panuje u nas lepszy, mamy wszystko, co trzeba do zwycięstwa”.

*

Całe popołudnie i wieczór daremno szukałem auta na jutro. Jutro mogły decydować się losy ofensywy. Walka o Torejony była nierozstrzygnięta, wynik walki o Sesenię niedokładnie wiadomy. Liczba tanków rosyjskich mogła zdziałać swoje. Nie wiedząc jeszcze o tym, że tyraliera zawiodła, nie rozumiałem zupełnie — podobnie jak bodaj wszyscy dziennikarze obcy — skromnych rezultatów pomocy rosyjskiej. Fakt tej pomocy zajmował oczywiście wszystkich, bo dotąd mówiło się o niej mało, a jeśli pracowała, to w pełnym milczeniu. Obecności rosyjskich tanków i rosyjskich tankistów nie dało się już ukryć, choć pisma madryckie opublikowały podobizny czterdziestu rasowo iberyjskich Gonzalezów i Fievrów z podpisem „nasi dzielni tankiści”. Niestety wygadany generał-speaker Queipo de Llano, podawał z Sewilli nazwiska schwytanych w Sesenii Rosjan. Mówiono o tym wśród dziennikarzy, zresztą dość delikatnie, bo obok tanków zdołano zapożyczyć już z Moskwy nieco wypróbowanych metod GPU. Para polskich Żydów zasiedziały w Hiszpanii kręciła się co wieczór po hallu café „Gran Via” i ziewając wytwornie, spełniała swe funkcje podsłuchowe tak gorliwie, jakby to były kulary sejmu polskiego i rozmawiano w nich o tajnikach gospodarki Lasów Państwowych. Były to sposobiki polityczne nie na miarę wielkoświatową: sam Litwinow³⁰⁷ zapowiedział był przecież, że wobec notorycznego gwałcenia nieinterwencji przez państwa faszystowskie Rosja nie uważa się więcej za skępowaną zobowiązaniami neutralności, transporty broni z ZSRR stały się tak olbrzymie, że ukryć tego nie było sposobu przy nie wiedzy jakiej policji. Niestety innym zarządzeniem szczególnie krępującym było odmówienie większości dziennikarzy aut prasowych. Z kłopotu wybawiła mnie dopiero Gruba Ilza. Gruba Ilza miała auto. Jak dokonała tego wyczynu, przy swym głośnym już wojowaniu z komunistami z „Mundo Obrero”, tego nie mogłem dociec: z opowiadań Ilzy wynikało właściwie, że samochód jest jakby naturalną emanacją³⁰⁸, technicznym przedłużeniem i uzupełnieniem jej korpułentnej postaci. Nie pytałem więcej.

Na front wyjechaliśmy zupełnie rano. Okazało się że szofer owej naturalnej emanacji jest Niemcem-emigrantem: wobec notorycznego tchórzostwa hiszpańskich szoferów było to bardzo szczęśliwe. Pomknęliśmy na Getafe-Parlo-Torejón. Jak się okazało, na ostatnim odcinku tej drogi świstały już kule, ale całym szczęściem nie nas mające na celu. Torejón, do któregośmy dotarli, nie był to ów mały na skraju drogi leżący Torejón, ale jego większy imiennik, wokół którego wczoraj toczyła się walka. Teraz walkę tę zakończył zwycięsko: duży Torejón znajdował się w niepodzielnym władaniu rządzących. Bój musiał być ostry. Prawie wszystkie domy były poburzone, opuszczone w nieładzie, z powybijanymi drzwiami i oknami. Co kilkanaście minut padały na wieś, przenosząc zresztą bardzo, pociski armatnie z jakiejś dalekiej baterii faszystowskiej. Grudy czarnej skamieniałej ziemi leżały rozsypane od tych wybuchów wszędzie. Ilza zabrała się z niesłychanym animuszem do wścibiania wszędzie nosa. Żołnierze, jako że była to już zupełnie

³⁰⁷ Litwinow, Maksim Maksimowicz, pierwotnie Enoch Meyer Wallach (1876–1951) — dyplomata radziecki, uczestnik ruchu rewolucyjnego; w latach 1930–1939 ludowy komisarz (minister) spraw zagranicznych ZSRR. [przypis edytorski]

³⁰⁸ emanacja — tu: to, co się wydziela, promieniuje; w filozofii: to, co się wylania z jakiegoś bytu. [przypis edytorski]

frontowa pozycja, przyjęli nas raczej owacyjnie. Gruba Ilza wzięła ich zaraz do roboty. W paru chatach leżały na podłodze pozostawiane sienniki, materace, prześcieradła, stare koce i pełno szmaciarni. Były to pozostałości zarówno wygnanych w popłochu mieszkańców Torejonu — żadnego z nich nie było już we wsi — jak kolejnych koczowników obu armii. Powalane to było błotem, krwią opatrywanych tu pewno rannych i kałem: tę ostatnią pozostałość żołnierze rządowi, wiedzeni jakimś szczególnie rozróżniającym węchem przypisywali niezawodnemu przejściu Maurów. Ale i ślad Maurów nie zniechęcił Ilzy: kazała wszystko to wyciągać i wynosić na dwór, zapowiedziała, że zabierze to dla potrzeb madryckiego *Socorro Rojo*³⁰⁹.

Tymczasem popod domami przeszedłem aż na skraj Torejonu. Stał tam niewysoki ceglany kościół, obwiedziony murem. Z dachu kościoła waliła niestrudzenie mitraliezza³¹⁰ do sąsiedniego, dotąd jeszcze broniącego się, małego Torejonu. Z tej strony zresztą nie atakowano go zbyt. Tylko drugi jeszcze karabin maszynowy, ukryty pod oliwkami, prażył w nieszczęsną wieś. Za to ogień armatni rządowców nie tylko wzmógł się od wczoraj, ale i usprawnił: dachy tamtej wsi były prawie wszystkie powgniatane w dół, jakby uderzeniami jakiejś silnej, opancerzonej pięści. Ponieważ z naszej pozycji byliśmy o jakie sto metrów wyżej od tamtych, widziało się doskonale. Część kościoła także runęła. Tylko wielka wieża stała jeszcze. W pewnej chwili z muru naszego ceglano-ceglanego kościoła poczęło się coś sypać. O kilka metrów ode mnie wyżej karabin maszynowy „tamtych” łupał strzałami jeden koło drugiego w ścianę. Cegła odpryskiwała się na strony. Karabin maszynowy obstukiwał ścianę jak niewidzialny dziób dzięcioła, dobierającego się poprzez drzewo do ukrytych w nim robaków. Ale „robak” — rządowy karabin maszynowy ukryty był wyżej, na strychu kościoła: jego lufa, dygocąca tempem wystrzałów, sterczała z małego, mansardowego okienka, obłożonego worami z ziemią i pluła krocią³¹¹ wystrzałów. Ułamki cegieł sypały się ciągle. Żołnierze leżący na wale pokazywali mi je, śmiejąc się: padały tak blisko, a nie było niebezpieczeństwa, żeby w nas osłoniętych trafiły. Za to przez peryskop widać było niemal dokładnie to, co się działo w odległym o kilometr zaledwie Torejonie małym: broniono już tam chyba jego gruzy. W kościół musiały paść tymczasem nowe pociski, bo nie tylko dach nad absydą, ale jeszcze sam środek głównej nawy świecił olbrzymią wyrwą. Widać było nawet białe żebra jakichś ułamanych belek stropu, obdarte z dachu i wystające ku górze. W ciągu dwudziestu czterech godzin artyleria rządowa zdołała naprawić swą celność. Na równinie, w kierunku Madrytu, dostrzegaliśmy ukryte za sfalowaniami terenu oddziały, rozsypane w tyralierze, gotowe zapewne do ataku. Powinien był przyjść lada moment. Stało się tak istotnie. Naraz jedna z czterech ścian wieży poczęła się jakby odczepiać, potem złamała w połowie i runęła, wznosząc olbrzymi słup kurzu. Trwało to oczywiście moment, ale było zupełnie wyraźne. Kurz wiał jeszcze tumanem, gdy odsłoniły się szczątki tego, co oszczędził wybuch. Były to jednak już nie trzy pozostałe ściany, ale jakiś strzęp, jakiś róg budowy, monolitowo sterczący w niebo. Żołnierze wyskoczyli na linię, z karabinami do ataku. Popadali jednak zaraz: od Torejonu dalej śmigły strzały. Skąd strzelali? Z za załamów muru, z porozwalanych domów, z tych stert podruzgotanej dachówki, którą widać było przez peryskop? Dosyć że walka nie skończyła się jeszcze. Za to artyleria rządowa widocznie uważała, że już czas najwyższy na atak piechoty, bo przestała strzelać. Może bała się trafić swoich. —

Zbiegłem tymczasem, kuląc się, do pierwszych, zwartych już domów naszej wsi. Gruba Ilza walczyła właśnie z jakimś *teniente*³¹² o danie jej ciężarówki na przewóz pościelowego dobytku. Dowódca miał jednak co innego na głowie. Wybiegł za drugą stronę wsi, gdzie tymczasem sytuacja stawała się widać ciekawsza. Wreszcie jego zastępca powiedział, że wszelką pomoc otrzymamy w sztabie, który znajduje się w tyle linii.

Okazało się nawet, że Ilza zna miejscowego pułkownika w Mostoles. Ruszyliśmy więc do Mostoles. Sztab zastaliśmy przy obiedzie. Ilza coś wspomniała o autach, ale spo-

³⁰⁹*Socorro Rojo Internacional* (hiszp.) — Międzynarodowa Czerwona Pomoc, organizacja społeczna, założona w 1922 w celu niesienia pomocy rewolucjonistom, więźniom politycznym i ich rodzinom, gromadziła wsparcie materialne i humanitarne; posiadała 19 filii krajowych oraz 62 podmioty stowarzyszone; rozwiązana w 1947. [przypis edytorski]

³¹⁰*mitraliezza* — dawne szybkostrzelne działko o wielu lufach; także: dawne określenie karabinu maszynowego. [przypis edytorski]

³¹¹*kroć* (lp.) — dziś popr. tylko w lm: *krocie*: wielka ilość, mnóstwo. [przypis edytorski]

³¹²*teniente* (hiszp.) — porucznik. [przypis edytorski]

ra misa *paella à la Valenciana*³¹³ przerwała rozmowę. Pułkownik, wojskowy, podstarzały *charmeur*³¹⁴, przypuścił atak do „znakomitej pisarki niemieckiej, wygnanej przez terror Hitlera”. Znakomita pisarka broniła się w każdym razie mniej wytrwale niż *Regulares* z Torejonu, pułkownik atakował zaś z większą energią niż jego czerwona tyraliera. Zjawił się i kieliszek anyżowego likieru. Otrzymaliśmy go tylko my dwoje i pułkownik; szofer Niemiec i oficerzy nie dostąpili tego zaszczytu. Naraz odwołano jednego z oficerów do aparatu, potem drugiego, potem pułkownika. Pułkownik wrócił po chwili, jednocześnie zajechały jakieś auta. Na nas nie zwracano już uwagi. Pożegnano się, tak jakby to oni odjeżdżali. Ale z Ilzą tak się nie dało:

— Jak to, a moje rzeczy dla *Socorro Rojo*? A nasze auto?

— Państwo przecież mają auto? — zdziwił się pułkownik.

— Ale mieliśmy dostać ciężarówkę po rzeczy w Torejon! — upomniała się Ilza.

— No tak — mówił pułkownik, czemuś zafrasowany — no tak. Ale nie teraz, nie teraz. Jutro. O, jutro — zapewnił.

— Dlaczego jutro? Nie wiadomo, co może być jutro? Dziś, zaraz.

— Nie mogę, *Madame*. — (Pułkownik w czasie obiadu oświadczył był, że do takich osób jak Ilza całe życie mówił: *Madame*. Ale ona, jeśli chce, może do niego mówić: towarzyszu. Będzie to dlań, zapewniał, niezapomniane wspomnienie tej wojny). Jutro, tak. Teraz, żeby móc jutro, on właśnie wyrusza na linię. Musi zdobyć na nowo Torejon...

— Jak to, zdobyć na nowo?

Pułkownik już siadał do pierwszego auta. Nasz szofer był na tyle przytomny, że również podjechał autem Ilzy. Nakładając jakieś okulary od słońca, wojskowy wyjaśniał:

— Musieliśmy chwilowo opuścić Torejon. Jedziemy na linię.

Auto ruszyło, ale i Ilza, która była sprytna, nie pytała dłużej. Po trzech autach komendy nadjechało nasze. Do jadącego przed nami wsiadł pomiędzy oficerów kucharz w kitlu i żołnierz wyglądający na ordynansa. Ale auta nie skręciły na drogę do Torejon: z autem pułkownika na czele pędziły w kierunku przeciwnym, na Getafe i Madryt. Od drogi dolatywała wzmożona i bardzo już wyraźna strzelanina.

— Obawiam się, że to z Mosteles trzeba ewakuować bety — powiedział szofer, któremu nie wiedzieć dlaczego zabiegi pościelowe Ilzy nie przypadły do gustu. —

Zgubiliśmy gdzieś auta sztabowe. Za to Getafe uległo ponownemu bombardowaniu. Pociski padły w hangar główny lotniska, koszary i ulicę. Opowiedzieli nam o tym dwaj fotodziennikarze Niemcy, komuniści, którzy właśnie dokonali zdjęć. Wybierali się na drogę do Aranjuezu. Pojechaliśmy z nimi. Boczna droga łącząca dwa główne szlaki była opancerzona szeregiem wznoszonych naprędcie okopów: kilkadziesiąt wspaniałych betonowych schronów zamykało linię obronną. Przy skręcie na szosę aranjueską prowadził roboty pół Austriak, pół Czech, oficer z wojny światowej, jeniec na Syberii, komunista. Narzekał bardzo na opieszałość swych robotników. Byli to zresztą przeważnie urzędnicy biurowi, członkowie socjalizującego syndykatu zawodowego, jedni z najpierwszych entuzjastów Frontu Ludowego, ale z biegiem (niedługim) czasu, bardzo ochłodzeni z zapalą. Austriak przykładał największą wagę do operacji piątego pułku, grupy Listera, działającej właśnie na drodze do Aranjuezu. Ponieważ znał i Ilzę, i młodych fotografów, wygadał się, że tam właśnie są tanki rosyjskie i trwa walka o Sesenię. On też pierwszy wyjaśnił z lekka, dlaczego ofensywa daje tak słabe rezultaty: milicjanci, dobrzy w górach, nie umieją bić się w polu, okopywać się, ostrzeliwać zza lada bruzdy. Uważali, że tanki zrobią wszystko za nich, i nie mogą jeszcze tego zrozumieć, że tank przełamuje tylko opór linii bojowej, ale zlikwidować ją zupełnie może tylko idąca za nim piechota. —

Ruszyliśmy autami na Pinto i Valdemoro. Za Valdemoro okazało się, że nasi towarzysze nie jadą za nami. Sunęliśmy dalszym odcinkiem szosy, już blisko Sesenii i frontu. Nie było widać nikogo. Naraz, oglądając się za naszymi Niemcami, Ilza zobaczyła daleki daleki samolot lecący do Getafe, a więc z tyłu, ale niewątpliwie nieprzyjacielski. Rządowych nie spotykaliśmy prawie. Samolot skręcił nad naszą szosę. Musiał już być nad Pinto. Za chwilę będzie nad nami.

³¹³*paella à la Valenciana* (fr.) — paella po walencku; *paella*: hiszpańska potrawa z ryżu z warzywami, podawana jako danie główne. [przypis edytorski]

³¹⁴*charmeur* (fr.) — człowiek czarujący, uwodzicielski. [przypis edytorski]

Zaczęła się walna, choć szybka narada, co robić. Były dwa wyjścia. Jechać dalej, jak najszybciej drogą. Jeśli samolotowi nie zależało na ostrzelaniu nas, jeśli nie chciał się bawić, jak to bywało niekiedy, w „polowanie”, wyjście było najlepsze. Szofer był gorąco za wyścigiem: dać gazu i wiać, póki tamten daleko, choćby do Kartagenu. Jako posiadacz auta, nie miał ochoty zostawić je w polu, a samemu, jak przeciwnie proponowała Ilza, zejść gdzieś do rowu i pokłaść się w burzanach³¹⁵: auta nie dałoby się skryć tak dobrze i samolot mógłby je z łatwością poszpicować z karabinu maszynowego. Rozmowa szła w krótkich, urywanych zdaniach, ale różnica poglądów była jasna: Ilzie chodziło o własną skórę, szoferowi jeszcze i o wóz. Z francuskiego, wobec tego, że nie wypowiedziałem się za żadnym planem i nie brałem udziału w dyskusji, przeszło się na niemiecki. Zerknięcie okienkiem pokazało, że samolot już zbliża się do Valdemoro: szofer dał na własną rękę gazu. Ale Ilza pamiętała, że przed paroma dniami trzech dziennikarzy amerykańskich, jadąc tak na oślep, dostało się pod ostrzał włoskiego tanku i do niewoli nacjonalistów. Zaczęła więc protestować gwałtownie: od kierownicy odpowiadano nie mniej ostro. Nie była to dyskusja. Nie była to już ani wytworna francuszczyzna, ani kategoryczne niemieckie, był to jakiś nerwowo, ujadliwy żargon. Auto mknęło po szosie, warkot lotniczego motoru stawał się coraz bliższy. Naraz stało się coś, co na chwilę zdawało się sprawdzić ponure przepowiednie Ilzy: z krzaków przy drodze wyskoczyło dwóch żołnierzy, zagradzając drogę.

Auto zatrzymało się gwałtownym wstrząsem. Z rowu podniosło się jeszcze kilkunastu żołnierzy, cała grupa. Szczęściem jeden z nich miał jakąś czerwoną oznakę: nie byliśmy więc w niewoli. Żołnierzami dowodził młody podchorąży, który wyjaśnił położenie. Dalszy odcinek drogi jest chwilowo przecięty. Tam oto leży zestrzelone i spalone auto, którym wieziono na linię gazety: biednego roznosiciela wydobyto z wozu, przesytego kulami i w półzwegłonego. Nad drogą pojawiła się kawaleria Maurów. Nim łączność z Aranjuezem będzie odnowiona, wstrzymano więc wypadki na ten odcinek. Tymczasem jednak kryjemy się w pole. —

Nadlatywały nie jeden, ale dwa samoloty: okrążenie Valdemoro, centrum operacyjnego, powstrzymało je w drodze. Teraz sunęły prosto naszą drogą. Auto zjechało brudami polnymi pod oliwki, myśmy pokładli się na ściernisku i w krzakach rowu. Rozlewność, z jaką Ilza zdążyła już przywitać się z żołnierzami, gdy okazało się, że nie są to Maurowie, zdołała jej zdobyć pewną swoistą popularność, pozbawioną zresztą większych oznak szacunku. Przeznaczono dla niej jednej najcenniejszy schowek: wybetonowany przewód pod szosą, tworzący tu coś pośredniego między małym mostkiem a wielkim otworem ściekowym. Samoloty zbliżały się szybko, ale niestety tułów Ilzy jedynie z trudem przeprowadził swą górną część przez otwór: imponująca rozmiarami reszta uwięzła, mimo ryzyka sytuacji dość zabawnie, w cembrowinie i sterczała jak korek z butelki. Żołnierze żywo i na wesoło zabrali się do energicznego wpychania i tej reszty. Podchorąży, przyzwany piskotliwymi protestami Ilzy, ruszył zmniejszyć tę nadmierną gorliwość, ale tym razem samoloty były już nad nami. Pokładliśmy się szybko na ziemię. Leżałem na samym ściernisku, przykryty rozpostartym płaszczem mocno ścierniskowej barwy: leżący obok żołnierz tłumaczył, że tu najlepiej, bo krzaki i poblizsze drogi mogą najłatwiej ulec ostrzelaniu.

Myśleliśmy, że nas ono ominie, bo oba samoloty zaczęły coś bombardować nieco dalej, minąwszy nas już. Później dowiedziałem się, że były to przynależne do Aranjuezu, ustawione w dolinie Jarama, baterie artylerii rządowej. Wbrew spodziewaniu zawróciły raz jeszcze i ostrzelały tamtą stronę drogi. W karoserii auta znalazły się trzy kule, zresztą nieszkodliwe zupełnie. Wgramoliliśmy się z powrotem. Szofer był zachmurzony, ale Ilza rozradowana, z lekka zarumieniona i mówiąca o żołnierzach: *ces chers garçons*³¹⁶. Przed odjazdem przyprowadzono rannego. Otrzymał postrzał w nogę, utykał. Odwieźliśmy go do Valdemoro i dowiedzieliśmy się od niego, że rządowcy jeszcze raz odzyskali Sesenie, ale że sytuacja jest ciężka.

W Valdemoro Ilza postanowiła odwiedzić „swego wielkiego przyjaciela” komendanta 5. pułku milicji ludowych, Listera. Poznałem go był kiedyś przy objęździe frontu. Teraz

³¹⁵*burzan* — kępa stepowej roślinności, zwykle lopianów i ostów. [przypis edytorski]

³¹⁶*ces chers garçons* (fr.) — ci drodzy chłopcy. [przypis edytorski]

dowiedziałem się, że mówi po rosyjsku: kamieniarz z zawodu, *galleg*³¹⁷, pracował w Moskwie przy robotach kamieniarskich budowy kolejki podziemnej. W dawnej kwaterze „gwardii cywilnej” urzędował teraz Lister. Był to bardzo barczysty, ciemny i krępy robotnicarz, noszący się z rosyjska. Przy kurtce skórzanej i butach wisiał olbrzymi nagan³¹⁸ i większy jeszcze nahaj³¹⁹. Mówiliśmy po rosyjsku i miałem wrażenie, że jestem mu sympatyczny. W pewnym momencie przeszedł na hiszpański i po chwili zapytał, czy dobrze władam tym językiem. Powiedziałem, że słabo, ale mogę się już dogadać. Lister zapytał wówczas, czy mam karnet. Nie rozumiałem, jaki karnet. Ilza wmieszała się do rozmowy: wyjaśniła mi, że „karnet” oznacza tyle, co „bilet partyjny” partii komunistycznej. Listerowi zaś, że nie jestem komunistą. Uśmiechnąłem się, zaprzeczając, Lister popatrzał na mnie jeszcze, uśmiechnął się również, jakby o czymś myślał i powiedział: „*A nie żałko li?*”³²⁰ — „*Poka czto, nie żałko*”³²¹ — odpowiedziałem. I wtedy, i później rozmawiałem jeszcze wiele z Listerem, miałem wrażenie, że sympatia jest obustronna. Co znaczyło zapytanie w Valdemoro, nie powiedział mi nigdy. Być może chodziło o znalezienie jeszcze jednego tłumacza rosyjsko-hiszpańskiego, których tak bardzo wówczas właśnie brakowało.

Wyszliśmy z kwatery po wczesnej kolacji — Ilza zawsze umiała tak praktycznie wykręcić, żeby w porze posiłku znaleźć się przy możliwie największej kwaterze. Była już noc wczesna i chłodna, zupełnie jesienna. Szukaliśmy naszego auta, gdy uderzył nas gwar przy szosie. To przyjechały od Pinto tanki sowieckie. Milicjanci otoczyli je ze wszystkich stron, krzycząc „*Viva Russia! Viva Russia!*”, dotykając ich i poklepując, cisnąc się dookoła. Dwóch szczupłych, ściśniętych w pasie wojskowych w krągłych czapkach skórzanych, przeszło koło nas energicznym krokiem w kierunku kwatery Listera. Było zupełnie ciemno, ale wiedziałem, jak i Ilza, jak nasz szofer, że ci ludzie nie będą to Hiszpanie. Że są to oficerowie sowieccy.

Cizba niesfornych milicjantów rozstępowała się przed nimi, uciszała, jakby prostowała na bacność. Byli tacy zupełnie różni od tego tłumu, puebla i świata, że widząc ich, nie myślało się już o komunizmie. Myślało raczej o tym, że oto po raz pierwszy w historii kraj Iwana Kality³²² przybył sprawować ład w kraju don Kiszota z La Manczy. Wiedziałem już, że oni jedni wniosą tu to, czego rewolucja sama z siebie dać nie zdołała. Że będą Waregami³²³, przybyłymi z czerwonej północy na tych swych stalowych, pełzających po ziemi łodziach, wezwanymi do kraju, który pokłonił się teraz, jak ongiś ludzie znad Ładogi przed wikingiem Rurykiem³²⁴, i powiedział: „Ziemia nasza bogata i ludna, ale ładu, którego chcemy, w niej nie ma. Przyjdź i władaj”³²⁵. —

ZAŁAMANIE

Tego wieczoru jednak w Madrycie dostrzegliśmy pierwsze głębokie pęknięcia w spokoju stolicy. Gazety donosiły jeszcze o wspaniałych postępach ofensywy, o minięciu Illescas i zagrożeniu Toledo: ale tego dnia w paru punktach miasta wybuchały tajemnicze pociski, o których nie wiadano, czy pochodziły z jakichś niewidzialnych samolotów, grubych Bert³²⁶ ustawionych o dziesiątki kilometrów, czy maszyn piekielnych. Organ rządowy

³¹⁷*gallego* (hiszp.) — Galicjanin, człowiek z Galicji, regionu w północno-zachodniej Hiszpanii. [przypis edytorski]

³¹⁸*nagan* (z ros.) — popularny w Rosji międzywojennej rewolwer belgijskiej firmy Nagant. [przypis edytorski]

³¹⁹*nahaj* — skórzany bicz z krótką rączką. [przypis edytorski]

³²⁰*A nie żałko li?* (ros.) — A czy nie szkoda? [przypis edytorski]

³²¹*Poka czto, nie żałko* (ros.) — Na razie nie szkoda. [przypis edytorski]

³²²*Iwan I Kalita* (ok. 1288–1340) — władca ruski, książę moskiewski (od 1325), wielki książę włodzimierski (od 1328); uzyskał od tatarskiej Złotej Ordy prawo do zbierania podatków z całej Rusi, uczynił Moskwę rezydencją metropolitów Cerkwi prawosławnej (1326); uznawany za pierwszego jednoczyciela ziem ruskich i założyciela władztwa moskiewskiego. [przypis edytorski]

³²³*Waregowie* — staroruska nazwa wikingów działający na Rusi w VII–IX w. [przypis edytorski]

³²⁴*Ruryk* (zm. 879) — wódz Waregów (wikingów), założyciel państwa ruskiego, pierwszy z dynastii Rurykowiczów, książąt ruskich i carów moskiewskich. [przypis edytorski]

³²⁵*Ziemia nasza bogata i ludna, ale ładu, którego chcemy, w niej nie ma. Przyjdź i władaj* — słowa, którymi mieszkający skonfliktowanej ludności przyszłego Księstwa Nowogrodzkiego zaprosili Ruryka, aby został ich władcą (wg *Powieści minionych lat* najstarszego znanego źródła historycznego Rusi). [przypis edytorski]

³²⁶*Gruba Berta* (niem. *Dicke Bertha*) — potoczna nazwa najcięższego moździerza obłężniczego I wojny światowej, kalibru 420 mm, produkowanego przez niemieckie zakłady Kruppa; przydomek tej broni został nadany przez żołnierzy niemieckich jako odniesienie do imienia żony fabrykanta, Berty Krupp. [przypis edytorski]

podawał na pierwszej stronie wszystkie okoliczności śmierci generała Franco, pochodzące od naocznego świadka, który oglądał grób buntownika w Maroku: cytowano nawet napis grobowca: „Wódz i męczennik”. Niestety bujda nawet jak na analfabetyczne, ślepo wierzące masy, była za wyraźna. Zresztą powtórzono ją już uprzednio dwa razy i Franco za każdym zmartwychwstawał. Wiadomość, że Baleary już ostatecznie oddano Włochom, czego najlepszym dowodem jest rozpoczęcie na Majorce budowy wielkiego palace-hotelu pod nazwą „Roma”, także nie wywołała dość głębokiego wrażenia. Dużo większe wywarła epidemia nocnych strzałów ulicznych wybuchająca w różnych punktach miasta: mieszkańcy obchodzili zakaz pokazywania się w nocy na mieście, milicja ludowa strzelała zaś bez pardonu i za lada ukazaniem się przechodnia. Nie pytano nawet o przepustki. Szczęście noce były zupełnie czarne, a milicje strzelały licho. Niemniej budził nas po parę razy głos jakiegoś zapytania, potem strzał jeden, drugi, trzeci, coraz szybciej następujące po sobie. Słyszałem raz gwałtowny tupot kroków na naszej, pustej zupełnie ulicy. Kroki oddzwaniały niesamowicie potężnym echem. Huk strzałów przygłuszał je na moment, ale zaraz potem słyszało się je znowu. Wreszcie strzały stały się dalsze, a kroki ucichły zupełnie. Ścigany przebiegł do jakiegoś dalszego rewiru, może się ukrył, może padł. Mógł to być spokojny przechodzień, mógł to być także konspirator. Strzelaniny nocne sprawiły wrażenie, że Madryt jest podminowany konspiracją.

Konspiracja nacjonalistów działała zaś istotnie. Jednym z jej doskonałych chwytów było podrzucenie w samym hallu hotelu „Gran Via” kilkudziesięciu egzemplarzy organu socjalistów z artykułem, jaki posłanka do Kortezów Margareta Nelken zamieściła w pierwszych tygodniach przewrotu. Artykuł zawierał rozważania na temat, czy należy oszczędzać kobiety burżuazyjne, żony bankierów, kupców, polityków pravicowych, ich córki i siostry, bezpośrednio niewinne zbrodni mężów. Z wielkim nakładem argumentacji czerwona posłanka dowodziła, że należy się tu wyzbyc wszelkich skrupułów. „Nie są to właściwie kobiety — pisała dosłownie Nelken — są to zwierzątka luksusowe, samiczki do igraszki, rozbudzające systematycznie w swych mężach najgorsze instynkty użycia, a więc zysków, a więc z kolei ucisku masy robotniczej. Ich sny o autach, drogich futrach i Paryżu odbijają się suchotami waszych żon, rachityzmem waszych zagłodzonych dzieci”. Nie można było odmówić pani Nelken zdolności dialektycznych ani talentów argumentowania: w jej pojmowaniu jednak zbiry policyjne, które zamordowały Calvo Sotela, popełniły wielką pomyłkę, pozostawiając przy życiu jego żonę. Na wytłumaczenie winy zbirów należy powiedzieć, że artykuł Nelken ukazał się po zamordowaniu Calva Sotelo: ponieważ przyszedł on w okresie późniejszych, najbardziej rozpasanych samosądów, przeto należy mieć nadzieję, że wywarł pożądany przez autorkę efekt. Może Cobos-Sanchez czytał jej sądy. Niestety efekt, jaki ów artykuł, rozrzucony wśród obcych dziennikarzy, wywarł za mej pamięci, był zgoła odmienny. Paru Anglosasów zapytało wydział prasowy ministerstwa stanu o wyjaśnienie, poszliśmy też nabyć więcej tych egzemplarzy po to tylko, by stwierdzić autentyczność podrzuconego numeru. Nie ulegała ona najmniejszym wątpliwościom. Zasadniczo ministerstwo ani redakcja nie wypierały się artykułu. Ministerstwo było tylko nieco zakłopotane: wyjaśniało, że nie ukazał on się teraz, ale przed paroma tygodniami. Że Margareta Nelken jest kobietą; że posiada dużą indywidualność literacką; że należy do Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela; że w epoce Gil-Roblesa prowadziła wspaniałą kampanię o humanitarność więziennictwa; że jest pacyfistką. Tępi Anglosasi otwierali szeroko oczy i usta i prosili, żeby im to raz jeszcze powtórzyć. Że nie zrozumieli. Że jak? Powtarzano im wszystkim i każdemu z osobna te szczególne okoliczności łągodzące. — „Ja nie bardzo rozumiem tego kraju, ich pacyfizmu, humanitaryzmu — mówił mi potem pewien Anglik. — Takie katolickie kraje to widać coś innego. Ale pan jest katolik i pan jest ze Wschodu, a *mistress* Nelken pochodzi ze starej polsko-rosyjskiej rodziny. Może pan to lepiej rozumie”. — Istotnie *mistress* Nelken opowiadała, że jej rodzina pochodzi z byłego zaboru rosyjskiego, że posiada jeszcze krewnych w Warszawie i Odesie. — Anglicy w ogóle byli tępi wobec błyskotliwej umysłowości propagandy wydziału prasowego. — „Możemy panów zapewnić — mówiono nam zawsze w tym wydziale — że ilość codziennych »zaginionych« w Madrycie czy Barcelonie jest mniejsza od ilości zranionych w ruchu kołowym Londynu czy Nowego Yorku”. — Błyskotliwy argument trafił do przekonania wielu Francuzom, ale żadnego Anglika. „Yes, yes — przytakiwały

humanitarne, stare *ladies* i gruby Amerykanin z Hearsta — ale u nas ludzi przejeżdża się przypadkiem i za to płaci się 10 000 dolarów i więcej, a tu ludzi chyba nie zastrzelono przypadkiem, no i nie płaci się nic za to!”. „Ciężka praca z Anglikami — opowiadał mi tłumacz — tacy niepojętni! Zdawało się, że jako protestanci nie powinni się kłopotać o kościoły. Zawsze im opowiadamy o wszystkich zbrodniach kleru, oni kiwają głowami, wołają »O, o!«, a potem zawsze swoje: »No oczywiście, okropnie, ale tak zaraz zabić? Wszystkich?«” Propaganda miała wielkie trudności z tymi ludźmi i nawet wielki talent pani Nelken zadania jej nie ułatwił.

Odbył się wielki *meeting*, na którym zapowiedziano, że władze zostaną w Madrycie aż do końca. Niemniej prezydent republiki wyjechał z miasta nazajutrz i nie oparł się aż w Barcelonie. Natomiast każde zjawienie się Largo Caballero przyjmowane było prawdziwymi, głębokimi owacjami tłumu. Ten człowiek nie był ambitnym bufonem władzy, histrionem literackim. Dziś po odjeździe Azanii³²⁷ sytuacja stała się o tyle jasna, że on już jeden reprezentował naprawdę władzę państwa i rewolucję. Pozostała też Dolores Ibarruri, Pasionaria.

Najstraszniejszą kobietę rewolucji poznałem w dwa dni później, w najdziwniejszych zapewne warunkach, w niezwykle teatralnym miejscu. Już nie było mowy o Torejon czy o Sesenii: sztab Listera był nie w Valdemoro, nie w Pinto, ale u podnóża Góry Aniolów, tuż pod Madrytem. Od czterech dni co dzień widziałem tego pułkownika-robociarza. Jego armia, najlepsza z tych, co walczyły o Madryt, rozlatywała się w rękę, darła w strzępy uciekinierów, załamywała. Ludzie przecież nie byli żołnierzami, nie chcieli tej ani żadnej wojny, myśleli, że walka na barykadach zakończy wszystko, a oto okazało się, że rewolucja to cała wojna, to tanki i samoloty, Maurowie i artyleria. Gdy okazało się, że nawet owa masa tanków rosyjskich rzuconych na front nie przełamała tamtych, że wystarczyła na dwudniowe zahamowanie naporu, który potem przewalił się poprzez rosyjską przegrodę, gdy zobaczono tanki rosyjskie uwięzłe w gruzach Sesenii, spalone naftą i wzięte do niewoli, załamał się ostatek energii rewolucyjnej. Właśnie na tle tego wszystkiego tym wspanialej rysował się Lister. Dziennikarz, który był na froncie, sam kulił się na liniach bojowych, miał świst kul w uszach i czuł lęk, gdy z hukiem motorów przelatywały wielkie myśzołowy *Capronich*, nie będzie miał za złe tym ludziom, że nie dotrzymali w polu. Może mieć tylko podziw dla wodzów, którzy tych ludzi wstrzymywali w ucieczce. Lister w tych dniach sprawiał wrażenie człowieka, który zapał się w sobie, opanował, powiedział, że nie będzie reagować na nic, że odstępować będzie tylko krok po kroku. Ten kamieniarz odstępował z kamiennym uporem. Po kamieniarsku wyglądał każdą wyrwę w linii bojowej: myślę, że nie na darmo nosił u pasa swój nagan i nie na pokaz ten rewolucyjny *komandir*³²⁸ paradował z nahajem ekonomicznym. Ponieważ jego odcinek frontu odstępował najpowolniej, więc dziennikarze ściągali na te najciekawsze pozycje. Czy piąty pułk wytrwa? Przybywszy rano do Listera z panną Jeziorańską i starszym publicystą Szwajcarem, Hauserem, zebrałem informacje, obszedłem z nim część linii, gdy nadjechało kilka innych samochodów: Lister polecił mi powtórzyć, co słyszałem. W ten nieprzewidziany, a powtórzony jeszcze później sposób stałem się jakby referentem prasowym pułku: mam nadzieję, że zadanie wypełniłem i pożytecznie, i lojalnie. Zaraz po rozjechaniu się dziennikarzy udaliśmy się i my naszym autem na pobliską Górę Aniolów. Mieliliśmy odjeżdżać, gdy w całym towarzystwie, z dziennikarzami niemieckimi, których znałem i paroma kobietami, zjawił się Lister. Okazało się, że jedna z pań jest właśnie Pasionaria. Fotograf niemiecki przedstawił mnie jej dość nagle. Przyznam się, że słysząc tyle o „straszej” kobiecie, byłem zupełnie zmieszany. Nie podałem ręki, zresztą bez myśli żadnej. Zmieszanie powiększyło się jeszcze, gdy na wprost siebie widziałem kobietę starszą już, ubraną czarno, niezwykle skromnie, ale i z dziwną dystynkcją³²⁹: musiałem sobie z trudem powiedzieć, że jest to ktoś w rodzaju Margarety Nelken, choć jednocześnie wszystko mi mówiło, że nie. Lister pokazywał nam tymczasem operacje bojowe. Widok był rzeczywiście idealny: wysoka góra dominowała nad równiną, zaledwie sfalowaną. Sesenia, Torejony, wszystko to było już w tamtych rękach. Przez lornetki dostrzegano się

Rewolucja, Wojna,
Przywódca

³²⁷ *Azaña y Díaz, Manuel* (1880–1940) — hiszpański polityk, dramaturg i pisarz, drugi i ostatni prezydent (1936–1939) Drugiej Republiki Hiszpańskiej. [przypis edytorski]

³²⁸ *komandir* (ros.) — dowódca wojskowy. [przypis edytorski]

³²⁹ *dystynkcja* — tu: elegancja i wytworność, dystygowany sposób bycia. [przypis edytorski]

jakieś punkty na szosie i polu: to postępowały już pierwsze patrole tyraliery Franca. Nadleciał nad nas samolot i okrążywszy górę, wrócił do Illescas. U stóp wzgórza sypano wielkie okopy, motano druty kolczaste na wbijanych palach. Staliśmy wszyscy, ze znakomitymi gośćmi z Madrytu, oparci plecyma³³⁰ o wielki pomnik z żelazobetonu wystawiony za monarchii Sercu Jezusowemu. Wielka postać Chrystusa z rozpostartymi ramionami leżała już w gruzach: przez miesiące służyła za cel karabinów milicjanckich. Wreszcie wysadzono ją dynamitem. Wokoło postaci, której stopy pozostały tylko w kamieniu, chyliły się jakieś alegoryczne postacie hiszpańskich świętych, myślicieli, wodzów, ludu. Ich ruchy uciekania się i szukania pomocy nabierały teraz wyrazistości dziwnej mimo szram i pęknięć, zadanych eksplozją. Pasionaria patrzyła przez lunetę polową. W pewnym momencie mój znajomy Niemiec zawezwał mnie do tłumaczenia. Ktoś, mówiąc po rosyjsku, rozpytywał się o coś szoferów: przetłumaczyłem wszystko. Jegomość, otrzymawszy wyjaśnienia, przyjrzał się mnie nieufnie, dowiedział się, że jestem Polakiem, a potem zapytał dość niegrzecznie, w jakim właściwie charakterze tu przebywam. Myśląc, że to jakiś rosyjski dziennikarz, odpowiedziałem równie nieuprzejmie: „W takim samym, w jakim i pan”. — Odpowiedź wywołała jakiś odruch zaskoczenia: szczęściem właśnie dosłyszał ją zajęty Pasionarią Lister. Poklepał mnie po ramieniu swoją ciężką łapą i rzekł: „*Niet, molodoj czielowiek*”³³¹, trochę w innym charakterze niż ten pan”. — Mój znajomy Niemiec nie był zadowolony z przymówki. — „Nie rozumiesz, kto to był” — tłumaczył. — „Kto?” — zapytałem. — „*Der Russe es ist der militaerischer Beirat*”³³². — Istotnie, byliśmy w dość różnym charakterze świadkami tych wydarzeń.

*

Tymczasem wypadło nam zjechać w dół. Nie było mowy o wielkim objeździe. Mostoles było już nawet wraz z Pinto, Navalcarnero i innymi pozycjami w ręku faszystów. Przejechaliśmy przez Getafe zestrzelane dokładnie. Jechaliśmy drogą łączącą wszystkie trzy szosy, wzdłuż których posuwały się walki. W Leganes³³³, już bliżej szosy na Talaverę, wydrapaliśmy na wieżę kościelną. Przed wsią widać było tanki rosyjskie formujące się najwidoczniej w pochód. Podjechaliśmy do nich: po drodze jakiś milicjant pokazał nam gilzy³³⁴ od pocisków z rosyjskich armatek tankowych: uderzyła nas dość stara data: 1927 rok. Po drodze minęliśmy trzy tanki jadące również na pole, tuż za wsią. Tu stało ich osiem.

Zatrzymaliśmy się na szosie i zeszliśmy w pole. Osiem szarozielonych stalowych pudeł stało półkolisto na zoranej ziemi. Odcisk szerokich gąsienic znaczył się wyraźnie, jak ślad bestii, na zmiażdżonych przechodem skibach. Ale nie pozwolono nam pójść dalej. Znowu była eskorta już nie milicjantów, ale *Guardia de Asalto*, specjalnej formacji służącej w Hiszpanii do rozpraszania zbiegowisk, utworzonej przez republikę. Ponieważ przyjechaliśmy autem ministerstwa wojny, więc nie robili nam przeszkód. Dosłyszeliśmy jednak wyraźnie rozmowę tankistów toczoną po rosyjsku. Oni ze swej strony odeszli od szosy. Grupa, która była najbliżej nas, siadła z powrotem na ziemi: jeden z Rosjan rysował coś, klęcząc, patykiem i pokazywał Hiszpanom: ci starali się rozumieć. Tymczasem od Brunete ukazały się ominięte tanki: jeden miał chwiejącą się nad swą wieżą antenę radiową, dwa inne zbrojne były w długolufie armatki. Z pierwszego patrzano na nas pytająco i nieufnie. Wyszedł z niej człowiek, który pytał jednego z guardiów, a potem swych żołnierzy. Zdawało mi się, że jeden z tych ostatnich wskazywał jakby na nas. Człowiek zbliżył się. Był w skórzanym odzieniu, bez odznak. Miał bladą, kościstą, jakąś nieprzyjemnie surową twarz. Podniósł rękę wojskowo do hełmu samochodowego i zapytał nas po francusku o dokumenty. Pierwszym z nas był Niemiec Namuth. Namuth wyciągnął swoje:

— Pan jest Niemcem — zdziwił się chłodno człowiek.

Namuth uśmiechnął się tylko. Miał wszystko w porządku:

³³⁰plecyma (daw.) — dziś popr. forma: plecami. [przypis edytorski]

³³¹*Niet, molodoj czielowiek* (ros.) — Nie, młody człowieku. [przypis edytorski]

³³²*Der Russe es ist der militaerischer Beirat* (niem.) — Ten Rosjanin to doradca wojskowy. [przypis edytorski]

³³³*Leganes* — miasto w Hiszpanii, 11 km na południe od Madrytu. [przypis edytorski]

³³⁴gilza — łuska naboju. [przypis edytorski]

— Tak, Niemcem, emigrantem.

Ale człowiek nie indagował już o to, jakby chodziło mu od początku o co innego:

— Ale pan tu był — mówił powoli, z trudem widocznie, ale zupełnie poprawnie — dwa dni temu. Pan fotografował tanki. Z panem był jeszcze inny dziennikarz, który mówi po rosyjsku.

Przypomniałem sobie, że przecież ja fotografowałem właśnie tanki i mówiłem z tankistami po rosyjsku. Ale Namuth najspokojniej odpowiedział:

— Zgadza się. Fotografowałem tanki. Powiedziano mi, że nie wolno i oddałem rolę.

Człowiek wdrażał się dalej:

— Ale pan był tutaj z innym dziennikarzem, który mówił po rosyjsku. Pytam, jak się nazywa ten dziennikarz?

— Luis Fisher — powiedział niespodzianie Namuth.

— Kto to taki? — indagowano dalej.

— Luis Fisher? — dziwił się teraz Namuth. — To długoletni korespondent amerykański w Moskwie. Stąd mówi po rosyjsku. Mieszka w hotelu „Gran Via”. *Vous pouvez vous renseigner*³³⁵.

Myślałem, że przyjdzie kolej na nasze paszporty. Ale człowiek uspokoił się. Znowu zwrócił się bardzo grzecznie, choć bardzo stanowczo:

— Przepraszam, ale państwo nie mogą być tutaj. Przepraszam, ale proszę odjechać.

Mówił to wszystko po francusku, poprawnie, bardzo obco. Francuszczyzna chrząściła w jego ustach, trzeszczała w swych miękkich spojeniach, prawie jak ta skórzana kurtka, którą miał na sobie. Czuł się w niej niezgrabnie skrępowany. Odjeżdżając, miałem ochotę zawołać naraz swobodnie: „*Doswidanja, towariszcz*”³³⁶. Obejrzałem się. Tanki ruszały właśnie, poczynaly podpełzać pod niewielką wyniosłość gruntu.

*

Nie minęło pięciu minut, a byliśmy znowu w Leganes w drodze na szlak do Talavery. Stało się zupełnie spokojnie. Strzelanina dochodziła z daleka, od strony szosy na Aranjuez. Przejechaliśmy jakieś pueblo, podejrzanie puste. Wyjeżdżając za nie, zobaczyliśmy po naszej prawej ręce, a więc od strony Madrytu, gęstą tyralierę wojska. Posuwało się ono nie na Talawerę, ale właśnie na Madryt. Stanęliśmy. Nikt nam nie odpowiadał. Cała fala żołnierzy schodziła z pola. Dostrzeżyliśmy, że nie jest to właściwie tyraliera, że jest to zupełny odwrót bojowej linii. Ale nie rozumieliśmy jeszcze. Przecież cała walka toczyła się zupełnie gdzie indziej? Właśnie ta strona była nieatakowana. Przed chwilą widzieliśmy tanki rządowe sunące naprzód. Co znaczy ta tyraliera, wstecz, o kilometr za tankami?

Żołnierze byli już za nami zbyt daleko, żeby gonić kartofliskiem i pytać. Ale przed nami była i szosa Madryt-Talavera, a nią w kierunku Madrytu waliła cała karawana. Ruszyliśmy ku szosie i wysiedliśmy z wozu. Nie było najmniejszych wątpliwości: był to odwrót. Żołnierze, zmęczeni widocznie, rwali szybko w tył. Przejechały jakieś taczanki³³⁷, działo przeciwlotnicze. Komunista Namuth nie chciał wierzyć. Pytaliśmy ludzi. Szli, spoceni, okurzeni, nie odpowiadając. Z Hauserem wybiegliśmy jeszcze naprzód. Była tam niewielka wyniosłość gruntu, która zakrywała dalszy widok. Przy drodze stało jakieś opuszczone duże obejście. Montowano przy nim pospiesznie karabin maszynowy. Droga dalej, pole było wolne, zupełnie wolne... Kilkunastu żołnierzy tu i ówdzie przynaglało tylko kroku. Obsługa karabinu maszynowego wypatrywała w polu coś nerwowo. Zaczęli sobie pokazywać jakieś punkty: po obu stronach szosy na Talawerę, bez pośpiechu, w dużych odstępach od siebie sunęły dwa tanki. Postępowały tak spokojnie, były jeszcze daleko, że nie przeszło mi przez myśl, że mogą nie być rządowe. Ale Hausera uderzyła zaraz barwa, inna, jaśniejsza od rosyjskiej. Potem wielkość. Były to duże, ciężkie maszyny. Obsada karabinu maszynowego zaczęła oglądać się w tył. Wojsko za nami odstępowało w pośpiechu. Byliśmy zupełnie sami. Po chwili żołnierze zaczęli wydobywać karabin maszynowy z osłony prowizorycznej barykady, zładowali go na niską przewozową taczankę.

³³⁵*Vous pouvez vous renseigner* (fr.) — Może pan zapytać. [przypis edytorski]

³³⁶*Doswidanja, towariszcz* (ros.) — Do widzenia, towarzyszu. [przypis edytorski]

³³⁷*taczanka* — dwukołowy pojazd z zaprzęgiem konnym, uzbrojony w ciężki karabin maszynowy. [przypis edytorski]

Tamte tanki posuwały się zawsze wolno, badając teren. Można było myśleć, że orzą, że prowadzą sieć, że grabią. Nigdy, że to jest wojna.

— No — popatrzał na zegarek Hauser — jeśli pan chce robić reportaż z tamtej strony, to wystarczy zaczekać pięć minut.

Nie, nie chciałem robić reportażu z tamtej strony. Poszliśmy szybko. Biegiem. Nasi pozostali towarzysze byli w największej trwodze. Żołnierze pakowali się gwałtem do pozostawionego auta. Szofer i milicjant naglili. Tymczasem Namuth dojrzał w tłumie żołnierzy młodą dziewczynę sanitariuszkę. Klęła po hiszpańsku i niemiecku, płakała i krzyczała. Dostała szoku nerwowego. Była to sanitariuszka, Żydówka z Niemiec. Okazało się, że tanki włoskie wypadły zupełnie nagle. Żołnierze zaczęli uciekać. Gdyby Włosi posuwali się szybko, byłiby tutaj. Szli Maurowie. Ona wołała, żeby jej lazaret³³⁸ zabrano. Tymczasem wzięto samochód, wyrzucono rannych, zostawiono ją z nimi na szosie. Dziewczyna nie wytrzymała także, pobiegła za żołnierzami, wołała, prosiła, nikt jej nie słuchał. Dostała spazmów. Żołnierze mijali nas chmurnie, coraz prędzej. Ktoś próbował ich zatrzymać. Dziewczyna szlochała, spazmowała. Klęła rewolucję, Hiszpanię, tchórzów, oficerów, komunistów. „*Das ist keine Revolution, es ist Schade, Schade!*”³³⁹ Bezwstydni ludzie!” — Ludzie schodzili z pola nieprzerwanie, tłumnie, nie słuchając złorzeczeń. W pewnym momencie nadleciał samolot. Teraz wszystko poczęło uciekać biegiem. Siadaliśmy do auta, gdy pojawił się jakiś młody oficer. Zwracała uwagę jego kurtka, granatowa z szamerowaniami czarnymi, jak za monarchii, opięta po austriacku. Oficer był też typowym młodym oficerem dawnej armii. Teraz stał z pejcem i wrzeszczał rozkazy krótkie, jasne. Prosił nas donieść w miasteczku, żeby powstrzymano uciekających. Powiedział głośno: „Karabinem maszynowym!” Powiedział wyraźnie po to, żeby to słyszano. Żołnierze patrzyli się zawistnie na paniczyka. Paniczyk tymczasem, gdy odjeżdżaliśmy rozwrzeszczał się ostro, po hiszpańsku:

— Chciałeś, sk...synie, rewolucji? Chcesz, sk...synie, rewolucji? To teraz strzelaj, sk...synie! To teraz nie uciekaj, sk...synie!

Auto wpychało się w tłum jakby baranów. Nie trzeba było alarmować nikogo. Przed miasteczkiem powstrzymywano już wszystkich. Karabiny maszynowe sterczały lufami ku szosie, żołnierze byli stropieni. Nie chciano puścić naszego auta, myśląc, że to dezertery. Namuth był złamany zupełnie. Powtarzał: „*Alles ist schon verloren, verloren*”³⁴⁰. A ja myślałem naraz o Olszynie Grochowskiej³⁴¹ i o starym Chłopickim³⁴², który nie chciał Nocy Listopadowej, ale wobec Dybicza wołał prawie dosłownie to samo, co ten pański oficer.

CI, CO DOTRWALI

Dwa dni następne, ostatnie, przeszły na froncie tempem, którego nie miałem już nigdy w tej wojnie odnaleźć. Prawie na naszych oczach zostało zajęte Parlo; szliśmy w tyralierze czerwonej, która po debatach między oficerem, komisarzem politycznym i ogółem milicjantów oddziału miała zająć z powrotem opuszczone wzgórze; wraz z nią zwiewaliśmy po pierwszych strzałach karabinu maszynowego faszystów. Przebrnęliśmy przez Getafe, opuszczone, ostrzelane i pełne rannych. Kwatera Listera nie mieściła się już pod Górą Aniołów, ale na pierwszych domach przedmieścia. Cała linia obronna, umocniona schronami z betonu, pracą ostatnich dwóch tygodni, została zdobyta bez przeszkód i walk. Getafe, które było jednym z jej kluczowych punktów, padło nie wiedzieć kiedy. Już nie było mowy o kontrofensywie rządowej, o Torejonie, nawet o utrzymaniu szos. Wojna podeszła na przedmieścia. Huk strzałów dobrnął do centrum miasta. Pociski dola-

³³⁸lazaret — szpital polowy. [przypis edytorski]

³³⁹*Das ist keine Revolution, es ist Schade, Schade!* (niem.) — To nie rewolucja, to wstyd, wstyd! [przypis edytorski]

³⁴⁰*Alles ist schon verloren, verloren* (niem.) — Wszystko już stracone, stracone. [przypis edytorski]

³⁴¹bitwa o Olszynkę Grochowską (25 lutego 1831) — najbardziej krwawa bitwa powstania listopadowego, w której wojska polskie pod dowództwem gen. Józefa Chłopickiego udaremniły atak na Warszawę wojsk rosyjskich, dowodzonych przez feldmarszałka Iwana Dybicza. [przypis edytorski]

³⁴²Chłopicki, Józef Grzegorz (1771–1854) — polski generał; walczył m.in. w wojnie polsko-rosyjskiej (1792), w powstaniu kościuszkowskim (1794), w wojnach napoleońskich; w chwili wybuchu powstania listopadowego odmówił dołączenia do powstańców, jednak kilka dni później przyjął zaproponowaną mu funkcję wodza naczelnego. [przypis edytorski]

tywały i tutaj. Tymczasem my w mieście poczęliśmy asystować czemuś, czego niepodobna nazwać innym słowem jak rozkład władzy.

Piątego wieczorem było wiadomo, że rząd opuszcza, opuścił już Madryt, że nie ma ani Caballero, ani Alvareza del Vayo³⁴³, żadnego z ministrów, że stało się to tak szybko, że nie zdołano jeszcze utworzyć Junty de Defensa³⁴⁴, i urzęduje tylko jakiś nikomu nieznan, trójgłowy, robotniczo-polityczny komitet. Nie było nawet wiadomo, gdzie urzędował. Tegoż dnia wyszły regularnie, w zmniejszonym zresztą formacie, tylko dwa dzienniki, wszystkie inne nie wyszły wcale. Nazajutrz rano poszedłem do ministerstwa wojny, odnowić ważność przepustki frontowej. Nie było nikogo w biurach. Po tym pałacu Godoy³⁴⁵, słynnego faworyta z XVIII w., księcia Pokoju, kręcili się jacyś żołnierze, milicjanci i cywile, pełno było skrzyń, akt i kufrów, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Przedostałem się na jakiś korytarz wiodący do paradnych schodów, pokrytych grubym, niezwykle miękkim dywanem: stąd zaczynały się recepcyjne pokoje. Nie było przy nich warty. Jedynie w klatce schodowej stał spiżowy biust z podpisem: „*El Gran Capitan*”³⁴⁶. Wylazł jakiś żołnierz. Spytałem, kto to był *el gran capitan*. — „To był *un gran capitan*” — brzmiała odpowiedź. Obstukał popiersie, obejrzał i dodał, pokazując zęby w uśmiechu: „Widać, że nie bardzo cenne, skoro nie zabrali do Walencji”. — „A dużo zabrali do Walencji?” — Żołnierz zrobił ręką gest ku pokojom: „*Bastante*”³⁴⁷.

Mogłem tedy wejść spokojnie do gabinetów ministra wojny i przekonać się, że istotnie zabrano stąd dosyć. Były puste miejsca po obrazach, niezakurzone ślady po porcelanach jakichś czy brązach z kominków. Wysokie sale zachowały swe piękne meble. Był zupełny nieład. Jakieś papiery, jakieś podarte strzępy. Dużo spalonych szczątków jakichś dokumentów może. Metalowe tabliczki z napisami mówiły na niektórych drzwiach, że należy meldować się w adiutanturze, że tu jest adiutantura ministra wojny, sekretariat osobisty ministra wojny. Ale nie trzeba się było meldować nikomu. Nie było żadnych adiutantów, żadnych sekretarzy, żadnych woźnych. Okna musiały pozostać od wczoraj otwarte, mimo deszczu, bo na posadzce widać było szerokie strugi deszczówki, wmakające powoli we wzorzysty dywan smyrneński. Wreszcie dopadłem gdzieś Ariasa, szefa od przepustek. Przywalił mi swą pieczęć bez ograniczania, jak przedtem, terminu. Jeśli chcę wyjeżdżać, to muszę pójść do ministerstwa spraw zagranicznych, on nic nie może zrobić. Wszystkie auta już poszły do Walencji. — Istotnie w „Gran Via” nie było nikogo. Jak się okazało, w hotelu zarekwirowanym przez rząd pakowano wszystkich dziennikarzy zagranicznych, komunistów. Nie czekając długo, wyjechali tej nocy. Poszedłem do ministerstwa spraw zagranicznych. Straże obmacały mnie u wejścia, szukając broni, ale potem nikt już o nic nie pytał, nikomu nie meldował. Szefa prasowego nie było, jego sekretarzy nie było. Kroki rozlegały się głośno w korytarzach starego pałacu. W części gmachu znajdowało się paru młodych ludzi z odznakami partii komunistycznej. Robili wrażenie, że są tu po raz pierwszy i zaraz wychodzą. Istotnie, już popołudniu przenieśli się do gmachu telefonów madryckich i urzędowali tam jako cenzura zagraniczna. Tyle zostało z dawnego „ministerstwa stanu”.

*

Na mieście spotkałem młodego Anglika z Agencji Reuter: odnajdywano się teraz nieco jak po potopie, rejestrując znajomych i dzieląc ich na tych, którzy pojechali do Walencji, i tych, co zostali. Wbrew pozorom ci, co zostali, nie byli to wcale komuniści, lecz przeciwnie, raczej biali. Wobec powszechnego przekonania, że wkroczenie Franca, po

³⁴³ *Álvarez del Vayo, Julio* (1891–1975) — hiszpański publicysta, polityk i dyplomata; minister stanu w rządzie republikańskim Largo Caballero podczas wojny domowej, później Generalny Komisarz Wojny. [przypis edytorski]

³⁴⁴ *Junta de Defensa de Madrid* (hiszp.) — Rada Obrony Madrytu, doraźny organ, który przez pół roku kierował Madrytem podczas hiszpańskiej wojny domowej, powstała w listopadzie 1936 roku po ucieczce hiszpańskiego rządu republikańskiego do Walencji, gdy siły gen. Franco nacierały na Madryt. [przypis edytorski]

³⁴⁵ *Godoy, Manuel* (1767–1851) — hiszpański szlachcic i polityk, znany jako „książę Pokoju”, ulubieniec hiszpańskich Burbonów Karola IV i Marii Ludwiki; pierwszy sekretarz stanu (1792–1798) oraz wpływową szarą eminencją w latach 1800–1808. [przypis edytorski]

³⁴⁶ *El Gran Capitan* (hiszp.) — Wielki Kapitan. [przypis edytorski]

³⁴⁷ *bastante* (hiszp.) — dosyć; sporo. [przypis edytorski]

przegranej na frontach, rozbiciu ofensywy czerwonych i ucieczce rządu, jest tylko kwestią paru dni lub kilkudziesięciu godzin, nie sądzono, by ktokolwiek lewicowy odważył się zostać. — „O panu nie wiedzieliśmy z początku, co sądzić — mówi mi Anglik. — Wiedzieliśmy, że pan nie ma pomocy ze strony swego poselstwa, wiedzieliśmy także, że pan nie jest zakwaterowany, jak komuniści, za darmo: rozumie pan, że z początku zawsze się tu jest na baczności”. — Nie tłumaczyłem mu, dlaczego „nie miałem pomocy ze strony mego poselstwa”: obcy dziennikarze mieli wszyscy, z wyjątkiem komunistów, którzy byli gośćmi rządu, osobne legitymacje od swych ambasad, otrzymywali od nich mieszkanie, żywność, co w okresie powstającego głodu i kartek na prowianty stało się koniecznością, czasem nawet mieli stąd auta. Cieszyłem się za to, że nasze stosunki z dziennikarzami pozostały w Madrycie zacieśniły się jeszcze. Poszliśmy ku Rosales. Jest to jedna z nowych dzielnic, blisko centrum, ale już wzniesiona na krańcach płaskowzgórza, z którego Madryt opada parkami miejskimi ku Casa del Campo. Wzdłuż bulwaru oprowadzającego tę bogatą mieszkaniową dzielnicę, jakąś warszawską Filtrową, czy krakowskie okolice Błoń, wykopane były prowizoryczne rowy strzeleckie. Asfalt był zarzucony odłamkami cegły, tynku, pocisków; szereg domów było zrujnowanych; dużo szyb leżało na brukach. Oficer kierujący umacnianiem okopu powiedział nam, że tej nocy Maurowie dotarli już byli do dworca północnego, który leży właśnie o kilkadziesiąt metrów niżej. Dzięki różnicy terenu zdołano ów patrol wypłoszyć. Dowiedzieliśmy się także, że ów atak na Brunette, którego przed trzema dniami byliśmy świadkami, wprowadził strażę przednie nacjonalistów aż do Casa del Campo i z tej właśnie strony niespodzianie zagroził Madrytowi. Oficer przewidywał, że tu właśnie przyjdzie w najbliższym czasie nowy atak faszystów. Był zamyślony i poważny. Przed nami widniał duży parów, toczący w swej głębi mały Manzanares³⁴⁸, po drugiej swej stronie wznoszący się pagórkowato, powoli, wielkimi przestrzeniami porośniętymi kępami krzaków, wysoką płową trawą, piniami i oliwkami. Obeszliśmy Rosales. W kilku miejscach postawiono nowe barykady. Na ogół było pusto. Podeszliśmy pod Carcel Modelo. Czerwony gmach wzorowego więzienia, w ostatnich miesiącach świadek licznych kaźni, robił wrażenie zupełnie puste; mieliśmy dowiedzieć się potem, że więźniów wyprowadzono stąd nocą, w chwili gdy zdawało się, że Maurowie podpełzli już pod Rosales, i popędzono szosą na Alcalá de Henares i Guadalajarę; ale przed jedną ze wsi podmadryckich anarchiści dopuścili się gwałtownych samosądów. Od wielkiego parku miejskiego, założonego przez matkę ostatniego króla i noszącego jej imię, dochodziły liczne, bliższe już, strzały. Wróciliśmy do śródmieścia ulicami, na których koczowały tłumy uchodźców ze wsi podmadryckich.

Popołudniu przeszliśmy starym miastem, w dół ku Manzanaresowi, ku drogom, którymi tak niedawno jeździliśmy jeszcze na front. Miasto pozamykało moc sklepów. Ulicami snuli się ludzie w odznakach federacji anarchistycznej: zatrzymano nas parokrotnie. Weszliśmy wreszcie w labirynt dawnego Madrytu, w gęstwą domów, z których hiszpańscy Kilińscy i Konopkowie³⁴⁹ strzelali kiedyś przeciw szwoleżerom okupacji napoleońskiej³⁵⁰, jak nasi mieszczanie z insurekcji kościuszkowskiej bronili się przed jegrami³⁵¹ Igelstroma³⁵². Stare miasto otwierało się tu właśnie na większy plac, z dalekim widokiem ku Getafe, Parlo, frontowi. Co nas zastanowiło, to znaczny, ale normalny ruch w staromieściu. W Madrycie czuć było podniecenie, wyczekiwanie, nadzieje i niepokoje. Tu było jakby skupienie niedostrzegalnych jeszcze wysiłków. My sami czuliśmy się tu pewnie. Na plac dolatywały głośnie strzały. Stał tu duży łuk tryumfalny, zwany bramą toledańską. Przebiegaliśmy, chyląc się, wolną część placu i wzdłuż parkanów zbiegaliśmy w dół. Przy

³⁴⁸Manzanares — rzeka w środkowej Hiszpanii, przepływa przez Madryt. [przypis edytorski]

³⁴⁹Kilińscy i Konopkowie — odniesienie do postaci warszawskiego szewca Jana Kilińskiego (1760–1819) oraz mieszkańca Kazimierza Konopki (1769–1805), którzy wyróżnili się podczas insurekcji warszawskiej 1794 roku, zbrojnego powstania armii koronnej i mieszkańców Warszawy przeciwko okupacyjnemu garnizonowi rosyjskiemu w czasie insurekcji kościuszkowskiej. [przypis edytorski]

³⁵⁰strzelali kiedyś przeciw szwoleżerom okupacji napoleońskiej — podczas tzw. powstania *Dos de Mayo* (hiszp.: 2 maja), ludowego powstania, które wybuchło w Madrycie przeciwko Francuzom okupującym stolicę Hiszpanii i zapoczątkowało wojnę o niepodległość. [przypis edytorski]

³⁵¹jegier — w dawnym wojsku żołnierz specjalnej formacji strzelców w wojskach austriackich, pruskich i rosyjskich. [przypis edytorski]

³⁵²Igelström, Osip Andriejewicz (1737–1817) — rosyjski generał i dyplomata pochodzenia szwedzkiego, naczelny wojsk rosyjskich w Polsce w czasie powstania kościuszkowskiego 1794. [przypis edytorski]

moście na Manzanaresie stała warta. Nie chciała nas puszczać. Że nasze przepustki nie takie. Że nie mamy przepustek dzielnicowych. Wartę stanowili anarchiści. Nie bardzo rozumieli, o co chodzi.

— Przecież tam nie mieszkasz?

— To nic — mówię — ale jestem dziennikarzem, jeżdżę co dzień na front.

— Nieprawda, dziennikarze zagraniczni wszyscy są w Walencji — zaśmiał się trochę gorzko strażnik.

— Może i są — powiedziałem — ale ja jestem w Madrycie. I nie po to zostałem w Madrycie, żeby nie być na froncie.

— *De que nacionalidad?*³⁵³ — spytał się naraz inny.

— *Polacco* — powiedziałem.

— *E porque habéis frances?* Czego mówisz po francusku? — wyrwał się ktoś.

— Bo źle mówię po hiszpańsku, czasem sobie pomagam, ale nie jestem Francuzem, jestem Polakiem.

Widziałem, że mają albo sympatię niezrozumiałą dla Polski, albo antypatię do Francji. Potem okazało się że była to antypatia do Francji, której zarzucano właśnie w tych dniach podwójną grę. Ale tymczasem rozkrochmalili się jakoś:

— *Pasa*³⁵⁴. —

Mieli tylko trudności z przepuszczeniem mego angielskiego towarzysza. „*Inglatera, Inglaterra*”³⁵⁵ — mówili z pewną niechęcią. Wreszcie i to ustało. Uszliśmy kilkanaście kroków. Ulica była tu zupełnie pusta, nowoczesnie proletariacka, przedmiejska. Nie Stare Miasto, ale Wola warszawska. Podchodziła nieco ku górze: znajdowaliśmy się już na przedmieściu Carabanchel Bajo. W plebanii rozbitego kościoła była jakaś komenda. Znowu anarchiści. Któryś postanowił nam towarzyszyć. Przeszliśmy jeszcze dwie ulice, bokiem. Dachówki były z domów postręcane, szyb nie było. Domy stały puste i otwarte. Skręciliśmy znowu w jakąś uliczkę, biegnącą tuż między murami. Zawołano na nas: to w górze, na wysokości drugiego piętra, stały w oknie jakieś czaty. Jeszcze anarchiści. Szliśmy dalej. Wreszcie była linia. Stanowiły ją domy, mocno postrzelane, z resztkami mebli najbardziej ubogich i prostych: ludzie, którzy stąd uciekli, nie pozostawili za sobą ani spiżowych popiersi, ani dywanów. Weszliśmy do pokoju, którego górna część była zmieciona pociskiem. Musiało ich tu chyba padać wiele. Jedna ściana zachowała lustro, wielkie i nierozbite. Nachylo no je odpowiednio:

— Możecie widzieć tu wszystko — powiedzieli nam z dumą żołnierze. Byli to jeszcze ludzie z FAI. —

„Wszystko” odbijało się rzeczywiście w lustrze. Widać było kawał pola. Jakieś ogrodzenie ogródka, niczym dla kóz, sterczało na pierwszym planie. Nieco dalej stały dwa domy, a potem trzeci. Tak jak u nas, gdzie miasto nie ucina się całkiem, ale odrywa poszczególnymi domami od zwartej całości. Domy były o sto do dwustu metrów. Wiedzieliśmy już.

— *Moros?* — zapytał Anglik.

— *Requetes*³⁵⁶ — odpowiedzieli. — *Moros* mają swoje pozycje tam. —

I znowu końcem karabinu odchyłano lustro w odpowiednią stronę. Pozycje Maurów były bardziej na lewo. Nie było ich prawie widać, bo lustro, zastosowane w miejsce peryskopu, nie pozwalało widzieć zbyt wiele.

— Gdyby to byli *Moros*, a nie *requetes*, już by nam i to zestrzelili — pokazał anarchista na lustro: ci gorzej strzelają. I uśmiechał się. Było ich trzech tutaj. Mieli tylko karabiny i skrzynię naboji. Gilzy wały się po podłodze. Leżał plik świeżych numerów „CNT” i patelnia z resztą jakiejś pitrasiny. Ale uderzyli nas ci ludzie. Byli prawie że starzy. Mogli mieć powyżej czterdziestu lat. Krępawi, niemal otyli. Siedzieli spokojnie, bez dachu nad głową, bo ten odleciał, obserwując nieprzyjaciela w tym tandetnym lustrze ze ściany, z trzema karabinami. Naprzeciwko siebie mieli całą armię Franca. Najlepsze jego siły. Czy wiedzieli, co mają za sobą? Czy wiedzieli, że Madryt jest już próżnią, z której wyciekło,

³⁵³*De que nacionalidad?* (hiszp.) — Jakiej narodowości? [przypis edytorski]

³⁵⁴*pasa* (hiszp.) — przechodź. [przypis edytorski]

³⁵⁵*Inglatera* (hiszp.) — Anglia. [przypis edytorski]

³⁵⁶*requetes* — nazwa członków monarchistycznych milicji karlistowskich walczących w wojnie domowej w Hiszpanii po stronie gen. Francisco Franco. [przypis edytorski]

wyszczyło się wszystko w ciągu tych dwóch nocy, gdy nieprzerwanym ciągiem huczały samochody na szosie do Walencji?

*

Do tego człowieka było trudno się dostać. Nie ukrywała go żadna barykada. Z zawodu kominiarz. Kominiarz wydrapał się na ścianę zwałonego domu. Stałem poniżej tej ściany. Pełno było gruzu. Człowiek leżał na uciętej równo reszcie muru. Oparł karabin na leżące i mierzył. Oddawał strzały pojedyncze, długo mierzone. Czuło się, że pewne. Potem leżał bez ruchu długą chwilę. Miałem nieprzyjemne wrażenie, że każdy³⁵⁷ strzał tego człowieka jest celny. Leciał głośnym echem ku szosie. Ulica wychodziła tu w szosę, w drogę do Getafe. Było to jeszcze dalej od tamtego domu z lustrem. Człowiek, anarchista, jeszcze jeden z FAI, przyciął się był na gruzie tego domu. Liczył, że go nie dostrzegą. Że nikt nie przypuści, że może leżeć tak na wąskiej, osypującej się ścianie. Mogą go wypatrywać, tego tajemniczego, celnego strzelca wszędzie; w gruzie, któryśmy minęli (wtedy strzelano do nas tak z bliska, jak nigdy dotąd chyba), przy tamtym domu z blaszanymi szyldem rzeźniczym, przy tej barykadzie, zza której mierzyć nie sposób: zbudowano ją niewprawnie, tak niemądrze, że ma przed sobą dobrego obstrzału jakieś 30 metrów. (To wszystko powiedzieli mi anarchiści, sam jeszcze tego nie rozumiałem). A tymczasem człowiek odprowadzi zamek, uważnie, nie podnosząc przy tym łokcia. (Pokazywał mi towarzysz, stojąc przy mnie, ten jego powolny, skradający się ruch). Ruch kończył się szybszym zaciągnięciem zamka: nowa kula już tkwiła w lufie. Teraz człowiek wświdrował się oczyma w drogę: po jej bokach, w rowach leżała tyraliera nieprzyjacielska. Stąd by ich było widać lepiej niż z tamtego przejścia; tam odróżnialiśmy ciała leżące nieruchomo jak jaszczurki, ale gotowe poderwać się ku tym domom: Maurów. Pierwszych moich Maurów. I ciała zupełnie nieruchome, wywalone na wznak, czasem leżące tak na piersi, jakby podpierające się łokciem, czasem znieruchomiałe w jakimś skuleniu się, zgarbieniu. Takie, które przestały już czaić się, wtulać w grunt. Takie, które już się nie poderwą. Nocą ściagną je tamci. Pewno także zniosą na jakiś daleki stos, poleją benzyną. Jest jedna reguła, której tu się przestrzega pilnie: trupom nie wolno gnić. Nie wolno leżeć. W tym kraju południa strach przed zarazą, wszczepiony wiekami i przed wiekami, trwa jeszcze. Tej reguły usuwania padła nie podważyło nic.

Trup

Kominiarz obraca ku nam w dole wolno głowę. Jeżeli obraca, to znak, że tam nic się nie dzieje na szosie. Tyraliera tamtych nie ma ochoty znieruchomieć nowymi ciałami. On nie będzie strzelał na niepewne. Tamci wypatrują na pewno pilnie, skąd pada tajemniczy strzał. Lokalizują go żmudnie, ale coraz wyraźniej. Dotąd tego nie zrobili dokładnie. Jest godzina piąta, o siódmej w listopadzie nie widzi tu nawet ślepie Maura. Trzeba więc przez dwie godziny — tylko dwie godziny, aż dwie godziny — zatrzymać tamtych. Od rana cztery pozycje umilkły. Jest tu teraz tylko on i ci od lustra. To może na dwie godziny starczyć. — Głowa odwróciła się znowu ku polu. Oczy kominiarza, napłynięte jakąś niespodzianą wyrazistością, wyluskują dalej brudę po brudzie. Karabin maszynowy z tamtych domów zaczyna grać. To dobrze. Taki ich karabin daje animusz tym z rowu; myślą, że coś robi w tej gęstwie murów, które opukuje zawzięcie. *Merde*³⁵⁸. To właśnie moment, kiedy upewnieni, rozzuchwaleni, mogą podźwignąć głowę. Głowa, tułów, odetnie się wyraźniej od szosy, ziemi rowu, krzaków. Wtedy można strzelać. Zupełnie pewnie.

*

Piąty dom. Tamte po drodze — nic. Ale ten. Okno, gdzie mieli karabin maszynowy, ma framugi poślóbione kulami. „Gdyby tynk odkrajać — śmieje się milicjant — wypadłyby jak rodzyнки z ciasta”. Ale żeby tynk tu krajać, trzeba się wychylić, a wtedy trzeba by taki rodzynek wykrajac z własnego ciała. To jednak nic. Pokazują mi karabin, szczególny karabin. Dostał kulę, która rozszczępiła początek drewnianego łożyska

³⁵⁷każden (daw., dziś gw.) — dziś popr.: każdy. [przypis edytorski]

³⁵⁸merde (fr.) — gówno. [przypis edytorski]

i wżarła się w kolbę. Siedzi. Właściciel karabinu ma kontuzjowaną sfoletowiałą twarz — i nowy karabin. Gdy o tym mówimy, siedzi rozkraczony na ziemi i nożem wycina sobie jedna po drugiej niewielkie pajdy z bochenka. Tak właśnie jedzą w przerwach od pracy robotnicy hiszpańscy: łamiąc chleb po kawałku lub krając go na małe, zjadane jedna po drugiej cząstki. Jedząc, patrzy się na stary karabin, ten z kulą, zatrzymaną przez broń; mogła rozłupać mu czaszkę, a tu ugrzęzła. Gładzi ciężką łapą kolbę i mówi z żalem: „*Un buen, buen fusil*”. Dobry, dobry karabin.

*

Do tamtego domu nie dojdziemy: zanadto ryzykownie. Tu w domach i gruzach tak zupełnie inaczej niż na froncie! Tam była daleka linia, wielka przestrzeń: niebezpieczeństwo zagęstniało się stopniowo, ryzyko powiększało się równomiernie i powoli. Wchodziło się w nie, jak się wchodzi w morze na wielkiej, wolno w dół schodzącej plaży. Tu, już właściwie w mieście, niebezpieczeństwo jest zupełnie inne; o krok stąd wielkie. W tym miejscu żadne. Za tamtym węglem — ogromne. Wszystko zależy od tego, gdzie wskutek zawalenia się domów czy po prostu wskutek takiego właśnie kierunku ulic są miejsca będące już pod obstrzałem tamtych. Ten dom właśnie jest najzupełniej pod obstrzałem. Nigdy bym nie powiedział, że siedzą w nim ludzie. Ale to tak na pozór. Ten dom daje naraz na trzy ulice. Z pierwszego piętra można granatami ręcznymi zatrzymać atak nocny. Już mi w tamtym domu mówili o atakach nocnych, jak to jest. Wtedy działa granat ręczny i dynamit. Strzały padają na ślepo: jest za ciemno. Same jedne niewiele by zrobiły. Ale granat odporny, jajowaty żelazny pocisk, pokrajany głębokimi cięciami jak (zabawne!) tabliczka czekolady, staje się bronią straszną. Roznosi całe ciało. To samo dynamit. Po chwili mam w rękę długi czarny nabój. Anarchista odbiera mi go i znowu chowa pod siebie. Siedzi na takiej skrzynce drewnianej, pełnej tego drobiazgu.

— Jak długo tu jesteście? — pytam.

Oni liczą: — Dwadzieścia osiem. Tamten dwadzieścia. Ten trzydzieści sześć godzin. Ale nie są tu od początku. W tamtych domach są tacy z najpierwszych, którzy tu są czterdzieści osiem godzin. Tu nigdy nie będzie się liczyło na dni. Tu są tylko godziny frontu. Takie godziny mogą być wiekami, mogą być dziesiątkami lat. Niewiele się wytrzyma takich godzin.

— Tamci nie następują? —

— Następowali — powiadają. — My tu ich czekaliśmy od początku. My wiedzieliśmy — (nie wiem dlaczego, mam wrażenie, że ci ludzie, mówiąc po polsku, tak właśnie by mówili) — że oni aż tu dojdą. Tam było pole. Tu jest miasto. Pole jest ich. Miasto jest nasze. Oni w mieście nie umieją.

— Nie dostawali się tu?

— A jak! Cmentarz choćby. Cmentarz Carabanchel Bajo! Nie znasz cmentarza? Jakie tam groby, same marmurowe. Było, że mieli cmentarz. Myśmy odbili nocą. Na granaty i dynamit rady nie ma w mieście. Jeżeli przejdiesz — i tu rozpoczęło się długie opowiadanie, jak przejść — to dojdiesz aż do cmentarza. Zobaczysz, co porobił dynamit.

*

Nie doszedłem do cmentarza. Carabanchel Bajo znalazł się znowuż, o zmierzchaniu, pod obstrzałem artylerii. Przebiegliśmy małą, wąską uliczką. Jakieś dachówki posypały się za nami. Pociski zapadały się w gąszcz domów, ale daleko. Przedmieście było rozległe. Podeszliśmy znowu do mostu. Straże nas poznały. Anarchista, który najbardziej dopytywał się i opierał, teraz klepał mnie po ramieniu, mówił „*muchacho*”. Był z czegoś rad. Trzeba było podejść, chyłąc się pod mur wzdłuż całej ulicy, do bramy toledońskiej. Ściemniło się mocno, gdyśmy dobrnęli do Starego Miasta, przeszli przez Puerta del Sol, Alcalá. Rozumiałem teraz, co zaszło. Oto całe staromieście madryckie, anarchistyczne przedmieścia, dynamitardzi, robotnicy, tutejszy Kercelak i Powiśle, bardziej nawet niż polityczna Wola, wszystko to w godzinie trwogi poleciało za Manzanares. Armaty, które

waliły w przedmieście, niewiele mogły zdziałać. Poburzyły moc domów nędznie budowanych, pomordowały ludzi, gdzie trafiły, ale samym swoim przechodem tworzyły rumowiska, za którymi można było się kryć, chować, przemykać i bronić. To było ważne. Pocisk wpadający w gęstwą domów zabijał i burzył, ale działał mimo wszystko w dość małym, bo zakurczonym murami promieniu. To nie było swobodne pole. Na gruzy poburzonych domów mogli wpełznąć od miasta, wydostać się z nietrafionych pociskiem miejsc nowi czy pochowani dobrze, ocalali obrońcy. Gdy po ogniu artyleryjskim przychodziła kolej na atak piechoty, na tyralierę, strzelano z ukrycia do idących. Nocą rzucano granaty na każdy głośniejszy krok. Rozpoczęło się dziwne pasowanie. Armaty stały się bezradne wobec tego półrumowiska, które swymi strzałami rozrabiała w jakieś gęste, kształtozienne ciasto, miesiły, deformowały, ale które w godzinę później odpowiadało nowymi strzałami, odpryskiwało na piechotę nowymi rzutami granatów. Wtedy gdy szedł ogień artyleryjski, schodziło się za wnęki murów, w podziemia: byle przetrwać. Armaty musiałyby walić raz koło razu, przemieścić każdy metr kwadratowy. Wtedy, oczywiście, piechota by przeszła swobodnie. Ale niewielka armia Franka nie była tak mocna. Przeciwnie, artyleria rządowa ostrzeliwała z daleka widne na równinie koncentracje wojsk. Tylko że o tym wszystkim miałem się dowiedzieć, mieliśmy to zrozumieć dużo, dużo później. Teraz wyglądało to heroicznie, beznadziejnie i strasznie. Ci żołnierze, nieliczni, niezmienniani, niezaopatrzeni, walczyli przeciw całej armii, zwycięskiej w niedawnych bojach, nie mając za sobą nic. Madryt o nocy był takim wyludnym miastem, nie broniącym się, lecz wyczekującym, splukanym paniką. Miastem rozkładu władzy. W kawiarni zeszli się ostatni pozostali dziennikarze. Były zakłady, kiedy Madryt padnie. Powszechnie zdziwienie budził ryzykant, który twierdził, że dopiero na Boże Narodzenie. Dzwoniłem do moich czerwonych znajomych hiszpańskich. Wszyscy byli w Walencji.

*

Okolo ósmej wieczór syreny dały znać nalot samolotów. Padło kilkanaście bomb. Wyszedłem po półgodzinie. W paru miejscach bliskich centrum, przy poczcie, ministerstwie wojny, wielkich hotelach, dogorzewały domy. Nie było straży pożarnej. Kręcili się za to jacyś ludzie, bez żadnych politycznych odznak, ale z bardzo wyraźnymi, choć nieśmiałyymi jeszcze, grabieżowymi zamiarami. Jakieś wietrzące za resztkami „niezrewidowanych” portfeli, tchórzliwe, w mrok uciekające za lada krokiem, ale czujne hieny. Wracając ulicą, zabłądziłem. Na przeciwnym trotuarze usłyszałem jakieś szybkie kroki. Przeszedłem na tę stronę. Kroki stały się szybsze, coraz szybsze, przynagliłem. Dopadłszy wreszcie jegomościa, zacząłem go pytać, jak trafić na moją ulicę. W ciemności zaczął bełkotać coś strwożonym głosem. Wyjaśniał z trudem, że nie ma broni. Wtedy zobaczyłem w ciemnościach, że podniósł ręce do góry i trzyma je ciągle. Musiałem go dobrze uspokoić, nim zrozumiał, o co mi chodzi. Okazało się, że odszedłem daleko od domu i że jest jedenasta. Nie miałem przepustki nocnej, ale też nikt tego już nie pilnował. Gdzieś daleko spieszyły czasem jakieś kroki, ktoś dopadał bramy. Słyszało się to wszystko tak zdwojenie, jakby na czarne miasto ktoś nałożył ogromny, zwiększający megafon. Strzały karabinowe klekotały już ze wszystkich stron miasta. Cisza przybliżała je jeszcze. Mogłem prawie że z taką samą pewnością spotkać tu pierwszy patrol Maurów, co ostatni rządowców.

Od wąskiej Fuencarral dopadłem do Gran Via, potem do Alcala, schodziłem szybko w dół, wciąż w ogromnych, zaróżowionych czasem odbłaskami pożarów, ciemnościach. Latarni nie palono od miesiący. Nagle przy Alcala, od bulwarów, którymi często szło wojsko, zaczął wpadać w tę przejmującą ciszę jakiś stłumiony, daleki jeszcze, werbel bębnowojskowych. Nie było wątpliwości: bębny. Stałem w miejscu, słuchałem i czekałem. W ciemnej ulicy, w której domy połyskiwały szarawo, pod zrudziałym łunami niebem, bito w werbel. Potężny łoskot werbla huczał jak echem. Werbel był coraz bliższy. Teraz podszywał go jeszcze tupot kroków maszerujących oddziałów. Musiały maszerować tu chyba całe kompanie, może pułk, brygada, tak ten miarowy, wyliczony łoskot tysięcy stąpnąć wbijał się w wyludle³⁵⁹ miasto, w ciemność, w wyczekiwanie, w najstraszniejszą

Dźwięk, Cisza, Wojna

³⁵⁹wyludle — dziś popr.: wyludnione. [przypis edytorski]

rzecz — ciszę wojny. Rytm marszu nawijał wokół siebie wszystkie inne odgłosy, gęstniał nimi, przywracał jakiś ład. Ale wojska dalej nie było widać. Naraz, tak samo potężnie, buchnął śpiew:

— *Arriba, parias de la tierra,
En pie, famelica legion!
Atruen a la razon del marcha;
Es el fin de la opresion!* —

Śpiew, Rewolucja,
Samotność, Miasto

Międzynarodówka spłynęła dalej, dalszą strofką, po bruku wymarłych ulic, po asfaltach pustego bulwaru. Ale nikt nie szedł. Nie widziało się wciąż nikogo. Znowu na pół tempa zaczęła zapadać cisza. Nim jednak zapadła zupełnie, poderwał się znowu ten sam warkot werbli żołnierskich, tupot kroków. Wiedziałem już, co to jest. To zawieszono przy poczcie wielkie głośniki radiowe rzucają na miasto, z małej płyty gramofonowej, ostry hymn Kominternu³⁶⁰, to z takiej małej płyty, granej tu ciągle aż do znudzenia, wylatywał nieraz ten łoskot werbli i kroków żołnierskich, poprzedzających każdą zwrotkę. Ale o tej porze i tej nocy banał, jaki ją obrósł, uciekł daleko stąd. Pewno ze wszystkimi, do Walencji. Jedynym żywym pozostałym w tym porzuconym mieście była teraz mała, na całe miasto hucząca płyta. To przez nią nieistniejące tłumy śpiewały dalej pieśń rewolucji, to przez nią dygotał marsz nieistniejących oddziałów, grzmiał po ulicach Madrytu łoskot żołnierskich werbli, których nie było. To ludziom walczącym na przedmieściach ona jedna niosła wieść o tym, że za ich plecyma coś żyje, śpieszy z odsieczą i walczy.

ZBOMBARDOWANO

Cała Gran Via jest w gruzie i żwirze szklanym, tynkowym, kamiennym. Więc jednak stało się to, co — jakże naiwnie! — zdawało się niepodobieństwem³⁶¹ jeszcze przedwczoraj, jeszcze wczoraj, jeszcze dziś. Cóż teraz, nie mogąc wkroczyć, zrobią „tamci”? — pytaliśmy się wtedy wzajemnie. — Jeszcze jeden szturm, pod górę, przez gęstwą najeżonych barykadami ulic? Otoczenie miasta wokoło, oblężenie, wzięcie głodem? — „Nie będą przecież bombardować Gran Vii!” — powiedział ktoś. — „A dlaczego, młody człowieku? Cóż to, Gran Via, dlatego, że jest piękną ulicą, siedzibą banków i jubilerów, jest świętym świętych?” — Tak właśnie ripostował Amerykanin z koncernu Hearsta, z amerykańskiego „IKC”, ale myśmy mu nie wierzyli. A to on miał rację. Zbombardowano z armat Gran Vię dzisiaj popołudniu, między godziną trzecią a czwartą, i z wyjątkiem trupów, nielicznych zresztą, wszystko pozostało, jak było. Jakiś tego nie słyszeli? Ale w mieście bywa różnie. Raz pocisk leci echem, innym razem zapada w głąsę. Jedenaście pocisków armatnich zaryło się na przestrzeni dwustu metrów wspaniałej ulicy stołecznej. Kilka z nich śmignęło ponad dachy, poodłupywało jakieś balkony, zgniotło jak blaszaną manierkę hełm jakiegoś drapacza. Ale reszta leciała jak jaskółki na deszcz, nisko przy ziemi. Oto tutaj pocisk uderzył w granitowe odrzwia wielkiego sklepu z kasami National³⁶². Wszystko jest w gruzach i pyle, a granitowy portal wygląda jak ser nadgryziony głęboko przez mysz. Za to kasa National na wystawie ma wszystkie swoje wnętrza metalowe powyrywane, powyciągane na zewnątrz, poskręcane w jakieś pręty i struny. Co tam kasa National! Tutaj padł tylko odłamek pocisku, może tylko gruz odbity z góry, ale cała szyba jest wywalona, a gramofony, płyty i aparaty fotograficzne sterczą wśród tego gruzu. Można ręką sięgnąć przez kratę — szeroką, wygodną — i brać. Nikt nie bierze nic, choć już dobrze zmierzcha. Gran Via jest wyludniona jak nigdy. Szkło tych szyb było grube, rozbiło się w drobne kawałki, które skrzypią i które odsuwa się nogą po drodze. Jak liście późną jesienią w naszych ogrodach — tragiczne, madryckie liście.

Największy drapacz chmur na Gran Via, miejsce naszych dziennikarskich *rendez-vous* o tej porze i później jeszcze, to gmach centrali telefonicznej. Oszklone drzwi rozbite.

Miasto, Wojna

³⁶⁰*Komintern* (skrótowiec z ros.) — Międzynarodówka Komunistyczna, zw. też Trzecią Międzynarodówką, organizacja międzynarodowa założona w 1919 w Moskwie przez kilkanaście partii i ruchów komunistycznych, z inicjatywy Włodzimierza Lenina; miała na celu propagowanie idei komunistycznych i przygotowanie światowej rewolucji; rozwiązana w 1943 przez Józefa Stalina. [przypis edytorski]

³⁶¹*niepodobieństwo* — coś nieprawdopodobnego, niemożliwego. [przypis edytorski]

³⁶²*kasa National* — kasa sklepowa firmy National Cash Register. [przypis edytorski]

Znowu popołudniowe bombardowanie. Jest pełno ludzi na dole. Wjeżdżamy na dziesiąte piętro. Na tej wysokości jeszcze Telefónica jest kolosem grubym i bezpiecznym. W dużej sali siedzi nudząca się gromada cenzorów, moi koledzy czekają na swoje Londyny i Paryże. Wychodzimy schodami na wyższe nieco piętro, stąd widzi się wszystko, najdosłowniej w świecie. Ogarnia się wzrokiem cały front podmadrycki, od sterczącego pod niebo Cerro de los Angeles, poprzez Carabanchel Niski i Wysoki, poprzez płowe wzgórza Casa del Campo aż po drogę do Escorialu, szlak, którym weszli kiedyś Francuzi, i Ciudad Universitaria. Miasto uniwersyteckie to zespół wspaniałych, niezupełnie jeszcze wykończonych gmachów, laboratoriów i zakładów. Z wielkiego ceglanego czerwonego gmachu powiewa od wczoraj wieczór sztandar czerwono-żółto-czerwony. Jest to odpowiedź na te wszystkie sztandary z republikańskim fioletem, które wykwitły na wieżach Madrytu. Dawny sztandar królewski wrócił z Maroka, a Ciudad Universitaria to pierwsze domy Madrytu, gdzie wbił swe drzewce. Teraz już się ściemniło. Widać tylko ognie buchające z dalekich armat, jak błędne ogniaki, a niżej schodzące ku rzece przedmieścia Madrytu całe są ogarnięte rdzawomgławym tumanem. Tuman stoi nad domami jak słup ognisty, bo też naprawdę jest z ognia. To co chwila w coraz to innym miejscu nowa eksplozja podnosi pod niebo kurz, dym i płomień. Bomby prawie wszystkie są zapalne. Jeśli i przedmieścia nie stoją w jednym morzu płomieni, to wskutek tego, że kamień, z którego buduje się tu domy, stoi oporem. Rdzawy tuman, jakby wmięciony spod nóg niewidzialnych zastępów tatarskich, podpełza za to pod Madryt.

Sala telefonów nie ma okien na tę stronę, nie widać więc z niej nic. Wszyscy są podnieceni. Telefony spóźniają się niemożliwie. To władze nadają swym ambasadom w Paryżu i Londynie wszystkie jak najmniejsze szczegóły. Nie byle co. Jedenaście bomb na Gran Via, osiemnaście w centrum miasta. Musi to podnieść propaganda, jak propaganda musi podnieść i ukazać ową skrzynkę zrzuconą wczoraj na spadochronie z samolotu nieprzyjacielskiego. W skrzynce tej odesłano wojskom rządowym półwiartowane i trudne do rozpoznania zwłoki lotnika, który spadł onegdaj³⁶³ po stronie powstańców... Dziennikarze zagraniczni, którzy skrzynkę widzieli, mają pewne podejrzenia i są raczej wstrzemięźliwi z nadaniem wiadomości: tym usilniej należy ją kolportować. Trzeba dać znać, trzeba zużytkować te bomby, które padły na śródmieście. Nikt się nie dziwi, że tak jest. Telefony są zajęte. Mury centrali telefonicznej są to grube płaszczyzny betonu oprawne w ramy żelazne. Wysoko nad ziemią siedzimy jakby w jej głębi. Cicho, nie słychać gwaru miasta. Poprzez mur dochodzi tylko czasem głuchy odgłos jakby trzepania dywanów. A my wiemy, że to bomby.

Jest zupełnie ciemno, podchodzi Anglik z Agencji Reutersa:

— Poszaleli zupełnie. Rzucili bomby na pałac księcia Alby! Jest cały w ogniu.

To nie jest tylko pałac jednego z największych magnatów europejskich, który dzwiga nazwisko i dziedzictwo pogromcy protestantów flandryjskich i jest zarazem dla heroldii³⁶⁴ wielkobrytyjskiej *dukem of Berwick*, co tak samo jak Alba zatrąca historią i dramatami Schillera. To nie tylko taki Radziwiłł jednego kraju, a jednocześnie Esterhazy³⁶⁵ drugiego. To nie tylko siostrzeniec cesarzowej Eugenii³⁶⁶. Jego dom to wspaniały pałac, w którym jest galeria obrazów, od Goyi, Velazqueza, Murilla, aż po Winterhaltera, bogatsza niż wszystkie galerie obrazów, jakie są w Polsce. Wszyscy rzucamy się na korytarz, do okien. Z kotłiny wciśniętej pod dzielnicę Rosales istotnie wzbija się słup dymu z pałacu księcia Alby. Gruby Amerykanin z koncernu Hearsta już popędził do windy. Zawsze tak robi. Od czasu, gdy wszystkie samochody ministerstwa odjechały do Walencji i nie wracają, on jeden ma samochód, wszędzie jeździ, ale nie wozi nikogo. Pewno teraz śmiga ku Rosales... Bumm, bumm.

Huk fałą powietrza podpłynął pod okna. Nisko, nisko pod oknami — jak śmiesznie to wszystko widzieć z tak wysoka, jakby się było zawieszonym w kryształowej kuli nad światem — wzbijają się dwa wielkie tumany. Dwa pociski runęły na Puerta del Sol.

³⁶³ *onegdaj* (daw.) — przedwczoraj; również ogólnie: dawniej. [przypis edytorski]

³⁶⁴ *heroldia* — instytucja zajmująca się sprawdzaniem dowodów szlachectwa i prowadzeniem ksiąg szlachty. [przypis edytorski]

³⁶⁵ *Esterházy* — nazwisko rodowe starej, znaczącej węgierskiej rodziny magnackiej. [przypis edytorski]

³⁶⁶ *cesarzowa Eugenia* — Eugenia María Ignacia Augustina de Palafox y Kirk Patrick (1826–1920), żona cesarza Napoleona III, ostatnia monarchini francuska (1853–1871). [przypis edytorski]

— Poszaleli, poszaleli! — woła Anglik.
— *Dis donc*³⁶⁷ — mówi kolega z „Petit Journal”³⁶⁸ — jak to jest z tym pałacem tego księcia? Trzeba to dać?

Wiem, że zwiedzałem ten pałac właśnie niedawno, już „zainkautowany” i zamieniony na muzeum.

— Dobrze, ale co was interesuje? — pytam.

— Mów, co wiesz, ja zanotuję, co mi potrzebne.

Więc mówię, że taki a taki to magnat, grand hiszpański, lord angielski, uczony historyk, minister spraw zagranicznych za monarchii, wnuk tego Alby za Filipa II.

— *Qu'est-ce qu'il faisait, son grand papa?*³⁶⁹

— *Gouverneur des Pays-Bas*.³⁷⁰

— *Eh, gouverneur. Laisse donc ça*.³⁷¹

— Ale nie. *Grand capitaine. Représailles. Protestants*.³⁷²

— *Eh, c'est pour moi*.³⁷³

To antyfaszystowski dziennikarz amerykański. Bardzo zajmuje się historią, nie zna jej wcale.

— Mówisz, że to taki faszysta dzisiejszy.

— Niech ci będzie. *Mets le*.³⁷⁴

„Bomby faszystów spaliły pałac księcia Alby, faszysty z dziada pradziada” — widzę już ten piękny tytuł. Ale Francuz pyta, a tymczasem audytorium rośnie:

— *Et le palais*.³⁷⁵

— Wiek siedemnasty — recytuję jak z Baedekera. (Bo też w rzeczy samej, z Baedekera, przeczytanego niedawno).

— *Ce n'est pas du temps des Maures*.³⁷⁶ — pyta ktoś zawiedziony i nie notuje.

Jak nie z czasów Maurów, to nieważne.

— *Peinture, sculpture, objets d'art*.³⁷⁷

Zwięzłe pytania. Cóż odpowiedzieć?

— *Des Goya, des...*.³⁷⁸

— *Combien Goya*.³⁷⁹

Obudził się Amerykanin z „United Press”. Myślał, że kupi ze trzy Velazquezy. Omal nie kupił fałszywego.

— *Je ne sais pas bien* — powiadam. — *Cinque, six*.³⁸⁰

Francuz zanotował, że sześć. Amerykanin-komunista nic. Amerykanin od Velazquezów napisał u siebie wyraźnie: jedenaście.

— *Quoi sur les Goya?*

To Szwedka, ale nie szczupła, jak myślicie, tylko gruba, tęga.

— *Quoi sur les Goya? Paysages, moeurs*.³⁸¹

Przypominam sobie:

— Nie, portrety.

— *Nus?*

Czy nagie? Owszem. Dwa wspaniałe, nagie³⁸².

Teraz wszyscy notują bardzo pilnie. Tylko Szwedce jeszcze czegoś potrzeba:

³⁶⁷ *dis donc* (fr.) — powiedz no. [przypis edytorski]

³⁶⁸ „*Le Petit Journal*” — paryski dziennik wydawany w latach 1863–1944. [przypis edytorski]

³⁶⁹ *Qu'est-ce qu'il faisait, son grand papa?* (fr.) — Co on robił, jego dziadek? [przypis edytorski]

³⁷⁰ *Gouverneur des Pays-Bas!* (fr.) — Gubernator Holandii! [przypis edytorski]

³⁷¹ *Eh, gouverneur. Laisse donc ça.* (fr.) — Ech, gubernator. To daj temu spokój. [przypis edytorski]

³⁷² *Grand capitaine. Représailles. Protestants* (fr.) — Wielki dowódca. Represje. Protestanci. [przypis edytorski]

³⁷³ *Eh, c'est pour moi* (fr.) — Hej, to coś dla mnie. [przypis edytorski]

³⁷⁴ *mets le* (fr.) — tu: zamieść, opublikuj. [przypis edytorski]

³⁷⁵ *Et le palais?* (fr.) — A pałac? [przypis edytorski]

³⁷⁶ *Ce n'est pas du temps des Maures?* (fr.) — Nie jest z czasów Maurów? [przypis edytorski]

³⁷⁷ *Peinture, sculpture, objets d'art?* (fr.) — Malarstwo, rzeźba, dzieła sztuki? [przypis edytorski]

³⁷⁸ *Des Goya* (fr.) — Goi (autorstwa malarza o nazwisku Goya). [przypis edytorski]

³⁷⁹ *Combien Goya?* (fr.) — Ile Goi? [przypis edytorski]

³⁸⁰ *Je ne sais pas bien (...)* *Cinque, six* (fr.) — Nie wiem dokładnie. Pięć, sześć. [przypis edytorski]

³⁸¹ *Quoi sur les Goya? Paysages, moeurs?* (fr.) — Jakie Goi? Krajobrazy, sceny rodzajowe? [przypis edytorski]

³⁸² *Dwa uspaniałe, nagie [portrety]* — mowa zapewne o dwóch słynnych obrazach Francisco Goi: *Maja naga* i *Maja ubrana*, ukazujących tę samą piękną młodą kobietę, leżącą w tej samej pozycji na otomanie: na jednym kobieta jest ubrana, na drugim zaś naga. [przypis edytorski]

— *De qui les portraits?*³⁸³

— *Du roi, de la reine, des infants...*³⁸⁴

— *Oh, nus?*³⁸⁵

Trzeba wytłumaczyć jeszcze, że królowie Hiszpanii nie portretowali się nago, że żona Napoleona III nie nazywała się ani Józefina, ani Maria Ludwika³⁸⁶, ale *bel et bien*³⁸⁷ Eugenia. Przez ten czas jednak nie daje nam spokoju myśl, że Hearst wszystko zobaczy. Trzeba pójść i popatrzeć na pożar, dowiedzieć się, co się uratowało. Schodzimy na Gran Via. Jest ciemna zupełnie noc. Godzina ósma, ale puściuteńko. Ułamki szkła skrzypią pod nogami, a ulica wydaje się jak wielki głęboki jar, jak kanadyjski kanion. Idziemy szybko, szybko. Jacyś milicjanci, jacyś ludzie z tobołami, spóźnieni uciekinierzy z przedmieść. A przedmieścia rzucają lunę, która zaróżawia szczyty tych drapaczy, krawędź kanionu.

Naraz nad nami straszliwy huk. Jeden, drugi. Potem jakby się coś waliło. A w środku tego niesamowity gwizd-wycie. W tej ciemności człowiek instynktownie przypada plackiem na ziemię, do miału na chodniku. Huk drugi i trzeci. Podrywamy się i ginimy w pierwszej bramie. Człowiek spostrzega teraz, że jednak nic tu nie pomógł trening wszystkich wypraw na front, czolganiania się w rowach, padania wobec samolotów, że cały drży. Jakie to niesamowite, gdy przez wielkie miasto, olbrzymie a bezbronne, leci z hukiem wśród ciemności pocisk z ciężkiego działa!

Na ścianie przeciwległego narożnego domu różowi się brzask. Jeszcze jeden pożar.

Do tego pożaru trudno bardzo dojść, bo idzie się przez wąziutką uliczkę, którą w dodatku rozkopano. W ciemności źle mierzymy głębokość rozkopu, dwaj pierwsi wywracają się jak dżdżycy. Każdy boi się zostać sam. Pocisk runął między domy, w sam środek jakichś jatek rzeźnickich. Wszystko się teraz pali, nikt tego nawet nie będzie ratował. Może tam było mięso, bo naraz zaczyna mdlić nieprzyjemny zapach spalenizny, jak wtedy gdy nocą wracaliśmy z Kartageny koło cmentarzy madryckich. Nie, tu nic nie ma. Można wracać na Gran Via, zejść ku pałacowi Alby. Ale po tych pierwszych wybuchach nikt się nie kwapi. Prawie wszyscy wracają do centrali telefonicznej. Może wreszcie zagranica będzie wolna?

Tymczasem od Puerta del Sol bucha luna wielokrotnie większa, a gdy dochodzę, staje się niemal zupełnie jasno, w tym mieście, które latarni nie zapala od dwóch miesięcy. Na sam dół zejść nie można. Pocisk ugodził w duży dom czynszowy, który pali się teraz od wewnątrz przez wszystkie swoje trzy górne piętra. Moc ludzi, odpychanych przez milicję czy gwardię, tłoczy się koło domu. Jakieś kobiety płaczą głośno, ale ogień zaczyna huczeć poprzez ściany domu i tym swym huczeniem ścisza wszystko naokoło. Ludzie gromadzą się w jakimś miejscu, nie widzę dobrze w pomroku. Trup.

Jest to trup mężczyzny, niewielkiego wzrostu, w ciemnym ubraniu. Nie widać żadnej rany, tylko ubranie zmiętoszone i koło szyi ciemnieje na bruku coraz większa plama, która mogłaby być po prostu cieniem, ale w której odgadujemy krew. Jest to „zaledwie” piąty trup, jaki widzę w tej wojnie, ale jest coś dziwnie biednego w tym człowieku. Jest on skulony, wpółzgięty, jakby zmęczył się czymś i tak po prostu upadł sobie na chodnik. To nie jest rozwalony, skoszony w walce trup żołnierski. Jeśli istniał gdzie na świecie szary człowiek, to właśnie przed chwilą, właśnie szedł tą ulicą w górę i właśnie runęła weń śmierć z tego pocisku, który przemienił się w żar wewnątrz tego domu. Ludzie schylają się z noszami, obracają go, bardziej niż przenoszą. Drugie, trzecie, czwarte nosze. Szereg noszy zaczyna iść przez Madryt rozświetlony tylko lunami pożarów, gdy znowu huk. Ulica pustoszeje, bramy pęcznią od tłoczących się ludzi. Jedynie nosze płyną wolno ku górze, środkiem ulicy. Nad nami huczą trójmotorowce.

*

Po chwili, gdy wszystko jakby przebrzmiało, wysuwam się i biegnę dalej. Przechodzę kilkadziesiąt kroków, znowu Gran Via. Stromy masyw centrali telefonicznej piętrzy się

Miasto, Wojna, Dźwięk,
Milczenie

³⁸³*De qui les portraits?* (fr.) — Czyje portrety? [przypis edytorski]

³⁸⁴*Du roi, de la reine, des infants...* (fr.) — Króla, królowej, infantów (dzieci królewskich). [przypis edytorski]

³⁸⁵*Oh, nus?* (fr.) — Och, nago? [przypis edytorski]

³⁸⁶*żona Napoleona III nie nazywała się ani Józefina, ani Maria Ludwika* — były to żony Napoleona I. [przypis edytorski]

³⁸⁷*bel et bien* (fr.) — rzeczywiście. [przypis edytorski]

pod niebo, opływany odbłaskiem pożarów. O, teraz to bezduszne drapacze mają majestat inny niż pieniądz! Jest znowu cisza. To wprost niesłychane, jak prędko po sobie przychodzą tu huk olbrzymi, jęk i krzyki, a potem zupełne milczenie. Takie wielkie miasto i tak naraz milczy. Nad kanionem drapaczy i pod gwiazdami czarnego nieba warkoczą głucho potężne motory bombardowców. Naraz za mną prędzej niż huk stacza się światło. Mam wrażenie, że bym oślepl, gdyby to było przed oczami, takie jest oślepiające. Olbrzymi huk, najsilniejszy, echo gwizdów i brzęków ponad głową. Człowiek ucieka mimowiednie, choć biec ulicami Madrytu po nocy to narazić się na kulę gorliwego gwardzisty. Mija mnie oddział, ale się nie zatrzymuje, sam biegnie, tylko w przeciwnym niż ja kierunku. Więc i ja zawracam.

W tym właśnie miejscu ulica tworzy niewielki plac, takie rozszerzenie skrzyżowania paru ulic. Bomba zapalna upadła na bruk i rozbiła się na części. Teraz te części leżą na jezdni szeroko porozrzucone i płoną jakimś chemicznym, oślepiającym płomieniem o blasku rozedrganej rtęci. Jakby moc ruchomych cząstek drgających w różnych kierunkach. Zapalić najwidoczniej nic nie mogą, bo wszędzie tu tylko kostka bazaltowa i szyny tramwajów. Ludzie za nami wychodzą z bram domów, ze schronów. Przez sekundę ma się wrażenie, że to jakieś plemię jaskiniowców wylazło oglądać potwora, który zagrażał ich życiu, wobec którego byli bezsilni, a który teraz kurczy się i pręży w przedśmiertnych wstrząsach. Biję od niego gorąco, żar skondensowany i wtłoczony w metal. Podchodzą strażnicy — tamten dom płonący jest niedaleko — i zaczynają długimi jakby grabiami rozgarniać to ognisko, oddzielając żarzące się oślepiające kawałki jedne od drugich. Przechodzę na drugą stronę placu i wtedy dopiero widzę, że gmach centrali telefonicznej, przedtem rozjaśniony blaskiem, ma teraz jedną ścianę białą jak w dzień. Dom o kilka metrów od niego, po drugiej stronie bocznic Gran Via, stoi także w płomieniach.

W bramie centrali nikogo. Posterunki stoją wewnątrz. Winda funkcjonuje. Po chwili jestem na dziesiątym piętrze. Przez wielkie czarne okna widać teraz noc nad Madrytem i buchające gęstymi obłokami pożary. Gorąco najbliższego z nich bucha słupem ku górze. Prawie wszyscy dziennikarze zagraniczni już tu są. Gruby Amerykanin z koncernu Hearsta też. Dojechał samochodem pod sam pałac, przeszedł przez ogród, widział. Pokazuje mi krótką depeszę, którą zredagował. Jest dumny z jej tytułu, który mówi coś o widoku godnym Nerona³⁸⁸. Istotnie, jest coś Neronowskiego w tym mieście płonącym zewsząd. Czy samoloty jeszcze latają? Nie sposób stwierdzić. Jest jakaś dziwna cisza na tych dwustu metrach nad ziemią, a nawet niecałych dwustu. Nie można sobie wyobrazić, żeby bomba, zwykła bomba, mogła strzaskać i taki kolos, jak rozwała czteropiętrowe kamienice. Tymczasem Francuz już dostał swój Paryż. Pośpiesznie, ale pewnym głosem dyktuje ciąg dalszy:

„...Drugie bombardowanie Madrytu rozpoczęło się o godzinie ósmej piętnaście tu-tejszego czasu, obstrzelałem baterii z Casa del Campo. W wyniku podpalono trzy gmachy, bez większego znaczenia. Atak samolotów rozpoczął się, nim ustała panika spowodowana rzuceniem bomb. Samoloty, krążąc nad Madrytem...”

Głuchy huk wstrząsa ścianami drapacza. Wysokość i mury tłumią wszystko. Jak to musiało huczeć tam, na dnie kanionu.

„...zrzuciły szereg bomb, niezbyt wielkiego kalibru, z rodzaju zapalnych. W rezultacie płoną w tej chwili dwa gmachy między Gran Via a Puerta del Sol, jedna bomba upadła nieszkodliwie na ulicę. Bomby spadłe bliżej Cuartel de la Montana podpały pałac księcia Alby (*hallo, hallo, cherchez Alba dans Larousse, très important*)³⁸⁹, byłego ministra...”

— A może go rozstrzelali? — świta myśl dziennikarzowi.

Niezawodnie byłyby to gratka, coś jak ów stary książę, ostatni potomek Krzysztofa Kolumba, za którym bezskutecznie wstawiały się ambasady wszystkich państw amerykańskich. Ale książę Alba y Berwick siedzi w Anglii.

³⁸⁸Neron, właśc. *Nero Claudius Caesar Augustus Germanicus* (37–68) — cesarz rzymski od 54; po pożarze, który w 64 zniszczył znaczną część Rzymu, rozpoczął wielkie prace budowlane, wytyczył nowe szerokie ulice i zbudował olbrzymi pałac, co wywołało pogłoski, że sam kazał podpalić miasto; wg plotek obserwował pożar Rzymu z podziwem dla żywiołu, grając na lirze i śpiewając pieśń o spaleniu Troi. [przypis edytorski]

³⁸⁹*hallo, hallo, cherchez Alba dans Larousse, très important* (fr.) — halo, halo, poszukaj Alby w Laroussie, bardzo ważne [mowa o encyklopedii francuskiego wydawnictwa Éditions Larousse]. [przypis edytorski]

„...le duc d'Alba réside actuellement en Angleterre³⁹⁰ — już dudni telefon. — Wspaniała biblioteka, cenna galeria obrazów de Goya... *G comme Gustave*³⁹¹, *O — Octobre, Ygrek, A, Velazquez — V comme...*”

Wstrząs przepłynął falą przez drapacz. Z ulicy podnosi się huk, wsiąka przez grube mury. Anglicy i Szwedzi, nachyleni nad słuchawkami, podają szczegóły bombardowania. Ale wszystko dochodzi tu do nas matowo, stłumione, jakby cedzone przez czas i odległość. Nigdzie chyba bezpieczeństwo nie jest tak złudne jak w tym cyplu wydzwigniętym pod niebo i nigdzie człowiek nie czuje się tak bezpieczny. W wielkiej sali porozkładano połowe łóżka dla personelu, takie same jak we wszystkich ministerstwach i urzędach. Wszyscy moi koledzy są przy telefonach, dzwonią do swych Paryżów i Londynów. W redakcjach najbogatszych pism polskich znudzony sekretarz nocny konfekcjonuje właśnie jakiś „telefonem od własnego korespondenta”.

Wychodzę na ulicę. Jest zupełnie ciemno, nie ma żywej duszy. Pożary rumienią się czerwono, odbłaskami na domach, ruinami. Obchodzę daleko ministerstwo wojny, zwykły cel lotniczych wypadów, krok dzwoni po pustych ulicach, wybijam go umyślnie wojskowo, miarowo, wówczas przy takiej ciemności mniej się jest narażonym na zatrzymanie, legitymowanie przy podniesionych ku tobie karabinach lub wyklócanie się z tępym i podejrzliwym strażnikiem. Ale nie ma nikogo. Okna są zupełnie ciemne, tylko od samego dołu, z suteryn czy piwniczek, przemykają pasemka światła. Życie wielkiej europejskiej stolicy rozbite zostało tymi bombami na części: drobna cząsteczka tego życia rzucona została aż pod chmury, w wieżycę olbrzymiego drapacza, woła o tym wszystkim na Londyn, Paryż i New York. Całe masy spłynęły jak woda w dół, zaryły się pod ziemię, zaczęły po norach, wtuliły swe skargi, straszliwe przekleństwa i paniczny, okropny lęk. Lęk zwierzęcy jaskiniowego człowieka. W nocy, około trzeciej, zaczyna naraz terkotać karabin maszynowy, daleką ulicą przewala się z loskotem jakiś ciężki wehikuł.

Może to — już?

TAK, TO WOJNA

Ale „już” nie przyszło ani wtedy, ani nazajutrz rano, ani jeszcze nazajutrz, ani potem. Nie weszły do Madrytu, w osłonie nocy, ognia artyleryjskiego i pożarów, ani „ciężkie wehikuly” — tanki, ani Maurowie, ani karliści. Nic się nie stało przez tych kilka dni, choć PAT zdołał być ogłosić wzięcie Madrytu. My tylko dowiedzieliśmy się wiele z rzeczy nowych i przyszłych ze spraw, które nie zna jeszcze żadna z wielkich stolic europejskich, tych, które wojnę przyszłości rekonstruują sobie z 1914 roku, z fantastycznych powieści czy manewrów lotniczo-gazowych. Rzeczy patetyczne i groźne stały się naraz codziennością: jakby na ironię patetykom zaczęły przypominać rzeczy zgoła niegroźne i niepatetyczne. Madryt to wie, wy zaś jeszcze, czytelnicy, tego nie wiecie. Że to jest takie inne, niż się myślało, że będzie. Nie wiecie więc, nie wiedzielibyście, co to jest, gdy nad ulicą rozkaszczę się nagle w biały dzień grzechotanie kastaniet. Tak, po prostu kastaniet, tylko jakichś niezwykle głośnie, jakby to puste orzechy leciały na twardej blacie stołu stukającą kaskadą, wokoło której robi się naraz po mieście zupełna cisza. Więc to jest właśnie tak, gdy nadlatują samoloty nad miasto, gdy do na poły niewidocznych jeszcze zaczyna walić artyleria przeciwlotnicza ze swych armatek szybkostrzelnych czy mitraliez. Suche terkotanie karabinów maszynowych, rozlegające się z dachów wielkich domów, jak sponad pudeł rezonansowych, nabiera dźwięczności i grzechocze właśnie jak jakiś szczególnie wielkie, szczególnie głośnie kastaniety. Wiecie, co to znaczy, gdy naraz słyszy się jakiś huk, bardzo stłumiony a jednak wstrząsający ścianami domu? Jeśli potem zobaczymy na ulicy gruz, wyłom w murze, rozbite szyby, jeśli — lepiej — zobaczymy piasek starannie wysypany na parę plam ciemniejszych na jezdni, znak, że to właśnie stali w ogonku, po mleko czy węgiel, może popołudniu, może wieczorem, gdy było ciemno, i że tu właśnie padł pocisk, ludzi poszarpał, plamę krwi zostawił. Prostota piątego dnia wojny wokoło wielkiej stolicy europejskiej — oto co najwięcej uderza. Nie ma w tym wszystkim krzty batalistycznego patosu. Byliśmy na Puerta del Sol, niewielkim, centralnym placu w środku Madrytu:

Miasto, Wojna

³⁹⁰le duc d'Alba réside actuellement en Angleterre (fr.) — książę Alba mieszka obecnie w Anglii. [przypis edytorski]

³⁹¹G comme Gustave (fr.) — „G” jak Gustave. [przypis edytorski]

tu mówi się „Puerta del Sol” jak w Warszawie — „na Krakowskim”, w Krakowie — „na AB”. Jest tam gmach ministerstwa spraw wewnętrznych. Otóż właśnie wtedy z dachu jednego z domów rozległ się huk, coś błysnęło, trysnęło falą białego dymu. Sam wybuch usłyszano właściwie w sekundę potem, a przez te ćwierć sekundy każdy na placu odruchowo położył się, biegł lub ukrył za lada wyłom muru. Ja sam przywarłem za granitową wnęką, niestety, bardzo płytką, a tymczasem przez plac przeszła fala pyłu i dymu, spoza której buchały histeryczne krzyki. Po chwili nie było już nic, tylko kawał dachu został wtłoczony w dół, jak pudło tekturowe zgniecione nogą, tu i ówdzie ludzie leżeli na ulicy, zresztą ucierpiano mało. Pocisk był zapewne przeznaczony dla gmachu po drugiej stronie placu — dla owego ministerstwa, ale artylerzysta źle wyliczył odległość, wziął krócej o ćwierć linijki w pomiarach, co oznaczało kilkanaście metrów. Gdyby pomylił się trochę mniej, pocisk ugrzązłby nie we wnętrzu domu, ale łupnąłby w sam środek ulicy, na której panuje nieopisany tłok. Zwożono by potem całe góry rozerwanego na strzępy mięsa, jak wtedy, przed hotelem „Florida”.

Ale znowu to są złudzenia literackie, że pocisk leci, że się go widzi. Słyszymy go wtedy gdy nas mija, dlatego najgłośniej słyzałem armaty rządowe, gdy byłem na froncie, a armaty waliły spoza naszych pleców, przerzucając pociski ponad nami. To wszystko są zupełne złudzenia. Trzeba sobie rozumem dopowiadać, że to o kilka kilometrów w linii powietrznej stoi jakaś armata i wali w miasto, tak jak rozumem musimy sobie dopowiadać, że to nie słońce, jak widzimy na niebie, ale ziemia kręci się i porusza. W polu istniała jakaś zmysłowo dostrzegalna przyczynowość, która łączyła ruchy wojsk, błyski dymu nad polem, warkot motorów junkersów z wybuchami, ranami i śmiercią. W mieście wszystko jest zasłonięte szczelnie murami domów: samoloty lecą nieraz tak wysoko, że trudno je dostrzec, gwar uliczny ścisza warkot motoru, który tak głośno tętnił nad zorywanymi ścierniskami. Wybuchy które rozłupują mur czy bruk, kule lotniczych mitraliej, które siekają dachy domów, wszystko to w mieście jest oderwane od owych armat, samolotów i karabinów maszynowych, od całej tej wojny, która minęła Getafe i Górę Aniołów, stoi w Carabanchel, takiej Jabłonnie, niemal takiej Woli madryckiej, walczy w Casa del Campo, wielkim parku u bram miasta. Wszystko to jest bardziej oderwane, bardziej przypadkowe i niespodziewane. Na froncie, póki front był w polu, żołnierze mówili nam zawsze, kiedy przypuszczalnie będzie spokój, kiedy i którędy najbezpieczniej dostać się do *avanzadilli*³⁹², a kiedy najpewniej „coś będzie”. Żołnierze by może jeszcze coś wiedzieli, bo oni na tym się znają. Ale żołnierze są na przedmieściach i na przedpolach Madrytu, a tymczasem front ogarnął Madryt.

*

Myślano, że wszystko jest skończone, gdy fala nieprzyjacielska przeląła się przez Pinto i lotnisko Getafe, madryckie Okęcie. Były dwa dni, które były niewątpliwie dniami grozy i próby. Miasto opuścili wszyscy członkowie rządu, bardzo liczni politycy, centralne agendy partii politycznych, wielu publicystów, urzędników, radni miejscy, prezydent miasta, prawie wszyscy nadzwyczajni korespondenci zagraniczni. Setki samochodów mknęło w ciągu tych kilkudziesięciu godzin szlakiem na Walencję, na przedmieściach grzechotały karabiny maszynowe, pociski armatnie poczęły padać w śródmieściu. Pomyślmy, gdyby u nas w swoim czasie opuściły stolicę wszystkie władze, politycy, cały znany, pierwszoplanowy świat? Jakby wyglądała, bądź co bądź, obrona?

Tymczasem obrona Madrytu powstała niemal sama, zupełnie samorzutnie i zupełnie rewolucyjnie. Pierwszy komitet obrończy, nim zorganizował się w większe ciało zbiorowe — *juntę*³⁹³, był przedstawicielstwem typowo proletariacko-politycznym, z ludźmi „nieznanymi” — nie dla przedmieść oczywiście, — na „szerszej arenie”. Komitet zastał całe linie okopów podmadryckich rozbrojone, całymi partiami zajęte przez nieprzyjaciela. Cofnął się wtedy na ulice przedmieść i ufortyfikował je wszystkie aż do śródmieścia. Powstały barykady już nie improwizowane w ogniu walki, ale murowane, obstawione

Miasto, Wojna, Władza,
Ucieczka, Walka, Lud

³⁹²*avanzadilla* (hiszp.) — awangarda, straż przednia, część wojska ubezpieczająca od przodu główne siły. [przypis edytorski]

³⁹³*junta* (hiszp.) — dosł.: rada. [przypis edytorski]

worami z piaskiem, okryte dachami. Na tyłach pierwszej linii bojowej pracowało kilkanaście tysięcy ludzi. Madryt, zwłaszcza stary Madryt — a właśnie ta część miasta była w tych pierwszych dniach najbliższa frontu — ze swą ludnością gorącą, wąskimi ulicami, pofalowanym, nierównym terenem, doskonale nadaje się do walki ulicznej. Madryt miał swoją rewolucję lipcową, nie inną od nocy listopadowej, wiek XIX przekazał wreszcie Madrytowi naszemu nie tylko tradycję walki ulicznej, ale całe rodziny, gdzie trzecie już pokolenie należy do dynamitardów i *pistolerosów*³⁹⁴, chodzi w czarno-czerwonych barwach anarchizmu. Właśnie anarchiści to byli pierwsi ludzie, którzy mnie powitali, niczym najbardziej typowi przedstawiciele, na granicy Hiszpanii. Potem od Barcelony zaczęli topnieć, ich kolor czarny był coraz zupełnie zalewany jednolitą czerwienią marksizmu. Potem były spory o to, aby ich CNT, ich związek zawodowy, mógł mieć swych ludzi w rządzie, spór o teki, gdy nieprzyjaciół wyrywał coraz to nowe strzępy ziemi pod Madrytem, wreszcie przyszyły te dni, gdy wyjeżdżano powszechnie i tłumnie, uzasadnienie i bez żadnego uzasadnienia. Wtedy po raz drugi wyszli ludzie z Iberyjskiej Federacji Anarchistycznej, ludzie w czarno-czerwonych czapkach i czarno-czerwonych fularach³⁹⁵, krępi, ogorzali i groźni, jak powstańcy ze sztychów Goi, najbardziej proletariaccy i najbardziej madryccy. Wyobraźcie sobie, czym dla Warszawy jest Powiśle z krwawą tradycją lat 1904–1905, jeszcze silniejszą, jeszcze bardziej zrośniętą z miastem.

Tak, to jest może najlepsze porównanie. Madryt leży na wysoko wydzwigniętej płycie, która od południo-zachodu opada jarem w Manzanares. Jeszcze na wzgórzu stoi dawna Puerta de Toledo, wielki łuk tryumfalny z granitu, z barokowymi zbrojami z marmuru i boginiami zwycięstwa. Ulica spada stąd prosto w dal, ugięta tylko łukiem, zniża się aż nad Manzanares i przekracza go niewielkim, bardzo starym mostem kamiennym, potem znowu podbiega ku górze, do przedmiejskiego Carabanchel Alto. Taki madrycki wiadukt Poniatowskiego. Teraz w pięciu miejscach wznosi się barykady. U stóp marmurowych bogiń, siedzących na Puerta de Toledo, wyrasta zapora z kamieni brukowych i betonu, doprowadzona do połowy wysokości bramy. Calle de Toledo zamykają wory piasku. Kilkanaście kroków dalej — już za przepustkami — znowu wory piasku. Przyczółek mostowy jest maleńką fortelką. Gdy stoimy przy nim, zaczynają naraz świstać kule, jakby się oderwały od tej pukaniny, która odzywa się raz po raz z przedmieść za Manzanaresem. Zza naszych pleców z hukami i świstem szybują pociski armat rządowych. Zapadają za cyprysy cmentarzyka, podnosząc słupy ziemi.

Całe partie przedmieść zostały już ewakuowane, mieszkania stoją puste. Na bocznych uliczkach huczy sprężarka, kilof o ostrzu wbijanym w ziemię sprężonym powietrzem. Człowiek w czapce anarchisty wsuwa kilof między spojenia kostki brukowej, rozwała je metodycznie, aż kamień zostanie wylupany z bruku i odsunięty na bok. Człowiek odlupujący poczyna sąsiedni, a tymczasem tamten bierze ktoś inny i podnosi, podaje stojącemu od niego o kilka kroków, ten następnemu. Teraz spostrzegamy, że jest tu cała kolejka, jak po mleko dla dzieci, jak po węgiel czy kartofle. Kolejka ludzi z przedmieścia czeka na każdy wydarty brukowi kamień, podaje go z rąk do rąk, kamień wędruje poza załom uliczki. Tam dalszy ciąg rąk podaje go powstającej na bruku barykadzie. Bruk spiętrza się w zapory, idąc, natrafiamy coraz to na partie ulicy zupełnie огоłocone z nawierzchni, jakby bezzębne szczęki, jak kaczany kukurydzy obgryzione doszczętnie. Madryckie Stare Miasto i madrycka Wola zarazem rozryły tak cały swój bruk, poprzegradzały ulice. W tych dniach, gdy setki samochodów waliły ostatnią szosą do Walencji z trwogą, czy aby zdążą, gdy kule zbłąkane świstały nad podającymi kamienie, gdy w dole karabiny maszynowe dołupywały się ceglanego muru poprzez odpadły już tynk. Samochody mknęły do Walencji, a sprężarki rozwalaly spojenia bruku i ręce układały go w mur przegradzający ulicę zasiekami.

Trudno powiedzieć, co sprawiło naprawde, że wbrew tylu obawom i przewidywaniom „tamci” nie przeszli. Michaił Kolcow z „Izwestii”³⁹⁶ uczynił uwagę, że Hiszpan źle się bije w polu, na stepie, że nie umie się kopać, utrzymać, uczepiony u lada pochyłości terenu, zahaczony w lada płytki rów strzelecki, że w szczerym polu bije go zawsze rutyna wojenna

³⁹⁴*pistolero* (hiszp., lm: *pistoleros*) — rewolwerowiec. [przypis edytorski]

³⁹⁵*fular* — jedwabna chustka na szyję, noszona zamiast krawata. [przypis edytorski]

³⁹⁶„Izwestia” — rosyjski dziennik, w latach międzywojennych organ rządowy: Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego i Rady Najwyższej ZSRR. [przypis edytorski]

przeciwnika. Być może, że nowe posiłki i zwłaszcza nowe zbrojenia, nowe tanki i samoloty, o których prasa rządowa mówi, że rząd posiada ich tyle co przeciwnik, powstrzymały odwrót. Może pierwsze domy przedmieścia posłużyły armii na okopanie się i utrzymanie. Wreszcie nie mniej możliwe jest, że na widok barykad i warownego położenia miasta z tej właśnie strony powstańcy się zawahali. Zdobycie miasta, jeśliby się nawet powiodło, kosztowałyby ich zbyt wiele strat, byłoby okupione hekatombą³⁹⁷ ofiar zbyt kosztowną dla wojska, które — podobno — nie może liczyć na nadmiar ludzi. Fala nieprzyjacielska opęzła go tu kordonem i wlała się od zachodu.

Jest to droga do Escorialu, do gór Guadarramy, jest to zupełnie inny wjazd do Madrytu. Południe jest brudne, pełne kurzu i nędznych domów. Przypomina najnędzniejsze dzielnice Warszawy czy Łodzi. Tam luksusowy samochód nieraz dostawał kamieniem w szybę i tam właśnie ludność pozrywała swe bruki na barykady. Zachód jest inny. Przede wszystkim dolina Manzanaresu opada tu bulwarami i ogrodami, ogrodem królewskim, później podmadrycką Casa del Campo, wielkim parkiem naturalnym, ze wzgórzami porośniętymi wysoką trawą sierry i kępami pinii. Jest to szosa wilanowska — o ileż piękniejsza — Madrytu i wszędzie wzdłuż drogi rozlokowały się wille i kawiarnie podmiejskie, miejsca zabaw nocnych letniego Madrytu. Otóż fala wojny, powstrzymana od południa, wlała się tutaj, w ten zupełnie inny Madryt. W barach i *café-chantantach*³⁹⁸ kwatrowali ludzie śpiący pokotem, jak wojsko w niejednym kinie madryckim. Karabiny maszynowe łupały w smukłe, wysokie drzewa. Wzdłuż bulwaru, opasającego tu Madryt, stanęła ostatnia linia okopów. Od niej o kilka kroków rozpoczynają się czekające na ostateczność barykady. Worki piasku i kamienie brukowe to najpowszechniejsza, jak chleb codzienny, rzecz którą żyje dzisiaj — o, najdosłowniej trzyma się przy życiu — opuszczony przez innych Madryt.

Z tej strony jeszcze Madryt jest warowny przez naturę, wyniesiony wysoko ponad jar, wyżłobiony rzeką, choć z tej strony nie ma już robotniczych przedmieść. Od południa bronili go ludzie nie tylko tutejsi, ale najbardziej swoi, z tej samej ulicy, z domu obok, świat wegetujący między Puerta de Toledo, Rastro a cmentarzem Carabanchel, jakby przykuty do ziemi, jak są w wielkich miastach ludzie, którym całe życie niemal schodzi na wciąż tym samym Powiślu czy Pradze. Tu, od zachodu, stanął przede wszystkim batalion imienia Thälmana. „Tam jest tyle narodów, że nawet nie wiadomo, gdzie się mogą pomieścić te wszystkie narody” — mówił mi zdziwiony nagłym odkryciem milicjant z Rosales. Istotnie, to już nie są Niemcy, Włosi, Francuzi, to jest legia cudzoziemska, czerwona oczywiście, wszystkich nacji, są Polacy, Słowacy, Czesi, Węgrzy. „Najświętsza Panno, co też narobiłaś książąt po świecie” — wzdychał w podobnym momencie Grabiec z *Balladyny*. Ale także z tej strony Madryt nie został wzięty. Tylko tu walka miała już nie charakter obrony własnego progu, najbliższej ojczyzny, ale międzynarodowej walki idei. W batalionie Thälmana są wszyscy: Niemcy, wymieceni przez hitleryzm, Włosi, którzy uszli przed faszyzmem, międzynarodówka wielkich dróg Europy, internacjonal wygnania. To jakby przeciwieństwo tej innej międzynarodówki, która zbliża się z plutonami gen. Franco, junkersami i savoiami³⁹⁹. Dostęp do kwater batalionu Thälmana jest niesłychanie trudny. Do linii bojowych jeszcze bardziej. Tam na południu, u stóp Madrytu, wszystko było entuzjazmem, porywem, zapalem. Tu jest wszystko wystudiowane i obliczone, strzegące się i uważne, jest czynną i mądrą artylerią, jak tamto było konnicą w galopie wielkiej szarży.

Jeszcze, jeszcze dalej na zachód. Jeszcze jedna dzielnica miasta, przez którą atakujący nie zdołali się przedrzeć. Jeszcze jeden, ósmy ich dzień u bram Madrytu. Długo trwa opór tego miasta. Popowracali ministrowie. Przyjechał na jakiś czas Alvarez del Vayo. Do jednej z wsi prowincji Madryt przeniósł swą siedzibę Largo Caballero. Paru dziennikarzy z Walencji wróciło znowu do hotelu „Gran Via”. Najdalsze zagoni naporu powstańców okrążają Madryt. Wysuwają się aż poza zachód, być może, chciałyby odciąć miasto od gór. Może spodziewają się, że z tej strony wkroczenie będzie łatwiejsze. Mo-

³⁹⁷hekatomba (z gr.) — w staroż. Grecji ofiara składana bogom ze stu wołów; dziś także przen.: wielka rzeź, krwawa ofiara. [przypis edytorski]

³⁹⁸café-chantant(fr.) — kawiarnia z występami artystycznymi i śpiewem; kabaret. [przypis edytorski]

³⁹⁹savoia (pot.) — włoski samolot bombowy produkowany przez wytwórnię Savoia-Marchetti. [przypis edytorski]

że liczą na jakieś posiłki, na jakieś rozgrywki na innych frontach. My tego nie wiemy. Listopad, szczególnie w tym roku słoneczny i przejrzysty, rozłocił się liśćmi na stokach nad Manzanares. Białe dymy bomb zapalnych migocą nad Casa del Campo. U Puerta de Toledo, u wrót starego Madrytu, grupy ludzi w czapkach czerwono-czarnych Iberyjskiej Federacji Anarchistycznej wyczekują spokojnie. Wszystkie barykady gotowe. Takie się to wszystko wydaje teraz naturalne, to, że te samoloty ścigają się nad miastem, to, że pocisk nie wiedzieć skąd rozkroi bruk, to, że są ogonki przed sklepami a barykady na skrzyżowaniach, aż zapomnieć można, że to jest jakaś Hiszpania, z jakimiś hidalgami⁴⁰⁰ niegdyś, Carmenami i Doloresami, walkami byków. Cały egzotyzm rozwił się gdzieś w powietrzu o takiej popołudniowej godzinie gdy nad Gran Via i Prado grzechocze coś donośnie jak kastaniety, a my wiemy dobrze, że to mitraliezy wałą z dachów do aparatów myśliwskich pod niebem. Mój Boże, czy dla nas jednych tak jest? Inni odczuwają to silniej. Szofer prześwietnego poselstwa Rzeczypospolitej Polskiej jest przecież od dwóch miesięcy milicjantem ludowym, ochotnikiem w kolumnie Mangady, a Aniela, *ci-devant*⁴⁰¹ pokojówka

⁴⁰⁰*hidalgo* (hiszp.) — szlachcic. [przypis edytorski]

⁴⁰¹*ci-devant* (fr.) — były, dawny. [przypis edytorski]

pana posła, paraduje po legacji z piękną gwiazdą czerwoną, zdobną w sierp i młot. Tych dwoje⁴⁰² łatwiej znalazło wspólny język niż świetni szwoleżerowie z Somosierry⁴⁰³.

⁴⁰²Szofer który wstąpił do milicji... dziewczyna, która przybrała czerwoną gwiazdę... „Historia, zdaje się mała: niewarta aż poematu. Przecież przyczyną się stała, dygnitarskiego dramatu...”

Jeszcze w Madrycie słyszałem o jakichś warszawskich oburzeniach, zachodach, demarszach [*démarche* (fr.): oświadczenie a. wystąpienie dyplomatyczne jednego państwa wobec drugiego w konkretnej sprawie; red. WL], wywołanych tą jedną uboczną wzmianką. Ale dopiero w parę miesięcy później, w liście do mojej żony, miały się przełać co najgroźniejsze fomy z V kategorii służbowej. Jako barwny przyczynek obyczajowy, jako dowód, co kto widział w Hiszpanii, przytoczymy więc ów liścik:

Szanowna Pani,

Korzystam z uprzejmości P. Konsula Zabali, by przesłać list Pani, który nie mogłam doręczyć p. Pruszyńskiemu, gdyż nigdy się do nas nie zgłosił.

Przy okazji chciałam nadmienić mężowi Pani, że byliśmy nieprzyjemnie zdziwieni ustępem o poselstwie polskim i służbie poselstwa w Madrycie w korespondencji z Hiszpanii w „Wiadomościach Literackich” dotyczącym Poselstwa i służby Poselskiej. Wobec ogromu faktów i zgrozy wydarzeń — poruszanie tak błahych i „wewnętrznych” spraw — po prostu zdumiewa.

A dla ścisłości Poselstwo wszędzie i zawsze jest terenem Rzeczypospolitej, więc opisywanie, co się tam dzieje, jest wyraźnym wprowadzeniem w błąd czytelnika, któremu miało się dawać korespondencję z Hiszpanii. A wreszcie — i może od tego trzeba by zacząć — elementarna grzeczność wymaga, że jeśli się chce opisywać dom, gdzie się było przyjmowanym — trzeba o to zapytać gospodarza.

Z poważaniem

(—) Irena Szmulałowska.

Autorka powyższych złotych myśli, Małżonka naszego Posła w Madrycie, jest, jak widzimy, bardziej skora do pisania własnych listów niż do oddawania cudzych. Zwłaszcza za to pierwsze należały się jej słowa podziękii. Wyraziłem je osobiście:

„Wielce Szanowna Pani,

list odesłany mi tak łaskawie po czterech miesiącach posiada w naszych czasach telefonu i radia antykwaryczną wartość, a i ona, jako że osoba, która ów list pisała, cieszy się dobrym zdrowiem, nie jest oczywiście wygórowana. Czuję się jednak zmuszony podziękować Pani najserdeczniej za Jej uwagi, skreślone przy nadesłaniu: jeśli nie zastosuję się zapewne do rad pisarskich, tak hojnie i z takim znanstwem rzeczy udzielanych, to uczynię wszystko, by poglądy Pani spotkały się w Polsce z tak szeroką poczytnością, jak na nią w pełni zasłużyły.

Proszę mi wierzyć, że nie jest to tylko, a raczej nie jest to wcale, komplement. Zdziwienie Pani, że wobec „ogromu wydarzeń” mogłem poświęcić drobną wzmiankę reakcjom ludzi najprostszycy, nie powinno być aż tak wielkie: i Pani, i ja znamy przecież pewnego dyplomata, który nieraz, telefonując do Madrytu, zdradzał żywe zainteresowanie zapytaniem o zdrowie swych dwojga zresztą bardzo rasowych pieszków i ogrom wydarzeń nie zmniejszył jego czułości. Żyjemy w czasach, gdy przeżycia ludzi „prostych”, choćby noszących liberię i zamiatających posadzki, zwracają uwagę piszących, bo są symptomatyczne i nowe. Przykro mi natomiast bardzo, jeśli wplatając w moją opowieść hiszpańską ów barwny szczegół jak służba polskiego poselstwa garnęła się pod czerwone sztandary, naraziłem, jak to różnostronne demarsze Pani w Warszawie zdawałyby się wskazywać, niezachwianą dotąd karierę Męża Pani. Niech się Pani jednak nie lęka: jestem głęboko przekonany, że odnośne władze skrupią swe *ressentiment* [fr.: rozgoryczenie, uraza; red. WL] prędzej na głowie dziennikarza, który o tym pisze, niż dygnitarza, u którego to się dzieje. Taka logika szłaby raczej po linii najnowszych naszych zdobyczy w dziedzinie odpowiedzialności: mam wszelką nadzieję, że i w obecnym wypadku nic z nich nie będzie uszczknięte i że dalsze drogi Pana Ministra oprómieni blask niejednej jeszcze orderowej gwiazdy. Mogę Panią zapewnić, że pisząc o czerwonej gwiazdce Anieli i milicjanckich galonach szofera, nie miałem wcale na myśli tych ech, jakie to może wywołać w kartotece wydziałów personalnych. Dlaczegoż więc o tym pisałem? Dlatego, że Czytelnicy moi lubią, gdy udowadnia im się tezy, które się stawia. Ja zaś właśnie pisałem, że hiszpańska dziewczyna od krów, choćby nazywała się Inez lub Carmen, to rodzona siostra naszej Kaśki, że wiejski Juan jest rodzonym bratem bandosa Jaśka, że, na przekór geografii, a zgodnie — niestety — z socjologią, nasza Polska i ich Hiszpania są sobie bardzo niedalekie. Jakże dobitnym przykładem był ów odzew, który rewolucja hiszpańska znalazła w sercach służby polskiego poselstwa. Nie wątpię, że moi Czytelnicy nie wezmą mi tak bardzo jak Pani za złe moje „naruszenie dyplomatycznej eksterytorialności” albo owo „wprowadzenie w błąd” — opisywaniem rzeczy *prawdziwych*. W pierwszej kwestii sędzę, że sam Mąż Pani, zapewne prawnik z wykształcenia, pośpieszy z drobnym sprostowaniem, że „eksterytorialność” obowiązuje władze hiszpańskie, nie zaś dziennikarzy polskich. — W drugiej, Czytelnicy przypomną sobie z lektury, która Pani zapewne tylko wskutek pobytu za granicą i przeciążenia obowiązkami reprezentacji jest, zdaje się, obca, że i Słonimski, i Zygmunt Nowakowski — że zacytuję powszechnie znanych — nie uważali za tabu ani konsulatu w Petersburgu, ani ambasady w Moskwie. To dopiero poselstwo polskie w Madrycie domaga się więc specjalnej ochrony, i to z powodu kolportowania wypadków, które niejednokrotnie cytowała prasa madrycka i których prawdziwości nawet Pani nie podaje w wątpliwość.

Przykro mi zauważyć wreszcie, że pisząc o „elementarnej grzeczności”, która, zdaniem Pani, nakazywała mi milczenie o rzeczach, jakie się działy w domu, którego byłem gościem, zapomina Pani o jednej, dość zasadniczej rzeczy: że ani na chwilę nie byłem gościem Pana Ministra. Byłem parokrotnie, wyłącznie w roli interesanta,

ROBOTA ŚMIERCI

Śmierć, Rewolucja

Doszło się już prawie do tego, że się jej nie widzi; nie słyszy się jej kroków, nie dostrzega jej śladów. W ciągu tylu miesięcy stała się bliska i swoja jak ktoś z rodzeństwa; powszednia jak chleb, a nawet — od czasu oblężenia — znacznie powszedniejsza od chleba. Śmierć. — Od dawna już pogodzono się z nią, gdyż w końcu przystaje człowiek na prawa rewolucji i twarde konieczności wojny. Szybko znikają wielkie plamy krwi; nowi żołnierze, młodzi rekruci wypełniają luki powstałe poprzedniego dnia. I oto teraz dopiero okazuje się, że zagięła ona parol⁴⁰⁴ nie na maluczkich, nijakich, bezimiennych. Odwieczne prawo rewolucji poczyna działać. Rewolucja spala się w swym ogniu, elita jej zanika. Na miejsce tych, co rozpoczęli grę, przychodzą inni. Bohaterowie pierwszego aktu w dalszym ciągu sztuki nie ukażą się już na scenie. Tym razem nie dali głowy pod nóż gilotyny ani nie padli ofiarą jakiegos współczesnego procesu sądowego. Wojna zawarła w czarne ramki nekrologów nazwiska ich, opromienione dawną lub świeżą chwałą, ona to położyła kres ich gorączkowej działalności, ich niezmordowanemu rozmachowi. W oczach naszych powstaje oto panteon rewolucji.

Więc: Lina Odena⁴⁰⁵. Zapamiętajcie to imię, które brzmi świetlanie i ponuro. Robotnica z fabryki pończoch — taka jest właśnie legenda naszych czasów — uczy się wszystkiego: uczy się czytać, pisać, rachować — i walczyć w szeregach partii komunistycznej w Barcelonie. Partia była wówczas nieliczna, mało wpływała. Dyktatura zaledwie zaczynała się chwiać, król jeszcze zasiadał na tronie, gdy młoda dziewczyna o bladej, pełnej spokoju twarzy zgłosiła się do jednej z „komórek” partyjnych. Spokój: oto wszystko, co zachowała z dawnych lat w dalszych fazach przeobrażenia, które uczyniło ją jedną z przywódczyni młodzieży komunistycznej Hiszpanii. Zaznała więzienia i walki na barykadach; wszędzie pojawiała się jej skupione oblicze jakiejś rewolucyjnej Eryinii⁴⁰⁶. Nazajutrz po rokoszu wojskowym znalazła się w Almerii, małej miasteczku na południu kraju. Pod jej dowództwem tłum zdobył koszary, ona to sprawiła, że sterroryzowane wojska poddały się, dały się rozbić i rozstrzelać. I to w Almerii, która w sztabie gen. Godeda uchodziła za najpewniejszą ostoję. Dalszy rozwój wypadków zastaje ją w Barcelonie i Madrycie: jeździ, organizuje, przemawia na wiecach, przygotowuje teren do dalszych walk, zagrzewa tłum — zwłaszcza młodzież — bacząc, aby entuzjazm nie wyładował się bezpłodnie w próżni słów i gestów, kieruje tę młodzież do szeregów milicji, tych nowych kadr wojskowych, brygad szturmowych, które po opanowaniu ulicznych barykad, miały dla utrwalenia zwycięstwa zdobywać sierzę, okopy, stopy. Po raz wtóry spełniwszy swe zadanie, Lina Odena udaje się na front, objeżdża pozycje, walczy. W kilka dni po jej śmierci przejeżdżałem przez Isnallos. Miasteczko górskie, pueblo ze starym kościołkiem i warownym zamkiem z czasów mauretańskich, zagubione w górach o kilkadziesiąt kilometrów od Grenady,

w urzędzie, którego był szefem, podobnie jak naczelnik posterunku w Mszanie jest szefem swego posterunku, a kierownik agencji pocztowej w Krzemienicy — szefem w tym urzędzie. Mam zawsze prawo, już nawet jako obywatel Rzplitej, napisać czy powiedzieć, że lokal posterunku jest brudny, czy że w agencji pocztowej urzędowano sobie dancing, cóż dopiero, gdyby zaszedł wypadek, że służba komendanta posterunku w Mszanie paraduje z odznakami partii komunistycznej! Chciałbym wiedzieć, jakby wtedy wyglądały dalsze losy owego komendanta, a doprawdy lepiej będzie nie zapominać, że ministrów pełnomocnych Rzplitej i skromnych komendantów posterunku rozróżnia tylko szczebel służby i przydział do innej dziedziny tej samej państwowej. Różnica w sumiennym pełnieniu obowiązków — to już czysto personalny wkład komendanta czy ministra. Wszelka społeczna kontrola by ustala, gdyby miano w myśl życzeń Pani pytać „gospodarza”.

Zdaje się, że zdołałem tak dostatecznie uwydatnić myśli wyrażone w otrzymanym liście, że mogę tylko podziękować za ich nadesłanie: formułują one w rzadko spotykanej okazałości, w pełnej pogardzie dla niepotrzebnych obsłonek, pewne pojęcia, zbiór pojęć, dojrzewających na wysokich poloninach obecnej Polski. Nie zdziwi się też Pani, że Jej list będzie na należnym sobie miejscu opublikowany jak każdy społecznie cenny dokument — oczywiście wraz z moim skromnym niniejszym komentarzem. Łączę wyrazy szacunku.

(—) Ksawery Pruszyński. [przypis autorski]

⁴⁰³*bitwa pod Somosierrą* (30 listopada 1808) — szarża polskiego szwadronu szwoleżerów na silnie bronioną przelęcz Somosierra w Hiszpanii; doprowadziła do złamania oporu hiszpańskich obrońców i zdobycia wąwozu, co otworzyło Napoleonowi drogę na Madryt i pozwoliło kontynuować kampanię hiszpańską. [przypis edytorski]

⁴⁰⁴*parol zagiąć na kogoś* — upatrzeć sobie kogoś, uwziąć się na kogoś. [przypis edytorski]

⁴⁰⁵*Odena, Lina*, właśc. *Paulina Ódena García* (1911–1936) — hiszpańska robotnica, komunistka i bojownicza, która w czasie wojny domowej otoczona przez nacjonalistów popełniła samobójstwo, co uczyniło ją męczennicą republikańską. [przypis edytorski]

⁴⁰⁶*Erynie* (mit. gr.) — boginie zemsty, karzące zwłaszcza przestępstwa wobec rodziny i rodu, przedstawiane ze skrzydłami i z wężami we włosach, doprowadzające do szału i dręczące tych, których ścigają. [przypis edytorski]

obleganej wówczas przez oddziały wierne rządowi. Wśród starych gajów oliwnych krzyżuje się tam mnóstwo dróg. Milicjant, który prowadził auto Liny Odena, jadącej na najbardziej wysunięte pozycje, zbłądził w tym labiryncie. Front nie był tu zwarty; podróżników zatrzymały patrole powstańcze. Wówczas Odena odebrała sobie życie. Zwłoki jej podobno wywleczono z samochodu i zawieziono do Grenady, gdzie obnoszono je w tryumfie po ulicach. Wieść o jej zgonie przebiegła też przez ulice wielu miast i puebls Katalonii i Hiszpanii, wlokąc za sobą smugę kiru.

Mnóstwo ich jest, tych nazwisk znanych zaledwie od kilku miesięcy, sławnych od paru tygodni, które należą już do przeszłości. Oto drugie z kolei: Katalończyk, największy z nich wszystkich, którego śmierć była najdotkliwsza ze strat, poniesionych przez rewolucję: Durutti⁴⁰⁷. Przedziwny był żywot tego człowieka. Robotnik, jak Lina Odena, rewolucjonista, wódz. Tak, wódz w najistotniejszym tego słowa znaczenia. Jako robotnik był anarchista. Przystąpił do ruchu ludowego, który od dawna już skończył się na całym świecie, wyparty przez marksizm, ale który tu, w Barcelonie i Katalonii, wciąż jeszcze żyje, a nawet bujnie się krzewi. Historia schizm religijnych zna szereg doktryn, jak manicheizm, monoteletyzm, nestorianizm, które srożyły się po świecie, zagrażając nawet Rzymowi, a potem gasły nagle, aby przywarować gdzieś w jakimś zakątku Syrii, Libanu, Azji Mniejszej, kolebce i grobie tyłu religii. Hiszpania jest również krajem, do którego — niby zwierzyzna do legendarnego matecznika w *Panu Tadeuszu* — chronią się niedobitki przebrzmiałych doktryn politycznych, aby dokonać tam żywota. Czymże bowiem jest ów karlizm, uporczywie trwający przy życiu, jeśli nie pozostałością legitymizmu europejskiego sprzed stu lat, z epoki hr. de Chambord⁴⁰⁸, który odrzucił koronę dla białego sztandaru? A czymże jest — z drugiej strony — anarchizm, jeśli nie ostatnim schronem Michaiła Bakunina⁴⁰⁹, którego we wszystkich innych krajach zwyciężył już Karl Marx? Dziwna to była postać, ten Durutti. Ogień, wulkan, lawina: cały swój szalony rozmach wprzągnął w służbę idei rewolucyjnej, od dawna przebrzmiałej, zastąpionej przez inne prądy — i energią swą zdołał tchnąć w nią nowe życie, przywrócić jej rumieńce młodości. Wychowała go robotnicza dzielnica Barcelony o długich, fantastycznie wąskich uliczkach; wyobraźnię dziecka kształtowały nie baśnie czarodziejskie, ale historie o *pistoleros*; umiejętność obchodzenia się z dynamitem i granatami ręcznymi posiadał wcześniej niż sztukę czytania; taktykę rewolucyjną przyswoił sobie nie z podręczników, ale żywcem, z zaciekłych bojów, jakie z organizacjami robotniczymi staczała policja Martineza Anidy, ministra dyktatury. Z czasem został syndykalistą, przeżył cztery więzienia, ciężkie roboty, wyrok śmierci. Tułał się po Europie, nigdzie nie znajdując gościny. W ciągu kilku lat różne kraje wysiedlały go ze swych granic, przesyłając sobie nawzajem jego rysopis. Wreszcie wybucha w Hiszpanii rewolucja. Durutti wraca i z miejsca zostaje aresztowany, gdyż nazwisko jego widnieje na liście najgroźniejszych przestępców. Zaprowadzono go do sędziego śledczego, który zajrzawszy do akt jego sprawy, bardzo się stropił: w nagłówku widniało, wielkimi literami nakreślone, przestępstwo, o jakie Durutti był oskarżony: „przygotowanie zamachu na życie Jego Królewskiej Mości”. Były to już czasy republiki; oczywista, został natychmiast zwolniony. Nie na długo jednak. Dwa tygodnie temu dowodził wojskami na jednym z odcinków frontu aragońskiego, który dzięki jego obecności bronił się wspaniale. W samej rzeczy, okazał się tam znakomitym dowódcą, urodzonym strategiem. W dniu, gdy powstańcy zbliżyli się do Madrytu, zagrażając mu z bliska, tak że rząd musiał przenieść się do Walencji, Durutti, z najdzielniejszymi ze swych oddziałów, pośpieszył na odsiecz stolicy. Rozpoczęła się niesamowita epopeja: faktyczna władza, a już zwłaszcza „rząd dusz”, spoczął w ręku wodza anarchistów. Wzmocniona obsada przedmieść zorganizowała nie tylko odpór, ale kontratak, wypchnęła wdzierające się siły powstańców, odrzuciła je za miasto, osłabiła tym niespodzianym oporem ich

Idealista, Bohaterstwo,
Rewolucja

⁴⁰⁷ Durutti, Buenaventura (1896–1936) — hiszpański robotnik, działacz związkowy, anarchista, jeden z najbardziej rozpoznawalnych działaczy CNT-FAL. [przypis edytorski]

⁴⁰⁸ Chambord, Henri Dieudonné, brabia de (1820–1883) — potomek rodu Bourbonów, wnuk Karola X, pretendent do tronu francuskiego, znany pod imieniem Henryka V; w 1873, po upadku II Cesarstwa i powstaniu III Republiki, otrzymał propozycję objęcia tronu Francji, jednak nie zgodził się na panowanie pod rewolucyjną trójkolorową flagą, żądając powrotu do białego sztandaru z liliami. [przypis edytorski]

⁴⁰⁹ Bakunin, Michaił Aleksandrowicz (1814–1876) — rosyjski rewolucjonista, jeden z twórców koncepcji anarchizmu w wersji kolektywistycznej; sprzeciwiał się istnieniu relacji rządzący-rządzony we wszystkich sferach, od religijnej, poprzez państwową, do prywatnej. [przypis edytorski]

morale. Z pozycji opuszczonej Madryt stał się Verdunem⁴¹⁰, Radzyminem⁴¹¹. Ale wsiły wszędzie sztandary anarchistyczne. To później ukonstytuowano Juntę de Defensa, to później popowracali ministrowie, to wtedy podzielono dowództwo na szereg samodzielnych odcinków, żeby go nie dać Duruttiemu. Legenda tego człowieka była zawsze wielka: obecnie zrobiła się zbyt groźna. Nie był on w swej przeszłości, jak Largo Caballero, członkiem dyktatorskiej Rady Stanu za Primo de Riverę, nie odegrał roli podobnej co u nas Jędrzej Moraczewski⁴¹², socjalista z BBWR⁴¹³: nie uciekł z Madrytu jak Azania. Owszem, gdy nikogo z wielkich i sławnych tu nie było, aż do burmistrza włącznie, on, Katalończyk — a jak wiele znaczy ten separatyzm — przybył tu z garstką na stracone, na beznadziejne. Ale to właśnie oznaczało zdobyć sobie Madryt, jego obrońców, oznaczało i więcej: wziąć na siebie, na swe nazwisko robotnicze, całą glorię zwycięstwa. Taka gloria prowadziła do władzy. Taka władza oznaczałaby zaś, że obok marksistowskiej Walencji z Caballera wyrósłby bakuninowski Madryt z Duruttim i że jednak w tych zmaganiach idei bakuninowska miałaby piękniejszych moralnie szermierzy. Rewolucja byłaby wtedy nie w Walencji, a w Madrycie, wodzem jej nie byłby Caballero, a Durutti, mirażem przyszłości nie ZSRR, a jakaś nowa wielka próba, jakiś „wolnościowy komunizm”, jak oni to zwą, lewicowy syndykalizm, obiecujący uniknąć dyktatury proletariatu z jej Czeką⁴¹⁴, wszechwładzą GPU, ubóstwianym „Wodzem narodów sojuza”, omnipotencją⁴¹⁵ państwa, operowymi procesami odstępców od doktryny, sterujący ku innej formie ludowej społeczności przyszłości. — Oto co znaczyło przybycie Duruttiego do Madrytu, to, czym stał się dla jego tłumu, dla jego obrony, dla przyszłych dróg rewolucji. Dlatego oddać mu władzy nie chciano. Epopeja Duruttiego skończyła się nie mniej szybko niż gwiazda Sułkowskiego⁴¹⁶ z Egiptu: padł na froncie. Było to, jak dowiedziano się później, nie na samych liniach, ale o dwa może kilometry od placu boju. Durutti dojechał tam autem, wysiadł, wydawał jakieś polecenia. Nie wiedzieć skąd — dużo domów było niedaleko — zabląkała się jakaś kula. Padł na miejscu. Wyprawiono mu pogrzeb wspinały i wzruszający: przyłączyli się komuniści i socjaliści; położono na trumnie olbrzymi wieniec od Largo Caballero. Nie mógł pięknie umrzeć bojowy uczeń Bakunina, syn proletariackiej Barcelony, Don Kiszot, który nie chciał żadnej tyranii, nawet własnej. Było coś niedzisiejszego, zeszlowieczonego, w jego wizjach przyszłości bez kolchozu⁴¹⁷, partbiuletu i mechanizacji: ale on sam, swoim twardym życiem bojowca, bez chwili kompromisu życiowego, nie był z naszego wieku. Gdy umarł, stało się dziwnie zrozumiałe, że żyć nie mógł. Prawie, a dziwiono się, że w ogóle żył. Może w bardzo niedalekiej przyszłości we-

⁴¹⁰*bitwa pod Verdun* (21 lutego – 18 grudnia 1916) — jedna z największych bitew I wojny światowej, toczona w okolicy miejscowości Verdun we Francji, zakończona odparciem ataków niemieckich i utrzymaniem pozycji przez Francuzów; w zaciętych walkach pozycyjnych poległo ok. 700 tys. żołnierzy. [przypis edytorski]

⁴¹¹*bitwa pod Radzyminem* (13–16 sierpnia 1920) — stoczona podczas wojny polsko-bolszewickiej, stanowiąca jeden z najważniejszych elementów działań znanych pod wspólną nazwą bitwy warszawskiej; w wyniku krwawego starcia rosyjski atak został odparty, co było jednym z warunków powodzenia polskiej kontrofensywy. [przypis edytorski]

⁴¹²*Moraczewski, Jędrzej* (1870–1944) — działacz socjalistyczny, jeden z przywódców Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej i Polskiej Partii Socjalistycznej, premier Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej, w latach 1919–1930 poseł na sejm; po wejściu w 1926, wbrew stanowisku PPS, do rządu Józefa Piłsudskiego jako minister robót publicznych, został w 1927 usunięty z tego ugrupowania; w 1930 wstąpił do Centralnego Zrzeszenia Klasowych Związków Zawodowych, w grudniu został jego przewodniczącym, zaś w marcu 1931 z kilkoma innymi działaczami doprowadził do rozłamu i połączenia części zrzeszenia z sanacyjnymi związkami zawodowymi w Związek Związków Zawodowych (ZZZ), wspierany przez rząd sanacyjny. [przypis edytorski]

⁴¹³*BBWR* — Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, organizacja polityczna okresu międzywojennego w Polsce, utworzona w 1927, skupiająca drobniejsze ugrupowania polityczne i grupy mniejszości narodowych w celu umocnienia obozu rządzącego po przewrocie majowym. [przypis edytorski]

⁴¹⁴*Czeka* (pot.) — skrótowiec z ros. *Wsierosijskaja czriezwycajnaja komissija po bor'bie s kontrrewolucyjnej i sabotażom*: Ogólnorosyjska Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem; policja polityczna w Rosji Radzieckiej w latach 1917–1922; zastąpiona nową instytucją o tym samym zakresie działań, noszącą nazwę Państwowy Zarząd Polityczny (GPU). [przypis edytorski]

⁴¹⁵*omnipotencja* (z łac.) — wszechmoc, wszechwładza. [przypis edytorski]

⁴¹⁶*Sułkowski, Józef* (1773–1798) — polski oficer, adiutant gen. Napoleona Bonaparte'go; uczestnik wojny polsko-rosyjskiej w 1792 i powstania kościuszkowskiego 1794; uczestnik francuskiej kampanii włoskiej, w 1798 wyruszył z Napoleonem na wyprawę do Egiptu, po udziale w kilku bitwach zginął podczas zwiadu pod Kairem. [przypis edytorski]

⁴¹⁷*kolchoz* (ros., skrótowiec od *kollektiwnoje choziajstwo*: gospodarstwo kolektywne) — rolnicza spółdzielnia produkcyjna w ZSRR; kolchozy tworzone pod przymusem w okresie kolektywizacji rolnictwa. [przypis edytorski]

zmą jego istnienie za legendę, powiedzą, że nie żył wcale, podobnie jak król Arthus⁴¹⁸, który istniał tylko w klechdach normandzkich, jak Krakus i Wanda, jak czarnoksiężnik Merlin⁴¹⁹, który tylko w bajce bretońskiej zmieniał ludzi i otwierał góry, jak Winkelried⁴²⁰, który tylko w legendzie zgarniał w swą pierś wolnego górala wszystkie włócznie żołnierzy cesarskich. Nie zastanawialiśmy się nawet nad tą śmiercią, choć anarchiści snuli ponure przypuszczenia, choć marksizm zdobył przez ten „dziwny traf” olbrzymi atut do ręki: stracił najgroźniejszego ze współzawodników. Durutti, cokolwiek by nie mówiono, nie żył. Cokolwiek by nie mówiono, śmierć jego nastąpiła dziwnym, możliwym oczywiście, zbiegiem wypadku i cokolwiek by nie mówiono, przyczyniła się bardzo wiele do tego, by dalszy nurt rewolucji hiszpańskiej popłynął jednym już tylko nurtem.

A nawet trudno o nim jednym myśleć, bo tymczasem przechodzą przed nami inni, następni.

Więc Asensio, jeszcze jeden przywódca kataloński, również syn prostego ludu. Więc Col, marynarz, który ręcznymi granatami zagroził drogę czołgom nieprzyjacielskim i sam jeden zniszczył ich cztery. I wiele jeszcze innych nazwisk: długa, bardzo długa lista tych ludzi, znanych od dwóch miesięcy, sławnych od paru tygodni, którzy odeszli na zawsze. Najdzielniejsi, najwięksi śmiałkowie. Wszyscy już są po tamtej stronie bytu. W oczach naszych powstaje jakaś jak gdyby Walhalla⁴²¹ cieniów rewolucji, siedlisko dusz nowych bohaterów, geniuszów, świętych, którzy zastąpić mają tamtych dawnych, zrzuconych z piedestałów. Lecz równocześnie obok tej Walhalli, jako jej dopełnienie, powstaje niezgorszy lamus, w którym gromadzi się to wszystko, czego rewolucja nie zużyła, ale co zdegradowała. Tam, w tym lamusie, jest miejsce dla bohaterów z dnia 14 kwietnia 1931 roku: dla Zamory⁴²², Lerroux i tylu innych. Może w dniu zwycięstwa rewolucji trafi tam również ów prezydent, który na długo przed zagrożeniem Madrytu przez powstańców jeździł na południe składać wizyty i odbierać hołdy. Azana! Gdzie jest dzisiaj, gdy Madryt walczy, Azana? Prasa jemu oddana o nim milczy: to prasa anarchistyczna, z dawna nim gardząca, drukuje obok krwawych opowieści z frontu — tego frontu, który wrzyna się w stolicę — namaszczone protokółem wzmianki: „DZIEŃ PREZYDENTA REPUBLIKI: W dniu dzisiejszym. Prezydent Republiki, przybywający na wilegiaturze⁴²³ w Barcelonie, przyjął w gościnie... odwiedził... odbył dłuższą przejażdżkę autem... zrobił wycieczkę poobiednią... podejmował na herbatce... wydał raut”. Dziś propaganda hiszpańska nie próbuje robić zeń „ojca ojczyzny”. Grafoman i bufon, jeszcze trzy lata temu winny krwawej masakry chłopów karabinami maszynowymi w pamiętnych Casas Viejas⁴²⁴, gracz, który grał na wojnę w kraju, na krew, na rewolucję, ale miał za słabe, inteligenckie nerwy, był pierwszym, który uciekł, nim jeszcze Madryt był zagrożony. Pierwszym, który rozpoczął panikę i otworzył swym prezydenckim autem piławiecki⁴²⁵ rajd na Walencję. Ostał się aż w Barcelonie. Bliżej Francji, pewniej. Pamiętałem, w dwa

⁴¹⁸ *Artus (Arthus)* a. *Artur* — legendarny król celtycki, panujący w V–VI w. nad pld.-zach. Brytanią, założyciel bractwa rycerzy Okrągłego Stołu. O dziejach Artura i przygodach jego rycerzy powstały liczne legendy i dzieła literackie. [przypis edytorski]

⁴¹⁹ *Merlin* — jeden z bohaterów legend arturiańskich, wielki czarodziej, wychowawca i doradca Artura. [przypis edytorski]

⁴²⁰ *Winkelried, Arnold ze Stans* (zm. 1386) — legendarny szwajcarski bohater narodowy; w bitwie pod Sem-pach, pomiędzy wojskami szwajcarskimi a habsburskimi, miał skierować we własną pierś nieprzyjacielskie włócznie, tworząc w ten sposób wyłom w szkach bojowych wroga, dzięki czemu Szwajcarzy zwyciężyli. [przypis edytorski]

⁴²¹ *Walballa* (mit. germ.) — zaświaty, kraina wiecznego szczęścia; zamek najwyższego boga germ. Odyna, w którym gości on poległych chwalebnie na polu bitwy wojowników. [przypis edytorski]

⁴²² *Alcalá Zamora, Niceto* (1877–1949) — polityk hiszpański, liberał, premier rządu tymczasowego oraz pierwszy prezydent Drugiej Republiki Hiszpańskiej. [przypis edytorski]

⁴²³ *wilegiatura* (daw.) — dłuższy wypoczynek na wsi. [przypis edytorski]

⁴²⁴ *krwawej masakry chłopów karabinami maszynowymi w pamiętnych Casas Viejas* — 11 stycznia 1933 grupa chłopów związanych z CNT próbowała wszcząć anarchokomunistyczne powstanie w wiosce Casas Viejas w Andaluzji; przybyłe na miejsce oddziały Gwardii podpaliły dom, w którym schronili się anarchiści, po czym dokonały masakry, w której zamordowano 26 osoby. [przypis edytorski]

⁴²⁵ *bitwa pod Piławcami* (23–25 września 1648) — bitwa rozegrana podczas powstania Chmielnickiego pod wsią Piławce w centralnej części Ukrainy; przed zasadniczym starciem z wojskami kozacko-tatarskimi, w nocy z 23 na 24 września wśród wojska rozeszła się pogłoska o ucieczce dowódców, co wywołało panikę: armia polska uciekła, porzucając tabory i broń. [przypis edytorski]

dni po jego cichym odjeździe przed Pałacem Królewskim⁴²⁶ służba zносиła ostatnie kufry prezydenta, przyglądał się tłum madrycki, pogardliwie milczący, drwiący, godny.

— Prędzej zbieraj resztki po ścierwie — wyrwał się głos z tłumy.

Od Brunete grzmiały armaty długim echem. Po wąskich uliczkach staromieścia, wydających przed Pałac jak u nas przed Zamek Warszawski, tętniła niewidzialna, kordiana-wizja:

On w stolicy owłada dział mur,
On z krwi na wierzch wypłynie — to zdrajca.
A gdy zagrzmi nad miastem dział huk,
On rycerzy ginących porzuci,
Ze stolicy wyleci jak kruk,
Strząśnie skrzydła, do arki nie wróci.⁴²⁷

Tak, rewolucja hiszpańska w niczym nie odbiega od norm wszystkich rewolucji świata: obala, pożera, niszczy bohaterów pierwszych dni, aby na ich miejsce wywyżczyć ludzi nowych, którzy dojrżeli w ogniu walki. I nie dziwiłbym się wcale, gdyby pewnego dnia bohaterem i wodzem okazał się Jose Diaz⁴²⁸, sekretarz partii komunistycznej.

„Wszystkich nas czeka ten los, przyjacielu” — pisała w swej celi w Temple⁴²⁹ pani Roland, egeria⁴³⁰ żyrondyistów⁴³¹. Te słowa, streszczające prawo rewolucji, wciąż jeszcze okazały się aktualne, jeśli z kolei spojrzymy na elitę tamtej strony. Iluż mieli dowódców i jakie mnóstwo ich ubyto! Więc przede wszystkim Sotelo, człowiek niezaprzeczenie wybitny, który po zwycięstwie puczu miał zostać szefem prawicowego rządu. Zginął. Dalej, gen. Sanjurjo⁴³², którego zachowanie się dnia 13 kwietnia 1931 roku nie mało przyczyniło się do obalenia monarchii. Zginął w katastrofie lotniczej w pierwszych dniach rewolucji. Po nim Goded; ten znów był jednym z głównych dowódców spisku wojskowego, demoralizatorem armii, specjalistą od *pronunciamentos*. Klęska, jaką poniósł na ulicach Barcelony, przesądziła o zwycięstwie mas ludowych Hiszpanii, jego zaś zaprowadziła przed trybunał rewolucji, który wydał nań wyrok śmierci. I jeszcze jeden odszedł w tych dniach, tak groźnych dla Madrytu: młody był, a mierzył wysoko: José Antonio Primo de Rivera⁴³³, syn dyktatora, przywódca „Falangi” hiszpańskiej. Rewolucja zastała go w więzieniu w Alicante, gdzie odbywał karę za jakieś przestępstwa polityczne. W tych dniach postawiono go przed sądem i skazano na śmierć. Ubył jeszcze jeden kandydat na wodza. Pusto się robi dokoła gen. Franco.

Rewolucja

⁴²⁶ *Pałac Królewski w Madrycie* (hiszp. *Palacio Real de Madrid*) — zbudowany w XVIII w. przez Filipa V Burbona; oficjalna rezydencja hiszpańskiej rodziny królewskiej, obecnie wykorzystywana tylko jako miejsce uroczystości państwowych. [przypis edytorski]

⁴²⁷ *On w stolicy owłada dział mur...* — Juliusz Słowacki, *Kordian* (część *Przygotowanie*). [przypis edytorski]

⁴²⁸ *Diaz, José* (1895–1942) — hiszpański związkowiec i polityk komunistyczny, generalny sekretarz Komunistycznej Partii Hiszpanii podczas wojny domowej. [przypis edytorski]

⁴²⁹ *Temple* — średniowieczna forteca zakonu templariuszy, położona w centrum Paryża; po rozwiązaniu zakonu stała się jedną z rezydencji królewskich, podczas rewolucji francuskiej została przekształcona w więzienie polityczne. [przypis edytorski]

⁴³⁰ *Egeria* (mit. rzym.) — nimfa wodna, doradczyni króla Rzymu Numy Pompiliusza; przen. jako rzecz. popolity *egeria* oznacza doradczynię, powiernicę męża stanu a. artysty. [przypis edytorski]

⁴³¹ *żyrondyści* — stronnictwo polityczne z czasów rewolucji francuskiej, opowiadające się za rządami parlamentarnymi, początkowo stanowiące prawe skrzydło jakobinów z programem monarchii konstytucyjnej i rządów parlamentarnych z zachowaniem swobód życia gospodarczego i religijnego. [przypis edytorski]

⁴³² *Sanjurjo, José* (1872–1936) — hiszpański generał, jeden z dowódców wojskowych planujących przewrót wojskowy, który zapoczątkował wojnę domową; zginął w katastrofie lotniczej na samym początku buntu. [przypis edytorski]

⁴³³ *Primo de Rivera, José Antonio* (1903–1936) — hiszpański polityk i ideolog faszystowski, założyciel i przywódca Falangi Hiszpańskiej, syn dyktatora Miguela Primo de Rivery; w marcu 1936 aresztowany w związku z zamachami organizowanymi przez członków Falangi, po wybuchu wojskowej rebelii przeciwko legalnemu rządowi oskarżony o bunt i spisek, skazany i rozstrzelany; przez nacjonalistów uznawany był za męczennika. [przypis edytorski]

Oczywiście, powstańcy nie jego predestynowali na swego wodza: był najmłodszy i najmniej politykujący z generałów. Zostało ich jeszcze kilku: Mola⁴³⁴, Cabanellas⁴³⁵, Queipo de Llano. Wszyscy trzej, wielcy intryganci, czczeni jak fetysze, członkowie łóż. W rzeczy samej z chwilą obalenia monarchii pokwapiono się z udzieleniem dymisji generałom prawicowym. Inna rzecz, że republika nie okazała się taka, jaką sobie byli projektowali spiskowcy z *pronunciamentów*. Usiłowali też przerobić ją po swojemu, własnymi rękami, lub raczej szablami. Było to dn. 20 lipca; zamach spalił na panewce. Z tą chwilą wszyscy trzej byli powaleni — zupełnie tak samo jak z przeciwnej strony senor Alcala Zamora. Jedynym wojskowym, który w przeciwieństwie do nich mógł się pochwalić dość mizernym na razie sukcesem, był Franco. Wszystkie bowiem atuty, jakimi tamci posługiwali się w polityce, znalazły się w rękach przeciwników: były to hasła liberalizmu, postępu. Wielką siłą moralną powstania jest religia. Generałowie poczęli zatem grać komedię: Mola przywraca w szkołach krucyfiksy, stary wolterianin Cabanellas chodzi na mszę, Queipo de Llano uderza w tony religijne w przemówieniach swoich, wygłaszanych w radio sewilskim. Lecz w tych burzliwych czasach komedie nie na wiele się zdadzą. Tak też się stało, że podczas gdy jeden po drugim ginęli Durutti, Odena, Col i ich towarzysze, śmierć i zapomnienie czyniły spustoszenia w pierwszych szeregach ich nieprzyjaciół, usuwając, jakby cudem, wszystkich rywali, którzy jeszcze dwa miesiące temu znajdowali się na drodze młodego gen. Franco.

Religia, Polityka

*

Ktoś powiedział, że ta wojna będzie początkiem przyszłej europejskiej walki między dwoma światami, komunizmem i faszyzmem. Tak się też stało w istocie. Po cudzoziemskich samolotach, po amunicji, po obcych karabinach zwykłych i maszynowych zjawily się rosyjskie czołgi, wielkie wojskowe ciężarówki, malowane na kolor khaki armaty. A po junkersach i innych narzędziach wojny zjawili się wreszcie i ludzie. I to nie tylko lotnicy obcokrajowi, o których obecności sporadycznej donosiły gazety. Obecnie są to już całe oddziały wojskowe. Stawili się tu wszyscy: Niemcy, Włosi, Polacy, Żydzi, Francuzi. Bronią oni najtrudniejszych posterunków: Rosales, Puente de los Franceses, Ciudad Universitaria i Casa del Campo. Cała międzynarodówka antyfaszystowska i komunistyczna przybyła tu, aby ramię przy ramieniu stanąć na przedpolach Madrytu. Po drugiej stronie dzieje się to samo. Polacy z batalionu im. Dąbrowskiego — oczywiście, Jarosława Dąbrowskiego, dowódcy wojskowego komuny paryskiej — mówili mi, iż w ciche wieczory w okopach przeciwników słychać polskie pieśni. Polacy — a pełno ich tu wszędzie — opowiadali mi jeszcze, że pewnej nocy wołano do nich spod pinii Casa del Campo: „Polacy, nie strzelali!”. Jednak strzelali, gdyż jest to znany tu dobrze chwyt Maurów: prosić o pokój, a samym odpowiadać strzałami karabinowymi. Toteż obecnie ludzie mają się już na baczności.

Wojna, Obraz świata

Bratobójcza walka Hiszpanów, jak to się zawsze dzieje w wojnie domowej, wyszła poza ramy jednego narodu i stała się bratobójczą walką wszystkich ludów Europy, zyskując przez to na zaciętości. Jest to całkiem zrozumiałe. Po latach podziemnej walki, emigrant włoski ze stokroć większą zawziętością skieruje lufę zenitówki⁴³⁶ przeciwko Savoia-Marchetti. Uciekinier-Niemiec całą nienawiść, nagromadzoną w czasie trzyletniego pobytu w obozie koncentracyjnym, wyladuje w walce z przeciwnikami-Niemcami. Sierp i swastyka splotły się wreszcie w walce, o której marzyły. To nie tylko bohaterowie hiszpańscy, którzy wstąpią, gdy nadejdzie ich chwila, do Walhalli cieniów rewolucji. Ta walka ma znacznie szerszy zasięg: kryje ona więcej obietnic i gróźb dla tych, którzy się w nią wplaczą. A Manzanares w głębi jaru toczy swe fale — Styks⁴³⁷ i Marna⁴³⁸ tej walki, która

⁴³⁴Mola, Emilio (1887–1937) — hiszpański generał, jeden z trzech głównych organizatorów (obok generałów Franco i Sanjurjo) nacjonalistycznego przewrotu wojskowego, który doprowadził do wybuchu wojny domowej; zginął w wypadku lotniczym. [przypis edytorski]

⁴³⁵Cabanellas, Miguel (1872–1938) — oficer hiszpański, jedna z czołowych postaci przewrotu wojskowego w 1936 i rebeliantów podczas hiszpańskiej wojny domowej. [przypis edytorski]

⁴³⁶zenitówka (wojsk. pot.) — działo przeciwlotnicze. [przypis edytorski]

⁴³⁷Styks (mit. gr.) — rzeka oddzielająca świat żywych od krainy umarłych, Hadesu. [przypis edytorski]

⁴³⁸Marna — rzeka w środkowej Francji; nad Marną odbyły się w czasie I wojny światowej dwie ważne bitwy: we wrześniu 1914 i w lipcu 1918, obie zakończyły się powstrzymaniem ofensywy Niemiec. [przypis edytorski]

pcha ich wszystkich, wielkich i małych, sławnych i bezimiennych, czerwonych i białych — w otchłanne głębinę śmierci.

OCZYMA ANGLOSASA

Wyrocznia stał się gruby Amerykanin z Hearsta, imieniem Jonathan. To Jonathan przepowiedział, że Madrytu nie wezmą i że Gran Via będzie zbombardowana. Dziwiło to wszystkich, zwłaszcza pierwsze, bo Jonathan uchodził za sprzyjającego faszystom. Ale to tylko madryccy kandydaci na prokuratorów w przyszłym trockistowskim procesie, tym razem w Hiszpanii, mogli tak upraszczać: Jonathan nie cierpi faszystów. Nie cierpi w ogóle „totalniaków”. W zasadzie kocha jakąś demokrację egalitarną, prostą bardzo i możliwie zamątną. Dla Europy jest monarchistą; właśnie najpiękniejszym wykwitem europejskiej demokracji byłoby istnienie królów, fotografowanych do każdego niedzielnego dodatku pism, jak podają rękę pucybutom i w tłumie aut czekają posłusznie na sygnał policjanta kierującego ruchem ulicznym. Z królową, możliwie ładną, którą fotografowano by, jak prowadzi wózek dziecinny po bulwarze, obok innych wózek, prowadzonych przez żony zecerów, aptekarzowe. Wyznaje, że wtedy to i on, Jonathan, chciałby mieć takie *baby*⁴³⁹ i prowadzić je na spacer w wózku, obok setek innych *baby*, z owym monarszym *baby*. Ale naprawdę to Jonathan lubi rewolucję, bezład i nic. Ktoś opowiadał, że w katedrze prymasowskiej w Toledo podczas oblężenia Alkazaru zasiadł na tronie prymasów hiszpańskich i że zastano go później przy biurku Largo Caballero w ministerstwie wojny, piszącego kartki do swych znajomych, w rodzaju „*Dear old Tommy*”⁴⁴⁰, piszę do Ciebie z madryckiego ministerstwa wojny, które było pałacem *duque de la Paz*⁴⁴¹. Siedzę przy biurku, gdzie jeszcze wczoraj urzędował ten poczciwy Caballero, który teraz jest w Walencji, a ja tu myślę właśnie o tobie, *dear boy*⁴⁴²!”. To wszystko może nieprawda, ale przypomina to bardzo Jonathana. Jonathan lubi te rzadkie wypadki, gdy walą się ustalone autorytety, a nie zrodziły się nowe. Człowiek-Jonathan naśmiewa się wówczas ze skruszałych potęg: „O wa”⁴⁴³, mówi, trwaliście wieki, gięliście karki i zmieniali historię, ale ja was przetrwałem!”. A potem, gdy rodzi się nowa władza, gdy stawia niezgrabne pierwsze kroki, gdy nowi prezydenci prostują po raz pierwszy swe biusty przed aparatem fotoreportera, Jonathan znowu lubi się zjawić. — „Hi, hi, hi — śmieje się krótkim, urywanym śmiechem — gdzie to wynieśli tego pętaka? Więc po to tyle napsuli prochu i krwi, po to poburzyli odwieczne potęgi, żeby tę niedojdę w mężu stanu wyprowadzić?” I Jonathan odjeżdża wtedy szybko. Może dlatego, że widział już to, co lubi widzieć, może dlatego, że nowa władza nie lubi tych kpiących, pamiętających niedawne, oczu. Teraz okazuje się, że wyjeżdża z Madrytu. Jak to, dlaczego?

— Widzicie — mówi Jonathan — wszystko skończone.

— Skończone? — dziwimy się.

— Nie bierzcie tego w odniesieniu do szans wojny — mówi Jonathan — mnie wojna nie obchodzi. Ja nie jestem kawiarnianym znawcą strategii. Nie czuję w sobie poronionego Ludendorffa, niewyżytego Focha⁴⁴⁴. Mnie obchodzi rewolucja. Otóż teraz pewien etap rewolucji już się skończył. Nawet etap dwóch równoległych do siebie idących rewolucji: nacjonalistycznej i proletariackiej. Rozpoczęła się zaś wojna. Mnie ona nie obchodzi, ale jeśli kogo z Was interesuje jej koniec, to również wyjeździe ze mną. Tu nic nie zobaczycie...

— Ale dlaczego? — pytamy.

— Dlatego — rozumuje Jonathan — że nie jest to wojna hiszpańska. Dlatego — i to jako człowiek uważam za okropne — że o jej losach przestała rozstrzygać ludzka odwaga. Będzie rozstrzygać to, czy jednej lub drugiej stronie — to jest, oczywiście, nie Frankowi czy Walencji, ale państwu faszystowskiemu względnie Rosji — uda się dostawić

Wojna

⁴³⁹*baby* (ang.) — bardzo małe dziecko, niemowlę. [przypis edytorski]

⁴⁴⁰*Dear old Tommy* (ang.) — Drogi stary Tommy. [przypis edytorski]

⁴⁴¹*duque de la Paz* (hiszp.) — książę Pokoju. [przypis edytorski]

⁴⁴²*dear boy* (ang.) — drogi chłopcze. [przypis edytorski]

⁴⁴³*o wa* (gw.) — wykrzyknienie, wyrażające niezadowolenie lub powątpiewanie itp. [przypis edytorski]

⁴⁴⁴*Ludendorff, Foch* — czołowi dowódcy okresu I wojny światowej: niemiecki gen. *Erich Ludendorff* (1865–1937) oraz francuski gen. *Ferdinand Foch* (1851–1929). [przypis edytorski]

⁴⁴⁵*paralelnie* — równoległe. [przypis edytorski]

odpowiednią ilość tanków i samolotów, czy nie. Czy państwa „wahające się” — Anglia, Francja — ułatwią tę dostawę jednym, czy drugim. Wojna oczywiście potrwa. Potrwa, bo właśnie te państwa które mogą utrudnić pomoc międzynarodową, Paryż i Londyn, nie są naprawdę za żadną ze stron wojujących. Sterują ku jakiejś niezmiernie dziś dalekiej formie liberalnego kompromisu, Londyn monarchicznego nawet, Francja republikańskiego. Nie zechcą tutaj ani komunizmu, ani faszyzmu. Pozwalają, ułatwiają przeciąganie się tej wojny świadomie. Całkiem świadomie. Myślicie, że to przypadkiem w pierwszych dniach, gdy czerwoni zwyciężyli na ulicach i rozgromili wojskowych, dopuszczono do zupełnie swobodnego wspierania Franco z zagranicy? Myślicie, że to przypadkiem pozwolili, gdy podchodził pod Madryt, na te olbrzymie transporty rosyjskie? Myślicie, że to przypadkiem po każdym zwycięstwie czerwonych w tej wojnie nachodzi zwycięstwo białych i odwrotnie? Nie, moi drodzy. Państwa neutralne, państwa „nieinterwencji” prowadzą bardzo systematyczną akcję. Utrudniają pozycję tego, który w danej chwili ma przewagę, i faworyzują tego, który w danej chwili jest słabszy. Dlaczego? Dlaczego? A dlatego, że chcą tu wystrześcić i sojuszników Rosji, i wasali totalistów, zmęczyć kraj wojną, wywołać skłonność do kompromisu, umożliwić jakiś reżym, który byłby „ani rybą, ani mięsem”. Czy im się to uda? Taka gra może się łatwo skończyć przypadkowym fiaskiem. Ale na razie trwa ona blisko pół roku i realizuje jak dotąd zamierzenia neutralnych: nie dać nikomu przewagi pełnej, osłabiać kolejno obie strony, podstawić nogę chwilowemu zwycięzcy. Otóż, moi drodzy, mnie wojna nie obchodzi. Mnie obchodzi rewolucja. Jeśli kogo z was obchodzi wojna, radzę i jemu wyjechać. Niech ją śledzi na odległość. Z Paryża, Londynu, Genewy. Tam otwierają się i zamykają śluzy dopuszczające do Walencji czy Burgos dopływ tanków, samolotów, armat. Tam reguluje się przewagę na frontach hiszpańskich. Ale mnie nie interesuje to naciskanie gdzieś daleko elektrycznego guzika, który napętnia śmiercią tutejsze elektryczne krzesła. Mnie ciekawi rewolucja. Wyjeżdżam.

— Rewolucja skończyła się, Jonathanie?

— Rewolucja, moi drodzy, przerwała się. Teraz jest antrakt⁴⁴⁶ wojny. Na razie wiemy jedno. Ze śmiercią Duruttiego zapadł szlaban na jeden z rewolucyjnych torów: w Hiszpanii w każdym razie nie zapanuje Bakunin, „komunizm wolnościowy”, syndykalizm anarchistyczny, FAI. Greenspeen uśmiecha się drwiąco: jest przekonany, że anarchizm był od początku utopią. Powoli, mój mały. To samo mówiono kiedyś o wizji Marksa. Może nawet więcej. Oczywiście to, co zrobiono w Rosji, nie jest komunizmem, ale jest w każdym razie próbą zrealizowania komunizmu. Nie okazało się może, że jest to ustrój lepszy od innych, ale okazało się, że jest on możliwy. Mogłoby tak być z anarchizmem, ale teraz już nie będzie. Nie zdołali wziąć obrony Madrytu w swoje tylko ręce, stracili wodza. A komunizm ma potężnego fora właśnie dlatego, że rewolucja zamieniła się w wojnę, że w wojnie potrzeba tanków, a te tanki dostarczyć może tylko komunistyczna Rosja sowiecka. Nie, moi drodzy. Z czterech gałęzi *Frente Popular*: republikańców, socjalistów, anarchistów i komunistów dokonała się selekcja sił. Komuniści okazali się najfortunniejsi. Na jak długo? —

Chcicie wiedzieć jeszcze, co na razie skończyło rewolucję? Rewolucję zamknęła śmierć młodego Primo de Riverę. Mam wrażenie, że można go było zawsze wymienić. Niestety, nie byli na to dość inteligentni czerwoni, a byli na to zbyt ostrożni wojskowi. Proszę się nie gorszyć: uważam rozstrzelanie tego chłopca za błąd. Wielki błąd. Usunięto jedyne go kontrkandydata do władzy gen. Franco. Odjęto potężny *handicap*⁴⁴⁷ falangistom. Falangiści to jedyni współzawodnicy generałów w tamtym obozie. Dziś, gdy nie ma małego Riverę, Franco staje się bardziej niepodzielnym wodzem. Ale też rewolucja tamtejsza z nacjonalistycznej staje się wojskowa, puczowa, generalska. Oto jeszcze skończony etap. Oto jeszcze jedna z możliwości, których odtąd już nie będzie. Widzicie, że z obu stron kandydaci do władzy odpadają kolejno. Anarchizm z Duruttim, nacjonalizm rewolucyjny z Riverą. To tak jak przy wyborach prezydenta: skrutynium⁴⁴⁸ pierwsze, drugie,

Rewolucja, Historia,
Polityka, Filozof

⁴⁴⁶ *antrakt* — przerwa między jednym a drugim aktem w sztuce teatralnej, operze, koncercie. [przypis edytorski]

⁴⁴⁷ *handicap* (ang.) — przeszkoda. [przypis edytorski]

⁴⁴⁸ *skrutynium* (daw.) — głosowanie tajne. [przypis edytorski]

trzecie. Może w międzyczasie wyłonią się jacy nowi kandydaci? Ja właśnie wyszedłem po pierwszym akcie. Przyjdę na późniejsze. *Goodbye!*⁴⁴⁹

— A kiedy wrócisz, Jonathanie?

— Wrócę, kiedy zaczniesz się na nowo. Gdy skryształizuje się jakaś władza, ktoś zwycięży i będzie kraj urządzić. Zobaczą, co zrobi ten ktoś z Hiszpanii. Za Alfonsa Trzynastego mieliśmy tu jakąś Austrię sprzed laty stu, jakieś królestwo Obojga Sycylii, jakieś Państwo Kościelne sprzed „roku tysiąc osiemset czterdziestego ósmego”⁴⁵⁰. Republika zapowiadała tu współczesną Francję: skończyło się na jednej więcej republice w stylu południowoamerykańskim, z rewolucją raz na dwa lata, puczem co wakacje, półdyktaturami i półrewolucjami. Przez chwilę myślałem, że anarchizm znajdzie tu swe pole doświadczalne, jak je znalazł marksizm nad Nową i Wołgą. Ale nie. Teraz może chodzić o to, czy Hiszpania będzie nowym terenem doświadczalnym faszyzmu czy komunizmu. Anarchizm już odpadł. Wówczas może być ciekawie: będzie chodziło o to, jaki komunizm znajdzie tu swoją realizację. Czy Hiszpania będzie kopią Rosji, Rosji leninowskiej z NEP-em⁴⁵¹ czy obecnej? A może jeszcze co innego. Może to być dla świata bardzo ciekawe. Możemy wiele na tym doświadczeniu skorzystać. Ja osobiście nie mam sympatii do Hiszpanii. To nie jest kraj dla mnie. Dlatego wolałbym, żeby się kiedyś przerwały śluzę doprowadzające czy wstrzymujące pomoc obcą: żeby wbrew Anglii, wbrew Francji ktoś tu zwyciężył skrajny, definitywny. Żeby nie przyszedł kompromis. Cóż da kompromis światu? Nic. Hiszpanii może dać spokój, przerwanie bezpłodnego wylewu krwi. Ale świat na tym nie skorzysta. A ostatecznie jakieś króliki doświadczalne muszą na świecie istnieć. —

Jonathan rozumuje z cynizmem przykrym, ale logicznym. Dla niego oczywiście to tylko eksperyment. Nie chce, żeby był przerwany, i tyle. A tymczasem powiada:

— Ja zaś jadę do Belgii. Radzę, kto ciekaw, ze mną.

— Cóż się dzieje w Belgii? — pytamy.

— Wiecie dobrze — powiada Jonathan — walka ta, co w Hiszpanii. Walka z faszyzmem. Ale nie o komunizm zamaskowany demokracją, tylko o demokrację. Nie entuzjazmuje was to, nie ciekawi? Bo może Belgia jest małym państwkiem? Bo nie zabija się tam nikogo, nie trzeszczą karabiny maszynowe na ulicach, nie wywozi się ludzi za miasto, po strzał w ciemność? Bo Van Zeeland⁴⁵² nie jest Caballera, nie przybiera póz Lenina? Bo Degrelle⁴⁵³ nie zapowiada, że głowy potoczą się na ziemię? A mnie właśnie to ciekaw! Właśnie to do mnie przemawia. Wielkość eksperymentu nie polega na rozmiarach laboratorium; polega na chemicznej, antyseptycznej czystości, w której jest przeprowadzany. W Belgii jest dyskusja, publiczna, jasna, dyskusja idei, przeprowadzana w równych warunkach, w lojalnej walce wobec opinii, która nie posiada w ogóle analfabetów. Ja lubię dyskusję. Lubię taką właśnie walkę idei, w takich właśnie warunkach. Lubię, gdy jest mecz dwóch prawdziwych gentlemanów, w dodatku młodych. To lepsze niż stare pryki przedwojennego parlamentaryzmu w nowej roli, to lepsze niż niewyżyty generał grający *Fuehrera*⁴⁵⁴. Jadę do Belgii!

— Dobrze, Jonathanie — ktoś żartuje — ale co zrobi Hearst? Jedziesz do kraju, gdzie nie ma trupów na ulicach. Opuszczasz kraj, gdzie krew się leje. Co Hearst powie? To dostarczy świeżego towaru okropieństw „zółtej prasie”? —

Wszyscy się śmieją, ale Jonathan macha ręką:

⁴⁴⁹*goodbye* (ang.) — do widzenia. [przypis edytorski]

⁴⁵⁰sprzed „roku tysiąc osiemset czterdziestego ósmego” — tj. sprzed Wiosny Ludów, serii ludowych zrywów rewolucyjnych i narodowych w Europie w latach 1848–1849. [przypis edytorski]

⁴⁵¹NEP (skrót ros. *Nowaja ekonomiczeskaja politika*: Nowa Polityka Ekonomiczna) — doktryna polityki gospodarczej rządu radzieckiego w latach 1921–1929, zmienionej z komunizmu wojennego przez wprowadzenie bardziej rynkowych mechanizmów gospodarczych w celu odbudowy kraju po zniszczeniach wojennych. [przypis edytorski]

⁴⁵²*Van Zeeland, Paul* (1893–1973) — belgijski polityk katolicki, ekonomista, premier Belgii (1935–1937). [przypis edytorski]

⁴⁵³*Degrelle, Léon* (1906–1994) — belgijski polityk i wojskowy o poglądach nacjonalistyczno-faszystowskich, w czasie II wojny światowej kolaborant Niemiec nazistowskich, oficer Wehrmachtu i SS, dowodził Ochotniczą Dywizją Grenadierów Pancernych SS „Wallonien”, walczącą u boku armii niemieckiej na froncie wschodnim; w 1944 przez rząd belgijski zaocznie skazany na karę śmierci, w 1945 po kapitulacji Niemiec uciekł do Hiszpanii, gdzie przebywał do końca życia. [przypis edytorski]

⁴⁵⁴*Fuehrer* (niem.) — dosł.: wódz, przywódca; tytuł używany przez Adolfa Hitlera po przejściu władzy w Niemczech. [przypis edytorski]

— Nic się nie stanie. Ameryka lubi straszności, ale Ameryka lubi jeszcze bardziej relacje z prawdziwego, poprawnego meczu. Anglosasi to sportsmeni. Poprawny mecz zobaczę w Brukseli. O Hiszpanię możecie się nie bać. Technika reporterów sensacyjno-kryminalnych stoi w Bostonie wysoko; dostarczą czytelnikowi beze mnie pożądanym serwis trupów i okrucieństw z doskonałą regularnością. Nasi chłopcy umieją pracować. Obawiam się, co prawda, że choć zwykle przesadzają, tym razem mogą łatwo nie dociągnąć: ten kraj więcej krwi przeleje, niż to wyfantazjują wszyscy reporterzy amerykańscy... Ale wy siedzicie w tej wieży Babel. Zobaczycie, jak powoli odbudowuje się władza w Madrycie. To także ciekawe. Ja już zrobiłem z tego swą pracę. Możecie mnie doganiać.

*

Tymczasem odbudowywało się życie w Madrycie. W naszych oczach, tak jak przedtem w naszych oczach uległo rozkładowi. Dzienniki zaczęły wychodzić niemal normalnie. Ruch w mieście zaczął się może jakiś inny, ale też w pewien sposób normalny. Urzędy zaczęły na swój sposób urzędować. Patrolowania nocne poczęły funkcjonować znacznie lepiej niż przedtem. Parokrotnie, wracając późno do domu, było się badanym, przy świetle latarek, z lufami o pierś. Ale strzały nocne przestały się tak powtarzać. Na chodnikach rankiem nie spotykało się plam krwawych. Miało to nawet swoje efekty goyowskie, błysk latarni oświetlających kaźden fałd ubrania na piersiach, kontur podniesionych rąk, żelazo luf karabinowych, wymierzonych w tę pierś, zarys jakichś postaci żołnierskich już rozplywający się w czarnogranatowym tle nocy⁴⁵⁵. Niewątpliwie stawał się ład. Czasem, jak w tym wypadku, lepszy niż był. Zawsze prawie inny. Ład obrastał dokoła szczątków dawnego ładu. Poulokowywał swe agendy w opustoszałych lokalach tamtych agend. Szkieletem, wokoło którego mógł obrosnąć, przede wszystkim stała się linia tramwai madryckich. Należy im się wspomnienie. Tramwaje te były — podobno — towarzystwem akcyjnym, w którym spory jakoby pakiet akcji mieli posiadać jezuici. Nie przestały funkcjonować ani na moment. W obronie miasta spełniły także rolę i trudną bardzo, i cenną. Trudną, bo tramwajarz mknący przez miasto nie tylko narażał się na bomby, nie tylko przejeżdżał przez dzielnice narażone na ogień, ale jeszcze był najlepszym świadkiem tego całego bezładu i rozkładu, jakim zaznaczała się na wielkich szlakach miasta ówczesna trwoga władz. Widział, nie jak inni, jeden odcinek, ale widział go zwielokrotniony po stokroć. To był duży wysiłek psychiczny prowadzić tramwaj w listopadowym Madrycie tych dni. Dla morale miasta był to wysiłek kapitalny. Jeżeli ludność spostrzegła, że władze więją, urzędy znikają, auta mkną do Walencji, to widziała także tramwaje sunące po mieście, koło rozwalonych pociskami domów, mimo pożarów wieczornych, tak jakby się nic nie stało i nie działo. Jeśli u nas w okresie pokoju przestaną chodzić tramwaje, miasto nabiera anormalnego charakteru. Tu krążące tramwaje podtrzymywały załamaną wszędzie indziej normalność życia. Konduktorzy milczący, niedemonstrujący, nachmurzeni, prowadzili swe wozy. Wtedy też właśnie milicjantom kazano płacić za bilety. Dawna republika odeszła z Madrytu. Może była w Walencji i z rządem, może w Barcelonie z prezydentem. Tu władzę obejmowali nowi ludzie. Widziało się w urzędach i przy centrach pracy tych właśnie nowych ludzi opustoszałego miasta.

Nowi ludzie byli to przede wszystkim ludzie młodzi. Następnie komuniści. Wreszcie cudzoziemcy. To ostatnie przyjęliśmy bez sprzeciwów, tak ze względów ogólnych, jak praktycznych. Ostatecznie rewolucja proklamowała od wstępu swój charakter międzynarodowy: ci, co ją chcieli, ponosili tylko konsekwencje. Praktycznie mam wrażenie, że dla obrony Madrytu i losów wojny czerwonych było to — przynajmniej tam, gdzie mógł to oglądać dziennikarz — najszcześniejsze. Był to element znacznie lepszy, technicznie choćby, niż hiszpański. Załatwiano sprawy z szybkością i celowością, która i dla Polski byłaby postępem. Wreszcie okazało się naraz, że we wszystkich urzędach zasiadają teraz moi dobrzy czy dość dobrzy znajomi. Oto wszyscy obcy dziennikarze komuniści, cała wieża

⁴⁵⁵ efekty goyowskie, błysk latarni oświetlających kaźden fałd ubrania na piersiach, kontur podniesionych rąk, żelazo luf karabinowych, wymierzonych w tę pierś, zarys jakichś postaci żołnierskich już rozplywający się w czarnogranatowym tle nocy — odniesienie do obrazu Francisco Goi *Rozstrzelanie powstańców madryckich* (1814), ukazującego rozstrzelanie przez francuski pluton egzekucyjny grupy powstańców przeciwko władzy napoleońskiej, dokonane 3 maja 1808. [przypis edytorski]

Babel z październikowych wieczorów w hallu „Gran Via” wynurzyła się tu naraz z potopu i rozsiadła wygodnie. Gruba Ilza, z której śmieliśmy się trochę, a która pozostała nieustraszenie w Madrycie, teraz rozwinęła wspaniałą działalność. Kierowała radiem. Wraz z moim przyjacielem Anglikiem zastaliśmy ją urzędującą za zwykłym remingtonem⁴⁵⁶, ale wszechwładną, w pięknej willi — pałacu księcia Nojara — o ile pamiętam. W salach z antykizującą dębową sztalaterią, nie na pewno autentycznymi gobelinami, spała w łóżku *duchessy*⁴⁵⁷, pod malowidłem reprezentującym rozłożyste drzewo genealogiczne Nojarów. W tych razach walały się teraz niekiedy puszkami od sardynek i mleka kondensowanego, porwane skrypty i strzępy gazet. Ale to samo było w ministerium wojny, i w cenzurze i w drugim radio, i wszędzie. Byli w tym przede wszystkim Niemcy i Żydzi niemieccy. Namuth wrócił z Barcelony, również w oficjalnym charakterze. Byli nawet Szwedzi i Anglicy. W cenzurze siedziała oprócz innych tak zwana „druga Ilza”, też Ilza, nawet kubek w kubek podobna do pierwszej. Była dobrym, ospałym dzieckiem i z niezmaczną odwagą urzędowała w gmachu, który sam jeden dostawał niekiedy po parę pocisków dziennie. My, którzyśmy nie zostali potentatami, zyskaliśmy na tym wszystkim. Raz, że ci obcokrajowcy byli na ogół dla innych obcokrajowców bardziej uczynni niż Hiszpanie, po wtóre, że wśród pozostałych hiszpańskich kadr dał się odczuć podmuch ksenofobii: omijał nas właśnie dlatego, że, jak mi kiedyś powiedział szofer aut prasowych: „Wyście nie przyszli robić tu grandów”.

*

Któregoś dnia dowiedziałem się, że niebawem przyjedzie do cenzury odkomenderowany z Walencji jeden z nowych urzędników ministerstwa stanu (spraw zagr. hisz.) polskiego pochodzenia. Trzeba było ułożyć stosunki z owym niewątpliwym polskim komunistą. Przyszedłem więc w dniu jego przybycia. Towarzysz X... przyjął mnie z początkową nieufnością, nad którą górowała jednak pewna ciekawość. Był to młody chłopak, sprawiający — przynajmniej na mnie — sympatyczne wrażenie. Z pochodzenia Żyd, z okolic, gdzie asymilacja polska najmniej mogła działać, musiał mieć przez wiele lat ciężkie warunki życiowe i wiele zagranicznej tułaczki. Okazało się, że przed moim przyjazdem do Hiszpanii polemizowaliśmy gdzieś ze sobą. Znacznie potem dowiedziałem się o co. Otóż mój obecny cenzor pisał wtedy, że palenie klasztorów i kościołów w Hiszpanii dokonywane było przez samych księży, a to ze względu na politykę ubezpieczeniową. — „Zapewne — odpowiedziałem wtedy — kler jest tak bardzo chciwy na mamonę, że ubezpiecza się nie tylko od ognia, ale jeszcze i na życie, a potem każe się chytrze zamordować, wszystko, żeby pośmiertnie podjąć grube odszkodowanie”. Jak widzimy wytłumaczenia owego marksisty nie były zbyt imponujące na poziom prasy polskiej. Muszę przyznać, że w Madrycie nie podtrzymywał już owych tez. Przeciwnie, należał niewątpliwie do urzędników rzutkich, przedsiębiorczych, sprytnych i inteligentnych. Bardzo żałowałem niekiedy, że zamiast w walencjańskim nie może służyć w warszawskim ministerstwie spraw zagranicznych i nie jest odkomenderowany od nas właśnie do Madrytu. Sądzę, że odświeżyłby nieco stęchłą teję samowędzarni.

Rozmawialiśmy często i było w nim wiele pogardy frazesu, a odczucia istotnych racji działania. Mówiliśmy o brygadach międzynarodowych. O licznych w nich udziale elementów słowiańskich, niekoniecznie rosyjskich. Tłumaczył mi to prosto. — Ci ludzie, mówił, nie tylko bronią hiszpańskiej sprawy ludowej. Oni tu zdobywają sobie ojczyznę. Oni tu już zostaną. Ci, co nie zostaną jako zmarli, zostaną później — naturalnie po zwycięstwie rewolucji — jako jej bohaterzy, szermierze, organizatorzy. Niejeden górnik z Lille, który pociągnął do Francji za chlebem, ale i tam był elementem drugiego rzędu, tutaj po tej wojnie wywinduje się na czoło. To będą oficerowie nowej armii. Jej Kościuszkowie, Pułascy i La Fayette⁴⁵⁸ — obcy ochotnicy rewolucji hiszpańskiej. Ta rzesza emigrantów niemieckich wymieciona przez Hitlera odnajdzie tu dla siebie, w tym kraju,

⁴⁵⁶remington — maszyna do pisania produkcji amerykańskiej firmy Remington Rand. [przypis edytorski]

⁴⁵⁷duchesse (fr.) — księżna. [przypis edytorski]

⁴⁵⁸Kościuszko, Pułaski i La Fayette — obcokrajowcy walczący w amerykańskiej wojnie o niepodległość. [przypis edytorski]

o który walczy, swoje miejsce. Będzie to i dla niego z pożytkiem. Tow. X żartował czasem z Żydów. „Wie pan, kogo zastałem w kancelarii, oczywiście, no bo jakże by inaczej, kompanii X...? Naszego, polskiego Żydka”. — Nie było to tak zupełnie ściśle. Spotkałem szereg z nich, którzy się bili, i dobrze, innych, którzy padli.

X... nie rozumiał wielu rzeczy. Mówił to szczerze bardzo. Nie rozumiał np., że jestem katolikiem. — „Nie rozumiem” — powiedział. Kompleks zagadnień religijnych zdawał mu się wydawać obcy, oddalony zupełnie, nieistotny. Marksizm spłycił mu tu inteligencję: dał obraz religii wyłącznie jako „opium” dla ludu⁴⁵⁹, wyłącznie jako parawanu możliwych. Wykluczył istnienie religii w formie i u ludzi, dla których nie tylko nie byłaby takim właśnie narzędziem ucisku czy mydlenia oczu, ale przeciwnie, otwierania ich tym szerzej na sprawy świata. Potem, znacznie potem, dostrzegł, że jednak obcy, ludzie Zachodu, Anglicy i Amerykanie, ci, na których zależało rewolucji, okazują dziwne jak na protestantów zainteresowanie sprawami tej obcej religii, że to, co tu się stało, raczej ich do rewolucji odstręcza. Nie spodziewał się, jak i Hiszpanie się nie spodziewali, że to właśnie może odegrać taką rolę. Rewolucja lekceważyła i religię, i zagranicę. Liczyła, że zwycięży wbrew i bez nich. Tymczasem mimo obrony Madrytu, która tylko zatrzymała nieprzyjaciela w miejscu, ale go nie łamała, stawało się jasne, że zagranica neutralna uzyska coraz większy wpływ na wynik walki. I co dziwiło, to to, że ją spalone kościoły, pomordowani ludzie zrażają, odrażają. Wtenczas w oczach towarzysza X..., i nie jego tylko, religia i opinia religijna Zachodu poczęły stawać się jakimś innym, nieomówionym przez marksizm czynnikiem, który mógł być nawet sojusznikiem, posiadał wpływ i warto go było oszczędzać.

Bez żadnego fałszywego wstydu, z prawie chłopięcą radością, pokazał mi nowy znajomy, jak opierzyła go, najlegalniej zresztą w świecie, rewolucja. Urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych miał sobie przydzielone auto, którego zresztą nie służbowo nie używał, posiadał piękny płaszcz Burberry, najnowszy typ Leica⁴⁶⁰ i nowiuteńką, ze wszystkimi finezjami postępu, maszynę do pisania. Nie chciałbym, by widziano w tym coś oburzającego: ja przynajmniej tego nie widziałem. Po prostu chłopiec inteligentny, który wiele się nabiedował, był od dłuższego czy krótszego czasu partyjnym bojownikiem, oddawał istotne, konkretne usługi sprawie, której się poświęcił, zyskał był tu ubocznie ten początek dobrobytu, który gdzie indziej miewają inni. Cieszył się nim bardzo po prostu i bardzo naturalnie. Myślałem tylko, że w wielu nieuświadomianych nawet pociągach do przemiany leży sporo upodobań do lepszego jakiegoś życia, lepszości wyrażającej się Leicą i Remingtonem Portable, udziałem w czymś, co jest sprawą i władzą. Czyż wszystko to ma być zdrożne? I czy nie byłoby możliwe, żeby bez tej krwi i takiej wojny ten chłopiec i inni chłopcy mieli wiele z tego, co pragną, co mają gdzie indziej inni?

BATALION THÄLMANNA

*Genosse Kommandant*⁴⁶¹ Steiner wynosi z drugiego pokoiku olbrzymi plan. Pierwszy, jaki widzę w tej wojnie. Cały odcinek frontu, czterokilometrowy prawie, opelzający Miasto Uniwersyteckie i schodzący za drugą stronę Manzanaresu, jest tu odrysowany, zacięniowany, wyraźny. Widać most Ferdynanda, przy którym jesteśmy, widać nawet mały domek, domek strażnika drogowego, w którym właśnie siedzimy. Widać jeszcze rozwidlenie dróg — na Fuencarral, zaplecze, i do Pardo. Tam już są bataliony: francuski, i włoski, i wydłużona linia frontu. Streszcza nam sytuację. Nikt do nas jeszcze tak nie mówił. Tak mało i tyle. A jest to jeden z najważniejszych odcinków bojowych całej Hiszpanii! Z tych pozycji właśnie napiera się na ów najdalszy zagon, wżarte już w sam Madryt nowe gmachy uniwersytetu. Miejscami zwęża się to na kilkaset metrów. W dzień komunikacja między tą przednią strażą a resztą faszystów z Casa de Campo jest niemożliwa. W nocy odbywa się jak najlepiej. Pozycje stoją tu naprzeciw siebie, jedna drugiej grożąca, od trzech tygodni. Nie — od czterech. Tu przecież widzieliśmy wtedy gen. Lukacsa.

⁴⁵⁹*opium ludu* — fraza Karla Marksa określająca religię jako środek odurzający i uśmierający cierpienia ludu wywołane nędzą. [przypis edytorski]

⁴⁶⁰*Leica* — marka pierwszych fotograficznych aparatów małoobrazkowych, dzięki którym rozpoczęła się epoka nowoczesnego reportażu fotograficznego, produkowanych przez niemieckie przedsiębiorstwo E. Leitz Optische Werke (ob. Leica Camera AG). [przypis edytorski]

⁴⁶¹*Genosse Kommandant* (niem.) — towarzysz dowódca. [przypis edytorski]

Mówił z nami po rosyjsku. Mniej niż ten Niemiec. Podnosimy znad karty oczy na szefa kompanii. *Genosse Komendant* Steiner jest wysokim, chudym Prusakiem. W tej kurtce, bez odznak żadnych, ma w sobie coś junkierskiego⁴⁶². Dziwna twarz, ani młoda, ani stara, wyschła, wyżółkła, koścista, schyla się nad mapą głową jastrzębia. Szponiastym, zgiętym palcem pokazuje na linię w załomie. I naraz mówi głosem, który zaczyna mięknąć:

— *Wir waren hier*. Byliśmy tu. — Istotnie przeszliśmy z nim razem ponad tym parowem. Ale komendant Steiner przesuwa palcem i wskazując, mówi teraz, właśnie tym innym głosem:

— A tu padł Hans Beimler⁴⁶³. —

Tak. To było tylko przedwczoraj. Biedna Ilza miała opuchłe oczy od łez. Wielki komunista niemiecki przybył tu z Rosji i padł. Podnosimy oczy na Niemców. Stoją trzej obok nas i za nami. O dwie głowy niższy od Steinera jego zastępca patrzy w ten punkt na mapie. Tylko komisarz polityczny Batalionu Thaelmana, Ludwig Renn, ma spokojną, nieruchomą twarz. Jakby nie o tym myślał. —

I my się nic nie pytamy. Ale tamci patrzą na mapę. I Steiner wodzi niezdecydowanie swym krogulczym palcem:

— *Hier ist der Moor*⁴⁶⁴. —

— Jaki Maur?

Steiner patrzy wciąż na mapę, jakby chciał go wypatrzeć, tego tajemniczego Maura. Nie na nas. Myśli o nim. Jego towarzysz tłumaczy:

— Maur, który zastrzelił Beimlera. On tam jest jeszcze w tych gąszczach. —

Ale zaraz zaczyna mówić Ludwig Renn i wiemy wszystko. Było to po obchodzie linii bojowej. Szli: Hans Beimler, zastępca komisarza politycznego i szef odcinka Steiner. Trzech. Niebacznie wysunęli się tu zanadto. O trzysta metrów są te krzaki, jak w całej Casa de Campo przykrywające teren nierówny, porosły trawą. Jak się jednak może w tym ukryć karabin maszynowy, tego nikt dociec nie mógł od dwóch tygodni. A jednak jest! Wiele razy nie strzelano, nie rzucono bomb zapalnych. Odzywał się znowu. Zawsze na cel już upatrzony, pewny. Zwierzyń, która podeszła blisko. Oddał naraz pięć, dziesięć strzałów — cóż to znaczy dla karabinu maszynowego! — i urwał. Żeby nie zdążono odkryć, skąd bije. Ale też tych kilka kul nie chybiało nigdy. — Hans Beimler. — Patrzymy się wszyscy na tę kartę. Niby niewielkie to miejsce. — Hans Beimler. — Wiem naraz, o czym myśli zastępca Steinera, o czym myśli teraz Ludwig Renn. Że oto jedna kula, jeden przyczajony w zaroślach Maur, Kabyl, Berber półdziki z Rifu⁴⁶⁵ i zginie taki szermierz, taki mózg jak Beimler. Oto nieprzewidziane wojny. Wiem, o czym myśleć może Steiner. Tego człowieka nęka ów Maur. On chce go wysledzić. Zniszczyć. Wojna w tym komunizmie ocknęła przeszłość drapieżno-zdobyczą, margrafów Geronów i komturów von Plauen⁴⁶⁶. Te kępy zarośli, rozplywające się w zeschniętych trawach wzgórza, trapią i będą trapić komendanta Steinera. Będzie je śledził, będzie je przemiał karabinem maszynowym, będzie się w nie wdzierał kulami. Unosi się nad nimi myślą jak jastrząb. Wojna naraz i sprawa, o którą wszystko tu idzie, staje się tłem dalszym, bardzo dalekim. Widzę tego człowieka przy mnie, którego myśl waży się nad tamtym miejscem, skąd padają codziennie zdradzieckie, boczne strzały. Zgaduję tego drugiego człowieka, któremu technika uzbroiła instynkt pierwotny w broń, który tam potrafi się przyciąć i przywarowany prowadzi swe łowy. Tylko Maur może się tak kryć w terenie. Czy wyczuwa może, że jest tu inny człowiek, który teraz czatuje nad nim? Czy poczuł, że teraz ocknął się tutaj inny łowiec⁴⁶⁷, i poprzez

Polowanie

⁴⁶²*junkier* — pruski wielki właściciel ziemski. [przypis edytorski]

⁴⁶³*Beimler, Hans* (1895–1936) — niemiecki działacz komunistyczny, od 1918 członek Komunistycznej Partii Niemiec (KPD), z jej ramienia wszedł do Reichstagu w 1932; aresztowany przez nazistów w 1933, był uwięziony w obozie koncentracyjnym Dachau, skąd uciekł; uczestnik wojny domowej w Hiszpanii, komisarz polit. XI Brygady Międzynarodowej; zginął 1 grudnia 1936 w walkach pod Madrytem. [przypis edytorski]

⁴⁶⁴*Hier ist der Moor* (niem.) — Tutaj jest ten Maur. [przypis edytorski]

⁴⁶⁵*Rif* — góry w Afryce, najdalej na północny zachód wysunięte pasmo łańcucha górskiego Atlas; w okresie międzywojennym teren ten należał do Maroka Hiszpańskiego. [przypis edytorski]

⁴⁶⁶*margrafów Geronów i komturów von Plauen* — *Geron* (zm. 965): margrabia Marchii Wschodniej w latach 937–965, opanował tereny słowiańskie między Solawą a Odrą, podporządkowując je wpływom króla niemieckiego Ottona Wielkiego; *Heinrich von Plauen* (1370–1429): komtur zakonu krzyżackiego, dowodził obroną zamku w Malborku po bitwie pod Grunwaldem, wielki mistrz zakonu krzyżackiego w latach 1410–1413. [przypis edytorski]

⁴⁶⁷*łowiec* — dziś raczej: łowca. [przypis edytorski]

wojnę i tysiące ludzi nad tymi wzgórzami, tysiące ludzi będących dla nich tylko sforą gończą, rozegra się oto łowczy pojedynek tych dwóch nieznanających się jeszcze łowców?

Jest w batalionie Thälmana coś, co naprawdę przykuwa. Oto żołnierze. Żołnierzem jest Steiner, żołnierzem Renn, żołnierzami są tu wszyscy. To najlepsze wojsko. Przynosi ono głęboką chwałę swej rasie. Tamto wszystko hiszpańskie walczyło przepływami i odpływami energii, nagłym wezbraniem bohaterstwa, nerwem i podniętą. To nowe walczy samym instynktem wojny, ciągle czynnym, jak silnik wozu. Jest jakaś wojenna największa prostota, jest sprawność, która stwarza pewność. I jeszcze dla innej rzeczy patrzy się na to wojsko z obiektywnym podziwem. Przez skórę tego żołnierza czuje się intelektualistę, człowieka wykształconego. Będą grali w kantynie Szopena i Mozarta, i Griega. Wykupią wszystkie płyty gramofonowe z klasyczną muzyką w Madrycie. Mogliby być z tych ludzi profesorzy uniwersytetów, wykładowcy, erudyci, choć nic o tym teraz nie mówią, a tylko każde ich odezwanie się o najprostszych rzeczach jest jakieś odważone i mądre. Na dziś wkopali się siecią okopów między wzgórze Ciudad Universitaria a El Pardo i Rosales. Oznaczyli swe pozycje dokładnie, pokreślili mapy pedantycznie i czysto. Skąd się tu wzięli, co ich zapędziło? Jak ci ludzie, tak mądrzy i pewni, ponieśli w swoim kraju tak zupełną klęskę? Jak, tak bez walki, dali za wygraną? Jak ich zmożono? Co legło między nimi a Spandawą, rudą Lubeką i zielonym Palatynatem? Po co ci ludzie giną tutaj, pod kulą lada dzikiego Maura z Rifu?

Ale w tej zupełnej zbieraninie ludzkiej, jaka się skłeciła na Brygady Międzynarodowe, kolejną po anarchistach z dni pierwszych obronę Madrytu, jeszcze się jedna wyróżnia obok Niemców. I obok nich najdzielniejsza. Jugosłowianie. Dużo Serbów, dużo Kroatów⁴⁶⁸. Żołnierz niemiecki czyni wrażenie maszyny mądrej, sprawnej, cudownie opanowanej. Jugosłowianie czynią wrażenie wspaniałej ludzkiej bestii. Oto przeciwnik dla Maurów. To znowu żołnierz półprymitywny, radosny w mordowaniu, łowiecki, wypełniony niespilowanym cywilizacją instynktem. A potem liczna grupa innych Słowian. Cóż, nasi jasnowłosi Słowianie. Coś, co nie jest jeszcze niemiecką mądrością, a nie było nigdy serbską zażartością! Coś, co okrutne, będzie ponure. Waleczne, nie będzie mądre. Coś, co jednym tylko najwięcej będzie znaczyło swój przechód tędy: ścieleniem swoich trupów. Bez oficerów dobrych, tych trupów położą tu najwięcej. Błąka się jakiś wierszyk Konopnickiej: „A na wojnie świszczą kule... Najgęściej, o najgęściej, giną te chłopcy”⁴⁶⁹. Będę we Fuencarralu i będę w Pardo, i wracając do waszej kampanii, już tych samych zastawać nie będę. Będziecie czterema ciężarówkami jechali na linie bojowe, a wracali dwoma. Użyźnicie te jałowe i dalekie grunta, ten piach, pod wierzby tylko, jak na Mazowszu, zdatny, biedną mierzwą⁴⁷⁰ własnych ciał. Nie było dla was indziej ni miejsca, ni ojczyzny, ni pracy. Ale nie było was także aż takiej liczby nawet, żebyście tu mogli stać się wielcy, jak nie myślą waszą, jak nie potencjałem walki, to chociaż ogromem poległych.

I to, co może jest najwyraźniejsze, to że cały ten Internacjonal składa się z elementów niepodobnych sobie socjalnie. Wojna odsłania to jeszcze. Niemcy to korpus oficerski, to jakaś elita polityczno-intelektualna, imponująca, którą gdy pada, żal najwięcej. To te pułki zaciężnej piechoty niemieckiej z *Ogniem i mieczem*, które poddać się nie chciały i które w pień wyciął Chmielnicki. Jugosłowianie to coś młodego, co jeszcze przedwczoraj zdawało się chodzić na czworakach i łęptać⁴⁷¹ świeżą krew. Marksizm przychodzi do nich, jak do nas przychodziło chrześcijaństwo. Pierwszy uniwersalizm. Jeszcze inni są Francuzi, którzy biją się nieszczególnie. Dyskutująca, nieskrystalizowana masa, półludowa lub półinteligentka. Najzupelniej inni są Anglicy. To *jamboree*⁴⁷² narodów obesłane zostało przez nich najskąpiej. Kilkudziesięciu ludzi. To nie ja, to towarzysz X... naśmiewa się z nich, nie bez racji. Oto syn angielskiego lorda. Oto malarz, którego płótna o szczególnej „śmiałości” rzeczy płciowych spotkały się z grzywną sądową. Rodzaj naszego Potockie-

⁴⁶⁸Kroat (daw.) — Chorwat. [przypis edytorski]

⁴⁶⁹A na wojnie świszczą kule... Najgęściej, o najgęściej, giną te chłopcy — początkowy i nieco zmieniony końcowy wers strofy wiersza Marii Konopnickiej *A jak poszedł król na wojnę*: „A na wojnie świszczą kule./ Lud się wali jako snopy./ A najdzielniej biją króle./ A najgęściej giną chłopcy”. [przypis edytorski]

⁴⁷⁰mierzwa — organiczny nawóz, obornik. [przypis edytorski]

⁴⁷¹łęptać (daw.) — chleptać, zwykle o zwierzętach: pić, zagarniając płyn językiem. [przypis edytorski]

⁴⁷²jamboree (ang.) — wielki zlot skautów, ogólnonarodowy lub międzynarodowy. [przypis edytorski]

go of Montalck⁴⁷³. Oto „esteta”. Mówiąc „esteta”, X... mruży porozumiewawczo oczy. Oto znowuż Anglik brodaty. Widział pan kiedy brodatego Anglika? Nie? Więc oto jedyny brodaty Anglik zaciągnął się do Brygad Międzynarodowych. Ze Szwecji przybył syn pastora. W jego rodzinie od dwunastu lat syn najstarszy był pastorem. On właśnie jest takim synem najstarszym i jest milicjantem. X... mruży zabawnie i porozumiewawczo oczy. Nie lubi zresztą i nie rozumie Anglików. Nie. Jest stanowczo zdania, że Wielka Brytania przysłała tu po prostu swój najbardziej... niezrównoważony element. Jakże inni ci Słowianie. To szeregowcy, stawieni tu najliczniej, najbardziej proletariacki żywioł. Ci, którzy najmniej wydają oficerów i najgęściej kładą się pokotem.

Jest przecież w odmienności tych typów ludzkich zagnanych do madryckiego *jam-boree* pewna logika i racja. Oto najmniej stawili się narody zamożne i szczęśliwe. Wielka Brytania ma niezawodnie proletariacki robotniczy dziesięciokrotnie, nie: dwudziestokrotnie liczniejszy od tego z Słowian. A ileż bardziej oświecony i uświadomiony klasowo. Francja. Niemcy. Stany Zjednoczone. To samo. A jednak stamtąd stawia się element zupełnie inny. I mniej liczny. Skandynawia wysyła synów swych pastorów, jakiś element dziwny. A sofer Wysocki dostał już tymczasem porucznika w Kolumnie Mangada. Różne są odezwy, różnie głębokie w świecie. Różne echa znalazło dalekie wołanie Hiszpanii. Różne szramy się otworzyły, różne ukazały się podobieństwa, wyżłobione wstrząsami tej wojny silniej niż historią, etnografią czy geografią. Jeśli istotnie poczyna się tu jakiś świat nowy, to są już w nim jego najlepsi i najmniejsi, jest jakość i liczba, plon dziejów i dziejowa, innym użyźniająca, mierzwa. Jutro będzie miało nie tylko swoich króli. Będzie miało i swoich Stachów. Tyle rozświetla nagle błyskawica wojny.

*

Dziś popołudniu nadleciały samoloty. Byłem wtedy w poselstwie: na jego mansardowym piętrze p. Jeziorańska ma obecnie mały służebny pokój i używanie kuchenki gazowej, służącej „za normalnych czasów” do zagrzewania żelazek do prasowania. Na razie grzeje na niej jakąś zupę z fasoli. Samoloty zbombardowały przemieście Madrytu Tetuan. Byliśmy tam tegoż dnia i nazajutrz. Składano do trumny drewnianej ciało robotnicy. Miała twarz posiniaczoną, nieładną. Stał obok bezradny mąż, robotnik, ze zmierzwionymi włosami i tępą, smutną bezradnością. Rozwalone przez pół mieszkanie wyglądało na coś najbardziej nędznego pod słońcem. Chciano wynieść trumnę do patio, aby móc ją lepiej sfotografować, z tym trupem. Robotnik nie chciał. Fotografowie z wydziału propagandy upierali się chciwie, natrętnie. Robotnik nie chciał i nie chciał. Ale i oni reflektowali się, że nie warto nalegać. Bywają „lepsze” obiekty. Przypadł wreszcie na ostatnie pożegnanie do brzydkiej, osiniaczonej, stężalej z tymi sińcami głowy i całował ją długo, bez słowa. Trup miał ręce podniesione ku górze. Widziałem, gdy tamten całował, że na palcu kobiety błyszczała niewielka złota obrączka. Fotograf trącił męża i pokazał obrączkę. Ten patrzył, ale nie rozumiał, o co chodzi. Potem jakby coś odrzucił ostro. Podniesiono drewnianą skrzynię, w niej trupa z tą obrączką. Człowiek poszedł do drzwi, potem do wozu, pomagał włożyć trumnę ostrożniutko. Obrączki nie zdjął. Widzieliśmy, jak kroczył pochód powoli, po gruzie leżącym na ulicy, wśród ruin, które rozgartywano⁴⁷⁴. Ze słupów elektrycznych zwisały druty zerwane. Przez gruz woda przeciekała cienkimi strumyczkami z miejsc, gdzie bomba lotnicza przecięła żyły wodociągu. Wóz jechał, a człowiek szedł za wozem i patrzyliśmy długo. To także wojna obnażyła naraz te rury, otwarła wnętrza domów, rozszczepiła zwartość ścian. To wojna pokazała w błyskawicy nieszczęścia wielką duszę tego szarego człowieka. Szedł tam zniszczony i złamany. Jego szczęście to była ta nieładna, brzydka prawie kobieta, która nawet dla fotografów zgrozy nie miała dość ciekawej twarzy. Tak mało i tak wiele. Jego majątek i złoto to była ta obrączka, która zejdzie teraz w ziemię. To w ludzi najlepszych czasem i najprostszych biła nieszczęściem ta wojna.

⁴⁷³ Potocki of Montalck, Geoffrey Władysław Vaile, *brabia*, znany też jako Geoffrey Władysław Vaile Potocki de Montalck (1903–1997) — poeta, tłumacz, prawnik powstaniec listopadowego, samozwańczy król Polski jako Władysław V; po wybuchu hiszpańskiej wojny domowej własnymi środkami zaczął wydawać antykomunistyczne, antyżydowskie, antydemokratyczne i rojalistyczne pismo „Right Review”, w którym w 1940 zamieścił swoją „mowę tronową”. [przypis edytorski]

⁴⁷⁴ rozgartywać (daw.) — rozgarniać. [przypis edytorski]

*

Pojechałem do Pozuelo. Jest to za mostem Ferdynanda, ku drodze na Escorial, szereg pozycji rządowych wżartych w teren faszystów. Było po południu. Zaszedłem sam z milicjantem do komendy. Mieściła się na dawnej plebanii. W porze poobiedniej nie było nikogo. Weszliśmy niepostrzeżenie prawie. W sali przez drzwi otwarte widać było kapitana armii hiszpańskiej, jak z pomocnikiem coś segregował. Milicjant zerknął i mrugnął porozumiewawczo. Popatrzałem. Właśnie segregował, odkładając na dwie kupki, srebra kościelne. Brali monstrancje, kielichy i pateny, oglądali, szukali śladów próby stopu, wartości złota. I stosownie do odnalezionej wskazówki odkładali. Po chwili spytali, o co nam chodzi. Milicjant powiedział, że jestem dziennikarzem zagranicznym, a on jest z ministerstwa wojny. Wywołało to niemiłe zakłopotanie. Oficerowie stali wśród tych rzeczy kościelnych, porozrzucanych, lichych i tanich. Cóż to mogła być zakrystia w Pozuelo. Byli to najniewątплиwiej wojskowi. Wojna jeszcze jednym przeszła tędy rozdarciem. Jeszcze jedne stworzyła możliwości, jeszcze jedną wykonała ludzką próbę. Przypomniła się Andaluzja. Montoro, El Carpío.

*

Mieszkam w domu, którego całe piętro stanowi jedno wspaniałe, a dziś przeraźliwie zimne mieszkanie. Węgiel mają tylko władze i ambasady. Mymi przyjaciółmi są dwaj ludzie, z których jeden przynajmniej nie wyjdzie żywy z tej wojny. Mieszkanie należało do naszego konsula honorowego, wielkiego przemysłowca, który uciekł nazajutrz po zabójstwie Calvo Sotela. Żeby je uchronić od „rekwizycji” pozostały tu szwagier postarał się o wprowadzenie polskiego konsulatu z innego biura konsula. Zajęto dlań jeden pokój. Żeby wszystko wyglądało lepiej, prosił p. Jeziorańską, pracującą w konsulacie, żeby przeniosła się tu na stałe. Byłby tu jeden autentyczny Polak. Wreszcie tym firmującym Polakiem na jego zaproszenie stałem się ja. Szwagier to mój pierwszy przyjaciel. Chodzi teraz w odznace któregoś z czerwonych związków zawodowych. Drugim moim przyjacielem jest dozorca domu. Wieczorem, jeśli wracam z objazdu jakiego frontu, pyta zawsze o nowiny. Nie można mu dawać złych. Ci dwaj ludzie wiedzą o sobie wszystko. Milcząco nie cierpią się nawzajem. Wiem, że w niejednym domu madryckim są takie jeszcze niewybuchłe nienawiści, że inne takie same poznały się wyrokami śmierci, a w razie wkroczenia tamtych, jeszcze poznają. I mierzą raz jeszcze ogrom ofiar.

Nie myślcie, że morduje się arystokratów i komunistów. Nie myślcie, że nocne wywiezienia za miasto, *passeita*, z kulą w ciemność, są formą walki proletariatu z burżuazją. To, co piszą dzienniki barcelońskie, walenciańskie, madryckie, to, co mówią ludzie, świadczy, że sięga to dalej i jest mniej proste. Tak walczą dwie wielkie siły zawodowych zrzeszeń: marksistowskiego UGT — „Unión General de Trabajadores”, anarchistycznego CNT — „Confederación General del Trabajo”. To walczą rywalizacje zadawnione w łonie samych mas urzędniczych. To zderzają się porachunki stare, nic z żadną polityką wspólnego niemające. *Passeito* zastępuje dziś równie dobrze samosąd partyjny jak pchnięcie nożem za odbitą w tańcu dziewczynę, wymierzone o bladym świetle przy wyjściu z ulicznego szynku. Na samosądach tych w okresie dyktatury opierała się ponoć policja Martinezza Anido⁴⁷⁵. Ale dziś nie ma Martinezza Anido i nie ma dyktatury. Samosądy tamte przeszły na obecną *passeita*.

*

Nie mogłem dostać się do Prado. Jedno z najmniejszych wielkich muzeów malarstwa, jedno z najwspanialszych świata. Wokoło Prada padły pociski. W lochach spoczęły cenne obrazy. Wychodzi się potem z tych lochów, gdzie wszystko lśni jak przesuwane ręką drogocenne kamienie nieprawdopodobnych blasków, gdzie jedno z największych malarstw historii schroniło swe najpiękniejsze perły. Wychodzi się na ulicę niezamiataną

⁴⁷⁵Anido, Martínez (1862–1938) — hiszpański wojskowy i minister spraw wewnętrznych podczas dyktatury Primo de Riveri, znany z brutalnych represji w Barcelonie w latach 20. oraz z wrogości wobec intelektualistów. [przypis edytorski]

Walka, Polityka, Wróg,
Kondycja ludzka

od miesięcy, z domami o rozbitych dachach i wielkimi oknami bez szyb. Ostatni nędzarz z Carabanchel Bajo ciągnie przy swym wozie dwukołowym, naładowanym tandetnymi łachami, z psem i dziećmi. W parku Buen Retiro ścięto drzewa, a gdzie były drewniane parkany, obramienia budowy z drzewa, rusztowania zaczęte, wszystko to nocą zdarto na opał. Gdy nikt nie ostrzeliwa dzielnicy Rosales, owej kolonii Staszica Madrytu, ludzie ciągną wylamywać drzwi ze zniszczonych domów, parapety okien, wszystko, co jest drzewem. Oto jeszcze jeden kontrast rozświetla wojna. Co zaszło między tą Hiszpanią muzeum Prado a tą ulicą naszego Madrytu?

ABY ZROZUMIEĆ

TO SAMO

Kilkanaście górskich państweczek, skłóconych ze sobą i biednych, wiedzie na połę bałkański żywot. „Bałkański” jest tu dobrym określeniem, choć chodzi o czasy współczesne naszym Piastom. Są to, powiedzieliśmy, państweczka górskie, niemal plemienne. Takie były Czarnogórze i Albania przez XVIII i XIX wiek. Jerzy Kastriota Skanderbeg⁴⁷⁶, który w wieku XV z pomocą Włochów wyciosował z trudem daremny własny niepodległy królestwo — to przecież analogia owego Rodryga de Vivara⁴⁷⁷, który na czas jakiś podbił muzułmańskie królestwo Walencji, nieutrzymane przez jego potomków, i stworzył trwalszą odcień legendę — kornejowskiego⁴⁷⁸ Cyda. Tak, choć to pełnia średniowiecza, te królestwa zapirenejskie to Balkany późniejszych czasów. Skłócone między sobą, przechowują pamięć wspólnoty krwi; litościwe, kultywują vendettę; zbiedniałe, zachowały wspomnienie lepszych, większych czasów. Jednakim okiem patrzą naraz w tę przeszłość i na Południe. Przeszłość ta jest jakąś niewyraźną, wczesnośredniowieczną — i tu, i tam — państwowością, pochłoniętą straszliwym najazdem, który przetrwał we wspomnieniach górskich — tam aulów⁴⁷⁹, tu puebli. Południe jest jakimś światem zaczarowanym i złotym. Wielkim bogactwem i mądrością. Ciepłem i użyciem. Południe dla Bałkanów to Bosfor i złote kopuły Hagii Sofii⁴⁸⁰. Południe dla tych plemion kastylijskich, aragońskich, asturskich to koronkowy meczet Kordoby, senna Alhambra, bogata Andaluzja. Można by mnożyć analogie do szczegółów samych; Monserrat a mnisza góra Athos⁴⁸¹. Dlaczegoż tedy Balkany martwieją przez szereg wieków, a Kastylija urasta w mocarstwo? Dlatego, dlatego jednocześnie z Kastylią mocarstwem staje się inny, zlepiony z rozpadłej całości strzęp ziem słowiańskich na Wschodzie Europy — Polska. Obu dziełom patronuje ta sama myśl, religijnie uniwersalna, politycznie zachodnioeuropejska: „Trzeba postawić granice Europy trwale. Rozszerzyć je, zalew nieeuropejski odeprzeć. Wędrówki ludów mają być epoką zamkniętą”. — Otóż i Polska ostatnich Piastów, i Kastylija im niemal współczesna, są bardzo odległe od centrów Europy, od Rzymu i od Sorbony, ale są przecież włączone w ich system religijny, polityczny, kontynentalny: jest to jeszcze średniowiecze, a w średniowieczu te rzeczy są jednością. Nigdy przedtem i nigdy już później katolicyzm nie będzie tak wybitnie czymś zachodnioeuropejskim. Nigdy przedtem problem europejskiej jedności nie był w ogóle stawiany, a nigdy już później nie będzie urzeczywistniony tak doskonale jak w epoce, gdy nie tylko istnieje jednolitość religijna, uniwersalizm cesarsko-papieski, mit wiecznego miasta i rozdawnictwo koron nowym państwom, ale wspólna łacińska mowa całego uczonego świata. W ten system odległa od Rzymu Kastylija i nie mniej odległe Mazowsze są włączone, gdy np. bliska mu a prawosławna Albania już nią nie jest. To nie tylko wysiłki królów i polityków tworzą pochod hiszpańskiej Północy na Południe, polskiego Zachodu na Wschód. To jeszcze myśl Rzymu, czasem myląca się, czasem popełniająca błędy, to z nią myśl polityczna Europy — a wówczas jeszcze tworzą one jedno — pracuje, w interesie całości kontynentu, nad zamknięciem jego wrót wypadowych dwoma blokami silniejszymi niż inne. Średniowiecze wschodziło niegdyś nad Europą otwartą na wszerz i na wzdłuż. Odda ją Odrodzeniu zamkniętą bastionami od głównych szlaków nomadzkich.

Historia, Polityka, Państwo,
Narodziny

⁴⁷⁶Skanderbeg, pierwotnie Jerzy Kastriota (1405–1468) — albański bohater narodowy, przywódca powstania przeciwko Turkom. [przypis edytorski]

⁴⁷⁷Rodrigo Díaz de Vivara, znany jako Cyd (ok. 1043–1099) — hiszpański bohater narodowy, rycerz kastylijski, bohater wielu ballad, wzór cynt rycerskich; w 1094 zdobył z rąk muzułmańskich Walencję, którą władał aż do śmierci. [przypis edytorski]

⁴⁷⁸kornejowski — przymiotnik od nazwiska Pierre’a Corneille’a [wym.: kornej], francuskiego dramaturga, autora sławnego dramatu pt. *Cyd* (1637). [przypis edytorski]

⁴⁷⁹aul — wiejska osada na Kaukazie lub w Azji Środkowej. [przypis edytorski]

⁴⁸⁰Hagia Sofia — świątynia Mądrości Bożej w Konstantynopolu, zbudowana w VI w. n.e., po zdobyciu miasta przez Turków przekształcona na meczet. [przypis edytorski]

⁴⁸¹Athos — góra w pld. części półwyspu Athos, w Grecji, zamieszkiwana wyłącznie przez mnichów prawosławnych. [przypis edytorski]

Przed ludźmi, którzy zdobyli Grenadę⁴⁸², obcą cywilizację, bogaty świat, otwiera się tak nie tylko Morze Śródziemne i nie tylko Ocean: otwiera się kolumbowski *Nuevo Mundo*, Nowy Świat⁴⁸³. Przed krakowsko-mazowieckim koloniantem otwiera się nie tylko Wilno. Jeszcze bramy i cerkwie Kijowa. Czyli Ruś. Ta Ruś, rozmiarami równa reszcie Europy, jest wówczas czymś, co nie ma jeszcze krystalizacyjnej osi; obok Kijowa jest tu Moskwa, ale jest także i mieszczański, wolnościowy, niezależny Nowogród, jest zrutenizowane⁴⁸⁴ swymi cerkwiemi Olgierdowe⁴⁸⁵ Wilno. Kastylia wyrusza za morze, gdy do morza doszła. Polska wyrusza za Dniepr, doszedłszy do Dniepru. Tam, gdzie nie wyruszy, nie dojdzie samo państwo, dojdzie zagon rasy; Ferdynand Cortez będzie w Meksyku, czym lisowczycy⁴⁸⁶ Dymitra w Moskwie. Historia nie powtarza się jako wypadki. Ale powtarza się jako tendencje. Ferdynand Cortez, natrafiwszy na Moskwę, a nie na bezwolne tłumy Meksyku, musiałby zapewne uciec, jak tamci. Ale potomkowie carów Szujskich⁴⁸⁷ stali się szlachtą polską. Ostatni potomek inkasów meksykańskich⁴⁸⁸ zmarł w początku XIX wieku, jako ostatni *conde de Montezuma*⁴⁸⁹. Tak samo potomków podbitych dynastii glajchszaltował⁴⁹⁰ Rzym cesarów, tak glajchszaltuje resztki swych kolonialnych królików współczesna nam Francja Lyauteya⁴⁹¹.

Oba mocarstwa wyrosły swym pokoleniem półdzikim, wojennym, ale już zdatnym do recepcji jakiejś najprymitywniejszej chociażby całościowo europejskiej myśli. Pokolenie to było rycerstwem, stać się musiało szlachtą. Było twórcą wzniesionego dzieła. Współczesne mocarstwo francuskie ze zlepku ziem feudalnych ukleciła królewska dyplomacja, królewscy urzędnicy legiści⁴⁹², królewscy bankierzy miasta. Współcześnie Anglię zbudował samorząd ziem i gmin — i wszystkie te czynniki miały w państwach przez siebie stworzonych osiągnąć miejsca najpierwsze. Dlaczegoż trwa jeszcze Francja i Anglia, dlaczego Polska Jagiellonów załamała się w strasznym kataklizmie, z którego po wieku odzyskała niepodległość, ale wielkim mocarstwem dzieje tworzącym być, oczywiście, przestała? Dlaczegoż Hiszpania Ferdynanda i Izabelli, połączonych wraz ze swymi króle-

⁴⁸² *Grenada* — miasto na południu Płw. Iberyjskiego, u podnóża gór Sierra Nevada, w dolinie rzeki Genil; założone w 711; w 1238–1492 stolica emiratu Grenady, jedyne od 1248 państwo muzułmańskie na Płw. Iberyjskim; największe i najbogatsze ówczesnie miasto półwyspu; w 1492 zajęta przez Kastylię jako ostatni punkt oporu muzułmańskiego. [przypis edytorski]

⁴⁸³ *Przed ludźmi, którzy zdobyli Grenadę (...) otwiera się (...) kolumbowski Nuevo Mundo, Nowy Świat* — morskie wyprawy Krzysztofa Kolumba w poszukiwaniu drogi do Indii, w wyniku których odkrył Haiti i Amerykę, zostały sfinansowane przez Ferdynanda Aragońskiego i Izabelę Kastylijską niedługo po zdobyciu Grenady; umowę zawarto w tym samym pobliskim mieście Santa-Fé, w którym podpisano traktat uzgadniający warunki kapitulacji Grenady. [przypis edytorski]

⁴⁸⁴ *zrutenizowany* — poddany wpływom ruskim; od śrdw. łac. *Ruthenia*: Ruś. [przypis edytorski]

⁴⁸⁵ *Olgierd* (ok. 1300–1377) — wielki książę litewski (od 1345), syn Giedymina, ojciec Władysława II Jagiellę; poszerzył granice państwa litewskiego kosztem ziem ruskich; wspólnie ze swym bratem Kiejstutem stworzył rozległe państwo sięgające od Bałtyku na północy po Morze Czarne na południu, od Królestwa Polskiego na zachodzie po okolice Moskwy na wschodzie. [przypis edytorski]

⁴⁸⁶ *lisowczycy* — najemne oddziały lekkiej jazdy, zorganizowane przez Aleksandra Lisowskiego w latach 1607–1611, w okresie jego służby u Dymitra II Samozwańca, pretendenta do tronu carskiego; wstawiały się brawurą w walkach z Rosjanami, Turkami, Węgrami i in., ale także okrucieństwami i grabieżami na bronionych terenach. [przypis edytorski]

⁴⁸⁷ *Wasył IV Szujski* (1552–1612) — car rosyjski (1606–1610), ostatni władca moskiewski z rodu Rurykowiczów; po niepowodzeniach w wojnie z Dymitrem Samozwańcem II, wspieranym przez oddziały polskiej szlachty, oraz klęsce pod Kluszynem (1610) został obalony i uwięziony; po wkroczeniu wojsk polskich do Moskwy uznał prawa polskiego królewicza Władysława Wazy do tronu rosyjskiego, wydany przez bojarów Polakom, został wywieziony razem z rodziną do Polski. [przypis edytorski]

⁴⁸⁸ *Ostatni potomek inkasów meksykańskich* — słowo „inka” (hiszp. *inca*, lm *incas*) pochodzi z języka keczua, w którym oznacza: władca, pan. Keczua był językiem urzędowym dawnego indiańskiego imperium Inków w Ameryce Południowej, podbitego w XVI w. przez Hiszpanów pod dowództwem Francisco Pizarro. [przypis edytorski]

⁴⁸⁹ *conde de Montezuma* (hiszp.) — hrabia Montezumy, dziedziczny tytuł hiszpańskiej szlachty przysługujący linii potomków Montezumy II (od roku 1865: *ducado de Moctezuma*, książę Montezumy); *Montezuma II Xocoyotzin* (1466–1520) był ostatnim przed przybyciem Hiszpanów władcą imperium Azteków w Meksyku; nie stawiał oporu Hiszpanom, uznał władzę zwierzchnią króla hiszpańskiego; został uwięziony przez Cortésa, zginął podczas powstania antyhiszpańskiego w stolicy. [przypis edytorski]

⁴⁹⁰ *glajchszaltować* (z niem.) — ujednoczać, zrównywać na siłę. [przypis edytorski]

⁴⁹¹ *Lyautey, Louis Hubert* (1854–1934) — francuski wojskowy i administrator kolonialny, marszałek Francji; czołowy realizator francuskiej polityki kolonialnej na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

⁴⁹² *legista* — znawca prawa. [przypis edytorski]

stwami takim samym ślubnym więzem jak Jadwiga i Jagiełło, zakisnąć miała w marazmie? Te, a tamte nie? Oto dręczące, wielkie pytanie.

Zdaje się, że sięgnąć trzeba — poprzez te dalekie odgłosy strzałów (tej nocy znowu zacząć się musiał jakiś szturm na Carcel Modelo) — do owych narodzin ich potęgi. Do momentu, gdy interes całościowy Europy poczuł się na sile i zarazem począł wymagać, żeby odgrodzić się od sił pozaeuropejskich murem obronnym tych dwóch marchii⁴⁹³ granicznych. To niezawodnie promieniowanie Europy podniosło społeczeństwa książęcego Krakowa i górskiej Kastylii do większej roli na tych krańcach. To stamtąd, z *zewnątrz*, wyszło ziarno wielkiej myśli, które tu weszło. Ale w ten sposób potęga sama stawiała się *rzeczą wtórną*; kraj dawał swoją siłę pod jej realizację. Obcy Zachód przynosił jej ideę, myśl. Podział ról ustalony został odtąd odległością samą od centrum cywilizacji. Cywilizacji tej — jeszcze zjednoczonej, przedlutowskiej, nierozdartej, mówiliśmy to już zdaje się — nie mogło wtedy zależeć na powstaniu w samym jej ośrodku wielkiego mocarstwa. Wieki średnie były tu niezwykle konsekwentne: rozłożyły na części centralne imperium Karola Wielkiego, rozsadały każdą próbę jego następców, utworzyły w środku Europy wielką „rzeszę” państw i państewek, usuwając groźbę *absolutum dominium*⁴⁹⁴ Europy. Chciały je mieć ku własnej obronie na Wschodzie. Liczyły się, że silna Polska raczej sięgnie po Psków niż po Opole, a potężna Hiszpania prędzej przekroczy Gibraltar niż Pireneje. Miały, zdaje się rację.

Tak więc te dwie potęgi powstały przez Europę, dla jej ochrony, u jej granic. — U jej granic. — Daleko od jej centrów, ośrodków myśli, zwojów mózgowych, które nie przestały jednak wytwarzać nowych dyrektyw, rzucać nowych zadań, zmieniać się. A te przemiany, i to było najpierwsze, były z natury rzeczy wcześniejsze nad Renem niż nad Ebrem, nad Sekwaną niż nad Wisłą. Bieg tych przemian opóźnił się jeszcze. Tam gdzie dawniej były słabe państwowości, z musu oglądające się ku Europie, powstały silne państwa czujące swą moc i możliwość, nie czujące zaś tej co przedtem konieczności. A wreszcie Europa nie była już Europą. W miejsce dawnej jedności wyrosło skłócenie obozów, rozdwojenie idące nie poprzez dogmaty religijne, ale poprzez politykę i kontynent. Sama Europa więc już uwagi skupiała na Renie niż na spokojnych krańcach kontynentu. Dawne źródło nie było już dawnym źródłem. Akwedukty, które doprowadzały wodę, doprowadzały jej mniej i wolniej. Wielka idea nie tylko przestała już wznosić strzeliste wieże kościołów, wzbierać natchnieniem religijnym największych malarzy, ślać tłumy na szanice Jerozolimy⁴⁹⁵ i zakonnikami reformy kluniackiej⁴⁹⁶ cywilizować Europę. Przestała także tworzyć mocarstwa. Przestała je nawet podtrzymywać.

Współcześnie inne państwa napełniały przecież swe istnienie nową myślą polityczną. *La France, jadis soldat de Dieu, aujourd'hui soldat de l'humanité, sera toujours soldat de l'ideal*⁴⁹⁷ — powie bardzo późno ktoś wielki. Fraza Clemenceau nie jest wyłącznością dziejów Francji. To samo jest z Anglią, to samo z Niemcami, to samo z całym światem najbliższych wielkich ośrodków Zachodu. Napływała w nie nieustannie nowa treść dziejów, jak napływała — i to będzie druga przyczyna upadku tam, a wzrostu tu, w centrum — nowa treść społeczna. W Hiszpanii i Polsce tego nie było. Ani pierwszego, ani drugiego. To drugie — nowa treść społeczna — nie napływa również. Nie trzeba się temu dziwić. Tak było w każdym społeczeństwie, którego wielkie dzieje, okres świetności, wybudowała jedna przodująca klasa. Francja mieszczańska za naszych dni jeszcze utrzymuje się w kraju o olbrzymiej proletariackiej większości. Anglia szlachecko-mieszczańska utrzymuje tak samo władztwo w kraju, który od lat stu jest coraz silniej przemysłowy

⁴⁹³*marchia* — przygraniczna prowincja administracyjno-wojskowa państwa Franków, a później Świętego Cesarstwa Rzymskiego, zarządzana przez margrabię, podlegającego bezpośrednio władcy. [przypis edytorski]

⁴⁹⁴*absolutum dominium* (łac.) — panowanie absolutne, władza absolutna. [przypis edytorski]

⁴⁹⁵*ślać tłumy na szanice Jerozolimy* — podczas I wyprawy krzyżowej, prowadzonej pod religijnym hasłem wyzwolenia Ziemi Świętej z rąk muzułmanów, armia krzyżowców po miesięcznym oblężeniu 15 lipca 1099 zdobyła Jerozolimę i dokonała rzezi mieszkańców. [przypis edytorski]

⁴⁹⁶*reforma kluniacka* — przeprowadzona w sieci klasztorów benedyktyńskich we Francji i we Włoszech przez Odonę (ok. 878–942), drugiego opata klasztoru w Cluny. [przypis edytorski]

⁴⁹⁷*La France, jadis soldat de Dieu, aujourd'hui soldat de l'humanité, sera toujours soldat de l'ideal* (fr.) — Francja, niegdyś żołnierz Boga, dziś żołnierz ludzkości, zawsze będzie żołnierzem ideału (słowa premiera Francji Georges'a Clemenceau wygłoszone 11 listopada 1918 w związku ze zwycięskim zakończeniem I wojny światowej). [przypis edytorski]

i robotniczy. Wielkość położonego wysiłku zapewnia długość trwania. Luźność klasy panującej — i w Polsce, i w Hiszpanii przejście do warstwy szlacheckiej było znacznie łatwiejszym niż w innych krajach — ułatwiało odnawianie jej dopływem wszystkich silniejszych żywiołów z warstw innych. W ten sposób oba te kraje leżące na peryferiach Europy żyły jeszcze długo takim wyrazem idei kontynentu, który już gdzie indziej odmienił się był dawno w nowsze kształty, żyły jeszcze dłużej we władaniu warstw, które wszędzie indziej przetworzyły się w coś innego lub ustąpiły miejsca. Filip II nie był bigotem, gdy tak wiele wysiłku poświęcał walce z herezją. Zygmunt Waza⁴⁹⁸ nie był bigotem, gdy odrzucał prawosławne i protestanckie korony. Ci ludzie dobrze pojęli rację bytu ich państw, racje, które ją wzniosły. Widzieli racje te, system rzeczy dawnej Europy rozkładany sporem religijnym, bali się, że podważy i ich potęgę, z owego stanu rzeczy biorące swe racje istnienia. Obaj byli reakcjonistami, bo obaj, zamiast starać się odnaleźć nowy, pozareligijny wyraz jedności europejskiej, nie mogli wyobrazić sobie istnienia innego niż ten, który szybkimi krokami cofał się już w przeszłość.

Religia, Władza, Państwo,
Polityka, Przemiana

*

Rozkład nastąpił na tym podwójnym planie: degeneracji idei politycznej, która scementowała aglomeraty księstw i królestw dzielnicowych w nowoczesne mocarstwa, degeneracji warstwy, która oddała tej idei swe siły do dyspozycji, zagarnęła w siebie wszystko, wchłaniała siły innych. Upadek militarny, zacofanie szkolnictwa, dekadencja ustroju politycznego, zubożenie społeczne, wszystko są to częściowe i wtórne przejawy tamtego rozkładu. Dlaczego synowie najciemniejszego i najgorszego pokolenia szlachty polskiej, czasów saskich, stają się naraz pokoleniem rycerskim, bijącym się w całej Europie, nowoczesnym, mówiącym tym samym językiem myśli europejskiej co współcześni im w Paryżu, Londynie i Berlinie? Dlaczego w swym wieku dojrzałym i podeszłym nawet zejść jako prowincjalni luminarze⁴⁹⁹, doskonali gospodarze i rządcy, europeizujący technicznie polskie rolnictwo? Skąd taka różnica ojców i synów? Najniewątpliwiej stąd, że warstwa była mniej zdegenerowana niż idea polityczna, której służyła, że przesiąknięta naraz nową, inną ideą, potrafiła nie tylko ideę tę pojąć — rzecz taka trudna dla szlachty francuskiej na przykład — ale potrafiła ją recypować⁵⁰⁰, przejąć się nią, reorganizować wedle jej pojęć kraj, stworzyć z niej nowe jego zadania. Wstrząs, jakim były rozbiory Polski, był tą cucącą siłą. Był, poprzez szereg nieustannych klęsk powstaniowych, pierwszym, które pokładło się przepaścią różnicy między losami Hiszpanii i Polski.

Polska, Historia,
Rewolucja, Religia, Upadek

Bo znowuż te dwa kraje w okresie rewolucyjnego kotłowania Europy zostały postawione wobec niebezpieczeństwa utraty niepodległości. I wobec niego zareagowały inaczej.

Polska wobec groźby utraty niepodległości reaguje europeizowaniem się najpierw, po drugie staniem w szeregu rewolucyjnej Europy. Czyni, by się utrzymać, apel nie do wszystkich sił zachowawczych, lecz do wszystkich rewolucyjnych świata. Będąc uważana przez państwa zaborcze i opinię europejską jako zacofana, przerzuca się do ultrapostępowości. Hasła rewolucji francuskiej odnajdują jednak w świecie skąpy oddźwięk. Ostatni rozbiór dokonywany zostaje za to pod lękiem rewolucyjnego zarzewia. Pierwszy rozbiór brał za asumpt⁵⁰¹ zacofanie Polski, ostatni — jej rewolucyjność.

Hiszpania wobec tej samej groźby wybiera zupełnie inną drogę. Tę, którą stosowała Polska z powodzeniem wobec najazdu szwedzkiego, podnosząc hasła religijne, hasła

⁴⁹⁸Zygmunt III Waza (1566–1632) — król Polski, król Szwecji; opowiadał się za kontrreformacją. W 1587 został królem Polski. W 1592 przyjął dziedziczną koronę Szwecji, jednak z powodu złamania umowy koronacyjnej ze szwedzkimi luteranami zawiązała się tam antykatolicka konfederacja, która pokonała w bitwie siły ekspedycyjne Zygmunta; wziętego do niewoli zmuszono do ustępstw i w 1599 zdetronizowano. W 1609 poparł Dymitra Samozwańca II i wszczął wojnę z Rosją, jako wyprawę krzyżową przeciwko prawosławiu, pobłogosławioną przez papieża Pawła V; wobec niepowodzeń wojennych bojarzy zdetronizowali cara Wasyla IV Szuskiego i zawarli układ, zgodnie z którym syn Zygmunta, 15-letni królewicz Władysław, zostanie koronowany na cara, według obrządku prawosławnego i z gwarancją wolności wyznawania religii prawosławnej; Zygmunt chciał jednak chciał samodzielnie objąć tron moskiewski bez żadnych warunków wstępnych; po dwóch latach od zdobycia Moskwy wojska polskie, pozbawione odsieczy, zostały wyparte. [przypis edytorski]

⁴⁹⁹luminarz (z łac.) — człowiek wybitny w dziedzinie nauki lub kultury. [przypis edytorski]

⁵⁰⁰recypować (z łac.) — postrzegać. [przypis edytorski]

⁵⁰¹asumpt (przest.) — impuls, pobudka, powód do czegoś; pretekst. [przypis edytorski]

dawnego czasu, i znajdując dla nich oddźwięk szeroki. Tę, którą z mniejszym powodzeniem, ale jednak przez kilka lat konfederacji barskiej⁵⁰² zdołała już zastosować Rzplita: Hiszpania egzaltuje uczucia religijne ludu. Były one w poniewierce przez kilkadziesiąt lat rządów Oświecenia: Hiszpania wydobywa je na nowo. Okazuje się, że było w nich dość siły, żeby Hiszpanię obronić. Kto wie, gdyby walka Rzplitej potraktowana była w stylu Czarnieckiego i księdza Marka⁵⁰³, czy nie miałyby lepszych rezultatów niż prowadzona w stylu Kołłątaja i Konopki⁵⁰⁴. Kto wie, czy samo przedłużenie o lat parę egzystencji, samej wegetacji Rzplitej, przeczekanie niepomyślnego okresu, Katarzyny, Fryderyka, Józefa II, czego właśnie chcieli w okresie Sejmu Czteroletniego dawni barszczanie, nie byłoby utrzymało niepodległości.

Ale odmienności obranych oręży, odmienności sił, do których apelowano, towarzyszyła i odmienność skutków:

Jeśli Hiszpania w obronie przed Napoleonem podniosłaby sztandar nie kościelny, ale rewolucyjny, możemy dziś być pewni, że nie miałyby za sobą ani ludu, ani Europy, ani zwycięstwa. Hiszpania, podnosząc właśnie sztandar religijny, oparła się na strukturze, na założeniach swych jako państwa, jako społeczności, i obroniła swą niepodległość polityczną. Natomiast utrzymała się dalej w swej anachronicznej treści.

Polska, podnosząc sztandar rewolucyjny, idąc za rewolucją francuską, koszmarem absolutyzmów europejskich, nie tylko nie zapobiegła, ale może nawet przyspieszyła zagładę swej niepodległości. Ale jednocześnie z tą zagładą, i przez nią samą nawet, rozpoczął się powolny, ale nieprzerwany już odtąd proces unowocześniania się i odradzania narodu. Przejawami jego była bitność Legionów, ofiarność Wielkiego Księstwa, wreszcie rządność i mądrość ludzi Królestwa Kongresowego.

Oczywiście, nie będziemy posuwać się do tezy, że Polska przekładała odrodzenie społeczeństwa narodu nad niepodległość państwa, Hiszpania odwrotnie. Powiemy, że społeczeństwa mądrzejsze znalazłyby takie wyjście, w którym utrzymanie niepodległości nie oznaczałoby jeszcze narodowego skostnienia i przeprowadzenie reform nie naraziło na szwank bytu państwa. Był okres, kiedy Japonia, zmuszona przegraną wojną do otwarcenia swych portów Stanom Zjednoczonym⁵⁰⁵, wchodziła w stadium, które poprzedziło dla Chin ich rozkład, dla Maroka ich protektorat, dla Kambodży przedzierzgnięcie w kolonię. Japonia zdołała jednak zarazem ocalić swą niepodległość i unowocześnić strukturę, niezależnie od tego, że mikado⁵⁰⁶ pozostał dla niej potomkiem (w prostej linii) słońca. Jedno nic nie miało z drugim wspólnego. Niestety dla Hiszpanii i Polski, żadne z tych państw nie było Japonią. Polska zdołała się ocknąć, ale nie zdołała ocalić niepodległości: Hiszpania ocaliła niepodległość, ale nie zdołała się ocknąć.

⁵⁰²*konfederacja barska* (1768–1772) — zbrojny związek szlachty polskiej utworzony w miejscowości Bar na Podolu w obronie wiary katolickiej i niepodległości Rzeczypospolitej, przeciwko Imperium Rosyjskiemu i królowi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu. [przypis edytorski]

⁵⁰³*Czarniecki i ksiądz Marek* — *Stefan Czarniecki* (1599–1665): wojewoda kijowski, hetman polny koronny; wybitny wojskowy, brał udział w walkach przeciw najazdom tatarskim, wslawił się szczególnie podczas pacyfikacji powstania Chmielnickiego na Ukrainie oraz w wojnie partyzanckiej przeciw wojskom Karola X Gustawa podczas potopu szwedzkiego, zginął z powodu ran odniesionych podczas walk w wojnie polsko-rosyjskiej; wychowanek kolegium jezuickiego, przeszedł na katolicyzm, przejawiał niechęć do innowierców; *ksiądz Marek*: Marek Jandolowicz (1713–1799), charyzmatyczny przywódca duchowy konfederatów barskich, przełożony klasztoru karmelitów w Barze, bohater dramatu Juliusza Słowackiego z 1843. [przypis edytorski]

⁵⁰⁴*Kołłątaj i Konopka* — *Hugo Kołłątaj* (1750–1812): polski działacz polityczny, publicysta i pisarz oświeceniowy, organizator nauki i oświaty, filozof, ksiądz; jeden z twórców Konstytucji 3 maja i organizatorów powstania kościuszkowskiego; należał do grona tzw. jakobinów polskich, głoszących hasła republikańsko-wolnościowe, konieczność zmian ustrojowych, radykalnych reform społeczno-gospodarczych; *Kazimierz Józef Konopka* (1769–1805): sekretarz Hugona Kołłątaja, publicysta, jeden z przywódców jakobinów warszawskich. [przypis edytorski]

⁵⁰⁵*Japonia, zmuszona przegraną wojną do otwarcenia swych portów Stanom Zjednoczonym* — w XVII w. Japonia zamknęła swoje porty dla statków europejskich, żeby zapobiec podburzaniu ludności przez misjonarzy chrześcijańskich i uniknąć losu innych krajów Azji, które stały się europejskimi koloniami. W 1854 Amerykanie, dysponujący ogromną przewagą techniczno-militarną, pod groźbą użycia siły przez flotę wymusili na Japonii pierwszy traktat handlowy; wkrótce Japonia była zmuszona podpisać podobne umowy z Wielką Brytanią, Rosją i Francją. W 1868 cesarz Japonii Mutsuhito zaprowadził radykalne reformy: zniósł feudalizm i rozpoczął uprzemysłowienie i modernizację kraju; w 1889 zatwierdził konstytucję opartą na europejskich wzorcach, w której zachowano jednak szerokie uprawnienia i boski kult cesarza, potomka bogini Słońca. W 1894 Japończycy rozgromili chińską flotę w rozpoczętej przez siebie wojnie, a wyniku niespodziewanego i druzgocącego zwycięstwa w wojnie rosyjsko-japońskiej (1904–1905) Japonia stała się pierwszym mocarstwem na Dalekim Wschodzie. [przypis edytorski]

⁵⁰⁶*mikado* — tytuł cesarza Japonii. [przypis edytorski]

Ale i ta pierwsza dziejowa dystynkcja⁵⁰⁷, rozdroża losów, jeszcze nie wyzłobiły granic dość głębokich, hiszpański wiek XIX mielibyśmy w Polsce, gdyby ta była niepodległa. Mieliśmy wszystkie jego elementy, to pewne. Nasi rewolucyoniści wierzyli, jak tamci, że reformy, im przeprowadzane krwawiej, tym bardziej są prawdziwe. Towarzystwo Demokratyczne, Mierosławski⁵⁰⁸, to postacie, które w Hiszpanii mają wszystkie prawa obywatelskie. „Nie będzie postępu, póki na kiszkach ostatniego biskupa nie zawiśnie ostatni szlachcic”⁵⁰⁹. To nie tylko Mierosławski to mówił. Ta wiara polskiego Garibaldiego⁵¹⁰ była głęboko rozpowszechniona w reszcie Polski. Otóż ta wiara jest hiszpańska. Ta wiara rządziła wojnami karlistów. I choć już losy obu krajów poczęły się rozchodzić, jeszcze powtarza się wszystko. Paralełą⁵¹¹ wydarzeń. Są spiski wojskowe, liberalne w Królestwie Kongresowym, są i w Hiszpanii; są loże i tajne związki, jest wreszcie wybuch zbrojny, tu kapitana Wysockiego, tam generała Riego⁵¹², a w początkowym okresie towarzyszy podchorążym polskim i ich wołaniu do broni pośpieszne zamykanie rygli u sklepów warszawskich, w początkowym okresie buntu Riego tak samo, tułając się w Andaluzji, nie znajduje odzewu. Dzieje Hiszpanii XIX wieku są dziejami wojskowych *pronunciamientów*, pułkowych spisków, dywizyjnych mężów stanu, ale dzieje tego wykrawka polskiej wolności, jakim było powstanie listopadowe, to tak samo dzieje walk generalskich i najprawdziwszych *pronunciamientów*; przeczytajcie, w roku 1831, czym są, ukrywane przez polskich historyków, dzieje Bolimowa⁵¹³. Nieprześwietlone dotąd dzieje Wielkiej Emigracji popowstaniowej przetkane są pomysłami falansterowo-prudhonistyczno-saintsimonowskimi, mirażami utopijnych komun, idealnych dyktatur, anarchistycznych wolności: to w tej epoce lewicowy historyk polski będzie uważał wybór Michała Korybuta Wiśniowieckiego⁵¹⁴ za dowód mądrości Polaków, a w specjalną opiekę weźmie... *liberum veto*. To, co u Polaków mogło się tylko tułać... na paryskim bruku, to w Hiszpanii znajdowało nie tylko marzycieli i doktrynerów, ale ponawiane próby realizacji. Dążenie do Niepodległości było jedyną rzeczą, która brała pierwszeństwo nad tamtym. Chcecie wiedzieć, jak widział świat współczesny Polak sprzed laty stu, jak widział jego problemy, zagadnienia

Polska, Polak, Idealista,
Literat, Wizja, Historia

⁵⁰⁷dystynkcja (daw., z łac.) — rozróżnienie. [przypis edytorski]

⁵⁰⁸Mierosławski, Ludwik (1814–1878) — generał, radykalny demokrat; uczestnik powstania listopadowego, członek emigracyjnego Towarzystwa Demokratycznego Polskiego; współpracował z rewolucjonistą włoskim Mazzinim; miał być przywódcą zaplanowanego na 1846 powstania we wszystkich trzech zaborach, jednak wskutek denuncjacji hr. Ponińskiego został aresztowany przez policję pruską; w czasie Wiosny Ludów był dowódcą powstania w Wielkopolsce w 1848 oraz na Sycylii i w Badenii w 1849; w 1860 nawiązał bliską współpracę z Garibaldim; w 1863 był pierwszym dyktatorem powstania styczniowego z ramienia Tymczasowego Rządu Narodowego, porażki militarne oraz konflikt z Langiewiczem skłoniły go do rezygnacji z godności dyktatora, powrócił na emigrację do Francji. [przypis edytorski]

⁵⁰⁹Nie będzie postępu, póki na kiszkach ostatniego biskupa nie zawiśnie ostatni szlachcic — jedna z przypisywanych różnym osobom parafraz stwierdzenia francuskiego księdza katolickiego Jeana Mesliera (1664–1729), który w obszernym traktacie, odnalezionym po jego śmierci, krytykował religię i jej dogmaty, głosił, że wszyscy ludzie rodzą się równi, piętnował niesprawiedliwość, wyzysk i nędzę w ustroju społecznym sankcjonowanym przez kościoły i instytucje religijne. W oryginalnym zdaniu mowa o człowieku, który chciałby, „żeby wszyscy wielcy świata i cała szlachta zostali powieszani na kiszkach księży”. W XVIII w. dzieło Mesliera krążyło w odpisach po Francji, ciesząc się powodzeniem wśród filozofów oświeceniowych; w 1772 zostało opublikowane w fragmentach oraz w formie wyciągu, potępione jako heretyckie. [przypis edytorski]

⁵¹⁰Garibaldi, Giuseppe (1807–1882) — włoski rewolucjonista, żołnierz i polityk, przywódca walk o niepodległość i zjednoczenie Włoch, bohater narodowy Włoch. [przypis edytorski]

⁵¹¹paralela — podobne, analogiczne cechy w porównywanych rzeczach lub ich zestawienie ze sobą. [przypis edytorski]

⁵¹²Riego y Flórez, Rafael del (1784–1785) — hiszpański wojskowy i polityk liberalny; w 1820 wysłany z oddziałami, które miały wyruszyć do walki z ruchami wywoleńczymi w Ameryce Łacińskiej, stanął na czele buntu wojska w Kadyksie i zażądał powrotu do konstytucji z 1812; ze swoimi oddziałami podjął marsz przez Andaluzję z nadzieją wzniesienia antykrólewskiego powstania, co spotkało się z obojętnością miejscowej ludności; powstanie udało się wzniesić w Galicji i wkrótce objęło ono cały kraj; otoczony w madryckim pałacu król zgodził się na przywrócenie konstytucji; przez nowo utworzony rząd Riego został mianowany marszałkiem; w 1823 walcząc z interwencją francuską; ujęty i stracony na rozkaz Ferdynanda VII; napisany na jego cześć *Hymn Riego* stanowiący w latach 1931–1939 hymn państwowy Republiki Hiszpańskiej. [przypis edytorski]

⁵¹³w roku 1831, czym są, ukrywane przez polskich historyków, dzieje Bolimowa — mowa o radzie wojennej w mieście Bolimów (ob. wieś w woj. łódzkim), która odbyła się 10 sierpnia 1831 podczas powstania listopadowego. Przebieg wydarzeń miał charakter niezwykle: przedstawiciele wyłonionej przez Sejm delegacji poprosili każdego z obecnych 67 generałów i wyższych oficerów o wypowiedź na temat dwóch kwestii: co należy robić w obecnej sytuacji strategicznej oraz czy należy zmienić naczelnego wodza. Po wysłuchaniu wszystkich opinii delegacja sejmowa uznała, że większość wypowiedziała się za zmianą dowództwa, i zarządziła głosowanie. Gen.

i konflikty? Czytajcie *Nie-Boską Komedię*. Chcecie wiedzieć, jaki kraj najbardziej przypominał świat *Nie-Boskiej*, świat hrabiów Henryków i doktrynerów Pankracych, świat „klubu lokajów”, chóru przechrztów, Okopów Świętej Trójcy? Przeczytajcie w skrócie encyklopedycznym dzieje Hiszpanii XIX wieku. *Nie-Boska* oto Hiszpania. To dramat, który mógłby napisać Miguel de Unamuno. To dramat, który dziś jeszcze rozgrywa się w Hiszpanii, tej, w której płoną kościoły i w której ludzie wierzą w krucjaty. „Chcesz wiedzieć, czym byłby nasz kraj odzyskany w trzydziestym pierwszym roku? Powiem ci: Hiszpany”⁵¹⁵.

*

Nic się nie zmieniło wskutek tego, że dawne grunta gminne rozdano z woli postępowych liberałów nowym panom, że dawne grunta kościelne rozdrapali liberali⁵¹⁶ Izabelli II. Nie wyrosło nic innego prócz narybku nowych magnackich rodów, nowych latyfundiów, nowych grandów, nowych przeciwstawień. Nic się nie zmieniło, choć wojny domowe w Hiszpanii XIX wieku trwały lat czternaście — tyle co rewolucja francuska — nic się nie zmieniło, choć kolejno następowały monarchia absolutna i konstytucja, regentki i regenci, trzy dynastie, republika z trzema prezydentami. Nic się nie zmieniło, choć lokalne zamieszki trwały lat siedemnaście. Żaden z krajów na świecie — prócz Polski Ludwika Mierosławskiego — nie wierzył w to tak święcie, że rewolucje nie znaczą nic, jeśli nie są krwawe. Żaden z krajów na świecie nie przeszedł swej „modernizacji” tak krwawo jak Hiszpania XIX wieku. „Ale cóż się zmieniło?”, pyta Unamuno. Cóż się zmieniło w okresie, gdy dziesiątki innych państw, skandynawskie, anglosaskie, zmodernizowały się dziesięćkrotnie silniej, gdy wyrosły — Włochy Cavoura⁵¹⁷, Niemcy Bismarcka — nowe mocarstwa, gdy krwawej „modernizacji” Hiszpanii towarzyszyło tylko odłamywanie się coraz to innych gałęzi jej amerykańskiego drzewa? Jakżeż po stu latach tej mierosławszczyzny i sarmackiego rewolucjonizmu wyglądał kraj najbardziej krwawej rewolucji — Hiszpania Alfonsa XIII?

Powiecie: „To prawda. Ale prawdą jest, że prócz Hiszpanii i Polski jeszcze gdzie indziej w pierwszej połowie XIX wieku, w erze ponapoleońskiej zwłaszcza, mieliśmy tajne związki i spiski wojskowe, masonerię i karbonaryzm, że paralełą do Nocy Listopadowej był nie tylko bunt generała Riego, ale i owocne powstanie belgijskie, że krajem spisków były Włochy i Grecja, a także Niemcy.” Tak, to wszystko prawda. Tylko że we wszystkich tych krajach były jeszcze dwa inne czynniki, o niezgłuszonej przez tamte działalności. Był człowiek „szary” i „mały”, który pracował, gdy inni myśleli, ciulał, gdy inni spiskowali, masą jemu podobnych ciulałaczy powiększał bogactwo narodowe, gdy inni walczyli. To może nie była Grecja XIX wieku, ale to były Niemcy i Włochy, czyli państwa, które swój wiek XIX zrobiły najlepiej. Dalej, był człowiek „statysta”. Jeszcze na Węgrzech rewolucjonista Kossuth⁵¹⁸ był większy od Szechenyiego⁵¹⁹, ale już we Włoszech, obok Garibaldiego pojawił się większy od niego Cavour, a w Niemczech wszystkich germańskich Riegów

Jana Skrzyneckiego pozbawiono stanowiska wodza naczelnego i przyznano je gen. Henrykowi Dembińskiemu. [przypis edytorski]

⁵¹⁴*Michał Korybut Wiśniowiecki* (1638–1673) — król polski, syn wojewody ruskiego Jeremiego Michała Wiśniowieckiego; był władcą nieudolnym, za jego panowania zrywano większość sejmów, dominowały wewnętrzne walki stronnictw; niemożność zwolania odpowiedniej armii podczas najazdu tureckiego zmusiła go do zawarcia pokoju w Buczaczu (1672), na warunkach którego oddał wschodnie ziemie Imperium Osmańskiemu i zobowiązał się do płacenia corocznej daniny, co stawiało Rzeczpospolitą w roli lennika tureckiego. [przypis edytorski]

⁵¹⁵*Chcesz wiedzieć, czym byłby nasz kraj odzyskany w trzydziestym pierwszym roku? Powiem ci: Hiszpany* — dwa pierwsze wersy wiersza Juliusza Słowackiego z nieco zmienioną końcówką, w oryginale: „to patrz na Hiszpany”. [przypis edytorski]

⁵¹⁶*liberali* (wł.) — liberałowie; popr. hiszp. lm: *liberales* (lp: *liberal*). [przypis edytorski]

⁵¹⁷*Cavour, Camillo Benso* (1810–1861) — włoski polityk liberalny, premier królestwa Piemontu i Sardynii, działał na rzecz zjednoczenia Włoch. [przypis edytorski]

⁵¹⁸*Kossuth, Lajos* (1802–1894) — polityk węgierski, przywódca rewolucji węgierskiej 1848–1849, węgierski bohater narodowy; po upadku rewolucji wyjechał; w 1859 przyczynił się do utworzenia węgierskiego legionu, który walczył w północnych Włoszech po stronie Garibaldiego przeciwko Austriakom. [przypis edytorski]

⁵¹⁹*Szechenyi, István* (1791–1860) — węgierski polityk i działacz gospodarczy; założył Węgierskie Towarzystwo Naukowe, zbudował pierwszy stały most pomiędzy Budą i Pesztem, rozpoczął prace nad uregulowaniem Dunaju i Cisy, zainicjował żeglugę parową na Dunaju; lider węgierskiego ruchu liberalnego, w latach 40. utracił przywództwo na rzecz bardziej radykalnego Lajosa Kossutha. [przypis edytorski]

i Wysockich przesłonił Bismarck. Słowem był ktoś, który zacyzn rewolucyjny, ferment myślowy, ustabilizował, zawarł, wykorzystał. Była społeczna masa, w którą, jak w ciasto, można było ów ferment wlać, która, jak ciasto, mogła go być rozprowadzić, zużyć. — W Polsce brakło i piekarza, i ciasta. Polska nie miała ani jednego Cavoura, ani masy Wokulskich. — W Hiszpanii było to samo.

PÓŹNIEJSZA WSTAWKA

„27 grudnia. Pojechałem za Guadalaharę. Deszcz i śnieg. Na froncie spokój, wbrew pogłoskom. Dojechałem do sto czwartego kilometra drogi na Irun. Przed i za Alcala de Henares fortyfikacje. W Guadalaharze oficerowie rosyjscy. Zatrzymałem się w domu dróżnika, sztab odcinka. Żona straciła dwóch synów: jednego po tej, drugiego po tamtej stronie. Dzieci jedenaścioro. Jedno jeszcze przyjdzie”.

Prowadziłem (dla zorientowania się później w rozkładzie materiału) notatki. To jest właśnie taka notatka. Dziś, gdy do układu książki ją czytam, nic już z niej nie jest aktualne ani ważne. Dużo się zmieniło w Hiszpanii, nie ma już może domu na sto czwartym kilometrze od Madrytu na Irun. Przypomniała mi się tylko ta kobieta. Jakże to było?

Był rzeczywście śnieg i deszcz. Ruchoma strzałka na szybie auta pracowała, zmiatając nalot mokry, ciężko. Zatrzymano nas. Zeszliśmy do domu, postanowiliśmy się pogrzać. Było kilkunastu żołnierzy, porucznik, kapitan. Grzano się przy wielkim ogniu w środku izby. Był olbrzymi komin hiszpański i zapadał mrok. —

W pewnym momencie za mną, z góry, coś poczęło trzeszczeć. Popatrzyłem. Były schody. Bardziej drabina niż schody. Schodziła z nich właśnie powoli, ostrożnie bardzo, jakaś kobieta. Nie widać było zrazu nic więcej poza nogami i grubym, ciężarnym brzuchem. Dopiero potem ukazała się twarz, niemal stara. Cięża była już bardzo posunięta. Żołnierze oglądnęli się i zamilkli. Kobieta miała na głowie czarną, żalobną płachtę. Była żoną czy krewną dróżnika. Zeszła i poszła do dalszych izb, w swych czarnych szatach, ociężałym krokiem.

— Wie pan — powiedział porucznik — to zaciekla dewotka. Miała syna, który był po tamtej stronie. Karlista. Zabito go tu, gdy się przemykał z powrotem. Co chciał, nie wiadomo. To było po nocy. Ona przyznała, że jej syn. I na nią było wiele. Mieliliśmy ją nawet sądzić. Sądem polowym. To krótko, choć to cięża... w tych sprawach. Ale oto drugi jej syn padł pod Alcorcon. Pan wie, wtedy. Po naszej stronie. Był członkiem partii od tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego czy wcześniej. Tak mówiono mi, tego nie wiem dokładnie. Rozumie pan, zwolniono ją zaraz oczywiście. Pogrzeb syna miał honory wojskowe. —

Kobieta w chwilę potem przeszła tak samo, ciemna, obojętna, przy nas. Znowu wdrapała się ciężko na strome schody, windując w górę strudzone, niezdarne boki. Popatrzyłem jeszcze za nią. Porucznik wrócił do tematu:

— Miała jedenaścioro dzieci. To mówiono nam, jak miała być sądzona. Tamten chłopak na dworze to też jej syn. I teraz będzie miała, widzi pan, jeszcze jedno. Kobiety rodzić nie przestały w Hiszpanii. Tamte dzieci są po całym świecie. W Wenezueli, przy nafcie, w Argentynie, w Maroku, gdzie tam jeszcze. Sama nie wie gdzie. Suka nie wie, gdzie jej szczenięta, a szczeni się co wiosny.

To wszystko mi się przypomina wyraźnie jak dziś, gdy czytam tę starą notatkę. Z kilku słów wprost w obraz się rozrasta. Wszystko inne się zatraciło, a to zostało jakoś. Prawie, a twarz porucznika pamiętam. Prawie, a widzę te schody, pół drabinę, po której niezdarnie gramoliła się zniszczona matka. I przychodzi mi teraz refleksja:

Tak, to prawda że dzieje Polski i Hiszpanii, krótkotrwałych mocarstw, które wzniosły te kraje, były przejściowe i efemeryczne. To prawda, że nasze granice „z 1772 roku”, coś, co dla nas współczesnych uchodzi za absurd — i w obecnej sytuacji zrozumiame — były dla pokolenia Tadeusza Kościuszki i potem, jeszcze dla naszych pradziadów, tylko skromnym minimum żądań: Polska bez Kijowa. Tyle że dorobkowe *status quo*⁵²⁰. Tak, to prawda, że nie ma dziś śladu z mocarstwowej pozycji Hiszpanii, że bliższa dziś w losach Etiopii niż Wielkiej Brytanii.

⁵²⁰*status quo* (łac.) — obecny stan rzeczy; w stosunkach międzynarodowych: stan prawno-polityczny, np. granic, istniejący w danym momencie. [przypis edytorski]

Matka, Wojna

Kolonializm, Matka,
Kobieta

A jednak, jest coś, czym oni wyżsi są nad nas. Coś, czym oni przetrwali. Nie ma dziś tego ich państwa, „nad którym nie zachodziło słońce”. Ale jest kontynent, cała część świata, która mówi ich mową, którą zawładnęli synowie ich krwi. Jest tam dziś konglomerat państw, półdzikich, istic „bałkańskich” z operetkowymi mężami stanu, z dżunglami nieprzebytymi jeszcze, z nową rosnącą dżunglą XX wieku, gdzie trusty⁵²¹ amerykańskie buszują niczym tygrysy w tamtych, przeszłowiecznych puszczech. Ale to jest jednak kontynent, włada nim jednak hiszpańska rasa i hiszpańska mowa. Odeszło to od Hiszpanii. A przecież Hiszpania nie przestanie już być nigdy. Stolica Montezumy nie przestanie już nigdy być miastem hiszpańskim. Miastem polskim nie będzie już nigdy Kijów, nawet Mińsk, nawet —

I to jest wielka różnica. Polski i Hiszpanii. Dzieła XV wieku tam, i XV tu. Ugórowały ogromne lutyfundia w Kastylii, Estramadurze, Andaluzji, nie było chleba dla takich kobiet jak ta przez całe wieki, po to, by jej synowie szli za „wielkie morze”, zdobywali dla przyszłych synów rasy ziemię czterykroć większą od Europy. Pustoszała, wycieńczała się, więdła metropolia. Aż stała się jak ta matka z Guadalajary. Ale wybudowała dla wnuków swej rasy olbrzymi dom. Omiedziła⁵²² im, wcześniej niż inne narody, olbrzymi kawał globu. Nie umiała go utrzymać w jednym politycznym władaniu. Ale w jednym władaniu etnograficznym pozostanie już na zawsze. Nie będą już mówić inaczej niż po kastylsku w Texas⁵²³ i w Ziemi Ognistej. Słowianin, Niemiec, Japończyk będzie tam zawsze pasierbem. Hiszpan, najgorszy nawet, gospodarzem.

Były trzy wielkie kolonialne ekspansje w historii: hiszpańska, angielska i francuska. Nadchodzi teraz trzecia: włoska. Etiopia, Trypolis, Erytrea. — Najstarszy typ to hiszpańska. Tej okres zdobyczy został zamknięty już bardzo dawno. Załamał się politycznie. Narodowościowo przetrwał. Co będzie z Indiami, gdy z kolei zacznie się kiedyś kurczenie Wielkiej Brytanii? Co będzie z Tunisiem, gdy starzec się zacznie imperium kolonialne Francji? Nie wiem. Najmłodsze imperium kolonialne, włoskie, wchodzi jednak na drogi najstarszego. Oni chcą nie tylko zdobyć surowiec kolonialny i rynek kolonialny dla swych fabryk, nie tylko naftę i złoto, chcą mieć jeszcze ziemię pod pług swego osadnika. Chodzi im nie tylko o to, żeby Addis Abeba dostarczyła maniok, ropę, i rudę ołowiu Mediolanowi oraz zbyt dla jego przedziałni, dla włoskich Białostoków, Birminghamów i Łodzi. Chodzi im o to, żeby język, którym mówić będzie za lat sto i dwieście przyszła Addis Abeba, był ten sam, co w Mediolanie i Peruggi, a dzieci, które będą się rodzić w kołyskach w Gore, były podobniejsze do chłopców z Balilla⁵²⁴ niż do synów Rasa Tafari⁵²⁵. Jak dzieci w Meksyku przypominają madryckie, a nie inkaskie.

I myślę jeszcze o tych milionach zniszczonych matek, które tej Hiszpanii zdobyły, nędzą swych dzieci, męką swych bioder, więcej niż Karol V, Filip i zwycięzca z Lepantu.

WINA LATYFUNDIÓW

W najbardziej rozpowszechnionym i naszym, i hiszpańskim, i całego świata pojęciu, jedną z wielkich przyczyn rewolucji, zapewne najpierwszą, była wadliwość ustroju rolnego Hiszpanii. „Ustrój ten był przestarzały, taki, jaki reszta świata znała u siebie w poprzednich, zapomnianych gdzie indziej epokach; jeśli Hiszpania była zacofana, to jednym z najsilniejszych objawów tego zacofania był jej ustrój agrarny”. Wszystko, co zdołałem w tych sprawach dowiedzieć się, przestudiować⁵²⁶ i sprawdzić, potwierdziło w zupełności

⁵²¹ *trust* (ekon.) — monopolistyczne przedsiębiorstwo powstałe w wyniku połączenia firm z jednej branży. [przypis edytorski]

⁵²² *omiedzić* — zapewne: otoczyć miedzą, tj. wziąć w posiadanie ziemię, zawładnąć obszarem. [przypis edytorski]

⁵²³ *Texas* — Teksas, stan w południowo-środkowej części Stanów Zjednoczonych; do 1836 prowincja Meksyku, w jęz. hiszpańskim nazwę Texas wymawia się: tehas. [przypis edytorski]

⁵²⁴ *Opera Nazionale Balilla* — włoska faszystowska organizacja młodzieżowa działająca w latach 1926–1937, której nazwa pochodzi od przydomka *Balilla*, jaki nosił Giovanni Battista Perasso, chłopak z Genui, który według legendy w 1746, rzucając kamieniem w żołnierza, dał sygnał do powstania przeciwko siłom Habsburgów okupującym miasto. [przypis edytorski]

⁵²⁵ *Ras Tafari Makonnen* — imię chrzestne cesarza Etiopii Haile Selassie I, od którego pochodzi nazwa synkretycznego ruchu milenarystyczno-mesjanistycznego religijnego powstałego na Jamajce w latach 30. XX w. [przypis edytorski]

⁵²⁶ *Wszystko, co zdołałem w tych sprawach dowiedzieć się, przestudiować* — Podczas niniejszych rozważań opieram się przede wszystkim na danych zaczerpniętych z poważnego dzieła inż. Pascual Carrion, sekretarza Cen-

ślusznosc powyższych tez. — Ale zazwyczaj idą one dalej. Kreślą pewien obraz prowincji hiszpańskiej. Prowincja ta na tym obrazie „to olbrzymie lityfundia magnackie wokoło zamków pamiętających wieki średnie, a obok wielkie masy nędznego chłopstwa bez roli lub z nikłymi płachetkami gruntu. Tak widzimy Hiszpanię. Nędza chłopstwa hiszpańskiego, mówimy później, to brak ziemi. Dać mu ją, skończy się nędza mas hiszpańskich”. — Otóż, jak nabrałem przekonania, że pierwsze tezy były niewątpliwie słuszne, ustrój rolny Hiszpanii jedną z głównych przyczyn jej katastrofy, a z gospodarczych jej przyczyn na pewno podstawową, istnienie lityfundii rolnych rdzeniem zła, tak samo tamto dalsze wytłumaczenie, wydaje mi się dziś głęboko mylne. —

Gdyby miało zresztą być słuszne, to pierwsza konfrontacja naszej wyobraźni Hiszpanii z jej rzeczywistością rolną, musiałaby nas załamać. Hiszpania nie jest dziś światem lityfundii rolnych, jak zresztą nie w rolnictwie leży bezpośrednia przyczyna jej nędzy i nie na wsi nawet swe nasilenie osiąga. Przejdźmy do obrazu cyfr. Na dwadzieścia siedem prowincji, z których składa się Hiszpania, w trzech tylko wielka własność rolna (od 250 hektarów) posiada więcej niż 50 procent całego obszaru rolnego, a w żadnej z nich nie dosięga 60 procent. W pozostałych pięciu posiada więcej niż 40 procent, w dalszych dziewięciu więcej niż 20. Natomiast jeśli chodzi o małą, dziesięciohektarową własność, to w sześciu prowincjach zajmuje ona z górą 66 procent obszaru rolnego, w trzech powyżej 51, w trzech powyżej 36. Przy czym, oczywiście, istnieje i własność średnia. Cóż te cyfry nam mówią? To najpierw, że lityfundium jako typ gospodarki rolnej nie jest ani regułą, ani typem gospodarki rolnej Hiszpanii, tak samo jak np. uprawa kukurydzy czy rzepaku nie jest typem polskiej produkcji rolniczej. Jest fenomenem, zjawiskiem zachodzącym, regułą nie jest. Jest dalej zjawiskiem ograniczonym terytorialnie. Gdyby się oprzeć na tezie, że przyczyną nędzy szerokich mas w Hiszpanii jest brak ziemi, a parcelacja lityfundii zlikwiduje ów brak (nędzę) automatycznie, musielibyśmy skonstatować, że lityfundia istnieją w Hiszpanii jedynie na ograniczonej, i to bardzo poważnie, części jej terytorium, gdy nędza mas jest prawie wszędzie. Ale wtedy istniałyby już tylko dwa dalsze możliwe wnioski: albo ten, że nędza Hiszpanii jako ogólnokrajowe zjawisko nie wypływa z istnienia lityfundii i ma inne racje za źródło, albo że kwestia rolna tego państwa jest właściwie tylko kwestią kilku jej prowincji, zagadnieniem lokalnym, głównie andaluzyjsko-estremadurskim. Ograniczona terytorialnie, byłaby kwestia rolna Hiszpanii ograniczona jeszcze demograficznie; znowuż prowincje lityfundystyczne na ogół nie są bardzo zaludnione⁵²⁷, a zatem dolegliwość istniejącego tam ustroju dotyka tylko ograniczoną część ludności kraju.

I dalej, stojąc wciąż na tym założeniu, wyobrażając sobie po dawnemu, że w Hiszpanii lityfundia ciągną się bezkresami od Gibraltaru do Pirenejów i że dlatego właśnie, nie dając ludności rolnej dostępu do ziemi, sprawiły nędzę kraju, nie mielibyśmy wiele do odpowiedzenia argumentacji dowodzącej, że brak ziemi dla ludności rolniczej Hiszpanii można by usunąć bez zniesienia lityfundii. Oto bowiem w czternastu prowincjach, w których republika znalazła kwestię agrarną, istnieje dziewięćset tysięcy rodzin bezrolnych czy małorolnych. By jednych i drugich zamienić na 10-hektarowych gospodarzy potrzeba na to, wedle obliczeń inż. Pascual Garrion, sześć milionów hektarów⁵²⁸. Otóż Hiszpania na 50 milionów hektarów ogólnej powierzchni posiada 30 milionów heka-

tralnej Rady Reformy Agrarnej (za Republiki) wydanego z przedmową jego szefa, b. ministra, dziś ambasadora Walencji w Waszyngtonie, Fernanda de los Rios. *Los latifundios en Espana* są niestety jedynym naukowym i nowoczesnym opracowaniem tych kwestii, z jakim się spotkałem. W samej Hiszpanii panuje zupełny chaos niewiedzy, powierzchownych uogólnień i niezrozumienia sprawy rolnej. Cyfry moje wyjęte są z tegoż dzieła. [przypis autorski]

⁵²⁷ prowincje lityfundystyczne na ogół nie są bardzo zaludnione — w przeciwstawieniu np. do wielu części przedwojennej Ukrainy gdzie lityfundia sąsiadowały z olbrzymimi, przeludnionymi, małorolnymi wsiami. [przypis autorski]

⁵²⁸

Porównywano często kwestię rolną Polski i Hiszpanii, szukając podobieństw. Naprawdę zachodzi dziś jednak między nami a tamtym krajem bardzo zasadnicza różnica. Oto Hiszpania posiada dostatecznie wiele gruntów dla zaspokojenia swego głodu ziemi (rzecz inna, jak staram się udowodnić w toku niniejszych rozważań, że to nie tyle głód ziemi, co głód fabryk, głód miast, głód podniesienia produkcji jest istotą kryzysu Hiszpanii). Polska ich nie ma. Wedle obliczenia i J. Poniatowskiego i Th. Oberlaendera (*Die agrarische Uebebevölkerung Polens*) nasz zapas ziemi, z całą reformą rolną i melioracjami, wystarczy bez mała w całości za ledwie na upelnorolnienie małorolnych, dla mas bezrolnych i dla nowych pokoleń wsi nie znajdując już dość ziemi, nawet przy najradykałniejszych posunięciach.

rów nieużytków. Jest pewnikiem niekontestowanym przez nikogo, że bardzo znaczna ilość tych nieużytków w każdym innym kraju uległaby dawno melioracji, że już samo nawodnienie tylko oddałoby jej część bardzo znaczną pod normalną uprawę. Dziś nie zdajemy sobie często sprawy, jak olbrzymie ilości obecnej ziemi ornej nie tylko w Niemczech i Danii, ale nawet w Polsce, były jeszcze przed stoma laty zupełnymi nieużytkami. Teoretycznie zatem — a także i praktycznie — byłoby najzupełniej możliwym zaspokojeniem hiszpańskiego głodu ziemi nie drogą parcelacji gruntów już uprawnych czy posiadanych, ale drogą wielkiego planu melioracyjnego i osadzenia na zmeliorowanej ziemi owego miliona prawie rodzin. Z punktu widzenia gospodarki narodowej byłoby to nawet wyjściem lepszym; majątek narodowy wzrósłby znacznie wskutek zmniejszenia się odlogów, a wzrostu obszaru ziemi uprawnej. Wnioskiem ostatecznym takiego rozumowania — ciągle opartego na pierwszych przesłankach naszych i na skontrolowaniu ich z hiszpańskimi faktami — byłoby, że latyfundia grandów nie tylko są lokalnym jedynie powodem nędzy części ludności, ale że i zapobiec tej nędzy można by znakomicie bez uszczknięcia ani jednego hektara, z utrzymaniem obecnego stanu rzeczy w owych kilku prowincjach.

Tak by sądzili i do takich, wbrew swej woli, ale zgodnie z logiką wniosków doszliby normalni, powierzchowni zwolennicy reform agrarnych o lewicowo-inteligenckim myśleniu. Logikę tę mogliby łamać, mogliby się wykręcać. Najlepiej jednak byłoby zawrócić z tej ślepej drogi. Skontrolować nasz początkowy rachunek, wykryć miejsce popełnienia w nim błędu i odtąd zacząć wszystko na nowo. — Znowuż bowiem, wedle tego wszystkiego czego się mogłem nauczyć w Hiszpanii, istnienie latyfundiów rolnych jest główną gospodarczą, a jedną z głównych w ogóle przyczyn obecnej katastrofy. Mimo że latyfundia przestały już być — a w całych okolicach nie były nimi nigdy — typem gospodarki rolnej hiszpańskiej. Mimo że istnieją i większą rolę odgrywają tylko w pewnej części kraju. Mimo że największa nędza chłopska istnieje właśnie tam, gdzie wielkiej własności jest względnie mniej (Salamanca) lub nawet nie ma jej wcale. Wielkie latyfundia prowincji Kadyks, Sewilla, Ciudad Real winne są nie tylko nędzy ludności tego kraju. Winne są jeszcze nędzy hiszpańskiej Galicji, choć tam w ogóle już średnia własność, do stu hektarów, jest rzadkością, winne nędzy w Palencja, gdzie nie ma nawet jednego procentu większej własności rolnej, winne nędzy w Murcji, w górniczym Oviedo, w robotniczych dzielnicach Barcelony i Madrytu, choć to są miasta, słowem, w całej Hiszpanii. Ponoszą ogromną, społecznie mówiąc, winę, a są, gospodarczo ujmując, jedną z najważniejszych przyczyn tego, że kraj tak bogaty z natury, tak hojnie wyposażony w surowce i kruszce jak Hiszpania jest zarazem krajem, gdzie człowiek żyje tak biednie. Tylko że sprawa latyfundiów i ich skutków musi być ujęta *inaczej*, niż ją ujmuje się zazwyczaj. Ujęta szerzej i głębiej.

*

Wielka własność rolna Hiszpanii, podobnie jak wielka własność rolna wielu innych krajów dawnej Europy, była wyrazem gospodarczych zdobyczy pewnej klasy, szlachty, w okresie jej rozkwitu, czasach feudalnych. Powstała nie w centrum, ale na kresach państwa, podobnie jak nasza nie powstała nad Gopłem czy Mazowszu, ale na Podolu i Ukrainie. Powstała więc nie w Kastylii, ale w zawojowanej na Maurach Andaluzji, i tam — równie jak nasza na Podolu, niemiecka w Prusach, angielska w Irlandii — była zjawiskiem najbardziej typowym i wielkim. Każda warstwa społeczna dochodząca do władzy osiągała pewne zdobycze polityczne i pewne zdobycze gospodarcze. Zdobywcami gospodarczymi mieszczaństwa był liberalizm handlowy, zniesienie ograniczeń, były tzw. „dobra narodowe”, to jest skonfiskowane emigrantom szlacheckim francuskim, na których wyprzedzały obłowiło się świetnie. Zdobywcami gospodarczymi robotników są umowy zbiorowe pracy, podniesienie płac, podniesienie standardu życiowego. Formą, w jakiej wyraziły się zdobycze gospodarcze szlachty, były latyfundia, wielkie nadania

Mieszczanin, Robotnik,
Szlachcic, Walka, Walka
klas, Korzyść

Hiszpanii, niestety, grozi to samo co Polsce. Zamiast wyczerpać się w kierunku uprzemysłowienia (ku czemu ma lepsze zresztą niż Polska warunki) ujmie sprawę agrarną najciaśniej, właśnie jako chłopski głód ziemi, i pozostawi masy na wsi. Niewiele tym ulepszony położenie chłopu w prowincjach latyfundystycznych, wcale w prowincjach karłowatej własności rolnej, najmniej zaś położenie mas robotniczych miasta, pozostałych dalej bez własnego przemysłu. [przypis autorski]

ziemi. Forma ta była proporcjonalna do roli, jaką ta właśnie warstwa odegrała w powstaniu hiszpańskiego mocarstwa zeszłych wieków. Nic więc dziwnego, że była wielka, wiele większa niż gdzie indziej. Ci książęta naprawdę posiadali całe księstwa, hrabiowie hrabstwa, markizowie władali markizatami. Byli posiadaczami Hiszpanii. Stali się nimi w epoce, gdy kapitał, pieniądź, był rzeczą stosunkowo tak rzadką, że gospodarka unikała najczęściej tego symbolu, stosując zapłatę w naturze, dość podobnie jak w czasach kryzysu na wsi, gdzie zapalki w sklepiku kupuje chłop nie za grosze, ale za jajka. Posiadali ziemię, główny wówczas warsztat produkcji — warsztat produkcji środków żywności. Ich południowe role żywiły górzystą Północ. Ale latyfundia była to tylko pewna forma posiadania kapitału, posiadania środków produkcji. Ta forma przetrwała swe czasy.

Tymczasem bowiem zmiany socjalne, gospodarcze, techniczne wreszcie, zmieniły sytuację w świecie i Hiszpanii. Produkcja rozszerzyła się znacznie, przekroczyła o całe dziedziny nieznanych dotąd towarów produkcję średniowieczną. Wszędzie uwzględniono te zmiany. Rolnicza Anglia przeszła na przemysł, gdy Kanada zmieniła swe puszcze na łąny zboża. Chleb andaluski⁵²⁹, ku któremu tak chciwie spoglądali niegdyś górale kastylscy, stał się łatwiejszy, mniej cenny. Renta gruntowa obniżyła się. Podniosła — a raczej w ogóle powstała — „renta” przemysłowa. Nowym władztwem gospodarczym epoki stały się fabryki, nowymi potęgami — centra przemysłowe, nowymi magnatami — koncerny, nową formą kapitału — jego przemysłowa, industrialna lokata. Latyfundium, wielki obszar rolny, przestało być główną formą wielkiej własności, wielkiego kapitału. Stało się za to jej formą najbardziej ociężałą, mało rentowną, tracącą znaczenie. Własność przemysłowa i bankowa dognała ją i prześcignęła. Zachwiało się władztwo na tej formie własności oparte.

Zachwiała się jej techniczna wartość dla nowych czasów, dla ludności rosnącej szybko, potrzebującej i więcej ziemi, i — zwłaszcza — więcej chleba. Do ostatnich niemal czasów rolnictwo Hiszpanii było, jest jeszcze, niezmiernie zacofane. Zacofanie to jest najmniejsze w dolinie okalającej Walencję; tamtejsza średnia własność ziemska, chłopska, kulacka, przedstawia wzorowy stan uprawy rolnej. Największe jest w okolicach niezdatnych do życia minifundiów — i w latyfundiach. Ale w tych najpierw. Dość powiedzieć, że w Estremadurze formą najczęstszej gospodarki jest tak zwane *al cuarto*, gdzie rok rocznie dwie czwarte gruntów ugorują, jedna czwarta jest zorywana, jedna czwarta wreszcie uprawiana i obsiewana. Sądzę, że nie ma rolnika w Polsce, który by mógł bronić podobnej gospodarki rolnej.

Żle gospodarując, wielka własność rolna dalej i nie mniej była główną (a niemalże jedyną) formą krajowego kapitału hiszpańskiego, dochowaną z dawnych wieków. Okres rządów liberalnych, liberalna rewolucja hiszpańska z połowy XIX wieku, nie zmieniły tu nic. Przeciwnie, liberalne mieszczaństwo obłowiło się znacznie na wyprzedazy za bezcen latyfundiów kościelnych. Nowa warstwa, nowe kapitały przeniosły się na rolę, ustępując z miasta. Seria nowych grandów wzmocniła szeregi pierwszych. W innych krajach szlachta jako warstwa społeczna zesła z areny dziejów, zepchnięta przez mieszczaństwo. W Hiszpanii XIX wieku energiczniejsze żywioły mieszczaństwa wdarły się w szlachtę, w latyfundystów, w formy posiadania i produkcji, które były przeżytkiem dawnych wieków.

Mogła była, rzecz prosta, nastąpić ewolucja odwrotna. Szlachta, która okazała się zbyt silna, by dać się wyzuc z posiadania i władzy, mogła z kolei zmodernizować sama swe posiadanie. Nie zawsze, choć przeważnie, wraz ze zmianami techniki i ekonomii postępują zmiany klasowe. W niedawnych czasach Japonia została zmodernizowana bez wstrząsu społecznego. Klasa jej samurajów, magnatów feudalnych i feudalnej lennejszej szlachty, rozpoczęła w siedemdziesiątych latach zeszłego stulecia reformę swego kraju. Przeszła do miast, przeniosła swój kapitał z obszarów rolnych, uprawnień podatkowych, na najnowocześniejsze formy produkcji przemysłowej, własności bankowej. Technicznie, ekonomicznie Japonia stała się jednym z najbardziej zaawansowanych państw i skoków wykonała właśnie klasa społeczna starsza jeszcze od grandów. Kapitał nagromadzony przez nią od wieków posłużył na progę nowej epoki do technicznego wyposażenia kraju.

⁵²⁹ *andaluski* — dziś raczej: *andaluzijski*. [przypis edytorski]

Dlaczego nie mogliby tego samego wykonać hiszpańscy grandowie? Dlaczego tego nie zrobili?

Dlatego — i tu może dotykamy pozagospodarczego sedna problemów hiszpańskich — że warstwa ta była nie tylko w swej formie własności, ale w swej sile witalnej, w swym elemencie ludzkim, w swej psychice i energii twórczej rasą wyczerpaną, przeżyta. Materiałem demograficznym bezwładnym. Była syta zaszczytów i syta pieniędzy. Ustrój i obyczaj Hiszpanii Alfonsa XIII dawał jej pierwsze. Olbrzymie obszary rolne, choćby przynoszące od hektara mniejszy znacznie dochód niż gdzie indziej, dawały jej drugie. Nie miała więcej ambicji ani więcej chęci zysku. Forma własności rolnej była, rzecz prosta, stosunkowo mniej rentowna niż każda inna, zwłaszcza w warunkach tej eksploatacji. Ale dla ludzi idących po linii najmniejszego oporu, unikającego pracy i kłopotu, była to forma najwygodniejsza, rozkładająca pracę na dzierżawców i poddzierżawców, redukująca cały wysiłek do pobierania rent dzierżawnych. Bo latyfundia były przeważnie dzierżawione. Oczywiście przejście do przemysłu wymagałoby, dając olbrzymio większe dochody, olbrzymio więcej pracy. Wymagałoby studiów gruntownych. Ciągłego pilnowania interesów, śledzenia wskazówek giełdowych, obliczania fal koniunktur. Życie wielkiego przemysłowca jest pochłaniające, jest trudne. Fortuna jego jest wielka i narażona co dzień. Kiedyś przodkowie księcia Alby narażali co dzień swe życie. Ich wnuk, czternasty książę Alba, nie chciał jednak narażać nic więcej.

A tymczasem kraj pęczniał ludnością biedną, mnożącą się szybko, głodną, głodną nie tyle tam, gdzie były latyfundia, ile tam, gdzie nie powstały fabryki, huty w dostatecznej ilości. Miejsce kapitałów krajowych drzemających w formie andaluskich, estremadurskich rozłogów zajmował przemysłowiec i kapitał obcy. Anglia potrzebowała rud i kruszców. Kapitał angielski otrzymywał więc koncesje na kopalnie jak w Chinach. Wydobywał rudy miedzi, żelaza, rtęci, ołowiu, cynku, wywoził węgiel, espartę i żelazo. Wydobywał tym łatwiej, że praca tutejszych robotników wobec swej olbrzymiej podaży była tania, tańsza niż w Anglii. Wydobywał to wszystko i wywoził przerabiać do siebie. Dlaczego? Bo jego centrum przemysłowe było przecież nad Tamizą czy Clyde, bo stąd, tak jak z Indii, jak z Hong Kongu, jak z Sudanu, brał tylko surowiec. Dlatego właśnie górnictwo hiszpańskie jest rozwinięte w daleko wyższej mierze niż przemysł. Dlatego, mimo że kraj spadał do roli ekonomicznej kolonii, z której czerpano surowce, a której sprzedawano obrobiony już towar, kapitał zagraniczny przemysłowy cieszył się tu wiele większą sympatią niż rozległe, pozornie tylko do paru prowincji ograniczone, latyfundia rolne. Ten przynajmniej nie drzemał na swych środkach produkcji, puszczał je w ruch, dawał innym przynajmniej część pracy.

Cóż bowiem mogła zrobić wielka własność agrarna?

Mogła była zrozumieć, że utrzymanie jej roli w kraju, jeśli jest w ogóle możliwe, będzie tylko przez przyjęcie na siebie nowoczesnych zadań epoki. Takim zadaniem dzisiejszej Hiszpanii było pełne wyzyskanie jej wielkich możliwości produkcyjnych, jej przebogatego surowca, taniej robocizny, kapitału. Kapitał hiszpański winien był porzucić swą przestarzałą formę: latyfundia. Winien był przejść do nowych dziedzin produkcji, ruszyć z miejsca górnictwo i przemysł, zwiększyć bogactwo narodowe, dostarczyć pracy. Winien był ułatwić w najszerszej mierze, najdogodniejszym systemie splat (chłopstwo hiszpańskie chciało nabywać ziemię, chciało ją mieć) przejście tych gruntów w ręce drobnej własności. Winien był stworzyć nowe centra przemysłowe, swoje Gdynie, swoje Dnieprostroje⁵³⁰, swoje Magnitogorski⁵³¹, z gospodarczej kolonii innych stać się gospodarczym, wytwórczym, przemysłowym mocarstwem, bogatym jak Stany Zjednoczone, jak Anglia. Rozbudować swe środki produkcji, jak to czyni Rosja i Japonia. Wtedy nie tylko znikłaby nędza Andaluzji i Grenady. Znikłyby minifundia Murcji, Galicji, Palencji, nędza natłoczonych bez sensu ekonomicznego puebli Starej Kastylii, masy te odpłynęłyby do miast, do przemysłu, do nowych warsztatów pracy, pozostawione przez nich płachetki zrosłyby się z silniejszymi gospodarczo jednostkami małej własności w normalniejszą produkcyj-

⁵³⁰ *Dnieprostroj* (ros.) — Dnieprzańska Elektrownia Wodna, hydroelektrownia na rzece Dniepr, zbudowana w latach 1927–1932. [przypis edytorski]

⁵³¹ *Magnitogorsk* — miasto przemysłowe w pld. Rosji, z największym w kraju kombinatem metalurgicznym; od 1931 miasto, szybko i znacznie rozbudowane w związku z budową huty żelaza podczas pierwszego planu pięcioletniego (1928–1932). [przypis edytorski]

nie całość. Masa ludzka nowych miast musiałaby konsumować więcej. Potrzebowałaby wsi. Nowa wieś podniosłaby swą produkcję, podniosłaby swój udział w dochodzie społecznym.

Istotnie. Przez parę ostatnich dziesiątków lat, jeszcze przez ostatnie lata nawet, rozdroża przyszłości Hiszpanii leżały gdzieś na stepie przed Kadyksem. Były odtąd dwa szlaki idące w przyszłość. Jeden był taki, jakim poszły sprawy wszędzie na Zachodzie, w Niemczech i Danii, we Francji i Włoszech, w Anglii. Wycofaniem się wielkiej własności z roli, z tysięcy hektarów, z produkcji agrarnej, ze wsi. Wkroczeniem jej do miasta, które do niedawna jeszcze było światem rzemiosł, małych warsztatów, chałupniczej produkcji. Stworzeniem tu wielkiego przemysłu. Drugi szlak szedł w chaos. Przez rozdrapanie tej jedynej w kraju formy kapitału skupionej, zdatnej do przerzucenia do nowych, wielkich zakładów produkcji, do poruszenia swym potężnym strumieniem energii turbin wielkiego przemysłu. Rozdrapanie jej na części tak samo, jak na części rozdrapano by koła przyszłej fabryki i tryby mogącej powstać maszyny. Nie wiadomo, co wyjdzie z tego chaosu. Nie wiadomo, co wyrośnie i kiedy na rozpękanych łańcach Andaluzji. To pewna, że zniszczenie kraju, jego zbiednienie jeszcze większe, jego uzależnienie gospodarcze jeszcze zupełniejsze jest już w tej chwili faktem. Za ów fakt istnieją różni odpowiedzialni, istnieją różne pośrednie i bezpośrednie odpowiedzialności. Ale u początku ich wszystkich stoi niestety odpowiedzialność latyfundiów. Mimo że w całych prowincjach Hiszpanii nie było ich zupełnie. Mimo nawet, że to nie obok nich była największa nędza. Odpowiedzialność ta ogarnia cały kraj, nie parę prowincji. Bo mogły — a nie zechciały. Bo mogli — a nie chcieli.⁵³²

PROCES ALFONSA XIII

Aby zrozumieć, jak od tej chwili jesteśmy daleko, cofnijmy się w czas, znad tych książek czytanych, o lat kilka. Jest więc godzina siódma wieczór, zmierzch — przecież to było w kwietniu — gdy z królewskiego „Pałacu Wschodniego” sterczącego białym blokiem na skraju wzgórza, wysuwa się auto i szybciej, przebiegłszy Plaza de Oriente, stacza się ku Rosales, które wtedy jeszcze nie jest zbombardowaną kupą gruzów, zbiega szosą na Pozuelo, która jeszcze wtedy nie jest przecięta rzędem okopów, przekracza most Francuzów, którego jeszcze nikt nie myślał wysadzać w powietrze, i podbiega pod tamte, przeciwległe Madrytowi wzgórza, mając po prawej ręce Casa de Campo. — Dziś wydaje się niemożliwością, żeby móc przebyć tę drogę. Nie ma miejsca w Hiszpanii, które by było bardziej w polu obstrzałów. Ale wówczas panował tu spokój zapadającego wiosennego wieczoru i nikt nie sądził, by kiedyś było możliwe coś innego niż taki właśnie spokój. Za Navalperal, Toledo i płowymi płaszczynami Estremadury, zachodziło właśnie słońce. Gdy byli w Valdemoro, był zmierzch. Gdy mijali ogrody Aranjuezu — zmrok.

Król, Ucieczka, Rewolucja,
Państwo

⁵³²Już po napisaniu niniejszego rozdziału, natrafiłem w rocznikach radykalnej „Europe nouvelle” na artykuł Luisa Fishera, poświęcony w kwietniu 1936 reformie rolnej przeprowadzonej przez *Frente Popular* w Hiszpanii. Luis Fisher, wielki dziennikarz amerykański, o solidnym naukowo-ekonomicznym przygotowaniu, spędził szereg lat w ZSRR, którego jest gorącym (acz w niejednym krytycznym) entuzjastą. Zajmując się z kolei Hiszpanią i jej nowymi drogami, Luis Fisher o reformie agrarnej Azanii Caballero pisał, co następuje:

„Reforma agrarna winna być uważana za środek do wzbogacenia miast hiszpańskich i stworzenia nowych przemysłów”.

Przebudowa ustroju agrarnego winna dokonać się, jego zadaniem, właśnie pod takim kątem. Dlatego też wobec przeprowadzanej właśnie, lewicowo-inteligenckiej reformy, troszczącej się przede wszystkim o to, żeby chłop dostał ziemię i nie pchał się do miasta, choćby za cenę wegetacji na rozdrobnionych do stosunków chińskich płachetkach, ekonomista amerykański wyrażał powątpiewanie:

„Zapewne — pisał — po przeprowadzeniu takiej reformy chłop będzie się miał nieco lepiej. Ale oznacza to tylko to, że będzie odżywiać się trochę mniej źle, a nie, że stanie się aktywnym odbiorcą produktów miasta. A przecież w tym leży klucz zagadnienia”.

Pozwalam sobie zacytować te słowa tym wszystkim czytelnikom, którzy w Polsce wierzą jeszcze, że problem przeludnienia agrarnego w jakimkolwiek bądź kraju został rozwiązany bez przeniesienia ogromnych mas chłopów z wsi do miasta, z roli do przemysłu. Nawet ZSRR — czy raczej: właśnie ZSRR — wstąpił na tę drogę. Hiszpański czy też inny, chłop współczesnych krajów przeludnionych agrarnie prędzej czy później znajdzie się w mieście, musi się w nim znaleźć. Rzecz w tym, czy nastąpi to w drodze prywatnego czy państwowego uprzemysłowienia kraju. W wypadku pierwszym kraj, który to przeprowadzi, dobiegnie w linii rozwojowej kraje, które tego dokonały wcześniej, Niemcy i Francję, Danię i Czechy, cały Zachód. W przeciwnym doszłusuje się do tej drogi rozwojowej, którą obrała sobie Rosja sowiecka. Jedynie niestety w Polsce i Hiszpanii to istotne znaczenie całego problemu nie jest w ogóle przeczuwane. [przypis autorski]

Przez fabryczne Albacete przemknęli w zupełnych cieniach nocy. Potężny motor musiał dudnić po wielkich pustych szosach, światła reflektorów pełzać po sennych wzgórzach Quenki i Manczy. Prawie o świcie auto zajechało przed molo w Kartagenie, tam, gdzie teraz we wrześniu stał okręt sowiecki „Komsomol”. Z pokładu „Alfonso Trese” — pancernika, który nazywa się dzisiaj „Libertad”, wymordował wszystkich oficerów i kuruje się obecnie w dokach — odbiła szalupa. Dwaj mężczyźni weszli do niej. Niezwłocznie statek odpłynął na pełne morze, kierując się ku Francji. Człowiekiem, który odpływał, noc ostatnią przebywszy w aucie, był król Hiszpanii, Kastylii i Leonu, Aragonu i Nawarry, Alfons XIII. Nad morzem i krajem świtał pierwszy dzień republiki. Ów dzień wielu ludzi miało witać zdumieniem, że tak bezboleśnie i bezkrwawo mógł dokonać się historyczny przewrót. Było to 14 kwietnia 1931 roku. To znaczy mniej niż siedem lat temu. Przez tych siedem lat Hiszpania przeżyła pięć zamachów stanu, zwycięskich i odpartych, lewicowych i prawicowych, miała trzy różne parlamenty, dwóch prezydentów, krwawe powstanie asturyjskie, jedną wojnę domową. Od czterech miesięcy bombardują jej stolicę. Jakże krwawo świtał sielankowy ranek 15 kwietnia!

A przecież racje, dla których jeszcze przed zachodem słońca, *ante de ponerse el sol*, potężna hispano-suiza opuściła Madryt, wydają się dziś tak *blabe* wobec obecnych wydarzeń, tak nieznaczne wobec warunków na całym świecie, że nie sposób nie zatrzymać się przed nimi. Cóż to bowiem było? Oto w przeddzień, dnia 13 kwietnia, odbyły się w Hiszpanii, sterującej ku parlamentaryzmowi, wybory gminne. Takie, jakie odbyły się wiosną 1935 w Polsce i przyniosły, na ogół biorąc, zwycięstwo sanacji. Ale coż by było, gdyby zwyciężyła w nich endecja, PPS, ludowcy? Nic. — Otóż w takich samych wyborach do rad gminnych zwycięstwo podzieliło się w Hiszpanii: wieś głosowała monarchistycznie, katolicko i prorządowo, wielkie miasta głosowały czerwono i republikańsko. Pogłosowały mniej czerwono niż Łódź jesienią 1936. Cóż miał za skutek wynik wyborów w Łodzi? Nic. — A jednak na skutek wyborów w hiszpańskich Łodziach i Warszawach zawałił się ustrój trwający tu wieki.

Cały ten schemat byłby dość niezrozumiały, dość niewspółmierny pozorną nikłością przyczyn i ogromem skutków, gdyby na taki właśnie wynik wyborczy, nie wpłynął naraz cały, od lat dziesiątków, hiszpański stan rzeczy — a także jeden generał. Generałem był generał Sanjurjo, ówczesny szef Guardia Civil, Guardia Civil zasię⁵³³ była to siła policyjna, czy raczej nadpolicyjna, wobec której nasze „kompanijki” z „rezerwy policyjnej” są tym, czym dziecinny latawiec wobec junkersa. Guardia Civil była siłą trzymającą ład w Hiszpanii, trzymającą więcej, bo jej ustrój. O tym wiedzieli, bo to się działo od lat, wszyscy. Toteż gdy w dniu 14 kwietnia w godzinach przedpołudniowych, już po ogłoszeniu wyniku wyborów, szef Guardia Civil zgłosił się do ministra spraw wewnętrznych, ten wiedział, co to znaczy. Gdy generał Sanjurjo zameldował, że wynik wyborów objawił mu właściwą wolę narodu, że on, Sanjurjo, przeciwko tej woli nie ośmieli się wystąpić i że w razie rozruchów na jego Guardia Civil nie należy liczyć, minister zrozumiał dobrze, o co chodzi. Nie próbował przekładać skrupulatnemu generałowi, że wybory gminne nie mają tego znaczenia co parlamentarne, że na te, mające się odbyć niebawem, można by parę miesięcy jeszcze zaczekać. Nie próbował nawet dowodzić, że jeśli wybory gminne wypadły czerwono w Madrycie, Barcelonie, Walencji, Sewilli, to przecież całe obszary Północy i prowincji głosowały jak dawniej. Nie próbował prosić nawet o to, żeby generał zaczekał do nadejścia ostatecznych, z całej Hiszpanii, wyników. Minister spraw wewnętrznych był Hiszpanem urodzonym w wieku XIX. Wiedział, kto to byli Prim, Espartero, Serrano⁵³⁴, del Campe. Wiedział, co znaczą słowa generała Sanjurjo, szefa Guardia Civil. — Wiedział, co to znaczy *pronunciamento*.

Czytelnik angielski słuchałby o tym jak o żelaznym wilku, czytelnik francuski zdziwiłby się, że cywilny minister nie wyprosił generała za drzwi, ze stanowiska i z armii,

⁵³³zasię (daw.) — zaś; natomiast. [przypis edytorski]

⁵³⁴Prim, Espartero, Serrano — hiszpańscy wojskowi z XIX w., którzy uzyskali wielkie wpływy polityczne i wysokie stanowiska w państwie: Juan Prim y Prats (1814–1870): generał i polityk, premier Hiszpanii (1869–1870); Baldomero Espartero (1793–1879): generał i polityk, regent Hiszpanii (1841–1843), premier (1854–1856); Francisco Serrano (1810–1885): regent Hiszpanii (1869–1870), ostatni prezydent Pierwszej Republiki Hiszpańskiej (1874). [przypis edytorski]

czytelnik polski — nawet czytelnik polski — nie rozumiałby jeszcze, że Sanjurjo nie dostał z miejsca dymisji i następcy. Ale tak, jak w historii Hiszpanii wszedł właśnie inny, prócz wyborów municypalnych czynnik — policja i armia, i wszedł w niespotykanej gdzie indziej roli, tak pozycję generała Sanjurjo umacniał inny, nieznany w Anglii, zgnieciony we Francji, kielkujący czasem w Polsce czynnik: mafia polityczna. Mniejsza, czy zwała się masonerią czy sodalicją. — Armia i policja, stanowiska naczelne i kierownicze, wszystko opanowane było przez tajne, a raczej półtajne związki, wspierające swoich ludzi i rządzące w imię swych celów. Ostatni minister spraw wewnętrznych monarchii znał dobrze pozycję Sanjurjo. Prawdopodobnie do wczoraj wieczór sądził, że lepiej z mafią współpracować niż ją zwalczać. Dziś okazało się jednak, że mafia zrezygnowała ze współpracy. Minister wiedział, że cały szereg generałów nie przyjmie nominacji na miejsce Sanjurjo lub przyjmąwszy, zrobi to samo, że wreszcie Sanjurjo ubezpieczył się i na ten wypadek i zapewnił sobie posłuszeństwo swych podkomendnych, nawet wtedy gdyby sam odszedł. Minister wiedział, że Guardia Civil będzie sabotować rywali Sanjurjo, że jego następcy będą rządzić czysto fikcyjnie. Minister zgłosił więc do króla raport generała. Generał ze swej strony zgłosił treść swego raportu grupie wypuszczonych świeżo z Carcel Modelo polityków hiszpańskiej rewolucji. Byli wśród nich Alcala Zamora, Ortega y Gasset⁵³⁵, Marañón⁵³⁶, Azana. Generał Sanjurjo zawiadomił ich, że w razie rozruchów wojsko ani policja na ulice nie wyjdą. Ulica od jedenastej rano dnia 14 kwietnia należała więc tylko do rewolucji. Po południu decyzja Sanjurjo była powszechnie znana. Ulice większych miast hiszpańskich stały się istotnie rewolucyjne.

Cóż z kolei mógł zrobić Alfons XIII? Znał Hiszpanię tak samo dobrze, jak jego minister spraw wewnętrznych, jak Zamora i Azana, jak każdy Hiszpan. Wiedział, co znaczy raport Sanjurjo. Miał ewidencję generałów. Uczynił jeszcze parę prób, jeszcze parę propozycji. Czas naglił. Odmawiano. Cóż mógł zrobić jeszcze Alfons XIII, skoro odmówiono mu posłuszeństwa? Już nic? Owszem, jedno jeszcze było do zrobienia: Maroko. Na małym cypelku afrykańskiej Hiszpanii mieściły się trzy karne dywizje, słynne „Tercjo”, słynne legie marokańskie, przedmiot szczególniejszej jego uwagi, najlepsze formacje zbrojne Hiszpanii. Koleje nie strajkowały, flota była posłuszna, tysiące aut w Kadyksie i Maladze. W czterdzieści osiem godzin mogły wojska z Maroka kwaterować na bulwarach Rosales, na wprost jednego wojska można było postawić inne, lepsze, karniejsze. Czemuż tedy jednemu generałowi samowolnemu król nie przeciwstawił innego, jednej sile zbrojnej niespełniającej swego zadania, innej siły, jednym pułkiem — innych pułków? Są na to tylko dwie odpowiedzi. Być może Alfons XIII był na to zbyt średniowieczny, przeszłościowy, hiszpański. Ten feudal pamiętał przecież, że swą koronę dziedziczy po ludziach, którzy wyparli z Hiszpanii Berberów i muzułmanów do tegoż właśnie Maroka, do tej właśnie Afryki. Którzy byli królami katolickimi, nosili to w tytule, przysięgali walkę z pohańcem, półkiszycem; mógłżeż teraz ich dziedzic i wnuk przyzywać tych samych pohańców na poskromienie swych katolickich poddanych? Miałże otworzyć dla nich drogę na utraconą Andaluzję, do Kastylii? Tego Alfons XIII nie zrobił. Być może zresztą, że podziały tu inne, mniej bohaterskie, bardziej kartotekowe przyczyny: oto wojska marokańskie stały pod komendą niejakiego generała Franco, którego brat, głośny lotnik, stanął parę tygodni przedtem na czele buntu lotników madryckich. Być może, że generał Franco odpowiedziałby królowi tak, jak generał Sanjurjo: że swych wojsk przeciw ludowi hiszpańskiemu nie wyprowadzi...

Dość, że cokolwiek by można było powiedzieć, cokolwiek jeszcze nie wykryje historia, jedno wszakże jest pewne: wstręty twórcy rewolucji 14 kwietnia, rzeczywistego pogromcy monarchii, człowieka, który dał początek olbrzymim i krwawym przewrotem, stał się pierwszym odpowiedzialnym za to, co przyszło, nie trwały długo. W kilkanaście miesięcy po proklamowaniu republiki generał Sanjurjo „wyszedł na ulicę”, zorganizował pucz wojskowy, próbował obalić legalny, republikański tym razem rząd. Okazało się to jednak trudniejsze od obalenia monarchii. Sanjurjo został pojmany, sądzony, skazany na śmierć, ulaskawiony, zbiegł. Trudno było ludziom z Carcel Modelo oddać plutonowi egzekucyjnemu kogoś, co jeszcze onegdaj oddał im władzę. Ale Sanjurjo postanowił raz jeszcze

⁵³⁵ *Ortega y Gasset, José* (1883–1955) — filozof i eseista hiszpański; republikanin. [przypis edytorski]

⁵³⁶ *Marañón, Gregorio* (1887–1960) — hiszpański lekarz, naukowiec, historyk, pisarz i filozof; liberał; uważany za jednego z najwybitniejszych hiszpańskich intelektualistów XX w. [przypis edytorski]

próbować szczęścia. Stał się głównym promotorem nowego wojskowego puczu, miał być jego szefem. W lipcu 1936 zginął podczas startu samolotu, który miał go przenieść na pole walki, uczynić głównodowodzącym w wielkiej wojnie domowej. — Jak widzimy, generał Sanjurjo nie zawsze był zdania, że on, stary żołnierz Hiszpanii, nie może zwracać swej zasłużonej broni przeciw ukochanemu ludowi swej ojczyzny...

A jeśli chodzi o Maurów i wojska marokańskie, to nie upłynęło zbyt wiele czasu, a wezwano je na pacyfikację Hiszpanii. Nie uczynił tego król, uczynił to za to rząd republikański, radykała Lerroux i katolika Gil-Robelsa. Ci nie mieli już alfonsowskich skrupułów z przewiezieniem wojsk spod Ceuty i Rifu do górniczych Asturii. — Monarchiści mogą być radzi z Alfonsa XIII. Jego wrogowie i następcy byli gorsi. —

*

Wypada zastanowić się nad człowiekiem i ustrojem, które odrzucono w tym kraju tak łatwo, z dnia na dzień, by wpaść w tak straszliwe wydarzenia. Jest wiele wytłumaczeń klęski monarchii hiszpańskiej i Alfonsa. A jednak w tej książce, w której za makabrycznymi widmami Hiszpanii zawsze mi się jawi błądy cień Polski, ośmieliłbym się uprościć to powiedzeniem, że ustrój i człowieka, który go inkorporował⁵³⁷, człowieka nieprzeciętnie wielkiej indywidualności (jak twierdzą trockiści hiszpańscy, „największego od Filipa II monarchy Hiszpanii”), zgubiły personalia, rozwiązywanie spraw drogą personalistów, przez personalia. Dla Alfonsa XIII nie istniały sprawy, zagadnienia, problemy, tak samo jak nie istniały doktryny, systemy, ideologie, teorie, książki wreszcie i abstrakty. Istniały dla niego w najzupełniejszej wyłączności tylko ludzie, pewni ludzie, i sprawy ludzkie. W swym planie gry politycznej nie miał Alfons XIII spraw kraju — miał tylko kartoteki osobiste kilkudziesięciu działaczy. Żeby zorientować się w sprawach, potrzebowałby pracy, wiele pracy, studiów porównawczych, teorii, wykształcenia, książek, czasu. Żeby zorientować się w ludziach, wystarczyła mu wrodzona inteligencja, duża znajomość psychologii ludzkiej, intuicja i spryt. Grał więc na ludzi. Ów czar osobisty, o którym lubią mówić jego wielbiciele, był tylko skutkiem takiego właśnie założenia swej gry, narzędziem w tego rodzaju grze niezbędnym, elementem koniecznym. Jego ministrowie byli jego przyjaciółmi lub, co także bywało, jego przyjaciele stawali się jego ministrami. Niestalość wszystkich przyjaźni ludzkich potęgowała niestalość rządów, przerzucała się ze sfery czysto osobistej w dziedzinę spraw państwowych. Jerzy V⁵³⁸, nawet Edward VII⁵³⁹, królowie skandynawscy, mają swoich przyjaciół poza ministrami, a swoich ministrów poza obrębem swych przyjaciół. U Alfonsa XIII te rzeczy były złane i splątane, niczym u Wilhelma II⁵⁴⁰, niczym u rumuńskiego Karola II⁵⁴¹. Ale jeśli dołączy się do tego niestalość przyjaźni, wówczas zonglowanie personaliami może się stać niebezpieczne. Z ręki mogą naraz wypaść wszystkie zonglowane kule. To nastąpiło w okresie dyktatury.

Ale było i gorzej.

Świat polityczny Hiszpanii, przy bierności mas ludowych, przy korupcji wyborczej, był ostatecznie tylko nawierzchnią, nawierzchnią bardzo płytką, i rządzenie personaliami może w tej dziedzinie nie byłoby jeszcze tak szkodliwe. Jednocześnie jednak Hiszpania przeżywać zaczęła inne głębokie przemiany. Późno, niedostatecznie, rabunkowo, począł u niej pracować wielki kapitał, wykorzystywać jej olbrzymie możliwości, i ta ekspansja, choć obca, przekształciła ją socjalnie silniej niż wszystkie pozorne „krajowe” reformy i papierowe ustawodawstwa. Nastąpił nagły, silny wzrost klasy robotniczej, a więc pomnożenie wpływów socjalizmu, związków zawodowych, tego wszystkiego, co tak dobitnie charakteryzuje współczesne państwa Zachodu. Hiszpania zaczęła przeżywać swój okres kapitalizmu, swój wiek XIX, to, co Anglia przeżyła sto lat wcześniej, Francja siedemdziesiąt, Niemcy pięćdziesiąt, to, czego obecna Polska, w której na dwóch urzędników

⁵³⁷inkorporować (z łac.; daw.) — wcielać, uosabiać. [przypis edytorski]

⁵³⁸Jerzy V (1865–1936) — król Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii (od 1927 Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej) i cesarz Indii. [przypis edytorski]

⁵³⁹Edward VII (1841–1910) — król Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii i dominiów brytyjskich oraz cesarz Indii, syn królowej Wiktorii. [przypis edytorski]

⁵⁴⁰Wilhelma II (1859–1941) — ostatni niemiecki cesarz i król Prus, przedstawiciel dynastii Hohenzollernów. [przypis edytorski]

⁵⁴¹Karol II Hohenzollern-Sigmaringen (1893–1953) — król Rumunii (1930–1940). [przypis edytorski]

przypada jeden robotnik fabryczny, dotąd nie przeżyła. I tu działalność Alfonsa XIII była jeszcze bardziej szkodliwa. Nie dlatego, by się bogacił: są to śmieszne zarzuty, bo nawet nie wiedzieć jakie bogacenie się osobiste króla nie oznaczałoby jeszcze ruiny kraju. Dlatego, że raz jeszcze stosował politykę personalną. Powiedzieć, że był królem głęboko feudalnym, byłby to frazes. Ale powiedzieć: był królem feudalnym, bo był człowiekiem nie — *prawa*, jednego i tego samego dla wszystkich obywateli prawa demokratycznego, równych szans, równych możliwości, bo był człowiekiem *przywileju*, uprawnienia jednostkowego, faworyzującego kogoś spośród całej reszty, całego ogółu, to już nie będzie frazesem. A oto sens feudalizmu.

Alfons XIII kierował uprzemysłowieniem Hiszpanii, i kierował nim feudalną zasadą przywileju.

Nie należy sobie nawet wyobrażać, że za udzielenie komuś wyłącznego przywileju na wywóz perkalików do Maroka, Alfons XIII brał wprost czy pośrednio łapówkę. Raczej nie. Trzeba docenić żądzę władzy tego człowieka, żądzę wyzywającą się tu właśnie, w udzielaniu czy odmawianiu, niszczeniu fortun czy wynoszeniu ich, tak jak dawni królowie stracali głowy grandom lub z dworzan czynili magnatów. Zaspokajanie tej żądzę było dominujące u tego człowieka, który świetnie prowadząc najtrudniejsze hispano-suzy i lekko biorąc najtrudniejsze wirażę autostrad, był przecież człowiekiem zaprzyszłych wieków. Ono rozstrzygało o tej polityce.

Rozstrzygało fatalnie.

Podstawy kalkulacji finansowej, niezbędnej dla powstania i istnienia jakiegokolwiek przedsiębiorstwa, zachwiane zostały tym, że w każdej chwili mógł tu wkroczyć czynnik zupełnie nieobliczalny — królewskiego, państwowego zarządzenia. Kalkulacja musiała go brać pod uwagę, a wtedy, chcąc nie chcąc, kalkulacją być przestawała. Stawała się spekulacją. Na monopol, na przywilej handlowy, na wyłączność. Przemysł, który na tej drodze powstawał, był sztuczny. Opierał się nie na warunkach jednolitych i naturalnych, ale wyjątkowych, stworzonych sztucznie. Bogacił się nie przemysłowiec przychodzący do przedsiębiorstwa z solidnym kapitałem, prawdziwą inwestycją. Bogacił się kanciarz, nie jeszcze wczoraj prócz królewskiej czy rządowej łaski niemający, operujący swymi „stosunkami” zamiast kapitału, przywilejem personalnym zamiast inwestycji. Jeżeli jeszcze chodziło o wielki kapitał zagraniczny, to ten zawsze mógł wyrzucić presję, żeby jego prawa respektowano. Ale za kapitałem krajowym nie stała ani Wielka Brytania, ani Stany Zjednoczone. A niestety, nie stało i prawo.

Alfons XIII nie etatyzował. Monarchia nie montowała tartaków, które by konkurowały sztucznie z tartakami prywatnych przedsiębiorców, nie parała się wyrobem soków owocowych. To prawda. Ale w dziedzinie przywileju była bliźniaczo naszym stosunkom podobna. Komu pozwolono na otwarcie fabryki drożdży, stawał się z dnia na dzień milionerem. Komu dano przywilej łuszczenia ryżu, stawał się, nie z mocy swej pracy, nie z mocy swego kapitału, ale z mocy swych stosunków takim samym milionerem jak gdyńscy bracia Mazur⁵⁴². Ale w ten sposób nie rosło uprzemysłowienie kraju. Rosło zachwaszczenie personaliami, przywilegacją, stosunkami ze średniowiecza, z czasów myt, jurydyk⁵⁴³, egzempcji⁵⁴⁴, wyjątków, getta. Najgorszy rodzaj kapitalizmu i najgorszy rodzaj uprzemysławiania kraju: uprzemysłowienie pozorne, kapitalizm spekulacji. Republika otrzymała w spadku sześć lat kolejnych krachów finansowych owej sztuczności, zakończonych rokiem siódmym: wojny domowej. Hiszpania Alfonsa XIII była feudalna aż po najbardziej nowoczesne drapacze nieba, fabryki i instalacje. Wszystko to trwało i powstawało na tej samej zasadzie prawnej co świat średniowieczny: przywileju, udzielanego przez władzę jednostce. Treść przywileju, tytułatura władzy, to mniejsza. Fakt faworyzowania, wyłączności, jest tu istotą. I w ten sposób Hiszpania nawet unowocześniana unowocześnioną nie była. Stworzyła światu dziwoląg feudalizmu przedłużonego

⁵⁴² *gdyńscy bracia Mazur* — warszawska rodzina międzywojennych bogaczy; stali się milionerami dzięki przyznaniu przez rząd monopolowi na łuszczenie ryżu w zbudowanej przez nich wielkiej łuszcarni w Gdyni. [przypis edytorski]

⁵⁴³ *jurydyka* (z łac.) — teren na obszarze miasta lub w sąsiedztwie miasta wyjęty spod władzy miejskiej i niepodlegający miejskiemu sądownictwu. [przypis edytorski]

⁵⁴⁴ *egzempcja* (z łac.) — przywilej uwalniający od obowiązku nakazanego prawem. [przypis edytorski]

na epokę traktorów i pasów transmisyjnych. — Dziwoląg, który w całej reszcie Europy jeszcze tylko w jednym jedynym kraju zauważyć można.

DROGA DO BILBAO

Opuszczam Madryt w sobotę, 12 stycznia, popołudniu. Przedwczoraj atak powstańców zajął szereg wsi po lewej stronie szosy do Escorialu (*carretera de Coruna*), wczoraj wyjechaliśmy raz jeszcze samochodem na front. Trzeba było bardzo daleko okrążyć, żeby dojechać do Escorialu. U stóp szarej Guadarramy padał mokry śnieg, przed monasterem Filipa II koczowali żołnierze Mangady, w przedsiódkach klasztoru kopały ogień w mosiężnych *braserach*. Pojechaliśmy drogą powrotną jak zwykle na Rosas, tam gdzie ją wczoraj przecięto. Trzeba było jednak skrócić w bok ku pierwszej naszej drodze na Colmenar Viejo. Sypano gorączkowo okopy. Jutro i pojutrze będą nowe walki o te drogi, o pierwszą, będącą już pod ostrzałem, praktycznie dla rządu przeciętą, o drugą, której przecięcie zadecyduje dopiero o sparaliżowaniu na tej linii komunikacji. To będzie jednak trudne, bo ta druga droga pnie się wysoko, wśród skał i głazów, bronić ją łatwo, zdobyć ciężko. Sukces wczorajszy powstańców niewiele więc jeszcze znaczy.

Z powrotem, za Fuencarralem, jedziemy do obszernej *finca*⁵⁴⁵ *duque'a* del Infantado. O piętnaście kilometrów od Madrytu obszar blisko 10 000 hektarów, z czego 6000 zupełnie nieuprawnych. Sfalowane niewielkie wzgórza jak w Casa del Campo, oliwki i karłowate dęby rosnące w odległości kilkunastu, czasem więcej, metrów od siebie, między tym wysoka, żółkła teraz trawa, rzadkie krzaki, kępy łoży. Podmadrycki krajobraz niezwykle podobny do widoków z filmu *Afryka mówi*⁵⁴⁶. Teren łąwiecki. Do zamku dojeżdżamy, gdy jest już ciemno. Bardzo długo trwają pertraktacje o dopuszczenie nas do wnętrza, wreszcie uzyskujemy pozwolenie. Istotnie, było czego strzec. Jest to niewielka rezydencja, jedna z wielu tego magnata co się zowie, zawiera tylko cztery czy pięć sal umeblowanych rzeczami wartościowymi, ale tych kilka jest godnych widzenia. Najpiękniejsza jest wielka sala rycerska. Opowiedziano nam, że książę, budując pałac, natrafił gdzieś na walący się, opuszczony kościół gotycki z XIII w., że go kamień po kamieniu rozebrał i na nowo tu złożył, tworząc z jego wnętrza jedną salę nowego pałacu, dostosowując cały plan budowy do rozmiarów zrekonstruowanego kościołka. „Z drzwi do zakrystii zrobił odrzwia do kominka” — mówi po drodze milicjant tutejszy, co nie wydało nam się pomysłem zbyt sympatycznym. A jednak kościół zamieniany w salę rycerską, pełen zbroi, ze swymi świętymi z XIII w., wyciosanymi w kamieniu, ze swym gotykiem surowym, a już łagodnym, zmiękczone wpływami sztuki arabskiej, był cudem prawdziwym, był poza tym cudem jednej z najtrudniejszych rzeczy, jaka istnieje: rekonstrukcji zabytku. Kto pamięta różne pseudozabytki Krakowa, choćby spudłowaną rekonstrukcję Wawelu, ten wie, jak niesłychanie trudną rzeczą jest rekonstrukcja epoki. Ten magnat hiszpański, dwunastokrotny grand, książę, hrabia, markiz, wczuł się w ducha epoki, z której wyrósł, lepiej niż dziesiątki profesorów. Jeden z synów księcia Infantado służy dziś w lotnictwie po stronie rządowej. Nie wiem, czybym zostawił w przyszłości 6000 hektarów urodzajnego ugoru pod samym Madrytem, ale wiem, że bym z *duque'a* del Infantado zrobił wielkiego kustosa wszystkich skarbów sztuki i przeszłości, jakie tylko posiada Hiszpania, powierzył ufnie w jego ręce trudną pieczę nad tym wszystkim, co się dziś nazywa *patrimonio del pueblo*.

Do Madrytu wróciliśmy o zupełnym zmroku; samochód, wjeżdżając na Gran Via, pod gmach Telefoniki, zazgrzytał na całych zwalach cegły, szkła i tynku. Znowu bombardowano Madryt, a tak było cicho tego dnia na froncie! W gmach telefonów padło siedem pocisków armatnich. W pokoje cenzury i *home*⁵⁴⁷ dziennikarski nie padł co prawda żaden, ale cenzorzy potracili zupełnie głowy. Miałem mieć samochód do Walencji na jutro. Nic nie wiedzą. Odsyłają do jakiegoś garażu. Nie ma. Idę do trzeciego. Trzeci jest już na przedmieściach, mówię z ludźmi i po raz pierwszy od bardzo wielu tygodni, od pierwszych dni oblężenia Madrytu, ponownie wyrasta jakiś ferment. „Gdzie były nasze

⁵⁴⁵*finca* (hiszp.) — posiadłość. [przypis edytorski]

⁵⁴⁶*Afryka mówi* (ang. *Africa Speaks!*) — popularny amerykański film dokumentalny Paula L. Hoeflera z 1930 roku, w reż. Waltera Futtera, z premierą polską w 1931. [przypis edytorski]

⁵⁴⁷*home* (ang.) — dom rodzinny; miejsce zamieszkania w znaczeniu ogniska domowego, a nie budynku. [przypis edytorski]

samoloty, gdy tamte nadleciały? Dlaczego nie ma z naszej strony ataku? Dlaczego Madryt musi wszystko znosić?”

Czwartym garażem, do którego idę, jest garaż robotniczy. Mówią mi per „ty”, panuje zupełny spokój. Owszem, wezmą mnie jutro, ale oni ewakuują tylko do Albacete. Z Albacete muszę się sam postarać dalej. Nazajutrz rano udaję się do adiutantury gen. Miaja. Mieści się ona w wielkim gmachu na ulicy Alcala, koło zbombardowanej dokładnie dzielnicy. Nowa centrala wojskowa ulokowała się w gmaszysku o cyklopicznej granitowej budowie. Jest to dawny urząd ceł Karola III. Podziemia są jak sklepienia fortec czy klasztorów, pokoje podziemne wysłano dywanami, opatrzone w telefony i światło. Tu żadna bomba się nie dostanie. W adiutanturze urzęduje oficer zupełnie *ancien régime*. Wynajduje mi inny samochód. O drugiej, za dwie godziny, odchodzi sztafeta ministerstwa X. Dadzą mi miejsce w tym samochodzie. Sztafeta dziś wieczorem będzie w połowie drogi do Walencji, nazajutrz nowa sztafeta zabierze mnie stamtąd do prowizorycznej stolicy rządu. Oficer notuje zezwolenie na mojej przepustce.

Ministerstwo X jest nieco na uboczu. Miało piękny fronton ozdobiony kolumnadą sześciu kolumn doryckich, grupami po dwie kolumny. Teraz fronton trzyma się na czterech, dwie pozostałe zwałił celny wystrzał armatni z baterii pod Cerro de los Angeles. Istotnie, jest samochód. Podwożą mnie innym samochodem, żeby zabrać moje rzeczy. Idę jeszcze na mój ostatni, za obecnym pobytym w Madrycie, kartkowy chudy obiad. W stiukowej⁵⁴⁸ sali hotelu „Roma” rzędami siedzą milicjanci. Dziś znowu obiad bezmięsny. Zupa chlebowa i trochę soczewicy. Niespełna po godzinie jestem już w samochodzie, wtulony między własny bagaż a grubego jegomościa, który także korzysta ze sztafety. Samochód wyjeżdża przed dziedziniec, jakieś samoloty — trudno dostrzec jakie — latają nad miastem. Gdzieś za Rosales, dzielnicą wtuloną w Casa del Campo i Miasto Uniwersyteckie, huczą raz jeszcze armaty. Samochód wjeżdża w ciasne, brudne ulice przedmieścia Vallecas i naraz zaczynam się cieszyć, że już opuszczam ten Madryt, przyfrontowy, ponury, bezmienny, straszny tylko zupełną przypadkowością swego niebezpieczeństwa, powolnym nastawianiem swego głodu. Samochód wypada na pola zorane, czerwone i płowe, biegnie doskonałą szosą, mija błękitne tablice z napisem „A Valencia”.

Mój towarzysz widocznie cieszy się również, ale nie tylko cieszy, bo i irytuje zarazem. Dlaczego dopuszczono, żeby nieprzyjaciel podszedł tak blisko? Trzeba było go zatrzymać na linii Getafe. Wczoraj, gdy nadleciały samoloty nieprzyjacielskie, nie było żadnego rządowego! Gdzie się one podziewają? Co prawda, te samoloty rosyjskie tyleż są warte, co rosyjskie samochody ciężarowe... „Co warte są ich samochody ciężarowe, te zielone, duże, pan wie? Pan, zagraniczny dziennikarz?” Typ zaczyna mnie irytować. Więc nie, nie wiem. Sądzę, że dużo. Komunikacja z Walencją, dowóz żywności, amunicji, odbywa się przecież tymi samochodami. Właśnie mijamy całą ich karawanę. Olbrzymie rosyjskie „gruzowiki” wałą wspaniale szosą madrycką. Huk napęlnia powietrze, mój towarzysz przestaje mówić.

Ale przestaje tylko na chwilę, już nachyla się nade mną i tłumaczy. Przede wszystkim samochody tego typu są na drogi miękkie, rozmokłe, rosyjskie, przeciwieństwo asfaltowych autostrad Hiszpanii. To mniejsza. Ale wie pan, wiele te wspaniałe ciężarówki sowieckie pochłaniają benzyny? 50 litrów na 100 kilometrów! „A pan wie, co to znaczy?”

Przez chwilę bardziej rozumiem tego pana. Tak, to dużo znaczy 50 litrów na 100 kilometrów, gdy Madryt jest od Walencji o blisko 500, gdy brak benzyny daje się odczuwać, gdy cała ta wojna, z jej tankami, samolotami, trójmotorowcami, pochłania masy benzyny. Te wielkie samochody budowano na rozmach, na pokaz, na imponowanie. Niestety, nie budowano ich na oszczędność. Ale mój sąsiad, przekonawszy mnie na tym polu, przechodzi do innych spraw. Czy wiem, że za każdy nabój zapłacono w Rosji bardzo słono? Złotkiem, gotóweczką? „Si, señor, si”⁵⁴⁹.

Wszystko, co mówi mój towarzysz, mieści się jeszcze na razie w ramach obiektywizmu, ale już poznać, że mówi to człowiek, którego wszystkie sympatie są po tamtej stronie. Mijamy dziesiątki samochodów rozbitych, porzuconych w rowie — on zaraz odtwarza nieład i zniszczenie, które było skutkiem pierwszych dni i miesięcy „swobo-

⁵⁴⁸stiuk — materiał zdobniczy z masy gipsowo-wapiennej zmieszanej z drobnym piaskiem lub ze sproszkowanym marmurem, używany do tworzenia dekoracji architektonicznych (sztukaterii); także: ozdoby ścian wykonane z tego materiału. [przypis edytorski]

⁵⁴⁹Si, señor, si (hiszp.) — Tak, proszę pana, tak. [przypis edytorski]

dy”. Lecimy doskonałymi szosami, te szosy dała dyktatura, powiada. Potem zwraca się do szoferów i pyta, ile płacą w Madrycie ich rodziny za żywność. I znowu okazuje się, że wszystko kosztuje pięciokrotnie, czterokrotnie drożej niż przedtem. Jakże to, dziwi się obłudnie mój towarzysz, przecież dawniej przewóz towarów był w ręku prywatnym, gdy dziś jest monopolem państwowym? Jakże to, skoro państwo wyklucza przecież nadmierny zysk? Dlaczego niczego nie ma i wszystko jest drogie? Szoferzy nie wiedzą, jak to wytłumaczyć, ale propaganda natrafia tutaj na grunt bardzo podatny. „Mam już po uszy tego socjalizmu i nacjonalizowania” — pada znad kierownicy. Pan przy mnie trzepoce krótką, tłustawą ręką. O, wszyscy, bardzo, bardzo wielu ma już dosyć. — Któż jest ten pan przy mnie, który jedzie ministerialnym samochodem i niewątpliwie uprawia swoją robotę? Iluż ich jest takich, których słowa zawsze trzymają się pewnej miary, a mimo to nieuchwytnie wyzyskują błędy, podkopują zaufanie.

Zapada noc, orientujemy się po skłonie drogi, że zjeżdżamy dokąś. W dwóch rzędach nikłych światełek widnieje uliczka niewielkiego puebla, Motilla. Jesteśmy jeszcze w pełnej Manchy. Rozprostowujemy nogi po niewygodnym stłoczeniu między walizkami, składamy rzeczy w komendzie postojów, idziemy do gospody. Jest to niewielka, grodzona murem *posada* — tym słowem o polskim brzmieniu określa się tutejsze oberże — niczym owa pamiętająca Don Kichota, w której spędziłem noc w niejakim Toboso... Jest wielka rzecz: można jeść. Nad ogniskiem kapie rumieniący się tłuszcz z polci młodego barana, pachnie atmosferą imć pana Reja i *sieur*⁵⁵⁰ Rabelais⁵⁵¹. Przypętuje się naraz jakiś intelektualista. Jutro i on ma jechać z nami. Ten znowuż od razu jest na „ty”, co brzmi dużo mniej przyjemnie niż „tykanie” robociarza ze służby ewakuacyjnej, tego, co chciał mnie dostawić do Albacete. Intelektualista jest biologiem, był cztery lata w Indiach i wygłasza o nich głupie komunały. Jest tu przy Instytucie Transfuzji Krwi, założonym przez kanadyjską *Socorro Rojo*. Tłumaczy mi cele Międzynarodowej Pomocy Czerwonej, owej organizacji, która robi tu niewątpliwie dużo dobrego dla rannych, ale też niewątpliwie jest próbą zacieśnienia miłosierdzia do granic klasowości. Mówię mu coś na ten temat, przeciwstawiam bezklasowy i ponadnarodowy Czerwony Krzyż. Intelektualista — tak sam się przedstawił: *estoy intelectual* — zapewnia gorąco, że *Socorro Rojo* jest apolityczne: przecież, mówi, nie czyni różnicy między anarchistami i socjalistami, komunistami ortodoksyjnymi i nawet trockistami. A zatem nawet ranny w boju trockista może być w drodze wyjątku — pewne to nie jest — opatrzony przez *Socorro Rojo*...

Płonie wielki ogień na kominie, a my z Madrytu nie jemy, ale żjemy łapczywie. Ładna służąca manczegska śmieje się, my jemy dalej. Czy w Madrycie był głód? Głód i nie. Ale przez dwa miesiące coraz bardziej rzędły porcje mięsa, aż znikły zupełnie, nie było tłuszczu, brakowało cukru, coraz rzadszy stawał się chleb. Inni dziennikarze zagraniczni korzystali bądź z obfitych zapasów swych poselstw, bądź, jako partyjni, z komunistycznej gościny towarzyszy. Moje kartki obiadowe otrzymałem dopiero niedawno. Nie byłem dosłownie głodny, ale w pokarmie brakowało wszystkiego, co pożywne. Odsuwam talerz, czuję się nieprzyjemnie ociężały, i naraz robi mi się wstyd. Wstyd nie tego, że opuściłem Madryt, ten Zbaraż⁵⁵² Hiszpanii — pojadę do osaczonego Bilbao, na północ, samolotem — wstyd, że się tak z tego cieszę. Zwlekamy się ociężałe po schodach, na górę, do swych pokojów. Pokoje są małe i brudne jak w żydowskim zajeździe dawnego Wołynia. Na dziedzińcu oberży mijamy samochód, który zwraca naszą uwagę, którego nie było przed chwilą. Jest to czarna limuzyna, silna, krótka, bez żadnych rewolucyjnych godeł. Tylko na szybie okna błyszczą czerwony napis, drobny, ale wyraźny: „*Embajada Sovietica*”⁵⁵³. Znowu myślę o Madrycie i znowu jest mi przykro.

*

⁵⁵⁰*sieur* (daw. fr.) — pan. [przypis edytorski]

⁵⁵¹*Rabelais, François* (ok. 1484–1553) — francuski pisarz, lekarz, były zakonnik; autor arcydzieła francuskiego renesansu, powieści *Gargantua i Pantagruel*. [przypis edytorski]

⁵⁵²*Zbaraż* — miasto w zach. części Ukrainy, ok. 20 km na płn. wschód od Tarnopola; w 1649, podczas powstania Chmielnickiego, miała miejsce słynna obrona Zbaraża: 14-tysięczny oddział polski bronił się przez 43 dni przed naporem liczącej 100–200 tys. żołnierzy armii kozacko-tatarskiej. [przypis edytorski]

⁵⁵³*Embajada Sovietica* (hiszp.) — Ambasada Radziecka. [przypis edytorski]

Rano wczes trzeba wyruszyć. Na rynku Motilli stoją te same rosyjskie „gruzowiki”, które wznęcały wczoraj zainteresowanie mych towarzyszy drogi. Kontroluję z szoferami tamte informacje. Zgadza się. Tych 50 litrów na godzinę to koszt, który może zaciążyć na szali wojny. Szoferzy krytykują samochody i z innych powodów, które przy mojej dorywczej znajomości hiszpańskiego nie pozwalają uchwycić dokładnie sensu owych technicznych braków. Odczuwa się u tych ludzi jeszcze coś więcej. Jakiś zawód, jakby rozżalenie, zniechęcenie. Niepytani, zaczynają wychwalać ciężarówki niemieckie. To, to maszyna. Nie wiem czemu, ale myślę, że żołnierze na froncie madryckim tak by nie mówili. I nie wiem czemu, opuszczam Motillę jakby przybity i witam się bardzo niechętnie ze swym wczorajszym towarzyszem drogi. Zmieniliśmy samochód, powoli zmieniamy i krajobraz. Rozległe pola spadają w głęboki kanion jakiejś rzeki, której przeciwległy brzeg fortyfikuje właśnie kilkuset chłopów. Jeżeli Madryt padnie... Ale potem zaczyna się droga przez dolinę walencjańską, *huertę* pełną gajów pomarańczowych i winnic. Małe pola, jak strzępy i szmatki, wszystkie grodzone kamieniami. Mury kamienia polnego niwelują teren w stopnie i tarasy, podwyższyły go w jednym miejscu, obniżyły w innym. Jest to kraj średniej, niewielkiej, ale samowystarczalnej własności, kraj zamożnego walencjańskiego chłopca.

Wszczyła się spór o przyszłość tego kraju. Będzie czy nie będzie kolektywizowany? Dziwnym trafem intelektualista, wtłoczony między mnie a mego wczorajszego towarzysza, i ten właśnie towarzysz, ów od krytyki samochodów sowieckich, tworzą wspólny front, że będzie, ja zaś z szoferem i milicjantem jesteśmy innego zdania. Że nie powinien być kolektywizowany. Zajeżdżamy do miasteczka. Jest niedziela rano, i w małym *café* siedzą chłopci. Dyskusja przenosi się z samochodu do nich. Nie, oni nie są za kolektywizacją, raczej nie, tu nie będzie kolektywizacji. Mają być przecież kolektywizowane latyfundia i ziemie źle gospodarowane, a czyż tutaj źle gospodarują? Co najwyżej grunta tych, co nie głosowali za Frontem Ludowym, odbierze się ich rodzinom i odda bohaterom rewolucji...

Intelektualista z *Socorro Rojo* zapewnia, że kolektywizm będzie powszechny. Wczorajszy mój towarzysz jest przepojony kaznodziejstwem. Tak, niezawodnie będziecie skolektywizowani — tłumaczy chłopom. „Musicie być”, „wszystko wam zrobimy”, „będziecie”. Nad kubkami kawy w małym *café* zaczyna robić się milcząco. Jakby ponuro, nawet groźno. Tylko mój wczorajszy towarzysz gramoli się z powrotem do samochodu z jakąś cichą, wyraźną radością...

Droga jest coraz bardziej pełna samochodów, małe pola coraz piękniej uprawne, jak ogrody, jak w Niemczech. Wieje zimny wiatr — bliskość morza, jaśniej wielką plamą Walencja. Samochód wylądowuje mnie przed pałacem, na którym czerwienieje świeżą farbą szyld ministerstwa. O kilkanaście kroków stąd w innym pałacu o chłodnych salach — ministerstwo spraw zagranicznych. Moi polscy znajomi z cenzury czekają mnie od paru dni, witamy się jak starzy przyjaciele, idziemy do hotelu szukać pokoju — jest o to trudno — schodzimy pogadać w jakiejś kawiarni. Można tu wszystkiego dostać. Słońce i pogoda. Na placu gra muzyka, faluje tłum. Znowu radość, wielka radość, że się nie jest w Madrycie. I znowu ten sam co już wczoraj wieczorem, dziwny wstyd tej naturalnej — czemuż więc tak zawstydzającej? — radości.

Dwa dni czekania na listy polecające, papiery, formalności, szwendania się po mieście, w którym wszyscy jakby się szwendają, odchodzenia od rewolucji, wojny, nocnych strzelanin, Madrytu. Jakaś *Kapua*⁵⁵⁴ rewolucji, beztraska, obżerająca się, niezdrowa. Ten komandor ze złotymi szlifami na granatowym rękawie munduru to dowódca eskadry samolotów bombardujących, Malraux. Ten pan w karakułowym kołnierzu, dziwnie brudny i zatłuszczony — Erenburg. Wystawy sklepowe aż pęcznią masłem, rybami, cukrem, czekoladą, mlekiem, ale wszyscy wiemy, że wieczorem bywa trudno o chleb, że wszystko drożeje, że są już ogonki. Ta świadomość przyspiesza niemal i podwaja radość życia. Wszyscy się cieszą. Wielki plakat na plaza de Espana przypomina, że nieprzyjaciel jest w Terruel, o 150 km od Walencji. Żaden plakat rewolucyjny nie zatrzymywał przy sobie mniej ludzi niż ten właśnie. Rewolucja powinna się modlić, żeby w to miasto uderzył

⁵⁵⁴*Kapua* — miasto na Płw. Apenińskim; w staroż. słynące z bogactwa, luksusu i wygod, które miały doprowadzić zimujące tam po bitwie pod Kannami (216 p.n.e.) oddziały Hannibala do osłabienia ducha bojowego. [przypis edytorski]

choć jeden pocisk armatni, choć jedna bomba lotnicza, żeby ci ludzie stali się podobniejsi do tamtych z Madrytu. Ale niebo południa jest jasne i ciche. Rozpogadza, rozleniwia, rozślaca.

*

Pociąg do Barcelony odchodzi z czterogodzinnym opóźnieniem, w drodze dorabia do tych czterech trzy dalsze. Na życzenie baskijskiego ministra w gabinecie Largo Caballero otrzymam tutaj listy do rządu Euskadi, tego państewka Basków, rządzonego przez katolików, nacjonalistów i konserwatystów, które opowiedziało się po stronie Madrytu. Barcelona jest zupełnie inna niż tamta z dni wrześniowych. Nie ma ludzi z karabinami na ulicach, mniej plakatów, normalniej. Wyższe ceny żywności i mniej jej w sklepach. Kursują nowe taksówki, pomalowane w barwy anarchistyczne, czerwono-czarne, będące teraz przedsiębiorstwem związku narodowego CNT. Prawie cały przemysł prócz zagranicznego i zupełnie drobnego jest wywłaszczony i pozostaje w zarządzie syndykatów. Madryt był wojenny, Walencja beztraska. W Barcelonie rewolucja zaczyna się organizować, żyć. W inny sposób, ale i tutaj także mało myślą o tym, co dzieje się *tam*. Z roku 1918 chcieliby zaraz skoczyć w drugi rok *piatiletki*.

I nawet nie wiem, czy mimo wszystko, wbrew wojnie, Pirenejom i sześciu tysiącom kilometrów, nie znaleźli się już tymczasem w *régime'ie piatiletki*. Są jeszcze sztandary anarchistyczne i pozdrowienie anarchistyczne — salut dwóch rąk złożonych w uścisku i wyciągniętych nad głowę, najdziwniejsze chyba z rewolucyjnych pozdrowień — widać się jeszcze czapki frygijskie⁵⁵⁵ u robotników, kurtki szoferskie czekistów Dzierżyńskiego⁵⁵⁶, ale wieje nad tym wszystkim, tu w Barcelonie, po raz pierwszy powiew dalszych etapów rewolucji, „w dwadzieścia lat później”. Na wielkim plakacie ulicznym postępują obok siebie dwaj ludzie — prezydent Katalonii Companys⁵⁵⁷ i konsul sowiecki Owsiejenko. Jest i inny plakat: autograf Owsiejenki. Trzeci: kursów rosyjskiego pod protektorem Owsiejenki. Lokal młodzieży trockistowskiej rozgromiono, z Madrytu dochodzi wiadomość o zawieszeniu organu anarchistów. 7, 8, 9, listopada to oni właśnie, surowi ludzie w czerwono-czarnych czapkach, osadzili pochód na Madryt. Ale odtąd przyszło wiele tanków, wiele samolotów, wiele amunicji i techników. Przyszły wielkie ciężarowe samochody, o których z niechęcią mówiono w Motilli. Trzeba było za to wszystko zapłacić, i zapłacić nie tylko pesetą złotą w złocie. Tanki i samoloty, karabiny maszynowe i armaty zanim zetną się z faszyzmem, druzgocą po drodze coś innego jeszcze. Anarchistycznego konkurenta, socjalistycznego odstępce, trockistowskiego zdrajcę. To nie tylko zapasy doskonałego masła i mniej doskonałych konserw alimentują⁵⁵⁸ Lewant⁵⁵⁹ hiszpański. To jeszcze cały bagaż myślowy, pojęcie socjalzdrajcy, herezji i „ukłonu”, czystki partyjnej i generalnej linii, załadowano w portach Odessy i Leningradu. To stare porachunki tamtej rewolucji, w zamian za tanki, w zamian za techników, w zamian za samochody i za masło, zaczynają regulować stalowym uściskiem sprawę rewolucji hiszpańskiej.

W witrynie jakaś twarz znajoma, człowieka, którego nigdy nie widziałem za życia. Teraz już nie żyje. Zapominam, jak się nazywał niedyś. Od lipca ubiegłego roku znany

⁵⁵⁵*frygijska czapka* — stożkowe nakrycie głowy, ściśle ją opasujące, z opadającym do przodu czubkiem; dla staroż. Greków ten rodzaj czapki był charakterystyczny dla ludów ze wschodu, np. z Frygii w Azji Mniejszej; w staroż. Rzymie takie nakrycie głowy otrzymywał wyzwolenciec, stąd czapka frygijska była symbolem wolności; w okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej czerwona czapka frygijska z trójkolorową kokardą (barwy flagi nowo powstałego państwa), początkowo czapka sankiulotów, nazywana była czapką wolności i stała się symbolem samej rewolucji. [przypis edytorski]

⁵⁵⁶*Dzierżyński, Feliks* (1877–1926) — polski i radziecki rewolucjonista i polityk; współzałożyciel SDKPiL, brał udział w rewolucji 1905 roku w Królestwie Polskim, kilkakrotnie aresztowany przez służby carskie, dwukrotnie zesłany na Syberię; po rewolucji październikowej organizator i kierownik radzieckich służb bezpieczeństwa (Czeka i GPU). [przypis edytorski]

⁵⁵⁷*Companys, Lluís* (1882–1940) — polityk kataloński, przywódca głównego katalońskiego ugrupowania narodowego (Republikańska Lewica Katalonii), kataloński bohater narodowy; od 1933 prezydent władz regionalnych (Generalitat de Catalunya), w 1934 proklamował powstanie państwa katalońskiego w ramach federacji hiszpańskiej; w czasie wojny domowej jako szef rządu Katalonii stanął po stronie rządu republikańskiego; po przegranej wojnie przebywał na emigracji we Francji, wpadł w ręce gestapo, wydany władzom gen. Franco, rozstrzelany w Barcelonie. [przypis edytorski]

⁵⁵⁸*alimentować* (z łac.) — dostarczać środków utrzymania. [przypis edytorski]

⁵⁵⁹*Lewant* — kraje na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego; tu przenośnie. [przypis edytorski]

był pod nowym przezwiskiem: *negusa*⁵⁶⁰ milicji aragońskich. Na tysiącach fotografii prasy paryskiej, londyńskiej, madryckiej uśmiechała się ta twarz zwykłego milicjanta z kolumny Durrutiego, istotnie dziwnie podobna do nieszczęśliwego władcy Etiopii i temu właśnie podobieństwu zawdzięczająca swą popularność. Fotografowano wszędzie *negusa*, a oto *negus* już nie żyje, padł na linii. To nie jest wielka strata, nawet żadna. Takich jak on podniesie się tysiące z zapomnianych puebli i jak on tysiące położy się w płytce grób. Ale ten człowiek-maskota, ludzka Baśka Murmańska⁵⁶¹, przez swój traf podobieństwa bardziej uważany za wcielenie przypadku niż za żywego człowieka, teraz po śmierci uświadamia i uprzytamnia raz jeszcze ogrom strat ludzkich tej wojny. Przypominają mi się odwiedziny co parę dni w formacjach przyfrontowych. Zawsze brakowało, zawsze i szybko ubywało znajomych twarzy. Ostatnim razem zaszedłem znowu w X... do jednej z kompanii. Kwatera była ta sama i lokal ten sam, na drzwiach ten sam napis kredą: „Kompania...”. Wewnątrz poznał mnie tylko jeden, niepoznany przeze mnie, człowiek. Nie byłem w kompanii od sześciu dni. Jeśli wrócę do nich za trzy tygodnie — czy kto mnie w ogóle pozna?!

Jeszcze jedna wiadomość o śmierci, jak *negus* znajomego i obcego. Dziwna rzecz. Padł na froncie najlepszy zastęp anarchistów, padł ich człowiek, który wzięwszy komendę w ręce, ocaliłby Madryt — Durrutti. Po anarchistach partia, która najwspanialszą ekipę ludzką oddała śmierci w boju, to trockiści. Wyklęci z III Międzynarodówki, uczniowie Zinowjewa⁵⁶², prześladowani już i tutaj, dali z siebie najwięcej. Padł Joaquin Maurin⁵⁶³. To ten właśnie, znajomy i obcy. Autor najdziwniejszej książki, jaką czytałem w życiu. Człowiek, który rozwój wypadków przewidział niesłychanie jasno, aż do końca. Marksizm jako doktryna wydaje czasem takie dzieła, logiczne, przemyślane, operujące faktami, zapadające aż w drobiazgi, ale niespuszczające nigdy z oczu głównych linii, właściwych celów. Książka Maurina *Ku drugiej rewolucji* była może najlepsza z tej serii. Pisana w okresie po załamanej rewolucji górników w Asturii, za wspólnych rządów Gil-Roblesa i Lerroux, masona i katolika, w erze represji, zgłębiała przyczyny porażki rewolucji, analizowała błędy socjalistów, komunistów, anarchistów, dawała istotny — o, wcale nie demagogiczny — obraz wadliwej struktury kraju, sumowała konsekwencje klęski gospodarczej i wreszcie konstruowała, aż do szczegółów, cały montaż przyszłej rewolucji. Wszystko było w tej książce odsłonięte, jak maszyna zegarka. Rok i osiem miesięcy temu można było korzystać z jej obliczeń. Maurin dostrzegł i wpoił w swych ludzi przekonanie, że nowa rewolucja się załamie, jeśli się nie oprze na niezwykle szerokiej płaszczyźnie, jeśli nie ogarnie nie tylko marksistów, ale nawet nacjonalistów, nawet katolików, nawet konserwatystów, jeśli nie zrobi miejsca dla demokratów, dla drobnej, średniej burżuazji, nawet dla przemysłu. Ludzie Maurina zrozumieli to dobrze, bo czytali książki, ludzie ze świata Queipo de Llany nie zadali sobie innego trudu niż umowy o dostawę tanków.

Dziś baskijscy katolicy i zachowawcy walczą po stronie czerwonych. Jadę do dziwnego kraju Euskadi, z jego najlepszym duchowieństwem w Hiszpanii, tradycjami i świętym

Revolucja

⁵⁶⁰*negus* — historyczny tytuł władców etiopskich, tu: cesarza Etiopii Haile Selassie (1892–1975), rządzącego państwem podczas drugiej wojny włosko-abisyńskiej (1935–1936): 3 października 1935 do Etiopii wtargnęły wojska faszystowskich Włoch. Armia etiopska, mimo zaciętego oporu, uległa przewadze wojsk włoskich, wyposażonych w samoloty, czołgi, artylerię, wielokrotnie używających gazów bojowych. Podbitą Etiopię 9 maja 1936 włączono do Włoskiej Afryki Wschodniej. Cesarz Haile Selassie po klęsce udał się na emigrację do Wielkiej Brytanii. Etiopczycy rozpoczęli wojnę partyzancką, która trwała do 1941, gdy kraj został wyzwolony przez wojska brytyjskie i etiopskich partyzantów. [przypis edytorski]

⁵⁶¹*Baśka Murmańska* — niedźwiedzica polarna przygarnięta i przyjęta na stan do polskiego batalionu Murmańczyków, walczącego w 1919 przeciwko bolszewikom w rejonie Murmańska na północy Rosji. [przypis edytorski]

⁵⁶²*Zinowjew, Grigorij Jewsejewicz*, pierwotnie *Hirsz Apfelbaum* a. *Hirsz Radomyłski* (1883–1936) — rosyjski rewolucjonista i polityk; należał do kierownictwa partii bolszewickiej; pierwszy przewodniczący Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej; sądzony w pokazowym pierwszym procesie moskiewskim (19–24 sierpnia 1936) za udział w rzekomym spisku przeciwko przywódcom partii bolszewickiej, stracony. [przypis edytorski]

⁵⁶³*Maurin, Joaquín* (1896–1973) — hiszpański dziennikarz, polityk komunistyczny i rewolucyjny; przywódca Partii Robotniczej i Chłopskiej oraz Partii Robotniczej Zjednoczenia Marksistowskiego, aktywny głównie w Katalonii; we wrześniu 1936 aresztowany podczas próby przedostania się z frankistowskiej Galicji do strefy republikańskiej; jego tożsamość odkryto dopiero po roku; oszczędzony dzięki interwencji wysokiego rangą krewnego w wojsku Franco, po 9 latach w więzieniu wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

dębem sądów królewskich, ze wspaniałą heraldyką pieczęci na *salvoconducie*⁵⁶⁴, z wpisany weń uroczyście „de”. To „de” dano mi na oko, nie pytając, z własnej inicjatywy. Przy polskim nazwisku wygląda oczywiście dość głupio. „Cóż pan chce, oni tam w Bilbao to lubią i bardzo na to zważają!” — odpowiedziano mi w ministerstwie Alvareza del Vayo. Otóż nawet tych szlachciców i tradycjonalistów potrafilo postawić w okopach przeciw sobie tępi wodzowie prawicy. Dziś tej ślepoty nie zatrze największe bohaterstwo karlistów czy kadetów, a nie wiemy, czy jej skutki naprawi siła. Kiedyś, jeszcze bardzo niedawno temu, wystarczyło na to tak, zdaje się, niewiele. Trzeba było trochę patrzeć, nieco rozumieć, a także — choćby czasami — czytać.

W walizce z książkami mam jeszcze tę świeżą książkę Maurina z jej przedziwnie jasnym wykładem i logiczną argumentacją. Myślę o tym, że mózg tego człowieka musiał być jak wnętrze zegarka, dokładny, niezawodny, mądry, myślę, jak to było, gdy taka zwyczajna sobie i głupia kula z mitraliezy wżarła się w te zwoje i tryby, myślę, jak to być mogło, gdy rozluźnił się uchwyt dłoni u zamka karabinu, a mętność mgława stanęła między oczami i światem. I myślę o tym prostym cudzie, że pomimo tej kuli przypadkowej, zwykłego hebla rewolucyjnej walki, nie przestał żyć i funkcjonować tok myśli wyciśnionych czcionkami tej książki, podobnie jak nie przestały się posuwać wskazówki zegarka wprowadzone w ruch wczoraj przez kogoś, którego dzisiaj już nie ma. Jak przed rokiem, kieruje jeszcze społeczną strategią rewolucji, dowodzi zza grobu.

Rano odchodzi pociąg do granicy. Za dwa tygodnie będę tu z powrotem, ale za dwa tygodnie może już być inaczej, jak teraz jest inaczej, niż było trzy miesiące temu. Od czego zależy los tej wojny? Los wojny nie zależy od obrony Madrytu. Los wojny zależy od tego, czy armia rewolucyjna, czerwona, będzie zdolna wykonać atak flankowy na którymkolwiek innym froncie, aragońskim lub południowym, Guadalajary czy Talavery. Czy wyrzuci na fronty rezerwat tych olbrzymich mas ludzkich, jakie wciąż posiada. Madryt może się bronić: nie może atakować. To nie od Radzimina, ale znad Wieprza wyszła polska kontrofensywa 1920 roku. Tylko że tu jesteśmy świadkami nieufania niczemu i nikomu. Tylko znowu tanki sowieckie strzegą się anarchistów, podcinają grunt trockistom. W wielkim bloku Frontu Ludowego, w zwartej bryle rewolucji ciężki kilof pomocy rosyjskiej zaczyna sobie wyrębywać własną dziedzinę, poszerzać swą bezpośrednią podstawę, rozbudowywać przyszłe władztwo centralnego komitetu wykonawczego, w nim przyszłe dowództwo sekretarza generalnego partii i... I sterujemy z tym zwycięstwem ku nowej kolektywizacji *par force*⁵⁶⁵, ku nowym *piatiletkom* w cztery lata, nowym procesom Ramzina⁵⁶⁶ i Zinowjewa, nowej deifikacji⁵⁶⁷ genialnego wodza, nowemu podziałowi dziejów świata i kultury na okres przedstalinowski i postalinowski. Masy? Tak, masy tego nie widzą. Czy masy wiedzą, co to termidor⁵⁶⁸, żeby mogły w zarysach Kremla odnaleźć nowe dekoracje wiecznie tej samej tragedii konwentu? Czy potrafiłyby w swych mózgach zbliżyć obie epoki, zestawzić je z tym, co się tutaj zaczyna przygotowywać? Nie, masy tego nie widzą. Ale przywódcy widzą to już bardzo dokładnie. Dostawca tanków chce mieć nową rewolucję proletariacką, wyciosaną na obraz i podobieństwo pierwszej. Na obraz i podobieństwo tego, co sam zrobił. *Taką albo żadnej*. Być może, że — dziś jeszcze nie, ale za tydzień, za dwa i za trzy — usłyszysz rzucone mu w odpowiedzi: „*żadną, jeśli taką*”.

Troski pierwszej linii bojowej nie są dziś troskami zaplecza. W Santa Maria de Almeda, w Buitrago przed Somosierrą, w Pozuelo błogosławiony jest każdy tank sowiecki, każdy cekaem. W Barcelonie za te tanki w Pozuelo i za te cekaemy u wylotu Somosierry

Revolucja

⁵⁶⁴*salvoconducto* (hiszp.) — list żelazny, przepustka; dokument wydany przez władze, który umożliwia okazielowi swobodne i bez ryzyka podróżowanie przez określone tereny. [przypis edytorski]

⁵⁶⁵*par force* (fr.) — siłą. [przypis edytorski]

⁵⁶⁶Ramzin, Leonid Konstantinowicz (1887–1948) — rosyjski inżynier, konstruktor kotłów parowych; w 1930 oskarżony o sfabrykowane zbrodnie w ramach pokazowego procesu tzw. Partii Przemysłowej, grupy wybitnych radzieckich ekonomistów i inżynierów, którzy rzekomo zajmowali się dywersją i szpiegostwem; skazany na wyrok śmierci, zastąpiony 10-letnią karą pozbawienia wolności; w lutym 1936 zwolniony z więzienia na mocy amnestii. [przypis edytorski]

⁵⁶⁷deifikacja — ubóstwienie. [przypis edytorski]

⁵⁶⁸termidor — jedenasty miesiąc kalendarza republikańskiego rewolucyjnej Francji; 9 termidora roku II, tj. 27 lipca 1794, w Konwencie Narodowym dokonano przewrotu i obalono dyktaturę jakobinów, Robespierre i jego zwolennicy zostali aresztowani i następnego dnia straceni. [przypis edytorski]

trzeba już płacić. Dzieje się rzecz dziwna. Każde morze i każda cieśnina, wszystkie Kattagaty i Bosfory, granice, góry i tysiące kilometrów, dzielące Hiszpanię od kraju Sowietów, oceniane z pierwszej linii bojowej, były ciężarem i utrudnieniem, były odczuwane jako przeszkoda na drodze rewolucji. Nie wiem, czy tu z daleka od frontu a bliżej zasięgu wpływów nie staje się inaczej. Te morza i cieśniny, te dziesiątki granic i tysiące kilometrów zaczynają stawać się ochroną rewolucji hiszpańskiej. Przestrzeń sprawia, że może ona jeszcze toczyć się własnymi drogami, że mimo wszystko istnieje jeszcze wspólny nurt tej rewolucji, że jeszcze anarchiści nie gniją w izolatoriach, a zwolennicy formuły „socjalizm w całym świecie” nie zostali wytraceni jak zwierzęta. Nie wiadomo zresztą, kto tu widzi dobrze, ludzie z Pozuelo czy ludzie z Barcelony, nie wiadomo, szczęściem czy też nieszczęściem rewolucji hiszpańskiej jest to, że jej protektor jest tak daleko. Być może, że pytanie to można sobie sformułować inaczej: co stanowi o zwycięstwie każdej rewolucji? Oręż, w który ją uzbrojono, czy zapal, którym płonie, tanki czy entuzjazm wybuchu, niczym niezmacone poczucie, że walczy się o przyszłą i niezawodną wolność, czy po prostu spokojna żołnierska pewność, że nie zabraknie amunicji w okopach?

Pani Andrée Viollis⁵⁶⁹ przybyła niedawno do Walencji i napisała tu dla dzienników jakieś zdanie o Napoleonie, „faszycie *avant la lettre*”⁵⁷⁰. Zdanie jest niewątpliwie niemądre. Można oczywiście widzieć w Napoleonie człowieka, który ustawił młynek swojej kariery nad grzmącym potokiem rewolucji, ale niewątpliwie to on, ujarzmiwszy ją, uderzywszy w lewicę i prawicę, w wygnanych księżąt i jakobinizujących generałów, rozniósł jej zasady po szerokim świecie pobjawisk. Ten sam spór może z powodzeniem odżyć dziś o Stalina, bo niewątpliwie armatura rosyjskiego przemysłu wojennego, dzieło *piatiletek*, a więc dzieło Stalina przeciw Trockiemu, wyposaża teraz Hiszpanię i umożliwia jej opór, daje to, czego by nie mogła np. Rosja 1925 roku. Ale jednocześnie z tą pomocą przesuwa się przez Pireneje cień, który zatrważa na przyszłość. Sawinkow⁵⁷¹, bunt marynarzy kronsztackich⁵⁷² i — jeszcze raz powróci to nazwisko — Zinowjew. To wszystko są nazwy bardzo rosyjskie, to prawda, ale któż zaręczy, że kiedyś nie przyjdzie w ich miejsce podstawić nazwisk hiszpańskich? W momencie gdy ważą się losy wojny, gdy chodzi o to, czy rewolucja jest w stanie, jak kilka miesięcy temu, wyrzucić na front olbrzymie masy — a rewolucja *ma* te masy, jedna Katalonia bez żadnej trudności *może* dziś jeszcze rzucić 100 000 żołnierza, i to żołnierza przeszkolonego — takie myśli i obawy na przyszłość mogą wiele zaszkodzić...

Droga wije się szlakiem bombardowanym niedawno, granicę mija się niepostrzeżenie, znikły komitety inwigilacyjne, kontrola odbywa się szybko, uprzejmie, sprawnie. Potem jest mały pociąg francuski, który sunie wolno, przystaje na każdej stacji. Wchodzą jakby oderwani przed chwilą od pracy w winnicach i ogrodach, malutkich, pasemkami tarasów krających góry, wypielegnowanych jeszcze staranniej i pilniej niż tamte pod Walencją. Ludzie pytają o Madryt i mówią o Madrycie. To przecież także katalończycy (francuscy), także robotnicy i chłopci, także głosowali na Front Ludowy. Na tych ludzi czekają w Hiszpanii. Ci ludzie, czy pójdą? Nie, ci ludzie nie pójdą. Ci ludzie zrobią wszystko. Będą wygadywali na rząd Bluma⁵⁷³, że jest małoduszny, będą chwalili innych, że walczą, będą tam delegowali własnych i cudzych bezrobotnych, będą podziwiali ochotników

⁵⁶⁹Viollis, Andrée (1870–1950) — francuska dziennikarka i pisarka, działaczka antyfaszystowska i feministyczna; wyróżniła się w dziennikarstwie informacyjnym i reportażach. [przypis edytorski]

⁵⁷⁰*avant la lettre* (fr.) — przed nazwaniem; zanim dane pojęcie uzyskało nazwę. [przypis edytorski]

⁵⁷¹Sawinkow, Boris Wiktorowicz (1879–1925) — rosyjski pisarz, polityk i rewolucjonista; działacz Partii Socjalistów-Rewolucjonistów (tzw. eserów); w 1917 wiceminister wojny w Rządzie Tymczasowym Rosji, w 1918 utworzył Związek Obrony Ojczyzny i Wolności, który stawiał sobie za cel obalenie bolszewickiej Rady Komisarzy Ludowych; w 1924 zwabiony przez OGPU do ZSRR, aresztowany, osadzony w procesie pokazowym i skazany na karę śmierci, zamienioną na 10 lat więzienia. [przypis edytorski]

⁵⁷²bunt marynarzy kronsztackich (1–17 marca 1921) — jedno z największych powstań antybolszewickich podczas rosyjskiej wojny domowej, w którym wzięło udział ponad 10 tysięcy marynarzy Floty Bałtyckiej oraz garnizonu bazy morskiej w Kronsztadzie, w pobliżu Petersburga; rebelianci wybrali Komitet Rewolucyjny i domagali się szeregu reform, o które walczyli podczas rewolucji październikowej; stłumione przez oddziały bolszewickie. [przypis edytorski]

⁵⁷³Blum, Léon (1872–1950) — francuski polityk socjalistyczny, publicysta i pisarz; premier Francji na czele rządu Frontu Ludowego (1936–1937, 1938), opowiadał się za nieinterwencją wobec wojny domowej w Hiszpanii; w 1940 uwięziony przez rząd Vichy, wydany Niemcom, więziony w obozach koncentracyjnych; głowa państwa jako przewodniczący Tymczasowego Rządu Republiki (1946–1947). [przypis edytorski]

z Perpignan⁵⁷⁴, którzy biją się w Aragonii, złożą się na zabawki dla dzieci hiszpańskich, wezmą udział w meetingu. Ale zapytani konkretnie, zawsze odpowiedzą, że ani sami nie pójdą, ani Francji w to nie wpakują. Zawsze się w takich razach znajdzie tysiąc racji, i wszystkie doskonałe. „A czy Hiszpanie poszli nam na pomoc w roku 1914?”. Czy sami nie robili wtedy interesów z Niemcami, nie zarabiali na wojnie? Czy koniecznie musieli dostarczać materiału do *gräuelpropagandy*⁵⁷⁵ faszystów? Czy sami nie mogą sobie radzić? Ludzie wysiadają potem o dwie, trzy staje dalej. Interesy tych ludzi, *gens du terroir*⁵⁷⁶, nie prowadzą bowiem daleko. Wsiadają na ich miejsce nowi i tacy sami, i ich rozmowy są tak podobne do tamtych, jak podobne są jedne winnice do drugich. Nie, ten kraj i ci ludzie nie przejdą Pirenejów, wy w Hiszpanii na nich nie liczcie.

Jest mrok i wszystko roztapia się w ciemności, ciemność za oknami zamazuje wszystko. O takiej porze w Madrycie poczynają najpierw grzmieć baterie narodowców z Cerro de Los Angeles, potem biorą górę ciężkie działa rządowe z parku Retiro i zaraz zaczyna grzechotać ogień karabinów maszynowych w Casa del Campo, Rosales, Puente de los Franceses. Wielkie miasto przeżywa swe bohaterstwo powszednie. Jakie to się wydaje dziwne i niezrozumiałe, że dziś nie jest jak co dzień. Madryt. Madryt.

ROZMOWA Z DOKTOREM MARANON

Jadąc we wrześniu ubiegłego roku do Hiszpanii, chciałem o tym, co zaszło, mówić z dwoma ludźmi i tylko od nich dwóch oczekiwałem wydania możliwie szerokiej opinii o wypadkach, niezacieśnionej pomniejszych względami, opinii bezstronnej, która by ułatwiła nam zrozumienie głębokiego dramatu tego kraju. Żaden z tych dwóch ludzi nie był politykiem, mężem stanu, ministrem, leaderem partyjnym. Wręcz przeciwnie: trzymali się stale na uboczu od polityki *sensu stricto*⁵⁷⁷, obaj byli przede wszystkim ludźmi wiedzy i jako tacy posiadali rozgłos przerastający znacznie granice Hiszpanii. To, że wielokrotnie uchylali możliwość odegrania w polityce roli aktywnej, która by postawiła ich od razu w najpierwszym rzędzie, nie zmieniło w niczym faktu, że wywierali przez czas bardzo długi niezwykle wprost wpływ na opinię — tak prawicową, jak lewicową — kraju. Opinię tę ci dwaj ludzie — poza tym o bardzo różnych indywidualnościach — na przemian krystalizowali, formułowali, orientowali, oświecali. Dla tego rodzaju zjawiska poza Hiszpanią nie mamy w dzisiejszym świecie analogii. Aby lepiej zrozumieć wyobraźmy sobie, że Skłodowska-Curie, że Tadeusz Zieliński⁵⁷⁸, nie angażując się bezpośrednio w polityce, posiadają jednak olbrzymi wpływ polityczny na opinię naszego kraju. Lub wyobraźmy sobie jeszcze, że tacy ludzie jak Michał Bobrzyński⁵⁷⁹ albo dziś prof. Stanisław Kot⁵⁸⁰ trzymali się z dala od ściślejszej akcji politycznej, osiągnęli jeszcze większy dorobek naukowy, jeszcze większy dorobek naukowy, jeszcze większą z tego tytułu sławę i rozgłos, a jednocześnie posiadają w kraju wpływ polityczny, jaki posiadał Piłsudski. Oto mniej więcej — bo żadne porównanie nie jest zupełnie wierne — sytuacja owych dwóch naukowców hiszpańskich.

Jeden z nich już dziś nie żyje: to Miguel de Unamuno. Z drugim rozmawiam w tej chwili w hotelu paryskim, gdzie się zatrzymał jako wygnaniec. Za kilka dni odpłynie stąd do Ameryki Południowej. Lekarz o światowym rozgłosie, głośny uczony, niezmiernie zasłużony wychowawca, który wyszkolił dla swego zdrowotnie tak zacofanego kraju

⁵⁷⁴Perpignan — miasto w pld. Francji, na wybrzeżu Morza Śródziemnego, ok. 40 km od granicy z Hiszpanią. [przypis edytorski]

⁵⁷⁵gräuelpropaganda (niem.) — propaganda okrucieństwa, rozpowszechnianie informacji o zbrodniach i okrucieństwach popełnianych przez wroga, często celowo zmyślanych lub wyolbrzymianych. [przypis edytorski]

⁵⁷⁶gens du terroir (fr.) — miejscowi ludzie. [przypis edytorski]

⁵⁷⁷sensu stricto (łac.) — w ścisłym znaczeniu. [przypis edytorski]

⁵⁷⁸Zieliński, Tadeusz (1859–1944) — wybitny polski historyk kultury, filolog klasyczny, profesor Uniwersytetu w Petersburgu i Uniwersytetu Warszawskiego, członek kilkunastu krajowych i europejskich instytucji naukowych, uhonorowany doktoratami *honoris causa* przez wiele uczelni krajowych i zagranicznych. [przypis edytorski]

⁵⁷⁹Bobrzyński, Michał (1849–1935) — historyk i polityk polski działający w Galicji, zwolennik lojalnej współpracy z Austrią. [przypis edytorski]

⁵⁸⁰Kot, Stanisław (1885–1975) — polski historyk, działacz ruchu ludowego, polityk; w 1939 minister spraw wewnętrznych emigracyjnego rządu gen. Sikorskiego, ambasador w ZSRR (1941–1942), minister stanu na Bliskim Wschodzie (1942–1943), minister informacji (1943–1944). [przypis edytorski]

całe sztaby lekarzy, chirurgów, pielęgniarzy, podnosząc pracą kilkudziesięciu lat stan sanitarny Hiszpanii, organizator na wielką skalę, intelektualista przerastający swymi zainteresowaniami horyzonty nauki, której się bliżej poświęcił. Znajdujemy się w niewielkim pokoju, którego okna wychodzą na spokojną ulicę, podnoszącą się z wolna ku wzgórzu napoleońskiego Łuku Zwycięstwa, i myślę o takim samym popołudniu, 14 kwietnia 1931 roku, gdy w mieszkaniu madryckim tego samego człowieka wysłannik króla, hr. Romanones, oddawał władzę w ręce Alcali Zamory, w ręce republiki. Dr Maranon — tym tytułem zarówno skromnym, jak godnym zwykle się go określa — zaczyna mówić. Mam przed sobą świadka całego cyklu historycznych wydarzeń i ten świadek odrysowuje nam z wolna ich najgłębsze przyczyny, sonduje winy, ukazuje konsekwencje. I gdy tak mówi, czasem z widoczną zgrozą, czasem z żalem i goryczą, pełną patriotyzmu i starego liberalizmu zarazem, wydaje mi się, że mówi i widzi te sprawy właśnie jak człowiek swego zawodu, jak lekarz, jak medyk, że jest to zawsze uczony, który nachyla się nad ciałem — tym razem tym ciałem jest całe społeczeństwo — ciałem zatrutym, chorym i cierpiącym.

*

— Przede wszystkim, czy może mi pan powiedzieć, dlaczego, w mniemaniu pana, przyszła w Hiszpanii republika? Nim przejdziemy do obecnych wydarzeń, co spowodowało tamte, w roku 1931?

— Chce pan wiedzieć, dlaczego przyszła republika? — odpowiada dr Maranon. — Przyszła, bo monarchia była już trupem. Monarchia hiszpańska, która w ciągu wieków dokonała olbrzymiego dzieła, znajdowała się od dawna w upadku. Jeśli w pewnym okresie czasu zgodziła się pójść za przykładem tych współczesnych monarchii, które umiały się dostosować do współczesnych warunków życia i które w tym dostosowaniu się odnalazły nowe racje bytu, czyniła to opóźniona i nader powoli. Upadku monarchii dokończyło nadejście innego wydarzenia: dyktatury. Jeśli monarchia była chora, dyktatura zadała jej śmierć. Podczas całego okresu swego trwania dyktatura wysilała się — nie bez wyraźnej przychylności sił skrajnych z lewicy i prawicy — nad doszczętnym zniszczeniem dwóch wielkich partii politycznych w Hiszpanii: liberałów i konserwatystów. Te dwa wielkie stronnictwa zmontowano w okresie restauracji Alfonsa XII, ugruntowania się monarchii konstytucyjnej. Podczas następnych kilku dziesiątków lat, w okresie trudnym i zmąconym niejednymi wydarzeniami, dokonały one pracy, niedostatecznej być może, ale w każdym razie niemałej: wyprowadziły kraj z wojen domowych karlistów, z epoki *pronunciamentów* wojskowych i anarchistycznych. Staraly się unowocześnić Hiszpanię, kraj opóźniony w rozwoju o całe wieki. Jeśli tego ostatniego dzieła nie zdołały w pełni dokonać, to może dlatego, że podobna praca wymagała więcej czasu i potrzebowała ludzi o zupełnie wyjątkowych zdolnościach. Otóż te dwie partie, na nasze największe nieszczęście, w okresie przed powstaniem dyktatury Primo de Rivery znajdowały się również w stadium dekadencji: zamiast wzmocnienia ich jednak i przywrócenia wartości, zastąpiono je dyktaturą wojskową, ta zaś pośpieszyła wyniszczyć do ostatka to, co pozostało w Hiszpanii z liberałów i konserwatystów, dwóch ugrupowań politycznych i parlamentarnych podstawowych dla „systemu angielskiego”, dla każdego systemu monarchii konstytucyjnej, oddających sobie władzę kolejno, bez wstrząsów. Ten system polityczny stworzył podstawę dla tego typu ustroju, który istniał w Hiszpanii przed dyktaturą; zniszczenie tej podstawy, zniszczenie tych dwóch partii, sprawiło, że w roku 1930, gdy zapragniono czy ujrzano się zmuszonym do odwrotu od dyktatury, powrót do stanu rzeczy sprzed zamachu Primo de Rivery nie znalazł już gruntu pod nogami, nie miał dla siebie oparcia.

— Powiedziałem panu — ciągnie dr Maranon — że nadejście dyktatury było jednak ułatwione poprzedzającym je okresem dekadencji partii politycznych. Pan zapytał z kolei, jakie jeszcze były przyczyny tej dekadencji? Otóż był nią brak, a raczej utrata dwóch wybitnych polityków, poniesiona przez te stronnictwa. Niezawodnie oba wymagały po wielu latach gruntownego remontu. Stawały się coraz dalsze „rzeczywistej rzeczywistości” (*pays réel*), nowe potrzeby kraju wymagałyby rewizji ich programów, system wyborczy miał braki. Ale wszystkie te luki mogła zappełnić rozumna i energiczna praca odpowiednich przywódców. Obie partie takich przywódców miały, ale niestety, obie ich straciły.

Trzymałem się zawsze z dala od polityki, lecz śledziłem uważnie losy mego kraju i nigdy bardziej niż dzisiaj nie oplakuję śmierci wielkiego liberała, jakim był Canalejas⁵⁸¹, zamordowany przez anarchistrę. Stratą nie mniej ciężką i nie mniej rozstrzygającą dla późniejszego biegu wypadków było „unieużytecznienie” (*inutilisation*) polityczne przywódcy konserwatystów, starszego Maury⁵⁸²...

— „Unieużytecznienie”?

Dr Maranon zatrzymuje się, jakby powracał, poprzez całe ćwierćwiecze, do ówczesnych wydarzeń. I mówi dalej:

— Tak, „unieużytecznienie”. To właśnie zrobiono z Maurą. Był on premierem podczas egzekucji Ferrera⁵⁸³. Całą winę zrzucano na niego. Musiał się wycofać z polityki. Pan zna poglądy moje i mego kraju na tę smutną sprawę. Ganiliśmy, jak nie można ostrzej, ów krok władzy, byliśmy całą duszą za Ferrerem, broniliśmy człowieka skazanego i straconego w okolicznościach, które były nam wstrętne. Byliśmy liberałami, byliśmy przeciw karze śmierci! Otóż dzisiaj, szanując motywy, które nami powodowały wówczas, muszę przyznać i pragnę to uczynić (*je tiens à le faire*), że skutki polityczne tej naszej akcji były fatalne i zgubne. Był to wielki błąd, wielka wina...

I jakby wracając do zagadnień, od których musiał odbiec, dr Maranon ciągnie:

— Tak to więc przyszło. Zabrakło, w obliczu powojennych, ciężarnych zagadnieniami czasów, odpowiednich ludzi. I partie polityczne, i forma ustroju zaczęły się degenerować. Ustrój poszukiwał oparcia w dyktaturze, a dyktatura zniszczyła to, co zostało — to, co mogło być odzyskane — z dawnych partii politycznych, z podstawy *régime*'u parlamentarnego. Gdy dyktatura stała się nie do utrzymania, monarchia miała już drogi powrotu przecięte. Starano się je odzyskać, było za późno. I oto jakeśmy w Hiszpanii doszli do republiki.

— Czy może mi pan teraz opowiedzieć, jak, zdaniem pana, doszliście w Hiszpanii do obecnego stanu rzeczy?

Dla mego rozmówcy określenie „obecny stan rzeczy w Hiszpanii” jest najwidoczniej tragiczne. Niewątpliwie pytanie to stawiał już sobie nie raz jeden, najniewątpliwiej boli go do żywego. Odpowiada powoli, zrazu jakby sennie, tak jak gdyby ów wielki lekarz, jakim jest przecie z zawodu ten człowiek, analizował przyczyny choroby bardzo ciężkiej, bardzo skomplikowanej.

— Moim zdaniem, rewolucja nie ogarnia krajów najbardziej potrzebujących reform i najbardziej zacofanych. Było wiele krajów zacofanych i potrzebujących reform, przechodzących przez całe okresy kryzysów nie mniej głębokich niż Hiszpania, a jednak kraje te nie stoczyły się w otchłań rewolucji i na ominięciu jej bynajmniej nie straciły. Rewolucja staje się koniecznością dopiero wówczas — i tak było u nas — gdy kierującym brak zrozumienia dla doniosłości, dla skutków ich własnych czynów, gdy uczucie nienawiści, zemsty czy ambicji osobistej każe im stracić miarę, gdy rządzącym brak politycznej zręczności.

— Nie sądzi pan, że postępowanie prawicy mogło sprowokować rewolucję? Że kilka zamachów terrorystycznych mogło sprowokować w odwecie terror czerwony?

— Nie trzeba przesadzać — odpowiada dr Maranon. — Większość prawicy pogodziła się szybko z republiką. Nieliczny udział, jaki w kilkanaście miesięcy po jej nastaniu wzięli oni w ówczesnym puczu generała Sanjurjo, był tego najlepszym dowodem. Republika żyła, krzepiła się, zwyciężała przeszkody, modernizowała kraj. To przeciwnie, skrajność

⁵⁸¹ *Canalejas, José* (1854–1912) — hiszpański polityk, działacz Partii Liberalnej, premier Hiszpanii (od 1910); zakazał zakładania w Hiszpanii nowych zgromadzeń zakonnych, przeciwstawił się działalności ruchu robotniczego, co poróżniło go zarówno z konserwatystami, jak i działaczami ruchu robotniczego; zamordowany przez anarchistrę. [przypis edytorski]

⁵⁸² *Maura, Antonio* (1853–1925) — hiszpański polityk, pięciokrotny premier Hiszpanii (1903–1904, 1907–1909, 1918, 1919 i 1921–1922); początkowo w Partii Liberalnej, od 1902 w Partii Konserwatywnej, której przewodził w latach 1903–1912. [przypis edytorski]

⁵⁸³ *Ferrer, Francisco* (1859–1909) — hiszpańsko-kataloński wolnomysliciel, anarchista, pedagog, twórca postępowej Szkoły Nowoczesnej; w 1906 aresztowany pod zmyślnym zarzutem współudziału w próbie zabójstwa króla Alfonsa XIII, po ogólnonarodowych protestach wypuszczony na wolność; w 1909 oskarżony o zorganizowanie robotniczych protestów przeciwko rządowi, sprowokowanych ogłoszeniem przez premiera Antonio Maura poboru rezerwistów z klas niższych, którzy mieli być wysłani do Maroka, i zakończonych krwawą konfrontacją z armią (tzw. Tragiczny Tydzień w Barcelonie); skazany bez dowodów, w nieuczciwym procesie, i rozstrzelany, co wywołało protesty w kraju i za granicą oraz doprowadziło do upadku rządu Maury. [przypis edytorski]

czerwonych się srożyła: Azana popełnił ogromny błąd, idąc do wyborów z żywiołami skrajnymi, umożliwiając im dostęp do władzy.

— Mówił mi pan — przerywa sobie w tej chwili mój rozmówca — o winie, że do tego doszło. Wina, winy — one są po obu stronach. Ale na tym nie wolno poprzestać: że wszyscy popełnili winy, to jeszcze wcale nie oznacza, i ja przynajmniej tego nie powiem — dr Maranon mówi te słowa z niezwykłą siłą, niemal podniesionym już głosem — że wina ta podzielona jest na równe części, że obciąża w tej samej mierze lewicę, co prawicę. O, nie! Pragnę stwierdzić to głośno, że wina za ów stan rzeczy, do jakiego doszliśmy dziś w Hiszpanii, spada głównie (*principalement*) na czerwonych. Pyta się mnie pan jak? Dobrze, zaraz panu odpowiem. Trzy wydarzenia bezpośrednio prowadziły do rewolucji, trzy wydarzenia ją sprowadziły.

Dr Maranon wylicza:

— Przede wszystkim więc rewolucja w Asturii⁵⁸⁴. W chwili gdy prawicowo-centrowy gabinet parlamentarny Lerroux – Gil-Robles obejmuje władzę legalnie, najzupełniej legalnie, w oparciu na większości parlamentarnej, czerwoni wychodzą z ram legalności, organizują wybuch rewolucyjny. Wybuch zawodzi w reszcie kraju, zakorzenia się za to tym silniej i tym krwawiej w Asturii. Otóż czerwoni pierwsi dokonali wielkiego zamachu na legalność. To oni jako stronnictwo polityczne dali przykład tak powszechny i w tak wielkiej skali niesłuchania legalnej władzy.

Drugim wydarzeniem tego samego typu było usunięcie z prezydentury Alcali Zamory. Był to akt antykonstytucyjny. Tak — ciągnie dr Maranon dalej wobec moich wątpliwości — antykonstytucyjny. Na domiar złego pozbawiono się na tym stanowisku człowieka, który sprawy widział jasno, był słuchany, dał dowód dużej zręczności politycznej w sytuacjach trudnych.

Wreszcie przychodzi zamordowanie Calva Sotelo. Byłem zawsze jego przeciwnikiem, wrogiem politycznym. Nie podzielałem jego poglądów. Ale był to człowiek wysokich uzdolnień, a przede wszystkim człowiek lojalny, umiarkowany, szanowany przez tych wszystkich jego przeciwników, *qui n'étaient pas des brutes*⁵⁸⁵. Ów człowiek, leader polityczny opozycji, został porwany z własnego domu, spośród swej rodziny, w nocy, przez oddział policji, tak, w mundurach — podle zamordowany. Niech pan wyobrazi sobie podobny czyn w jakimkolwiek innym kraju. Niech pan przypuści, że w Anglii, że we Francji, że w Polsce, ludzie w mundurze policyjnym, operujący nakazem policyjnym, porywają szefa opozycji, opozycji legalnej, parlamentarnej, i mordują go. Czy mógłby pan wówczas jeszcze utrzymywać, że rząd, który tego dokonał, *régime*, który takie rzeczy umożliwia, nie wyszedł sam z ram legalności? Czy w Anglii, Francji lub Polsce byłoby to możliwe? A gdyby coś takiego było tam możliwe, czy można by potem jeszcze odważyć się mówić o legalności prawowitej władzy?

Dr. Maranon hamuje się najwidoczniej, mówiąc to wszystko, i ciągnie dalej.

— To jeszcze nie koniec. Czynu tego dopuścili się trzej oficerowie policji. Wszyscy wiedzieli o tym, znali nazwiska. Nikt ich nie aresztował. Ostentacyjnie pokazywali się w kawiarniach i nazajutrz wszędzie. Cały Madryt wiedział, że rzecz była przygotowana w kołach urzędowych (*préparé dans les milieux officiels*). Niezawodnie, w każdym kraju politycznie wzburzonym trafiają się zajścia, w czasie których giną militanci, bojówkarze jednego i drugiego obozu. Ale zamach na szefa wielkich partii, partii opozycyjnych, zamach zorganizowany jawnie przez policję, posługujący się autorytetem państwa — o, nie! to się nie zdarza.

— Nazajutrz po zbrodni — mówi dr Maranon — mimo że byłem przez całe życie przeciwnikiem prawicy, że byłem daleki od poglądów Calva Sotelo, ministra za dyktatury, napisałem list do mego wielkiego przyjaciela, dawnego przyjaciela, Marcelina Domingo⁵⁸⁶, lidera — jeszcze wówczas — Frontu Ludowego. Oświadczyłem mu, że wszystkie

⁵⁸⁴rewolucja w Asturii — ruch rewolucyjny, trwający od 5 do 19 października 1934 w północnej Hiszpanii (Asturii), krwawo spacyfikowany przez wojsko pod dowództwem generałów Lópeza Ochoa i Francisco Franco; rozpoczęty akcją strajkową podjętą przez miejscowych górników przeciwko utworzeniu rządu z udziałem Hiszpańskiej Konfederacji Prawicy Autonomicznej. [przypis edytorski]

⁵⁸⁵*qui n'étaient pas des brutes* — którzy nie byli brutalni, prymitywni. [przypis edytorski]

⁵⁸⁶Domingo, Marcelino (1884–1939) — hiszpański nauczyciel, dziennikarz i polityk, kilkakrotnie minister w rządach Drugiej Republiki (m.in. minister oświaty w pierwszym rządzie Frontu Ludowego od lutego do maja 1936). [przypis edytorski]

węzły przeszłości i wspólnoty idei, jakie mogły mnie łączyć ze sprawą i *régimem* takim jak ten, są zerwane. Oświadczyłem im to. I wielu ludzi z lewicy, starych wrogów monarchii, wrogów dyktatury, walczących przez lata całe o odnowę Hiszpanii, myślało wówczas, jak ja myślałem. Czyż można przypuścić, że taki Unamuno został wtedy „kupiony”, jak to oni przez długi czas starali się w swych gazetach wmawiać ludziom z daleka, ludziom łatwowiernym, o słabym rozumie?

*

Następuje przerwa, zapada chwila milczenia, którego nie próbuję przerwać. Dr Maranon zaczyna jednak opowiadać niezapytany, od siebie, jak to przeniósł⁵⁸⁷. Ten człowiek, mówiąc mi o tym, nie wyżywa się, nie lubuje w tych zwierzeniach, przychodzą mu one z trudnością, cierpi. Mówi, jakby rozumiejąc, że jego świadectwo ma swoje historyczne znaczenie dla tych wydarzeń, mówi jak człowiek, który w swoim mieszkaniu lekarza widział niegdyś narodziny tej republiki.

— Napisałem do Marcelina Domingo. Należał do tych spośród nas, starej lewicy hiszpańskiej, którzy podczas wyborów poszli ze skrajnymi, z socjalrewolucjonistami, z anarchistami. Czerwone żywioły skrajne u nas to produkt złych warunków społecznych, niewątpliwie. Staraliśmy się ich zawsze nie dopuścić do wpływania w jakikolwiek sposób na losy kraju. Ileż to razy swymi zamachami, walkami *pistolerosów* i dynamitardów ci biedni, nieszczęśliwi ludzie hamowali postęp kraju! O, trzeba było pamiętać o ich istnieniu, starać się drogą reform społecznych drenować nędzę mas, wyrwać masy spod ich wpływu, usunąć z biegiem czasu warunki, na których taki ekstremizm, szkodliwy dla postępu, mógł wyrósć. Pozwolić im rządzić — byłoby błędem. Połączenie rozsądnych stronnictw lewicowych z tymi ciemnymi odruchami było wadliwą kombinacją. Nazajutrz po zamordowaniu Calva Sotelo Marcelino Domingo był jeszcze leaderem lewicy. Dziś, jak ja, jest na wygnaniu. A Madryt jest poddany terrorowi, który przekracza wszystko, co można sobie wyobrazić.

Mówię tu o krwawych represjach, także i po stronie powstańców. Ale dr Maranon odpowiada:

— Myli się pan pod tym względem, i mylą się wszyscy, którzy porównują stan rzeczy po obu stronach. Nie ma porównania, jeśli chodzi o całe masy ludzi najzupełniej niewinnych, rozstrzelanych w warunkach, w których nieprawidłowości procedury w procesie Ferrera były niczym. Czy masy? Wie pan, ilu ludzi rozstrzelano dotąd w jednym Madrycie? 36 000. Tak, trzydzieści sześć tysięcy osób, rozstrzelanych po największej części bez żadnego sądu, nie mówiąc już o trybunałach „ludowych”. Trzydzieści sześć tysięcy osób. Jestem lekarzem: prowadziłem szpitale. Przez moje ręce podczas tych tragicznych miesięcy wszystko to przeszło. I mówię to panu jako lekarz. Lekarz w takich razach nie kłamie. To były proskrypcje⁵⁸⁸, hekatomby, bez motywu, bez sądu. Nawet bez sądu czeka rosyjskiej. To była rzeź.

Opowiedzieliśmy się właśnie przeciw tej rzezi. Jestem liberałem. Zwalczałem Maurę za czasów sprawy Ferrera, bo jestem za prawem, jestem przeciw karze śmierci. Cóż pan chce: lekarz — a to jest doprawdy moim najgłębszym powołaniem — lekarz to człowiek, który się wysiła, żeby walczyć ze śmiercią, który stara się jej wydrzeć z rąk ludzi, stara się cofnąć granice jej panowania. Czyż po takiej walce i prowadząc ją, można być jednocześnie za karą śmierci? A jeśli byłem za Ferrerem, jeśli byłem wówczas przeciw karze śmierci, przeciw terrorowi, przeciw nieprawidłowościom procedury w tej sprawie, jeżeli byłem liberałem, to tamtą moją postawę zachowuję i wobec ludzi, wobec *régime'u*, który popełnił podobne zbrodnie. Sprawa Ferrera była niczym w porównaniu z tym wszystkim. My wszyscy, liberałowie hiszpańscy, jesteśmy tego zdania.

Ten człowiek o silnej budowie, prawie młody jeszcze, zdaje się być wyczerpany tym, co przed chwilą odtworzył. Jeszcze raz powraca do mojej wątpliwości sprzed chwili:

— Strona „biała”, jak pan powiedział, rozstrzeliwuje także? Ależ, proszę pana, niech pan przyjrzy się lepiej! Zacytuję panu tylko fakty, łatwe do sprawdzenia, wymowne.

⁵⁸⁷przenieść (daw.) — znieść, przetrzymać, wytrzymać. [przypis edytorski]

⁵⁸⁸proskrypcja — ogłoszenie o wyjęciu spod prawa, konfiskacie majątku, ukaraniu śmiercią lub objęciu innymi represjami przeciwników politycznych. [przypis edytorski]

W Paryżu jest obecnie 40 000 Hiszpanów, emigrantów politycznych. Są to wszystko ludzie, którzy uciekli z Hiszpanii, ale z której Hiszpanii? Czy pan myśli, że są to wszyscy czynni politycy? Nie, nie dano by im chyba uciec, w tak poważnej liczbie. Są to ludzie, którzy nie mają na sumieniu żadnej winy, nie miesza się w ogóle do niczego, przeciwko którym nikt nic nie miał, ale którzy mimo to nie czuli się pewni życia po stronie czerwonej. Po stronie Burgos⁵⁸⁹ nic podobnego. W tych 40 000 nie ma ludzi uszłych z tamtej strony. Ale to nie wszystko. Pan wie dobrze, jakiej pomocy udzielają dziś poselstwa i konsulaty w czerwonej Hiszpanii. W tamtej nic podobnego się nie zdarza. Niech pan zapyta w liniach okrętowych, czy to z terytorium białych czy czerwonych przewoziły tysiące emigrantów, którym władze, jako zupełnie niewinnym, nie mogły odmówić paszportu, a którzy niezależnie od tego nie czuli się bezpieczni w Hiszpanii? A czym pan wytłumaczy, że wszyscy intelektualiści hiszpańscy, ludzie z lewicy, ludzie postępu, są przeciw temu rządowi?

— Czy może mi pan zacytować zjawiska?

— Po cóż? Wszyscy. Niech pan weźmie najwybitniejszych. Ortega y Gasset. Znany szeroko filozof, profesor uniwersytetu w Madrycie, dziś nasz największy pisarz i myśliciel. Perez Ayala. Największy powieściopisarz współczesnej Hiszpanii, były ambasador w Londynie, dyrektor muzeum Prado. Menendez Pidal, prezes Hiszpańskiej Akademii Nauk. Morente, jeszcze jeden pisarz, dziekan wydziału. Del Rio Hortega, uczony, jedna z powag światowych w dziedzinie mitologii antycznej. Hernando, profesor medycyny i członek Akademii. Pio Baroja i Azorin — obaj słynni pisarze. Zuloaga, wielki malarz, inni. Wszak nie można negować tego, co te nazwiska znaczą. O, to nie są fałszywi „intelektualiści”, jakich się dziś mianuje co dzień w czerwonych brukowcach Madrytu. Ale nie koniec na tym: jak i czym wytłumaczy mi pan fakt, że 80% wszystkich profesorów uniwersytetów hiszpańskich — zawsze z czerwonej Hiszpanii — przebywa dziś zagranicą? Ktoś mi powie, że wyjeżdżali z misjami od rządu? Ależ pan przybywa z Hiszpanii, pan wie, co skrajni sami mówią o takich misjach, pan wie, że przecież bez takiej misji nie mogliby wyjechać. Ja sam, jeśli mogłem udać się do Francji, to także z „misją”. Tylko że żaden z tych ludzi, raz dostawszy się za granicę, nie wraca. To także panu nic nie mówi? Nic, wszystko to nic? Nie, proszę pana. Po stronie czerwonych jako jedyni intelektualiści, prawdziwi intelektualiści, a nie dopiero pasowani na intelektualistów przez własne redakcje, pozostała tylko — i to jest bardzo hiszpański paradoks — grupa pewnych intelektualistów katolickich...⁵⁹⁰

Korzystam z zejścia rozmowy na tematy katolickie:

— Niech mi pan pozwoli — mówię — zadać mu jeszcze jedno pytanie. Chciałbym bardzo znać opinię pana o katolicyzmie hiszpańskim, o kościele u was. Czy prawdą jest że duchowieństwo było takie złe?

— Podzielę moją odpowiedź — mówi dr Maranon. — Wszystko, co panu opowiadano o moralności kleru, o jego rozpuszczeniu, o nierządnym życiu, wszystko, co tak rozgłasza propaganda w Hiszpanii — jest nieprawdą. Moralność kleru była wysoka, nadużycia stanowiły wyjątki. Raz jeszcze mówię to panu jako lekarz. O takich sprawach lekarze są zawsze dobrze poinformowani. I właśnie jako lekarz odpowiadam panu: nie. To nie jest prawda. To nie jest prawda. *On l'a exagéré et surexagéré*⁵⁹¹. Skłamano. Jeśli jednak chodzi o sprawy polityczne i społeczne, to niestety, w moim pojęciu kler hiszpański był daleki od swej misji społecznej, był bardzo zacofany, wczorajszy. Nie pozwala mi to jednak pominąć milczeniem istnienia szeregu wyjątkowych jednostek, wśród nich paru stojących od niedawna na szczytach hierarchii. Tacy są zwłaszcza obaj prymasi, arcybiskup Tole-

⁵⁸⁹ *Burgos* — miasto w północnej Hiszpanii; w latach 1936–1939 miejsce kwatery głównej wojsk frankistowskich. [przypis edytorski]

⁵⁹⁰ *pozostała tylko grupa pewnych intelektualistów katolickich* — oddając tekst wywiadu do przejrzania dr. Maranonowi, poprosiłem go o dodatkowe wytłumaczenie mi, dlaczego, jego zdaniem, grupa tych intelektualistów katolickich, właśnie ona jedna, mogła się przyłączyć do czerwonych. Dr Maranon dopisał mi w odpowiedzi zdanie, które zacytuję tu tylko po francusku, gdyż mówi on może więcej o gorczy tego człowieka, niż wyjaśnia tamtą kwestię: „*L'adhesion des intellectuels catholiques au Front Populaire (après la révolution) n'a pas d'explication normale. Je connais quelque chose au sujet des malades, mais pas des monstres*” [fr.: Przyłgnięcie katolickich intelektualistów do Frontu Ludowego (po rewolucji) nie ma normalnego wytłumaczenia. Wiem coś na temat chorych, ale nie potworów; red. WL]. [przypis autorski]

⁵⁹¹ *On l'a exagéré et surexagéré* (fr.) — To przesadzone i wyolbrzymione. [przypis edytorski]

da i arcybiskup Tarragony. Znałem i cenilem wysoce innego prałata: był nim Polo de Benito, dziekan Toleda. Był to człowiek o poglądach szerokich, postępowych, antykapitalistycznych. Czerwoni go rozstrzelali. Jest to strata bardzo wielka, strata dla kraju, dla kościoła.

— Mówiono mi wiele o wpływie jezuitów. Co pan o tym sądzi?

— Jeszcze jedna fałszywa legenda, dobra dla ludzi, którzy takimi sztuczkami upraszczą sobie rozumienie wydarzeń niemieszczących się im w ciasnej głowie. Przez całe moje życie nie spotkałem się z żadnym śladem działalności jezuitów. Był to zakon taki jak inne, zajęty w lepszy czy gorszy sposób swymi pracami duchownymi. Uczyniono z nich kozła ofiarnego i otoczono nader płytką legendą. To samo było zresztą z masonerią. Znalazł ją pan w Hiszpanii rozdzieloną. Są wolnomularze po stronie czerwonych, są inni, jak Lopez Ochoa, rozstrzelani przez czerwonych. Legenda o ich tajemnych wpływach jest nie mniej fałszywa.

Powracamy nieznacznie do wydarzeń, tak bardzo dziś dalekich, które poprzedziły nie tylko rewolucję, ale i republikę. Dr Maranon mówi:

— To dzięki wpływowi armii przyszło po klęsce w Maroku do dyktatury. Podczas jej trwania król, któremu w każdym razie nie brakowało bystrości umysłu, starał się parokrotnie z niej wyzwolić. Mógł to być i wpływ jego matki. Marii Krystyny, kobiety zupełnie nieprzeciętnej jako prawość i inteligencja polityczna, kobiety, która sprawy widziała jasno. Już od 1923 roku przewidywała, że dyktatura zgotuje kres monarchii...

— A armia hiszpańska w tym wszystkim?

— Armia hiszpańska? Dzień 14 kwietnia 1931 roku zastał ją zupełnie rozbitą. Była niezdolna do działania. Trawiły ją wyrosłe z maleńkich do gigantycznych rozmiarów swary rodzajów broni i pułków, rywalizacje generałów i właśnie poszczególnych pułkowników. Te rozbieżności unicestwiły siłę, która trzymana z dala od polityki, niewysyłająca swych przedstawicieli na gościnne występy w inne dziedziny, nieangażująca swych ludzi w sprawy, których charakter społeczny, nieraz bardzo zawily, umykał zupełnie spod ich rozumienia, mogła była odegrać w groźnym momencie swoją rolę na rzecz pokoju wewnętrznego. To wszystko dotyczy się jednak — podchwytuje po chwili dr Maranon — przeszłości.

— Jeszcze kwestia, w której pragnąłbym znać zdanie pana. Był pan jednym z głównych świadków — *et c'est peu dire*⁵⁹² — upadku monarchii, pokojowego nastania republiki. Czy prawdą jest, że generał Sanjurjo przyczynił się w sposób bardzo decydujący do tego wydarzenia?

— Zupełnie ściśle — odpowiada mój rozmówca — ściśle w tym, że nazajutrz po wyborach gminnych z dnia 13 kwietnia generał Sanjurjo, szef Guardia Civil, której siłę policyjną pan dobrze zna, zameldował swemu szefowi że nie może za nią ręczyć. Ta siła odpadła. Armia? — mówiliśmy już o niej. Król mógł się tylko zastosować do faktów dokonanych.

— To w pana madryckim mieszkaniu, jak o tym pisały wówczas dzienniki, odbyła się rozmowa delegatów króla z szefem rządu tymczasowego, Alcałą Zamora?

— Tak. Alcala Zamora zatrzymał się u mnie. O drugiej popołudniu hr. Romanones, człowiek, którego bardzo szanuję, przybył z polecenia króla. W ciągu godziny wszystko zostało uzgodnione. Abdykacja, przekazanie władzy, wyjazd. Hr. Romanones odjechał na zamek...

Dr Maranon opowiada o tej chwili, bądź co bądź historycznej. I dodaje jeszcze:

— Rozmawialiśmy z nim we trzech. Alcala Zamora, Ortega y Gasset, ja. Wszyscy poszliśmy po kolei na wygnanie...

W tym momencie opowiadam dr. Maranon historię, która powinna go zająć. Kilka tygodni temu, wieczorem, w Madrycie, zaszedłem do Telefoniki. W centrali dla dziennikarzy siedziało paru Hiszpanów i cudzoziemców. Na mój widok zamieniono złośliwe uśmiešky i ktoś rzekł: „Oho, zdaje się, że po Finlandii przyszła kolej na Polskę”... Wiedziałem, że dwa dni temu przeprowadzono rewizję w attachacie finlandzkim i aresztowano tam szereg uchodźców politycznych i znaleziono pewną ilość broni. Niemniej nie wiedziałem, jaki związek może to mieć z Polską. „Jak to, pan nie czytał dzisiejszej »Clari-

⁵⁹²*et c'est peu dire* (fr.) — i to coś mówi. [przypis edytorski]

dad«? — odpowiedziano. — Twierdzi, że w poselstwie polskim ukrywa się dr Maranon”. Odpowiedziałem, że nic o tym nie wiem, i twarze nie przestawały być złośliwe, ale dodałem coś jeszcze. Oto, że nie tyle jest dla mnie nowiną, iż dr Maranon mieszka właśnie u Polaków, ile zdumiewa mnie co innego. To, że człowiek, o którym od lat słyszałem za granicą jako o jednym z twórców republiki, musi się dzisiaj w ogóle ukrywać. Przesztano się potem i pytać, i uśmiechać.

— Jeszcze jedna historia z tych smutnych czasów — odpowiada dr Maranon. — Oczywiście, że nie ukrywałem się w żadnym poselstwie, nie szukałem żadnej protekcji, która by mnie wyłączała spod władzy i odpowiedzialności legalnej i normalnej. Ale podczas madryckiego terroru, gdy pozostawałem na moim stanowisku w szpitalach i klinikach — Bóg jeden wie czego byłem świadkiem — moja rodzina zamieszkiwała dom pozostający pod opieką waszego poselstwa. Nie było to oczywiście żadne schronisko eksterytorialne: po prostu bezpieczeństwo było tam bardziej prawdopodobne dla kobiet i dzieci. Później jednak wobec zbliżania się nacjonalistów chciano mnie ewakuować urzędowo do Walencji, jak to uczyniono z szeregiem intelektualistów. Odmówiłem. Wówczas to ukazała się sympatyczna notatka z „Claridad”. Pan ją zna i ja ją znam, i przypomina pan sobie, że w tej notatce poza wzmianką, iż ukrywam się w polskim poselstwie, było coś jeszcze: informacja, że nazwisko dr. Maranon odnaleziono na listach falangistów! Pan wie, jak bardzo było to dalekie od prawdy! Pan wie także, co taka notatka oznacza w warunkach dzisiejszych, pan wie, co się chce zrobić z człowiekiem, gdy się o nim w ten sposób pisze. Pan rozumie, co mnie czekało...

Człowieka, który mi mówił o trzydziestu sześciu tysiącach rozstrzelanych, których ciała przeszły przez szpitale i kostnice Madrytu, nie przechodzi dreszcz trwogi. Na twarzy tego republikanina i lewicowca odbija się tylko pogarda dla kłamstwa i smutna litość dla denuncjanckiego, a niewątpliwego, niestety, oszczerstwa.

— W trzy dni później zdołałem opuścić Madryt, potem Hiszpanię. Nawet dostałem misję. Jestem na obczyźnie. Na wygnaniu.

Milczenie. I znowu podnoszę:

— A teraz, co pan myśli, że nastąpi?

— Nie jestem prorokiem, proszę pana, niech mnie pan nie pyta, co będzie. Jestem lekarzem. Walczyłem doprawdy całe lata o postęp w moim kraju, o wolność, o zniesienie kary śmierci. I właśnie dlatego, że kiedyś krzyczałem i protestowałem po straceniu Ferrera, protestuję i wzdrygam się wobec zgrozy i zbrodni rozlanej po Hiszpanii. Wszystko w niej jest rosyjskie. Musiał to pan widzieć, nie może pan przeczyć. To już nie oficerowie i broń rosyjska, to moda i duch rosyjskie, to rosyjskie czapki, to twarze mongolskie historycznych wodzów Rosji patrzą na nas z plakatów na murach Madrytu, to rosyjskie nazwy dawane batalionom milicjantów. Trzydzieści sześć tysięcy ofiar Madrytu przeszło przez moje ręce. Niech pan mnie o nic nie pyta. Prawica popełniła błędy. Nie rozumiała ani trochę wypadków. Zwłaszcza jeśli chodziło o zagadnienia społeczne. Ale wobec takiej sytuacji, dla liberała, który liberałem był całe życie, dla republikanina, dla człowieka który sam, własnymi oczami i rękami, nurzał się w tym wszystkim, oglądał okropieństwa Hiszpanii, nie ma dziś innej postawy możliwej. Memu krajowi mogę życzyć dziś przede wszystkim powrotu do ładu. A ta moja nadzieja jest w Burgos.

Człowiek zatrzymuje się, jakby przeszedł przez kryzys niezmiernie ciężki, ale jakby zdołał opanować i ów kryzys. Spogląda na mnie, wstaje, patrzy w dal, przez okno. Spokój wieczoru w Paryżu, cichy spokój wielkiego miasta, podnosi się ku nam z ulicy. O czym może myśleć w tej chwili dr Gregorio Maranon, jeden z twórców republiki hiszpańskiej? Dorzuca jeszcze zdanie, które notuję: że zamiast zwalczać dyktaturę, socjaliści i anarchiści dali wolną rękę Primo de Riverze, nawet z nim współpracowali, jak to było w wypadku samego Largo Caballero. Caballero, zanim stał się „hiszpańskim Leninem”, odegrał rolę analogiczną poniekąd do naszego Jędrzeja Moraczewskiego, z ZZZetami w BBWR. I znowu patrzy na miasto, w ten spokój. Wydaje się, że ten spokój wdycha w siebie jak powietrze, rozlewa po ciele, wchłania, nie ma go dosyć. Po nocach przerywanych odgłosem strzałów, po miesiącach widoku kostnic, codziennie zapełnionych świeżą kością, po tych trzydziestu sześciu tysiącach, które mu nie schodzą z pamięci. Między tamtą Hiszpanią a tym człowiekiem wyrosła ściana, wyrosła barykada. Barykada trupów. Oglądając

się za siebie, ten człowiek nie może patrzeć inaczej jak przez krew, jak przez tę barykadę. Całym ciężarem legła już na jego sądzie. I ona go odgradza.

*

Dziś, włączając do książki wyznania jednego z najpierwszych twórców republiki hiszpańskiej, tak srodze zawiedzionego, nie pragnąłbym, rzecz prosta, przyjmować w pełni jego tezy. Ale nie śmiałybym także pozbawiać głosu człowieka, który tych wypadków był tak blisko. Los Gregorio Maranona, los Rodzianki⁵⁹³, los Kierenskiego⁵⁹⁴ jest klasycznym losem ludzi, którzy wierzą jeszcze w możliwość bezkrwawych rewolucji [dewolucji?], a potem dopiero widzą, jak srodze ich zbudzono... A takich jest więcej, niż się myśli. Może jesteśmy nimi — my sami...

⁵⁹³Rodzianko, Michaił Władimirowicz (1859–1924) — rosyjski polityk i parlamentarzysta; prawicowy liberal, zwolennik monarchii konstytucyjnej; przewodniczący Dumy 1911–1917; jeden z przywódców rewolucji lutowej 1917, od 22 marca 1911 do 6 października 1917 przewodniczący Komitetu Tymczasowego Dumy, główny negocjator abdykacji Mikołaja II; po przewrocie bolszewickim wyjechał nad Don, w 1920 wyemigrował do Serbii. [przypis edytorski]

⁵⁹⁴Kiereński, Aleksandr Fiodorowicz (1881–1970) — rosyjski polityk, parlamentarzysta i prawnik; jeden z przywódców umiarkowanych socjalistów; od 20 lipca do 8 listopada 1917 przewodniczący liberalnego Rządu Tymczasowego w Rosji po rewolucji lutowej, obalonego przez rewolucję październikową. [przypis edytorski]

W ZIELONYM EUSKADI

PROBOSZCZ WŚRÓD CZERWONYCH

Pierwszą osobą, która na tym hiszpańskim statku zwróciła naszą uwagę, był ksiądz. Ksiądz w najzwyczajniejszej sutannie, w czarnym, wytartym nieco płaszczu, w szerokim księżowskim kapeluszu używanym w Hiszpanii i Francji. Opasany był szerokim sukiennym pasem, przypominającym jezuicki. Wszedł na „Severino Asarte” w chwilę po nas. W dużej kajucie na pokładzie było już kilkanaście osób, przeważnie kobiet i dzieci. Zrobiliśmy księdzu miejsce koło nas i wdaliśmy się w rozmowę. „Severino Asarte” miała odpłynąć o trzeciej, ale nie odpłynęła. Z kolei wszedł wysoki, postawny Hiszpan, w sportowym ubraniu cywilnym o kroju kurtek armii angielskiej. Po chwili wyciągnął z kieszeni kawał kolorowej materii, rodzaj zaginanych żółtych pluskiewek i dłuto i zaczął tym dłutem przekłuwać odporne sukno swej kurtki. Dzieci przyglądały się uważnie. Niedługo potem ów kawał kolorowej materii był już przytwierdzony do ubrania. Poznałem odznakę komisarza politycznych czerwonej armii hiszpańskiej. Ksiądz widział, że zwróciłem na nią uwagę. Zdażyliśmy mu zresztą powiedzieć pokrótce o moich dotychczasowych peregrinacjach⁵⁹⁵ po czerwonej Hiszpanii i obecnym celu podróży. Pogrzebał w dużym portfelu i wyciągnął jakąś nową odznakę, z białymi literami i krzyżem na czerwonym tle. Odznaki tej nie spotkałem dotąd na żadnym z frontów hiszpańskich. Ksiądz powiedział mi, że jest to odznaka kapelana przy oddziałach wojsk baskijskich. Przez chwilę obie odznaki, komisarza politycznego i kapelana wojskowego, dzielił tylko drewniany blat stołu. Komisarz polityczny, udający się na front baskijski, patrzył najzupełniej spokojnie i uprzejmie, niczym na swego kolegę, na księdza z odznaką kapelańską. Są armie na świecie, które mają kapelanów — i są armie, które mają komisarzy politycznych. Pomyślałem, że armia najnowszego w świecie półpaństwa jest pierwsza, która posiada tych i tamtych.

„Severino Asarte” zaczęła przepływać powoli szerokie ujście rzeki, które sprawia, że port Bajonny⁵⁹⁶ leży właściwie głęboko wewnątrz lądu. Rozmawialiśmy z księdzem. Mówił z namysłem, powściągliwie, ale pewnie. Jechał teraz z Paryża do kraju Basków, do Euskadi w ich mowie, na misje.

— Na misje?

— No tak — odpowiedział ksiądz — przecież teraz jest wielki post: chyba w Polsce, kraju nie mniej znanym ze swego katolicyzmu, co kraj Basków, także w ciągu postu są misje i rekolekcje?

Mojej żonie, towarzyszącej mi od Bajonny, omal nie wyrwała się uwaga, że sytuacja w Polsce jest jednak nieco odmienna od sytuacji w Euskadi. Naprzeciw nas siedział komisarz polityczny, taki sam, jakich mają armie sowiecka, chińska rewolucyjna, jakich miała armia węgierska Beli Kuhna⁵⁹⁷. Ksiądz narzucał posłuch swym słowom. Nie mówił nic o polityce, kościele, sytuacji, a tylko wyliczał. Od lata miał już w Euskadi tyle a tyle misji kaznodziejskich. Bo na Matkę Boską, w sierpniu i we wrześniu. Potem triduum⁵⁹⁸ świętej Teresy. Potem przed św. Michałem. Potem adwent. Potem Boże Narodzenie. Rok kościelny, mający swoje święta i swoje pamiątki, rocznice odległe swych zwycięstw i ofiar, dni swych bohaterów i żołnierzy, przesuwał się przed nami, nakładał się na wspomnienia wojenne, frontowe, madryckie z tego właśnie czasu. Ksiądz mówił o tym z taką prostotą i pewnością, jakbyśmy właśnie jechali razem bryczką po drogach jakiejś Lubelszczyzny — a on sam był księdzem proboszczem z Piotrowic czy Żabiej Woli i opowiadał nam o swych parafialno-duszepasterskich pracach. Niemniej nie był to zwykły ksiądz. Przy ciężkiej, topornie ciosanej budowie ciała, przypominającej czasem krępego chłopca, uderzało niezawodne wykształcenie, opanowanie, przemyślenie. Mówił dobrze po francusku i spędził szereg lat we Francji. Był superiorem⁵⁹⁹ swego zakonu w prowincji baskijskiej.

⁵⁹⁵ peregrynacja (daw., z łac.) — wędrowka, podróż. [przypis edytorski]

⁵⁹⁶ Bajonna — miejscowość w pld.-zach. Francji, u zbiegu rzek Nive i Adour, w północnej części regionu kulturowego Kraju Basków. [przypis edytorski]

⁵⁹⁷ Kohn, Béla (1886–1939) — ur. jako Béla Kun; węgierski komunista, przywódca komunistycznej Węgierskiej Republiki Rad (marzec–sierpień 1919). [przypis edytorski]

⁵⁹⁸ triduum (z łac.) — trzydniowe święto kościelne. [przypis edytorski]

⁵⁹⁹ superior (z łac.) — przełożony w zakonie. [przypis edytorski]

Zakon ten, nieznan mi dotąd, nazywał się zakonem Synów Najświętszego Serca Niepokalanej Marii Panny. Gdy wybuchła rewolucja, ksiądz Urrutia — tak się nazywał — pojechał z listami polecającymi rządu baskijskiego do Asturii. Kto wie, że czerwone Asturie były jednym z najgorętszych kotłów rewolucji, że nie ustępowały w niczym Barcelonie, Madrytowi, Madrze, zrozumie nasze zdziwienie. Ksiądz nie mógł tam pojechać w sutannie. Pojechał w zwykłym ubraniu, aby wydostawać z więzień czy schowków swych zakonnych braci. Władze asturyjskie stawiały początkowo opór, godząc się na wpuszczenie tylko Basków, rezerwując sobie Asturyjczyków. Niemniej podróż tego księżowskiego Orfeusza⁶⁰⁰ po marksowskim piekle powiodła się. Powyciągał z więzień lub ukrył wszystkich swych braci. Ponieważ przyjechał tam w najbliższych dniach po wybuchu, udało mu się to wszystko stosunkowo dobrze. W więzieniu był tylko jeden z księży, inny zmarł na wolności, wskutek choroby, której przebieg obecne wydarzenia mogły być oczywiście przyspieszyć, ale go nie spowodowały. Ksiądz Urrutia odbywał potem swoje misje kaznodziejskie, jeździł do Francji i do Paryża. Mam wrażenie, że ksiądz Urrutia miał jeszcze jedną wtedy misję, o której nam nie mówił. Kontakt z episkopatem francuskim, może z Rzymem.

Nagle rzucanie statkiem przerwało na całych godzin osiem wszelkie rozmowy. Wypływaliśmy z ujścia Aduru na ocean. Nie napisałem jeszcze, że „Severino Asarte”, dawny prywatny jachcik od wycieczek w pogodę wzdłuż brzegów, była wprawdzie wyposażona w potężny stosunkowo motor, ale tak mała, że z trudem odnaleźliśmy ją w porcie, schowaną zupełnie za flankiem średnio dużego handlowego brygu. Popatrzyliśmy wtedy na tę lupinę i zrobiło się nam, jak to powiadają na Litwie — obojętnie. Od Bajonny trzeba było od razu walić na pełne morze, czyli najdalej od Irunu i San Sebastian, zajętych przez nacjonalistów, byle się przemknąć przez sieć blokady. To „pełne morze” o tej porze roku jest w dodatku szczególnie burzliwe. „Asartą” zaczęło rzucać w zupełnie nieprawdopodobny sposób. Kładła się zupełnie lub wpadała w ogromne, wyboiste leje. W godzinę później byłem rozbity, wółprzymny. Było to tym smutniejsze, że Hiszpanie, również chorując, znosili to wszystko znacznie lepiej. Nasz „proboszcz wśród czerwonych” oczywiście nie chorował wcale. Mówił sobie spokojnie brewiarz⁶⁰¹. Leżałem lub stałem na pokładzie zlewany przez strugi deszczu lub bryzgi pian przewalających się falami przez burty. Statek nie tylko skakał: śmigał zygzakami po morzu jak odbijający się od fali płaski, rzucony kamyczek. Z mego miejsca widać było wyraźnie marynarza przy sterze, na wyniosłości pokładu. Stamtąd ogarniał widnokrąg i kierował statkiem. Jego głowa w grubej „kominiarce”, popularnej dziś w armii hiszpańskiej jako *bonnet russo*⁶⁰², odwracała się to ku jednej, to ku drugiej stronie. Wobec fali skaczących wysoko można było nie zauważyć w porę nieprzyjaciela. Widziano go zresztą nieustannie. Najpierw od brzegu ujrzano trzy niewielkie punkciki. „Asarte” znała je już jako brygi rybackie, uzbrojone teraz w działa i patrolujące po brzegach iruńskich. Momentalnie rzuciła się jeszcze dalej na pełne morze. Po półgodzinie z odrętwienia wyrwał mnie nowy niepokój na statku. Oto po prawej stronie ukazały się dwa rosące szybko punkciki. Nie uległo wątpliwości, że to są okręty, duże okręty, i że tu stoją. Po chwili wiedzieliśmy ponadto, że są to okręty wojenne. Na statku rozległy się głosy, żeby wracać. Istotnie, jeśli to były okręty powstańcze, sytuacja była ciężka: skręcać ku brzegom oznaczało tyleż, co wpaść pod ostrzał ominiętych niedawno stateczków. Ominąć okręty, rzucić się jeszcze dalej na pełne morze, było dla „Severino Asarte”, małego jachciku, niebezpieczną przeprawą. Co będzie zresztą, jeśli okręty wojenne ruszą w pościg i ze swymi potężniejszymi niż nasze motorami zaszczują jacht na pełnym morzu? Przypomniałem sobie na moment pewien zwrot, użyty w przepustce wystawionej na nasze nazwiska przez konsulat Euskadi w Bajonnie. Zwrot opiewał, że udajemy się w podróż „*por su risco y cuenta*”⁶⁰³.

⁶⁰⁰Orfeusz (mit. gr.) — niezrównany tracki śpiewak i poeta, swoim śpiewem uspokajał dzikie bestie i poruszał nawet rzeczy nieożywione; zszedł do podziemnej krainy zmarłych po swą żonę Eurydykę, zmarłą od ukąszenia węża; oczarował swoim śpiewem królujących tam Hadesa i Persefonę, którzy zgodzili się na powrót Eurydyki, stawiając warunek, że będzie szedł przed nią i nie obejrzy się za siebie, aż oboje wyjdą; Orfeusz tuż przed wyjściem z podziemia spojrzął na żonę i stracił ją na zawsze. [przypis edytorski]

⁶⁰¹brewiarz — księga zawierająca zbiór modlitw (głównie psalmów) na każdy dzień roku kościelnego, odmawianych obowiązkowo przez duchownych katolickich; tu: modlitwy z brewiarza. [przypis edytorski]

⁶⁰²*bonnet russo* (fr.) — czapka rosyjska. [przypis edytorski]

⁶⁰³*por su risco y cuenta* (hiszp.) — na własne ryzyko i rachunek. [przypis edytorski]

Ale i tym razem *risco y cuenta*, ryzyko i rachunek, wyszły jeszcze na naszą korzyść. Okręty wojenne były francuskie. Przemknęliśmy się uspokojeni obok szarych kadłubów, na których krańcu trzepotała wyraźna malutka *Tricolore*⁶⁰⁴. Potem zaraz wszystko zapadło z powrotem w wilgoć deszczu, szarość chmur, morza i rzucanie po falach.

W ten szary dzień weszła noc jakby jaśniejsza. Po kilku długich godzinach po lewej stronie zbliżył się łódź. Błyskały z daleka światelka. Płynęliśmy już przy brzegach Euskadi, poza legalnym zasięgiem białych. Trwało to długo, aż po prawej stronie zamajaczył nowy kontur łądu. Bilbao⁶⁰⁵ leży w zatoce, która głęboko, jak bajońska, wrzyna się w łódź. Światła latarń morskich, potężne zielonkawe reflektory poczęły śmigać po nas. Upewniano się, kto zacz. Za łamaczami fal zrobiło się spokojniej. Jakiś głos zaczął przez tubę nadać kierunek naszej jeździe, celem uniknięcia założonych u wjazdu min. Wjeżdżaliśmy w szeroki górski amfiteatr lśniący światłami, jakby nie było tu wojny. W basenie stał duży statek, jedyny okręt wojenny rządowców w tej stronie. Ktoś opowiedział nam, że oczywiście statki powstańcze dobrze widziały „Asarte”. Ale były to wszystko dawne łódzie rybackie, poprzerabiane na wojenne, powolne. „Asarte” z dobrym motorem mogła uciec przed każdym z nich. Gorzej, gdyby na tych wodach pokazał się powstańczy statek wojenny. Marynarz wydobył gazetę bilbaońską. Były w niej odrysowane ciemne kontury kilku jednostek floty powstańczej. „Almirante Cervera” i „Canovas del Castillo”. Gdyby z Morza Śródziemnego wpłynęły na te wody lub gdyby „Asarte” nieostrożnie zbliżyła się do tamtych brygów, mogłoby być niedobrze.

Była pierwsza w nocy, gdy dobiliśmy do brzegu. W drewnianej hali ze świeżych desek odbyła się kontrola, dość niewprawną i powierzchowną, bardzo uprzejmą. Kiedy wyłoniły się jakieś trudności paszportowe, wdał się w rozmowę nasz ksiądz i to poskutkowało. Ponieważ przybiliśmy do brzegu w Las Arenas, willowo nadmorskiej przyległości Bilbao, odległej od niego o kilkanaście kilometrów, i ponieważ tramwaje nocą nie chodzą, wynikły z kolei trudności z noclegiem. Ksiądz okazał się znowu wszechmocny. Wraz z nim i jego znajomym z urzędu celnego przeszliśmy do sąsiedniej bardzo ładnej willi, zajętej dla celników. W pokoju, który nam dano, brakowało nieco mebli, ale panował porządek. Nad łóżkiem wisiał duży obraz Matki Boskiej Bolesnej, na co ksiądz zwrócił nam uwagę.

Rano raz jeszcze ofiarował się ze swą pomocą, biorąc nas do samochodu i odwodząc ze sobą. Pokazał, przejeżdżając, kościół, w którym tegoż rana odprawił mszę świętą, i najwidoczniej podkreślał nam jak mógł wolność kultów zachowaną przez Euskadi. Przejechaliśmy przez miasto fabryczne, źle zabudowane, nieładne, wciśnięte między góry zieleniejące wiosenną trawą a sady zaczynające kwitnąć. Ksiądz złożył swoje rzeczy w plebanii małego kościółka, z zakrystią jak wszystkie zakrystie. Właśnie paru księży modliło się po mszy. Odjechaliśmy do centrum miasta, gdzie nad gmachem wielkiego hotelu wisiały dwa sztandary: republiki hiszpańskiej i kraju Basków. Naprędce utworzona gwardia w ciemnogrnatowych mundurach, z czerwonymi wyłogami i w ogromnych beretach trzymała wartę. Na nasz widok, a raczej na widok naszego księdza, sprezentowano broń. Przeszliśmy korytarze pełne ludzi, zadymione. Lśniły tylko nowe witraże w klatce schodowej, noszące już owieńczony dębem herb kantonów baskijskich. Przeszliśmy do apartamentu, nad którego wejściem widniało: „*Jefe de relaciones extranieros*”. Szef stosunków międzynarodowych młodego państwa było to coś pośredniego między Beckiem, Przeździeckim i Świącickim; nieco minister spraw zagranicznych, trochę szef protokołu, trochę szef prasowy. Nazywał się Bruno de Mendiguren. Przyjął nas po chwili w swoim gabinecie. Był ze swym sekretarzem na ty, a do nas zwrócił się z najbardziej ujmującym szczerym i prostym uśmiechem, jakim kiedykolwiek zwracał się do ludzkości szef prasowy jakiegokolwiek państwa. Nie miał lat trzydziestu, a wyglądał na mniej. Obrączka na palcu z trudem podtrzymywała powagę tego młodocianego dostojnika. Przypominał może nieco z rysów twarzy Edwarda VIII. Nam jednak przypominał w dziwny sposób różne nasze akademickie władze z bratniaków⁶⁰⁶, bibliotek słuchaczy prawa, mens akademickich. Nad jego biurkiem wisiała fotografia innego młodego człowieka. Mógł

⁶⁰⁴*Tricolore* (fr.) — trójkolorowa, określenie flagi Republiki Francuskiej. [przypis edytorski]

⁶⁰⁵*Bilbao* — miasto w pln. Hiszpanii, w Kraju Basków, u ujścia rzeki Nervión do Zat. Biskajskiej. [przypis edytorski]

⁶⁰⁶*bratniak* (pot.) — Bratnia Pomoc, nazwa studenckich organizacji samopomocowych. [przypis edytorski]

mieć lat trzydzieści trzy, cztery. Wyglądał tak właśnie, jak wygląda, fotografując się po raz pierwszy po swoim wyborze, jakiś Kurcusz, Wisłocki czy Dembiński. Jak prezes bratniaka. Był to prezydent Euskadi. W korytarzach barcelońskiej *generalidad* widziałem ludzi takich, jakich widuje się w dymie kawiarni, w gwarze niekończących się rozmów na niezgłębione tematy. Ludzie ci byli ministrami rewolucyjnej Katalonii. Z limuzyn przed pałacem ministerstwa wojny w Madrycie, gdy szedł od Getafe huk armat, wysiadali ociężali i podstarzali politycy partyjni, Caballero, Prieto⁶⁰⁷, Azana, del Vayo, wieloletni redaktorzy i posłowie, dla których ciężar wydarzeń, wielkość odpowiedzialności i władzy przyszła pospołu z siwizną, z tyciem, początkiem sklerozy, za późno. To same brzemię władzy opadło tutaj na ramiona młode, prawie młodzieńcze, pewno za słabe. Te ramiona może się pod tym ciężarem ugną i złamią. Może dojrzeją i okrzepną. Nie wiemy, zobaczymy. Na razie jest to jedyna część Hiszpanii, gdzie to, co doszło do głosu, to, co rządzi, jest pokoleniem młodym, pokoleniem moim. W Polsce to pokolenie skrępowano nawet w dziedzinie rządzenia bratniakami. Tutaj, w Euskadi, ono kieruje państwem.

Państwo, Naród, Młodość,
Urzędnik

Napisałem: państwem. Czy nie przesada, gruba przesada? Co im dał Madryt w dniach, gdy w Gran Via waliły armaty generała Franco, to była tylko autonomia. Nieco więcej od tego, niż ma u nas Śląsk. Trzepoce się nad tym, to prawda, sztandar nowy, o podwójnym krzyżu, zielonym i białym na czerwonym tle, jest herb heraldyczny z jakimiś drzewami, wieżami i górkami, w swym wieńcu hieratycznym dębowych liści, jest ten prezydent, który w swym orędku nazywa siebie „prezydentem wszystkich Basków”. Ale takie państwa między rokiem 1918 a 1921 rodziły się i nikły na Krymie i we Lwowie, na Kaukazie i nad Donem kozackim. A to jest tylko autonomia...

To prawda, ale prawdą jest jeszcze co innego. Prawdą jest, że ten autonomiczny kraik wykonywa władzę państwową choćby dlatego tylko, że jest zupełnie odcięty od szamocącej się wśród własnych trosk stolicy państwa. Prawdą jest, że ten kraik ma dziś swoją armię, swoje karabiny i pułki, swój front, że na tym froncie walczy o całość swego terytorium. Prawdą jest, że jednocześnie na zapleczu organizuje na nowo rozpadłą władzę, jak my, Łotysze czy Estowie organizowaliśmy w roku 1918. I prawdą jest, że jadąc, minęliśmy czerwony sztandar nad lokalem komunistów, a także księży wychodzących z kościoła, a tej wspólnej możliwości nie ma jak Hiszpania długa i szeroka. Gdybym tutaj przyjechał z Europy, może bym tego nie rozumiał. Ale przyjeżdżam z Hiszpanii. Wiem, jakim trudem i jakimi wartościami buduje się ład w ogniu rewolucji. Widziałem w Katalonii rządy ludzi z kawiarni, w Madrycie rządy ludzi z partii, którzy nie umieli zatrzymać zniszczenia. W tej chwili właśnie taka władza z bratniaka, ów Beck-Przeździecki-Święcicki, Bruno Mendiguren, podaje mi jakieś zdjęcia czy materiał informacyjny. Wykonywa taki sam ruch, jaki by w podobnych warunkach wykonał może Święcicki w prezydium rady ministrów, może Skiwski w ministerstwie spraw zagranicznych, może inny urzędnik. Ale ja wiem dobrze, ile wysiłków uprzednich, licznych, ogromnych, musiało się złożyć na to, żebyśmy tu siedzieli wszyscy, ksiądz Urrutia, my przybyli morzem i wreszcie ten młody chłopak — i żeby mógł wykonywać tak spokojnie, w kraju zalanym rewolucją, taką normalną, urzędową czynność.

STARSI OD HELLADY

Okna naszego pokoju wychodzą jednocześnie na szeroki plac i wąską uliczkę. W szeroki plac wdziera się ramię wielkiego kanału, u kamiennej bariery nadbrzeża kołyszą się duże barki, czernieją podniesione teraz do góry dwie połowy zwodzonego mostu, który rozchyła się, aby przepuścić aż dotąd, do środka Bilbao, statki handlowe z portu. Małą, ciasną uliczkę zamyka gotycka wieża i wielki portal kościoła. Drzwi w tym portalu nie zostały ani spalone, ani zamurowane, są otwarte. Żadne z gotyckich żebrowań nie szerniło się innym dymem jak dymem kadzidel, nie zarysowało innej szczerbą jak własnej starości. Kamiennym świętym z portalu nie ucięto błogosławiącej ręki. Daleki ocean co dnia swoim przepływem podnosi wody w Bilbao, ale niedaleka rewolucja nie przeszła wąskim kanałem tej uliczki. A przecież przeszła. Z domu między mną a kościołem powiewa duży

⁶⁰⁷Prieto, *Indalecio* (1883–1962) — hiszpański polityk socjalistyczny i dziennikarz; przewodniczący PSOE (Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej), minister kilku resortów w okresie Drugiej Republiki Hiszpańskiej. [przypis edytorski]

pląt czerwonego sztandaru. Jest to lokal „komsomołu”⁶⁰⁸. Dom niemal przylegający do kościoła wywiesił czarno-czerwoną flagę anarchistów. Ręce świętych z portalu kościoła, wzniesione w hieratycznym ruchu, błogosławią ulicę. Na tej ulicy niekiedy podnoszą się w górę, na czyjeś powitanie, ręce żywych ludzi, ściśnięte w pięści, ruchem, który nie ma nic w sobie z hieratyzmu. I ulica ta jest hiszpańska, i domy hiszpańskie, i kościół wzniosły ręce budowniczych hiszpańskich, i mowa tych ludzi jest hiszpańska. Trzeba jednak przyjechać z Madrytu, z Walencji, Barcelony, z frontów południowych, z Iznalloz i Guadix, żeby odczuć, jak bardzo to Bilbao nie jest dziś hiszpańskie.

Patrzac, widzi się najpierw miasto takie jak Sosnowiec, jak Białystok, to znaczy przemysłowe, źle zbudowane, nędzne i bogate. Luksus wielkich banków sąsiaduje z brudem nędzy. Chaos budowniczy i społeczny. Kopalnie, wchodzące wprost w miasto, złoża najbogatszych po Rifie rud żelaza, rozryły całe wzgórza. Bilbao leży w dolinie, nad rzeką i kanałami, niczym na skraju rynsztoka. Ale nad tym Sosnowcem brudnym i nędznym falują zielone fałdy gór. Tej zieloności nie ma na płowych płaskowzgórzach Hiszpanii, nie ma też lasów szumiących nad miastem. Jakies Zakopane, jakies Karpaty, z połaciami wielkich polonin. Na stokach rozsiadłe, przysiadłe do ziemi chaty. Góry ciągną się daleko, rosną powoli amfiteatrem, tak że tych chat widzi się dużo. Wieś baskijska nachyliła się nad miastem czarnym i bez wyrazu. Jej światelka wieczorami błyszczą między sferą ogni hutniczych i sferą gwiazd. Nigdzie wieś nie stała się czymś tak górującym nad miastem wzniesionym ponad nie. Nigdzie nie patrzy tak z góry i nigdzie miasto nie jest tak bardzo u stóp swej wsi.

Wyższość nie jest tylko topograficzna. Jest jeszcze gospodarcza. Chłop, który mieszka w tym domu przykucnym⁶⁰⁹ nad miastem, jest możniejszy gospodarczo od robotnika. Pochodzi z kraju, który zachował poprzez wieki, niemal nieurunionie, bogate chłopstwo, kmiecia, którego zatraciła Polska pierwszych Piastów, odgrzebała w XIX w. Dania, utrzymała Szwajcaria i Styria. W końcu XIX w., w początkach naszego, wyrósł spod ziemi oparty na żelazie przemysł. Miasto stało się wielkim portem, wielkim centrum przemysłowym. Zaczęło swą rudę wywozić i przerabiać. Z piętnastu tysięcy ludności wzrosło do stu. Rozrost miasta, rozrost przemysłu dały chłopstwu baskijskiemu więcej, niż mogły dać wszystkie reformy. Na stokach wyrosły ogrody warzywne, nowoczesne hodowle drobiu, nowoczesne obory. Nie przybyło ziemi na górach, ale to, co daje ziemia, zwiększyło wielokrotnie swą wartość. Bezrolni szli do tego miasta u stóp chat. W fajeranty⁶¹⁰ widzi się ludzi ciągnących z miasta na wieś. Robotnik, idący w dzień wolny w góry, nie idzie raz tu, raz tam na „weekend”. Idzie do swoich. Tam w górze jest jego chata, chata jego rodziny. *Caserio el solar*, co pochodzi od słowa *el sol* (ziemia) i podkreśla związek domu z gruntem. Cały dzień wolny spędza tam właśnie. Dzieci jego, urodzone w mieście, znają dawny *solar*. Wiedzą, jak się tam uprawia, co się sadi, wiedzą, jak i dlaczego zwie się tak a nie inaczej. Każdy *solar* ma swoją nazwę. Dzieci wymawiają tę trudną nazwę w euskera, mowie Basków: „*Etchesauri*”, „*Etche-jauna*”, „*Etche-isagaray*”. Wróć do miasta opalone wiatrem polonin, zarumienione powietrzem, które spłucze z nich bladeść miejską, nizinną przejrzystość cery, ziemistość policzków, a także strugami dziwnej tajemniczej mowy Basków zmyje namuł kastylski.

Bo oto jeszcze jedna przyczyna, dla której ta wieś, nie tylko w topograficznym znaczeniu, patrzy z góry na miasto. Wieś jest baskijska. Miasto — to przybysze kastylscy, czerń robocza i nędzna, przybiegła tu zza Burgos, zza Valladolid, za najnędzniejszą pracą. Jeszcze jedni bracia i siostry Róży. Świat bez wczoraj i bez historii. A wieś baskijska to Baskowie. Kto to są Baskowie? Nie wiem. Ale i nikt nie wie. Co to jest mowa Basków? Też nie wiem i znowuż nikt tego nie wie. Baskowie i wszystko, co się nich tyczy, jest taką samą tajemnicą historii jak olbrzymy na Wyspach Wielkanocnych, jak menhiry Bretanii, jak znaczenie Sfinksa, lwa o twarzy kobiecej, jak Atlantyda. Wiemy o tym mniej niż o przedhistorycznych kopcach pod Krakowem. Nazwy dziecka dla ojca i matki, niemal te same we wszystkich językach indoeuropejskich, są u Basków zupełnie inne.

⁶⁰⁸ *Komsomol* (skrótowiec od ros. *Kommunističeskij Sojuz Molodioży*: Komunistyczny Związek Młodzieży) — komunistyczna organizacja młodzieży w Rosji Radzieckiej i ZSRR, powstała w 1918. [przypis edytorski]

⁶⁰⁹ *przykucny* — dziś raczej: przykucnięty. [przypis edytorski]

⁶¹⁰ *fajerant* a. *fajrant* (pot., z niem.) — koniec dnia pracy a. przerwa w pracy; czas wolny po pracy. [przypis edytorski]

Miasto, Wieś, Góry, Chłop,
Robotnik

Naród, Słowo, Wolność,
Dziedzictwo

Przypominają za to słowa japońskie. Rozszerzają się tam, nie kurczą, mroki zagadki. Cóż wiemy dalej? Wiemy, że Gotowie i Arabowie, wszystkie najazdy, które przemieniły Hiszpanię, zarywały częściami ziemię Basków, nie zdołały jej osiągnąć nigdy. Taka Abisynia, która nie znalazła swego Badoglia⁶¹¹. Lasy hiszpańskie wycięto wtedy w pień i już nie odrosły. Lasy, ongi nieprzebyte, szumią dalej zielono nad krajem Basków, Nawarrą i Guipuzcoą, Alabą i Biskają. Burgos jest enklawą wkrojoną w te ziemie. Cóż wiemy o nich więcej? Że jedno ich podbiło: chrześcijaństwo. I znowuż nie dosięgli tego ryce-rze-biskupi z Toleda, wojenni książęta kościoła hiszpańskiego. Katolicyzm przyszedł tu późno, ale z jednego z najczystszych swych źródeł: wielkiej reformy kluniackiej. Synowie św. Benedykta, którzy — dziwnym trafem — nie przeszli przez Hiszpanię, dotarli aż w bory i bez wojny uczynili chrześcijańskim naród współczesny Mojżeszowi, ostatnim faraonom, Grecji wojny peloponeskiej, Rzymowi republiki. Kiedy z wygaśnięciem królów tych państw, małych jak dawne Teby i Lacedemon⁶¹², przysła tutaj Kastylia, jej władcy zachowali tylko stosunkowe nad krajem władztwo: wszystko stanowiły rady ludu. Król przysięgał na wierność prawom i przywilejom starym. Przysięgał tak Baskom Nawarry, Guipuzcoi, Alaby i Biskai Ferdynand Katolicki, przysięgał cesarz i król Karol V, przysięgał Filip II. Kraje te mogły zawierać własne traktaty z Anglią czy Francją: królowi było nic do tego. Od nich tylko zależało, czy dadzą Madrytowi rekruta, czy też wojny królewskie uznają za niepotrzebne. Republika góralsko-chołopsko-szlachecka trwała. Podobnie jak chłopci szwajcarscy i częściowo niemieccy, posiadała swoje herby, nazwania i wywody. Natomiast nie posiadała tytułów! Żaden skastyliaty Bask nie mógł przyjąć tytułu królewskiego, wywodzącego się z ziem, które tu posiadał. Nie można było aż po wiek XIX zostać księciem San Sebastian. Dostawszy tytuł, Bask musiał się stąd wynosić. Brał swój tytuł z dóbr posiadanych czy otrzymanych w Kastylii Starej lub Nowej, w Quence, w Aragonie, w Andaluzji, w Meksyku. Nie mógł go wziąć stąd. Kraj zachował swe formy prawne, ustrojowe i pojęciowe wykształcone w czasach, kiedy bory szumiły nad Tamizą, a lud rzymski przemieniał swą monarchię w republikę oligarchów. Nie znał nieszlachty i nie znał magnaterii. Sprawował sądy i odbywał rady pod świętym dębem. Światem szły burze, ginęły i zjawiały się narody, papieże zastępowali drogi hordom idącym na Rzym, Attyla⁶¹³ władał znad Dunaju. W górach osłoniętych oceanem i obronnych lasem przetrwała jakaś Atlantyda wymarłych ludów, jakiś odłam zaginionej całości, żyjący własnym prawem, niezależnym od swej siły i liczby.

Tylko jednostki, wyrzucone jak race z owej rasy ludzkiej, mówiły o jej ogromnych, zatajonych jak kwarc w rudzie ziemnej, możliwościach. Podlegli Kastylii Baskowie owdądnęli nią, tak samo jak podbita przez Litwę Białoruś władała z kolei tą Litwą, jak Niemcy bałtyccy gospodarzyli Rosją, jak ludzie z Litwy i Ukrainy zarządzili rzeczpospolitą szlachecką. Zorganizowali jej zamorskie imperium, rozszerzyli je szeregiem wypraw. Zawładnęli w naszych czasach finansami Hiszpanii. Z górą połowa kapitałów hiszpańskich pozostaje dziś w ręku Basków. Baskiem z pochodzenia był Unamuno. Baskami byli założyciele jezuitów: Loyola i Franciszek Ksawery⁶¹⁴. Pierwsi szermierze tego zakonu, milicji soboru trydenckiego, kontrofensywy, która powstrzymała pochód protestantyzmu w świecie, wyszli stąd właśnie. A jednak masa, sama masa, pozostała bierna, oporna i milcząca. Pozbawiono ją w XIX w., w imię liberalizmu, jej praw i *fueros*⁶¹⁵. Złamano jej formalną odrębność. Materialnie ta odrębność nie przestała wzrastać. Nad miastem, które przez napływ sił roboczych stawało się kastylskie, nad światem banków i fabryk, który czerpiąc zyski z Kastylii, musiał czuć się kastylski, wznosił się świat chłopskich *solarów*. Taki świat patrzeć musiał na świat pod nim nie tylko, jak góral patrzy na człowieka z nizin, nie tylko jak zamożny na biedaka, ale jeszcze przemierzał tę dolinę zmniejszoną i skastyliatą, jak

⁶¹¹Badoglio, Pietro (1871–1956) — włoski dowódca wojskowy i polityk; od października 1935 głównodowodzący włoskich wojsk inwazyjnych podczas agresji na Etiopię, używał broni chemicznej do niszczenia wojsk etiopskich, zajął Addis Abebę; po kampanii otrzymał od króla Wiktora Emanuela III tytuł księcia Addis Abeby i został mianowany generalnym gubernatorem i wicekrólem Etiopii. [przypis edytorski]

⁶¹²Lacedemon — Sparta. [przypis edytorski]

⁶¹³Attyla (zm. 453) — wódz Hunów, twórca imperium, najgroźniejszy z przeciwników cesarstwa rzymskiego swojej epoki. [przypis edytorski]

⁶¹⁴Franciszek Ksawery, właśc. *Francisco de Jaso y Azpilicueta* (1506–1552) — jeden z ojców założycieli zakonu jezuitów; ur. w zamku Xavier w Królestwie Nawarry (dziś: Hiszpania). [przypis edytorski]

⁶¹⁵*fueros* (hiszp.; lm) — przywileje prawne. [przypis edytorski]

rasa, kultura i tradycja patrzą na bezkształt, który jutro może nowe pocnie światy, ale wczoraj nie istniał wcale. Tak musieli patrzeć wielmoże białoruscy na kneziów pogańskich Olgierda, tak patrzyła Grecja Demostenesa⁶¹⁶ na swych zwycięzców z Macedonii.

Taki kraj musiał przylgnąć tak właśnie do kościoła. Katolicyzm musiał wejść tu w krew tak podgłębnie, jak wszedł.

Jest to najpierw to samo, co się działo na mniejszą skalę w zachodniej Polsce, na największą na Słowaczczyźnie, wśród Ukraińców Galicji Wschodniej, na Litwie kowieńskiej. Ksiądz był pierwszym inteligentem, który wyszedł ze wsi. Był pierwszym działaczem ludowym budzącego się narodu. Jego kazania były pierwszymi mowami, pierwszym oknem na świat otwartym po słowacku, po polsku, po litewsku czy rusku. Jego wpływ szedł od ambony, od ołtarza i konfesjonau, w dniu świąt, z tego kościelnego *residuum*⁶¹⁷, które stanowi po dziś dzień minimum życia społecznego dla nierozbudzonych wsi i nierozbudzonych narodów. Ten ksiądz mówił w euskera, stanowiącym sezam niedostępny dla księży z Kastylii, w mowie ojców, wyśmiewanej, wypartej, trudnej. Ten ksiądz wyszedł ze wsi, z ludu, i gdy teraz w niedzielę w jasnym ornacie intonował u ołtarza modły łacińskie, wieś baskijska była dumna ze swojaka. Tak bywało zresztą i pod Turczańskim Świętym Marcinem⁶¹⁸, i pod Sokalem⁶¹⁹, tak bywało pod Upitą⁶²⁰, a także w Pszczynie⁶²¹, tak bywało i nad Atlantykiem Zatoki Biskajskiej. Tylko że nad Zatoką Biskajską było jeszcze inaczej.

Co uderza, to to, że mówiąc o sobie, Bask nie mówi: „mój szczerp, mój naród”. Mówi: „moja rasa”. Mówi tak, jakby mógł mówić ktoś uważający się za Słowianina czy Germanina, nieznający w tym pojęciu poddziałów na narody. Baskowie uważają się za rasę. Podobno jako krew są jednym z plemion najczystszych w Europie. Baskowie mają pojęcie zarazem swej odrębności i swego uniwersalizmu. Nasi Ukraińcy przymierzają swoje zwyczaje, pojęcia prawne do rosyjskich, do polskich czy tatarskich. Baskowie swoje instytucje prawne zestawiają z prawem rzymskim. Przy całym poczuciu swej liczebnej małości, przy braku megalomanii młodych narodów, Baskowie czują się zawsze ostatnimi dziedzicami pochłoniętej przez historię Atlantydy etnicznej. Są małym, ale pełnym, skończonym w odmienności swych dróg historycznych, światem. Katolicyzm nie jest tu tylko, jak nad Wagiem⁶²² czy Niewiażą⁶²³, matką schylającą się nad kolebką najmniejszego, najpowolniej ząbkującego dziecka, to nie tylko ogrom gotyckiej katedry, gdzie mały, pokonany i nieszczęśliwy narodzik szuka owych przystani-kaplic, o których pisał Stanisław Brzozowski⁶²⁴. To naród, który był świadkiem dziejowym czasów, gdy msze odprawiały się nie u Świętego Piotra i nie w Kolonii, ale w podziemiach cmentarzy Rzymu Karakalli⁶²⁵ i tej pierwszej, w użyczonej przez jerozolimskiego właściciela gospody, sali wieczerniku, a także poprzedzających to wszystko o całe wieki zapowiedzi proroków. Baskijskość i katolicyzm jednoczy uniwersalizm. Znam tylko jeden naród nie mniej stary od Basków, który mógłby katolicyzm rozumieć tak, jak go rozumie ten naród.

Robotnicy, którzy wyszli z tego ludu, nie mogli palić kościołów.

Zadecydowała o tym przeszłość, przeszłość grodziska chłopskiego na stoku wzgórza, przysiadłego ze swym szerokim, spłaszczonym dachem, pod którym wszystko się mieści. Zadecydowało coś więcej niż niestracenie związku z ową chłopską przeszłością. W to miasto leżące na dole robotnik baskijski wniósł całą tę odrębność, jaką zawsze niesie z sobą

⁶¹⁶*Demostenes* (384–322 p.n.e.) — mówca i polityk grecki, przeciwnik macedońskiej dominacji w świecie greckim, głośny zwłaszcza dzięki swym mowom przeciw królowi macedońskiemu Filipowi (tzw. filipiki); uczestnik bitwy pod Cheroneą (338 p.n.e.), zakończzonej klęską, w wyniku której prawie cała Grecja została podporządkowana Macedonii. [przypis edytorski]

⁶¹⁷*residuum* (łac.) — pozostałość, reszta; resztki. [przypis edytorski]

⁶¹⁸*Turczański Święty Marcin* — ob. Martin, miasto powiatowe w środkowej Słowacji, do 1951 noszące nazwę Turčiansky Svätý Martin, od św. Marcina z Tours, patrona miasta. [przypis edytorski]

⁶¹⁹*Sokal* — miasto na Ukrainie, w obwodzie lwowskim. [przypis edytorski]

⁶²⁰*Upita* — wieś, dawne miasteczko na Litwie. [przypis edytorski]

⁶²¹*Pszczyna* — miasto w pld. Polsce, w woj. śląskim. [przypis edytorski]

⁶²²*Wąg* — rzeka w zachodniej Słowacji. [przypis edytorski]

⁶²³*Niewiaża* — rzeka na Litwie, jeden z głównych dopływów Niemna. [przypis edytorski]

⁶²⁴*Brzozowski, Stanisław* (1878–1911) — polski filozof, pisarz, publicysta i krytyk literacki epoki Młodej Polski. [przypis edytorski]

⁶²⁵*Karakalla*, właśc. *Marcus Aurelius Antoninus Bassianus* (188–217) — cesarz rzymski (od 211); nadał prawa obywatelskie prawie całej wolnej ludności imperium. [przypis edytorski]

góral. Wniósł dalej swą odrębność etniczną, obcość elementowi kastylskiemu. Wniósł zespolenie z kościołem wsi baskijskiej. I jak to bywa z góralami, z ludźmi wmieszany-
mi naraz w obcy element, spróbował przenieść ile można z tej przeszłości w nowe życie. Rezultatem były baskijskie i katolickie syndykaty robotnicze, prowadzone zresztą w ca-
łości i od początku przez samych robotników, bez natchnień i patronów. To, czego nie
było w Barcelonie, stało się w Bilbao. Baskijska masa robotnicza urobiła się w duchu
narodowym i religijnym. Być może, złożyły się na to i inne czynniki. Wyższa niż gdzie
indziej w Hiszpanii oświata mas ludowych, wyższy poziom duchowieństwa, chłodny, nie
zapalny umysł Północy. Robotnik hiszpański w masie swej poszedł za Michailem Ba-
kuninem albo Karolem Marksem. Robotnik baskijski poszedł inną drogą. W ciężkich
dniach lipca i sierpnia stanął przed kościołem, swoim kościołem, nie pozwolił go spalić.
Stanął przed mieszkaniem swego księdza, nie pozwolił go ruszyć. Postawa tego księdza
była przez ten cały czas bierna. Pełnił obowiązki kapłańskie niczym ów ojciec Urrutia,
który przez rok 1936 zdołał tyle odprawić misji. Robotnik hiszpański nie miał swego
kościółka i nie miał swego księdza. Nie miał go robotnik barceloński. Robotnik baskij-
ski go miał. Księża baskijscy mają braci na wsi i w fabryce. Są swoi i — co trudniejsze
— pozostali swoi. Kościół jest swój. Nacjonalizm baskijski jest ludowy, jak nacjonalizm
barceloński był mieszczański i drobnomieszczański. Przetrwał sam jeden burzę. Dziś tym
małym krajem pragnie się zasłonić czerwona Hiszpania przed zarzutami Zachodu. Chce
powiedzieć, że to ona uszanowała księży, którzy przeciwko niej nie poszli. Jest to ryzy-
kowna teza. Robotnicy katolicy muszą jednak także w Bilbao pilnować kościołów przed
zamachami ze strony kastylskich, zadomowionych tu anarchistów. Jeśli kościół w kraju
Basków ocalał, zasługą tego była jego własna, istotna moc, nie oparta na pieniądzu, nie
oparta na systemie rządów, oparta na masie ludzkiej. Teraz jest wielki post. Setki osób
klęczą przed stacjami Męki Pańskiej. Kościoły pełne są wiernych. Gorzkie żale śpiewa
tłum ludzi. Temu tłumowi ludzkiemu kościół jest potrzebny tak samo, jak potrzebny mu
jest chleb i ochrona pracy, jak potrzebne są jasne domy i szkoły, prasa, która nie kłamie,
książka, która wyjaśnia. I jeszcze bardziej.

OCHANDIANO I DURANGO

Msza rozpoczęła się w chwilę po naszym zejściu z obchodu pozycji pod Ochandiano, tuż
koło zakrętu drogi, gdzie idąc na linię, zostawiliśmy nasz samochód. Ołtarzem były dwie
duże skrzynie od konserw, oparte mocno o drzewo. Dwa gumowe płaszcze żołnierskie,
z olbrzymimi połami i kapturami, wparto w gałęzie tak, że tworzyły szarą, osłaniającą
ścianę. Małe żółte świece mogły teraz migotać bez względu na silny wiatr i na mokry,
padający wciąż śnieg. W gałęziach szamotał się jeszcze z wiatrem duży sztandar baskijski,
czerwony, z białym krzyżem — symbolem chrześcijaństwa — w środku i z zielonym
krzyżem poprzecznym, po przekątniach, tzw. krzyżem św. Andrzeja, w którego to dniu,
w w. VIII, plemiona baskijskie odniosły wielkie zwycięstwo nad najeźdźcami z Kastylii.
Dopiero w cieniu tego wszystkiego rozpostarł się biały, zwyczajny, ale niezwykajnie tu
wyglądający, obrus, zająśniał złoty kościelny kielich, przykryty pateną⁶²⁶. Mszą dużego
nie było. Ksiądz czytał swe modlitwy z niewielkiego modlitewnika, w którym zresztą są
wszystkie modlitwy mszy świętej. Był to ten sam młodziutki żołnierz, którego poznali-
śmy przed chwilą. Spod ornatu i komży wyglądały grube, komiśne⁶²⁷ buty. Były takie
same, jakie nam dano na pójście do okopów i które z rosyjska nazywano „katuszkami”.
Służyło do mszy dwóch milicjantów otulonych w szerokie, ciemne płaszcze. Wokoło
drzewa i ołtarza, trzema wielkimi półkolami, stanęli wszyscy żołnierze batalionu, któ-
rzy nie mieli służby. Śnieg stapał się u naszych nóg w mokre, zimne błoto, przesłaniał
kontury drzew i gór, osiadał na odkrytych głowach. Nastąpiła cisza, w której było słychać
tylko wyraźny, znany jak pacierz, rytm modłów łacińskich i łoskot oderwanych strzałów,
dochodzący z okopów. W linii powietrznej najbliższe pozycje, zasłonięte teraz zboczem,
były o trzysta metrów. Ksiądz powiedział u stóp ołtarza: „*Introibo ad altare Dei*”⁶²⁸. Mi-

⁶²⁶ *patena* — mały metalowy talerzyk, na którym kładzie się hostię w czasie mszy. [przypis edytorski]

⁶²⁷ *komiśny* (rzad.) — wojskowy; taki, jaki przydziela się żołnierzom. [przypis edytorski]

⁶²⁸ *Introibo ad altare Dei* (łac.) — Przystąpię do ołtarza Bożego (Ps 43, 4; fragm. tekstu mszy katolickiej w rycie rzymskim, odmawiany przez kapłana). [przypis edytorski]

nistranci odpowiedzieli głośno: „*Ad Deum qui laetificat juventutem meam*”⁶²⁹. Słowa od stuleci drzemiące w mszałach, oplecione bluszczem iluminowanych, barwnych miniatur, leciały teraz z wiatrem w pustkę górską. Nie tłumił ich łacińskiej jasności głos organów, nie opelzał je chór śpiewów. Odarte z ozdobnego nalotu wieków, stały się teraz surowsze i prostsze. Brzmiały chyba tak, jak rozkazy rzucane niegdyś w tej samej mowie do centurii⁶³⁰ kroczących wzdłuż Ebra⁶³¹. Karabin maszynowy zaszczekotał donośnie, gdy ksiądz powtarzał greckie „*Kyrie Elejson*”⁶³². Pasternski dzwonek rozdzwiewał się w rękę schyłonych milicjantów na ofiarowanie. Odprawiała się jedna z coniedzielnych mszy świętych na jednym z odcinków baskijskiego frontu.

W tym świecie dzisiejszym, który nas w miastach, wielkich kłębowiskach, wymieształ, wierzących i obojętnych, różnych religii i żadnej, msza oddaliła się już, zatarła swe wyraziste kontury, jak stara moneta wytarta od użycia, machinalnie przesuwana z rąk do rąk. W kościele dzisiejszym ołtarz, niegdyś w środku jego, oddalił się na sam kraniec. Zamiast ludu, który odpowiadał księdzu i współuczestniczył w ofierze, stanęli dwaj ministranci. Słowa modlitw, nawet te najpiękniejsze, owe „*ad Deum qui laetificat juventutem meam*”, owe „*asperges me hyssopum et super nivem realbabor*”⁶³³, ściszyły się dziś w szept niedolatujący do tłumu, zrozumiały dla wielu, niewytłumaczony w swym sensie. Nieprzyjaciół z owego „*quare tristis incedum dum affligit me inimicus*”⁶³⁴ stał się czymś niejasnym, niewiadomym, dlaczego o nim tu właśnie, teraz i tak mowa. Wielkie słowa o *pax vobiscum*⁶³⁵ oderwały się od życia. Wiara i uczestnictwo katolika skupiły się całe jeszcze na jednym momencie, największym, na przemienieniu chleba i wina, i potem, na momencie komunii. Msza stała się takim kościołem o wieczorze, kiedy ze wszystkich ścian stopniowo spływa zmrok aż światło migocze tylko w środku, płomykiem oliwnej lampki. Ale teraz tego wszystkiego nie ma. Wszystko jest jak dawniej. Nie ma barokowych ołtarzy w chmury, draperie złożone i tłuste aniolki. Nie ma bogatego tabernaculum, za strop cały służą gałęzie buku, bezlistne, przybrane jedynie w sztandar baskijski. Kościołem ofiary są góry Pagotchici, niedostępne i pustynne, całe w śniegu i błocie mokrej, nadmorskiej zimy. Ludzie przybliżyli się do ołtarza, obścapi go wkoło jak w świątyniach romańskich, są blisko. Słowa księdza płyną wyraźnie w powietrzu, nic z nich nie ginie, każdy widzi każdy jego ruch, każdy współuczestniczy. Coś jeszcze większego spaja i odnawia to wszystko. Ołtarza nie obścapi ludzie starzy, bojący się śmierci. Obścapi go młodzi i ci młodzi patrzą codziennie i co godzina śmierci, prawdziwej śmierci w oczy. Ten ksiądz, który teraz celebrowa w jasnym ornacie, jest ich towarzyszem. Śpi na jednej pryczy z nimi, je z jednego kotła, a jeśli sam karabinu nie dźwiga, to przecież pełni przy nich, w linii, służbę pomocniczą dozwoloną przez kanony kościelne. Jeszcze jedna odrodzona wspólnota. To, co on głosi, jest dla nich zrozumiałe, bo nie ma mowy bardziej łacińskiej niż hiszpańska, to, co on głosi, jest im ponadto bliższe. Ów Bóg, do którego ołtarza ów ksiądz, jak mówi w pierwszych słowach mszy świętej, podchodzi, naprawdę dziś „*laetificat juventutem*” tych młodych. Zapytanie księdza „*quare conturbas me*”⁶³⁶ wydobywa jeszcze jedną z wojennych udręk sumienia. „*Spera in Deo*”⁶³⁷, stare słowa, napływają nową nadzieją, nadzieją ludzi walczących z siłą przemożną, nadzieją bijącego się o swój byt własny narodu. „*Quoniam adhuc confitebor illi*” — „albowiem wyznałem mu wszystko”. Ci ludzie naprawdę się spowiadają, powtarzając za księdzem: „*mea culpa, mea culpa, mea maxima*

⁶²⁹*Ad Deum qui laetificat juventutem meam* (łac.) — do Boga, który rozwesela młodość moją (Ps 43, 4; fragm. tekstu mszy katolickiej w rycie rzymskim, odmawiany przez ministrantów jako odpowiedź). [przypis edytorski]

⁶³⁰*centuria* — jednostka taktyczna wojska rzymskiego licząca stu piechurów. [przypis edytorski]

⁶³¹*Ebro* — najdłuższa rzeka Hiszpanii, przepływająca przez północną część tego kraju. [przypis edytorski]

⁶³²*Kyrie Elejson* (gr.) — Panie, zmiłuj się. [przypis edytorski]

⁶³³*asperges me hyssopum et super nivem realbabor*, popr.: *asperges me hyssopo, et mundabor; lavabis me, et super nivem dealbabor* (łac.) — pokrop mnie hizopem, a oczyszczony będę; obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję (Ps 51, 9; słowa psalmu biblijnego używane podczas obrzędu pokropienia wodą święconą ludzi zgromadzonych na mszy katolickiej w rycie rzymskim). [przypis edytorski]

⁶³⁴*quare tristis incedum dum affligit me inimicus*, popr. *quare tristis incedo...* (łac.) — czemu chodząc, narzekam, nieprzyjaciół się lękam (Ps 43, 2; fragm. tekstu mszy katolickiej w rycie rzymskim). [przypis edytorski]

⁶³⁵*pax vobiscum* (łac.) — pokój z wami. [przypis edytorski]

⁶³⁶*quare conturbas me* (łac.) — czemu mnie trwożysz (Ps 42, 6; fragm. tekstu mszy katolickiej w rycie rzymskim, odmawiany przez kapłana). [przypis edytorski]

⁶³⁷*Spera in Deo* (łac.) — ufaj Bogu (tu z Ps 42, 6; fragm. tekstu mszy katolickiej w rycie rzymskim, odmawiany przez wiernych). [przypis edytorski]

*culpa*⁶³⁸. Powietrze przesiekły znowu gęśniej strzały karabinu maszynowego, a oto ksiądz mówi, niestrzymanym, dwutysiącletnim śladem tej modlitwy swoje wezwanie: „*Sursum corda*”⁶³⁹, i tłum odpowiada mu, jak wszędzie i zawsze, ale inaczej niż zawsze, że te serca ma wzniesione w górę, że ma je w Bogu. *Habemus in Dominum*.

Na chwilę przerwała się msza. Młodziutki księżyk odwrócił się po ewangelii od ołtarza i wygłosił krótkie kazanie w euskera. Nie rozumiałem nic. Raz tylko myśl wypłynęła naraz na jakieś zrozumiałe dźwięki, jakby z gęstwy oczeretów⁶⁴⁰ przebrnąwszy na wolną tafelę małego jeziora. Ksiądz wymienił wyraźnie nazwiska: Bergson⁶⁴¹ i Maritain⁶⁴². Nie wiem, co ksiądz mówił o nich obu, bo kazanie potoczyło się dalej mową bliższą tej, którą mówią w Korei, niż tej, którą mówią w Burgos. Mowa ojców robiła sobie miejsce w tym łacińskim kościele ściosanym z psalmów biblijnych i rytuału poczętego w katakumbach. Było jej przestronnie i swobodnie. Zrastała się z tą *lingua latina*⁶⁴³, którą mówili centurionowie⁶⁴⁴ legii nadebrzańskich i legiści królów Nawarry. Na chwilę śnieg prawie przestał padać i zrobiło się jaśniej. Zarysowały się wyraźnie linie pozycji naszych, mniej wyraźnie nieprzyjacielskie, zbyt daleko, aby można było strzelać stąd do nas. Niemniej część żołnierzy musiała odstąpić niżej. Msza płynęła w ciszy, w migotaniu woskowych świeczek. Od ołtarza padały słowa modlitwy łacińskiej. Od okopów padały strzały.

Ksiądz już zrzucił ornat i w mundurze milicjanta baskijskiego modlił się po mszy. Ludzie jednak nie schodzili z miejsca. Stali grupami. Po chwili rozumiałem czemu. Kościoły baskijskie mają murowane przedsienie, ocienione sklepieniem nad kolumnami, gdzie w deszcz lub skwar przystają ludzie po mszy i gawędzą. Weszło to w nawyk i żołnierze, którzy jeszcze kilka miesięcy temu o karabinie i froncie nie mieli pojęcia, nie wyzbyli się nawyku wieków. Wyszedł jeden z milicjantów, dobył długi flet baskijski, *chistu*, i zaczął nucić długą, dziwną melodię, raz zawodzącą, raz skoczną. Żołnierze słuchali. Batalion zrekrutował się w Guipuzcoa, okolicach San Sebastian, najrdzenniejszym i najczystszy Euskadi, flecista pochodził z puebla, które od wieków słynie ze swej gry na *chistu*. Gdy skończył, zaczęli się rozchodzić nie jak żołnierze, ale właśnie jak chłopcy od kościoła po nabożeństwie.

*

Komendant Lizasso, szef batalionu, odwiózł nas do sztabu, gdzie czekał na nas obiad w towarzystwie oficerów i żołnierzy batalionu. Wszystko byli to Baskowie spod San Sebastian, wyparci pochodem białych, przeważnie robotnicy i studenci. Lizasso z zawodu był budowniczym. Muszę przyznać, że stop studencko-robotniczy okazał się bardzo szczęśliwy. Formacja była jedną z najbardziej znanych na froncie, najlepiej odznaczonych w boju. Ona jedna nie zawiodła w nieudanej⁶⁴⁵ ofensywie na Burgos. Panował nastrój bardzo prosty i koleżeński. W tym samym miasteczku mieścił się drugi, komunistyczny batalion, imieniem Stalin. Dowództwo grupy było też czerwone. Stosunki panowały poprawne. Niebawem miano zluźnić batalion i zastąpić go innym batalionem katolickim, noszącym nazwę Loyola. Myślałem, że chodzi o przedmieście San Sebastian i koszary tej nazwy, wokoło których rozgrywały się przed pół rokiem zaciekle walki: formacja mogła sobie przybrać za miano nazwę tej okolicy. Okazało się jednak, że nazwą tą chciano uczcić pamięć pewnego wielkiego Baska z XVI w., założyciela zakonu Towarzystwa Jezusowego. Mimo woli myślało się o szczególnej pikanterii sceny, gdy dwa oddziały tej samej armii będą miały tak różnych patronów jak założyciel jezuitów i władca czerwonego Kremla.

⁶³⁸*mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa* (łac.) — moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina (formuła modlitewna podczas mszy katolickiej w rycie rzymskim wyrażająca żal za grzechy). [przypis edytorski]

⁶³⁹*Sursum corda* (łac.) — w górę serca. [przypis edytorski]

⁶⁴⁰*oczeret* (ukr.) — trzcina; szuwary. [przypis edytorski]

⁶⁴¹*Bergson, Henri* (1859–1941) — francuski filozof, przedstawiciel irracjonalizmu i intuicjonizmu, twórca koncepcji *élan vital*, czyli pędu życiowego; za punkt wyjścia swej doktryny przyjął krytykę poznania intelektualnego na rzecz intuicji. [przypis edytorski]

⁶⁴²*Maritain, Jacques* (1882–1973) — francuski filozof, teolog i myśliciel polityczny, zakonnik; początkowo uczeń Bergsona, po przejściu na katolicyzm w 1906 jeden z głównych kontynuatorów myśli Tomasza z Akwinu w XX w., przedstawiciel personalizmu chrześcijańskiego. [przypis edytorski]

⁶⁴³*lingua latina* (łac.) — język łaciński. [przypis edytorski]

⁶⁴⁴*centurion* — w armii rzymskiej dowódca stuosobowego oddziału. [przypis edytorski]

⁶⁴⁵*nieudany* (daw.) — dziś: nieudany; ten, który się nie udał. [przypis edytorski]

W parę godzin potem wracaliśmy ku Bilbao. Nasz drugi towarzysz, Bask z pochodzenia, ale jednocześnie korespondent prasy amerykańskiej, zapragnął zatrzymać się w Durango, słynnej kwaterze powstań karlistowskich. Chciał odwiedzić klasztor augustianek znajdujący się w mieście. Mieliśmy z tym znaczne trudności. Drzwi były zamknięte i dzwonienie nie pomagało. Po chwili z ulic wyszli jacyś ludzie, z wyglądu robotnicy, wypytyjący nas nieufnie, czego chcemy. Wyjaśnienia zadowolili ich jednak, ale wiadomość o przybyciu dziennikarzy zagranicznych rozeszła się po mieście. My tymczasem dostaliśmy się w końcu do rozmównicy klasztornej. Za grubą kratą zjawili się kilka zakonnic. Powiedziały, że im nic nie grozi, że ludzie, którzy nas indagowali, to przyjaciele klasztoru, że strzegą je na wszelki wypadek. Jedyne ślad prześladowania zdołaliśmy już sami spostrzec. Oto brama i ściany kościoła były dokładnie oblepione afiszami komunistycznymi. Ponieważ nie było ich wcale na sąsiednich domach, mogliśmy sądzić, że nie było to wynikiem ani konieczności, ani przypadku. Wyładowywała się tu po prostu marna ludzka zawieść. Natomiast milicjanci, rozkwaterowani w części klasztoru, zachowywali się poprawnie, choć znajdowali się wśród nich niewątpliwie ludzie bardzo czerwoni. Poprzedniego dnia zwiedziliśmy w Amorrebieta klasztor karmelitów, częściowo zajęty przez formacje bojowe nacjonalistów baskijskich. Obrazy święte wisiały na swoim miejscu, wszystko było w największym porządku. Widziało się liczne habity pospołu z kurtkami wojskowymi. Po ogrodzie oprowadzali nas razem⁶⁴⁶ komendant zakwaterowanej tu milicji i przeor klasztoru. Władza duchowna i świecka współżyły ze sobą w większej harmonii niż średniowieczny papież i cesarz z Canossy⁶⁴⁷.

*

U wyjścia z klasztoru czekało natomiast parę osób, które najpierw naszemu towarzyszowi, a potem i nam samym zaczęły coś przekładać. Sprawa nie była zwykła. Oto dnia wczorajszego zapadł wyrok w wielkim procesie „tradycjonalistów” karlistowskich z Durango, którzy chcieli zrobić powstanie na rzecz białych. Tarczę miasta otacza dewiza łacińska, głosząca od pięciu wieków, że „*Durango noble, y leal a la corona real*”⁶⁴⁸. W murach kościoła drzemiały stare kule artylerii generała Espartera, cóż więc dziwnego, że karlizm odrodził się w starej swej stolicy. W procesie o zdradę stanu zapadło trzynaście wyroków śmierci. Szczęściem, w tej liczbie jedenaście było trudnych do wykonania, bo podsądni zdołali przedrzeć się przez linie bojowe i byli po tamtej stronie. Natomiast w stosunku do dwóch ludzi młodych, najmniej może winnych, posiadających rodziny, zapadł także wyrok śmierci. Ludzie dowiedzieli się, że jesteśmy cudzoziemcami i gośćmi rządu. Przyszli prosić o interwencję u Prezydenta. Oczywiście, przyrzekliśmy zrobić wszystko, co tylko chcą, zaznaczyliśmy jednak swoje wątpliwości, czy Prezydent będzie uważał tak bardzo na słowa obcych dziennikarzy. Nasz towarzysz zapewnił, że mimo wszystko może to odnieść skutek; rząd jest wrażliwy na opinię zagranicy; wie, jak i Madrytowi i Sewilli zaszkodziły w tej opinii masakry; w dodatku interwencją obcych dziennikarzy może tu rozwiązać ręce wobec miejscowych czerwonych, którzy stale zarzucają władzom zbytnią łagodność; rząd w tym wypadku zasłoniłby się jakby tą zagraniczną interwencją. Niedawno dziennikarka katolicka z Francji, pani Maletterre, wstawiała się za młodym jeńcem wojennym, Niemcem, kuzynem von Papena⁶⁴⁹. Sprawa obcokrajowca, ujętego z bronią w rękę na froncie, była zbyt wyraźna, pokrewieństwo ze zniechęconym wicekanclerzem pierwszego gabinetu Hitlera zaszkodziło mu jeszcze u komunistów, dość że nawet po poddaniu sprawy

⁶⁴⁶ *społem* (przest.) — razem, wspólnie. [przypis edytorski]

⁶⁴⁷ *Canossa* — miasto w płn. Włoszech z zamkiem, w którym w 1077 cesarz Henryk IV ukorzył się przed papieżem Grzegorzem VII, kończąc tym samym spór o inwestyturę (tj. prawo nadawania stanowisk kościelnych na terenie swego państwa), interpretowany jako spór o wyższość władzy świeckiej nad władzą duchowną. [przypis edytorski]

⁶⁴⁸ *Durango noble, y leal a la corona real* (hiszp.) — Durango szlachetne i lojalne wobec królewskiej korony. [przypis edytorski]

⁶⁴⁹ *Papen, Franz von* (1879–1969) — niemiecki polityk, dyplomata; członek katolickiej Partii Centrum, związany ze środowiskiem junkrów i wielką finansjerą; od 1932 kanclerz Rzeszy na czele rządu o profilu skrajnie konserwatywnym, objął Prusy zarządem komisarycznym, utorował drogę do władzy NSDAP; od 1933 wicekanclerz w pierwszym rządzie Hitlera; negocjował i podpisał w imieniu władz Rzeszy konkordat z Watykanem; w 1934 zrezygnował z urzędu wicekanclerza, pełnił funkcje ambasadora w Austrii, następnie w Turcji. [przypis edytorski]

nowemu badaniu ulaskawienia nie dało się wyjednać. W tym wypadku nie wchodzi w grę tyle animozji. Może nam się powieść lepiej niż pani Malaterre.

Nad wieczorem byliśmy w Bilbao i z zanotowanymi nazwiskami skazanych poszliśmy do Prezydenta. W niedzielę o tej porze nie było tu nikogo. Przyjął nas w biurze Prezydenta jakiś znudzony podsekretarz. Nie wprowadzając go w całą sprawę, zapytaliśmy tylko, czy wyrok wydany w sobotę zostanie jutro, tj. w poniedziałek rano, wykonany. Gdyby odpowiedział, że tak, byliśmy gotowi wyszukać gdzie można Prezydenta i prosić go zaraz o łaskę. Gdyby nie, mieliśmy czas zaczekać do dnia następnego. Sekretarz zadzwonił do kilku miejsc i wreszcie oświadczył, że nie. Wyrok zostanie wykonany dopiero pojutrze czy nawet za trzy dni.

W nocy przed dwunastą budzi nas stukanie do drzwi. Portier hotelu oznajmia, że dzwonią do nas z kancelarii Prezydenta z zawiadomieniem, że stracenie skazanych odbędzie się jednak nazajutrz o świcie. Kancelaria zapytuje, czy pragniemy asystować przy akcie; jeśli tak, samochód zajedzie po nas o szóstej rano. Proszą o odpowiedź. Oczywiście, pobiegliśmy na dół do telefonu. Łączymy się z kancelarią. Mówię, że nie o to nam chodziło. Że prosimy o skomunikowanie nas zaraz z Prezydentem, że pragniemy prosić o ulaskawienie. Zdziwiono się mocno. Zapytano, czy znaleźliśmy tych ludzi. Jeśli nie, czemu nam na nich tak zależy? Poprosiłem o telefon Prezydenta. Układałem krótko, a jak najlepiej słowa, które powiem. Żeby były najskuteczniejsze. Żeby nie urazić natręctwem, a jednak przekonać dość silnie. Co powiem? Jak powiem?

Po chwili telefon odpowiedział. Zawiadomiono, że Prezydent, czując się niedobrze, poszedł się położyć i zakazał się budzić. W jakiej sprawie? Powiedziałem, w jakiej. Nie zrobiło to żadnego wrażenia. Odpowiedziano tylko, że prawo łaski ma rada ministrów. Powiedziałem, że chcę prosić Prezydenta przynajmniej o wstrzymanie egzekucji. Usłyszałem odpowiedź, że i tego zrobić nie mogą, po czym naraz przełączono mój telefon na nowo z kancelarią. Zadzwoniłem najpierw do księdza Urrutii, potem do Mendigurena — bezskutecznie. Zadzwoniłem jeszcze raz do kancelarii. Tym razem odezwał się ktoś inny, bardzo uprzejmy i autorytatywny. Odpowiedział, że samochód już przygotowany na rano, wszystko gotowe, będzie przed hotelem, że możemy z niego skorzystać, żeby być świadkami egzekucji. Miałem wrażenie, że nie rozumieją zupełnie, ale to zupełnie, o co mi chodzi. Powtórzyłem raz jeszcze moją sprawę. Odpowiedziano mi wtedy, że mają tylko jedno wydane im polecenie: zapytania dziennikarzy polskich, czy pragną być świadkami stracenia, a jeśli tak, użyczenia im samochodu na godzinę szóstą. Więcej nic. Czego więc chcemy, czy mają nam służyć samochodem?

Wtedy utraciłem do reszty cierpliwość. Powiedziałem, że przyjechałem tu jako katolik do katolickiego państwa, że mam dość mordów, że czemuż się oburzają na Queipę de Llano w Sewilli, czemuż odżegnują od komunistów, skoro robią i tutaj krwawe widowisko ze straceń? Powiedziałem, że wyjeżdżam natychmiast, proszę o samochód, ale do portu, na pierwszy neutralny statek, że nie chcę tu nic widzieć, że dla świata tyle są wariaci, co Sewilla i kaci z Barcelony, że nic tu innego się nie dzieje jak w Hiszpanii. Cisnąłem słuchawkę.

Zacząłem się dopytywać o mieszkanie Prezydenta. Okazało się, że mieszka na wsi, o 14 kilometrów stąd. Mendiguren? Też na wsi, w innej stronie. Oto jeszcze jedno charakterystyczne dla tych ludzi. Są to wszystko ludzie z małej prowincji i nie ztracili z nią kontaktu. Ale teraz to utrudnia sprawę. Znaleźć jakąś niezarekwirowaną taksówkę? Naraz telefon zadzwonił znowu. Dzwonił Mendiguren.

Zrozumiałem, że się dowiedział o awanturze, że wie już, jak jego podwładni zrozumieli moje wieczorne zainteresowanie skazanymi, wie, co mi zaproponowali za widowisko, o co mi chodzi i co im powiedziałem przed chwilą. Zrozumiałem, jak ten człowiek, katolik, Europejczyk, wychowany w Belgii, ten, który mi przez te trzy dni tak wyraźnie odcinał swój kraj i rząd od krwawej Hiszpanii, musi się teraz wstydzić. Tłumaczył się, jak mógł najbardziej. Powiedziałem, że nie chodzi nam o to. Rozumiemy, zakładamy z góry, że ową wstrętną propozycję uczynił nam jakiś tępy urzędnik — Mendiguren przerwał, że ordynans (po francusku *ordonnance* znaczy nieco więcej niż nasz „ordynans”) — że nigdy i w żaden sposób nie myślimy obciążać za to narodu baskijskiego ani władzy, ani nikogo, że potrafimy to odróżnić, zapomnieć zupełnie, ale... Ale pozostaje dalej sprawa tych ludzi, których mają stracić o świcie. Jedno nie zmaże drugiego. Chodzi o życie tych ludzi.

Mendiguren obiecał, dał słowo honoru, zrobić wszystko, co może. Po półgodzinie odezwał się znowu telefon. Udało mu się sprawdzić, że Prezydent dotąd nie został oficjalnie zawiadomiony, że więc nie mogą ich rozstrzelać. Dla pewności za pośrednictwem ministra sprawiedliwości, również katolika, zadzwonił do więzienia. Sprawa musi przejść przez radę ministrów, która zbierze się we wtorek lub środę. Będę miał czas prosić Prezydenta. Rozstrzyga oczywiście rada, ale zdanie Prezydenta zawsze znaczy. O jedno mogę być spokojny. Rano ich nie rozstrzelają. A tamto? „Niech pan zapomni. Niech pan pamięta, że przez kilka wieków panował nad tym krajem cień Hiszpanii”.

WIELCY I MALI

José Antonio de Aguirre⁶⁵⁰, prezydent Euskadi, autonomicznego regionu trzech prowincji w łonie republiki hiszpańskiej, pierwszy po wielu wiekach władarz usamodzielnionej wspólnoty baskijskiej, przyjął mnie, jak to było umówione, w swym gabinecie, tuż obok dziesiątka podobnych pokojów, w których stukwały remingtony i szła pełną parą praca zmobilizowanych przemysłów, mająca dostarczyć frontowi odzieży i amunicji, żywności i broni. Prezydencja mieści się w dawnym hotelu i pokój prezydenta ma w sobie coś z owego hotelowego prowizorium, ale jednocześnie jest pełen największej prostoty. Na dużym biurku leżą posegregowane pliki akt. Poza nimi nie widzi się już nic więcej, prócz jednej tylko rzeczy. Wznosi się ona spośród nich kształtem ciemnym, dobrze znanym, ostrym. Jest nią duży krucyfiks z ciemnobrunatnego drzewa, stary, niezawodnie piękny, ale przede wszystkim najzupełniej prosty. Z pewnością nie jest to żadne dzieło sztuki. Ale nie jest to także szablonowy krucyfiks z naszych sądów, przedmiot stanowiący część inwentarową gmachu. Jest to jeden z takich, jakie znajdujemy czasem w starym domu, przy łóżku osób bardzo pobożnych, ale nieczyniących ze swej pobożności żadnej zewnętrznej ostentacji, pragnących tylko w swej głębokiej wierze moc składać u stóp owego znaku symbolicznego wiary swoje troski, nadzieje i myśli. Obecność tego krucyfiksów jest jedynym bardziej osobistym piętnem, wyciśniętym na tym bezosobowym pokoju. Człowiek, który go tu przyniósł, stoi właśnie przede mną. Średniego wzrostu, ciemny, bardzo baskijski i młody. Jeszcze jeden młody. Jeszcze jeden, który wydaje się bardziej młody może, niż sam jest, z całą swoją powagą, z całą skromnością, która mu patrzy z oczu. Przez chwilę myślę o małym Dollfussie⁶⁵¹. Ale to jeszcze coś innego. I już siedząc naprzeciw niego, zadaję moje pierwsze pytanie:

— Znalіśmy zawsze Basków jako ludzi głęboko przywiązanych do wiary katolickiej, do swej narodowości, do tradycji. W zeszłym stuleciu oni właśnie byli najwierniejszymi szermierzami sprawy znanej pod nazwą karlizmu. Jeszcze teraz wielu Basków walczy w szeregach powstańców. Wy, tutaj, jesteście z przeciwnej strony. Jesteście z Frontem Ludowym. Czy mógłby mi Pan, Panie Prezydencie, wyjaśnić przyczyny, które skierowały was na tę drogę?

Prezydent namyśla się chwilę, potem odpowiada:

— W tym, o co pan pyta, muszę najpierw sprostować parę rzeczy. Przede wszystkim nie jesteśmy, jak to pan powiedział, *avec le Frente Popular*⁶⁵². To nie jest ściśle. Co jest ściśle, to to, że my, nasze wolności, nasze prawa, nasze ideały, nasz naród baskijski, zostaliśmy zaatakowani jednocześnie i przez tych samych ludzi, którzy zaatakowali legalny *régime* hiszpański. Napadnięto nas, bronimy się, będziemy się bronili. Oto jak jest. Mówi mi pan, że wielu Basków walczy po tamtej stronie. Odpowiem, że my, władze Euskadi, zgodzimy się w każdej chwili, choćby zaraz, na plebiscyt, referendum ludowe, zarządzane na całym terytorium zamieszkanym przez Basków, referendum przeprowadzone oczywiście w warunkach najzupełniej legalnych i neutralnych, w którym ludność naszego kraju

⁶⁵⁰ Aguirre, José Antonio de (1904–1960) — baskijski polityk, przywódca Baskijskiej Partii Narodowej, od 1931 ubiegał się o autonomię regionu baskijskiego; od października 1936 roku szef (*lebendakari*) autonomicznego rządu baskijskiego, walczącego po stronie Drugiej Republiki; w 1939 wyemigrował, przewodził rządowi baskijskiemu na wychodźstwie. [przypis edytorski]

⁶⁵¹ Dollfuss, Engelbert (1892–1934) — austriacki polityk, jeden z przywódców Partii Chrześcijańsko-Społecznej; od 1932 kanclerz i minister spraw zagranicznych, wprowadził rządy autorytarne, tzw. austrofaszyzm; zamordowany podczas nieudanego puczu austriackich hitlerowców; o małym Dollfussie: Dollfuss wyróżniał się niewysokim wzrostem (155 cm). [przypis edytorski]

⁶⁵² *avec le Frente Popular* (fr.) — z Frontem Ludowym. [przypis edytorski]

mogłaby się wypowiedzieć w tych sprawach. O zwycięstwo w takim plebiscycie jestem spokojny. My z Bilbao przystępowalibyśmy do niego, niosąc uzyskany od Hiszpanii statut autonomii baskijskiej, odzyskanie naszej samodzielności zdeptanej przed wiekiem, cel naszych walk ostatnich. Z czymże przystępowaliby tu Baskowie-karliści z armii Moli?

I nie urywając, prezydent Aguirre przechodzi do dalszej kwestii.

— Wspomniał pan o jednej z wielkich w tym kraju spraw zeszłego wieku — o karlizmie. Zanalizujmy wreszcie, co się w tej sprawie i dla kogo mieści! Było i jest jeszcze wiele bardzo zagadnień, spraw bardzo różnych, ujmowanych jednak razem pod wspólnym mianem karlizmu. Zналиśmy przede wszystkim dawnych, pierwszych karlistów baskijskich. Sto lat temu chwycili oni za oręż. Chodziło o to, kto zasiądzie na tronie madryckim. Ale trzeba wiedzieć, że ta sukcesja dynastyczna odgrywała w motywach ich walki, jak zresztą i w całej Hiszpanii, rolę drugorzędną. Jeżeli ówczesni „liberali”, lewica hiszpańska sprzed lat stu, wzięli w Hiszpanii stronę królowej-wdowy i jej małoletniej córki, to przede wszystkim dlatego, że pretendent do tronu, brat zmarłego króla Ferdynanda, ów Don Carlos, dał się poznać jako zdecydowany przeciwnik liberalizmu, jako szef autokratycznej prawicy. Woleli po prostu mieć w Hiszpanii monarchię w stylu Ludwika Filipa⁶⁵³ niż Karola X⁶⁵⁴, niż Mikołaja I⁶⁵⁵. Dla Basków Don Carlos i jego zwolennicy mieli natomiast jedną dobrą stronę: oto jako zwolennicy tradycji dawnych wieków okazywali się skłonni do utrzymania odrębności lokalnych, starych przywilejów, dawnego stanu rzeczy, a w tym i odrębności baskijskich. Liberali, śladem rewolucji francuskiej, byli centralistami. Oto co nas pociągało w sprawie Don Carlosa. Najlepszym na to dowodem jest, że gdy generał Espartero obiecał, iż swobody nasze zostaną uszanowane, odstąpiliśmy od tej sprawy. Zostaliśmy jednak oszukani: liberali parlamentu madryckiego obalili w imię postępu w roku 1839 nasze *fueros*. I odtąd chwytałyśmy za broń przy każdej okazji, jaka tylko się nadarzyła. Wreszcie w końcu ubiegłego roku wyszedł z naszego narodu myśliciel, pisarz, nauczyciel i działacz, który nasz stary tradycjonalizm baskijski przekuł na współczesny nacjonalizm, taki jak innych ujarzmionych narodów. Był to Sabino de Arana Goiri⁶⁵⁶, założyciel stronnictwa, z którego wyszedłem. Inni pracownicy wyposażyli nas jednocześnie w zdobycze na każdym polu i utrzymując z szacunkiem nasze narodowe właściwości, uczynili z naszego kraju jeden z najwyższej stojących regionów z tej strony Pirenejów. My teraz kontynuujemy i tę pracę, i tę walkę. Czynimy w XX wieku to, co Polacy, Czesi i inne narody czyniły w wieku XIX.

Jak gdyby porządkując raz jeszcze wszystko, co może powiedzieć o karlizmie i karlistach dzisiejszych, dodaje:

— Tamto to byli dawni karliści baskijscy. W sprawie pretendenta to nie dziedzictwo tronu, nie absolutyzm, nie teoria prawa do władzy „z Bożej łaski”, nie monarchia Filipa II, były rzeczami, których pragnęli bronić. To były ich własne prawa i wolności, zaatakowane w tym samym czasie i przez tych samych ludzi, którzy atakowali prawa Don Carlosa. Wówczas stanęliśmy, jakby ktoś mógł powiedzieć, po stronie skrajnej prawicy. Dziś, jak znowu powie się niesłusznie, jesteśmy z lewicą. Wówczas i dziś będzie to błędne (*faux*). I wówczas, i teraz jesteśmy za naszymi prawami. *Gare à qui nous attaque!*⁶⁵⁷

— Karliści, karliści dzisiejsi — mówi jeszcze Prezydent — to właśnie autorytaryzm czysto prawicowy, który pociąga ich w tym wszystkim. To nie są obrońcy *fueros*. W karlizmie widzą przede wszystkim to, co dla naszych dziadów odgrywało najmniejszą rolę:

⁶⁵³Ludwik Filip (1773–1850) — król Francuzów, ostatni monarcha Francji z rodu Burbonów; proklamowany królem po obaleniu Karola X przez rewolucję lipcową 1830, sprawował rządy konstytucyjne, obalony przez rewolucję lutową 1848; czasy jego panowania to okres wielkich zmian we Francji: formowania się parlamentarizmu i współczesnych partii politycznych oraz rozwoju nowoczesnego kapitalizmu. [przypis edytorski]

⁶⁵⁴Karol X Filip (1757–1836) — król Francji (1824–1830), usiłował przywrócić monarchię absolutną; zrekompensował wielkim właścicielom ziemskim koszty obalenia feudalizmu, zwiększył władzę Kościoła katolickiego, zniósł wolność prasy i ograniczył prawa wyborcze; obalony w wyniku rewolucji lipcowej, po której powołano na tron Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

⁶⁵⁵Mikołaj I Romanow (1796–1855) — cesarz rosyjski i król polski (od 1825), syn Piotra I, brat i następca Aleksandra I; stłumił powstanie dekabrystów (1825), utworzył policję polityczną, tajną policję, zajmującą się inwigilacją działaczy społecznych, uczonych i artystów, wydał zakaz przyjmowania do szkół średnich i wyższych młodzieży nieszlacheckiej. [przypis edytorski]

⁶⁵⁶Arana y Goiri, Sabino de (1865–1903) — baskijski działacz narodowy, autor licznych prac o języku i historii Basków, współtwórca flagi Kraju Basków; w 1894 założył Baskijską Partię Narodową. [przypis edytorski]

⁶⁵⁷*Gare à qui nous attaque!* (fr.) — Strzeżcie się, którzy nas atakujecie! [przypis edytorski]

stronę legitymistyczną, monarchistyczną, prawo z Bożej łaski, autokrację. Idą ku niej poprzez wolność własnego kraju. Cóż się z nim stanie, jeśli zwyciężyli wojskowi? Przecież to właśnie wojskowi, nacjonaści hiszpańscy, prawica hiszpańska, która prowadziła najbardziej nieprzejednaną kampanię przeciw pierwszemu statutowi autonomicznemu, przygotowywanemu dla kraju Basków po nastaniu republiki? Czyż Baskowie zapomnieli o tej kampanii?

I uśmiechając się, dodaje:

— Przyszedł pan tu po wywiad aktualny, a otrzymuje pan tymczasem lekcję historii baskijskiej?

— Tym lepiej dla mnie — mówię. — Ale, jeśli Pan Prezydent pozwoli, ja z kolei będę mówił nieco o historii walki o wolność innych, dalekich i mało tu może znanych narodów, które walczyły w warunkach bliższych może wam z XX wieku, niż nam Polakom i Czechom, którzy przebyliśmy to samo w XIX...

— Niech pan mówi — zachęca Prezydent.

Opowiadam, że jest prawdą, jak to zauważył był Prezydent w jednym z ustępów swej rozmowy, że i Polacy, nacjonaści i katolicy, szli często podczas walki z rewolucjonistami obcymi ich ideałom.

— Ale — dodaję — niebezpieczeństwo zatonięcia w tych prądach, którymi pragnęliśmy żeglować, nie było wielkie, podczas gdy współczesny marksizm to ideologia o wiele potężniejsza niż dawne ideologie czerwone, nieraz utopijne, zazwyczaj mętne, zeszłego wieku. Mówił mi Pan, Panie Prezydencie, o przykładzie Polski, przykładzie Czechosłowacji. Ale wydaje mi się, że dla was bardziej współczesny może być przykład Ukrainy, przykład narodów Kaukazu. Nie wiem, czy te nadzieje są tak dobrze znane Baskom. W latach 1918–1921 narody te, podobnie jak wy dzisiaj, pragnąc wyzyskać dziejowy moment rozprężenia u dawnych ujarzmieli, stanęły między powstańczymi generałami, Molami i Varelami swego czasu, a między rosyjskimi czerwonymi. Część z nich przynajmniej wybrała czerwonych, niosących autonomię i federację. Dziś Ukraina i Kaukaz z całą swą autonomią i federacją zatoniły w falach marksizmu. W wieku XIX było inaczej niż w wieku XX, los Ukrainy jest dla Was dalszy geograficznie, ale bliższy chronologicznie. Czyż nie obawiacie się jednak — odważam się postawić drażliwe pytanie — podobnego końca?

Prezydent pozwolił mi mówić i gdy skończyłem, odpowiedział:

— Nie, nie obawiamy się. Zaraz panu powiem, dlaczego. Przede wszystkim jesteście daleko od Rosji. Nie jesteście zdani na akcję bezpośrednią, taką której mógł ulec Kijów i Kaukaz. Hiszpania w moim pojęciu kroczy własnymi szlakami, może równoległymi do rosyjskich, niezawodnie pod pewnym jej wpływem, jednak odrębnymi. Ale w obecnym stadium rewolucji widzimy, że nawet w krajach takich jak Katalonia, gdzie w pierwszym okresie wydawało się, że fala rewolucji społecznej zatopiła zupełnie siły narodowe, wyłoniły się one dziś z potopu, zaczynają brać górę. Tak jest w tej Katalonii, gdzie anarchiści mieli swoje największe siły, gdzie rewolucja się zaczęła, gdzie była tak krwawa. Tutaj to kraj Basków. Kościołów tu nie palono, księża są wolni, religia szanowana. Burza pierwszych dni rewolucji przeszła tu już wtedy z najmniejszą siłą. Nie, proszę pana. W naszym kraju nacjonalizm, podobnie jak i kościół, był głęboko zakorzeniony w społeczeństwie. Nawet kwestia społeczna miała tu aspekt lepszy niż gdzie indziej: klasy robotnicze zorganizowały się tu na zasadach zawodowych w organizacjach czysto robotniczych, ale dalekich od marazmu i anarchizmu. Były, co wszyscy uznają, najbardziej oświecone w Hiszpanii. Przy pomocy tych sił i tego stanu rzeczy utrzymaliśmy równowagę, zorganizowaliśmy nasze życie. Nie zostaliśmy zatopieni przez żadną falę. Teraz już nie będziemy, teraz tego się nie boimy.

— Mówił Pan, Panie Prezydencie, że to Baskowie zostali zaatakowani przez powstanie wojskowe. Jak i czym?

— To proste — odpowiada Prezydent Aguirre. — Po upadku monarchii, gdy po raz pierwszy wysunęła się sprawa statutu autonomicznego dla kraju Basków, podobnego do tego, który otrzymała właśnie Katalonia, właśnie prawica hiszpańska rozpoczęła gwałtowną kampanię przeciw tym planom. Podburzono tradycjonalistów nawarskich, starając się rozdzielić Basków. Tych, co głosowali za statutem baskijskim, piętnowano jako złych katolików, masonów, Żydów. Łżono biskupa z Vittoria, który oświadczył wyraźnie, że statut, rzecz czysto polityczna i narodowa, w dodatku szanująca wszystkie prawa kościoła,

Naród, Walka, Państwo

w niczym nie sprzeciwia się sprawom wiary i że głosując za statutem, nie jest się jeszcze złym katolikiem.

Prezydent wstał, szuka w półkach biblioteki. Wyciąga gruby tom, który już widziałem. To jego mowy, artykuły, polemiki, gdy jako zupełnie młody poseł do konstytuanty, bronił tych spraw przeciw prawicy, jak przeciw lewicy. Cały skrót historii.

— Znajdzie tu pan echa owej walki. Zobacz pan, że odmawiano nam na prawicy hiszpańskiej nawet tych praw, które szanował absolutysta Don Carlos. W tej książce walka kończy się na roku 1935. Naszych czasów w nich jeszcze nie ma. Później było jeszcze gorzej. W pierwszych dniach puczu wojskowego generał Mola aresztował w Nawarze wszystkich baskijskich działaczy narodowych. W tym wielu księży. Potem przyszło gorzej. Zakazano mówić w euskera. Wygnano biskupa z Vittoria, księcia kościoła, który był zarazem Baskiem, jak kardynał Mercier był Belgiem. To ten sam, który nie chciał, aby kościół i katolicyzm sprowadzono do roli narzędzia w rękę centralizmu kastyjskiego. Do tych aktów jeszcze jedno muszę dodać: listę 32 księży czy osób duchownych, katolików, pozostających w najzupełniejszej zgodzie ze swymi władzami kościelnymi i Rzymem, rozstrzelanych przez rozkaz wojskowy. To już nie są sporadyczne wypadki: stoimy tu wobec zwartego systemu. Te rozstrzeliwania wyrrywają kościołowi baskijskiemu wszystkie jego narodowe, wybitniejsze elementy, zmierzają do pozbawienia naszego kraju, naszego ludu, księży, ich mowy, ich krwi i rasy. Po zwycięstwie myśli się zapewne o wysłaniu nam księży z Kastylii, którzy może wbrew swej własnej woli, ale przecież *de facto* stać się muszą agentami asymilacji? Chce się wyprzeć nasz język nawet z tego miejsca, gdzie znalazł w czasach najcięższych swój najwierniejszy schron — z kościoła? Ale jeśli tak jest, trzeba, żeby w całym świecie, w całym świecie katolickim, w krajach tak katolickich, zwłaszcza jak Polska, jak Irlandia, wiedzano, że pozbawia nas się elementu duszpasterskiego, który wśród kleru Hiszpanii uchodził za najbardziej wykształcony, najlepiej przygotowany do swych zadań, elementu, którego wieloletnia praca sprawiła, iż tu właśnie kościołów nie spalono. Ale wtedy trzeba, żeby wiedzano, iż oznaczać to będzie oddalenie ludu od kościoła, postawienie między nimi księdza narodowości obcej, jeśli nie wrogiej. Na Śląsku, w Poznańskim, chciano wam dać księży niemieckich. Czyż w ten sposób zbliżano wasz naród do kościoła, powszechnego, rzymskiego?

— Nie mam — podkreśla Prezydent — najmniejszego prawa, ani zamiaru nawet, przemawiania za kościół, za Rzym. To kościół sam wypowie swój sąd w tej sprawie. Nasza rasa czeka na ów sąd. Niemniej raz jeszcze podkreślę, że akcja generała Moli, akcja zmierzająca do zniszczenia całego duchowieństwa pochodzenia baskijskiego, przygotowania w ten sposób jego substytucji⁶⁵⁸ przez księży hiszpańskich, nie zbliży naszego narodu do tych nowych pasterzy. W ich rękę ten kościół, który krzepił nas w dniach najcięższych, który wspierał nasze odrodzenie narodowe, naraża się (*court le risque*) na to, że stanie się narzędziem ucisku jednego narodu przez inny. W Rzymie starają się wyposażyć odległe plemiona w księży ich mowy i rasy, pracuje się nad tym, aby Japonia miała księży japońskich. Czyż Rzym pozwoli, żebyśmy tutaj byli pozbawieni naszych?

Muszę przystąpić do dalszych kwestii:

— Czy statut autonomiczny, uchwalony przez parlament madrycki, jest wystarczający? Czy zaspokaja on ostatecznie dążenia narodowe Basków? Czy kładzie kres ich żądaniom? Czy też nie?

Prezydent odpowiada:

— W życiu narodu nie ma kresów. Są tylko etapy. Statut jest też tylko etapem. Etapem bardzo potrzebnym, koniecznym, ocenianym przez nas głęboko. Ale tylko etapem. Poprzez niego nasza rasa pójdzie dalej swą drogą.

— Ta droga, Panie Prezydencie? Dokąd prowadzi ta droga? Jakie węzły między Euskadi a Hiszpanią pozwoli utrzymać? Niepodległość zupełna?

Prezydent, zamyślony, odpowiada:

— Czego my pragniemy, czego chce Euskadi, to być panem swego losu, móc z całą swobodą rozwijać własną kulturę narodową we wszystkich dziedzinach — wszak nawet teraz, podczas wojny, stworzyliśmy nasz własny uniwersytet — i nie być w tym krępowanymi przez nikogo. Uznawać prawa przez nas samych stanowione czy przez nasze

⁶⁵⁸substytucja — zastąpienie czegoś czymś. [przypis edytorski]

legislatywy uznane. Oto cel. My szukamy obecnie formy, w której najlepiej, z najmniejszym nakładem ofiar, można by go urzeczywistnić. Jaka będzie ta forma, zależy w dużej mierze od Hiszpanii. Jeśli zobaczymy, że obecna autonomia jest szanowana, że związek z Hiszpanią nie krępuje nas już narodowo, zbliży nas to do Madrytu lepiej niż siła. Gdyby było inaczej... Jeśli będzie inaczej... W takim wypadku będziemy wiedzieli, że po to, aby żyć jako naród, trzeba posiadać pełną odrębność państwową. Zdajemy sobie sprawę, jak bardzo jest to trudne. Wolelibyśmy spokój, zgodę i nasze prawa. Ale posiadanie tych praw cenimy ponad wszystko.

— Lecz teraz, ze statutem, jeśli wasza sprawa zwycięży, nastanie spokój, będziecie mieli przed sobą ogromne zadanie. Prawie państwo. Prawie odrębność. Prawie jak my, jak Czesi w roku 1918. Co wtedy myślicie uczynić?

W biurach za ścianą stukają maszyny do pisania, pracują gorączkowo biura zaopatrzenia frontu. Wstukuje się w naszą rozmowę wojenna aktualność chwili. Ale mój rozmówca przekracza ją myślą. Mówi o tym, co będzie do zrobienia w tym kraju po wojnie. Tyle rzeczy. Skonstruować owo quasi-państwo z kantonów historycznych, federacyjnych, demokratycznych. Kontynuować, ale rozszerzyć, zgromić pracę chrześcijańskich syndykatów robotniczych, które tutejszej masie robotniczej dały dojrzałość społeczną nowocześniejszą i wyższą niż w całej Hiszpanii. Jeszcze prawie połowa ziem tutejszych to dzierżawy. Zamienić i tę resztę na właścicieli, na małe górskie farmy. Podbudować wolność polityczną narodu wolnością gospodarczą jednostki. Przygotowano już dokładny plan wykupu tych ziem przez tych, co je uprawiają...

— Wykupu? — wtrącam.

— Pana to dziwi, że wykupu? — pyta Prezydent. — A tak. Wykupu. Nasz chłop ma głębokie poczucie prawa. On nie chce daru. Nie chce zabrać. Chce mieć, *móc* wykupić. Otóż my postaramy się o to, żeby nasz chłop *miał* tę możliwość. Damy mu ją, i pełną. Pieniądz, jaki zapłaci, pójdzie zresztą do miasta, rozwinie jeszcze nasz przemysł, usunie z niego obcy kapitał, postawi nowe warsztaty pracy. Ten kapitał będzie pracował i dawał pracę. Będziemy baczyli, aby warunki pracy, jakie stworzy, były słuszne, były chrześcijańskie.

— A miasto, Panie Prezydencie? Robotnicy? Przemysł? Uspołecznianie?

— Nacjonalizować będziemy to tylko, co dojrzało do nacjonalizacji, co ze względów na swój monopolistyczny charakter, na użyteczność publiczną, do tego się nadaje. Będziemy jednak od początku pilnie dbali, aby pieniędzmi wyciaganymi z podatków nie sztukować dziur, które w gospodarstwie państwowym uczyni gospodarowanie rozrzutne, lekkomyślne, nieekonomiczne. W moim przekonaniu takie gospodarstwa nie tylko, że nie ułatwiają postępów prawdziwego socjalizmu, ale go kompromitują. Socjaliści niekiedy uważali, że należy i tego bronić. My tego błędu nie popełnimy. Co potem? Mamy już prawodawstwo robotnicze, będziemy tę sprawę rozwijali dalej, ale tak przede wszystkim, żeby sam robotnik odczuwał jej skuteczność. Budownictwo robotnicze, szkolnictwo, oświata, kultura mas — oto rzeczy już u nas zaczęte. Delegaci biorą już udział w zawiadywaniu naszym przemysłem. Przerazało to z początku wielu. Okazało się, że wszystko funkcjonuje sprawnie. Syndykaty myślą o współdzieleniu w zyskach. Ale my tutaj nie musimy myśleć za robotników. Okazali swą dojrzałość w dniach przełomowych i niezależność swej myśli. Myślą o sobie sami, w ramach kraju. Decydować też będą i własne formy znajdą sami. Oczywiście, jesteśmy małym krajem zgubionym w wielkim świecie. Ale niesiemy z sobą jedną z najstarszych tradycji, ciągłości rozwojowych tego świata. Mamy wytyczone wyraźnie linie naszego dalszego rozwoju, narodowe, chrześcijańskie, tradycyjne. Może jak mała Szwajcaria, będziemy w swym skromnym bardzo zakresie użyteczni światu.

Prezydent zatrzymuje się na chwilę, po czym ciągnie dalej:

— Jutro pan zwiedzi nasze szpitale, urzędnia zdrowotne, zobaczy pan, co uczyniono tu dotąd dla robotnika, dla kobiety i dziecka. Są to dzieła deputacji Biskai, jednej więc tylko prowincji. Zobaczy pan, ile można było zrobić w ramach skromnego samorządu. Mam nadzieję, że oceni pan ten wysiłek: nasze prawa do *self-government*⁶⁵⁹ musi, niestety, nasza młodzież wywalczać karabinem. Ale to nie karabinem, lecz naszymi szkołami, urządzeniami sanitarnymi, szpitalami i klinikami, sierocińcami i żłobkami, miłością

⁶⁵⁹*self-government* (ang.) — samorząd, autonomia. [przypis edytorski]

bliźniego, realizowaną jako obowiązek społeczny, kraj ten upomina się o prawa samostanowienia, pokazuje, jak umie się rządzić.

Prezydent wstał, rozmowa jest skończona. Ale jednak przerywam:

— Panie Prezydencie, mam jeszcze jedno...

Zatrzymuje się. Mówię o dwóch skazanych w Durango. Mówię jednym ciągiem, z góry uchylając kontrargumenty. Pochodzili z grupy tradycjonalistów, chcieli pójść do powstańców, inni uciekli, na nich się skrupiło. Ustalono, że nie byli wodzami. Nie przyznają sobie prawa do mieszania się w sprawy własne Euskadi, wiem. Proszono mnie jednak, żeby mówić i prosić. Dlatego mówię. Przypominam Prezydentowi smutne wrażenie, jakie wywarły liczne wyroki śmierci wydane za Dollfussa po stłumionym powstaniu robotniczym w Wiedniu.

— Panie Prezydencie — mówię — świat patrzy na Hiszpanię i powiada sobie, że z obu stron srożą się nieludzkie proskrypcje, krwawi rzeź. Nie wiemy, co będzie rezultatem tej wojny. Jedno jest pewne, że winni okrucieństw nie ujdą potępienia. Rzeczą wielką w Euskadi, rzeczą, którą podziwia świat, którą zaślania się Madryt jak swoją, jest to, że nie tknięto u Was kościołów, nie wymordowano zakonnic i księży, że uszanowano religię. Panie Prezydencie, chciałbym, żeby powiedziano o Waszym kraju, że szanuje się tu jeszcze u Was, jedynych w całej Hiszpanii, i życie ludzkie. Że nawet w wypadkach dyktowanych racją wojny, uzasadnionych legalną samoobroną *regime'u*, nie zabija się. Że ulaskawia się, gdy tylko można. Panie Prezydencie, ulaskawcie tych ludzi!

Wyrzuciłem to wszystko w zdaniach krótkich, rąbanych, zwartych. Prezydent słucha zamyślony. Powtarzałem niektóre zdania po dwa razy. Miałem wrażenie, że słowa zrobiły się czymś materialnym, nabrały kształtu i zwłaszcza wagi jak przedmioty, i że myśl Prezydenta Aguirre stała się jakby szalą, na którą się kładą, którą przechylają powoli z miejsca. I naraz Prezydent wykonał jakiś zdecydowany ruch. Podał mi rękę i powiedział:

— Dobrze. Sprawa przechodzi jutro przez radę ministrów. To ona ulaskawia. Ja jednak wypowiem się za łaską dla nich obu. Pan niech przejedzie przez nasz kraj, zobaczy, wróci do siebie i zaświadczy. Po prostu, co pan widział. Po prostu, że jak wy, chcemy mieć prawo do życia i że jednak to prawo mamy.

Jesteśmy w progu drzwi. Już są otwarte. Mogę odpowiedzieć tylko tyle:

— Największe, co będę mógł powiedzieć, to zanieść wszędzie decyzję, którą Pan, Panie Prezydencie, powziął przed chwilą. W Hiszpanii się zabija. W Euskadi ulaskawia. Tu widziałem rząd chrześcijański. —

Podaje mi raz jeszcze, w silnym uścisku, rękę. Teraz znowu jest jakby zmieszany, jakby nieśmiały. Przez drzwi uchylone ogarniam wzrokiem raz jeszcze pokój i człowieka, których opuszczam. Człowiek wraca właśnie do swej pracy. Akta, dokumenty piętrzą się białe na biurku. Wśród nich i ponad nimi, tak jak wtedy, gdy tu wszedłem, wznosi się kształt dobrze znany, zwyczajny, ciemny. Stary, zbrunatniały krucyfiks jest zawsze na swoim miejscu. Pośród akt, u stóp tego Chrystusa, wszędzie indziej palonego na stosach, włączonych w rynsztokach ulicznych, położą się jutro dwa akty łaski. Takie akty podpisują wszędzie wszyscy prezydenci. Ale to nie jest zwyczajny kraj, zwyczajna władza i zwyczajny czas. Władza, która nie stosuje terroru, jest tu podejrzewana, pomawiana o zdradę, podminowywana rewolucją, niepewna. To mało, a może nic, dwa akty łaski w tym rosnącym morzu krwi. To takie zagubione, jak owo małe państwko, którego nazwy musimy się uczyć dopiero, jak ów mały naród o nieznanym początkach i mowie niezrozumiałej. A przecież mam wrażenie, że to wiele. Że tym aktem dokonanym wśród anarchii i wśród faszyzmu, między marksowskimi *passeito* i wojskowymi hekatombami, ten mały wielki naród manifestuje odmiennosc swych dróg.

TLUMACZ *Antygony*

Dniem zupełnie niezapomnianym i zupełnie różnym od wszystkich w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, był dzień następnym. Przejechaliśmy w kilku kierunkach ten mały kraj, który stanowi w chwili obecnej niepodległą Euskadi. Mżył deszcz i przepaszano nas za porę roku, która niszczy zwykle piękność baskijskich krajobrazów, zielonych majem, złocistych i rdzawych do grudnia. Ale to, cośmy widzieli, było jeszcze piękniejsze. Pokazano nam najpierw parę ogromnych na kilkaset łóżek sanatoriów dla dzieci. Jedno

leczyło gruźlicę kości, do innego odsyłano z Bilbao i miast dzieci ubogie. Oba leżały między górami i morzem. Wielkie płaszczyzny tarasów, urzędnicy niemal u nas nieznanie, nowoczesny aparat sanitarny, jasność i czystość, a przede wszystkim radość. Widzieliśmy zarówno dzieci przybyłe tu niedawno, jak i pozostające od dawna, i można było stwierdzić olbrzymią różnicę. Miało się wrażenie, że tajemniczy eliksir życia jest tu destylowany z powietrza morskiego, gór, słońca i lampy kwarcowej. Przez całe miesiące widziałem właśnie ciała ludzkie, z których ten sam eliksir wysączał się z minuty na minutę, które w szpitalach i na noszach nieruchomiały w martwą zwłok. Widzieć coś tak przeciwnego sprawia ulgę. Wszystko to wzniosły samorządy prowincji Biskaja w ciągu ostatnich lat piętnastu. Wszystko to wzniosło właściwie samo społeczeństwo. Miało się wrażenie, że kieruje tym wszystkim mechanizm niezwykle prosty. U nas wiemy, że są lecznice i sanatoria wypoczynkowe, że do czegoś wreszcie służą te pieniądze, które każdy urzędnik, pracodawca i pracownik wpłaca na pierwszego do różnych ZUP-ów⁶⁶⁰. Wiemy, że coś jest w Krynicy i coś się zbudowało w Zakopanem. Ale wszystko to jest u nas za lasami i górami, po których wiją się serpentyny zawilej biurokracji. Tu jedna prowincja miała tego wszystkiego — parę innych zakładów zwiedziliśmy przelotnie — więcej niż pół Polski. Dostęp do tego jest tu prostszy, nie potrzeba tu ani alpinistyki stosunków, ani wyćwiczonych w szczególnej wspinaczce mięśni, ani pleców. Przeciwnie, decydują słabe kości i mizerne piersi.

Wszystko pozostawało pod ścisłym nadzorem władz, a było prowadzone i nadal przez zakonnice miłosierdzia. Trzeba wiedzieć, że w koalicyjnym rządzie Euskadi obok katolików zasiadają i komuniści, a specjalnie ministerstwa robót publicznych i opieki społecznej są w rękę czerwonych. Rozmawiałem i z nimi, oświadczyli mi, że pracę zakonnice na tych placówkach uważają za pełną ofiarności i nawet pod względem przeszkolenia fachowego niepozostawiają nic do życzenia. Między pewnym młodym lekarzem-komunistą a siostrami nawiązał się rzadki wypadek najściślejszej współpracy. One brały od niego wszystko, co mu dało wykształcenie, on poznawał, ile siły w tym bardzo trudnym zawodzie może dawać motor miłości bliźniego. Nie myślę wcale uogólniać tego zjawiska, ale powiem, że ta dziwna współpraca lekarza-komunisty z zakonnicami katolickimi, nachylonych pospołu nad łóżkiem robotniczego dziecka, dźwigającego na swym chorym ciałku ciężar nierówności społecznych, głębokie rysy niedostatku i atawizmów, pozostanie w najlepszym moim wspomnieniu.

W hallu wielkiego sanatorium dziecięcego w Algorta zwrócił naszą uwagę portret typowego kapitalisty o spokojnej, zamyślonej twarzy. Istotnie, był to wielki kapitalista Bilbao, ale i wielki filantrop. Jego pieniądze przyczyniły się w znacznej mierze do powstania sanatorium, paru szkół robotniczych, pierwszych domów robotniczych, jego inicjatywa pociągnęła tu innych. Rewolucja wywiesiła w tym hallu nowe portrety, usunęła inne, ten jednak zostawiła. Moi towarzysze stali przed nim nieco zakłopotani. Po chwili sami wyjaśnili mi, dlaczego. Oto obaj synowie tego człowieka — on sam zmarł już wcześniej — zostali zamordowani bez sądu podczas rewolucji. Nie brali udziału w polityce. Mieli majątek uszczuplony przez ojcowskie fundacje. Po prostu ich nazwisko było znane jako nazwisko ludzi zamożnych. Ten cień nie spada na Euskadi. W początkach rewolucji miejscowe żywioły skrajne, opierające się głównie na ciemnym elemencie spośród robotników napływowych, dokonały paru samosądów. Władza była jeszcze w rękę lokalnych władz hiszpańskich. Te, może z racji politycznych, zapewne także pragnąc ochronić aresztowanych, uwięziły szereg przedstawicieli zamożniejszych czy bardziej prawicowych rodzin i umieściły ich nie w więzieniu, dokąd tłum mógłby się wedrzeć, lecz na dużym statku u wejścia do portu. Niestety, właśnie w tym czasie przyplłynęła do brzegów czerwona flota hiszpańska, która potopiwszy oficerów, wprowadziła u siebie sowiety⁶⁶¹. Flota stała w porcie przez miesiąc beczynnie. Raz, wypłynąwszy pod San Sebastian, doznała porażki. Marynarze wrócili wściekli, podobno podpici, wdarli się na statek z więźniami i zamordowali bez sądu około pięciuset uwięzionych tam osób.

Gruby kapitalista ze ściany hallu patrzył na nas dalej swym spokojnym wzrokiem człowieka interesu, który czasem odbiega myślą od cyfr i coś tam sobie niegieldowego

⁶⁶⁰ZUP — Zakład Ubezpieczeń Powszechnych. [przypis edytorski]

⁶⁶¹sowiet (ros.) — rada; tu: rada żołnierska. [przypis edytorski]

marzy. Był tu kiedyś portret króla, był portret Zamory, są teraz Azana i Caballero, a wzrok zmarłego dawno człowieka, który może chciał leczyć rany, jakie zadaje zły ustrój, patrzył dalej tak samo spokojnie, jak wtedy, gdy ów spokój chwycił malarz, a murarze wznosili mury tego gmachu. Tylko ludzie żywi, przechodzący tu pod nim, unikali jakby tego spojrzenia.

Oto była krótką, niezawinioną przez władze baskijskie, które dopiero później przejęły tu władzę, burza zniszczenia. Ale było ono tym bolesniejsze i przykrzejsze, że właśnie przemysł bilbański wyróżniał się w całej Hiszpanii swym zmysłem społecznym i ofiarnością, że najmniej był zaangażowany we wspieraniu faszyzmu, że szedł innymi drogami niż ludzie pokroju Juana Marcha⁶⁶². Można być zdania, że niezależnie od tego należałoby wywłaszczyć tych ludzi, znacjonalizować posiadane przez nich kapitały, ale kara śmierci, bez sądu, w warunkach jak najbardziej odrażających, wytłumaczyć się nie da. Muszę oddać sprawiedliwość władzom w Euskadi: wydarzeń tych nikt przede mną nie starał się ukryć, nikt nie starał się ich rozmiarów zmniejszyć, w niczym rozgrzeszyć. Nie było cienia owego kręactwa, jakie w takich wypadkach stosował niepotrzebnie Madryt. Może to był, jak mówili, wstręt do wszelkiej z ich strony propagandy. Może przeciwnie, była to najlepsza propaganda.

W jednej z sal chcieliśmy zrobić zdjęcie jednego z dzieci, leżących cicho w łóżeczku, i przystanęliśmy dłużej. Nad łóżeczkiem widniała tabliczka z napisem: „*Marquesa viuda de Berriz*”. Co robił w tym rewolucyjnym kraju i nad łóżkiem szpitalnym ów markizowski tytuł? Po chwili zauważyliśmy, że cała sala, wszystkie łóżka, posiadają takie tabliczki. Wszędzie lśniły tytuły *condów* i *marquesów*, mieszały się z nazwiskami znanymi mi już z giełdowego herbarza. Odpowiednicy naszych Radziwiłłów i naszych Zieleniewskich czy Lilpopów. To byli fundatorzy łóżek. Czasem robiło to dziwne wrażenie: cały rząd łóżeczek dzieciennych nosił np. napis: „*Sociedad de Explosivos de Bilbao*”⁶⁶³. Pod takim biletem wizytowym dynamitu chore robotnicze dziecko bawiło się lalką. Nie stawałem przed każdym łóżkiem i nie pytałem, co się stało z synami ofiarodawców lub z nimi samymi. Dowiedziałem się tylko, że markiza wdowa de Berriz jest nie tylko wdową. Straciła dwóch synów na tym samym okręcie, na którym stracił swoich gruby kapitalista z hallu. Ponieważ, jak się rzekło, wszyscy naprawdę posądzeni o udział w puczu wojskowych byli odesłani nie na statek, lecz do więzienia, i stanęli przed jakąś formą trybunału, przeto i o synach markizy Berriz należy sądzić, że skoro odesłano ich na statek, to raczej w celu uchronienia przed samosądem ulicy.

W ten sposób sprawa floty hiszpańskiej raz po raz wplatała się w nasze obserwacje. Nie mogłem zrozumieć jednego. Oto na początku wydarzeń hiszpańskich flota wymordowała swych oficerów, należących do rokoszu wojskowych, i stanęła po stronie rządu. Franco miał skutek tego trudności z przewiezieniem wojsk z Maroka. Teraz zaś jest odwrotnie. To Franco blokuje wybrzeża, to on ostrzeliwuje z morza Walencję, to wreszcie przed jego statkami przemykaliśmy się chyłkiem do Bilbao. Co zaszło między lipcem a marcem na wodach hiszpańskich? Po wielu zapytywaniach zdołałem ustalić stan rzeczy. Oto Franco posiada zaledwie trzy większe jednostki i te ostrzeliwiają porty i utrzymują blokadę. Zorganizował ponadto flotyllę z łodzi rybackich. Natomiast cała flota rządowa, wywiesiwszy czerwone sztandary i proklamowawszy rady załogowe, siedzi beczynnie w portach. Podczas swego miesięcznego pobytu w Bilbao nie zdecydowała się wyruszyć gromadnie ku portom francuskim i eskortować statki z żywnością dla Euskadi. Byłoby to uratowało kraj od głodu, który obecnie z każdym dniem stawał się dokuczliwszy. Po objęciu spokojnych zupełnie frontów euskadyjskich stało się zrozumiałe, że powstańcy liczą właśnie na złamanie oporu kraju blokadą i głodem. Jak więc widzimy, terroryści nie byli jeszcze bohaterami. Przeciwnie, płamiąc sztandar rewolucji, jednocześnie swym tchórzostwem czy niedołęstwem gotowali mu sami klęskę. Ale też to, co w tym kraju nawet przez rewolucję będzie kiedyś kontynuowane, rozszerzone, zogromione — to praca ludzi, których nie nawidzili, posłali na śmierć. To na ich dzieło powoła się wobec świata, mówiąc o swych prawach do samorządzenia, naród baskijski, rząd z Bilbao. Człowiek z portretu w Algorta

⁶⁶²*March, Juan* (1880–1962) — hiszpański magnat biznesowy, przemysłowiec broni i tytoniu, bankier; związany z nacjonalistami, których wspierał finansowo podczas hiszpańskiej wojny domowej, a następnie z reżimem gen. Francisco Franco; najbogatszy ówczesny człowiek w Hiszpanii. [przypis edytorski]

⁶⁶³*Sociedad de Explosivos de Bilbao* (hiszp.) — Spółka Materiałów Wybuchowych w Bilbao. [przypis edytorski]

może dalej patrzeć jasno i spokojnie przed siebie. W jego ślady wstąpi naród pragnący budować swą przyszłość. Jego pracę poprawi, ulepszy, ale właśnie ją poprowadzi, w niej znajdzie oparcie.

Niestety, nie mogę powiedzieć, aby sielanka zakonno-komunistyczna trwała bez rysów i w Bilbao. Ze szpitali miejskich usunięto siostry miłosierdzia św. Wincentego a Paulo. Jeśli w Amorrebieta zwiedzaliśmy klasztor karmelitów, częściowo zajęty przez milicję, i podziwialiśmy zgodne pożycie habitu zakonnego i roboczego *mona*, to w paru szpitalach Las Arenas, dzielnicy neutralnej przy porcie Bilbao, widzieliśmy krzyże usunięte z dawnego domu zakonnego jakichś sióstr. Ulokowani tu byli jacyś, bardzo sympatyczni zresztą, ranni anarchiści i komuniści. Zapytani, odpowiedzieli wręcz, że nie chcą „tego wszystkiego”. Władze starały się jedynie rozgradzać jednych i drugich. Bezbożnicy wędrowali zazwyczaj do jednych szpitali, wierzący — do innych. Ponieważ w tym miejscu funkcjonowało kilka szpitali, przeprowadzenie podziału nie było trudne. Linia podziału rozgradzała jednak nie tylko komunizm i anarchizm od nacjonalizmu. Rozgradzała jeszcze Hiszpanów od Basków. Natomiast wygnane zakonnice uczyniły rzecz, której zapewne nie oczekiwali ich prześladowcy. Oto ruszyły w ubraniach zwykłych sióstr miłosierdzia na front asturyjski. W chwili gdy przyjechaliśmy, przeprowadzono właśnie gwałtowną ofensywę na Oviedo. Ofensywę tę przeprowadzały w znacznej mierze oddziały baskijskie: wódz ich, założyciel milicji baskijskich, człowiek wierzący, padł na przedmieściach tego Alkazaru proletariackiej Hiszpanii. W jego zaciśnięte ręce włożono krzyż i przewieziono z tym krzyżem do Bilbao, gdzie cały rząd wysłuchał mszy żałobnej u jego zwłok. Oddziały baskijskie w Asturiach miały swych kapelanów, odprawiały msze. Zakonnice ruszyły, aby nieść pomoc rannym z tego czerwonego piekła, gdzie nie ostał się żaden klasztor, gdzie było tylu męczenników, ilu księży, gdzie brakowało lekarstw, żywności, lekarzy, wszystkiego.

Mogłem dojechać tylko do połowy drogi na Oviedo, z transportem żołnierzy posiłkowych. Ofensywa była już powstrzymana. Kolumny samochodowe wroga przywiozły całe oddziały falangistów, wypoczęte, dobrze zorganizowane. Oviedo dogorywało powoli, czy raczej dogorywały szanse tych, którzy chcieli odbić to miasto. Jednodniowe asturyjskie wspomnienia kojarzą mi się z szarą, żmudną słą, z opustoszałymi pueblami, zburzonymi domami, spalonymi, zawalonymi w siebie, kościołami. Kraj był pusty, czy też robił takie wrażenie. Otworzy się tu naraz w Europie nowe Dzikie Pola, stratowane wojną. Kilkudniowa ofensywa na Oviedo, niemal niezauważona przez resztę świata, w ogniu walk nad Jaramą⁶⁶⁴, nie zasługuje zapewne na żadną wzmiankę w militarnych dziejach wojny. W psychicznych zasługuje na jedno z najżywszych przeżyć. Wojskowo była to najbardziej bezsensowna ofensywa: Oviedo, opanowane przez nich, ale nie eksploatowane, niestanowiące punktu strategicznego, położone na peryferiach właściwej walki, było celem szaleńczym. Atak na Toledo, atak z Euskadi na niedalekie Burgos, na Terruel grożący Walencji, na Jaramę — każdy miałby jakiś sens. Oviedo miało być tylko moralnym odwetem za Malagę: Oviedo było świętem miastem legendy robotniczej Hiszpanii, symbolem, sentymentem. Ludzie spod Oviedo, robotnicy asturyjscy, byli najdzielniejszym jeszcze elementem, na który mógł liczyć rząd. Ich odcinek frontu był po prostu tym, gdzie rozkazu do ofensywy wysłuchano. Ofensywa była jednak przeprowadzona w najfatalniejszych warunkach. Brakło oficerów, brakło dowództwa, brakło materiału i współdziałania. Brakło sztabu. Jeśli kiedy była tu walka czysto robotnicza, bez Rosjan i międzynarodówki, bez obcych ludzi w każdym urzędzie, centrali i łączności, to tam właśnie. Oviedo było najbardziej krwawą, najbardziej beznadziejną, najbardziej osamotnioną szarzą robotniczej Asturii. Jedyną pomoc, jaką uzyskało, to z katolickiego Euskadi. Podobno patrząc na księży robotniczych oddziałów z Bilbao, górnicy powiadali, że gdyby sami mieli dawniej takich, toby wszystko poszło inaczej. Bardzo wierzę, że tak mówili. Ale w deszczowym schyłku lutego u stóp ciemnych gór asturyjskich dopalał się już ciemnym płomieniem stos czarnych ludzi z kopalni. Było za późno.

⁶⁶⁴bitwa nad Jaramą (6–28 lutego 1937) — stoczona nad rzeką Jaramą w środkowej Hiszpanii między siłami frankistowskimi a republikańskimi, jedna z najważniejszych i najkrwawszych bitew podczas hiszpańskiej wojny domowej; zakończona zatrzymaniem ofensywy wojsk gen. Franco. [przypis edytorski]

Organizacja bojowa małego państwa funkcjonowała sprawnie: niewielkimi, często luzowanymi z frontu siłami, przy doskonale rozwiniętej służbie łączności, rozplanowaniu pozycji, trzymali w szachu znaczne siły nieprzyjacielskie. Organizacja zaopatrzenia w żywność wewnątrz kraju szwankowała z musu. Było coraz gorzej. W Bilbao i pod Bilbao koczowały tysiące uchodźców baskijskich z zajętych przez wojska prowincji. Była to migracja ludów tych rozmiarów chyba co uchodźstwo greckie po wojnie z Turcją⁶⁶⁵, co polskie w roku 1915⁶⁶⁶, co rosyjskie w pierwszych latach bolszewizmu. Nierzadko znowu, śladami ludzi z Durango, tutejsi przemykali się do San Sebastian. Linia podziału stała się czymś, co dawno już przestało biec poprzez granicę klas: ludzie z tych samych rodzin i środowisk społecznych należeli do zwalczających się obozów. Im dłużej trwała walka, tym bardziej jej dawny charakter klasowy zdawał się zacierać. Tym bardziej jej sens, oczywiście, malał. Tym bardziej stawała się krwawa i niszcząca.

Wyjeżdżaliśmy dużo wewnątrz kraju, chodziliśmy piechotą przez wieś, mówiliśmy z ludźmi. Spotykało się nieraz po drogach księży baskijskich najspokojniej przechadzających się po kraju. Raz w gospodzie widziałem, jak miejscowy wikary grał w domino z jegomościami w czarno-czerwonych barwach anarchizmu. Innym razem spotkałem pierwszego w moim życiu, a przynajmniej nieukrywającego się masona. Był to zarządca pomocy dla uchodźców w małej wiosce rybackiej, w której musieliśmy nocować, Munda-ca. Pochodził z rybaków, był długo w Ameryce, posiadał wykształcenie. Tłumaczył nam długo i szeroko właściwe jego zadanie, cele masonerii. Należał do stronnictwa Azanii, ale zapowiadał, że jeśli po wojnie Hiszpania miała stać się komunistyczna, Euskadi będzie zmuszona oderwać się od niej w imię demokracji. Robił wrażenie człowieka porządnego i rozumnego, który doszedł do wniosku, że tajemnice w życiu publicznym zdrowe nigdy nie są.

Niestety, wrażeniem nieopuszczającym nas na moment wśród tych wszystkich epizodów było to, że ów ład i spokój, normalne funkcjonowanie tego państewka, wyrosłego w burzy, okupowane jest codziennym powstrzymywaniem naporu anarchii. Mendiguren rozumiał odrazę, gdy proponowano nam uczynienie z kaźni widowiska, ale już jego podkomendni uważali to za nie mniej naturalne niż ich przeciwnicy z Sewilli. Te podskórne nurty duszono, odprowadzano, kanalizowano. Wyrwały się ciągle. Spotkaliśmy gdzieś oficera, którego brat, osiemnastoletni ochotnik, zginął z rąk tłumu anarchokomunistycznego w momencie, gdy po nalocie samolotów faszystowskich czerwoni próbowali w odwecie zdobyć więzienie w celu wymordowania pozostających tam więźniów. W dwa dni po ułaskawieniu obu skazańców z Durango, przed procesem dwóch mężczyzn i trzech kobiet o szpiegostwo, pismo komunistyczne „Euskadi Roja” zażądało dla wszystkich kary śmierci, atakując, a nawet szantażując władzę, wypominając jej niedawne ułaskawienia. „Widzi pan, że to nas jednak kosztuje” — powiedział Mendiguren. Kosztuje, bo podważano autorytet władzy, grano na odjęciu jej zaufania mas, zmuszano do srogości.

Pojechaliśmy pewnego dnia obejrzeć obóz izolacyjny. Wznosił się niedaleko Bilbao, był dopiero w budowie. Lśniły długie drewniane baraki-klitki, narastał wysoki na cztery metry betonowy mur, obwiedziony sownicą drutem, okopany wałem. Była to, zdaje się, jedna z cenniejszych „robót publicznych” euskadyjskiego ministra tychże robót, członka partii komunistycznej. Robotnicy zatrudnieni przy budowie, uświadomieni kastyłscy komuniści, witali nas ze szczytów rosnącego muru izolacji podniesionymi pięściami. Wśród wsi baskijskiej z domami rozpląszczonymi niemal u ziemi, te olbrzymie szare ściany, za którymi zamykał się jakiś wykrawek ziemi, sprawiały wrażenie olbrzymiego tekturowego pudła. Ściany pudła nie miały jednak wcale kruchości tektury. Robiły nie tylko wrażenie

⁶⁶⁵wojna grecko-turecka (1919–1922) — działania wojenne wywołane przez inwazję Grecji na tureckie wybrzeża zach. Azji Mniejszej, w celu zaanektowania obszarów zamieszkiwanych przez ludność grecką nieprzerwanie od 2500 lat; wojna zakończyła się przegraną Grecji i zawarciem traktatu w Lozannie (1923), który przewidywał m.in. postanowienia o wymianie ludności pomiędzy Grecją a Turcją, w wyniku czego tereny tureckie musiało opuścić ok. 1,5 mln Greków, zaś z Grecji wysiedlono ok. 250 tys. muzułmanów różnych narodowości. [przypis edytorski]

⁶⁶⁶polskie [uchodźstwo] w roku 1915 — podczas I wojny światowej z powodu ofensywy państw centralnych w połowie 1915 w głąb Imperium Rosyjskiego uciekło ok. miliona Polaków z terenów Królestwa Polskiego i Galicji. [przypis edytorski]

nowości, ale mocy. Najniezawodniej w starym kraju Basków ziszczała się niespodziewanym konkretem zwrotka *Międzynarodówki*. Budowały się w naszych oczach pierwsze podwaliny jej nowego ładu.

*

Któregoś dnia spotkaliśmy właśnie u Mendigurena młodego żołnierza. Był to syn średnio zamożnych rolników. Był zarazem jednym z poetów baskijskich. Zaprosił nas do siebie i przyjął w ładnym, miłym mieszkaniu. Miał u siebie piękną potrząskaną rzeźbę Chrystusa, znaną w rynsztoku w Santander. Wiedzieliśmy już, że piśmiennictwo baskijskie stworzyło kilkadziesiąt pism, periodyków i miesięczników o dużych nakładach, prosperujących doskonale, bo czytanych też przez całe to społeczeństwo z chłonnością, z jaką czyta Litwa czy Estonia, gdzie nakłady pism przewyższają o wiele nasze. Stefan Urkiaga'tar⁶⁶⁷ wyszedł z Munguia, tej samej, co Mendiguren wsi rybacko-pasterskiej. Krzyżowała się w nim przeszłość długich pokoleń marynarzy, którzy na barkach dopływali do Spitsbergenu i dalekich pokoleń juhasów, którzy bydło pędzili aż do hal nawarskich. Teraz walczył na froncie w Asturiach, przyjechał na urlop, miał wrócić. Dał mi wiele fotografii, chciał powiedzieć o literaturze baskijskiej, która z takim trudem, z odległych klechd, pieśni po zmarłych, kołysanek dziecinnych, pastorałek później, przemieniała się na prawdziwe piśmiennictwo w trudnej mowie euskera. Doszliśmy do czasów ostatnich. Zwróciłem wtedy uwagę, że zbyt często, mówiąc o pisarzach współczesnych, kończy: rozstrzelali go tam i tam, wtedy a wtedy. Iluż wreszcie pisarzy baskijskich tak zginęło? Urkiaga'tar wyjął jeden z zeszytów najpoważniejszego miesięcznika baskijskiego i ostatecznie zakreślił piórem sześć nazwisk na kilkanaście, wyliczających autorów współpracujących z tym pismem. Tych sześciu to byli ludzie rozstrzelani w Guipuzcoa i Nawarze przez armię gen. Moli. Więc ksiądz Aristimuno, redaktor najpoważniejszego, wydawanego swobodnie za monarchii, miesięcznika literacko-społecznego Basków „Yakintza”, periodyku „Euskerea”, publicysta i poeta; ksiądz Jauregui, poeta; Lemona, prozaik i poeta; Onandia, nowelista; Aberri, powieściopisarz; ksiądz Markiegi, znany tłumacz. Nie robił przy tym żadnej propagandy. Stwierdzał. Ale i ja nie potrzebowałem też nic więcej. Nie wiem, czy ci ludzie byli Szekspirami czy Goetherni, nawet przyjmuję, że było im do tego bardzo daleko. Ale w najśmielszych obliczeniach naród baskijski to nie więcej niż półtoramilionowe społeczeństwo. Co by było, gdyby u nas rozstrzelano sześciu poetów, pisarzy publicystów? Dla nas, dla dużego narodu? Co znaczyło tych sześciu dla małego szczepu Basków? Czy poety patrzyły zbyt poważnie i twardo, żeby o to pytać. Powtórzyłem więc sobie to, co powiedział mi był Aguirre, o rozstrzelanych trzydziestu dwóch księżach, że to już nie są sporadyczne wypadki, że to jest system, który ma pozbawić naród baskijski księży ich mowy. Teraz pozbawiano tę mowę jej pisarzy.

Rozmawiający ze mną zachowywał, mówiąc o tym, zupełny spokój. Tak, zabito. Tak, to były ofiary, jeszcze jedne, walki, oto były jeszcze jedne straty i poprzez nie będzie musiał iść dalej naród euskaryjski, Euskaldun, jak oni tam mówią, i poprowadzić swą walkę dalej. Dla niego było to takie jasne, jak jest jasne dla synów rybackich, że i oni kiedyś popłyną na morze, że i ich kiedyś weźmie, jak dla synów dziesiątka pokoleń pasterskich jasne jest, że i oni pogonią kierdel⁶⁶⁸ na hale. Teraz, na urlopie, przed nową kampanią, może ostatnią dla niego, wykończył ten Żuławski⁶⁶⁹ baskijskich legionów swoje wielkie dzieło. Rozpowiedział mi o nim z radością. Oto chciał rozpocząć przyswajanie mowie euskaryjskiej wielkiego cyklu dramatycznego starożytnej Hellady⁶⁷⁰. Przyznam się, że pochwycił mnie myślą. Pierwotna literatura Basków, ta sprzed najdawniejszego chrześcijańskiego okresu, dotrwała jedynie w strzępach. Naród nie posiada wielkiej poezji swych najwspanialszych

⁶⁶⁷Urkiaga Basaraz, Esteban (1905–1937) — znany pod pseudonimem Lauaxeta (Lauquiniz) poeta i dziennikarz baskijski piszący w euskera; zamordowany przez oddziały faszystowskie 25 czerwca 1937 po zbombardowaniu przez niemiecko-włoskie lotnictwo Guerniki (26 kwietnia tego roku). [przypis edytorski]

⁶⁶⁸kierdel (reg.) — stado owiec w górach. [przypis edytorski]

⁶⁶⁹Żuławski, Jerzy (1874–1915) — poeta, dramaturg i powieściopisarz młodopolski, prekursor fantastyki naukowej w Polsce, przedstawiciel dekadentyzmu i katastrofizmu; po wybuchu I wojny światowej wstąpił do Legionów, redagował pismo „Do Broni”, zmarł w szpitalu wojskowym na tyfus. [przypis edytorski]

⁶⁷⁰Hellada — Grecja. [przypis edytorski]

czasów. A owe czasy, współczesne epoche, kiedy lata w Grecji liczyły się od igrzysk olimpijskich, mogły być dziwnie podobne greckim. Jednaka ziemia, między postrzępionymi falą morską zatokami a szczytami bliskich gór, jednaki lud rybacko-pastersko-żołnierski, jednakie rozbitcie na kantony małych pół republik, pół królestw, jednaka demokracja plemienna. Kto wie, czy ongi surowa Nawarra nie była Spartą tej rasowej jedynie wspólnoty, kto wie, czy morska Guipuzcoa nie była jej Attyką, rolnicza Alava — Tebami, kto wie, czy pod dębem Guerniki nie wieszczono dawniej jak pod świętym dębem Zeusa, w dalekich czasach, gdy chłodna Kastylia, jak ziemia Filipa i Aleksandra⁶⁷¹, nie wynurzyła się jeszcze z fal dziejów? Kto wie, czy w Sofoklesie⁶⁷² i Homerze nie odnajdzie się literatura najbardziej swoja, najbardziej bliska tej, która tu bez pamięci znikła?

Urkiaga⁷tar był owładnięty tą myślą. Wziął się do przekładów z greckiego. Dzieła te dziwnie łatwo dawały się przekuć w twarde dźwięki euskary. Wiedział, że może nie będzie mógł tego skończyć. Chciał jednak przynajmniej pchnąć literaturę baskijską, cały wysiłek utrzymania przez nią świadomości narodowej, na tę drogę. Na pierwsze wybrał *Antygonę* Sofoklesa. Siedzieliśmy w pokoju, wśród książek. Miał na kurtce naszywki sierżanta. Czytał mi po grecku wielkie strofy chórów attyckich, potem swój przekład. Biała Antygona, losem ścigana dziewczyna, stała teraz inaczej niż w suchej gimnazjalnej lekcji. Oto były znów Teby i wyrocznia, i zbrodnia Edypa. Oto brat tej dziewczyny był zamordowany, ciało jego rzucone na żer ptakom, nie wolno go było pogrzebać, bo nieopogrzebane ciała nie znajdują szczęścia na tamtym świecie. Władze zakazały surowo, ale siostra pamięta o bracie, zagrzebuje jego zwłoki, jak jej to każe, silniejsza nad moce ustaw, wola praw bożych. Dalej, z mocy tych ustaw idzie na śmierć, w loch, gdzie pogrzebią ją żywcem:

I nie zaznawszy rozkoszy wesela,
Ni matki uczuć, ni dziątek pieszczoty,
Schodzę tak sama i bez przyjaciela.⁶⁷³

*

Przekład był doprowadzony prawie do połowy, przebrnięte były najcięższe miejsca. Poeta był rad. Jest to złe określenie. Wydawał się spokojny. Dziwnym trafem, los córki Kreona jakby kojarzył się z losem tego narodu, bez radości i bez wolności, wtrącanego brutalnie w nową przepaść. Salwy plutonów egzekucyjnych likwidowały jego myśl religijną, społeczną, artystyczną. Nie zaznawszy rozkoszy wesela, u pierwszych kroków rozbudzenia narodowego widział, jak wszystkie jego bujniejsze, śmielsze pędy, z pnia starego puszczane wiosną, obcinał swym ostrzem kastylski sekator.

Reinkarnacja baskijska Antygony przychodziła dziwnie w czas. Łódź swej literatury spychał istotnie tłumacz na toń dla nas martwą i obcą, dla przeszłości tego narodu najbardziej może swoją. Mendiguren i Aguirre trudzili się nad aprowizacją, nad ocembrowaniem pozycji wałami betonu, sądzili, że jeśli uda im się wytrwać w walce, przyjdzie jakaś interwencja europejska. Byli Prądzyńskimi i Skrzyneckimi⁶⁷⁴ Euskadi. Poeta nie miał tych złudzeń. Wiedział, że walka staje się coraz bardziej beznadziejna, że cała jej wartość skupi się w tym, iż nawet jako klęska rozbudzi tym silniej poczucie odrębności narodowej. Wiedział jeszcze, że może jak tamtych sześciu paść na froncie. I właśnie

⁶⁷¹ Filip i Aleksander — Filip II Macedoński (382–336 p.n.e.), król Macedonii, reformator armii, twórca imperium macedońskiego; w bitwie pod Cheroneą (338) pokonał sprzymierzone armie Ateńczyków i Tebańczyków, w 337 utworzył Związek Koryncki, zrzeszający większość państw Grecji kontynentalnej; przygotowywał wielką, ogólnogrecką wyprawę przeciwko Persji; podjął ją jego syn, Aleksander III Macedoński (356–323 p.n.e), zw. Wielkim, uczeń Arystotelesa; w 331 ostatecznie pokonał pod Gaugamelą ostatniego króla Persji; jego podboje zapoczątkowały epokę hellenistyczną. [przypis edytorski]

⁶⁷² Sofokles (496–406 p.n.e.) — jeden z trzech największych tragiczków greckich. [przypis edytorski]

⁶⁷³ I nie zaznawszy rozkoszy wesela... — Sofokles, *Antygona*, tłum. Kazimierz Morawski, nieco zmienione („Ani zaznawszy słodczy wesela...”). [przypis edytorski]

⁶⁷⁴ Prądzyński i Skrzynecki — generałowie powstania listopadowego: Ignacy Prądzyński (1792–1850), wódz naczelny powstania, oraz Jan Zygmunt Skrzynecki (1787–1860), strateg, przez kilka dni wódz naczelny. [przypis edytorski]

cały swój urlop liniowy spędził nad *Antygoną*. Pracował z pośpiechem. Pisał na kartkach małych, starannie numerowanych; zupełnie tak, jakby się bał, że praca urwie mu się naraz, żeby potem kolega z pułku mógł je łatwo uporządkować, jeśli autora zabraknie. Wysiłił się, żeby pozostawić coś, jakies dzieło zaczone, drogą wskazaną, na którą pójdzie literatura niepodległościowa Basków. Gdy przestał czytać swe strofy, spytał, czy nie ma w literaturze polskiej rzeczy, która by się mogła im przydać. Literatura polska interesowała go właśnie jako oręż walki niepodległościowej. Może Sienkiewicz? Przejrzałem szybko Sienkiewicza. *Krzyżacy*, tak, mogliby być dla nich *Krzyżacy*, może *Latarnik* — tyle jest Basków za oceanem, nawet mowa w tej noweli o wojnach karlistowskich. Jednak nie Sienkiewicz. Przebiegłem myślą, ile mogłem, literatury polskiej i znalazłem wreszcie jedną rzecz, którą chciano rozświetlić przedhistoryczne dzieje Polski, a która dziwnie „nie trzyma się” kraju nad Gopłem, za to jeszcze dziwniej mogła przyłgnąć, niczym *Antygoną* grecka, do archaicznych i obecnych dziejów Euskadi. Walka Lechitów i Wenedów, najazd, opór. Chór jak w teatrze Sofoklesa, jak w teatrze pastorałek i żalonych panichid⁶⁷⁵ baskijskich. Zacząłem na kastylski tłumaczyć Baskowi wolno, jak je tylko pamiętałem, strofy:

O! święta ziemio polska! arko ludu!
 Jak zajrzeć tylko myślą, krew się lała.
 W przeszłości słycać dźwięk tej harfy cudu,
 Co węzom dała lzy i serce dała!
 Słuchajcież wy! gdy ognie zaczną buchać,
 Jeżeli harfy jęk przyleci z dala,
 Będziecież wy jak węże stać i słuchać?
 Będziecież wy jak morska czekać fala...⁶⁷⁶

Nie pamiętałem tego już więcej, musiałem dopowiadać. Urkiaga'tar rozumiał doskonale. Nie wiem, czyby nie rzucił jeszcze białej Antygony dla Lilli Wenedy. To było właśnie dla nich. Stary dramat Słowackiego, czytany dziś przez nas w obowiązkowej lekturze szkolnej, ze wstępem, przypiskami, komentarzem i nudzeniem, tutaj wyskakiwał z szyn. Stawał się znowu, bardziej niż kiedykolwiek był u nas, orężem walki. Podobno takim orężem jest dla naszych Ukraińców *Konrad Wallenrod*, zapomniana lektura. Dla Basków mógłby być takim druidyczny dramat Słowackiego. To nie Gopło, ale Guernika; to nie pochód Lechitów, ale Kastylian wchodzi żywy w owe strofy. To ta walka, toczona w szcękę mitraliez i łoskocie idących po szosie tanków, wtłoczy się w maski dramatu Wenedów, wstępuje na koturny prawdziwego patosu. To ona dziś podejmie odłożony do lamusa oręż innego narodu. Przekładając tych kilka strof żołnierzowi, który je zapisał, a za kilka dni na nowo, ze swym nieskończonym przekładem z Sofoklesa, ruszał na linię bojową, miałem po raz pierwszy krępujące wrażenie, że w tej walce przestają być neutralny. Że staje się jakby kombatantem⁶⁷⁷.

O REZULTATY

W małym porcie rybackim Bermeo, przetłoczonym uchodźcami, czekamy na statek wojenny angielski. Czekaliśmy już wczoraj na francuski. Nie przyszedł. Czekaj z nami młodzieńka para, słynna dziś w Anglii i poza Anglią. Jest to miss Jessica Midford i Esmond Romilly, narzeczeni, z których pełnoletnością jest bardzo krucho. Ona jest córką Lorda Rochedale, on siostrzeńcem Winstona Churchilla, byłego ministra Wielkiej Brytanii, przywódcy konserwatystów. Ród Churchillów należy do najpierwszej rodowej arystokracji angielskiej, od trzech wieków dostarcza Albionowi mężów stanu i wodzów. Teraz mały Romilly walczył po stronie czerwonych i robi dla nich propagandę. Narzeczoną, ku niemałemu skandalowi rodziny, przyjechała za nim. Zwiedzaliśmy nieco razem. Romilly był miłym szczeniakiem, który dziesiątki razy zapominał w Madrycie swój karabin, a specjalnie kochał anarchistów. — Wreszcie wynurza się ogromny statek stalowy HMS

Miłość, Walka, Młodość,
 Rewolucja

⁶⁷⁵panichida — nabożeństwo żalobne w Kościołach chrześcijańskich obrządku wschodniego, w krajach liturgii cerkiewno-słowiańskiej. [przypis edytorski]

⁶⁷⁶O! święta ziemio polska! arko ludu! — Juliusz Słowacki, *Lilla Weneda*, akt III, scena 5. [przypis edytorski]

⁶⁷⁷kombatant — tu dosł. z fr. *combattant*: towarzysz broni. [przypis edytorski]

„Echo” i po formalnościach jesteśmy na pokładzie. Kapitan zaprasza nas, wraz z młodą parą, na lunch. Jest to wysoki, barczysty Anglik, powściągliwy i spokojny. Romilly pokazuje mu odznaki anarchistyczne, opowiada z zapalem półdziecka. Kapitan nie przeczy. Nawet potakuje jakby. Ale wydaje mi się, że te słowa, które wymawiają obaj, każdy rozumie inaczej. Romilly mówi „fasyzm” z takim obrzydzeniem, jakby był synem górnika z Ronda⁶⁷⁸, kapitan mówi „fasyzm”, ale myśli: Włochy. Romilly mówi „rewolucja hiszpańska” i poczyną mówić o rosyjskiej. Kapitan mówi „rewolucja hiszpańska” i mówi o ostatniej wojnie karlistowskiej. Wielki, stalowy kolos dźwignął się z miejsca i pruje wody. Jest śliczne słońce i rześki wiatr. Piękny dzień wiosny w Biskai. Górzyste brzegi Euskadi przesuwają się wkoło nas, wiatr dmie w brezentowe płachty pokładu, pod którymi drzemią miny i armaty. Kapitan mówi i Romilly mówi. Używają słów tych samych, a sensy inne. Ale kierunek tych słów jest właściwie także ten sam: ten młodzieniec z angielskiego „Buntu Młodych” nie chce w Hiszpanii fasyzmu, ten kapitan His Majesty Ship „Echo” nie chce w Hiszpanii Włoch. Ale to jest, konkretnie, to samo. Kapitan, oburzając się na terror Moli, wspomina Zumalcarreguę, wodza karlistów sprzed wieku; Romilly, mówiąc o tymże Moli, wymawia zabawnie nazwisko „Denikin”⁶⁷⁹. Tylko że znowu kierunek tych myśli jest ten sam. Przede mną dwie burty jednego i tego samego statku wojennego zlewają się w końcu w jeden rozwleczonej nurt. W Anglii dwa pokolenia mówią inaczej, ale w praktyce wychodzi to na jedno. W Polsce dwa pokolenia mówią językiem identycznym, ale sens ich myśli nie zbiega się w ten sam szlak wojennego okrętu. Antyrosyjskie Legiony Piłsudskiego i Legion Młodych⁶⁸⁰ pupilów Jędrzejewicza to nie było to samo. Wstęga gór i zatok roztacza się wzdłuż drogi okrętu, od wschodu poczynają majaczyć miękkie brzegi gaskońskie. Myślę, kto tu jednak ma rację: Romilly, który mówiąc „Hiszpania”, widzi za nią cień Rosji, fasyzm, wiek XX, czy ten małowówny kapitan najpierwszej marynarki świata, który myśli o wojnach karlistów, Zumalcarreguim i XIX wieku?

Hiszpania jest wciąż przed nami, obecna, niedaleka, będąca już jednak poza nami. Mamy oczy naraz nad Bilbao i nad San Sebastian. Takie to wszystko, choć niby oddalone, bliskie. „Echo” przesuwają się, prąc wody, rozrywając ich nurt. Nad statkiem trzepoce brytyjska flaga wojenna. Jeszcze jedna flaga obca nachylona nad hiszpańską walką. Czegóż chcą ci jeszcze? Leży rozłożony plik gazet londyńskich. Jest dziwny akcent radości. — „Walka trwa dalej” — mówi pismo. — Czyja walka? Białych, czerwonych? Nie: Hiszpanii. Co jeszcze jest w gazetach, nieczytanych od dawna? Oto madrycki korespondent pisma — pisma angielskie miały po każdej stronie korespondenta — donosi, że rekonstrukcja gabinetu jest znowu aktualna; tym razem następcą Larga Caballero ma zostać nie Prieto, ale generał Miaja, obrońca Madrytu. Cóż piszą z Burgos? W Burgos także zmiany; mówi się o ustąpieniu generała Franco; jest przemęczony wojną. Jego miejsce ma objąć „pewien” generał, cieszący się zaufaniem sfer tradycjonalistycznych. To znaczy Mola. — Cóż mówi inne pismo? Że wynurza się nowa możliwość rozmów porozumiewawczych obu stron, możliwość zawieszenia broni, pokoju...

Romilly coś dowodzi z przekonaniem kapitanowi. Kapitan słucha uważnie i spokojnie. Oficerowie pokazują nam punkciki nieco na zachód, na morzu. To statki wojenne francuskie. W porcie St. Jean de Luz stoi sowiecki okręt. Baskijska Hiszpania, górzysta, płowa i zielona, wznosi się nad morzem panoramą wciąż bliską. Co robią ci wszyscy obcy? Czego chcą jedni i drudzy, i trzeci? Ci trzeci, neutralni? Tak różnie o tym mówiono i myślano. A jednak powoli, poprzez fakty, wszystko zaczyna stawać się jasne, wyraziście. Prawie jak te góry wybrzeża, wzdłuż których przesuwają się nasz pancernik.

1) Rosyjska interwencja

Pisano o niej bardzo wiele, widziano w niej i początek akcji zapirenejkiej, i idealizm, i potęgę. Obawiam się, że to, co po tym wszystkim powiem, będzie wzięte co najmniej za

⁶⁷⁸ *Rondo* — miasto w Andaluzji, w Hiszpanii. [przypis edytorski]

⁶⁷⁹ *Denikin, Anton Iwanowicz* (1872–1947) — generał rosyjski; jeden z najważniejszych przywódców antybolszewickich sił podczas wojny domowej w Rosji: współorganizator i od 1918 dowódca Armii Ochotniczej, w latach 1919–1920 dowódca Sił Zbrojnych Południa Rosji. [przypis edytorski]

⁶⁸⁰ *Legion Młodych* — radykalna piłsudczykowska organizacja młodzieżowa, utworzona w 1930 w celu zwalczania wpływów opozycji (zwłaszcza endecji) na wyższych uczelniach; głosiła ideologię skoncentrowaną na służbie państwu, antykapitalistyczną, antykomunistyczną i antyklerykalną. [przypis edytorski]

chęć paradoksowania, choć będzie bardzo stare. Pomoc rosyjska, o której wszędzie tyle pisano, która militarnie odegrała swoją rolę, była czymś zupełnie odmiennym od naszych wyobrażeń. Nie było w niej nic z dawnej akcji Sowieków w Chinach, w wojnie grecko-tureckiej nawet. Nie tylko dlatego, że jeszcze parę lat temu wielka polityka Kominternu zaniedbywała Hiszpanię, że w 1930 Manuilski⁶⁸¹ mógł oświadczać, że „najmniejszy strajk w Niemczech ma dla nas większe znaczenie niż wszystko, co się dzieje w Hiszpanii” — a był to, ni mniej ni więcej, początek obecnych wydarzeń. Zresztą przeczytajcie tu ciekawe świadectwo Gide’a⁶⁸² o reakcji na wypadki hiszpańskie w ZSRR. Temu lat dziesięć Rosja chwyciłaby się jeszcze tej wojny oburącz. Teraz weszła w nią mechanizmem bezwładu, ciężenia ku utartemu torowi, nawykiem tradycji. Wojny tureckie Aleksandra II⁶⁸³ były takim samym wpadnięciem w wielkie tory Piotra Wielkiego i Katarzyny⁶⁸⁴, a jednak były czymś zgoła mniejszym od tamtych. Dla Rosji sowieckiej cała walka hiszpańska miała znaczenie jako odciążenie uwagi Niemiec od Wschodu. Jej przedłużenie oznacza dla niej przedłużenie tej pieredyszki⁶⁸⁵. Cóż tu wiele mówić! Ani jeden tank i karabin rosyjski nie dostały się Hiszpanii czerwonej inaczej niż za złoto w złocie. Nie było inaczej z żywnością, nie było inaczej z towarami. Jeśli sprzyjanie komuś polega na interesach handlowych, to obawiam się, że niejedno z „państw faszystowskich” okazało Walencji nie mniejszą sympatię. Nie szedł zresztą materiał nowy. Było tak z pociskami, których daty odlewu były wyryte na każdej gilzie, było tak z tankami: opowiadał mi tankista rosyjski, że Rosja posiada już nowy typ tanku z motorem Diesla, niemożliwym do podpalenia, ale nie chciała ich wysłać do Hiszpanii. Kto wie, ile tanków spłonęło od benzyny Maurów, ten zrozumie, jak bardzo zaważyła na szali owa bratnia pomoc zleżałym towarem.

Wcale nie leży w moich zamiarach cieszenie się z tego stanu rzeczy czy pomstowania na obecnych władców Kremla, jak to robią trockiści. Stwierdźmy. Dlaczego to robili? Trudno na to odpowiedzieć. Może ktoś mniej sceptyczny wytłumaczy to nieskalanym pacyfizmem kraju radzieckiego. Może Rosja nie chce żadnej zawieruchy wojennej, bo wtedy wojskowi wzięliby górę nad partyjnymi, naczelny wódz nad generalnym sekretarzem partii, sztab generalny nad Kremlm, może dlatego *cofa się* tu, jak wycofała się z Chin, jak ustąpiła dalekowschodnie szlaki kolejowe Japonii, jak pozwoliła jej podejść pod bok Syberii. Może dlatego jeszcze, że ruchliwa rola trockistów w tym kraju wiecznej frondy ją zastanawia⁶⁸⁶, że woli nie mieć Hiszpanii czerwonej niż mieć ją trockistowską, że nie można by już z Moskwy rządzić Półwyspem Iberyjskim z łatwością, z jaką rządzi się Krymem. Może dlatego, że wyrosłaby konkurencja, inny raj komunistyczny, z innymi prorokami, że religia marksowska miałaby zbyt wcześnie swój Rzym i swoje Bizancjum. Hiszpanie to naród nie mniej pryncypalistyczny, doktrynalny, sekciarski niż Rosjanie. Komuś się to rzeczy wydadzą błahe, dalekie od rzeczywistości politycznych: to w Polsce walki ideowe były zwykle tylko muślinowym terenem walk personalnych. W Rosji personalne spory musiano zawsze opancerzyć w brokat, futro, szuby, czapki monomasze⁶⁸⁷, owinać wata doktryny. O, nie! W Rosji spory doktrynerskie nie są przybudówką czy nadbudów-

⁶⁸¹Manuilski, Dmytro Zacharowycz (1883–1959) — ukraiński i radziecki polityk socjaldemokratyczny i komunistyczny, działacz państwowy; sekretarz Komitetu Wykonawczego Kominternu (1928–1943). [przypis edytorski]

⁶⁸²Gide, André (1869–1951) — francuski pisarz, uznawany za jedną z najważniejszych postaci kultury europejskiej I. poł. XX w.; indywidualista, odrzucający tradycyjne normy moralne, krytyk kolonializmu (*Podróż do Konga*, 1927) i stalinizmu (*Powrót z ZSRR*, 1936); laureat literackiej Nagrody Nobla (1947); jego dzieła zostały umieszczone w kościelnym indeksie ksiąg zakazanych. [przypis edytorski]

⁶⁸³Aleksander II Romanow (1818–1881) — cesarz rosyjski; twórca wielu liberalnych reform, m.in. uwłaszczenia chłopów w Rosji i Królestwie Polskim; zginął w zamachu bombowym; w celu wsparcia powstańców słowiańskich i wzmocnienia pozycji Imperium Rosyjskiego na Bałkanach wszczął wojnę przeciwko Imperium Osmańskiemu (wojna rosyjsko-turecka 1877–1878). [przypis edytorski]

⁶⁸⁴Piotr Wielki i Katarzyna — Piotr I Wielki (1672–1725): car rosyjski (od 1682) z dynastii Romanowów, pierwszy cesarz (imperator) Rosji (od 1721); Katarzyna II Wielka (1729–1796): cesarzowa Rosji (od 1762). [przypis edytorski]

⁶⁸⁵pieredyszka (pot., z ros.) — chwila wytchnienia, odpoczynku. [przypis edytorski]

⁶⁸⁶zastanawiać (daw.) — tu: zatrzymywać, stopować, skłaniać do stanięcia. [przypis edytorski]

⁶⁸⁷Czapka Monomacha — korona wielkich książąt i carów rosyjskich: spiczaste nakrycie głowy, wykonane ze złotych segmentów zdobionych filigranem, obszyte sobolowym futrem, zwieńczone krzyżem zdobionym perłami; wg legendy z XVI w. miał to być dar od cesarza bizantyjskiego Konstantyna IX Monomacha dla jego wnuka, księcia kijowskiego Włodzimierza II Monomacha (1053–1125), co miało oznaczać, że Moskwa jest sukcesorem Konstantynopola. [przypis edytorski]

ką: wchodzą głęboko w życie polityczne, wżerają się silnie w ciało narodu. Stalin mógł się bać tej schizmy i konkurencji zbyt dalekiej, by ją poskramiać. Wolał uniknąć jej powstania, a w każdym razie, jeśli na tej walce skorzystać chce, to przecież nie wysiła się zbytnio, by jej wynik przesądzić. Być może, że zamieniając Hiszpanię w drugą cytadelę socjalizmu, spełniłby słynną przepowiednię Lenina⁶⁸⁸. Ale życie wielkiego Gruzina płynie nad rzeką Moskwą, w grubych murach Iwanowskiego Kremla, w cieniu ostatka bizantyjskich kopuł Białokamiennej. Ten człowiek musi znać i inną, bardziej dziś zapomnianą przepowiednię Hercena⁶⁸⁹: Moskwa będzie trzecim Rzymem, a czwartego już nie będzie. — Stalin jest cezarem tego trzeciego Rzymu, jest człowiekiem Moskwy. Chce na Moskwie zakończyć pochod dziejów. Ten człowiek nie stworzy czwartego Rzymu. —

2) *Włochy, Niemcy, „Rozbiór Hiszpanii”*

W całym świecie najchętniej dawano wiarę pogłoskom, że zaplątą Niemiec i Włoch, że celem ich polityki będzie rozbiór Hiszpanii. Co tydzień Baleary brał definitywnie Rzym, Maroko ostatecznie Niemcy, wreszcie dzielono już kontynent. Nie myślę wcale tłumaczyć, że państwa te działały przez cechującą je bezinteresowność, jeśli poproszę, żeby te podziałowe plotki w interesie ścisłej informacji między bajki włożyć. Zresztą były one nieraz dementowane przez fakty: i tak wycieczka neutralnych attaché wojskowych po Maroko, dokonana niezwłocznie po pogłoskach w prasie paryskiej o desancie Reichswehry⁶⁹⁰ w tym kraju, stwierdziła ich zupełną bezpodstawność. Trzeba tylko, żeby zdano sobie u nas sprawę, że imperializm nowoczesnych państw totalnych i nacjonalistycznych, imperializm 1937, jedyny może, jaki istnieje, bo Rosja jest w odwrocie, a Anglia w pozycji obronnej, jest zupełnie inny — nie „gorszy” czy „lepszy”, ale *inny* — od imperializmu z roku 1887, jak epoka Edwarda VIII⁶⁹¹ operuje *innymi* metodami niż czasy królowej Wiktorii⁶⁹², a Mussolini⁶⁹³ to nie Palmerston⁶⁹⁴. Nie. Rzecz nie jest taka prosta. Niemcy i Włochy nie myślały o żadnych terytorialnych aneksjach w Hiszpanii. Myślały za to o czymś grubo większym. Myślały o całej Hiszpanii. Jak? Znowu nie trzeba sobie wyobrażać, że Franco byłby po zwycięstwie podprefektem czy *gauleiterem*⁶⁹⁵ okręgu Pireneje. Ale w razie jego zwycięstwa powstałby za tymi Pirenejami reżym bliźniaczy nie Moskwie, ku czemu zmierzano, nie Francji, z czego się ześlizgnięto, ale reżymom w Berlinie i Rzymie. Ten reżym berlińsko-rzymski przy wszelkich hiszpańskich odrębnościach powstanie w kraju *oskrzydłającym* Francję. Będzie miał w pamięci zarówno jej życzliwość dla czerwonego Madrytu, jak pomoc okazaną sobie przez Niemcy i Włochy w chwili ciężkiej. To wspomnienie bardzo świeże i żywe będzie się łączyło z przepotężnym łącznikiem,

Polityka, Państwo

⁶⁸⁸słynną przepowiednię Lenina — być może chodzi o „przepowiednię” Lenina zawartą w książce *Państwo i rewolucja* (1917), dotyczącą nieuchronności stopniowego zaniku państwa w procesie rozwoju historycznego: przekształcanie się państwowości kapitalistycznej w socjalistyczną, a następnie socjalistycznej w komunistyczną samorząd powoduje równocześnie obumieranie państwa, zbędnego w komunizmie. [przypis edytorski]

⁶⁸⁹Hercen, Aleksandr Iwanowicz (1812–1870) — rosyjski pisarz, myśliciel i działacz społeczno-polityczny, zwolennik poglądów rewolucyjno-demokratycznych, stworzył doktrynę socjalizmu rosyjskiego, który miał powstać z pominięciem fazy kapitalizmu; popierał ruch rewolucyjny okresu Wiosny Ludów oraz powstanie styczniowe w Polsce. [przypis edytorski]

⁶⁹⁰Reichswehra — niemieckie siły zbrojne Republiki Weimarskiej i III Rzeszy, istniejące w latach 1921–1935. [przypis edytorski]

⁶⁹¹Edward VIII (1894–1972) — od 20 stycznia 1936 król Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej oraz dominiów, cesarz Indii; abdykował 11 grudnia 1936, kiedy jego decyzja o poślubieniu rozwiedzionej Amerykanki Wallis Simpson wywołała stanowczy sprzeciw Kościoła, brytyjskiego gabinetu oraz rządów dominiów. [przypis edytorski]

⁶⁹²królowa Wiktoria, właśc. Aleksandryna Wiktoria (1819–1901) — królowa Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii przez 63 lata (od 1837), najdłużej panujący monarcha Wielkiej Brytanii do czasów Elżbiety II; okres jej panowania jest nazywany epoką wiktoriańską. [przypis edytorski]

⁶⁹³Mussolini, Benito (1883–1945) — włoski polityk, założyciel i przywódca ruchu faszystowskiego; w 1922 dokonał zamachu stanu i stanął na czele rządu; od 1925 dyktator Włoch; podpisał traktaty laterańskie regulujące stosunki Włoch z Watykanem (1929); prowadził agresywną politykę zagraniczną: dokonał podboju Etiopii (1935–1936), udzielał wojskowego wsparcia gen. Franco podczas wojny domowej w Hiszpanii (1936–1939), zawarł sojusz z Niemcami (tzw. Oś Rzym–Berlin, 1936), zaanektował Albanię (1939), usiłował zdobyć Grecję i Egipt; po wylądowaniu aliantów na Sycylii w 1943 odsunięty od władzy, utworzył satelickie względem Niemiec, marionetkowe państwo z rządem rezydującym w płn. Włoszech w Salò; schwytany przez komunistycznych partyzantów w 1945 i rozstrzelany. [przypis edytorski]

⁶⁹⁴Palmerston, Henry (1784–1865) — wybitny polityk angielski, przywódca liberałów. [przypis edytorski]

⁶⁹⁵gauleiter (niem.) — wysoki polityczny stopień paramilitarny, nadawany przywódcy okręgu partii nazistowskiej w Niemczech hitlerowskich; w praktyce *gauleiter* miał niekwestionowaną władzę na danym obszarze, podlegając wyłącznie centralnym władzom partii. [przypis edytorski]

jakim są w naszym wieku — jak w. XVI były nimi podobieństwa religijne, jak w XIX etniczne pokrewieństwa — podobieństwa ustrojów. Niebawem spotęgują to jeszcze węzły gospodarcze: współpraca dwóch krajów wysoko uprzemysłowionych a cierpiących na niedostatek surowców, z krajem wadliwie i niedostatecznie uprzemysłowionym, opływającym za to we wszelkie rudy i węgle, jest zjawiskiem gospodarczo naturalnym. Jeśliby zwyciężyli czerwoni, Hiszpanię doprzemysłowałaby Rosja. Na pewno nie za darmo. Gdy zwyciężą biali, trud i benefis⁶⁹⁶ tego doprzemysłowienia wezmą na siebie państwa, których ambasadorzy siedzą dziś w Burgos. Także nie za darmo.

Tylko człowiek, co nic nie wie i nie jest zdolny do rozumowania przez trzy minuty, może na to wzruszyć ramionami i powtórzyć z uporem, że to swoją, a tamto swoją drogą, że swoją drogą państwa antykomunistyczne uprzemysłowią Hiszpanię na własną korzyść, a swoją drogą jedno weźmie Baleary, a drugie Maroko. Ależ zagarnięcie Balearów czy Maroka stałoby się argumentem w ręce wpływów antywłoskich i antyniemieckich w Hiszpanii, prędzej czy później zwróciłoby ją przeciw obecnym sojusznikom, przygarnęło z powrotem ku Francji i Anglii! Ze strony Włoch i Niemiec byłaby to akurat taka polityka, jak gdyby ktoś mający wszystkie szanse otrzymania w BGK pożyczki na trzy miliony złotych, ukradł na początek srebrną łyżeczkę na przyjęciu u gen. Góreckiego. Chciał mieć i trzy miliony, i srebrną łyżeczkę. Nie trzeba im przypisywać rozumowania kategoriami drobnego żulika. Państwa faszystowskie nie okroją terytorialnie Hiszpanii. Państwa faszystowskie nie wyeksploatują jej ekonomicznie tak nawet, jak nas eksploatował po wojnie niejeden sojusznik. Państwa faszystowskie zrobią oczywiście interes swego przemysłu na lokatach w Hiszpanii, ale i tu będą raczej przestrzegały miary w zysku, i bez tego ogromnym. Tej miary będą tu przestrzegać po to samo, po co nie uszczkną piędzi ziemi: po to, żeby *obok* Niemiec, obok Włoch, za Francją i ponad Gibraltarem, zjawilo się trzecie państwo totalne, nacjonalistyczne i sprzymierzone. Po to, żeby Hiszpania wróciła po trzech wiekach do koncertu europejskiego i wróciła jako ich sojusznik. Wróci do niego jako *brillant... troisième*⁶⁹⁷, jako Bułgaria cara Ferdynanda⁶⁹⁸, jako lepsza Albania, jak dawniej z konieczności Belgia sekundująca Francji. Będzie czymś w tych kategoriach. Ale wróci. Ale będzie siłą. Zobaczymy, że Włochy zwłaszcza będą jeszcze szcuć ją przeciw Anglii, wytykając zawsze bolesny Gibraltar⁶⁹⁹. Tego by czynić już nie mogły, zabierając same Majorcę czy Ceutę, a czy to likwidacja wpływów francuskich dla Niemiec, czy to likwidacja angielskich dla Włoch będzie rzeczą bardzo ważną. Jeśli się wreszcie zestawia pomoc rosyjską z pomocą tych dwóch państw, to raczej można powiedzieć obrazowo, że Rosja, dając swe tanki, nie kredytowała ani godziny, tamci zaś, dając swoje, gotowi byli na dalekie, dogodne i różnej natury splaty. Koniec końców dla pierwszej względny handlowe dominowały inne, dla drugich to odwrotnie, plany polityczne przesłoniły handlową stronę interesu. W *Potopie* gdy Kiemiliczom, sługom Kmicica, Szwedzi zarekwirowali konie, dając w zamian gotówki kwity, Kiemlicze płakali. Kmicic jednak wziął kwity rad, bo pod pozorem szukania wypłaty mógł objechać całą okupowaną Polskę, wszystkie kwatery szwedzkie, dotrzeć, gdzie chciał. Zdaje się, że w obecnym hiszpańskim *Potopie* to nie Rosjanom przypadła umysłowość i rola Kmicica.

3) „Nieinterwencja”. *Polityka Anglii, a także Francji*

Statek, na którym płyniemy, jest statkiem wojennym brytyjskim. Pełni straż na tych wodach wraz ze statkami francuskimi. Anglia, Francja to państwa nieinterwencji. Te słowa opatruje w cudzysłów Madryt. — Dla nas to najbardziej mdła i żadna polityka. —

A oto mam wrażenie przy tych gazetach, że wreszcie zaczyna się widzieć i w niej jasno. „Walka trwa dalej!” — ten okrzyk prasy brytyjskiej mówi wiele. Czy była w tej wojnie

⁶⁹⁶ *benefis* — tu dosł. z fr. *bénéfice*: pożytek, korzyść. [przypis edytorski]

⁶⁹⁷ *brillant troisième* (fr.) — wspaniały trzeci. [przypis edytorski]

⁶⁹⁸ *Ferdynand I Koburg* (1861–1948) — książę Bułgarii (od 1887), w 1908 ogłosił niezależność Bułgarii od tureckiego Imperium Osmańskiego i przyjął tytuł króla (cara); za jego panowania Bułgaria wspólnie z Serbią, Grecją i Czarnogórą pokonała Turcję w I wojnie bałkańskiej (1912–1913), następnie jednak poniosła klęskę w wywołanej przez siebie przeciwko Grecji i Serbii II wojnie bałkańskiej (1913) oraz w I wojnie światowej, po stronie Trójprzymierza; w 1918 zmuszony do abdykacji. [przypis edytorski]

⁶⁹⁹ *Gibraltar* — przylądek na południowym krańcu Płw. Iberyjskiego, z górującą nad otoczeniem wapienną Skałą Gibraltarską. Ufortyfikowany Gibraltar od wieków zapewniał kontrolę nad Cieśniną Gibraltarską, łączącą M. Śródziemne z Atlantykiem i oddzielającą Afrykę od Europy. Od 1713 Gibraltar stanowi terytorium zamorskie Wlk. Brytanii i od tamtej pory pomimo prób nigdy nie został zdobyty. [przypis edytorski]

nieinterwencja? Czy funkcjonował nadzór granic? Czy forytował⁷⁰⁰ kogoś — a jeśli tak, to kogo?

Nieinterwencja była taką samą grą polityczną, jak każda inna. Nieinterwencja była polityką „stosowaną”. Miał rację Madryt, gdy mówił, że przepuszcza uzbrojenia niemieckie. Mieli rację w Burgos, gdy mówili, że toleruje transporty sowieckie. Nieinterwencja przepuszczała *i jedno, i drugie*. Po cóż więc istniała? Bo przepuszczała — i o tym się nie mówi — celowo. Otwierała śluzę *raz jednym, raz drugim*. Tak jak otwiera się lub zamyka śluzę kanału sueskiego. Ta wojna była wojną regulowaną. Ile razy przewaga białych stawała się widoczniejsza, tyle razy czerwonym udało się dostawa sowiecka. Ile razy szanse białych zaczęły się chwiać, tyle razy im z kolei udało się przemknąć przez morza.

Jakież był cel tej polityki?

Cel był jasny. Oto przede wszystkim Anglia, a potem jednak i Francja, nie chciały usadowienia się za Pirenejami ani komunizmu, ani faszyzmu. Państwa te od wieku zneutralizowały Hiszpanię. Uczyniły z niej kraj, który w polityce międzynarodowej partnerem nie był, od problemów europejskich trzymał się z dala. Państwo Filipa II, które tyle trudności wyrządziło i Anglii, i Francji, nie liczyło się w tym świecie. Hiszpania komunistyczna byłaby wciągnięta w politykę sowiecką, Hiszpania faszystowska stałaby się partnerem Niemiec i Włoch. Tamte państwa zmierzały do uaktywnienia Hiszpanii, do pozwolenia, by odgrywała odtąd jakąś rolę, choćby rolę *brillant second*⁷⁰¹. Anglia i Francja nie chciały, nie chcą tego powrotu. Walka mogłaby być parę razy dla różnych stron zwycięsko rozstrzygnięta. Ale przewaga wojenna jest za każdym razem niwelowana. Tę wojnę reguluje się z oddali. Czekają na zupełne wykruszenie się sił po jednej i po drugiej stronie. Na ogólne osłabienie, ogólne wyczerpanie. Forsuje zmianę personelu. To nieinterwencji wspierają wszystkie intrygi przeciw Franco w Salamance, przeciw Caballerze w Walencji, insynuując każdej stronie, że z innymi ludźmi politycznymi gotowi byłiby gadać, gotowi wspierać. To oni grają na zmęczenie, na wyczerpanie, na odsunięcie kolejne po obu stronach najsilniej zaangażowanych w walce, to oni wspierają przychylnie każdego manewr, który rząd w Burgos czyni zależnym od falangistów, rząd w Walencji mniej związanym z komunistami. Każdy dzień walki musi rodzić chęć pokoju, pokoju neutralnego. Bez niczyich zwycięstw, bez żadnych stanowczych zmian. Taki pokój da Hiszpanii powolną regenerację, zbliznianie ran. Taki pokój sprawi i to jeszcze, że Hiszpania jako czynnik polityczny nie wróci do Europy. Ani jako czerwona, ani jako faszystowska. —

Motorówki przewożą nas na łód, do St. Jean de Luz, który teraz jest małym portem rybackim, a tylko jesienią napęłnia się turystami. Zapada bardzo błady wieczór i ludzie w pensjonacie słuchają historii z Bilbao jak baśni o wilku za siedmiu górami żyjącym. Ci ludzie są tak samo Baskami, a od tamtych Basków dzieli ich nie siedem gór, ale wąski, tuż pod St. Jean podchodzący, pas Pirenejów. A jednak dzieli ich od tamtego świata i spraw jego ściślej i lepiej, niż Cieśnina Gibraltarska oddziela Rif od Andaluzji.

EPILOG

Mieszkamy w małej *hostellerie* w Ciboure, tuż przy pustym o tej porze roku Saint Jean de Luz, w kraju wciśniętym w Pireneje, opartym o granicę hiszpańską. Mam tu całą swoją bibliotekę hiszpańską, książki, wycinki gazet, zapiski, notatki. Na obiad schodzimy do dużego pokoju, który latem przygarnia kilkadziesiąt osób, a teraz jest prawie pusty. Stałymi gośćmi poza nami są tylko dwie młode kobiety, w grubej czarnej żałobie. Takich kobiet jest wiele tutaj. Wiele także słyszy się mowy hiszpańskiej. Obie przychodzą do stołu, jedzą, a skończywszy, odchodzą zaraz, bez patrzenia na siebie, bez słowa. Spotyka się je na spacerach nad morzem, przy poczcie, przy kiosku z gazetami. Są bardzo podobne do siebie, w tej urodzie, milczeniu i czerni. Tylko listonosz wie nieomyślnie, której pani trzeba oddać „Diario de Burgos”, a której walencjański „El liberal”.

Nie wiem, kogo straciły te kobiety i po kim noszą żałobę. Nikt tego zresztą nie wie w pensjonacie. Wiemy tyle, że straty musiały być ciężkie, że kobiety te musiały widzieć rzeczy straszne. I że uciekły z dwóch różnych terrorów Hiszpanii. Wiemy także, że obie mają jeszcze jakieś nadzieje czy spodziewania, że tak samo wyczekują wieści *stamtąd*.

Kobieta, Żałoba, Ojczyzna,
Nienawiść, Wróg, Polityka

⁷⁰⁰forytować (daw.) — popierać; faworyzować. [przypis edytorski]

⁷⁰¹brillant second (fr.) — wspianiał drugi. [przypis edytorski]

Niekiedy od morza niesie się daleki, ledwo dosłyszalny, huk armat. To może być pod Ochandiano lub pod Lequeito, może być na oceanie, może nawet przed Saragossą. Echo potężnieje w górach, rozlewa się falą po morzu. Spotkamy je w takie dni na brzegu, skąd widać już hiszpańską Fuenterrabia, tak samo milczące, tak samo nadsluchujące. Wiemy, że jeśli padnie Madryt, jedna z nich zdejmie przecież żalobę, że będzie się jeszcze kiedyś śmiała kaskadowym śmiechem Hiszpanek. Wiemy, że jeżeli Madryt nie padnie, druga zrobi to samo. Ale wiemy i to także, że jedna z nich nie zdejmie jej już wtedy nigdy. Żaloba wrośnie w nią silniej jeszcze, krzywdą mocniej sknebluje usta, nienawiść pozostanie większa jeszcze niż przedtem. I oto jest Hiszpania.

Książki, które mam ze sobą, dopełniają mi jeszcze obrazu. Wiem teraz, że na białych w ostatnich wyborach, w tych, które dały zwycięstwo Frontowi Ludowemu, więcej głosów padło na prawicę niż na lewicę. Czemuż w takim razie rządy objęły lewica? Dlatego, że hiszpańska ordynacja wyborcza jest, podobnie jak dawna polska, jak obecna belgijska, czeska, rumuńska, szwedzka, proporcjonalna. Listy jednolite otrzymują pewien procent mandatów poselskich więcej niż listy idące luzem. Lista zaś Frontu Ludowego była wielką listą federacyjną. Skupiła anarchistów, marksistów różnych odcieni, lewicowych republikanów. Inne listy szły do wyborów oddzielnie. Na nie razem padło głosów więcej, ale posłów otrzymały mniej, rządy objęła lewica Frontu Ludowego. Co to znaczy? To znaczy, że w Hiszpanii stały na wprost siebie dwa obozy, jeden skonsolidowany i mniejszy, drugi nieskonsolidowany, ale większy. To tak jak te dwie kobiety w czerni, które żyją tu pod jednym dachem, ale na siebie nie spojrzą. To znaczy, jak głęboko przeszło pęknięcie obecnego kataklizmu, jak bardzo przepołowiło Hiszpanię.

Posłano mi tu z kraju szczególną paczkę książek. Wszystko ważniejsze, co literatura polska ma o Hiszpanii. Czytam to teraz na nowo, bo wszystko to znamy dobrze wszyscy, ale czytam to inaczej. Jakby już miał w uszach dźwięk, ton, tego, co jest naprawdę Hiszpanią, i jakby to były klawisze fortepianowe, na których dobieram tego tonu, próbuję go odegrać. Czytam bohatercko-krwawe, lubieżno-okrutne strony *Popiołów*, walkę uliczną w Saragossie, nocne spotkanie Krzysztofa Cedry, zdobycie klasztoru San Engracia, opisy które wydawały się takie bujne, takie silne, tak bardzo ton chwytające. I oto ta cała hiszpańska klawiatura żeromszczyzny nie odbrzmiewa. Wiem teraz, że to nie tak zdobywano klasztor San Engracia, nie tak dokonywano gwałtów i mordów, świętokradztw i wyzwoleń, że wielki pisarz stworzył Hiszpanię operową, Hiszpanię z *Carmeny* i Baedekera. Jak to się stało, że on właśnie? Jest dziwno. Jak to się za to dzieje, że Mickiewiczowska ballada o Almanzorze, taka wypłowiwała, wyżymana komentarzami szkolnymi ze wszelkiej krwi, napływa naraz życiem, oddaje prawdziwy, hiszpański ton? Dlaczego, czytając te strony deklamowane u nas przez dzieci, odrasta we mnie wspomnienie tamtej grozy? Dlaczego przypomina mi się wtedy taka czaszka ludzka, opalona w żarze, ale tak, żeby skóra głowy i włosy pozostały zachowane, przypięta jako *mascotte* do batalionowego auta w Pozuelo? I owa noc w Madrycie bombardowanym, gdy dopiero wróciwszy do domu, spostrzegłem, że mamy buty na nogach stąpające obficie w krwi?

Kończę moje prace hiszpańskie literaturą, literackością. Nie statystyką, nie ekonomią. Dlaczego? Bo oto sądzę, że trzeba ponad to wszystko dać pewien ton, brzmienie, smak, koloryt Hiszpanii. Trzeba go dać na rzeczach najbardziej znanych, na naszej lekturze powszedniej. Almanzor, tak. *Popioły*, nie. Ale w wielkiej klawiaturze literatury polskiej czuję długo, że przecież jeszcze jest coś pozornie tej Hiszpanii obcego, a hiszpańskiego, bardzo hiszpańskiego, hiszpańskiego jak sama Hiszpania. Dwóch ludzi, którzy nigdy o Hiszpanii nie pisali, ale w których wizji jest cała Hiszpania, choć obywa się bez Carmen i Don Juanów⁷⁰². Więc hiszpański jest cały *Pan Wołodyjowski*. Czytajcie to na nowo, myśląc o Hiszpanii, jeśli chcecie wiedzieć, czym jest Hiszpania! To ten Azja Tuhaj-bejowicz, wysmagany batogiem za młodu, mszczący się po latach, długo i powoli rzezający nożem gardło starego pana Nowowiejskiego. To te dziewczyny rozdzielane wodzom tatarskim, katowane, gwałcone, odprzedane ciężarne. To ponura zemsta młodego Nowowiejskiego, to Azja konający na palu, z oczyma wylupionymi świdrem wachmistrza Luśni, sam pozostały na stepie, „świecący długo”. To ów rycerz chrześcijański, głowy kozackie ścielący

⁷⁰²*Don Juan* — postać literacka będąca uosobieniem kochanka; bohater sztuki Tirso de Moliny *Zwodziciel z Sewilli i kamienny gość* (1630), następnie dramatu Moliera (*Don Juan*, 1665), opery Mozarta (*Don Juan*, 1788) i poematu dygresyjnego Geорга Byrona (*Don Juan*, 1818). [przypis edytorski]

wianuszkami u stóp krzyża, to ta waśń Kozaka i szlachcica, która zelżeje chyba na galerach tureckich. To w powietrze wysadzony Kamieniec Podolski, sienkiewiczowski Alkazar. Chcecie wiedzieć, kto w Polsce czułby jeszcze Hiszpanię, gdzie w literaturze polskiej jest więcej obecnej Hiszpanii niż w „telegramach własnych” polskiej prasy? Zajrzyjcie do małej książeczki wielkiego pisarza, którego grób zakopiański dawno trawą porasta. Ten koń na wzgórzu obdarty ze skóry przez cofające się wojska Budionnego⁷⁰³, ta siostra, która przed hańbą rzuciła się do studni, ciało o cembrowiny krwawiąc, ten los skautów polskich Kijowszczyzny w 1920 roku, krwawe i wielkie obrazy Eugeniusza Małaczewskiego⁷⁰⁴ — oto jest jeszcze Hiszpania.

Przez całą książkę odsuwałem grozę, krew, śmierć. Były dla mnie koniecznością, naturalnością rewolucji. — Nie ma przewrotów bez przelewu krwi, bez krzywdy. Trzeba patrzeć ku temu, co z tej krwi użyźniającej wyjdzie. — Czy wyjdzie? Oto teraz pytanie wątpienia najgorsze. Wiek XIX Hiszpanii znał przewroty krwawsze niż rewolucja francuska, życie państw Ameryki Południowej odmierzane jest periodycznymi rewolucjami, a jednak kraje te pozostały daleko w tyle od jakiejś Danii, Szwecji, Finlandii nawet, krajów, które nie znały barykad, które nie spalały się w męce cudzej i własnej, ofierze z innych i z siebie, jak spalała się, jak jeszcze spala wielkim, niegasnącym pożarem rewolucja hiszpańska. — I ostatnim obrazem Hiszpanii stają się jednak te dwie co dzień widziane kobiety, młode, piękne, w czerni żałoby, w milczeniu zaciętości, pod jednym dachem, u jednego stołu, a przecież wrogie już sobie na śmierć i na zawsze.

⁷⁰³ *Budionny, Siemion Michajłowicz* (1883–1973) — rosyjski, a potem radziecki dowódca wojskowy, kawalerzysta, dowódca I Armii Konnej, wslawionej istotnym wkładem w zwycięstwo bolszewików podczas rosyjskiej wojny domowej (1919–1921), biorącej także udział w walkach na froncie polskim. [przypis edytorski]

⁷⁰⁴ *Małaczewski, Eugeniusz* (1897–1922) — polski prozaik i poeta; uczestnik wojny polsko-bolszewickiej (1919–1920), autor cyklu opowiadań *Koń na wzgórzu* (1921), ukazujących okrucieństwa wojny; zmarł w Zakopanem. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/pruszyński-w-czerwonej-hiszpanii/>

Tekst opracowany na podstawie: Ksawery Pruszyński, *W czerwonej Hiszpanii*, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1937.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Blanka Kościńska, Martyna Szejna, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6323-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.